

Kraina cieni

JOHN CONNOLLY

Przekład: Ewa i Ryszard Rudolf

C&T

TORUŃ

Tytuł oryginału:

DARK HOLLOW

Copyright © 2000 by John Connolly

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Torun 2004

Copyright © for the Polish translation by Ewa i Ryszard Rudolf

Opracowanie graficzne: MAŁGORZATA SOBECKA

Zdjęcie autora: DAVID BARTOLOMI

Redaktor wydania: PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel./fax (56) 654-82-04

%

ISBN 83-89064-57-X

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Tbruń, tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2004. Wydanie I. Ark. wyd. 19; ark. druk. 20. Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady

Graficzne Sp. z o.o., ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Samotny, sam jeden, po straszliwym lesie Rozbudzonego zła błąka się zagubiony rodzaj
ludzki Przerazony, czy aby nie spotka swego Ojca.

W. H. Auden, Tymczasem

IPMM©

Dodge intrepid stał pod kępą jodeł, przodem ku morzu, z wygaszonymi światłami, z kluczykiem w stacyjce, by nie wyłączyć ogrzewania. Jak dotąd śnieg wprawdzie nie spadł jeszcze w tej położonej daleko na południe okolicy, ale ziemię skuwał już mróz. Ciszę zimowej nocy w Maine zakłócał jedynie dochodzący z niedaleka łomot fal rozbijających się o Ferry Beach. Tuż przy brzegu unosił się na wodzie pływający pomost, na którym piętrzyły się sterty koszy na homary. Poza czterema okrytymi brezentem łodziami, spoczywającymi za zbitą z sekwojowego drewna łodziownią i zakotwiczonym w pobliżu kei katamaranem, miejsce świeciło pustką.

Drzwi od strony pasażera otwarły się i Chester Nash pośpiesznie wsiadł do samochodu; ciasno owinięty długim, brązowym płaszczem; szczerkał zębami z zimna. Był niewysoki, żyłasty, o długich, ciemnych włosach; cienki wąs, zwisający z górnej wargi, sięgał aż za kąciki ust. Chester uważał, iż ozdoba ta dodaje dziarskości, inni jednak widzieli w niej jedynie coś żalobnego, stąd przezwisko — Radosny Chester, jedyne zresztą, co potrafiło doprowadzić Chestera Nasha do szału. Wcisnął kiedyś Pauliemu

Blockowi lufę broni do ust za nazwanie go Radosnym echesterem. Za ten gest Paulie niemal wyrwał mu ramię, chociaż, jak wyjaśnił Radosnemu Chesterowi, równocześnie waląc go w

głowę dłońmi jak łopaty, rozumiał powody, dla których tamten tak postąpił. Tyle że same powody to jeszcze nie wszystko.

— Mam nadzieję, że umyłeś ręce — rzucił z siedzenia kierowcy Paulie Block; może zastanawiał się, czemu Chester nie odpryskał się wcześniej jak każdy normalny człowiek, zamiast upierać się na lanie po pniu w lesie nad brzegiem morza i wypuszczenie z samochodu całego ciepła.

— Człowieku, ależ tu zimno — narzekał Chester. — To najbardziej kurewsko zimne miejsce, jakie widziałem w całym moim zasranym życiu. Mało brakowało, by kutas mi odpadł, jeszcze trochę, a szczałbym kostkami lodu.

Paulie Block zaciągnął się mocno dymem i patrzył, jak czubek papierosa przez moment, nim zamienił się w szary popiół, rozżarzył się na czerwono. Paulie Block — Kloc — nazywał się odpowiednio do swego wyglądu. Przy wzroście sześć stóp i trzy cale ważył dwieście osiemdziesiąt funtów, a jego twarz wyglądała, jakby używano jej do przetaczania pociągów. Już samą obecnością w samochodzie sprawiał, iż wóz wydawał się mocno za ciasny. W istocie, gdyby Paulie Kloc pojawił się na Stadionie Giantów, zrobiłoby się tam nieznośnie tłoczno.

Chester rzucił okiem na zegar na tablicy rozdzielczej — zielone numery zdawały się zawieszane w ciemnościach.

— Spóźniają się — skomentował.

— Będą tu, bez obaw — zapewnił Paulie.

Ponownie zajął się papierosem; beznamyślnie wpatrywał się w morze. Czerń nocy przerywały jedynie lśniąca w oddali światła Old Orchard Beach. Siedzącego obok Chestera Nasha pochłonięła elektroniczna gra.

Na zewnątrz zawodził wiatr, fale w regularnych odstępach ocierały się o plażę, a dźwięk głosów biegł ponad lodowatą ziemią do miejsca, z którego inni obserwowali i słuchali. Obiekt numer dwa wrócił do pojazdu. Człowieku, ależ tu zimno — agent specjalny FBI Dale Nutley podświadomie powtórzył słowa, które usłyszał właśnie wypowiedziane przez Chestera Nasha. W niedalekiej odległości od niego, umocowany w pobliżu niewielkiej szczeliny w ścianie szopy, znajdował się mikrofon o parabolicznym kształcie. Tuż obok cicho szumiał uruchamiany na dźwięk magnetofon marki Nagra, a kamera Badger Mk II, nie wymagająca wiele światła, bacznie obserwowała dodge'a.

Nutley miał na sobie dwie pary skarpetek, długie kalesony, drelichowe spodnie, podkoszulek, bawełnianą koszulę, wełniany sweter, narciarską kurtkę marki Lowe, termiczne rękawice i szarą czapkę z alpaki, z dwoma klapkami opadającymi ponad słuchawkami i ogrzewającymi uszy. Siedzący obok na wysokim stołku agent specjalny Rob Briscoe pomyślał, iż to alpakowe nakrycie głowy przydaje Nutleyowi wyglądu pasterza lam albo solisty Spin Doctors. Tak czy owak, Nutley wyglądał w alpako- wym nakryciu głowy z nausznikami jak kłown. Agent Briscoe, któremu uszy niemal spadały z zimna, zapragnął jednak tej alpakowej czapki. Gdyby jeszcze się bardziej oziębiło, być może musiałby po prostu zabić Dale Nutleya i ściągnąć czapkę z martwej głowy.

Szopa na łodzi znajdowała się po prawej stronie parkingu Ferry Beach, można więc było z niej doskonale obserwować dodge'a. Przebiegająca za budynkiem prywatna droga prowadziła wzdłuż brzegu ku jednemu z letnich domków, wznoszących się na Necku. Ferry Road zawracała z parkingu docierając, poprzez Black Point Road, na północ do Oak Hill i Portland, a na południe aż po samo Black Point. Okna łodziowni, zaledwie przed dwoma godzinami pokryte odbijającą światło farbą, skutecznie chroniły agentów przed widokiem z zewnątrz. Tylko raz poczuli się nieswojo, gdy Chester Nash, zanim wrócił do samochodu, zajrzał w okno i sprawdził zamki w drzwiach.

Niestety, budynek nie posiadał ogrzewania, w każdym razie nie działało, a FBI nie uznało za konieczne wyposażenie dwóch agentów specjalnych w przenośny piecyk. W rezultacie

Nutley i Briscoe marzli jak nigdy dotąd. Gołe deski szopy aż mroziły w dotyku.

— Jak długo tu jesteśmy? — zapytał Nutley.

— Dwie godziny — odrzekł Briscoe.

— Zimno ci?

— Co za kretyńskie pytanie! Cały jestem oszroniony. Kurewsko mi zimno.

— To czemu nie wzięłeś czapki? — dziwił się Nutley. — Przecież wiesz, że najwięcej ciepła ulatuje przez czubek głowy. Jak mogłeś zapomnieć? Dlatego ci zimno. Trzeba było włożyć czapkę.

— Wiesz co, Nutley? — warknął Briscoe.

— Co takiego?

— Nienawidzę cię.

Za ich plecami cicho szumiał uruchomiony głosem magnetofon, nagrywając rozmowę agentów poprzez przyłączone do ich kamizelek mikrofony. Zgodnie z obowiązującą podczas tej akcji zasadą, wszystko miało być rejestrowane, każdy szczegół. Łącznie z nienawiścią, jaką żywił Briscoe do Nutleya z powodu alpakowej czapki.

Strażnik Oliver Judd usłyszał ją, nim jeszcze zobaczył. Na pokrytej dywanem podłodze jej stopy wydawały ciężki, powłóczysty dźwięk; mruzczała coś pod nosem. Z ociąganiem uniósł się z krzesła i wychylił z kanciapy, z niechęcią oddalając się od telewizora i piecyka ogrzewającego stopy. Cisza panująca na dworze zapowiadała dalsze opady śniegu. Przynajmniej nie wiało, a to już coś. Już niedługo warunki się pogorszą — jak zwykle w grudniu — tyle że tutaj, daleko na północy, zła pogoda przychodzi wcześniej niż gdziekolwiek indziej. Czasami życie w północnym Maine stawało się naprawdę kurewskie.

Pośpiesznie podszedł do niej. — Hej, proszę pani, proszę pani! Co tu pani robi, powinna pani być już w łóżku, przeziębisz się pani na śmierć...

Przy ostatnich słowach Judda stara kobieta drgnęła i spojrzała na niego, jakby dopiero teraz go zauważyła. Drobna i chuda, trzymała się prosto, co zdecydowanie wyróżniało ją spośród mieszkańców domu dla starców im. Św. Marty. Juddowi wydała się niewątpliwie młodsza od innych pensjonariuszy — tak wiekowych, iż mogli byli już naciągać na papierosa tych, którzy polegli w I wojnie światowej — ta miała najwyżej sześćdziesiątkę. A jeżeli nie jest stara, to z pewnością niesprawną, spekulował Judd, czyli wariatka, całkiem skołowaciała. Szpakowate włosy luźno opadały jej na ramiona, sięgając niemal do pasa. Jasnoblękitne oczy patrzyły prosto w dal, poprzez Judda, jakby był przezroczysty. Spod nocnej koszuli wystawały wysokie, sznurowane, brązowe buty, szyję okryła czerwonym szalem, a na ramiona zarzuciła długi, błękitny płaszcz, który zapinała idąc.

— Odchodzę — oznajmiła. Mówiła cicho, ale z całkowitą pewnością, jakby nie było nic niezwykłego w tym, iż sześćdziesięcioletnia kobieta opuszcza dom starców w północnym Maine, ubrana tylko w koszulę nocną i tani płaszczyk, w samym środku nocy, i to właśnie wtedy, gdy zapowiadano następne opady śniegu, oprócz tych sześciu cali, które już zamrożone zalegały ziemię.

Judd nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem udało jej się przejść obok stanowiska pielęgniarek i dostać niemal do samych drzwi wyjściowych. Niektórzy z tych starców są cwani jak lisy, pomyślał. Na chwilę spuścić ich z oka, i już ich nie ma, już wędrują w stronę wzgórz czy do swych dawnych domów, albo żeby poślubić kochanka, który umarł przed trzydziestoma laty.

— Przecież pani wie, że nie może odejść — przekonywał Judd. — No już, proszę, trzeba wracać do łóżka. Wezwę opiekę, zaraz ktoś zjeździe zająć się panią.

Stara kobieta przestała zapinać guziki płaszcza i znów popatrzyła na Olivera Judda. I wtedy dotarło do niego, że jest przerażona: śmiertelnie. Nie potrafiłby wyjaśnić, skąd to wiedział, może za przyczyną jakiegoś pierwotnego instynktu, który odezwał się, gdy staruszka podeszła

bliżej. W jej szeroko rozwartych oczach malowało się błaganie, a ręce, teraz już nie zajęte guzikami, trzęsły się. Ten emanujący z niej ogromny strach sprawił, iż Judd poczuł się nieswojo. Potem przemówiła:

— On nadchodzi.

— Kto nadchodzi? — zapytał.

— Caleb. Caleb Kyle nadchodzi.

Spojrzenie starej kobiety niemal hipnotyzowało, głos drżał przerażeniem. Judd potrząsnął głową i ujął ją za ramię.

— No, proszę... — Podprowadził ją do winylowego krzesła obok swej budki. — Pani tu posiedzi, a ja wezwę pielęgniarkę. — Kim u diabła jest ten Caleb Kyle? Nazwisko brzmiało jakoś znajomo, ale nie potrafił go umiejscowić.

Wykręcał numer pielęgniarek, gdy usłyszał za sobą hałas. Odwrócił się i ujrzał starą tuż za plecami, z oczami zwężonymi skupieniem, ustami zaciśniętymi w determinacji. Ręce uniosła wysoko nad głową i kiedy spojrział, by zobaczyć, co w nich trzyma, dostrzegł jeszcze tylko spadający nań ciężki, szklany wazon.

Potem nastąpiła ciemność.

Nic nie widać, do kurwy nędzy — zaklął Radosny Chester Nash. Szyby wozu zaparowały, przyprowadzając Chestera o nieprzyjemne uczucie klaustrafobii, którego bynajmniej nie zmniejszała obecność olbrzymiego cielska Paulie Błocka, co zresztą bez ogródek wytknęła swemu towarzyszowi.

Paulie przetarł szybę rękawem. W oddali niebo rozświetliły reflektory samochodu.

— Cicho — powiedział — nadjeżdżają.

Nutley i Briscoe także zauważyli światła, kilka minut po tym, jak radio Briscoe'a ożyło, by poinformować agenta, że jakiś samochód jedzie Old Country Road w kierunku Ferry Beach.

— Jak myślisz, to oni? — spytał Nutley.

— Możliwe. — Briscoe otrzepał płaszcz z drobin zmarzniętego śniegu akurat w chwili, gdy z Ferry Road wyłonił się ford taurus i zatrzymał się tuż przy dodge'u. W słuchawkach rozległ się głos Pauliego Błocka, pytającego Radosnego Chestera, czy jest gotowy na zabawę. W odpowiedzi usłyszeli tylko szczeł, który w uszach agenta Briscoe'a zabrzmiał jak dźwięk odbezpieczania broni.

W domu starców im. Św. Marty pielęgniarka przyłożyła Oliverowi Juddowi zimny kompres na tył głowy. Ressler, sierżant przybyły z Dark Hollow, stał obok z patrolującym policjantem z rezerwy, który wciąż jeszcze uśmiechał się pod nosem. Z warg Resslera także do końca nie zniknął ślad rozbawienia. Po drugiej stronie pomieszczenia stał Dave Martel, szef policji z Greenville, miasteczka położonego pięć mil na południe od Dark Hollow, a obok niego jeden ze strażników z Miejskiego Urzędu Do Spraw Rybołówstwa i Przyrody.

Ośrodek Św. Marty podlegał jurysdykcji Dark Hollow, ostatniego miasta przed olbrzymimi, ciągnącymi się w kierunku Kanady lasami przemysłowymi. Jednak Martel dowiedział się o starej kobiecie i zaoferował, w razie potrzeby, swoją pomoc. Nie lubił Resslera, ale sympatia czy antypatia nie miała nic do rzeczy, gdy należało podjąć konieczne działania.

Martel, rozgarnięty, cichy i dopiero trzeci w kolejności szef w Greenville od stworzenia w tym mieście niewielkiego wydziału, nie widział nic szczególnie zabawnego w tym, co się wydarzyło. Jeżeli szybko jej nie odnajdą, uciekinierka umrze. Nie trzeba zbyt wiele chłodu, by zabić starą kobietę, a tej nocy było go w nadmiarze.

Oliver Judd, który zawsze marzył o zostaniu policjantem, ale był za niski, za gruby i za mało rozgarnięty, wiedział, że gliniarze z Dark Hollow śmieją się z niego. I nie bez racji, pomyślał, w końcu cóż to za ochroniarz, który da się obezwładnić przez starszą panią? I do tego ta kobieta ma teraz nowiutkiego smitha & wessona 625, którego mu odebrała.

Ekipa poszukiwawcza pod przewodnictwem dyrektora ośrodka, doktora Martina Ryleya, była przygotowana do wyjścia. Riley, szczelnie otulony kurtką z kapturem, w rękawicach i nieprzemakalnych butach, w jednej ręce niósł apteczkę, w drugiej trzymał dużą magelitową latarkę. U jego stóp leżał plecak z ciepłym ubraniem, kocami i termosami z rosółem.

Po drodze nie spotkaliśmy jej, pewnie poszła na przełaj — Judd usłyszał czyjś głos. Chyba Willa Pattersona, strażnika, którego żona prowadziła aptekę w Guilford i miała tylek niczym brzoskwinia wręcz prosząca się o skosztowanie.

— Ciężki teren — orzekł Riley — na południe leży Beaver Cove, ale szef Martel nie widział jej, gdy do nas jechał. Na zachód mamy jezioro. A więc całkiem możliwe, że błąka się po lesie.

Patterson oddalił się wezwany bręczeniem wydobywającym się z radia. Niemal natychmiast powrócił z wiadomością: — Namierzyl ją z góry, z powietrza, ze dwie mile na północny wschód, wchodzi głębiej w las.

Dwaj policjanci z Dark Hollow, strażnik, Riley i pielęgniarz wyruszyli w drogę. Patrolowy zarzucił na plecy wór z ubraniem i kocami. Martel spojrzął tylko na Judda i wrzucił ramionami. Ressler nie życzył sobie jego pomocy, a Martel nie zamierzał wtykać nosa tam, gdzie go niechętnie widziano; tym razem jednak miał wyjątkowo złe przeczucia. Podążył wzrokiem za zmierzającą ku drzwiom wyjściowym pięcioosobową grupą; na dworze właśnie zaczęły padać pierwsze płatki śniegu.

Ho Szi Min — powiedział Radosny Chester — Pol Pot. Li Sze.

Czterech Kambodżan obrzuciło go chłodnym wzrokiem. Wszyscy nosili granatowe wełniane płaszcze, granatowe garnitury i ciemne krawaty, na dłoniach czarne skórzane rękawiczki. Trzej byli młodzi. Mają nie więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, pomyślał Paulie. Czwarty, starszy, z pasmami siwizny przebijającymi przez gładko zaczesane do tyłu ciemne włosy. Oczy zasłaniały mu okulary, palił papierosa bez filtra. W lewej ręce trzymał czarną, skórzaną walizkę.

— Tet. Przewodniczący Mao, Nagasaki — nie przestawał Radosny Chester.

— Zamkniesz się wreszcie? — warknął Paulie Block.

— Staram się, by poczuli się jak w domu.

Starszy facet zaciągnął się po raz ostatni i pstryknął niedopałkiem w stronę plaży.

— Jak już twój koleś przestanie robić z siebie idiotę, będziemy mogli zacząć, dobrze?

— I widzisz — zwrócił się Paulie Block do Radosnego Chestera — właśnie tak zaczynają się wojny.

Ten Chester to rzeczywiście głupek — stwierdził Nutley. Głosy tamtych sześciu wyraźnie docierały do agentów poprzez chłodne powietrze nocy. Briscoe przytaknął. Stojący tuż przy nim Nutley nastawił obiektyw kamery na dłoń Azjaty, kliknął i zaraz też zrobił ujęcie Paulie Błocka, Kambodżanina i walizki. Mieli obserwować, słuchać i nagrywać; żadnej interwencji. Na tę przyjdzie kolej później, jak tylko to, co się tu działo, cokolwiek by to było, gdyż otrzymali cynk wyłącznie o miejscu spotkania, można będzie powiązać z Tonym Celli w Bostonie. Samochód z dwoma innymi agentami czekał na dodge'a przy Oak Hill, drugi miał jechać za Azjatami.

Brisco wycelował obiektyw w Radosnego Chestera Nasha.

— Zauważyłeś coś dziwnego w płaszczu Chestera? — zainteresował się nagle.

Nutley przesunął obiektyw nieco w lewo.

— Nie — odrzekł. — Tyle że wygląda, jakby uszyto go co najmniej pięćdziesiąt lat temu. I nie trzyma rąk w kieszeniach, tylko w małych nacięciach na piersi. Dziwny sposób grzania dłoni, nie sądzisz?

— Aha, rzeczywiście.

Gdzie ona jest? — zwrócił się starszy Kambodżanin do Paulie Błocka.

Paulie wskazał ręką na bagażnik samochodu. Kambodżanin skinął głową i podał walizkę jednemu ze współników. Ten otworzył wieko i trzymał walizkę tak, by Paulie i Chester widzieli jej wnętrze.

Chester aż gwizdnął. — O cholera!

O rany — rzucił Nutley — tam jest mnóstwo kasy.

Briscoe skierował obiektyw na banknoty. — No, ze trzy miliony.

— Wystarczy Tony'emu Celli na wykupienie się z kłopotów, w jakich tylko by się nie znalazł — stwierdził Nutley.

— I jeszcze zostanie.

— Ale kto jest w bagażniku? — zaciekał się Nutley.

— Cóż, synu, po to właśnie tu jesteśmy, żeby się dowiedzieć.

Pięćosobowa grupa ostrożnie posuwała się po zamarzniętej ziemi, powietrze wypuszczane z ust natychmiast zamieniało się w białą parę. Ogarniające ich zewsząd wiecznie zielone drzewa sięgały nieba wierzchołkami, konary przyjaźnie witały płatki spadającego śniegu. Skalisty grunt pod nogami, przykryty świeżą warstwą, zrobił się niebezpiecznie śliski. Ryley już zdążył się potknąć, boleśnie otarł goleń. Nad głowami słyszeli warkot cenny, należącej do przewoźnika z Mooshed Lake i widzieli, jak jej światła koncentrują się wokół czegoś na ziemi, niedaleko przed nimi.

— Jeżeli śnieg nie przestanie padać, pilot będzie musiał wrócić do bazy — orzekł Patterson.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział Ryley — jeszcze z dziesięć minut i mamy ją.

W ciemnościach przed nimi rozległ się strzał, potem następny. Promień światła padający z samolotu przez chwilę padał pod ostrzejszym kątem, potem zaczął wznosić się w górę. Z radia Pattersona rozległ się potok gniewnych słów: — Do licha, ona do nich strzela! Na twarzy Pattersona ukazało się niedowierzanie.

Kambodżanin trzymał się tuż przy Paulie Błocku, gdy ten przesuwiał się ku tyłowi samochodu. Za ich plecami młodzi mężczyźni rozsunęli poły płaszczy, ukazując uzi zawieszane na paskach pod pachami. Każdy ułożył dłoń na rękojeści, palec tuż przy spuście.

— Otwieraj! — rozkazał starszy.

— Ty tu rządzisz — odrzekł Paulie. Włożył kluczyk do zamka i przygotował się do podniesienia klapy.

Gdyby Kambodżanin słuchał uważniej, zauważyłby, że Paulie Błock wymówił ostatnie słowa bardzo głośno i wyraźnie.

To wycięcia na gnata — domyślił się nagle Briscoe. — Pieprzone szpary na broń, nic innego!

— Wycięcia na gnata, Jezu! — jęknął Nutley.

Paulie Błock podniósł klapę bagażnika i cofnął się o krok. Kambodżanin pochylił się i w twarz uderzyła go fala gorącego powietrza. Wnętrze zakrywał koc, pod nim wyraźnie rysował się ludzki kształt. Kambodżanin schylił się głębiej i zerwał przykrycie.

Pod kocem leżał mężczyzna, i to z dubeltówką.

— A to co? — zawołał zaskoczony Kambodżanin.

— Ano, żegnaj — odrzekł Paulie Błock, gdy z lufy plunął ogień i Kambodżanin aż podskoczył uderzony kulami.

Kurwa! — wściekł się Briscoe. — Ruszamy, nie ma co! — Wyciągnął SIG-a i rzucił się do tylnych drzwi; jeszcze przez mikrofon wezwał Scarbo- rough o wsparcie, i już pędził w noc, w stronę samochodów.

— Przecież mieliśmy się nie mieszać — sarknął Nutley, podążając za starszym partnerem. — To nie w porządku, nie było mowy o niespodziankach...

Spod rozchylonego płaszcza Radosnego Chestera ukazały się dwie krótkie lufy półautomatycznych karabinów typu Walter MPK Dwóch Azjatów zdążyło jeszcze unieść swe uzi, ale on już naciskał spusty.

— Sayonara — rzucił, rozciągając usta w uśmiechu.

Dziewięćmilimetrowe naboje parabellum uderzały w trzech mężczyzn, przebijały walizkę, kosztowną wełnę płaszczy, nieskazitelną biel koszul, wreszcie cienką warstwę ich skóry. Szyby rozpadły się pod naporem wystrzałów, kule wpijały się w metalową powłokę samochodu, pozostawiały kropki na winylowych siedzeniach. Wystarczyło ledwie cztery sekundy, by sześćdziesiąt cztery serie, władowane w trójkę mężczyzn, pozostawiły ich ciała wymięte i bezwładne; gorąca krew wsiąkała w cienką warstwę pokrywającego ziemię szronu. Walizka, otwarta, upadła na ziemię dnem do góry, kilka ciasno poupychanych plików banknotów wałało się wokół.

Chester i Paulie zlustrowali rezultat swej działalności. Niezły.

— No, to na co mamy tu czekać? — niecierpliwił się Paulie. — Bierzemy forszę i spierdalamy.

Za nimi Jimmy Fribb, facet z dubeltówką, wygramolił się z ciasnego bagażnika i rozprostowywał nogi, aż szczękały kości. Chester włożył świeży magazynek do jednego MPK, drugi wrzucił do bagażnika dodge'a. Właśnie nachylał się po porozrzucone banknoty, gdy, niemal równocześnie, rozległy się dwa głosy.

— Agenci Federalni — rzucił pierwszy — ręce do góry, no już!

Drugi głos nie zabrzmiał ani tak zwięźle, ani uprzejmie, ale dla Paulie Błocka dziwnie znajomo.

Stara kobieta stała na niewielkiej polance i wpatrywała się w niebo. Na jej włosy, ramiona i wyciągnięte ręce padał śnieg; w prawej dłoni kurczowo ścisnęła broń, lewa była pusta. Ciężko oddychała, jej pierś unosiła się. Starzejące się ciało usiłowało radzić sobie z wysiłkiem. Zdawała się nie zauważać Ryleya i pozostałych, dopóki nie znaleźli się zaledwie trzydzieści stóp przed nią. Pielęgniarka trzymała się z dala, za innymi. Ryley, wbrew życzeniu Pattersona, przejął inicjatywę.

— Panno Emily — zwrócił się do niej łagodnie — panno Emily, to ja, doktor Ryley. Przyszliśmy zabrać panią do domu.

Stara kobieta popatrzyła na niego i Ryley zorientował się, po raz pierwszy, odkąd wyruszyli, że wcale nie jest szalona. W jej oczach malował się spokój, a gdy Ryley podszedł bliżej, spojrzała nań jakby kpiąco.

— Nie wracam — stwierdziła.

— Panno Emily, jest zimno. Umrze tu pani, jeżeli nie wróci z nami do ośrodka. Mamy koce, ciepłe ubranie, niosę nawet termos z rosółem z kury. Rozgrzejemy panią, a potem bezpiecznie odstawimy z powrotem.

Wtedy stara kobieta wręcz uśmiechnęła się, szerokim grymasem, w którym zabrakło zarówno humoru, jak i zaufania.

— Nie zdołacie mnie ochronić — szepnęła — nie przed nim.

Ryley zmarszczył czoło. Teraz przypominał sobie o czymś powiązanim z tą staruszką, jakiś incydent z odwiedzającym, a potem raport jednej z pielęgniarek po poprzedniej nocy, po tym, jak panna Emily zgłosiła, że ktoś próbował wspiąć się do jej okna. Oczywiście zlekceważyli skargę, choć jednak po tym incydencie Judd na czas dyżuru przypinał sobie broń. Ci starcy byli przewrażliwieni, lękali się chorób, bali obcych, a także przyjaciół i czasem nawet krewnych, zimna, upadku; drżeli o swój nędzny dobytek, o fotografie i zacierające się wspomnienia.

Bali się śmierci.

— No proszę, panno Emily, trzeba odłożyć broń i wracać z nami. Zapewnimy pani stuprocentowe bezpieczeństwo. Nikt pani nie skrzywdzi.

Powoli pokręciła głową. Krążący nad nimi samolot obrzucał postać kobiety dziwnym, białym blaskiem, srebrzył jej siwe włosy.

— Nie wracam. Tutaj stawię mu czoła. W lesie jest u siebie, to jego dom, i właśnie tu będzie.

Teraz nastąpiła gwałtowna zmiana w wyrazie jej twarzy. Stojący za Petersonem Ryley pomyślał, iż nigdy jeszcze nie widział u nikogo tak nieskrywanego przerażenia. Jej usta zagięły się w kącikach, podbródek i wargi zdrząły. Ciało trzęsło się gwałtownie, niczym w ekstazie. Gdy odezwała się ponownie, po policzkach spływały jej łzy.

— Przepraszam — powiedziała — przepraszam, przepraszam, przepraszam...

— Ależ panno Emily — Ryley nie ustępował, podszedł bliżej — proszę odłożyć broń. Naszym obowiązkiem jest odstawić panią z powrotem.

— Nie wracam — powtórzyła.

— Ależ proszę, panno Emily, to konieczne.

— No to będziecie musieli mnie zabić — powiedziała po prostu i wycelowała w Ryleya smitha & wessona, po czym nacisnęła spust.

Chester i Paulie rozejrzeli się najpierw w lewo, potem w prawo. Na parkingu, po lewej, stał wysoki mężczyzna w czarnej kurtce, z nadajnikiem na rękę, a w drugiej, przed sobą, trzymał SIG-a. Za nim inny, młodszy, też uzbrojony w SiG-a, którego trzymał w obu dłoniach, miał na głowie szarą, alpakową czapkę z klapkami przykrywającymi uszy

Z prawej, obok drewnianej budki, gdzie w lecie pobierano opłatę za parking, pojawiła się postać cała w czerni, od czubków butów po narciarską kominiarkę zakrywającą twarz. Obcy trzymał rugera; słychać było jego ciężki oddech, wydobywający się przez okrągłe wycięcie w masce.

— Bierz go na cel! — krzyknął Briscoe. SIG Nutleya, wycelowany w Paulie Błocka, skierował się na czarną postać na skraju lasu.

— Rzuć broń, kretynie — zażądał Nutley.

Ruger zdrzął.

— Powiedziałem, rzuć! — powtórzył Nutley, tym razem już krzyknął.

Brisco przesunął nieco broń, by trzymać na celu postać ze strzelbą.

I tylko tego potrzebował Chester Nash. Okręcił się i otworzył ogień z MPK; Briscoe dostał w ramię, Nutley w pierś i głowę — zginął na miejscu, a gdy padał, alpakowa czapka zabarwiła się na czerwono.

Briscoe strzelił z miejsca, w którym leżał na drodze, trafiając Cheste- ra Nasha w prawą nogę i krocze; Chester padając upuścił MPK. Z lasu dobiegł dźwięk rugera i Paulie Błock, z bronią w prawej ręce, aż podskoczył dosięgnięty kulą; okna budynku za nim rozsypały się pod kulami. Wolno osunął się na kolana, potem upadł na twarz. Chester Nash próbował prawą ręką dosięgnąć swego MPK, lewą przyciskał do zranionego krocza, ale Briscoe oddał w niego jeszcze dwa strzały i uciszył na dobre. Jimmy Fribb rzucił strzelbę i uniósł ramiona, w samą porę, by powstrzymać Briscoe'a przed zabiciem go.

Ten już się podnosił, gdy gdzieś przed sobą usłyszał dźwięk ładowanej strzelby.

— Nie ruszaj się — padło.

Zrobił jak mu kazano, położył SIG-a na ziemi obok siebie. Człowiek w czerni kopnął broń, poszybowała w poszycie.

— Ręce na głowę.

Briscoe uniósł ramiona, lewe przeszył dotkliwy ból, i patrzył, jak czarno odziana postać zbliża się, z wciąż wycelowanym w niego rugerem. Nutley leżał w pobliżu, na boku, otwartymi oczami wpatrzony w morze. Jezu, pomyślał Briscoe, co za bajzel. Zza drzew zabłysło światło zbliżających się reflektorów, słyszał warkot nadjeżdżających samochodów. Człowiek ze strzelbą też go usłyszał; lekko przechylił głowę, wpychając resztę banknotów do walizki; zatrzasnął wieko. Jimmy Fribb próbował wykorzystać ten moment nieuwagi i gwałtownie sięgnął po odrzuconego SIG-a, ale nie zdążył, tamten z bronią zabił go strzałem

w plecy. Briscoe jeszcze mocniej przycisnął dłonie do głowy; prawe ramię pulsowało dotkliwym bólem, i zaczął odmawiać modlitwę.

— Leżeć nieruchomo, nie patrzeć — usłyszał.

Brisco posłuchał rozkazu, ale oczu nie zamknął. Lekko poruszył głową, by odsunąć się od spływającej pod nią krwi. Gdy znów spojrział w górę, w oczy świeciły mu reflektory, a po człowieku w czerni nie pozostało śladu.

Doktor Martin Ryley liczył sobie czterdzieści osiem lat i bardzo pragnął dożyć do czterdziestu dziewięciu. Miał dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, i żonę o imieniu Joanie, która co niedzielę gotowała mu wieprzowy gulasz. Nie był najlepszym lekarzem i właśnie dlatego prowadził dom dla starców. Gdy panna Emily strzeliła do niego, padł na ziemię, osłonił głowę dłońmi i na zmianę modlił się i złorzeczył. Pierwszy pocisk minął go gdzieś z lewej. Drugi spryskał mu twarz błotem i śniegiem. Za plecami usłyszał dźwięk odbezpieczanej broni i krzyknął: — Nie, zostawcie ją, proszę nie strzelać!

W lesie znów zapanowała cisza, zakłócana tylko warkotem cenny. Ryley ostrożnie spojrział na pannę Emily. Teraz płakała już całkiem otwarcie. Powoli podniósł się z ziemi.

— Już dobrze, panno Emily.

Stara kobieta potrząsnęła głową. — Nie — odpowiedziała, nigdy nie będzie dobrze. — I przyłożywszy lufę smitha & wessona do lewej piersi, nacisnęła spust. Siła wystrzału niemal okręciła ją w powietrzu; gdy padała, stopy zakołysały się pod nią, a tkanina płaszcza przez chwilę wyglądała, jakby zajęła się od wyplutego z lufy ognia. Ciało kobiety drgnęło jeszcze i znieruchomiało; wokół gromadziła się krew, śnieg prószył w otwarte oczy, padający z góry blask oświetlał nieruchomą sylwetkę.

A wokół niej las patrzył w milczeniu, konary drzew tu i ówdzie unosiły się, przepuszczając śnieg.

Tak się to właśnie zaczęło, dla mnie i dla innego pokolenia: dwa gwałtowne zdarzenia, niemal równoczesne, z pewnej zimowej nocy, powiązane jedną nicią zła, zagubionego w płątanie wspomnień dawnych, brutalnych czynów. Inni — niektórzy całkiem mi bliscy — przez długie lata żyli z nim i z nim umarli. To stare zło, które jakimś sposobem potrafi przeniknąć, zakrwawić i zbrukać tych, którzy nie mieli nic wspólnego z jego genezą: młodych, niewinnych, wrażliwych, bezbronych. Ono zamienia życie w śmierć, a szkło w lustro, tworząc swe odbicia na każdej rzeczy, której dotknie.

Tego wszystkiego dowiedziałem się później, po tych innych zgonach, gdy stało się oczywistym, iż dzieje się coś okropnego, że coś dawnego, obrzydłego wypełzło z puszczy. A w tym, co miało się wydarzyć, za każdym razem miałem swój udział. Być może, patrząc w przeszłość, działo się tak ze mną zawsze, choć nie rozumiałem jak i dlaczego. Ale tamtej zimy nastąpił szereg wypadków, każdy niby oddzielnie, a jednak w ostatecznym rozrachunku wszystkie ze sobą powiązane. Otworło się przejście między przeszłością a tym, co nigdy nie powinno się było wydarzyć, i świat uległ katastrofie.

Patrzę wstecz, poprzez lata i widzę siebie, jakim byłem kiedyś, znieruchomiały w przeszłości niczym postać na jednym z serii portretów. Najpierw jako malca, z niecierpliwością czekającego na powrót ojca ze służby w mieście, już bez policyjnego munduru, z czarną sportową torbą w lewej ręce; tę jego nigdyś wysportowaną sylwetkę, teraz nieco ocieżyła od zbędnego tłuszczu, jego włosy już posiwiały, oczy bardziej zmęczone. Biegnę do niego, a on unosi mnie, objąwszy prawą ręką i jestem zdumiony jego siłą, mięśniami naprężonymi pod ramieniem, bicepsami napiętymi, twardymi. Chcę być taki jak on, z zapalem iść śladem jego osiągnięć, modelować ciało na jego podobieństwo. A gdy on zaczyna degenerować się, gdy to ciało okazuje się tylko wadliwą tarczą kruchego umysłu, ja też ulegam rozpadowi.

Widzę się jako starszego chłopca, nad grobem ojca, a przy mnie stoi tylko garstka policjantów, wysokich i wyprostowanych, a więc ja też mam wyrosnąć i trzymać się prosto.

Tylko jego najbliżsi przyjaciele nie wstydzi się przyjść. To nie miejsce, gdzie wielu chciałoby być widzianymi; w mieście panuje zła atmosfera w związku z tym, co się wydarzyło, i tylko kilku lojalnych nie dba o swą reputację zatrzymaną w bezruchu fleszem reportera.

Po prawej widzę matkę, pogrążoną w bólu. Jej mąż — mężczyzna, którego kochała tak długo — odszedł, a wraz z nim ten, kim był naprawdę — człowiek dobry, oddany rodzinie, ojciec, który potrafił unieść swego syna w górę niczym liść drżący na wietrze. Teraz już pozostanie w pamięci jako morderca i samobójca. Zabił młodego mężczyznę i młodą kobietę, nieuzbrojonych, z powodów, których nikt nigdy nie będzie w stanie wytłumaczyć, a które musiały tkwić gdzieś głęboko w tych zmęczonych oczach. Kpili sobie z niego — ten lumpek pewnie właśnie na najlepszej drodze do sądu dla dorosłych i ta dziewczyna z robotniczej rodziny — i zabił ich, zupełnie jakby przeczuwał w nich coś więcej, czym byli, a nawet czym mogli się stać. Potem wsadził sobie lufę do ust i pociągnął za spust.

Następnie widzę siebie jako młodego mężczyznę, przy innym grobie, do którego opuszczają moją matkę. Teraz obok mnie stoi starzec, mój dziadek. Przyjechaliśmy ze Scarborough w Maine, dokąd uciekliśmy po śmierci ojca, by matkę pogrzebać obok niego, czego zawsze sobie życzyła, bo nigdy nie przestała go kochać. Wokół nas zebrali się starzy mężczyźni i stare kobiety. Jestem tu najmłodszy.

Widzę padający śnieg. I widzę, jak stary człowiek coraz bardziej się starzeje. Opuszczam Scarborough. Zostaję policjantem jak ojciec, jak dziadek. Nie zawiodę rodzinnej tradycji. Gdy dziadek umiera, wracam do Scarborough i sam zasypuję grób; grudy ziemi padają na sosnową trumnę. Poranne słońce rozświetla cmentarz i czuję w powietrzu sól słaną z bagien na wschód i na zachód. W pobliżu złotoczubych mysikrólik przegania brzęczący rój much, brudne, szare insekty, które pasożytują na dżdżownicach, składając w nich swe jajka, a przed zimą szukają schronienia w szczelinach i rysach na ścianach domów.

I gdy drewno znika całkiem zakryte ziemią, słyszę dziecięce głosy dochodzące z przedszkola Lii Folks Farm, po drugiej stronie cmentarnego płotu. Bawią się i nawołują radośnie, i nie mogę powstrzymać się od uśmiechu, gdyż starzec też by się uśmiechnął.

A potem jeszcze jeden grób, jeszcze jedna modlitwa czytana z wyświechtanej książeczki, a ten rozdziera mój świat. Dwa ciała opuszczane na spoczynek, jedno obok drugiego, razem, tak jak je zwykle znajdowałem po powrocie wieczorem do naszego brooklińskiego domu, moją trzyletnią córeczkę, śpiącą ufnie, wtuloną w mamę. W jednej chwili przestałem być mężem, przestałem być ojcem. Zawiodłem je, nie ochroniłem, ukarano je za moje grzechy.

Wszystkie te obrazy, wspomnienia, niczym wykuty z ogniw łańcuch, sięgają w ciemność. Powinny zniknąć, pogrzebane, ale z przeszłością nie da się tak łatwo uporać. Sprawy niedokończone, słowa niewypowiedziane w końcu nawiedzają nas, nie zostawiają w spokoju.

Oto świat pełen echa innych światów...

mmmuŁ

wmsema

Ostrze noża Billy'ego Purdue wbijało się w mój policzek, czułem spływające po twarzy krople krwi. Napierał na mnie całym ciałem, łokciami przycisnął mi ramiona do ściany, nogami unieruchomił moje tak, iż nawet nie mogłem marzyć o kopnięciu go w jaja. Czułem jego palce zaciskające mi się na szyi coraz mocniej i mocniej.

Billy Purdue — mignęła mi myśl — powinienem był przewidzieć...

Billy Purdue był nędzarzem, z tych naprawdę biednych i naprawdę groźnych, pełnych goryczy i frustracji. Nie opuszczała go nigdy otoczka przemocy, owijała niczym chmura, odbierając mu resztki rozsądku, jeżeli w ogóle takowy posiadał; wpływała też na reakcję innych: gdy wpadał do baru na drinka lub choćby uniósł kij bilardowy, prędzej czy później zaczynały się kłopoty. Billy Purdue nie musiał szukać zaczepki, one same go znajdowały.

To było jak zaraza, nawet gdy Billy'emu udało się uniknąć konfliktu — zazwyczaj sam z siebie nie szukał zwady — można by się bez najmniejszego ryzyka założyć, że uda mu się podnieść w barze poziom testosteronu na tyle, by ktoś uznał za stosowne wszcząć awanturę. Billy Purdue potrafiłby sprowokować bójkę na konklawe kardynałów, samym tylko zagładnięciem do sali. Jakby na to nie patrzeć, nie rokował nic dobrego.

Jak dotąd nikogo nie zabił, nikomu też nie udało się zabić jego. Im dłużej trwa taka sytuacja, tym nieszczęście staje się bardziej prawdopodobne, a Billy Purdue to jak zły początek zdążający do złego końca. Słyszałem, gdy określano go mianem nieszczęśliwego wypadku, czekającego tylko, by się wydarzyć, ale było w nim coś więcej, coś niczym narastająca katastrofa, jak długa, powolna śmierć gwiazdy. Niesiony gwałtownym wirem, dążył ku upadkowi.

Wtedy jeszcze nie znałem całej przeszłości Billy'ego Purdue. Wiedziałem tylko, że od zawsze był na bakier z prawem. Rejestr jego wykroczeń nadałby się jako wstęp do katalogu pomniejszych wykroczeń, od zakłócenia lekcji w szkole i drobnych kradzieży, poprzez jazdę samochodem w stanie nietrzeźwym, paserstwo, rozbój, włamanie, także agresywne zachowanie, unikanie płacenia alimentów... Można by wyliczać w nieskończoność. Był adoptowanym dzieckiem i całą młodość spędził pod opieką wielu rodzin zastępczych, a w każdej trzymano go tylko tak długo, dopóki przybrani rodzice nie zorientowali się, że kłopotów, jakie sprawia, nie rekompensuje dotacja z pomocy społecznej. Tacy właśnie bywają niektórzy rodzice zastępczy: traktują dzieciaki jak przedmioty przynoszące zysk, jak domowe bydło czy kurczaki, aż połączą się, że kurczakowi, gdy rozrabia, można ukręcić łeb i zjeść resztę na niedzielną kolację, natomiast możliwości wobec niesfornego dziecka są o wiele bardziej ograniczone. W przypadku wielu zastępczych rodziców Billy'ego Purdue można by mówić o karygodnym zaniedbaniu, a przynajmniej w dwóch o poważnym naruszeniu cielesności.

W końcu znalazł coś w rodzaju domu na północy stanu, u pewnego starego gościa i jego żony, małżeństwa specjalizującego się w okazywaniu miłości poprzez surowość. Gdy Billy u nich nastąpił, tamten gość miał już za sobą wyprostowanie ze dwudziestu przybranych dzieciaków, ale jak Billy'ego poznał trochę lepiej, może uznał, że ten okaz, to o jednego za wiele. Jednak próbował zrobić coś z chłopakiem i przez jakiś czas Billy czuł się prawie szczęśliwy, a w każdym razie bardziej niż kiedykolwiek indziej. Później jednak zaczął powoli się staczać. Wyniósł się do Bostonu i związał z chłopakami Tony'ego Celli, aż wreszcie nadepnął na niewłaściwy odcisk i zwiął do Maine, gdzie poznał młodszą o siedem lat Ritę Ferris, i pobrali się. Urodził im się synek, ale w ich związku to Billy tak naprawdę pozostał dzieckiem.

Teraz, trzydziestodwuletni, o posturze byka, miał ramiona niczym olbrzymie szynki, dłonie grube i szerokie, palce ledwo widoczne wśród rozrośniętych mięśni, małe, świńskie oczka i nierówne zęby; woniał słodowym alkoholem i kwaśnym chlebem. Wizerunku dopełniały wieczny brud pod paznokciami i białe kratery wągrów na szyi w miejscach, które golił starą, wyszczerbioną brzytwą.

Miałem okazję przyjrzeć się Billy'emu Purdue z bliska po tym, gdy nie udało mi się wykręcić mu ramię, i teraz mocno przyciskał mnie do ściany swej nędznej, trzydziestostopowej przyczepy, stojącej na Scarborough Downs, cuchnącej nie pranymi ciuchami, zepsutym żarciem i skiśniętą spermą. Jedną ręką otoczył mi szyję i tak mocno poderwał mi brodę do góry, że palcami nóg ledwie sięgałem podłogi. W drugiej trzymał nóż o krótkim ostrzu, które rozcinało mi policzek jakiś cal pod lewym okiem. Czuję skapującą po brodzie krew.

Wykręcanie mu ramię faktycznie chyba nie było najlepszym rozwiązaniem. W skali pomysłów, ten można by umiejscowić gdzieś między głosowaniem na Rossa Perota a zimową inwazją na Rosję. Łatwiej byłoby mi chyba unieruchomić przyczepę, bo chociaż starałem się

z całych sił, ramię Billy'ego Purdue pozostało sztywne i nieruchome niczym posąg poety na Longfellow Square.

I gdy tak dręczyła mnie myśl o mym kretyńskim pomysle, Billy przechylił mnie do przodu i z całej siły, prawą, otwartą dłonią wałnął w głowę, a potem znów pchnął na boczną ścianę przyczepy, olbrzymimi przedramionami wciąż unieruchamiając mi ramiona. We łbie huczało mi od uderzenia, ucho pulsowało dotkliwie. Już myślałem, że pękł mi bębenek, ale gdy nacisk na szyję jeszcze wzrósł, uświadomiłem sobie, że może nie będę zbyt długo musiał się martwić o to ucho.

Nóż drgnął mu w dłoni i znów poczułem falę bólu. Krew ciekła już bez przerwy, ściekała z podbródka na kołnierzyk mojej białej koszuli. Twarz Billy'ego spurpurowiała ze wściekłości; ciężko sapał przez zaciśnięte zęby, za każdym wydechem pryskając śliną.

Był tak skupiony na wyduszaniu ze mnie resztek życia, że udało mi się poruszyć w kieszeni prawą dłonią i dotknąć chłodnej rękojeści smitha & wessona. Niemal traćcieł przytomność, ale w ostatniej chwili zdołałem wyciągnąć broń i ruszyć ręką na tyle, by wcisnąć wylot lufy w miękkie ciało pod brodą Billy'ego. Czerwone światło w jego oczach zabłysło raz jeszcze, ale zaraz zaczęło przygasać. Nacisk na moją szyję zelżał, nóż wysliznął się z rany; osunąłem się na podłogę. Gdy rozpaczliwie łapałem powietrze, by płytkimi oddechami karmić wygłodniałe płuca, w gardle czułem żywy ogień. Broń wciąż trzymałem wycelowaną w Billy'ego, ale on jakby przestał się nią interesować. Teraz, kiedy wściekłość wydawała się mu przechodzić, jakby był niezbyt pewny, i co do broni, i co do mnie. Wyjął papierosa z paczki malboro i zapalił. Podsunął mi resztę. Odmówiłem ruchem głowy i ból w uchu znów się rozszalał. Postanowiłem przestać trząść głową.

— Dlaczego próbowałeś wykręcić mi ręce? — zapytał najwyraźniej dotknięty. Popatrzył na mnie i w jego oczach malował się autentyczny wyrzut. — Nie powinieneś.

Facet niewątpliwie miał charakter. Wziąłem jeszcze kilka oddechów, już głębszych, i przemówiłem. Mój głos brzmiał ochryple, a gardło tak bolało, jakby ktoś wcierał w nie piasek. Gdyby Billy nie był tak rozbijającym infantylny, z chęcią zaprawiłbym go kolbą rewolweru.

— O ile sobie przypominam, wybierałeś się właśnie po kij baseballowy, którym, zgodnie z zapowiedzią, miałeś zatłuc mnie na śmierć — przypominałem.

— Bo zachowałeś się nieuprzejmie — w jego oczach znów na chwilę pokazały się czerwone błyski. Wciąż w niego celowałem, ale najwyraźniej niewiele sobie z tego robił. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie wie o tej broni czegoś, co umknęło mojej uwadze. Może pod wpływem panującego w przyczepie smrodu kule pogniły podczas naszej rozmowy.

Nieuprzejmie! Już miałem ponownie zaprzeczyć ruchem głowy, gdy przypominałem sobie ucho i postanowiłem, że biorąc wszystko pod uwagę, lepiej, jak będę głowę trzymać nieruchomo. Przybyłem z wizytą do Billy'ego Purdue w intencji wyświadczenia przysługi Ricie, jego byłej żonie, mieszkającej razem z dwuletnim synkiem Donaldem w małym apartamencie przy Locust Street w Portland. Odkąd przed sześcioma miesiącami Rita otrzymała rozwód, Billy nie dał nawet centa na utrzymanie dzieciaka. Znałem rodzinę Rity w czasach, gdy dorastałem w Scarborough. Jej ojciec zginął w osiemdziesiątym trzecim roku w sfuszerowanym napadzie na bank, matka starała się jak mogła, ale nie zdołała utrzymać rodziny razem. Jeden z braci siedział, drugiego poszukiwano w związku z narkotykowymi interesami, a starsza siostra wyjechała do Nowego Jorku i zerwała wszelkie kontakty z rodzeństwem.

Rita była szczupłą, ładną blondyneczką, ale ciężkie życie już odbiło się na jej wyglądzie. Billy Purdue nigdy jej nie uderzył ani nie dręczył fizycznie, miewał jednak napady przerażającej wściekłości i zdemolował obydwa mieszkania, które zajmowali w czasie trwania małżeństwa; jedno podpalił po trzydniowej pijatyce w South Portland. Rita obudziła się w samą porę, by wynieść na zewnątrz swego wtedy jednorocznego synka, a potem

wyciągnąć z budynku bezwładne ciało Billy'ego i włączyć alarm przeciwpożarowy. Następnego dnia wystąpiła o rozwód.

Teraz Billy obijał się w swej przyczepie o kształcie naboju, prowadził życie, które by można określić jako za pan brat z nędzą. Zimą robił trochę za drwala, wycinał choinki na Boże Narodzenie albo ruszał dalej na północ, do lasów należących do przedsiębiorstw zajmujących się wyrębem. Przez pozostałą część czasu robił co mógł, a możliwości nie miał zbyt wiele. Jego przyczepa stała na skrawku ziemi należącej do RONALDA STRAY-DEERA, Indianina Penobscot, ze Starego Miasta, który osiedlił się w Scarborough po powrocie z Wietnamu. Ronald należał do oddziału K-9; ze swą alzacką suką Elzą u boku przeprowadzał patrole ścieżkami dżungli. Mówił mi, że pies potrafił wyczuć Vietkong w podmuchach wiatru, a raz, gdy plutonowi już niemal całkiem zabrakło wody, wytropił źródło. Po odejściu Amerykanów Elzę zostawiono jako dodatkowe wyposażenie dla południowowietnamskiej armii. Ronald nosił zdjęcie suki w portfelu, widniała na nim z wywieszonym językiem, z dwoma znaczkami identyfikacyjnymi zwisającymi z obroży. Przypuszczał, że Wietnamczycy zjedli ją zaraz po odjeździe Amerykanów, i nigdy nie wziął sobie innego psa. W zamian dostał mu się Billy Purdue.

Billy wiedział, że jego była pragnie zacząć nowe życie na zachodnim wybrzeżu, a do tego potrzebowała pieniędzy, które był jej dłużny. Nadal wierzył, że ich związek da się jeszcze uratować; przekonania tego nie zmieniał nawet zakaz zbliżania się do byłej żony na odległość mniejszą niż sto stóp.

lem się oddać jej przyjacielowi w tym mieszkaniu ~ zgodz.oy już gdzie indziej. A także musiałby być kimś innym, bo jako Billy Purdue go poinformowałem ze żonę PrZySługę 1 po^adać z 1 właśnie gdzie nie miał szans na zostanie właścicielem dwóch tysięcy dolarów.

m, zona nie zamierza do niego wracać, a jego pra- - Mam pięćset — powiedział w końcu, i jego oczy jakoś tak chytrze

— No to dawaj.

Ani drgnął.

Billy, jeżeli odmówisz, gliny zaraz przyjadą i wsadzą cię do kicia na liczy o , M

szerokim gestem, niczym magik wyciągający Komuś ?cgc^.. r

imponującego triku. Banknoty pachniały świeżością, miały kolejne i ry. A po wyglądzie koperty należało wnioskować, że zostało w niej jeszcze wiele podobnych papierków.

— Chodzisz do bankomatu przy banku Fleet, Billy? — spytałem. Raczej nieprawdopodobne. Jedyнным sposobem, w jaki Billy Purdue mógł wydobyć forszę z bankomatu, byłoby wyrwanie urządzenia ze ściany przy pomocy buldożera.

— Przekaż jej coś ode mnie — poprosił. — Powiedz jej, że może mam ich więcej tam, skąd te się pokazały, rozumiesz? Niech wie, że niekoniecznie jestem całkiem przegrany. Słyszysz?

Wykrzywił usta w chytrym uśmiechu, takim, jakim obdarza nas ktoś naprawdę ograniczony, gdy sądzi, że wie o czymś, co nam jest nieznanie. Pomyślałem sobie, że niekoniecznie chciałbym dzielić z nim podobną wiedzę. Byłem w błędzie.

— Słyszę, Billy. Tylko nie mów, że znów robisz dla Tony'ego Celli...

W oczach Billy'ego błąkał się jeszcze chytry błysk, ale uśmiech już zmatowiał. — Nie znam żadnego Tony'ego Celli.

— Odświeżę ci pamięć. Wysoki, przemądrzały facet z Bostonu, ksywa Tony Czyścioch. Zaczął od dyrygowania kurwami, teraz chce rządzić światem. Siedzi w biznesie porno, narkotykach, nieczystych interesach, we wszystkim, co nielegalne, a więc

jego szanse na zostanie przyzwoitym obywatelem są obecnie tak niskie, że nie mieszczą się w żadnej skali... — Zamilkłem na chwilę. — Kiedyś dla niego pracowałeś, Billy, pytam, czy ro :

nume- ucha, i odwrócił że nie, dla To-

bisz to w dalszym ciągu. „„„„„W =ie wody

zapłacisz. A jak będziesz siedział, to jak zarobisz na

aC\ak długo, dopóki nie o mą w Santak ^ ^ ^

Pomyślał przez chwilę, potem-«?^^ się do mnie plecami i od- ° ' czepy i wyjął pogniecioną kopertę, w sce Wręczył mi gotówkę iż rękaw mojej kurtki jest teraz wilgotny i poplamiony.

Miałem szczęście, Przy setek; potem odłożył kopertę na miej ^ ^ odwaieniu

że kurtka była czarna, choć już sam fakt, że uznałem to za fart, sam za ^ ocrilf

wvciaeiaący komu _ . , .

siebie mówił o rodzaju dnia, jaki mi się przytrafił.

— Billy, a jakim to sposobem ona i Donald mogą przeżyć, jeżeli nie płacisz tego, co nakazał sędzia? Jak ona sobie poradzi bez tej kasy? Jeżeli ci na Ricie zależy, powinieneś sypnąć forszą.

Spojrzał na mnie, potem utkwiał wzrok w stopach. Jego palce drgnęły na brudnym linoleum.

— Wybacz, człowieku, że dałem ci wycisk, ale... — Sięgnął za kark i podrapał się po ciemnych, niesfornych włosach. — Polecisz do gliniarzy?

Gdybym miał udać się do glin, nie przyznałbym się Billy'emu Purdue. Jego wyrzuty sumienia były równie autentyczne jak żal kompanii Exxona, gdy zatonał im ten pełny tankowiec u wybrzeży Alaski. W dodatku, gdybym poinformował gliny, Billy wylądowałby w kiciu, a Rita wciąż nie dostałaby kasy. Ale coś zabrzmiało w jego tonie, gdy zapytał o gliny, coś, na co powinienem był zwrócić uwagę. Czarny podkoszulek miał przesiąknięty potem, skraj nogawek wysmarowany zaschniętym błotem. Wciąż tyle krążyło w nim adrenaliny, że mrówki wyglądały przy nim na wyjątkowo spokojne stworzenia. I już to samo powinno mi było powiedzieć, że Billy nie przejmował się glinami z powodu jakiejś tam bitki czy niezapłaconych alimentów. Cóż, przecucie to wspaniała rzecz.

— Jak dasz trochę forsy, odstąpię od skargi — zapewniłem go.

Wzruszył ramionami. — Nie mam za wiele, nie znajdę całego tego tysiąca dolarów.

— Billy, coś kręcisz, jesteś już winien prawie dwa tysiące...

A może nie miałem racji? Mieszkał w zawilgoconej przyczepie, jeździł

— Mam pięćset

wnym obowiązkiem jest zapłacić to, co się jej należy, Billy ruszył w poszu-zamigotały.

kiwaniu baseballowego kija i sprawy przybrały niewłaściwy obrót.

— Kocham ją — oświadczył. Zaciągnął się i zaraz wydmuchał z dziurek nosa dwie strugi dymu, przypominające powietrze wydychane przez wyjątkowo złośliwego i cholerycznego byka. — Kto zadba Francisco?

Z trudem udało mi się wstać. Otarłem policzek z krwi i spostrzegłem, toyotą z dziurami w podłodze i zarabiał najwyżej sto, sto pięćdziesiąt tygodniowo, wożąc graty i drewno. Gdyby miał dwa tysiące, z pewnością był-ny'ego. Zgadza się, tak było. Lepsze to niż wożenie gratów. Ale nie widziałem Tony'ego już kupę czasu, od bardzo dawna...

— Lepiej, żebyś mówił prawdę, Billy, inaczej mnóstwo facetów będzie ci miało coś bardzo, ale to bardzo niemilego do powiedzenia.

Nie odpowiedział, a ja nie naciskałem. Gdy brałem od niego banknoty, znów przysunął się bliżej, i ponownie wyjąłem broń. Jego twarz znajdowała się o cal od mojej, koniec lufy oparł mu się o klatkę piersiową.

— Czemu to robisz? — zapytał. Poczulem jego oddech i dostrzegłem iskry tamtego czerwonego szalu znów zapalające mu się w oczach. Już się nie uśmiechał. — Jej nie stać na prywatnego detektywa.

— To przysługa — wyjaśniłem — znałem jej rodzinę.

Chyba mnie nie usłyszał.

— Jak zamierza ci zapłacić? — Przechylił głowę, jakby sam rozważał tę kwestię. I zaraz dodał: — Pieprzysz ją?

Nie odwracałem wzroku. — Nie, a teraz cofnij się.

Pozostał na miejscu, potem zaklął i powoli się odsunął.

— Lepiej, żeby tak było — rzucił, gdy wycofywałem się z przyczepy w ciemną, grudniową noc.

Ta forsa powinna była wzbudzić moją czujność. Billy Purdue w żaden sposób nie mógłby zdobyć kasy uczciwym sposobem, i może powinienem był bardziej go przycisnąć, ale czułem się tak obolały, że z ulgą pozbyłem się jego towarzystwa.

Mój dziadek, który też służył w policji, dopóki daleko na północy nie trafił na drzewo o dziwnych owocach, zwykł opowiadać historyjkę, która była czymś więcej niż dowcipem.

Facet mówi swemu koleśowi, że wybiera się zagrać w karty.

„Przecież to mocno szemrana rozrywka” — protestuje koleś.

„Wiem — przyznaje facet. — Ale jedyna w tym mieście...”

I właśnie dykteryjka mego zmarłego dziadka miała do mnie wrócić w najbliższych dniach, gdy sprawy przybrały fatalny obrót. Zresztą inne historie, które opowiadał dziadek, dla niego bynajmniej nie zabawne, choć wielu bawiły, też miały mi się przypomnieć. W ciągu siedemdziesięciu godzin od śmierci Emily Watts i tamtych facetów na Prouts Neck, Billy Purdue stał się najbardziej poszukiwaną zwierzyną w mieście, a rojenia starca zmieniły się w okrutną rzeczywistość.

Zatrzymałem się przy banku na Oak Hill i z bankomatu podjąłem dwieście dolarów. Rana pod okiem przestała krwawić, ale przypuszczałem, że jeśli spróbuję oczyścić pozlepianą maź, krew na nowo poleci. Wstąpiłem więc do gabinetu Rona Archera przy Forest Avenue, gdzie dwa razy w tygodniu, wieczorami, przyjmował pacjentów; założył mi trzy szwy.

— Cóżes to narozrabiał? — spytał, przygotowując zastrzyk znieczulający. Już miałem powiedzieć, by się nie trudił, ale przyszło mi do głowy, że mój protest przyjmie za szpanerstwo. Doktor Archer miał sześćdziesiąt lat, był przystojnym, dystyngowanym mężczyzną o wytwornej siwiźnie i tak czarującym manierach, iż niejedna samotna kobieta z wielką chęcią wskoczyłaby mu do łóżka i poddała się intymnym, acz niekoniecznie niezbędnym, z medycznego punktu widzenia, badaniom.

— Próbowałem wydobyć rzęsę — odparłem.

— Następnym razem lepiej użyj kropli, zabieg mniej bolesny, i z pewnością nie stracisz oka.

Oczyścił ranę tamponem i nachylił się nade mną z igłą. Poczawszy ukłucie, skrzywiłem się nieco.

— No, dzielny chłopiec — zamruczał — nie płacz, a po wszystkim dam ci cukiereczka.

— W szkole medycznej z pewnością robiłeś furorę podejściem do pacjenta.

— A poważnie, co się stało? — zapytał, zakładając szwy. — Wygląda, jakby ktoś wbił ci w to miejsce niezłe ostrze, a i szyja cała w siniakach.

— Próbowałem unieruchomić ramiona Billy'emu Purdue, wypadło nie najlepiej.

— Purdue, ten szajbus, który niemal na śmierć spalił żonę i dziecko? — Brwi Archera uniosły się na jego czole niczym para wystraszonych wron. — Ty chyba jesteś jeszcze bardziej rąbnięty niż on. — Zaczął zszywać. — Wiesz co, jako twój lekarz powinienem cię ostrzec, że jeśli zamierzasz dalej postępować jak kretyn, będziesz z pewnością potrzebował bardziej wyspecjalizowanej opieki, niż ja mogę ci zaoferować. — Przeciągnął igłą po raz

ostatni, obciążać. — Chociaż mogę sobie wyobrazić, że przejście do całkowitej niepoczytalności nie będzie znów takie trudne w twoim przypadku... — Cofnął się i z zadowoleniem przyglądał się rezultatowi swej działalności. — Coś wspaniałego! — westchnął. — Haft wręcz artystyczny.

— Jeżeli spojrzę w lustro i ujrzę na twarzy serduszko, będę zmuszony spalić ci gabinet — zagroziłem.

Archer starannie zawiązał zużyte igły i odłożył do zamkniętego pojemnika.

— Szwy rozpląną się za kilka dni — poinformował mnie. — I w żadnym razie nie majstruj przy nich, ja już was, chłopcy, dobrze znam...

Zostawiłem go rozbawionego własnym dowcipem i pojechałem do mieszkania Rity Ferris, tuż przy Katedrze Niepokalanego Poczęcia i Wschodniego Cmentarza, na którym leżeli ci dwaj młodzi głupcy Burrows and Blythe. Zginęli podczas wojny 1812 roku, tuż przy Monhegan Island, w bezsensownej bitwie między amerykańskim brygiem Enterprise a brytyjskim okrętem Boxer, których byli kapitanami. Pochowano ich na Wschodnim Cmentarzu; wyprawiono olbrzymi, podwójny pogrzeb, tłumy żałobników przemaszerowały ulicami Portland. Tuż przy ich grobach wznosi się marmurowy pomnik poświęcony porucznikowi Kervinowi Waltersowi, rannemu w tej samej bitwie. Zanim umarł, męczył się całe dwa lata. W momencie otrzymania ran miał zaledwie szesnaście lat, a osiemnaście, gdy zmarł. Sam nie wiem, czemu myślałem o nich, podjeżdżając pod mieszkanie Rity Ferris. Może po spotkaniu z Billym Purdue stałem się jakoś uczulony na młode, zmarnowane życie.

Skręciłem w Locust, mijając St Paul Anglican po prawej i sklep dobroczynny przy St Vincent de Paul po lewej. Dom Rity znajdował się na końcu ulicy, naprzeciw Kavanagh School. Był to dość zniszczony, trzypiętrowy budynek; kamienne stopnie prowadziły do wejściowych drzwi, po których jednej stronie widniały dzwonki domofonu i numery mieszkań, a po drugiej rząd nie pozamykanych skrzynek na listy.

Czarna kobieta z małą dziewczynką, prawdopodobnie córką, otwierała właśnie drzwi i popatrzyła na mnie podejrzliwie. W Maine mieszka stosunkowo mało czarnych: z początkiem lat dziewięćdziesiątych stan ten był wciąż w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach biały. Nie tak łatwo przystosować się do podobnej rzeczywistości, może więc i miała prawo zachować podejrzliwość.

Próbowałem uspokoić ją najbardziej urokliwym z moich uśmiechów.

— Przyszędłem do Rity Ferris, oczekuje mnie.

Jej twarz jeszcze bardziej spochmurniała, profil zdawał się wyrzeźbiony z hebanu. — Jak oczekuje, to niech pan naciśnie jej dzwonek — odpaliła i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Westchnąłem i zrobiłem jak radziła: nacisnąłem. Rita Ferris odezwała się, drzwi kliknęły, i już szedłem schodami do mieszkania.

Na drugim piętrze, spoza zamkniętych drzwi, dochodziły dźwięki dialogów i śmiechu, najwyraźniej z telewizora, a także cichy kaszel dziecka. Zapukałem dwa razy i drzwi otwarły się. Rita odsunęła się, by wpuścić mnie do środka. Na biodrze trzymała ubranego w błękitny kombinezon Donalda. Włosy ściągnęła w koczek, na sobie miała ponaciąganą bluzę od dresu i dżinsy, na stopach czarne sandały. Mieszkanie, małe i schludne pomimo zniszczonych mebli, pachniało dzieckiem.

Kilka kroków za plecami Rity stała jakaś kobieta. Patrzyłem, jak kładzie na małej kanapie pudło pełne pieluszek, puszek jedzenia i trochę świeżych produktów. Na podłodze stała torba z używaną odzieżą i z jedną czy dwoma zabawkami; zauważyłem też w ręce Rity kilka banknotów. Podchwyciwszy mój wzrok, mocno się zaczerwieniła, zmięła pieniądze i wepchnęła do kieszeni dżinsów.

Kobieta stojąca przy niej spojrzała na mnie z zaciekawieniem i jakby wrogo. Tak to poczułem. Miała chyba pod siedemdziesiątkę, siwe włosy skręcone trwała i duże brązowe oczy. Jej długi, wełniany płaszcz sprawiał wrażenie drogiego, pod nim można było dostrzec

srebrzysty sweter i szyte na miarę, bawełniane spodnie. W jej uszach, na przegubach rąk i wokół szyi dyskretnie pobrzękiwało złoto.

Rita zamknęła za mną drzwi i odwróciła się w stronę kobiety.

— To pan Parker — powiedziała — rozmawiał w moim imieniu z Bil-lym. — Wepchnęła dłonie w tylne kieszenie dżinsów i lekko skinęła głową. — Pan Parker, pani Cheryl Lansing. Przyjaciółka.

Wyciągnąłem na powitanie dłoń. — Miło mi panią poznać.

Po chwili wahania Cheryl Lansing oddała mi, zaskakująco mocny, uścisk. — Mnie też — odrzekła.

Rita z westchnieniem pośpieszyła z dalszymi wyjaśnieniami: — Cheryl pomaga nam przetrwać, przynosi jedzenie, ubranie i inne rzeczy. Nie wiem, jakbyśmy sobie bez niej poradzili.

Teraz starsza kobieta nie kryła zażenowania. Machnęła jakby lekceważąco dłonią i powtórzyła, ze dwa razy: — Cicho, dziecko.

Potem mocniej otuliła się płaszczem, delikatnie pocałowała Ritę w policzek i odwróciła się ku Donaldowi. Przejechała mu ręką po czuprynce, a chłopiec uśmiechnął się.

— Wpadnę znowu za tydzień lub dwa — oznajmiła Ricie.

Ta posmutniała, jakby wystraszyła się, że nie traktuje swego gościa dość uprzejmie. — Naprawdę nie zostaniesz dłużej? — spytała.

Cheryl Lansing spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. — Nie, dziękuję, wieczorem będziesz jeszcze zajęta, a ty i pan Parker macie wiele do omówienia.

Z tymi słowami skinęła mi głową na pożegnanie i wyszła. Patrzyłem, jak schodzi po schodach: pewnie z opieki społecznej, pomyślałem, może ktoś z St Vincent de Paul, w końcu mieścili się po drugiej stronie ulicy. Rita jakby wyczuła, o czym myślę.

— Jest moją przyjaciółką, to wszystko — szepnęła — znała Billy'ego. Wiedziała, jaki był i jaki wciąż jest. Teraz chce być pewna, że sobie poradzimy.

Rita zamknęła drzwi na klucz, potem zauważyła szwy pod moim okiem. — Robota Billy'ego?

— Mieliśmy drobne nieporozumienie.

— Przykro mi. Naprawdę nie sądziłam, że będzie próbował wyrządzić panu krzywdę. — Wyraz szczerzej troski dodał urody jej twarzy, mimo ciemnych pjam pod oczami i zmarszczek, które już zakradały się na jej skronie, jak pęknięcia na starym tynku.

Usiadła, Donalda usadowiła sobie na kolanie. Był dużym dzieckiem, z ogromnymi, błękitnymi oczami i nie znikającym z buzi wyrazem zaciekawienia. Popatrzył na mnie radośnie, uniósł palec, po czym opuścił go i przeniósł wzrok na matkę. Ta uśmiechnęła się, więc i dziecko roześmiało się, potem czknęło.

— Zrobić kawę? — spytała. — Piwa nie mam, ani żadnego drinka.

— Dziękuję, nie piję. Przyszedłem tylko przekazać przesyłkę. — Podałem jej siedemset dolarów.

Patrzyła na nie, jakby nie wierzyła własnym oczom, dopóki Donald nie złapał pięćdziesięciodolarówki i próbował włożyć ją do ust.

— Jeszcze czego! — odsunęła banknoty z zasięgu rączek chłopca. — I tak już mnie nieźle kosztujesz. — Wyjęła ze zwitka dwie pięćdziesiątki i wyciągnęła w moją stronę. — Proszę wziąć. Za tę przykrość, proszę — nalegała.

Złożyłem jej palce na banknotach i delikatnie odsunąłem wyciągniętą dłoń. — W żadnym wypadku — zaprotestowałem — jak już powiedziałem, to przysługa. Pogadałem z Billym, chyba trafił mu się jakiś przyływ gotówki, może zacznie wywiązywać się z obowiązków. Jeżeli nie, trzeba zwrócić się do glin.

Skinęła głową. — On nie jest zły, panie Parker, tylko zagubiony, zraniony, ale kocha Donniego ponad wszystko. Myślę, że zrobiłby, co w jego mocy, by mnie powstrzymać od wywiezienia dziecka.

I to mnie właśnie martwiło. Ten czerwony błysk w oczach Billy'ego zapalał się zbyt łatwo, a było w nim dość wściekłości i goryczy, by ogień mógł palić się długo.

Podniosłem się, by wyjść. Na podłodze, obok mych stóp, ujrzałem zabawkę Donalda: czerwoną, plastikową ciężarówkę z żółtą maską; gdy ją podnosiłem i odkładałem na krzesło, zapiszczała. Dźwięk ten na chwilę rozproszył uwagę dziecka, ale zaraz znów patrzyło na mnie.

— Wpadnę w przyszłym tygodniu zobaczyć, jak się wam układa. — Wyciągnąłem palec do Donalda, a on pochwycił go swą maleńką piastką.

Nagle ogarnęło mnie wspomnienie mojej córeczki zachowującej się tak samo i wezbrał we mnie głęboki smutek. Jennifer już nie żyła. Wraz z moją żoną zginęła z rąk mordercy, który uznał je za wystarczająco bezwartościowe, by zniszczyć i wykorzystać jako przestrożę dla innych. On też był już martwy, zaszczuty na śmierć w Luizjanie, ale to mi nie pomagało. Sprawy nie bilansują się w ten sposób.

Delikatnie wysunąłem palec z uścisku Donalda i pogłaskałem go po główce. Rita podeszła za mną do drzwi, z synkiem znów na biodrze.

— Panie Parker... — zaczęła.

— Bird — poprawiłem ją, otwierając drzwi. — Tak mówią do mnie przyjaciele.

— Bird, proszę, zostań. — Wolną dłonią pogłaskała mnie po policzku. — Proszę, zaraz kładę Donalda do snu. Nie mam innego sposobu odwzajemnienia się.

Delikatnie odsunąłem jej dłoń, musnąłem wargami. Pachniała kremem do rąk i dzieckiem.

— Przykro mi, ale nie mogę — powiedziałem.

Wyglądała na trochę rozczarowaną. — Dlaczego, nie jestem wystarczająco ładna?

Przesunąłem ręką po jej włosach, przytuliła do mej dłoni głowę.

— To nie to — zapewniłem — zupełnie nie to.

Wtedy uśmiechnęła się, nieznacznie, ale radośnie.

— Dziękuję. — Delikatnie pocałowała mnie w policzek. Nasze pożegnanie zakłócił Donald, któremu buzia aż pociemniała, gdy dotknąłem jego matki, i teraz zaczął walić we mnie swą maleńką rączką. — Hej! — zawołała — przestań.

Ale on dalej uderzał, dopóki nie odsunąłem się od niej.

— Jest nadopiekuńczy — pośpieszyła z wyjaśnieniem. — Pewnie myślał, że chcesz wyrządzić mi krzywdę.

Donald, z kciukiem w buzi, ukrył główkę na jej piersiach i patrzył na mnie podejrzliwie.

Rita została w ciemności przedpokoju, ja zszedłem po schodach, prowadzony poświatą bijącą z mieszkania. Uniosła rączkę Donalda, by pomachał na do widzenia, a ja odpowiedziałem takim samym gestem.

Wtedy ostatni raz widziałem ich żywych.

31

30

mmmuML beua

Następnego ranka, po ostatniej rozmowie z Ritą Ferris, zerwałem się wcześniej. Gdy jechałem na lotnisko, by zdążyć na pierwszy lot do Nowego Jorku, na dworze panowały jeszcze przytłaczające ciemności. W wiadomościach pojawiły się już pierwsze informacje o strzelaninie pod Scarborough, ale bardzo oględne, bez szczegółów.

Z lotniska Kennedy'ego taksówka wiozła mnie ruchliwymi ulicami, Van Wyck i Queens Boulevard, potem Queens Boulevard i Pięćdziesiątą Pierwszą. Przy cmentarzu New Calvary zebrał się już niewielki tłum: przed bramą policjanci w mundurach palili papierosy i cicho rozmawiali, kobiety w żałobnej czerni, o starannie ułożonych fryzurach i dyskretnym makijażu, z powagą wymieniały ukłony lekkim ruchem głowy. Młodzi mężczyźni, niemal jeszcze chłopcy, najwyraźniej nie nawykli do ciasnych kołnierzyków, mieli niechlujnie związane, nazbyt małe, zbyt cienkie węzły, tanie, czarne, pożyczone na tę okazję krawaty. Kilku policjantów spojrzało na mnie i skinęło mi głową, a ja odwzajemniłem ich gest. Wielu znałem z nazwiska, ale nie po imieniu.

Karawan, a za nim trzy czarne limuzyny, zbliżył się od Woodside i wjechał na cmentarz. Oczekujący tłum wolno, dwójkami i trójkami, ruszył w kondukcje w stronę grobu. Ujrzałem kopiec ziemi przysłonięty zieloną płachtą, wokół oparte wieńce i bukiety. Tu czekał już większy tłum: błyszcząły policyjne mundury, inni zjawili się po cywilnemu, tu i ówdzie stały dzieci. Dostrzegłem kilku komendantów, jednego zastępcę, z pół tuzina kapitanów i poruczników, wszyscy przyszli złożyć ostatnie honory Geor- ge'owi Grunfeldowi, staremu sierżantowi z 30. posterunku — dwa lata przed odejściem na emeryturę musiał poddać się w zmaganiach z rakiem.

Znałem go jako dobrego człowieka, porządnego gliniarza dawnego typu, który miał pecha pracować na posterunku od lat znanym z wymuszeń i korupcji. Plotki w końcu zmieniły się w oskarżenia: broń i narkotyki, głównie kokaina regularnie konfiskowana dealerom i puszczana dalej; wyszły też na jaw nielegalne naloty na mieszkania, stosowanie gróźb. Posterunek przy Sto Piętnastej i Amsterdam Avenue wzięto pod lupę. W rezultacie skazano trzydziestu trzech oficerów zamieszanych w dwa tysiące spraw, wielu pod zarzutem krzywoprzysięstwa. Doszła do tego afera Do- wda z 75. — handel bronią i kokainą oraz łapówki, i to na jeszcze szerszą skalę i wokół nowojorskiej policji atmosfera nieprzyjemnie się zagęściła przypuszczałem, że szykowało się więcej podobnych spraw, szeptano, że komenda w Midtown South znalazła się pod ostrzałem w związku z działającym tam układem z miejscowymi prostytutkami, zapewniającym gliniarzom na służbie darmowy seks.

Może właśnie dlatego tak wielu pojawiło się na pogrzebie Grunfelda. Reprezentował coś uczciwego, z gruntu przyzwoitego, i jego odejście przyjęto jako prawdziwą stratę. Ja przyszedłem z powodów osobistych. Żona i dziecko odeszły, zamordowane w 1996, gdy jeszcze byłem detektywem w wydziale zabójstw w Brooklynie. Okrucieństwo i brutalność sposobu, w jaki wyrwano je ze świata żywych, a także bezradność policji w znalezieniu zabójcy, przyczyniły się do powstania przepaści między mną a moimi kolegami. Morderstwo dokonane na Susan i Jennifer zbrukało mnie w ich oczach, dowodząc istnienia słabych stron nawet u policjanta i jego rodziny. Chcieli wierzyć, że stanowiłem wyjątek, i do tego, jako pijaczyna, sam byłem sobie winien; woleli nie rozważać innej alternatywy. W pewnym sensie mieli rację: ściągnąłem nieszczęście na siebie i moją rodzinę, ale nigdy nie wybaczyłem im, że zmusili mnie do samotnego stawienia czoła tej prawdzie.

Złożyłem wypowiedzenie z nowojorskiej policji zaledwie miesiąc po śmierci najbliższych. Niewielu próbowało mnie powstrzymać, a jednym z nich był George Grunfeld. Któregoś słonecznego, niedzielnego poranka, spotkał się ze mną u Johna na Drugiej Alei, tuż przy budynku ONZ. Jedliśmy różowego grejpfruta i muffinki; okno przy naszym stoliku wychodziło na spokojną o tej porze — nawet pieszych nie widać było wielu — Drugą Aleję. Cierpliwie, nie poganiając mnie, wysłuchał wyliczanki powodów mojego odejścia: rosnący wokół mnie ostracyzm, ból, jaki sprawiało mi przebywanie w mieście, gdzie wszystko przypominało mi o stracie; i moje przekonanie, że być może mam jakąś szansę na odnalezienie człowieka, który zabrał mi to, co było dla mnie najdroższe.

— Charlie — odezwał się (nigdy nie zwracał się do mnie per Bird); gęste, siwe włosy sterczały mu na czubku głowy, nad twarzą jak księżyc w pełni z ciemnymi oczami

przypominającymi kratery — masz powody, to prawda, ale jeżeli teraz odejdziesz, zostaniesz całkiem sam, a istnieją granice pomocy, jakiej można ci będzie udzielić. Dopóki jesteś na służbie, to w pewnym sensie jakbyś wciąż był otoczony rodziną. Jesteś dobrym gliniarzem, masz to we krwi.

— Nie dam rady, przykro mi.

— Odejdziesz i być może wielu będzie uważało, że uciekasz. Niektórych z pewnością to ucieszy, ale zniehawidzą cię za poddanie się.

— A niech tam, ci akurat nie są wari, by się nimi przejmować.

Westchnął, upił łyk kawy. — Z tobą nigdy nie szło się prosto dogadać, Charlie. Byłeś za łebski, a przy tym zbyt łatwo wymykałeś się spod kontroli. Wszyscy mamy własne, sekretne demony, ale ty swoich nie ukrywałeś. Coś w tobie sprawiało, że w twojej obecności ludzie stawali się nerwowi, a jeżeli istnieje coś, czego gliniarz nie znosi, to właśnie nerwowości — jest wbrew naturze.

— A ty, denerwujesz się przy mnie?

Grunfeld małym palcem przesunął kubek po blacie stołu. Widać było, że się zastanawia, czy wyznać mi coś, czy nie. Słowa, które usłyszałem, zawstydziły mnie, a także dziesięciokrotnie zwiększyły mój dla niego podziw, o ile jeszcze było to możliwe.

— Mam raka — oświadczył spokojnie — limfosarkomię. Według doktorów na dobre rozchoruję się w przyszłym roku, a potem może jeszcze przeżyję jeden.

— Przykro mi. — Te słowa zabrzmiały zupełnie nieadekwatnie do okropności, której musiał stawić czoła.

Grunfeld uniósł dłoń, wzruszył ramionami.

— Szkoda tylko, że nie dano mi więcej czasu. Chciałbym być przy dorastaniu wnuków. Ale cóż, widziałem, jak rosną moje dzieci i strasznie ci współczuję, że zostało ci to odebrane. Może nie powinienem tego mówić, ale mam nadzieję, że otrzymasz drugą szansę. W końcu to najlepsze, co można mieć na tym świecie... A co do tego pytania, czy przy tobie czuję się nerwowo, odpowiedź brzmi: nie. Śmierć wyciąga już po mnie łapy, Charlie, przez to widzę sprawy we właściwej perspektywie. Codziennie budzę się i dziękuję Bogu, że wciąż tu jestem i że ból daje się wytrzymać. I przychodzę na posterunek, siadam za biurkiem i widzę, jak niektórzy przesrywają życie, i zazdroszczę im każdej zmarnowanej minuty. Nie rób tego, Charlie, bo złość i żal to fatalni doradcy, każą szukać winnego, a najgorsze jest obwinianie samego siebie. W następnej kolejności zwracanie się przeciwko komuś innemu. I tu instytucja i rutyna mogą pomóc. Dlatego wciąż siedzę za biurkiem, inaczej zniszczyłbym siebie i rodzinę... — Dopił kawę

I odsunął kubek. — W końcu i tak zrobisz, co konieczne, moje słowa nie zmienią twojej decyzji. Dalej pijesz?

Bezceremonialność pytania nie dotknęła mnie, gdyż nie zawierało żadnego podtekstu. — Usiłuję przestać — przyznałem.

— To już coś. — Podniesieniem dłoni poprosił o rachunek, potem nagryzmołił numer na serwetce. — Mój domowy telefon. Jak będziesz chciał pogadać, zadzwoń.

Zapłacił, na pożegnanie uścisnął mi dłoń i wyszedł na słońce. Nigdy więcej go nie zobaczyłem.

Ktoś przy grobie uniósł głowę, poczułem na sobie czyjś wzrok. Walter Cole lekko mi się skłonił i zaraz z powrotem skupił uwagę na słowach modlitwy, którą ksiądz odczytywał z oprawionej w skórę książeczki. Gdzieś z boku rozległ się kobiecy szloch, a nad nami, na ciemnym niebie, zawarczał skryty w chmurach odrzutowiec. A potem już tylko ciche, przytłumione słowa księdza, delikatny szelest składanego sztandaru i ostatnie, głucho echo, gdy na trumnę padły pierwsze grudki ziemi.

Stałem przy wierzbie i patrzyłem na rozchodzących się żałobników. Poczułem gorycz, smutek i żal na widok Waltera Cole'a, oddalającego się bez słowa. Kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy, z czasem zaprzyjaźniliśmy się; ze wszystkich, których przyjaźń straciłem, jego brakowało mi najbardziej. Był człowiekiem wykształconym. Lubił książki i filmy, w których nie występowali Steven Seagal czy Jean-Claude Van Damme, i dobre jedzenie. Był świadkiem na moim ślubie; pudełko z obrączkami ścisnął tak mocno, że na dłoni pozostawiło mu odcisnięty wzór. Bawiłem się z jego dziećmi. Susan i ja uwielbialiśmy wspólne kolacje, teatr i spacerowanie w parku z Walterem i jego żoną Lee. Spędziłem z nim wiele godzin, w samochodach i barach, w sądach i w zaułkach, razem smakowaliśmy życie mocno pulsujące nam pod stopami.

Pamiętam sprawę w Brooklynie, gdzie śledziliśmy malarza — dekoratora, podejrzanego o zamordowanie żony i upchnięcie gdzieś jej szczątków. Znaleźliśmy się w fatalnej okolicy, na północny wschód od Atlantic Avenue, do tego Walter tak mocno śmierział glina, że mogliby jego imieniem nazwać perfumy, ale tamten gość wyraźnie niczego się nie domyślał. Może nikt mu nic nie powiedział. Nie sprawialiśmy kłopotów narkomanom, dealerom ani prostytutkom, do tego tak oczywiście byliśmy gliniarzami, że nikt nie mógł nas podejrzewać o jakieś ukryte zamiary, więc lokalna ferajna postanowiła zostawić nas w spokoju i nie wchodzić nam w drogę.

Każdego ranka facet wrzucał do swego pickupa puszki farby i pędzle, wyruszał do pracy, a my za nim. Potem z pewnej odległości obserwowaliśmy, jak malował najpierw dom, a dwa dni później front sklepu; gdzie pracował do wieczora, wyrzucał puszki do śmieci i wracał do siebie.

Dopiero po kilku dniach połapaliśmy się, co robił. To Walter wziął śrubokręt i oderwał wieczko z puszki, która leżała z innymi w koszu na odpadki. Miał dwa podejścia, gdyż farba przyschła na brzegach. I właśnie to nas zaalarmowało: powinna być mokra.

W puszcze znaleźliśmy dłoń kobiety, jeszcze z obrączką na palcu. Kikut tak mocno przywarł do farby na dnie, że wydawał się umieszczony na podstawce. Po dwóch godzinach mieliśmy już nakaz i gdy kopniakiem otworzyliśmy drzwi mieszkania malarza, w rogu sypialni znaleźliśmy stertę puszek sięgającą niemal sufitu, a w każdej fragment ciała jego żony. Niektóre wręcz zapchane mięsem. Głowę odkryliśmy w dwugalonowej puszcze po białym lakierze.

Tamtego wieczora Walter zabrał Lee na kolację do miasta, a gdy wrócili do domu, tulił ją przez całą noc. Nie kochał się z nią, wyznał mi, tylko trzymał w ramionach, a ona zrozumiała. Ja nawet nie potrafiłbym sobie przypomnieć, jak spędziłem tamtą noc. Oto cała różnica między nami, a przynajmniej tak było wtedy. Teraz i do mnie dotarło, co trzeba.

Od tamtej pory robiłem wiele różnych rzeczy. Zabiłem, próbując odnaleźć i zemścić się na mordercy mej rodziny, Podróżniku. Walter wiedział o tym, nawet wykorzystał tę sprawę dla swych celów, nie mając wątpliwości, że na strzepy rozedrę każdego, kto stanie mi na drodze. Myślę, że w pewnym sensie chciał się przekonać, czy urzeczywistnią się jego najgorsze podejrzenia co do mej osoby. I tak się stało.

Dogoniłem go przy bramie cmentarza, gdzie w uszach już dudnił huk ulicy, miejska wersja szumu morza. Walter rozmawiał z pewnym kapitanem, kiedyś z 83. posterunku, Emersonem, który obecnie przeszedł do Wydziału Wewnętrzny, co może wyjaśniało rodzaj spojrzenia, jakim mnie obrzucił, gdy podszedłem. Zabójstwo alfonsa pedofilów, Johnny'ego Fridaya, zostało już odłożone ad acta, i nie sądzę, by kiedykolwiek znaleźli mordercę. Wiem, bo ja go zabiłem. Zamordowałem go w ataku wściekłego szału kilka miesięcy po śmierci Susan i Jennifer. Nie zależało mi na tym, co Johnny Friday wiedział, a czego nie. Po prostu musiałem uśmiercić go za to, co robił setkom Susan, tysiącom Jennifer. Żałowałem jedynie sposobu, w jaki odebrałem mu życie, jak zresztą wiele innych czynów, cóż, żal nic tu nie pomoże, co się

stało, to się nie odstanie. Od tamtego czasu krążyły plotki, ale nigdy niczego nie udowodniono. Jednak dotarły do Emersona.

— Parker — skinął mi głową — nie sądziłem, że cię tu zobaczymy.

— No cóż, kapitanie Emerson — odparłem. — Jak tam w Wydziale Wewnętrznym? Pewnie nie brakuje wam roboty...

— Zawsze znajdzie się miejsce na więcej, Parker — powiedział bez uśmiechu.

Podał mi dłoń i odszedł w stronę bramy, wyprostowany i sztywny, jakby podtrzymywały go szelki jego własnej prawości.

Walter popatrzył w dół na stopy, ścisnął ręce w kieszeni. Wreszcie spojrział na mnie. Emerytura najwyraźniej mu nie służyła. Był jakiś nieswój, wyblakły, na twarzy po rannym goleniu pozostały zacięcia. Chyba brakowało mu służby, a takie okazje jak ta pogłębiały jeszcze frustrację.

— Jak on to powiedział — wymruczał wreszcie — nie sądziłem, że cię tu zobaczę...

— Chciałem oddać ostatni hołd Grunfeldowi. To był dobry człowiek. Jak się czuje Lee?

— Nieźle.

— A dzieci?

— Też. — Walter i Emerson, równie sucho, jeden po drugim, trochę za wiele, pomyślałem. — Gdzie teraz mieszkasz? — spytał zdawkowo.

— Wróciłem do Maine, spokojnie tam, i od tygodni nikogo nie zabiłem.

Oczy Waltera pozostały chłodne. — Powinieneś tam zostać, w razie czego zawsze możesz strzelić do wiewiórki. No, muszę lecieć.

Przytaknąłem ruchem głowy. — Oczywiście, i dzięki za poświęcony mi czas.

Nie odpowiedział, a gdy patrzyłem, jak odchodzi, poczułem głęboki, upokarzający smutek i pomyślałem: obaj mieli rację, nie powinienem był wracać, nawet na jeden dzień.

Dojechałem metrem do Queensboro Plaza, gdzie przesiadłem się do kolejki N na Manhattan. Siedziałem naprzeciwko mężczyzny zagłębiętego w jakimś traktacie z Biblii; nagle ze stukotu kół i zapachu panującego w wagonie wysnuł się łańcuch wspomnień, ogniwo po ogniwo, i wróciło do mnie wydarzenie sprzed siedmiu miesięcy, z tamtego dnia z początku maja, który już zapowiadał nadejście letnich upałów. One nie żyły prawie od pięciu miesięcy.

Późny, wtorkowy wieczór, właściwie już noc. Z kawiarni Con Leche przy Osiedzi Pierwszej i Amsterdam wracałem metrem do mojego mieszkania w East Village. Musiałem na chwilę przysnąć i obudziłem się w całkiem pustym wagonie. Dochodzące z następnego przedziału światło zapalało się i przygasało na zmianę, niczym migoczący neon, to czarno, to żółto i znowu czarno.

Siedziała tam kobieta wpatrzona w swe dłonie; twarz przysłaniały jej włosy. Miała na sobie ciemne spodnie i czerwoną bluzkę. Ramiona trzymała rozpostarte, zupełnie jakby czytała gazetę, tyle że dłonie, odwrócone do góry, były puste.

Pod jej bosymi stopami lśniła zebrana na podłodze krew.

Wstałem i poszedłem wagonem aż do łączących go z następnym drzwi. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajdujemy, jaki może być najbliższy przystanek. Otworzyłem drzwi, poczułem uderzenie gorąca bijącego z tunelu i przeskoczyłem nad pustką w ciemność drugiego wagonu.

Światło wciąż migotało, ale kobiety nie było, ani krwi na podłodze w miejscu, gdzie siedziała jeszcze przed chwilą. Ujrzałem trójkę pasażerów: starszą kobietę, przyciskającą do siebie cztery olbrzymie, plastikowe torby, szczupłego, schludnie ubranego białego mężczyznę w okularach, z aktówką na kolanach; rozwalony na czterech siedzeniach chrapał pijak ze spletaną na piersiach brodą. Już miałem zwrócić się do urzędnika, gdy znów, przed sobą, w pewnej odległości, ujrzałem, przez chwilę oświetloną, postać w czerni i czerwieni. Kobieta nie zmieniła pozycji — ramiona rozpostarte, dłońmi do góry — siedziała tak, jak

ujrzałem ją po raz pierwszy, nawet chyba na tym samym fotelu, tyle że o jeden przedział dalej.

Przygasające błyski zdawały się przesuwac razem z nią, i znów jej postać jawiła się, jakby na chwilę unieruchomiona przez wadliwe oświetlenie. Stara kobieta obok mnie uniosła wzrok i uśmiechnęła się; urzędnik z aktówką nie odwracał ode mnie oczu; rozwalony na siedzeniach pijak poruszył się, obudził i patrzył na mnie zupełnie przytomnym, wiedzącym wzrokiem.

Przeszedłem dalej, pod same drzwi. Coś w tej kobiecie było znajomego, w sposobie, w jaki się trzymała, w jej fryzurze. Siedziała nieruchomo, ze spuszczoneym wzrokiem; poczułem, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Światła wokół niej zamigotały i zgasły. Wszedłem do przedziału, już ostatniego przed wagonem motorniczego, i poczułem zapach krwi rozlanej na podłodze. Zrobiłem krok, potem jeszcze jeden i następny, aż stopy pośliznęły się na czymś wilgotnym, i wtedy zrozumiałem, kim ona jest.

— Susan? — szepnąłem, ale milczenie ciemności zakłócało jedynie wycie wiatru za ścianą wagonu i stukot kół. Gdy wyrosły następne lampy tunelu, zobaczyłem ją opartą o dalsze drzwi, z głową opuszczoną i uniesionymi ramionami. Światło rozbłysło i wtedy zrozumiałem, że nie jest ubrana w czerwona bluzkę ani w nic innego — okrywała ją tylko krew, gęsta i ciemna. Matowy błysk światła przebijał przez skórę zdartą z jej piersi i niczym peleryna udrapowaną na rozpostartych ramionach. Uniosła głowę i tam, gdzie kiedyś miała twarz, ujrzałem czerwoną plamę i oczodoły, puste, zdewastowane.

Zapisały hamulce, wagon zadygotał i zakołysał się; pociąg zbliżał się do stacji. Świat poczerniał, pozbawiony światła, i ział pustką, dopóki nie wypadliśmy na Houston Street, gdzie wagon zalała sztuczna iluminacja. Zapach krwi i perfum unosił się jeszcze w powietrzu, ale ona znikła.

To był ten pierwszy raz.

Pojawiła się kelnerka z listą deserów. Odwzajemniła uśmiech, którym jej podziękowałem, co zazwyczaj bywa kłopotliwe.

— Ależ tłusty zadek — zauważył Angel, odprowadzając ją wzrokiem. Miał na sobie swój typowy strój: spłowiałe drelichy i wymiętą koszulę w kratę, narzuconą na czarny podkoszulek; wybrudzone adidasz szydziły z pierwotnej bieli. Czarną, skórzaną kurtkę powiesił na oparciu krzesła.

— Nie patrzyłem na jej pupę — odparowałem — buzię ma całkiem niezłą.

— No, jak na te z tłustymi zadkami, może i ujdzie.

— Faktycznie — wtrącił się Louis — wygląda jak rzeczniczka szerokich zadków, taka, co to ją wpychają do studia, by dobrze wypadła w telewizji. Ludziska patrzą na nią i mówią: no, no, może te z tłustymi dupami nie są takie najgorsze...

Jak zawsze Louis sprawiał wrażenie, jakby stworzono go, by wypełnić zapotrzebowanie na przeciwieństwo do jego kochanka. Ubrany był w czarny, jednorzędowy garnitur od Armaniego i śnieżnobiałą koszulę z nie dopiętym kołnierzykiem; dziewczęca wręcz biel koszuli ostro kontrastowała z czernią twarzy i hebanem wygolonej głowy.

Siedzieliśmy w barze J. G. Melon's przy rogu Trzeciej i Siedemdziesiątej Czwartej. Nie widziałem ich ponad dwa miesiące, a właśnie tych dwóch, drobnego, białego, byłego włamywacza i jego enigmatycznego, o łagodnym głosie partnera, jeszcze najbardziej mógłbym określić mianem przyjaciół. Nie zabrakło ich przy mnie po śmierci Jennifer i Susan, wspierali mnie podczas tych ostatnich, strasznych dni w Luizjanie, prowadzących do konfrontacji z Podróżnikiem. Nie należeli do mego środowiska — może jeden z powodów naszego zbliżenia — a zwłaszcza Louis był osobnikiem niesłychanie niebezpiecznym — mordercą do wynajęcia, obecnie rozkoszujący się niejasną, pełną mrocznych zakątków formą emerytury, obaj jednak w tej grze znaleźli się po stronie aniołów, choćby tym ostatnim miało się to specjalnie nie spodobać.

Angel roześmiał się głośno. — Rzeczniczka tłustodupych! — Dalej lustrował menu.

Rzuciłem w niego niedojedzoną frytką.

— Hej, smukły — zakpiłem — może byś tak co któryś raz zrezygnował z lodów i śmietany! Teraz, jakbyś spróbował gdzieś się włamać, pewnie utknąłbyś w drzwiach. Mógłbyś chodzić na włam wyłącznie do pomieszczeń z wielgaśnymi oknami.

— O tak, Angel — dodał Louis z poważną miną. — To może wyspecjalizowałbyś się w katedrach albo stadionie Metsów.

— Jeszcze mam dość miejsca — Angel obrzucił partnera wściekłym spojrzeniem.

— Człowieku, ty przytyjesz trochę, i zrobią się z ciebie bliźniaki!

— Bardzo śmieszne, Louis — Angel wzruszył ramionami. — A ona i tak potrzebuje na podwójny bilet do metra, i tyle.

— Jakie to ma znaczenie? — spytałem. — Nie masz prawa obgadywać płci odmiennej, jesteś gejem, dla ciebie nie ma odmiennej płci.

— To już uprzedzenia, Bird.

— Ależ Angel, nie ma mowy o uprzedzeniach, gdy ktoś wskazuje na fakt: jesteś gejem. Przeciwnie natomiast, gdy pozwalasz sobie szydzić z bardziej obszernych członków społeczeństwa.

— Niech ci będzie — zgodził się — co i tak nie zmienia faktu, że jeżeli szukasz towarzystwa, możemy ci pomóc.

Utkwiłem w nim wzrok, uniosłem brwi. — Raczej nieprawdopodobne; jeżeli aż tak będę potrzebowski, prędeż strzelę sobie w łeb.

Uśmiechnął się. — No cóż, z tym głodem w oczach... Podobno warto odwiedzić stronę kobietyzakratami.com...

— Co takiego? — zaciekawilem się. W tak szerokim uśmiechu rozciągnął usta, że mógłbym mu w nie wcisnąć grzanekę.

— Jest tam mnóstwo pań polujących na takich gości jak ty. — Ułożył palce w kształt rewolweru i tak strzelił do mnie. Zupełnie jak artysta kabaretowy z piekła gejów.

— A co to właściwie: kobietyzakratami.com? — Wiedziałem, że mnie nabiera, ale wyczuwałem w Angelu i Louisie coś więcej: troskę o mnie. Jesteś samotny, zdawali się mówić, nie masz zbyt wielu, którym mógłbyś zaufać. A my nie damy rady opiekować się tobą aż z Nowego Jorku. Czasem trzeba zrobić krok do przodu, samemu sięgnąć po coś, na czym można by polegać. Musisz znaleźć sobie jakieś oparcie, inaczej upadniesz i będziesz spadał w pustkę, aż nastanie całkowita ciemność.

Angel wzruszył ramionami. — No wiesz, to jedna z tych internetowych usług towarzyskich. W niektórych miejscach przebywa więcej samotnych kobiet niż w innych. San Francisco, Nowy Jork, więzienia stanowe...

— Co, usługi towarzyskie dla więźniarek?!

Uniósł szeroko rozłożone ręce. — Oczywiście, przestępcy też mają potrzeby. Zaloguj się, przejrzyj fotki, i wybierz sobie kobitkę.

— Ależ one siedzą, Angel — przypomniałem mu. — Bez wejścia w konflikt z prawem nie da się ich zaprosić na kolację ani do kina. Poza tym mogłem je osobiście zapuszkować i nie zamierzam umawiać się na randkę z kimś, kogo zamykałem, to już przesada.

— No to umawiaj się w innym stanie — poradził Angel. — Możesz zastrzec, że strefa od Yonkers po Lake-Chaplen nie wchodzi w rachubę. Zostanie ci cała reszta.

Szklanką zrobił gest, jakby wznosił toast na moją cześć. Wymienili z Louisem spojrzenia, a ja zazdrościłem im tej ich bliskości.

— A tak przy okazji, te kobiety, za co siedzą? — zapytałem już serio.

— Tego strona nie podaje — odrzekł Angel — tylko ich wiek, czego szukają w facecie, wreszcie zdjęcie. Bez numerów pod spodem — dodał. — No i jeszcze informację, czy życzą sobie lub nie zmiany miejsca pobytu, choć odpowiedź będzie raczej oczywista. No wiesz, siedzą w pierdlu, zmiana adresu pewnie znajduje się u samej góry listy preferencji.

— I jakie to ma znaczenie, za co siedzą? — spytał Louis. Dostrzegłem w jego oczach błyski i cieszyłem się, że dzięki mnie tak dobrze się bawi. — Paniusie popełniają przestępstwo, odsiadują swoje i spłacają społeczeństwu dług. Jeżeli tylko nie chodzi o przypadki obcięcia facetowi fajfusa i podwieszenia pod balonem napelnionym helem, to chyba nie ma sprawy.

— No właśnie — włączył się Angel — ustanawiasz pewne zasady, potem wybierasz. Na przykład, gdyby była złodziejka, umówiłbyś się z taką?

— Mogłaby mnie okraść.

— Az dziwką?

— Nie mógłbym jej zaufać.

— Aż przykro cię słuchać!

— A co, może rozpocznesz kampanię w ich obronie?

Angel potrząsnął głową z twarzą pełną przesadnie głębokiego smutku, ale zaraz rozchmurzył się. — A napad z ostrym narzędziem, z „tulipan-kiem”, może kuchennym nożem? Nic zbytnio poważnego.

— Nóż kuchenny uważasz za błahostkę? Na jakiej planecie ty żyjesz, Angel, w świecie plastikowych sztucców?

— No dobrze, w takim razie morderstwo.

— Zależy, kogo by zabiła.

— Swojego starego.

— Z jakiego powodu?

— A skąd, do kurwy nędzy, mam wiedzieć? Myślisz, że chodzę z p słuchem? No więc, umówiłbyś się z nią czy nie?

— Wykluczone.

— Cholera, Bird, jak będziesz taki wybredny, nigdy nikogo nie p^ znasz.

Powróciła kelnerka. — Panowie zamawiają deser?

Wszyscy odmówiliśmy, Angel dodał: — Sam jestem wystarczają^ słodki.

— I nalany — odparowała kelnerka i znów obrzuciła mnie uśmiechem. Angel poczerwieniał, a usta Louisa wykrzywiły się w grymasie roz bawienia.

— Trzy kawy — poprosiłem i odwzajemniłem jej uśmiech. — Właśni! zarobiła sobie pani na solidny napiwek.

Z restauracji zawędrowaliśmy do Central Parku, gdzie przystanęliśmy; przy figurze Alicji, siedzącej na kapeluszu wielkiego grzyba, tuż przy sztucznym stawie. Teraz w łódkach nie było dzieci, tylko na brzegu siedziały przytulone ze dwie pary kochanków; Louis przypatrywał im się obojętnie. Angel wywindował się na kapelusz grzyba, usiadł, opuścił nogi tui obok mej głowy i zdawał się całkowicie oddawać pod opiekuńczą moc Alicji.

— Ileż ty masz lat? — zażartowałem.

— Wystarczająco niewiele, by się tu dobrze bawić. Ale do rzeczy, jak ci leci?

— Radzę sobie, miewam dobre i złe dni.

— Jak je rozróżniasz?

— W dobre nie pada.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem. — W takim razie Święto Dziękczynienia musiało ci sprawić prawdziwą frajdę.

— Dziękowałem stokrotnie za brak deszczu.

— Dom zaczyna wyglądać? — dopytywał się.

Zamierzałem odnowić stary dom mego dziadka w Scarborough. Nawet się już wprowadziłem, choć to i owo wymagało naprawy.

— Prawie skończony, jeszcze został dach.

Zamilkł na chwilę. — Tam w knajpie tylko robiliśmy sobie jaja — powiedział w końcu. — Wiemy, że to nie najlepszy dla ciebie czas, zbliża się pierwsza rocznica, co?

— Tak, dwunastego grudnia.

— Poradzisz sobie?

Odwiedzę grób, zamówię mszę. Wiem, że będzie ciężko, a jak bar-
?20 nie mam pojęcia. — W rzeczywistości z trwogą czekałem na ten dzień. Nie potrafiłbym
wyjaśnić, dlaczego, ale zależało mi, by do tego czasu uporać się z naprawą domu, mieć już
stały kąt. Pragnąłem stabilności i tego pomostu, który łączy ją z przeszłością, w moich
wspomnieniach szczęśliwą. Chciałem mieć miejsce, które mógłbym nazwać domem i
próbować odbudować w nim moje życie.

— Daj nam znać, przyjedziemy.

— Będzie mi miło.

Skinął głową. — Ale do tej pory musisz na siebie uważać, wiesz o co mi chodzi? Za dużo
czasu spędzasz sam, możesz sfiksować. Jesteś w kontakcie z Rachel?

— Nie. — Rachel Wolfe i ja przez krótki okres byliśmy kochankami. Przybyła do Luizjany,
by pomóc mi w polowaniu na Podróżnika, przywiozła ze sobą rozległą znajomość psychologii
i miłość do mnie, której nie rozumiałem i której nie potrafiłem w pełni odwzajemnić, w
każdym razie nie wtedy. Tamtego lata skrzywdzono ją, fizycznie i emocjonalnie. Nie
rozmawialiśmy ze sobą od czasu szpitala, ale wiedziałem, że jest w Bostonie. Pewnego razu
widziałem, jak przechodziła campusem; jej rude włosy lśniły w świetle późnego poranka. Ale
nie chciałem, nie mogłem narzucać się, zakłócać jej samotności, może bólu.

Angel wyciągnął się, zmienił temat. — Spotkałeś kogoś interesującego na pogrzebie?

— Emersona.

— Tego kutasa z Wydziału Wewnętrzny? Ale miałeś radochę!

— Zawsze miło spotkać Emersona. Facet wyglądał, jakby właśnie zabierał się do wzięcia
miary, by wybrać dla mnie odpowiednie kajdanki i pasiak. Był tam też Walter Cole.

— Miał dla ciebie jakieś słowo?

— Nic dobrego.

— Ten gość jest absolutnie przekonany o swej prawości, a tacy są najgorsi. Mówiąc o
Emersonie, słyszałeś, że wystawili na sprzedaż Mulberry 247? Z Louisem poważnie
zastanawiamy się nad kupnem i otwarciem tam muzeum więziennictwa.

Mulberry 247 mieściło niegdyś Ravenite Social Club, kwaterę główną Johna Gottiego
seniora, zanim w wyniku zeznań Sammy'ego Bulla przedsiębiorstwa Gottiego nie
przeniesiono do więziennej celi. Rodzinę Gambi- no przejął Gotti Junior, którego poczynania
doprowadziły w końcu do jego

aresztowania i zdobyły mu sławę najbardziej nieudolnego ojca chrzest, p,prwsze poważne
listopadowe mrozy zmieniają drogi w zdradliwe go w historii mafii e ^ f^/dźbła traw
nabierają kruchości kryształu i gdy stąpasz, podzwa-

sZlaKl, O. L\XL> ... 1 J O X — « „,r a!aI" 0/*VI

— i • r\ 2QZ UI cl /I CŁ W 11UU1V/1 lAjl^

— Pewnie nie

, zaraz mam san

Louis odwrócił się od stawu i podszedł do

• zgodziłem się. — Spojrzałem na isc, zaraz mam samolot

1 • ,, A ~ xxc4.oiVClia.LUI d Jti^U

soKiej na szesc stop i sześć cali sylwetki pozostała widoczna nawet D(v nr7eleci błękitna
sojKa, iu zwoiuJC

garniturem i płaszczem. - Angel - zwrócił się do partnera - jak zara iv dziobią nasiona brzoź.
Maleńkie, niewidoczne stworzenia pełzają, polu

nie zejdziesz z tego grzyba, podpalę go. Przez ciebie Alicja wygląda iakh, 1 zvia umierają.
Owady siatkoskrzydłe zapadają w zimowy sen poc

- Ten John Junior, człowieku - Angel wyraźnie zde gustowany * ^iakby z tyłu ciągnęły
szeregi potępionych dusz. Górą, w szkieletach kręcił głową - to najlepszy dowód, że geny

ojca nie przechodzą autor! f^L zbijają się w grupki wróble, jemioluszki niczym cyrkowcy prze- tycznie na syna. 4 l°m< J' na drzewo; nocą nadciągają drapieżne sowy, w ciemno z drzewa na drzewo; nocą nadciągają drapieżne sowy, w ciemno- zegarek. - MuSl ?fach wypatrujące ofiary. W Portland, w porcie, który nigdy całkiem me niarza buszują dzikie kaczkę, kaczkę arlekiny i edredony. nas; muskulatura jego J Nawet podczas najgorszego zimna port, pola, las, wszystko żyje. To ' 1 " nrzeleci błękitna sójka, to zwołuje koleżanki brązowa, zimowa wrona; zie-

- o- zbierało jej się na mdłości.

* _ . , • . • UMnAn A/ToI^T^L-io nipwi Hnrzne stworzenia peizaią, polu- «ęuijauiera—jax zara by dzioDią nasiona un,UŁ, ,

„ „ ciebie Alicja wygląda, jakby ją, żyją, umierają. Owady siatkoskrzydłe zapadają w zimowy sen pod

— Akurat! Zobaczyła, że nadchodzisz zwiotczałą korą drzew. Larwy chruścika krążą, na grzbiecie niosąc domki

czej nie przypominasz Białego Królika ^ pP^Mestraszyła si? napaści, ra posklejane z roślinnych odpadków, mszyce tulą się do olch. Leśne żaby się na ziemię, przyhamowując dłońmi Pote & T-?m'. Angel opuszczaj śpią nieruchome pod warstwami zgniłych liści, a w lodowatej wodzie żywo co zabrudzone, i wyciągnął w kierunku L ^ Um^S* wewnątrz nie- trzepoczą chrząszcze i żuki, traszki i nakrapiane salamandry z ogonkami

— Angel, tkniesz mnie, ostrzegam cię...

Odszedłem ^zapatrzyłem się w park, w nieruchomą taflę stawu.

tAT*iarpr» --- -lotrafiłem określić, przecucia,

gdzieś tam rozgrywa się coś,

Rósł

we mnie niepokój, którego źródła nie potrafiłem określić, przecucie że

itS2ZP ytUJ 7 N0Wym JOrkU gdzieś tam sie coś.' co

w jakiś sposób mnie dotyczy.

A w wodach stawu gromadziły się ciemne chmury, formowały to w i to w inny kształt; ptaki nurkowały pod powierzchnię, jakby ogarnięte mobojczym instynktem. W półmroku tego lustrzanego świata nagie drze- wa wyciągały w głębinę poszukujące konary, niczym palce sięgają^ wc"z dalej, wciąż głębiej, w na w pół zapomnianą przeszłość.

ten, sa-

TFMBCT

Pierwszą zapowiedzią nadchodzącej zimy była dla mnie zawsze zmiana w barwach brzozy. Ich pnie, zazwyczaj białe lub szare, przybierają żółtawą zieleń, wtapiającą się w mieszaninę ceglastej czerwieni, jaskrawego złota i przytłumionego bursztynu jesiennych kolorów innych drzew. Wystarczy mi spojrzeć na brzozy, by zorientować się, że zima już w drodze.

" 1 31—? niKr7umip mrówki,

śnieeowe

Lrzepucz.a Ł.niiictoŁ.^Ł.^ . «---,

a na do ' u nabrzmiały z gromadzonym sadłem. Są tu olbrzymie mrówki,

śniegowe

ie ędziesz kiwał kikutem pchły i pająki, i czarne motyle żałobniki migające nad śniegiem

niczym

płatki spalonego papieru. Białolape myszy, normice i pigmejowate ryjówki przemykają z norki do norki, w każdej chwili gotowe czmychnąć na widok lisa, łasicy i groźnych, polujących na jeżozwierze myśliwych, którzy także zamieszkują ten świat.

Wraz z zanikającym blaskiem dnia, zając śnieżny stroi się w białe futro, by skryć się przed drapieżnikami. Bo drapieżniki są tu od zawsze.

Zimą ciemno robi się o czwartej i egzystencja musi ulec kompresji odpowiadającej ograniczeniom ustanowionym przez przyrodę. Ludzie powracają do trybu życia właściwego swym przodkom, pierwszym osadnikom, dolinami wielkich rzek wędrujących w głąb kontynentu w poszukiwaniu drewna i ziemi uprawnej. Teraz ograniczyli wędrówki i pozostają w ciepłe domów. Obowiązki dnia kończą, nim nastaje mrok. Troszczą się o ziarno na przyszłoroczne zasiewy, o zwierzęta na farmie, o swe dzieci i swych staruszków. Wychodząc na dwór, ubierają się ciepło i poruszają z opuszczoną głową, by chronić oczy przed piaskiem unoszonym nad drogą przez wiatr.

Podczas najzimniejszych nocy konary drzew trzeszczą w ciemnościach, niebo oświetlają przechodzące anioły zorzy polarnej i cieleta umierają.

45

W styczniu, a jeszcze częściej w lutym i marcu, zdarzają się nagłe odwilże, ale drzewa pozostają gołe. W ciepłe godzin nadchodzących po świ-

44

cie ziemia zamienia się w glinę, a nocą na nowo zamarza. W dzień szlaki są nieprzejezdne, w nocy niebezpieczne.

Ludzie dalej gromadzą się wokół ognia i czekają na kwietniowe roztopy. W Old Orchard Beach, na południe od Portland, milczące parki rozrywek świeciły pustką. Większość moteli stała zamknięta na dwa spusty, ze skrzyniami klimatyzacji osłoniętymi czarnymi, plastikowymi workami. Fale rozbijały się o brzeg szare i chłodne, koła samochodów dudniły głucho na resztkach dawnych szyn na głównej ulicy. Tak było zawsze, odkąd pamiętam, od moich chłopięcych lat.

Gdy drzewa zaczynają zmieniać barwy, nim biel brzozy zatraci się w pięknych kolorach rozkładu, oszust Saul Mann pakował manatki i przygotowywał się do zamiany Old Orchard na Florydę.

— Zima jest w sam raz dla wsioków — mawiał, pakując rzeczy: jarmarczne krawaty, jaskrawe marynarki marki JCPenney, półbuty o dwóch odcieniach — wszystko to wkładał do brązowej, skórzanej walizki. Saul był małym, zwinnym człowieczkiem; przez cały ten czas, gdy go znałem, krucza czerń jego włosów nigdy nie traciła blasku; niewielki brzusek lekko tylko napierał na guziki kamizelki. Rysy twarzy miał wręcz niepokojąco przeciętne, dziwnie nie do zapamiętania, zupełnie jakby otrzymał je na specjalne zamówienie. Zawsze przyjacielski, łagodny, nie był chciwy, dlatego niezwykle rzadko, jeżeli w ogóle, przesadzał w swej działalności. Naciągał na dziesiątaka, na dwadzieścia, no, pięćdziesiąt dolarów, i tylko wtedy, gdy uznał, że ofiarę stać na pogodzenie się ze stratą, ciął frajera na kilka setek. Zazwyczaj pracował sam, ale gdy wymagały tego okoliczności, dla wabienia ptaszków najmował naganiacza. Czasami, gdy sprawy nie stały najlepiej, dołączał do innych oszustów i ich sztuczek.

Saul nigdy się nie ożenił. „Człowiek zaobrączkowany staje się frajerem dla żony — mawiał. — Nigdy się nie żeń, chyba że znajdziesz bogatszą, głupszą i przystojniejszą niż ty sam. Zgodzisz się na mniej, i przepadło! Już jesteś frajerem...”

Mylił się, oczywiście. Z kobietą, z którą się ożeniłem, spacerowaliśmy razem po parku, kochaliśmy się i dała mi dziecko, i tak naprawdę do końca nie poznałem jej, dopóki nie odeszła. Saula radość ta ominęła: tak się bał, by nie zostać frajerem, że nawet nie zauważył, iż życie go wykiwało.

Obok pakującego się Saula stała druga, mniejsza, czarna torba z lakierowanej skóry, załadowana narzędziami jego profesji, taka zbrojownia drobnego oszusta. A więc portfel wypchany dwudziestodolarówkami, które po bliższym zbadaniu, okazywały się, poza jedną, kawałkami Maine Siunday Telegram, starannie przyciętymi, by przypominać banknoty.

Oszust „znajduje” portfel, radzi się wcześniej namierzonego frajera, jak postąpić, przystaje, by oddać tamtemu znalezisko na przechowanie do czasu g^y zgodnie z prawem wynegocjując warunki zwrotu, zachęca do przekazania sobie, w geście dobrej woli, stu dolarów jako zabezpieczenia, że rzetelnie podzieli się nagrodą za zwrot zguby, no i zrobione! Oszust zarabia osiemdziesiąt dolarów minus koszt nowego portfela i egzemplarza Maine Sunday Telegram, niezbędnych przy następnej okazji.

Były tam pierścionki z „brylantem”, taniocza ze szkła, plastyku i metalu, tak byle jakie, że niemal przez tydzień trzeba było zeszkrobywać zielonkawą farbę z palca; nakrętki z butelek do gry w trzy kapsle, karty bardziej poznaczone od Omaha Beach w dzień inwazji. I inne, niezbędne do wymyślniejszych sztuczek: dokumenty, na których aż roilo się od urzędowych pieczęci, obiecujące ich właścicielowi słońce, księżyc i gwiazdy; losy na loterię gwarantujące okazielowi dokładnie zero procent od niczego, także z dziesięć do dwudziestu rozmaitych książeczek czekowych, na różne konta, na każdym kwota wystarczająca, by ich nie zamknięto, by można wypisać чеки w piątek wieczorem, dając im całe dwa dni finansowej szacowności, zanim okażą się nic niewarte.

Podczas letnich miesięcy Saul Mann przemieszczał się po kurortach wybrzeża Maine, wypatrywał frajerów. W Old Orchard Beach pojawiał się niezmiennie trzeciego lipca. Wynajmował możliwie najtańszy pokój i działał na plaży przez jeden, najdłużej dwa tygodnie, dopóki jego twarz nie stała się zbyt znajoma. Potem ruszał do Bar Harbor, gdzie powtarzał swe sztuczki. Zawsze w drodze, nigdy zbyt długo w tym samym miejscu, starannie namierzał cele. Gdy już zbił dość kasy, gdy po Święcie Pracy tłumy przyjezdnych stopniowo topniały, a drzewa powoli zaczynały zmieniać kolory, Saul Mann pakował się i przenosił na Florydę, by zająć się turystami, spędzającymi tam zimowe wakacje.

Mój dziadek nie lubił go, w każdym razie mu nie ufał, a w skali wartości dziadka sympatia i zaufanie zajmowały to samo miejsce. — Jak cię poprosi po pożyczkę dolara, nie daj się nabrać — powtarzał często — w najlepszym wypadku odda ci dziesięć centów, jeżeli w ogóle.

Ale Saul nigdy o nic mnie nie prosił. Poznałem go, gdy latem pracowałem pod arkadami Old Orchard; wciskał dzieciakom szmaciane zabawki, 0 zwisających oczach, przypiętych półcalowymi szpilkami i kończynach trzymających się tułowia na słowo honoru. Saul Mann zdradził mi sekrety „prestidigitatorskich” sztuczek: o „trafianiu” nadmiernie nadmuchiwaną piłką do kosza o zmniejszonej obręczy; o rzutach bierkami do zbyt miękkich baloników, o strzelniczy z celami ustawionymi pod niewłaściwym kątem. Obserwowałem go pracującego w tłumie i uczyłem się na gorąco. Wy bierał ludzi starszych i chciwych, napalonych, i tak pozbawionych pewno, ści siebie, iż przedkładających cudze rady nad własny zdrowy rozsądek. Bywało, wybierał tępaków, ale wiedział, że ci czasami stają się niebep. pieczni, mogą też nie posiadać wystarczającej kasy, by gra była wart; świeczki. Ci ostatni miewali też przebłycki prymitywnej, wrodzonej chy- trości, która czyniła ich instynktownie nieufnymi.

Zdecydowanie przekładał tych zadufanych we własny spryt, zwykle na dobrych posadach w średniej wielkości miastach, takich, co to wierzyli, że nigdy by nie dali się nabrać oszustowi. Ci stanowili jego główny cel i na ich widok Saul rozpromieniał się. Umarł w 1994 roku na Florydzie, w domu dla emerytów, pośród tych, których kiedyś naciągał, i prawdopodobnie oszukiwał przy kanaście do samego końca, dopóki Bóg nie wyciągnął do ręki, gdy stało się oczywiste, iż w ostatecznym rozrachunku każdy okazuje się frajerem.

Oto co Saul Mann mi powiedział:

Nigdy nie daj frajerowi chwili wytchnienia; jeżeli to zrobisz, wymknie ci się. Nigdy nie współczuj, litość jest matką dobroczynności, ta z kolei to wyrzucanie forszy za okno, co oszustowi nie przystoi. I w żadnym wypadku, przynigdy, do niczego ich nie przymuszaj, bo najlepiej do wydojenia nadają się ci, którzy przychodzą do nas z własnej woli.

Zalóż przynętę i czekaj, a zawsze do ciebie przyjdą.

Tego grudnia śnieg wcześniej nawiedził Greenville, Beaver Cove, Dark Hollow i inne miasteczka wzdłuż granicy, za którą zaczynały się przepastne puszcze. Po pierwszych atakach białej furii, przed opuszczeniem domu uważnie obserwowano niebo; ludzie poruszali się teraz jakby żywiej, prędzej, przynaglani zimnem, które już czuli w kościach. Rozpalano w kominkach, dzieci, opatulone jaskrawoczerwonymi szalami, w rękawiczkach o barwach tęczy, przestrzegano przed zbyt długim pozostawaniem na dworze i nakazywano powrót do domu, nim zapadnie zmrok. Na szkolnych boiskach powtarzano sobie historyjki o dzieciakach, które zeszły ze ścieżki, a potem znajdowano je dopiero po pierwszych roztopach, zimne i martwe.

A w lasach, między klonami i brzozi, wśród świerków i białych sosen coś się poruszało. Stapało powoli, ale z uporem; znało las, i to od bardzo, bardzo dawna. Każdy krok był starannie odmierzony, spostrzeżone każde zwalone drzewo czy resztki muru od dawna pochłoniętego przez las i zaginionego w poszyciu, które mogły zostać wykorzystane na miejsce odpoczynku, złapanie powietrza przed dalszą wędrówką.

W czerni zimy poruszało się przejęte nowym celem. Coś, co kiedyś przepadło, odnalazło się, to, co nie znane, znów stało się widoczne, jakby zasłona została zdjęta ręką Boga. Przeszło obok ruin starej chałupy — dach zapadł się już dawno, ściany mogły dać teraz schronienie najwyżej myszom. Wdrapało się na szczyt wzgórza i szło jego skrajem, z księżycem rozświetlonym nad głową, wśród drzew szepczących w ciemnościach.

A idąc, pożerało gwiazdy.

IE OTDMAŁ

rawMmr

Wróciłem do Scarborough przed prawie trzema miesiącami, z powrotem do domu, w którym spędziłem chłopięce lata po śmierci ojca i który dziadek zostawił mi w spadku. W East Village, gdzie mieszkałem jakiś czas po śmierci żony i dziecka, stara dama wynajmująca mi mieszkanie żegnała mnie z uśmiechem, z trudem skrywającym już plany podwyżki czynszu następnemu lokatorowi. Angel sugerował, że poległy w Korei mąż tej siedemdziesięciodwuletniej, włoskiego pochodzenia Amerykanki, zazwyczaj przyjaznej niczym wygłodniały szczur, prawdopodobnie sam oddał się w ręce wroga, by uniknąć powrotu do żony.

W domu w Scarborough przyszła na świat moja matka, a dziadkowie wciąż mieszkali tu, gdy umarł mój ojciec. Przybywszy do miasta w latach siedemdziesiątych dostrzegłem, iż po trzech stuleciach istnienia Scarborough wreszcie zaczyna się zmieniać. Dobrobyt gospodarczy sprawił, iż stało się satelitą Portland, i chociaż niektórzy ze starszych mieszkańców wciąż kurczowo trzymali się ziemi należącej do ich rodzin od wielu pokoleń, przedsiębiorcy budowlani proponowali tak korzystne warunki, iż coraz więcej mieszkańców zgadzało się na sprzedaż. Ale miasto zachowało ten rodzaj społeczności, gdzie znasz mleczarza i jego rodzinę, a on odwzajemnia się tym samym.

Z domu dziadka przy Spring Street rowerem mogłem dotrzeć na północ do Portland, a na południe do Higgins Beach, Ferry Beach, Western Beach czy Scarborough Beach, lub na sam koniec Prouts Neck, by stamtąd spoglądać na Bluff Island, Stratton Island i Atlantyck.

Prouts Neck jest niewielkim cyplem wysuniętym w Saco Bay, jakieś dwanaście mil od Portland. Tam właśnie pod koniec dziewiętnastego wieku założył swą siedzibę artysta Winslow Homer. Jego rodzina wykupiła większość terenów na Necku, a Winslow od samego początku uważnie ly. strował sąsiadów, i, ogólnie rzecz biorąc, życzył sobie, by pozostawiono go w spokoju. Mieszkańcy Necku wciąż pozostali właśnie tacy. Od 1926 roku istnieje tam ekskluzywny jacht klub i stowarzyszenie właścicieli prywatnej plaży, w którym członkostwo dostępne jest tylko stałym mieszkańcom lub wynajmującym letnie domy w okolicy, członkom Neck Prouts Association. Plaża Scarborough pozostała publiczna, do ogólnego użytku, podobnie jak dostęp do Ferry Beach na Necku, tuż przy gospodzie Black Point. \ Ponieważ

właśnie w tej okolicy, w pobliżu Ferry Beach zginęli Chester Nash, Paulie Block i sześciu innych mężczyzn, mieszkańcy Necku będą mieli wiele do omawiania, gdy zjadą na lato.

W starym domu przeszłość zdawała się zawieszona w powietrzu niczym pyłki wiekowego kurzu, czekające na rozświetlenie ostrymi promieniami pamięci. Była tam, otoczona szczęśliwszymi wspomnieniami młodości, które zamierzałem wykorzystać dla zapewnienia duchom odpoczynku: duchom mej żony i dziecka, nawiedzającym mnie od dawna, które może ostatnio osiągnęły pewien rodzaj ukojenia, ale nie odzwierciedlonego jeszcze w mojej własnej duszy; ojca, matki, która zabrała mnie z miasta w poszukiwaniu spokoju dla nas obojga; Rachel, która teraz wydawała się dla mnie stracona; i dziadka, który nauczył mnie wszystkiego o obowiązkach, człowieczeństwie i o tym, jak bardzo istotnym jest posiadanie wrogów, z których można być dumnym.

Wyprowadziłem się z Gospody pod Świętym Janem przy Congress Street w Portland, jak tylko dom zaczął przypominać miejsce do zamieszkania. Nocą, unoszona podmuchami wiatru, plastikowa płachta na dachu wydawała dźwięki przypominające trzepotanie starych, skórzanych skrzydeł. Pozostało jeszcze tylko położenie gontów i z tego właśnie powodu, o dziewiątej kolejnego ranka, siedziałem na werandzie z garnuszkiem kawy i New York Timesem, czekając na Rogera Simmsa. Ten pięćdziesięcioletni, trzymający się prosto mężczyzna, o szczupłej, choć umięśnionej sylwetce, z twarzą o barwie różanego drewna, potrafił niemal wszystko, co miało jakiś związek z młotkiem, piłą i podstawową umiejętnością wnoszenia porządku w miejsca opanowane przez chaos i zaniedbanie.

Pojawił się punktualnie; błękitne opary wypluwane z rury oddechowej starego nissana plamiły powietrze niczym nikotyna płuca. Wysiadł z wozu w powalanych farbą, typowych dla starego człowieka dżinsach, w bluzie i niebieskim swetrze, zresztą bardziej wyglądającym na zbiorowisko dziur, przytrzymywanych razem nitkami przędzy. Z tylnej kieszeni dżinsów zwisała para brązowych rękawic z nie wyprawionej skóry, na głowę po uszy naciągnął czarną, marynarską czapkę, spod której zwisały, niczym odnóża kraba pustelnika, strąki ciemnych włosów. Na koniuszku trzymanego między zębami papierosa formowała się, nic sobie nie czyniąca z prawa grawitacji, kolumienka popiołu.

Wręczyłem mu garnuszek z kawą; wypił pośpiesznie, krytycznie lustrując dach, jakby widział go po raz pierwszy. Był na górze już trzy razy, sprawdzał stan krokwi i wsporników, zmierzył kąt nachylenia, nie sądziłem więc, by coś jeszcze mogło go zaskoczyć. Podziękował za kawę i oddał mi naczynie. „Dziękuję” było pierwszym słowem, jakie wypowiedział od przybycia; Roger znał się wspaniale na robocie, ale ilość powietrza, jaką zużywał na pogaduszki, nie uratowałaby życia nawet komarowi.

Wydawało mi się, że położenie dachu na starym domu będzie ostatecznym potwierdzeniem mojej przynależności do tego miejsca. Ogołocony ze starych, pogruhotanych gontów, osłonięty plastikową płachtą, jedyną ochroną przed żywiołami, został zredukowany do martwej skorupy, a tkwiące w nim wspomnienia jakby zapadły w zimowy sen, by umknąć przed nieobliczalnością przyrody. Na nowo przykryty dom zapełni się ciepłem, stanie się osłoniętą od wichrów przystanią, a ja odzyskam swój udział w jego przeszłości, gdyż moja obecność zapewni mu przyszłość.

Już wcześniej, z deseczek dwa na cztery cale, poprzecinanych na długość na pół i natłuszczonych preparatem do zabezpieczania drewna, umocowaliśmy listewki. Teraz, w rześkim, nie zapowiadającym deszczu powietrzu zabraliśmy się do mocowania na nich gontów. Układanie ich, rytmiczne w swej rutynie, przypominało medytacyjne ćwiczenie. Metodycznie przesuając się po płaszczyźnie dachu, sięgałem po gont, przykładałem do umocowanego poniżej, według nacięć na trzonku młotka odmierzałem odległość, na jaką miał wystawać, potem szybki ruch młotka, i gont przybity; sięgałem po następny, i wszystko od początku. Odnalazłem w tej pracy jakiś spokój, i ranek mijał szybko. Wolałem nie dzielić się z Rogerem moimi medytacyjnymi rozważaniami. Ci, którzy kładą dachy zarobkowo,

zazwyczaj nie lubią rozprawiać z amatorami o naturze swej roboty. Młotek Rogera mógłby wylądować na mej głowie.

Pracowaliśmy cztery godziny, każdy swoim tempem, odpoczywając, gdy przyszła ochota, wreszcie ostrożnie zszedłem na dół i powiedziałem Rogerowi o zamiarze wybrania się do Seng Thai przy Congress po jedzenie dla nas. Jego mruknięcie przyjąłem za zgodę, uruchomiłem mustanga i ruszyłem w stronę South Portland. Jak zwykle, na Maine Mall Road roilo się od samochodów; jedni kręcili się przy Filene's, inni wybierali do kina, wielu zatrzymywało się na posiłek przy Old Country Buffet czy sprawdzało nadmorskie motele. Minałem lotnisko i trzymając się Johnson, wjechałem wreszcie na Congress. Zostawiłem auto na parkingu na tyłach Gospody pod Św. Janem, między pinto a fiatem, przeszedłem jedną przecznicę, kupiłem coś do żarcia i wrzuciłem na tylne siedzenie samochodu.

Edgar wciąż przechowywał skrzynkę z moimi gratami, wsuniętą za biurko w recepcji, postanowiłem więc przy okazji zabrać ją. Otworzyłem drzwi i wszedłem do przeładowanego ozdobami, w starodawnym stylu holu, z wiekowym radiem i starannie poukładaną stertą turystycznych broszur. Edgara nie było. Nieznany mi gość, siedzący w recepcji, pomógł mi wynieść skrzynkę na dwór, po czym pożegnał mnie uśmiechem i wrócił do porządkowania rachunków; nie zatrzymywałem go.

Na parkingu okazało się, że przyblokowany, nie ruszę ani w tył, ani w przód. Wielki, czarny cadillac coupe de ville, czterdziestoletni, stuprocentowy antyk, stał tuż za moim mustangiem, pozbawiając mnie możliwości jakiegokolwiek manewru. Miał opony z białymi deklami, odnowioną, brązową tapicerkę i charakterystyczne, jakby nadmuchane, przednie zderzaki, lśniące i nie naruszone. Na tylnym siedzeniu leżała mapa Maine. Wóz miał rejestrację Massachusetts, ale poza tym nic tam nie wskazywało na rodzaj właściciela. Automobil wręcz z muzeum.

Upchałem skrzynkę w bagażniku mustanga i wróciłem do gospody, ale facet w recepcji najwyraźniej nie widział cadillaca na oczy. Zaproponował pomoc przy odholowaniu, postanowiłem jednak najpierw spróbować odnaleźć właściciela. Spytałem w Pizza Villa po drugiej stronie ulicy, ale też nic nie wiedzieli. Próbowałem jeszcze szczęścia w Dunkin' Donuts i w Sport- man's Bar, aż wreszcie zrezygnowany, przeszedłem przez ulicę i, z irytacją, walnąłem dłonią o dach cadillaca.

— Ładny wózek — usłyszałem, gdy echo uderzenia ucichło. Głos był niemal dziewczęco wysoki, słowa przeciągane w sposób bardziej przypominający kpinę niż wyraz podziwu, a świst towarzyszący pierwszemu wyrazowi niemal groźny

Przy wjeździe na parking gospody stał, oparty o ścianę, jakiś człowiek. Niski i przysadzisty, przy wzroście najwyżej pięć stóp i pięć cali ważył z dwieście trzydzieści funtów. Miał na sobie, zawiązany z przodu paskiem, brązowy deszczowiec, także spodnie i grube, brązowe buty.

Twarz jak z horroru.

Zaokrąglony czubek kompletnie tysej głowy od tyłu ginął w fałdach tłuszczu. Zamiast zwięzać się, głowa zdawała się poszerzać od skroni do uSt, aż ztracała się w ramionach. Cera trupia, przeraźliwie biała poza jaskrawą czerwień szerokich, grubych warg, rozwartych w karykaturze uśmiechu. Głębokie czeluście ciemnych nozdrzy w kulfonie nosa, oczy tak szare, że niemal bezbarwne, o żrenicach jak czarne główki szpilek — maleńki, czarny świat w zimnym, wrogim wszechświecie.

Mężczyzna oderwał się od ściany i zbliżał się do mnie: powoli i zdecydowanie, i wtedy owionął mnie ten zapach. Choć niewyraźny i stłumiony tanią wodą kolońską, sprawił, że wstrzymałem oddech i cofnąłem się o krok. Była to woń ziemi i krwi, smród gnijącego mięsa i stęchłego, zwierzęcego przerażenia, jakie unosi się w rzeźni pod koniec dnia wypełnionego zabijaniem.

— Ładny wózek — powtórzył. Z kieszeni wyłoniła się tłusta, biała dłoń o palcach przypominających grube, blade ślimaki, które zbyt długo przebywały w ciemnościach. Z zadowoleniem przeciągnął nią po dachu mustanga i miałem wrażenie, że farba skoroduje od samego dotyku, przywodzącego na myśl gest osobnika molestującego dziecko na placu zabaw, gdy tylko matka odwróci się plecami. Z jakiegoś powodu aż korciło mnie, by go odepchnąć, ale instynktownie powstrzymałem się. Nie potrafiłbym wyjaśnić, skąd miałem to wrażenie, ale wydawał się wydzielać coś wyjątkowo paskudnego, odpychającego, zniechęcającego do jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Jakby samo dotknięcie go mogło zbrukać, narazić na możliwość zarażenia się.

I było w tym coś więcej. Emanował czymś śmiercionośnym, zdolnością do zadawania bólu tak wielkiego, że niemal erotycznego. Wrażenie to wręcz namacalnie ulatniało się z jego porów i ohydą rozlewało na skórze, skapywało z koniuszków palców i obrzydliwych, zwierzęcych nozdrzy. Pomimo panującego chłodu, na czole i górnej wardze błyszczały drobne krople potu, dodając wilgotności i tak już gąbczastym rysom. Jakbym przeczuwał: dotknę go, a obwisła skóra ugnie się pod naporem i palce zatoną w tłuste ciało.

A potem zabiłby mnie, bo nie miałem wątpliwości, że się w tym właśnie specjalizował.

— To pański samochód? — spytał. Szare oczy błysnęły chłodem, koniuszek różowego języka pojawił się między wargami, niczym wąż na czatach.

— Tak, mój — odpowiedziałem. — A cadillac należy do pana?

Zdawał się nie rejestrować pytania, a może celowo je zlekceważył. W zamian dłonią wykonał długi, pieścizotliwy ruch po dachu mustanga.

— Dobry wóz, ten mustang — mruknął jakby do siebie, kiwnął głową, i znów ten wyraźny świst przy głosce s, zupełnie jakby krople wody padały na rozpalony piec. — Ja i mustang mamy ze sobą wiele wspólnego.

Przybliżył się, jakby chciał podzielić się ze mną jakimś głęboko skrywanym, brudnym sekretem. Znów poczułem ten oddech: słodkawy i zgniły jak owoce z zeszłego lata.

— Obaj poszliśmy do piekła po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym... — rzekł. A potem roześmiał się, wydając niski, świszczący dźwięk przypominający syk gazów ulatujących ze zwłok. — Lepiej niech się dobrze pan opiekuje tym samochodem, by nic złego mu się nie przytrafiło — dodał. — Mężczyzna powinien umieć zadbać o swoje, zająć się tym, co go dotyczy i nie wtykać nosa w cudze sprawy.

W drodze do cadillaca obszedł tył mustanga, więc by nie tracić indywidualum z pola widzenia, musiałem się odwrócić.

— Do rychłego zobaczenia, panie Parker — rzucił jeszcze.

Potem caddy wystartował z niskim, pewnym siebie warkotem; skręcił pod prąd na Congress i pojechał w kierunku śródmieścia Portland.

*

, v

PEAW

Roger najwyraźniej niecierpliwił się oczekiwaniem na wałówkę; gdy wróciłem, na stałe zaznaczone na mapie jego czoła, wyrażające niezadowolenie zmarszczki pogłębiły się co najmniej o pół cala.

— Już myślałem, że przepadłeś na dobre — mruknął, biorąc swą porcję. Nigdy nie słyszałem, by kiedykolwiek wypowiedział dłuższe zdanie.

Dziobnąłem trochę ryżu i kurczaka, ale straciłem jakoś apetyt. Mocno zaniepokoiło mnie pojawienie się na Congress tego tłustego, łysego osobnika, który znał moje nazwisko i przyprowadził mnie o gęsią skórę.

Wróciliśmy z Rogerem na dach, a że przenikliwy wiatr zmusił nas do przyśpieszenia tempa, skończyliśmy jeszcze przed wieczorem, gdy światło dnia dopiero zaczynało blednąć. Zapłaciłem Rogerowi, a on podziękował skinieniem głowy i wyruszył z powrotem do miasta.

Palce zdrętwiały mi od pracy na dachu, ale tę robotę trzeba było odwalić przed nadejściem dużych opadów śniegu, inaczej mieszkałbym w lodowym zamku. Wziąłem gorący prysznic, by spłukać pył z włosów i dłoni, i właśnie nastawiałem kawę, gdy usłyszałem zajeżdżający pod dom samochód.

Przez chwilę nie poznałem jej, gdy wysiadała z hondy civic. Urosła, odkąd widziałem ją ostatni raz, włosy miała teraz jaśniejsze, z dodatkiem innego koloru. Jej sylwetka, hojnie wyposażona w duże piersi i szerokie biodra, nabrała kobiecości. Na widok zmian, jakie w niej zaszły, poczułem się trochę zażenowany. W końcu Ellen miała niewiele ponad dwadzieścia lat, i do tego była córką Waltera Cole'a.

— Ellen? — zszedłem z werandy z otwartymi na powitanie ramionami; przytuliła się do mnie mocno.

— Fajnie cię widzieć, Bird — szepnęła, a ja odwzajemniłem uścisk.

Ellen Cole: patrzyłem, gdy dorastała. Pamiętam, jak tańczyłem z nią na moim weselu, wstydlive spojrzenie, jakie rzuciła na swą siostrę, Lauren, jak pokazała język wystrojonej w ślubną suknię Susan. Pamiętam też, jak z piwem w ręce siedziałem na stopniach werandy Waltera, Ellen obok mnie z ramionami wokół kolan, a ja próbowałem wytłumaczyć jej, dlaczego chłopcy czasem zachowują się jak debile nawet względem najpiękniejszych dziewcząt. Żywiłem przekonanie, że w tej akurat dziedzinie nie brakuje mi doświadczenia.

Była przyjaciółką Susan, a Jennifer kochała ją. Moja córeczka nie zapłakała ani razu, gdy zostawialiśmy ją pod opieką Ellen na cały wieczór. Dziecko siedziało na kolanach starszej dziewczynki, bawiło się jej palcami, aż wreszcie zasypiało z główką opartą na ramieniu opiekunki. Ellen emanowała tym rodzajem siły, która bierze się z pokładów dobroci i współczucia, i napawa zaufaniem istoty mniejsze i słabsze.

Dwa dni po śmierci Susan i Jennifer ujrzałem Ellen czekającą na mnie samotnie pod zakładem pogrzebowym, gdzie przybyłem poczynić potrzebne ustalenia. Inni proponowali, że przyjdą ze mną, ale nie chciałem ich tam. Myślę, że już wtedy wycofywałem się we własny, dziwny świat straty. Nie miałem pojęcia, ile czasu tak czekała — samochód zostawiła na parkingu — ale podeszła zaraz i długo tuliła się do mnie, a potem stała °bok, gdy przeglądałem zdjęcia trumien i limuzyn, i ani na chwilę nie puściła mej dłoni. W jej oczach ujrzałem odbicie własnego bólu i wiedziałem, że ona, tak jak ja, odczuła utratę Jennifer jako pustkę w ramionach, a odejście Susan jak pustkę w sercu.

A najdziwniejsze wydarzyło się, gdy wyszliśmy. Usiadłem przy niej w jej samochodzie i, po raz pierwszy od wielu dni, zapłakałem. Głęboka, cicha łagodność przepajająca Ellen, niczym przecięcie lancetem ropiejącej rany wydobyła ze mnie ból, rozpacz i żal. Znów mnie przytuliła i na chwilę chmury rozsunęły się, i odzyskałem siły, by żyć...

Za Ellen ujrzałem teraz młodego człowieka wysiadającego z wozu od strony pasażera. Miał śniadą cerę i czarne, długie, proste włosy opadające mu na ramiona. Poza obuwie, wysokimi butami marki Zamberlain, widać było, że kieruje się modą propagującą niedbały szyk: dzinsy, luźno wypuszczony na nie T-shirt, na to rozpięta drelichowa bluza. Lekko drżał i bacznie przyglądał mi się podejrzliwym wzrokiem.

— To Ricky — oznajmiła Ellen. — Riccardo — dodała, lekko modulując z hiszpańska głos. — Ricky, poznaj Birda.

Mocno uściśnął mi dłoń, potem opiekuńczo objął Ellen ramieniem. Zrobił na mnie wrażenie zaborczego i niepewnego, co stanowi nie najlepszą kombinację. Gdy wchodziliśmy do domu, nie spuszczałem z niego oka, tak na wszelki wypadek, gdyby postanowił oznaczyć swe terytorium, sikając na moje drzwi.

Usiedliśmy w kuchni i piliśmy kawę z wielkich, niebieskich kubków. Ricky nie odzywał się, nie powiedział nawet „dziękuję”. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek spotkał Rogera. Posadzić ich razem i miałoby się najkrótszą na świecie rozmowę.

— Co tu robicie? — spytałem Ellen.

Wzruszyła ramionami. — Wybieramy się na północ, nigdy jeszcze nie byłam tak daleko. Zamierzamy zahaczyć o Moosehead Lake, zobaczyć Mount Katahdin i co jeszcze się da. Może nawet wypożyczymy skuter śnieżny...

Ricky wstał i zapytał o wychodek. Wskazałem mu kierunek; poczłapał ociężale, jak człowiek z obydwojoma stopami umocowanymi na stałe pod tym samym kątem.

— Skąd wytrzasnąłaś tego latynoskiego kochasia? — zaciekawiłem się.

— Studiuję psychologię — wyjaśniła.

— Doprawdy? — usiłowałem nie okazywać cynizmu. Może Ricky próbował osiągnąć dwa cele za jednym zamachem, studiując psychologię, mógł zawsze poddać się własnej psychoanalizie.

— On jest naprawdę miły, Bird, tylko trochę nieśmiały przy obcych.

— Zupełnie jakbyś mówiła o psie.

W rewanżu pokazała mi język.

— Już po szkole?

Wykręciła się od odpowiedzi. — Wybieram się na studia.

— Aha, a co planujesz, biologię?

— Ha, ha. — Nie uśmiechnęła się. Przypuszczałem, że Ricky nie pozwolił, by zawracała sobie głowę semestralnymi egzaminami.

— Jak mama?

— W porządku.

Milczała przez chwilę.

— Martwi się o ciebie i tatę. Powiedział jej, że byłeś wczoraj na pogrzebie w Queens, ale nie wymieniliście wielu słów. Ona chyba uważa, że powinniście jakoś sobie poradzić z tym, co się między wami wydarzyło.

— To nie takie łatwe.

Przytaknęła. — Słyszałam ich rozmowę — dodała cicho. — Czy prawdą jest to, co on o tobie mówi?

— Niektóre rzeczy, tak.

Zagryzła wargę, wreszcie najwyraźniej doszła do jakiegoś wniosku. — Powinieneś się z nim dogadać. Byłeś jego przyjacielem, on nie ma ich wielu.

— Jak większość z nas — odrzekłem. — Próbowaliśmy z nim rozmawiać, Ellen, ale on mnie osądził i uznał winnym. Twój ojciec to przyzwoity człowiek, tylko nie zawsze widzi dobro tam, gdzie ono jest.

Ricky powrócił i nasza rozmowa jakby sama wygasła. Zaproponowałem im moje łóżko, ale w zasadzie poczułem ulgę, gdy Ellen odmówiła. Pewnie nigdy już nie byłbym w stanie na nim zasnąć, mając przed oczami wizję Ricky'ego, przekręcającego się niespokojnie z boku na bok. Postanowili spędzić tę noc w Portland zamiast w Augustie, z zamiarem wyruszenia następnego ranka wprost ku wielkim puszczykom północy. Powiedziałem im o Gospodzie pod Świętym Janem, radząc, by wspomnieli, że ja ich przysyłam. Poza tym nie mieszałem się w ich sprawy, nawet nie chciałem

o nich wiedzieć, i jakoś wydawało mi się, że Walter Cole podzielałby moje stanowisko.

Po ich odjeździe wsiadłem w samochód i wróciłem do Portland poćwiczyć w Bay Club w One City Center. Układanie dachu samo w sobie było już ćwiczeniem, ale starałem się zrzucić niewielkie warstewki tłuszczu, tu

1 ówdzie przywierające mi po bokach niczym uparte dzieciaki. Trzy kwadransy pracowałem na przyrządach, kolejno je zmieniając, wiele czasu poświęciłem na ćwiczenie nóg, a potem górną część ciała; wreszcie serce zaczęło mi walić jak szalone, a koszulkę można było wykrecać z potu. Potem wziąłem prysznic i w lustrze przyjrzałem się tym moim małym

warstwom tłuszczu, by sprawdzić, czy choć trochę zaczynają znikać. Niedługo skończę trzydzieści pięć lat, siwizna już atakuje czerń moich włosów, w sumie można by mnie określić jako sto osiemdziesiąt funtów niepewności, rozmieszczonej na konstrukcji o wysokości pięciu stóp i piętnastu cali. Albo zacznę znowu żyć, albo czeka mnie zabieg odsysania tłuszczu.

Gdy wychodziłem z Bay Club, białe bożonarodzeniowe światełka tak mocno jarzyły się na drzewach Starego Portu, jakby płonęły żywym ogniem. Udałem się do Exchange po kilka powieści Allena Scotta, potem do Java Joe's wypić dużą kawę i poczytać gazety. Przerzuciłem Village Voice, zaciekawiony najnowszą opinią Dana Savage'a na temat seksu z jajkami i moczopłciowych rozrywek. W tym tygodniu Dan zajmował się facetem twierdzącym, iż nie jest homoseksualistą, jedynie lubi uprawiać seks z mężczyznami. Dan Savage najwyraźniej nie widział żadnej różnicy, a szczerze mówiąc, ja także nie. Staralem się wyobrazić sobie, co powiedziała by Angel o tym gościu i doszedłem do wniosku, że nawet Voice nie wydrukowałaby wypowiedzi Angela.

Zaczęło padać, mokre wiązki znaczyły okna jak rysy na kryształach i spadały na dzieciaki zdążające do barów w Starym Porcie. Przez chwilę patrzyłem na deszcz, potem znów zagłębiłem się w Voice. W tym samym momencie kątem oka spostrzegłem zbliżającą się do mnie postać i nozdrza wypełnił mi obrzydliwy zapach. Zrobiło mi się dziwnie nieswojo.

— Mogę zadać pytanie? — rozległ się charakterystyczny głos.

Uniosłem wzrok i aż się wzdrygnąłem. Te same pełne chłodnego rozbawienia oczy patrzyły na mnie z gąbczastej twarzy, na łysej głowie lśniły krople deszczu. Zapach krwi i wody kolońskiej był teraz wyraźniejszy, wręcz cofnąłem się od stolika, przy którym siedziałem.

— Chce pan odnaleźć Boga? — kontynuował z miną pełną troski, podobną do tej, jaką przybiera lekarz na widok pacjenta, który w poczekalni zaczyna sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. W białej, niemal bladej dłoni trzymał wymiętą broszurę z biblijnym tekstem, na jednej stronie widać było prymitywny, wykonany długopisem szkic dzieciątka i madonny.

Po chwili zaskoczenia pomyślałem, że to jakiś szalony miłośnik Jezusa, ale w takim wypadku Jezus musiałby chyba wygrzebywać swych wielbicieli już z samego dna beczki.

— Gdy Bóg zapragnie mnie widzieć, będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć — odrzekłem i powróciłem do czytania Voice, ale choć oczy utkwilem w tekście, moją uwagę pochłaniał człowiek przede mną.

— A skąd pan wie, że to nie Bóg właśnie na pana patrzy? — z tymi słowami usiadł naprzeciwko.

Powinienem był trzymać usta zamknięte. Jeżeli był maniakiem religijnym, odezwanie się do niego tylko go zachęciło. Takie typy zachowują się jak mnisi, którym właśnie przyznano tydzień dyspensy od ślubu milczenia. Tyle że ten gość nie wyglądał na mającego cokolwiek wspólnego z jakąkolwiek religią, i coś mi mówiło, że w tych pytaniach, które nie bardzo pojmowałem, kryje się podtekst.

— Zawsze spodziewałem się, że Bóg jest wyższy — mruknąłem.

— Nadchodzi zmiana — zaczął łysy. Jego oczy spoglądały teraz jakoś tak intensywnie. — Nie będzie miejsca dla grzeszników, rozwodników, cudzołózców, sodomitów, dla kobiet nie szanujących mężów.

— Chyba właśnie wyliczył pan niektóre z moich hobby, a przynajmniej te wszystkie ulubione przez moich przyjaciół, a gdziekolwiek by oni wylądowali, jeżeli chodzi o mnie, będzie w sam raz — z tymi słowami złożyłem gazetę i ze smutkiem pociągnąłem ostatni łyk kawy; dzień najwyraźniej mi się nie udał.

Obserwował mnie uważnie, jak wąż czekający na okazję, by zaatakować. — Nie ma miejsca dla mężczyzny, który staje pomiędzy innym a jego żoną czy synkiem. — Teraz jego

słowa brzmiały wyraźną groźbą. Uśmiechnął się i odsłonił zęby, drobne i pożółkłe, przypominające szczura. — Szukam kogoś, panie Parker. Myślę, że będzie mi pan w stanie pomóc. — Sprośnie miękkie, czerwone wargi rozciągnęły się niezwykle szeroko i wydawało się, że zaraz rozerwą się i chluśnie na mnie rzeka krwi.

— Kim pan jest? — spytałem.

— To bez znaczenia.

Rozejrzałem się po kawiarni. Młodziak za kontuarem nie zwracał uwagi na nic, całkowicie pochłonięty dziewczyną przy stoliku pod oknem, a poza nimi na tyłach pomieszczenia, gdzie siedziałem, nie było nikogo.

— Szukam Billy'ego Purdue — ciągnął. — Liczyłem, że będzie pan wiedział, gdzie przebywa.

— Czego pan od niego chce?

— Ma coś, co należy do mnie, o co zamierzam się upomnieć.

— Przykro mi, nie znam żadnego Billy'ego Purdue.

— Sądzę, że pan kłamie, panie Parker. — Ton i siła głosu nie zmieniły się, ale groźba, jaka w nich dźwięczała, wzrosła co najmniej o jeden stopień.

Odsunąłem do tyłu poły kurtki, by odsłonić kolbę rewolweru.

— Panie, chyba trafił pan na niewłaściwą osobę — powiedziałem. — A teraz odchodzę i jeżeli podniesie się pan, nim przekroczę próg, ta broń wejdzie w kontakt z pana głową, zrozumiano?

Uśmiech nie zniknął mu z twarzy, ale oczy stały się martwe. — Zrozumiałem — powiedział i znowu w jego głosie dało się słyszeć ten okropny świst. — Widzę, że mimo wszystko nie pomoże mi pan.

— Lepiej, żebym więcej pana nie widział — zakończyłem.

Pokiwał głową, jakby do siebie. — Oj nie, już mnie pan nie zobaczy. — Tym razem groźba zabrzmiała wyraźnie.

Patrzyłem na niego, dopóki nie dotarłem do drzwi, i widziałem, jak bierze broszurę i podpalają zapalniczką. Przez cały ten czas nie spuszczał ze mnie wzroku. Odebrałem samochód z parkingu przy Tempie i pojechałem pod dom Rity Ferris, ale w mieszkaniu nie paliły się światła i nikt nie zareagował na dzwonek. Ruszyłem z Portland w kierunku Scarborough Downs, aż dotarłem do domu Straydeera w pobliżu skrzyżowania Payne Road i Two Rod Road. Stałem obok srebrnej przyczepy Billy'ego Purdue i zastukałem do drzwi, ale odpowiedziało milczenie i ciemność. Przyłożyłem zwinięte dłonie do szyby i zajrzałem przez okno — w środku panował ten sam bajzel. Samochód Billy'ego stał po prawej stronie przyczepy, maska była zimna.

Usłyszałem jakiś hałas za plecami i odwróciłem się, spodziewając się niemal ujrzeć tę dziwną głowę, wylaniającą się niczym wrzód spod brązowego deszczowca. Ujrzałem jedynie RONALDA STRAYDEERA, w czarnych drelichach, sandałach, marynarskim podkoszulku i białej baseballowej czapce, z naszytym wizerunkiem czerwonego homara, przykrywającej jego krótkie, ciemne włosy. W rękach trzymał AK-47.

— Wziąłem cię za kogoś innego. — Z zażenowaniem popatrzył na broń.

— Znaczy za kogo, Vietkong? — Wiedziałem, że Ronald ma fioła na punkcie swego AK. Podobnie jak wielu, którzy służyli w Wietnamie. Powiedział mi kiedyś, że karabiny M1, standardowe wyposażenie, często zacięły się w wilgoci południowo-wschodniej Azji, więc rutyną stało się wymienianie ich na AK-47S, zdejmowane z wietnamskich trupów. Broń RONALDA WYGLĄDAŁA NA WYSTARCZAJĄCO STARĄ JAK NA PAMIĄTKĘ WOJENNĄ, CZYM PEWNIE I BYŁA.

Wzruszył ramionami. — I tak nie załadowana.

— Chciałem pogadać z Billym, widziałeś go?

Zaprzeczył ruchem głowy. — Od wczoraj go tu nie było. — Miał niewyraźną minę, jakby koczyło go, by dodać coś jeszcze.

— Ktoś go może szukał?

— Nie wiem, może. Zdawało mi się, że wczoraj w nocy ktoś zaglądał do przyczepy, ale mogłem się mylić, byłem akurat bez okularów.

— Stary to już tak ma — stwierdziłem.

— Ano, mógł być stary — Ronald najwyraźniej coś źle usłyszał.

— Co powiedziałaś?

Ale już stracił zainteresowanie. — Opowiadałem ci o moim psie? — zaczął, a ja doszedłem do wniosku, że wyciągnąłem z niego wszystko, co mogło mi się przydać.

— Taa, Ronaldzie — rzuciłem na pożegnanie, wracając do samochodu. — I posłucham o nim znowu, ale innym razem.

— Tylko tak mówisz, Charlie Parkerze — powiedział z uśmiechem.

— Masz rację — odwzajemniłem uśmiech — tylko tak mówię.

Tej nocy zimny deszcz jak garście gwoździ uderzał o mój nowo położony dach. Nigdzie nie przeciekało, nawet w tych miejscach, za które ja byłem odpowiedzialny. W poczuciu głębokiej satysfakcji odpłynąłem w sen, poduchy wiatru uderzały w okna, deski ścian domu to skrzypiały, to uspokajały się. Wiele lat zasypiałem przy muzyce tych desek, przy łagodnym szmerze głosu mej matki w salonie na dole, przy rytmicznym stukocie, jaki wydawała fajka dziadka w zetknięciu z balustradą werandy. Wciąż jeszcze pozostał tam znak, brunatnożółta plama po tytoniu i wyszczerbione drewno. Nie pomalowałem tego miejsca — gest sentymentalny, którym zaskoczyłem samego siebie.

Nie potrafię sobie przypomnieć, czemu się obudziłem, ale uczucie niepokoju przeniknęło przez sen i wyciągnęło mnie zeń w ciemność nocy. Deszcz przestał padać i dom wydawał się całkiem cichy, a jednak poczułem, jak włosy stają mi dęba, a zmysły przybierają ostrość brzytwy, i resztki senności opadły w jednej chwili, gdyż instynktownie wyczułem zbliżające się niebezpieczeństwo.

Cicho wstałem, wciągnąłem dzinsy. Mój smith & wesson leżał w kaburze, przy łóżku. Wyjąłem go i odbezpieczyłem. Drzwi sypialni stały otworem, tak jak je pozostawiłem. Rozsunąłem je jeszcze szerzej — dobrze naoliwione zawiasy nie zaskrzypiały — i ostrożnie postawiłem nogę na gołych deskach korytarza.

Dotknąłem stopą czegoś miękkiego i mokrego i natychmiast ją cofnąłem. Przez okna obok frontowych drzwi przenikało światło księżycy, srebrząc hol. Padało na stary wieszak na płaszcze, kilka puszek po farbie i drabinę, która leżała na prawo ode mnie. A także na ślady stóp biegnące od tylnych drzwi przez kuchnię do sypialni, a następnie do salonu. Znak zostawiony przez moją bosą stopę nakładał się na ślad buta tuż przy drzwiach sypialni.

Zanim poszedłem do kuchni, sprawdziłem salon, potem łazienkę. Czuję, jak mocno bije mi serce, a oddech zostawia biały dymek w zimnym powietrzu nocy. Policzyłem w myśli do trzech i szybko wpadłem do kuchni, wiodąc lufą wokół.

Całkiem pusto, tylko drzwi ktoś pozostawił lekko uchylone. Sforsował zamek i wszedł do środka — po rozmiarze śladów, jakie zostawiły buty, przyjąłem, że to mężczyzna — zajrzał wszędzie, obserwował mnie we śnie. Przypomniałem sobie łysą, karykaturalną postać, którą spotkałem poprzedniego dnia, i na samą myśl o tym monstrum, patrzącym na mnie z ciemności, zrobiło mi się niedobrze. Otworzyłem tylne drzwi na oścież i sprawdziłem podwórko. Nie zapalając światła ani w kuchni, ani na werandzie, włożyłem robocze buty, które trzymałem obok kuchennych drzwi, wyskoczyłem na zewnątrz i obszedłem dom wokół. Na werandzie i na ziemi przy niej znalazłem więcej śladów. Pod oknem sypialni lekko się oddaliły do miejsca, z którego nieproszony gość obserwował dom.

Wróciłem do środka, odszukałem latarkę, narzuciłem sweter i poszedłem śladami prowadzącymi po mokrej ziemi do samej drogi. Dzięki niewielkiemu ruchowi samochodowemu wciąż jeszcze można było dostrzec odcisk butów na asfalcie. Postąłem na pustej drodze, rozejrzałem się w lewo i prawo i wróciłem do domu.

Dopiero, gdy zapaliłem światło w kuchni, na stole, w kącie, zauważyłem jakiś przedmiot. Uniosłem go przez papierową serwetkę i odwróciłem w dłoni.

Był to mały, drewniany kłown, złożony z jaskrawo pomalowanych pierścieni, które można było zdejmować, odkręciwszy uśmiechniętą głowę. Przez chwilę siedziałem wpatrzony w zabawkę, potem ostrożnie włożyłem ją do nylonowej torebki i zostawiłem przy zlewie. Pozamykałem drzwi na klucz, sprawdziłem okna i wróciłem do łóżka.

W końcu chyba zapadłem w niespokojny sen; śniłem, że widzę jakiś kształt, przemieszczający się przez noc, czarny na tle gwiazd. Widziałem samotnie stojące na polanie drzewo i kołyszące się pod nim sylwetki. Czulem zapach krwi i przyprawiającą o mdłości słodkawą woń perfum. Pękate, białe palce przesuwały się po mej nagiej piersi.

I zobaczyłem, jak gaśnie światło, i w ciemnościach usłyszałem płacz dziecka.

mmmMŁ OTtow

Gdy obudziłem się i powróciłem do kuchni, za oknem szarzało, a ziemia ponownie zamarzała. Kontury zapakowanej w woreczek figurki kłowna rozmywał biały nylon, jednak długi, czerwony nos przebijał przez plastik, a przyćmione kolory zabawki jawiły się niczym jej własny, wyblakły duch.

Ubrałem się w spodnie i bluzę, na poranny bieg, i ruszyłem w stronę drogi US 1. Przed wyjściem dokładnie sprawdziłem wszystkie drzwi i okna — zazwyczaj tego nie robię. Skręciłem na Spring Street i pobiegłem na południe, w kierunku skrzyżowania z Mussey Road, po lewej mijając zwieńczoną wieżą z białego drewna ceglaną bryłę Pierwszego Kościoła Baptystów w Scarborough, ku widniejącemu na wprost przede mną sklepowi 8 Corners. Biegłem wzdłuż Spring, potem 114 i dalej, a wokół panowała całkowita cisza, tylko drzewa szeptały nad moją głową. Z prawej minąłem Scarborough High School, do której uczęszczałem po przeprowadzce do Maine; pewnej wiosny udało mi się nawet, gdy połowa drużyny zapadła na gripę, zagrać kilka razy z Redskinami. Po lewej, na parkingu przy sklepie Shop'n'Save, nie zauważyłem nikogo, ale dalej przede mną, na zaniedbanym odcinku US 1 panował już całkiem ożywiony ruch. Odkąd pamiętam, ta część drogi wyglądała tak samo niechlujnie, gdy w latach osiemdziesiątych zabrano się za porządki; z tym odcinkiem niewiele już dało się zrobić. A może po prostu taka jest uroda autostrady US 1, wygląda tak samo niemal wszędzie, gdzie byłem.

Gdy po raz pierwszy przybyłem do Scarborough, w mieście istniało tylko jedno centrum handlowe — Orion Center. Znajdował się tam dom towarowy Mammoth Mart, spożywczy sklep Martina, pralnia i sklep alkoholowy z tych, co to mój dziadek określał mianem „U Doktora Greena”, jeszcze z czasów, gdy sklepy te, zgodnie z przepisami stanowej komisji do spraw alkoholu, malowano na jednakowy, zielony kolor.

U Doktora Greena kupowaliśmy Old Swilwaukee i Pabst Blue Ribbon — wtedy jeszcze wiek uprawniający do picia wynosił osiemnaście lat, choć czy to miało jakiegokolwiek znaczenie — i wypijaliśmy na Plaży Higginsa, Przy mniej uczęszczanym krańcu w pobliżu rezerwatu ptaków, gdzie świergocąca siewka zaznacza swoje terytorium trelami przypominającymi dźwięczenie maleńkich dzwoneczków.

Pamiętam, jak latem osiemdziesiątego drugiego usiłowałem namówić ^ecky Berube do położenia się tam ze mną na piasku. Nie udało mi się, i było to tego rodzaju lato, kiedy wydaje nam się, że umrzemy prawiczkami. Becky Berube od tego czasu urodziła pięcioro dzieci, sądzę więc, że niedługo po tamtym lecie nauczyła się kłaść. Jeździliśmy autami z lat sześćdziesiątych, takimi jak pontiac-kabriolet, MG, thunderbird, chevy impala i camaro, o potężnych, 8-cylindrowych silnikach, a nawet w jednym przypadku kabrioletem plymouth barracuda. Łapaliśmy wakacyjne zajęcia przy plażowych piknikach w Pine Point albo pracowaliśmy jako kelnerzy czy chłopcy do wszystkiego w Black Point Inn.

Przypominam sobie bójkę w Orion Center; pewnego upalnego wieczora kilku z nas starło się z chłopakami z Old Orchard Beach, którzy właśnie w poszukiwaniu podobnych wrażeń

wędrowali na północ US 1. Zaczęło się od wymiany słów, potem gróźb, wreszcie doszło do rękoczynów. Wtedy jeszcze nie umiałem sobie radzić i otrzymałem potężny cios prosto w nos od chłopaka, którego imienia nigdy nie poznałem i którego nigdy wcześniej ani później nie widziałem — czyjegoś kuzyna z Chicago. Pamiętam jego złośliwe, prostackie oczka, spłowiały drellich i koszulkę z Aero-smith, wystającą spod czarnej, skórzanej kurtki motocyklowej.

Jego pięść wyruszyła w kierunku grzbietu mego nosa tak pewnie i z takim impetem, z jakim kula wycelowana w przeznaczony do rozbiórki budynek, nim weń uderzy, rozpruwa powietrze, i chrząstka aż przekrzywiła się pod naporem ciosu. Upadłem na ziemię z twarzą zalaną ciepłą krwią. Bójka wokół trwała dalej, ktoś wylądował skulony na podłodze, daremnie próbując się osłonić przed kopniakami w głowę i brzuch, ale to, co się działo, ledwie do mnie docierało poprzez mgłę bólu, strachu i mdłości. Walka ustała wraz z wymianą ostatnich ciosów, gróźb i obietnic rewanzu, aleja wciąż klęczałem, z dłońmi przyciśniętymi do złamanego nosa, a ciekące po policzkach łzy mieszały się z krwią.

Anthony Hutchence, „Tony Hutch”, który ćwiczył zapasy jeszcze zanim został uczniem szkoły średniej w Scarborough — kontynuował ten sport jako student Uniwersytetu Nowa Anglia i pewnie wystąpiłby na Olimpiadzie, gdyby nie doznał kontuzji kręgosłupa — delikatnie odsunął moje dłonie, ujął me policzki i zbadał twarz w ten pełen profesjonalnej obojętności sposób, wynikający z doświadczenia na macie jak i poza nią. Potem wezwał na pomoc dwóch osiłków, by przytrzymali mi ręce i głowę, i nastawił mi nos, używając kciuków.

Ból był przeraźliwy, wręcz nie do wytrzymania, zupełnie jakby moją głowę przeszła błyskawica; przed oczami ujrzałem białe, a zaraz potem jaskrawo-czerwone światło. Krzyknąłem, ale nawet nie pamiętam słów, tyle że podobnego dźwięku nigdy wcześniej nie słyszałem. A potem ta ostrość, jak ukłucie igłą, ustąpiła miejsca bólowi tępemu i jednostajnemu; Tony Hutch cofnął się i gdy zobaczyłem krew na jego kciukach, wiedziałem, że jego linie papilarne wyraźnie odcisnęły się na mej twarzy.

Ale po tym zdarzeniu mój strach przed złamaniem nosa nigdy już nie był taki sam. Poznałem ból i bynajmniej nie pragnąłem przeżywać go ponownie, ale zmieniło się całe moje nastawienie: poradziłem sobie i w razie potrzeby znów bym sobie poradził. I już nigdy nie musiałbym przeżywać podobnego szoku, uczucia bezsilności i upokorzenia. Wszystko to miałem za sobą, uodporniłem się na ból. Gdy umarły Jennifer i Susan, stało się podobnie, tyle że tym razem coś wewnątrz mnie umarło; zamiast wzmocnić się, jakaś część mnie odeszła na zawsze.

Przebiegłem US 1 przy włoskiej restauracji U Amato i biegłem dalej Old County Road, między słonymi moczarami, które wylewały raz w miesiącu zgodnie z fazą księżyca, obok katolickiego kościoła Maksymiliana Kolbego, aż znalazłem się obok cmentarza. Mój dziadek jest tu pochowany przy Piątej Alei. Gdy wykupił grób, zwykli byli z babcią z tego żartować. Teraz leżą tu oboje. Po chwili odpoczynku wyrwałem trochę chwastów i zmówiłem krótką modlitwę.

Po powrocie do domu nastawiłem kawę, zjadłem kawałek grejpfruta i rozmyślałem o wydarzeniach ostatniej nocy. Na zegarze na ścianie w holu właśnie miała wybić dziewiąta, gdy u moich drzwi pojawił się Ellis Howard.

Ellis wyglądał, jakby roztopiony smalec wiano do elastycznej, ledwie przypominającej ludzką postać formy i pozostawiono do zastygnięcia. Opatulony brązowym kozuchem szef wydziału dochodzeniowego policji w Portland wygramolił się, z wyraźnym trudem, z samochodu. Wydział dochodzeniowy dzielił się na podgrupy specjalizujące się w narkotykach i prostytutce, przestępstwach przeciwko osobom, przeciw własności oraz administracji. W zasadzie wszystkim kierował Ellis, wspomagany przez detektywa porucznika i czterech

sierżantów, każdy odpowiedzialny za jedną grupę. W sumie pracowało tam dwudziestu dwóch oficerów i czterech techników dochodzeniowych. Był to mały, sprawny wydział.

Ellis wtoczył się na werandę niczym kula do gry w kręgle, którą ktoś, chroniąc przed mrozem, owinął kozuchem. Nie sprawiał wrażenia, aby mógł poruszać się na tyle prędko, by choć w połowie dorównać kuli, ani biec wystarczająco szybko, by uratować życie swoje czy w ogóle kogokolwiek. Tyle że jego zadaniem nie było bieganie, a zresztą pozory mogą wprowadzać w błąd. Ellis obserwował, zastanawiał się i zadawał pytania, obserwował i dalej się zastanawiał. Niewiele umykało jego uwadze. Był tego rodzaju człowiekiem, co to może jeść zupę widelcem i nie rozleje ani kropli.

Miał żonę, straszne babsko o imieniu Doreen, która pacykowała się tak grubo, że mogłes wyryć na jej twarzy swe inicjały, nie ryzykując zadrażnienia policzka. Gdy się uśmiechała, co nie wydarzało się zbyt często, to jakby ktoś oderwał kawałek skórki z pomarańczy. Ellis zdawał się tolerować ją z podobną rezygnacją, z jaką święci szli na męki, choć miałem przecucie, że głęboko w sercu niezbyt ją lubił.

Dlatego szukał ucieczki w pracy i statystyce baseballu. Nie mrugnawszy okiem, potrafił zrelacjonować tę jedyną grę w historii Dużej Ligi, kiedy to dwaj gracze wybijali piłki przez dziewięć czy więcej kolejek; wydarzenie miało miejsce drugiego maja 1917 roku: Fred Toney z Reds i Hippo Vaughn z Cubs wykonywali rzuty przez 9 rund, aż wreszcie, w dogrywce, Larry Kopf zastosował podkreconą piłkę — manewr Jima Thorpe'a1 — i zdobył singla; znał też Ellis szczegóły dokonania Lou Gehriga, gdy Yanks prowadzili w czterech kolejnych turach podczas rozgrywek światowych w 1932 roku: do bazy-mety atakujący dotarł trzy razy, a pozostali członkowie drużyny — przesuwając się o jedną bazę każdy — aż ośmiokrotnie, przy średniej trafień .529 i średniej bazowej 1.118. Wprawdzie to Babe Ruth zdobył sławę, Ellis zapamiętał jednak właśnie Lou Gehriga. Lou miał swoją ukochaną Eleanor, a Ellis swą Doreen. I to najwyraźniej liczyło się dla niego.

Odsunąłem się, by zrobić mu przejście — nie miałem zbyt wielkiego wyboru. — Dobrze wyglądasz, Ellis — powiedziałem — dieta pączkowa wyraźnie ci służy.

— O, znalazłeś kogoś do naprawy dachu — odpalił — widać, żeś miastowy, jakież inny mieszkaniec tego stanu remontowałby dach w zimie? Przypadkiem nie przykładałeś ręki do tej roboty?

— W istocie.

— O Jezuu, chyba bezpieczniej byłoby porozmawiać na zewnątrz.

— Ale dowcipniś — odrzekłem, gdy ciężko zasiadł na kuchennym krześle. — Może bardziej powinno cię interesować, czy nie zawali się pod tobą podłoga...

Nalałem mu kawy. Pociągnął łyk; jego twarz spoważniała, wręcz posmutniała.

— Coś nie tak?

Skinął głową. — Bardzo. Znasz Biłły'ego Purdue?

Przypuszczałem, że zna już odpowiedź na to pytanie. Przesunąłem palcem po bliźnie na policzku.

— Taa, znam go.

— Podobno kilka dni temu miałeś z nim starcie. Mówił ci coś o swojej byłej?

— Czemu pytasz? — Nie zamierzałem niepotrzebnie pakować Biłły'ego w tarapaty, jednak już jakieś niemiłe uczucie ścisnęło mi żołądek.

— Dziś rano Ritę i jej dzieciaka znaleziono martwych w mieszkaniu. Żadnych śladów włamania, nikt nic nie słyszał.

Wciągnąłem głęboko powietrze; ogarnął mnie dotkliwy smutek na wspomnienie rączki Donalda na moim palcu, dotyku dłoni jego matki na moim policzku. Pomyślałem o Billym Purdue i poczułem palący gniew, bo zaraz uznałem go winnym. Uczucie to nie trwało długo, ale jego intensywność pozostała. Dlaczego nie mógł ich ochronić? Czemu był nieobecny, gdy

go potrzebowali? Może nie miałem prawa zadawać takich pytań; a może, biorąc pod uwagę to wszystko, co się w ostatnim roku wydarzyło, nikt inny nie miał większego prawa ode mnie.

— Co się stało?

Ellis pochylił się i zatarł ręce, wydając miękki, szeleszczący dźwięk.

— Z tego co mi wiadomo, kobietę uduszono. Co do chłopca, nie wiem. Na ciałach nie znaleziono śladów seksualnej przemocy.

— Jeszcze nie byłeś na miejscu zbrodni?

— Nie. Dzisiaj odbierałem wolne, ale już tam jadę. Lekarz jest na miejscu. Pechowiec, akurat przyjechał do Portland na ślub.

Wstałem i podeszedłem do okna. Na zewnątrz wiatr przeczesywał zielone krzewy, wysoko na niebie fruwały dwie sikorki o czarnych czubach.

— Sądzisz, że Billy Purdue zabił własne dziecko i była żoną? — spytałem.

— Może. Nie byłby pierwszym, który popełnił coś podobnego. Ona wezwała nas wieczorem przed trzema dniami, skarżąc się, że Billy stoi pod domem w sztok pijany i wrzeszczy, by go wpuściła. Wysłaliśmy samochód i zamknęliśmy go, by ochłonął, a potem, pod groźbą zapuszkowania na dłużej, kazaliśmy mu trzymać się od niej z daleka. Może postanowił za wszelką cenę nie dopuścić, by odeszła...

Pokręciłem przecząco głową. — Billy Purdue nie zrobiłby czegoś Podobnego.

Ale już w chwili, gdy wypowiadałem te słowa, sam miałem wątpliwość! — Przypomniały mi się czerwone błyski w jego oczach i jak niemal udu- sił mnie na śmierć w swej przyczepie, a także przekonanie Rity, że był gotowy na wszystko, byle tylko przeszkodzić jej w wywiezieniu synka.

Ellis jakby dotrzymywał kroku mym rozważaniom. — Może tak, może nie — powiedział. — Na policzku masz niezłą bliznę, wyjawisz mi, skąd się wzięła?

— Poszedłem do jego przyczepy, by wyciągnąć choć część alimentów na dziecko. Zagroził, że poczęstuje mnie kijem baseballowym, więc chciałem go powstrzymać i sprawy nieco wymknęły się spod kontroli.

— Wynajęła cię, byś wyegzekwował od niego forszę?

— Podjąłem się w ramach przysługi.

Ellis skrzywił się kącikami warg. — Przysługi... — powtórzył i pokiwał do siebie głową. — A gdy wyświadczałeś tą... przysługę, wspomniał coś

o swej byłej? — Teraz głos Ellisa zabrzmiał jakoś ostrzej.

— Mówił, że chce się nią, nimi obojgiem opiekować. Potem zapytał, czy z nią sypiam.

— Co mu powiedziałeś?

— Że nie.

— W tych okolicznościach właściwa odpowiedź. A sypiałeś z nią?

— Nie. — Spojrzałem mu twardo w oczy. — Nie, nic z tych rzeczy. Złapałście już Billy'ego?

— Zniknął. W przyczepie nie ma po nim śladu, a Ronald Straydeer nie widział go od przedwczoraj.

— Wiem, byłem tam wczoraj.

Ellis uniósł brwi. — Raczysz wyjawić, w jakim celu?

Powiedziałem mu o spotkaniu z wybladłym dziwadłem w gospodzie 1 później w Java Joe's. Ellis wyjął notes i zapisał numer coupe de ville.

— Przepuścimy przez system, zobaczymy, co wyjdzie. Jeszcze coś powinienem wiedzieć?

Podeszedłem do kuchennego blatu i podałem mu plastikowy worek z kłownem-zabawką. — Dzisiaj w nocy, gdy spałem, ktoś wszedł do mojego domu. Rozejrzał się, przez chwilę poobserwował mnie, potem zostawił to.

Otworzyłem woreczek i położyłem na stole przed Ellisem. Wyciągnąłem z kieszeni rękawiczkę do zbierania dowodów rzeczowych, sięgnąłem do woreczka i delikatnie wyjąłem zabawkę.

— Prawdopodobnie okaże się, iż należała do Donalda Purdue.

Ellis spojrział na mnie. — A gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

— Jezu, Ellis, nie pytaj mnie. — Poczuję, jak wzbiera we mnie ogromny gniew. — Nawet nie zakładaj czegoś podobnego.

— Spokojnie, Bird, nie płacz, zanim nie zaboli. Wiesz, że wcześniej czy później musiałem postawić to pytanie. Równie dobrze możemy przejść przez to od razu...

W milczeniu czekał na odpowiedź.

— Po południu nie ruszałem się z domu — wydusiłem przez zaciśnięte zęby. — Wieczorem pojechałem do Portland, trochę poćwiczyłem, kupiłem kilka książek, wpadłem na kawę, wreszcie postanowiłem zajrzeć do Rity...

— O której?

Zastanowiłem się. — Byłem pod jej domem o ósmej, najpóźniej o ósmej trzydzieści. Pukałem, nikt nie odpowiadał.

— A potem?

— Wybrałem się do domu Ronalda Strydeera, później wróciłem do siebie i poszedłem spać.

— Kiedy znalazłeś zabawkę?

— Może o trzeciej nad ranem. Dobrze by było, gdybyś przysłał kogoś do zrobienia odlewów śladów pozostawionych na błocie wokół mego domu. Mróz je z pewnością utrwalił.

Skinął głową. — Zrobimy to. — Podniósł się do wyjścia, ale przystanął na moment. — Musiałem zapytać, przecież wiesz.

— Wiem.

— I jeszcze coś: obecność tego przedmiotu — uniósł worek z kłownem — oznacza, że ktoś sobie ciebie wybrał. Ktoś, kto skojarzył cię z Ritą Ferris, i coś mi mówi, że istnieje tylko jeden kandydat.

Billy Purdue. Wciąż jednak nie wydawało mi się to prawdopodobne, chyba że uznał mnie odpowiedzialnym za wydarzenia, które doprowadziły do śmierci jego synka; jakbym pomagając Ricie, zmusił go do popełnienia tego czynu.

— Słuchaj, pozwól mi jechać z tobą, może coś mi się nasunie — powiedziałem w końcu.

Ellis oparł się o framugę drzwi. — Podobno wystąpiłeś o licencję prywatnego detektywa...

Tak było. Wciąż wprawdzie miałem trochę gotówki z polisy ubezpieczeniowej Susan i sprzedaży naszego domu, i z pewnej roboty, którą wykonałem w Nowym Jorku, ale wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał jakoś zarabiać na życie. Już zresztą proponowano mi podjęcie paru spraw w „korporacyjnym wywiadzie konkurencyjnym” — eufemizm, któ-

ryni określano konkurencyjne szpiegostwo przemysłowe. Brzmiało to bardziej interesująco niż wyglądało w rzeczywistości: kierownik sprzedaży

68

69

podejrzany o zbywanie towarów konkurenta, łamiący zasady umowy o niekonkurowaniu; sabotaż linii produkcyjnej w zakładach oprogramowania komputerowego w South Portland; przecieki danych przy licytacji nowego przedsięwzięcia budowlanego w Augustie. Wciąż rozważałem ewentualność podjęcia się którejś z tych robótek.

— Owszem, licencję zatwierdzono w zeszłym tygodniu.

— Stać cię na więcej. Wszyscy wiemy, czego dokonałeś, kogo dopadłeś. Przydałby nam się ktoś taki.

— To znaczy...?

— Że jeżeli tylko chcesz, czeka na ciebie odznaka. Znajdziemy ci coś w Wydziale Kryminalnym.

— Sprawy przeciwko mieniu czy osobie?

— Nie wygłupiaj się.

— Jeszcze przed chwilą sugerowałeś, że mogę być podejrzanym w sprawie o podwójne zabójstwo. Szybko zmieniasz zdanie, Ellis.

Uśmiechnął się. — No to jak?

Skinąłem głową. — Zastanowię się.

— Koniecznie — powiedział — zrób to.

Rita Ferris leżała na podłodze, twarzą do ziemi, w pobliżu telewizora. Z szyi zwisały jej poskręcane końce sznura, splątane pasma włosów odsłaniały siny czubek ucha. Spódnice miała uniesioną niemal do pasa, ale rajstopy i majtki były na swoim miejscu, nietknięte. Przeszyło mnie bolesne uczucie litości i coś jeszcze: jakiś rodzaj miłości zrodzonej z krótkiego momentu świadomości olbrzymiej straty. Poczulem ucisk w żołądku, w oczach pieczenie i znowu powróciło do mnie to jej ostatnie, przelotne muśnięcie, jakby jej dłoń wypaliła znak na mym policzku.

I w tym pokoju, czystym, wysprzątanym, gdzie na wierzchu leżały tylko zabawki i ubrania dziecka, jego pieluszki i zapinki — codzienne piękno wolnego formowania się życia dziecka — udało mi się wręcz namacalnie wyobrazić sobie jej ostatnie chwile. Poczulem...

Widzę — niewyraźny ruch, gdy sznur spada zarzucony przez głowę, nagle, instynktowne sięgnięcie ręki ku szyi, by wcisnąć palce pod pętlę, piekący ból pod paznokciami, gdy nie udaje się jej, i węzeł się zaciska.

To długa śmierć, powolne dławienie życia, gorzka, straszna walka z coraz mocniejszym, bezlitosnym naciskiem, niszczącym chrząstki krtani-

1 dzwony śmierci, gdy w końcu pęka delikatna kość gnykowa.

Wpada w panikę, puls przyspiesza; walczy i usiłuje złapać oddech, wtedy ciśnienie krwi podnosi się. Ona próbuje się bronić, kopiąc do tyłu, ataki ten ruch został przewidziany i sznur zaciska się jeszcze mocniej. Jej twarz, coraz bardziej purpurowa, sinieje, oczy wychodzą na wierzch, na ustach ukazuje się piana, a głowa, pod straszliwym ciśnieniem, zdaje się eksplodować.

Ciało dygocze; w ustach smak krwi, która z nosa spływa na wargi. Teraz ona już wie, że zbliża się śmierć, i podejmuje jeszcze jedną, desperacką próbę uwolnienia się, uratowania dziecka, ale ciało już słabnie, świadomość gubi się w ciemności; jeszcze, na koniec, czuje samą siebie, gdy traci kontrolę nad funkcjami ciała, i ta ostatnia myśl: przecież zawsze byłam taka czysta...

— Skończone? — rozległ się czyjś głos. To lekarz sądowy, doktor Henry Vaughan zwrócił się do fotografa. Siwowłosa Vaughan był erudyta, filozofem w równym stopniu jak lekarzem i zajmował posadę eksperta medycyny sądowej od ponad dwudziestu lat. Stanowisko anatoma otrzymuje się drogą mianowania na siedmioletni okres, co oznaczało, że kolejni gubernatorzy, zarówno z partii demokratycznej, jak i republikańskiej, a także ci niezależni, przez te wszystkie lata mianowali go lub odnawiali z nim kontrakt. Niedługo miał przejść na emeryturę i opuścić swój gabinet-skład w Augustynie, z półkami zastawionymi słoikami po maśle orzechowym, majonezie i sosach, każdy zawierający teraz jakąś część czyjegoś ciała. Nie zdawał się żałować, iż odchodzi: według Ellisa pragnął „więcej czasu na rozmyślanie”.

Fotograf pstryknął ostatnie ujęcie węzła, potem skinieniem głowy wyraził zgodę. Wykonano już przedwstępne szkice, zrobiono pomiary. Technik odpowiedzialny za zabezpieczenie śladów zakończył swe czynności wokół zwłok i przeszedł do peryferycznej części miejsca zbrodni. Dwóch medyków, czekających w kącie z noszami, już miało podejść, ale powstrzymały ich słowa Vaughana.

— Teraz ją obrócimy — polecił.

Dwaj detektywi, obaj w nylonowych rękawiczkach, stanęli tuż przy otaczającej ciało taśmie, jeden od strony nóg, drugi na wysokości tułowia, a Vaughan przytrzymał głowę.

— Gotowi? — spytał. — No to już!

Obrócili ciało, delikatnie i sprawnie, i usłyszałem jak jeden z gliniarzy, krzepki, łysiejący facet po czterdziestce, szepnął cicho: „O Jezu”.

Żrenice szeroko rozwartych oczu — zalanych krwią, gdy drobne naczynka popękały pod naciskiem sznura — przypominały ciemne słońca zawieszane na czerwonym niebie. Końce palców miała sine, a nozdrza i usta pokryte krwią i zaschniętą, białą pianą.

A wargi, te same, które zaledwie trzy dni temu pocałowały mnie delikatnie, kiedyś czerwone i ciepłe, teraz były zimne i sine.

Powiedz do widzenia.

Usta zaszyto jej grubą, czarną nicią; szwy biegły od góry na dół, tworząc wzór poszarpanych „v”, w kąciку ust sterczał splątany supeł, aby nic nie wymknęła się, nim szwy nie zostaną przeciągnięte do końca.

Zbliżyłem się i dopiero wtedy dostrzegłem dziecko. Leżało za kanapą; gdy podchodziłem, moim oczom ukazały się maleńkie nóżki w rajstopkach, a potem reszta jego ciała, ubranego w purpurowy kombinezon z dinozaurem Barneyem. Na główce pełno krwi, zaschniętej także w delikatnych blond włoskach, i jeszcze na parapecie okna, w rogu, w miejscu, o które uderzył.

Podszedł do mnie Ellis. — Ma siniaki na buzi. Sądzymy, że ktokolwiek to był, zadał mu jeden cios: może dzieciak płakał, a może po prostu przeszkadzał mordercy. Uderzenie było na tyle silne, iż chłopczyk upadł do tyłu i trafił główką w parapet.

Potrząsnąłem głową, przypominając sobie, jak mały zaatakował mnie, gdy poprzedniego wieczora dotknąłem jego matki.

— Nie — zaprzeczyłem i zacisnąłem oczy jak najmocniej, bo pieczenie pod powiekami stawało się nie do zniesienia.

I pomyślałem o moim dziecku, które na zawsze straciłem, i o innych, o ciałkach zapakowanych w plastikowe worki, zakopane pod ziemią w pełnej wilgoci piwnicy w Queens; o maleńkich twarzyczkach zamkniętych w słoikach; o pochodzie tych, którzy odeszli, rozciągającym się w ciemność, we wspólnym marszu ku zapomnieniu.

— O nie, on nie płakał — powiedziałem — on próbował jej bronić.

Gdy ciała pakowano w białe worki, by zabrać je do Augusty na sekcję, rozejrzałem się po mieszkaniu. Miało tylko jedną sypialnię, choć szeroką

i długą, wystarczająco obszerną, by pomieścić podwójne łóżko oraz mniejsze, z wyjmowaną balustradką, dla Donalda. Stała tam sosnowa komoda i, do kompletu, sosnowa szafa, a także, obok małej półki zastawionej książkami z obrazkami, pudło kopiało wypełnione zabawkami. W jednym rogu, przy otwartej szufladzie, technik od zabezpieczania śladów rozsypywał proszek do utrwalania odcisków palców.

Widok ubrań porządnie poukładanych na półkach, zabawek pochowanych do pudła, przywrócił wspomnienie, które przeszło mi serce. Jeszcze niecały rok temu stałem w naszym niedużym domu przy Hobart Street w Brooklynie i w jedną noc uporałem się z rzeczami po zmarłej żonie i córce; sortowałem, odrzucałem, próbowałem uchwycić ich zapach, wciąż jeszcze, jak duchy ich samych, nie opuszczający ubrań. Moja Susan i moja Jennifer: ich krew wciąż widniała na ścianach kuchni, jak i kredowe linie na podłodze, zaznaczające miejsca, gdzie stały krzesła, te, do których je przywiązano i okaleczono, podczas gdy mąż i ojciec, który powinien je chronić, podpierał bar.

I tu, w sypialni Rity, pomyślałem: kto teraz posortuje ich ubrania? Kto będzie palcami pieścił bawełnę jej bluzki tak długo, aż odcisną się na materiale niczym pieczęć? Kto weźmie do ręki jej bieliznę, różowy staniczek bez fiszbinów (miała tak maleńkie piersi) i przytrzyma

delikatnie, wspominając, zanim odłoży na zawsze, jak to kiedyś jedną ręką odpinał haczyki, jak pod jej ciężarem ramiączka się rozsuwały, a łódeczki powoli opadały? I kto spakuje te wszystkie ubranka, te buciki ze sznurówkami, których małe paluszki jeszcze nie nauczyły się zawiązywać?

Kto zabierze się do tego wszystkiego, wyświadczy zmarłym te drobne usługi, kto dokona tych aktów pamięci posiadających, na swój sposób, o wiele większą moc od najbardziej okazałego nagrobka? I gdy żegnałem się z tym, co kiedyś do nich należało, stali się wyraźnie, intensywnie żywi, gdyż duch dziecka jest wciąż dzieckiem, a wspomnienie miłości pozostanie nią nawet dziesiątki lat później.

Stałem przed domem w chłodnym, zimowym świetle słońca i patrzyłem, jak wynoszą ciała. Według Vaughana nie żyli najwyżej od dziesięciu godzin, może nawet krócej; ustalenie dokładnego czasu zgonu trochę potrwa, z wielu powodów, łącznie z chłodem panującym w pełnym przeciągów, starym mieszkaniu, jak i rodzajem śmierci Rity Ferris. Rigor mortis był już wyraźny w drobnych mięśniach powiek, dolnej szczęki oraz szyi i stopniowo rozszerzał się na inne mięśnie, choć w przypadku Rity proces sztywnienia przyspieszyła jej śmiertelna walka.

Powodem pośmiertnego stężenia jest zanik źródła energii niezbędnej do skurczu mięśni, zwanej adenozynotrójfosfatazą lub ATP. Zwykle substancja ta zanika całkowicie cztery godziny po śmierci, pozostawiając mięśnie sztywne aż do czasu, gdy zaczynają ulegać rozkładowi. Jeżeli jednak ofiara walczy przed śmiercią, to źródło ATP uszczupla i rigor mortis następuje szybciej. Ten właśnie stan należało wziąć pod uwagę w przypadku Rity, więc Vaughan uważał, iż Donald Ferris dostarczy bardziej dokładnego czasu zgonu.

Obydwa ciała posiniały od spodu, bo pod ciężarem krew spłynęła, co zwykle następuje sześć do ośmiu godzin po śmierci, a nacisk na sine miejsca nie dawał zjawiska „płowienia” czy bielenia, gdyż krew już zakrzepła, co wskazywało, iż zgon musiał nastąpić co najmniej pięć godzin wcześniej. Tak więc mógł mieć miejsce nie później niż pięć, ale i nie wcześniej niż osiem, ewentualnie dziesięć godzin temu. Na ich plecach nie odkryto zsinienia, co oznaczało, że po śmierci ciał nie przenoszono. Jeszcze żyli, gdy szukałem Rity wczoraj wieczorem. Może wyszła na zakupy lub z wizytą do przyjaciół. Gdybym ją znalazł, czy mogłem ją przestrzec? Mogłem uratować ją... oboje?

Ellis podszedł do mnie, do miejsca, gdzie stałem oddalony od grupy ciekawskich.

— Czy coś ci się skojarzyło? — zapytał.

— Jeszcze nie.

— Jak ci coś przyjdzie do głowy, dasz nam znać, co?

Ale już go nie słuchałem, bo moją uwagę przyciągnęli dwaj mężczyźni w cywilu, którzy machnęli legitymacjami przed oczami policjanta pilnującego ciekawskich i przeszli do budynku. Nie musiałem widzieć, co mieli w portfelach, by wiedzieć, kim są.

— Fedzie — stwierdziłem.

Za nimi wyłoniła się wysoka postać o kruczoczarnych włosach, w staroświeckim, granatowym garniturze.

— Agenci specjalni Samson i Doyle — objaśnił Ellis — a to kanadyjski gliniarz, Eldritch. Byli tu już wcześniej, chyba nie mają do nas zaufania.

Odwróciłem się do niego.;— O czym mi w tej sprawie nie wiadomo?

Sięgnął do kieszeni i wyjął jasny, plastikowy woreczek na dowody rzeczowe; zawierał cztery studolarowe banknoty, zupełnie jak nowe, poza jedynym zagięciem na każdym.

— No to pohandlujmy — powiedział Ellis. — Wiesz coś o tym?

W żaden sposób nie dało się wykręcić. — Wyglądają jak te, które Billy Pardue dał mi dla Rity jako część alimentów na dziecko.

— Dzięki — rzucił tylko i zaczął się oddalać. Widziałem, że jest na mnie zły; nie rozumiałem, dlaczego.

Wyciągnąłem rękę i szarpnąłem go za ramię. Nie wyglądał, by mu się to spodobało — nie dbałem o to. Mój gest zauważyli dwaj mundurowi, ale Ellis uspokajająco machnął im ręką.

— Nie wykorzystuj mego dobrego humoru, Bird — rzucił ostrzegawczo, spoglądając na moją dłoń. — Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dał ci te pieniądze?

Nie poluzowałem uchwytu. — Coś mi się od ciebie należy — powiedziałem. — Nie mogłem wiedzieć, że ta forsa ma znaczenie.

Zmarszczył brwi i odpowiedział: — To tylko próba, mam nadzieję. Może mnie puścisz? Palce mi ścierpną.

Puściłem go, a on delikatnie rozmasował sobie ramię.

— Widzę, że dalej trenujesz. — Rzucił okiem na dom Rity; fedzie i kanadyjski gliniarz wciąż byli w środku.

— Słyszałeś o wydarzeniu na Prouts Neck kilka dni temu? — zaczął.

— Jasne, oglądałem wiadomości. Martwy irlandzko-amerykański fedzio, trzech nieżywi Włosi i czterech Kambodżan: masakra przy równych szansach. No i co?

— Był tam jeszcze jeden gracz. Z broni maszynowej załatwił Paulie Błocka i Jimmy'ego Fribba, i coś zabrał.

— Mów dalej.

— Na Necku miała miejsce wymiana: gotówka za coś tam. Fedzie dostali cynk, gdy w Portland pojawili się Paulie Błock i Chester Nash. Przypuszczają, iż chodziło o okup za kogoś, kto już nie żył. Ludzie z biura szeryfa w Norfolk County w Massachusetts wykopali wczoraj przy Larz Anderson Park ciało Kanadyjki Thani Pho. Wywąchał ją pies...

— Niech zgadnę — przerwałem mu — Thani Pho była pochodzenia kambodżańskiego.

Ellis przytaknął. — Wygląda na to, że studiowała na pierwszym roku na Harvardzie, znaleziono przy niej jej torebkę. Sekcja wykazała, że ją zgwałcono, potem żywcem pogrzebano. W jej gardle znaleziono ziemię. Według tych fedziów i Eldritch, chłopcy Tony'ego Celli porwali dziewczynę, przechrztyli Azjatów i rozwalili ich pod samym nosem federalnych. Centrum dochodzenia w tej sprawie jest w Bostonie. Mimo tej zabawy na Necku, fedzie koncentrują się na Tonym Celli. Ci dwaj agenci wyjaśniają sprawę z dwóch stron.

— Kto zapłacił okup?

Ellis wzruszył ramionami. — Magazyn z dostępną informacją FBI w tym punkcie został zamknięty, ale mówi się, że wymiana i zabójstwo Thani Pho są ze sobą powiązane, a skoro ten Eldritch zajmuje się sprawą, to pewnie istnieje kanadyjski wątek. Te banknoty, jak i te rozsypane na Necku, pochodzą z banku w Toronto. Kłopot w tym, że reszta forsy znikła, i tu właśnie pojawia się jeszcze jeden gracz.

— Ile tego było?

— Słyszałem o dwóch milionach.

Przeczesałem dłońmi włosy, roztarłem kark. Billy Purdue: facet przypominał nabój uderzający rykoszetem od środka, zabijający, dopóki napędzająca go energia nie wyczerpie się albo ktoś go nie powstrzyma. Jeżeli

Ellis mówił prawdę, to Billy musiał skądś dowiedzieć się o układzie Tony'ego na Necku, może nawet był zamieszany w tę sprawę, gdzieś na samym dole, i postanowił zdobyć tę masę kasy, pewnie w nadziei na odzyskanie byłej żony i synka i ułożenie sobie życia od nowa gdzieś, gdzie mógłby zapomnieć o przeszłości.

— Wciąż sądzisz, że Billy zabił Ritę i własnego syna? — spytałem.

— Być może — Ellis wzruszył ramionami. — Nie widzę innego kandydata.

— I zeszył jej usta czarną nicią?

— Nie wiem. Jeżeli zwariował na tyle, by narazić się Ton/emu Celli, jest wystarczająco szalony, by zeszyć swą byłą.

Ale wiedziałem, że sam nie wierzy w to, co mówi. Ta forsa całkowicie zmieniała postać rzeczy. Istnieli ludzie, którzy zadaliby wiele bólu, by położyć łapę na takiej kasie, a Tony Celli był jednym z nich, zwłaszcza że uważał pieniądze za swoje. Jednak okaleczenie ust Rity jakoś tu nie pasowało. Ani fakt, że nie torturowano jej. Ktokolwiek ją zabił, zrobił to nie w trakcie wydobywania z niej informacji. Zamordowano ją, bo ktoś postanowił, by umarła, a zeszyte usta wskazywały, iż morderca chciał przekazać przesłanie tym, którzy mieli ją znaleźć.

Dwa miliony dolarów: ta forsa wpędzi kogoś w niezłe kłopoty — ze strony Tony'ego albo facetów, których chciał przechytzyć. Jeszcze o tym nie wiedziałem, ale te pieniądze przyciągnęły również innych — osobników, którzy pragnęli ich dla siebie i nie dbali, kto po drodze zginie.

Ale Billy Purdue swymi poczynaniami zwabił kogoś, komu obojętne były pieniądze, martwe dziecko i młoda kobieta, która chciała polepszyć sobie życie. Ten ktoś powrócił, by upomnieć się o swoje, zemścić się na wszystkich, którzy to przed nim ukrywali, i niech Bóg ma w opiece każdego, kto stanie mu na drodze...

Zima wyjąć nadeszła z północy, a on z nią.

MMDMAŁ

mmm?

Po odejściu Ellisa stałem jeszcze przez chwilę i zastanawiałem się, czyby nie zostawić gliniarzom ich roboty. Jednak, zamiast po prostu spokojnie odjechać, wszedłem ponownie do budynku i wspiałem się na trzecie piętro.

Drzwi od mieszkania numer pięć niedawno pomalowano na jasny, wesoły, żółty kolor, na miedzianym numerze jeszcze widać było kropelki farby Delikatnie zapukałem i drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha. W szparze, na wysokości klamki zobaczyłem ciemną twarzyczkę; buzię otaczały czarne loczki, duże oczy spoglądały na mnie z zaciekawieniem.

— Odejdź stamtąd, dziecko — rozległ się głos i zaraz wyższa, ciemniejsza postać wypełniła szczelinę. Natychmiast dostrzegłem podobieństwo obu twarzy.

— Pani Mims? — spytałem.

— Panna Mims — poprawiła mnie. — Właśnie dwadzieścia minut temu skończyłam rozmawiać z policjantem.

— Ja nie jestem z policji, proszę pani. — Pokazałem jej legitymację. Nie dotykając dokumentu, przyjrzała mu się dokładnie, jej córka wspięła się na paluszki, usiłując zrobić to samo. Potem kobieta spojrzała na mnie. — Pamiętam pana, był tu pan kilka dni temu.

— Zgadza się. Znałem Ritę. Mogę wejść na chwilę?

Leciutko zagryzła dolną wargę, ale skinęła głową, zamknęła drzwi. Usłyszałem brzęk zdejmowanego łańcucha i drzwi otworzyły się ponownie, odsłaniając jasny, obszerny pokój. Niebieska kanapa, przyozdobiona żółtymi poduszkami, stała na gołej, lakierowanej podłodze. Dwa wysokie regały, wypełnione książkami w tanich wydaniach, wznosiły się po obu stronach starego, przesłoniętego szkłem, marmurowego kominka, a na półce przy oknie, w pobliżu telewizora i magnetowidu, zobaczyłem przenośne radio. Pokój pachniał kwiatami; z prawej strony otwierał się na niewielki korytarz, zapewne wiodący do sypialni i łazienki, po lewej znajdowała się nieduża, schludnie utrzymana kuchnia. Łagodny, żółty kolor, na jaki niedawno pomalowano ściany, sprawiał, iż pomieszczenie zdawało się skapane w blasku słońca.

— Ładnie urządzone mieszkanie, wszystko to pani dzieło?

Skinęła głową, nieudolnie kryjąc zadowolenie.

— Aja pomagałam — zaszczebotała dziewczynka. Miała może osiem, dziewięć lat i już widać było zaczątki piękności, która z czasem przyćmi urodę matki.

— Powinnaś zacząć się reklamować — stwierdziłem. — Znam mnóstwo takich, którzy by wiele zapłacili za doskonałą robotę. Nie wykluczając mnie.

Dziewczynka zachichotała zawstydzona, matka lekko poklepała ją po Plecach. — Idź, dziecko, pobaw się, aja porozmawiam z panem Parkerem.

Mała posłuchała; jeszcze tylko wychodząc, rzuciła mi przez ramię zaniepokojone spojrzenie. Uśmiechnąłem się, by ją uspokoić, nieśmiało zrewanżowała się tym samym.

— Śliczna dziewczynka — stwierdziłem.

— Po ojcu — w głosie panny Mims zabrzmiał sarkazm.

— Nie sądzę. Bywa tutaj?

— Nie, wykopałam skunksa. Ostatnio słyszałam, że przebywa na wikcie stanu New Jersey.

— Miejsce w sam raz dla niego.

— Amen. Ma pan ochotę na kawę, może herbatę?

— Z przyjemnością napiję się kawy. — Tak naprawdę wcale nie miałem ochoty, ale pomyślałem, że może uda mi się trochę rozładować atmosferę. Panna Mims wyglądała na twardą osobę. Jeżeli by postanowiła nie pomagać, niewiele bym wskórał, choćbym stawał na głowie.

Po chwili wyłoniła się z kuchni z dwoma garnuszkami, starannie ustawiła je na podstawkach na niskim, sosnowym stole, potem poszła jeszcze po mleko i cukier. Gdy wróciła, usiedliśmy. Jej dłoń trzymająca kubek drżała. Dostrzegła moje spojrzenie i wyciągnęła lewą rękę, by unieruchomić naczynie.

— Trudna sprawa — powiedziałem cicho. — Gdy coś takiego się wydarzy, to jak kamień wrzucony do wody Wzburzy powierzchnię i opryska wszystko wokół.

Przytaknęła ruchem głowy. — Ruth wypytuje mnie, co się stało. Nie wiem, jak jej powiedzieć, że oni nie żyją.

— Dobrze знаła pani Ritę?

— Trochę, bardziej ze słyszenia. Wiedziałam o jej mężu. O tym, jak niewiele brakowało, a spaliliby ich... — Ucichła na chwilę. — Myśli pan, że on to zrobił?

— Nie wiem. Podobno kręcił się ostatnio w okolicy.

— Widziałam, raz czy dwa, jak obserwuje dom. Mówiłam Ricie, ale ona wezwała gliny dopiero, gdy zjawił się pijany w sztok. Poza tym jego obecność wydawała się jej nie przeszkadzać, myślę, że było jej go żal.

— Była pani w domu wczoraj wieczorem?

Skinęła głową i po chwili milczenia dodała: — Położyłam się wcześniej, kobiece dolegliwości, no wie pan. Zażyłam dwa tylenole, popiłam łykiem whisky i spałam do rana. Zeszłam wtedy na dół, zobaczyłam otwarte drzwi mieszkania Rity i weszłam do środka. Wtedy ich znalazłam. Wciąż myślę, że gdybym nie zażyła tych tabletek, nie popiła drinkiem... — Głośno przełknęła ślinę, z trudem powstrzymała się od płaczu. Na chwilę oderwałem od niej wzrok, a gdy ponownie spojrzałem, zdawała się wziąć w garść.

— Czy wie pani jeszcze o czymś lub o kimś, co Ritę niepokoiło? — dociekałem.

Znowu chwila milczenia, tym razem wiele mówiąca. Czekałem, ale ona wciąż milczała. — Panno Mims... — zacząłem.

— Lucy.

— Lucy — powiedziałem łagodnie — już nic, co powiesz, nie wyrządzi jej krzywdy. Ale jeżeli wiadomo ci o czymś, co pomoże odnaleźć mordercę, powiedz, proszę.

Upiła łyk z garnuszka. — Brakowało jej pieniędzy, wiem, bo mi powiedziała. Jakaś kobieta jej pomagała, ale nie wystarczało. Zaproponowałam pomoc, nie przyjęła. Twierdziła, że znalazła sposób na niewielki zarobek.

— Mówiła, jaki?

— Nie, ale zajmowałam się Donaldem, gdy wychodziła. Trzy razy, na zawołanie. Za tym trzecim razem po powrocie widziałam, że płakała. Wyglądała na przerażoną, ale nie chciała powiedzieć, co się wydarzyło, oświadczyła tylko, że już nie będę musiała zajmować się Donaldem i że robota nie wypaliła.

— Powiedziałaś o tym policji?

Zaprzeczyła ruchem głowy. — Sama nie wiem, dlaczego. Tak uznałam... bo ona była w porządku, i myślę, że robiła to, co robiła, by jakoś powiązać koniec z końcem. Ale gdybym powiedziała policji, pewnie zrobiliby się z tego coś innego, nieładnego.

— Wiesz, dla kogo pracowała?

Wstała i wyszła na korytarz; słyszałem odgłos jej stóp na deskach podłogi. Wróciła z kawałkiem papieru w ręce.

— W razie problemów z Donniem czy Billym lub gdyby nie wracała na czas, miałam zadzwonić pod ten numer i porozmawiać z tym mężczyzną. — Podała mi papier, na którym widniał zapisany zwięzłym, schludnym pismem Rity Ferris numer telefonu i nazwisko: Lester Biggs.

— Kiedy to się wydarzyło, z tym płaczem?

— Pięć dni temu. — Co oznaczało, że Rita zadzwoniła do mnie następnego dnia, prosząc o pomoc i pieniądze na wyjazd z Portland.

Potrząsnąłem kartką. — Mogę zatrzymać?

Skinęła głową, więc włożyłem papier do portfela.

— Tb ktoś znany? — spytała.

— Prowadzi agencję towarzyską w South Portland. — Nie miało sensu osładzać informacji, Lucy Mims już domyślała się prawdy.

Dopiero teraz w jej oczach zabłysły łzy. Kropelka zawisła na rzęsach, potem wolno ściekła po policzku. Jej córka stanęła w drzwiach od korytarza i podbiegła przytulić matkę. Spojrzała na mnie, ale w jej oczach nie dostrzegłem potępienia. Wiedziała, że cokolwiek się wydarzyło, matka nie płakała przeze mnie.

Wyjąłem z portfela wizytówkę i podałem Lucy. — Wezwij mnie, jeżeli przypomnisz sobie coś więcej lub będziesz chciała porozmawiać. Albo potrzebować pomocy...

— Nie potrzebuję pomocy, panie Parker — powiedziała. W jej głosie usłyszałem echo kogoś wykopywanego stąd aż do New Jersey.

— Też tak sędzę — wstałem i otworzyłem wyjściowe drzwi. — A większość ludzi mówi do mnie Bird.

Przeszła przez pokój, by zamknąć za mną drzwi, z córką wciąż obejmującą ją ramionami.

— Znajdziesz człowieka, który to zrobił, prawda? — spytała.

Przeptywające chmury niczym cętki zakryły blask zimowego słońca, i na ścianie za nią coś jakby się poruszyło. Przez chwilę zdawało się przybrać ludzki kształt, młodej kobiety przechodzącej przez pokój, aż musiałem lekko potrząsnąć głową, by zjawisko znikło. Jeszcze chwilę utrzymywało się w powietrzu, potem chmury przepłynęły, i już go nie było.

Skinąłem głową. — Tak, odnajdę go.

Lester Biggs miał biuro na Broadwayu, nad salonem fryzjerskim. Przycisnąłem dzwonek domofonu i po trzydziestu sekundach odpowiedział męski głos.

— Przyszedłem do Lestera Biggsa — rzuciłem w mikrofon.

— Jaka ma pan sprawę do pana Biggsa?

— Chodzi o Ritę Ferris. Nazywam się Charlie Parker, jestem prywatnym detektywem.

Cisza. Już miałem ponownie zadzwonić, gdy odezwał się brzęczyk. Pchnąłem drzwi i zobaczyłem strome schody, pokryte zielonym chodnikiem; na podeście znajdowało się małe, brudne okienko. Pokonałem dwie kondygnacje i stanąłem przed otwartymi drzwiami, wiodącymi do gabinetu z oknem na ulicę. Podłogę zakrywał ten sam zielony chodnik. Było tam biurko z telefonem, dwa nie wyściełane, drewniane krzesła, sterta świerszczyków na podłodze, obok dwa bliźniacze regały, pełne kaset wideo. Wzdłuż ściany stały trzy szafki na akta. Naprzeciwko, pod i wzdłuż dwóch szerokich okien wychodzących na Broadway, poustawiano pudła z różnymi urządzeniami elektrycznymi: kuchenkami mikrofalowymi,

suszarkami do włosów, przyborami kuchennymi, sprzętem stereo, nawet kilkoma komputerami — nie wyglądały na produkt znanej firmy. Napisy na pudłach przypominały cyrylicę: jakże w stylu Lestera Biggsa — kupować i sprzedawać rosyjskie komputery.

Za biurkiem, w skórzanym fotelu, siedział sam Lester, a po jego prawicy, na jednym z krzeseł, brodaty mężczyzna z wielkim brzuchem i bicepsami wielkości melonów. Jego pośladki, przypominające napełnione wodą balony, zwisały z krawędzi krzesła.

Lester Biggs był szczupły, uprzejmy i zadbany — jeżeli pod słowem „zadbany” rozumie się disc jockeya na weselu własnej siostry. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, miał na sobie tanie, zapinane na trzy guziki ubranie w jodełkę, białą koszulę i cienki, różowy krawat. Fryzurę nosił stylową — krótko przystrzyżony czub, tył długi i skrecony trwałą. Twarz pokrywała salonowa opalenizna, oczy spoglądały spod nieco przymkniętych powiek, jak u kogoś między snem a przebudzeniem. W prawej ręce trzymał pióro, którym, gdy wchodziłem, lekko uderzał o blat biurka, sprawiając, że złota bransoleta na jego ręce pobrzękiwała.

Biggs, jak utrzymywali niektórzy, nie był złym facetem według norm swej profesji. Zaczął od sklepu z używanym sprzętem elektronicznym, szybko przeszedł do skupowania i sprzedawania trefnych towarów, wreszcie rozszerzył działalność na inne dziedziny. Agencja towarzyska pojawiła się niedawno, może sześć czy siedem miesięcy temu. Z tego, co słyszałem, zbierał zamówienia, kontaktował się z właściwą panią, dostarczał samochód z szoferem, który zawoził ją pod podany adres, czasem wraz obstawą, kimś tak potężnym jak Jim, który teraz siedział obok, by dopilnować, aby wszystko szło gładko. Za swe usługi pobierał pięćdziesiąt procent. Nie był moralnym bankrutem, raczej takim bez pokrycia.

— Miejscowa sława detektywistyczna — powiedział. — Witamy. Proszę usiąść. — Długopisem wskazał na pozostałe wolne krzesła.

Usiadłem. Oparcie zatrzęszczało, jakby miało odpaść, więc pochyliłem się do przodu, by zmniejszyć nacisk.

— Interes kwitnie, jak widzę.

Biggs wzruszył ramionami. — Powodzi mi się nieźle. W mojej branży Przesadna specjalizacja nie popłaca.

— To znaczy?

— Kupuję i sprzedaję rozmaite towary.

— Podobnie jak ludzi?

— Dostarczam usług. Nikogo do niczego nie zmuszam. I nie zatrudniam nikogo, oprócz tego oto Jima. Pracują dla siebie. Ja wyświadczam przysługę.

— To niech pan opowie, jaką wyświadczył Ricie Ferris.

Biggs nie odpowiedział, tylko przesunął się lekko na krzesła, by wyrzeć przez okno. — Słyszałem, przykro mi. Była miłą kobietą.

— To prawda, była. Próbuję dowiedzieć się, czy jej śmierć ma jakiś związek z tym, co dla pana robiła.

Żachnął się. — Dlaczego miałoby to pana obchodzić?

— Po prostu obchodzi. Pana też powinno.

Wymienił spojrzenie z Jimem, który wzruszył ramionami. — Jak mnie pan znalazł? — zaciekawiał się.

— Poszedłem śladem taniego porno.

Biggs uśmiechnął się. — Niektórzy faceci potrzebują czegoś ekstra, by się rozkręcić. Na świecie jest dość zboczeńców i każdego dnia dziękuję za nich Bogu.

— Czy Rita Ferris spotkała się z jednym z nich?

Biggs odjechał od biurka, aż jego fotel dotknął ściany. W milczeniu starał się mnie oszacować.

— Albo dowiem się ja, albo gliniarze — rzuciłem. — Jestem pewien, że ci od narkotyków i prostytutki będą uszczęśliwieni możliwością porozmawiania o naturze tych świadczonych usług.

— Co chce pan wiedzieć?

— O poniedziałkowym wieczorze.

Znów wymienił spojrzenie z Jimem, wreszcie jakby zrezygnował i postanowił mówić. — Był dziwny telefon, to wszystko. Gość dzwonił z hotelu Radisson na High Street, chciał zamówić panienkę. Zapytałem, czy ma jakieś specjalne wymagania, powiedział, że ma być niska, blondynka, małe piersi, szczupła dupka. Że takie lubi. Cóż, pasowała Rita. Zadzwoiłem do niej, zaproponowałem robotę, zgodziła się. To był dopiero jej trzeci raz, ale bardzo zależało jej na forsie. Laski bez kaski... — uśmiechnął się bezbarwnie. — W każdym razie Jim podjechał po nią, odstawił na miejsce, zaparkował samochód i czekał w holu, a ona poszła do pokoju.

— Numer?

— Dziewięćset dwadzieścia siedem. Po dziesięciu minutach Rita schodzi, wbiega do holu, wprost w objęcia Jima i żąda, by odwiózł ją do domu- Jim odciąga ją do kąta, próbuje uspokoić i dowiedzieć się, co się stało. N^o więc poszła do tego pokoju, jakiś staruch otworzył drzwi i wpuścił ją środka. Mówiła, że był jakoś tak dziwnie ubrany... — Spojrzał na Jima, jakby prosząc o potwierdzenie.

— Staro — powiedział Jim — po staroświecku, jakby garnitur wyszedł z mody już przed trzydziestoma, czterdziestoma laty. Mówiła, że woniał naftaliną.

Po raz pierwszy Biggs wyglądał wyraźnie nieswojo. — Podobno w pokoju było jakoś dziwnie. Żadnych ubrań, żadnych walizek czy pakunków podróżnych, nic, tylko staruch w swym starym garniturze. Wystraszyła się. Nie umiała powiedzieć, dlaczego, ale ten stary gość przeraził ją.

— Paskudnie pachniał — wtrącił się Jim. — Tak mi powiedziała. Nie obrzydliwie jak zepsuta ryba czy zgniłe jaja, ale tak ohydnie, jakby smród wydostawał się z jakiejś jego wewnętrznej zgnilizny. Ohydnie jakoś... Gdyby zło miało zapach, śmierdziałoby tak jak on. — Wyraźnie zażenowany własnymi słowami, zaczął przyglądać się paznokciom.

— No więc, on kładzie dłoń na jej ramieniu — kontynuował Lester — a wtedy ona natychmiast chce uciekać. Odpycha go i facet pada na łóżko; ona biegnie do drzwi, ale są zamknięte na klucz, więc traci trochę czasu na otwarcie ich. Gdy już jej się udaje, ma go tuż za sobą, więc zaczyna krzyczeć. On ciągnie ją za sukienkę i próbuje zatkać jej usta, wtedy ona znów go uderza, tym razem w głowę. Zanim gość dochodzi do siebie, Rita otwiera drzwi i gna korytarzem. Słyszy go za plecami, jak pędzi, niemal ją dogania. Wtedy ona skręca za róg, wprost na grupę osób wsiadających do windy. Dobiega na czas, by jeszcze stopą przytrzymać zasuwające się drzwi; udaje jej się wejść do środka. Nie ma śladu po staruchu, ale ona wciąż czuje tę jego woń i wie, że tamten jest gdzieś w pobliżu... Myślę, że miała szczęście. W tej części Radissona działała tylko jedna winda. Gdyby nie zdążyła, bez wątpienia dopadłby ją. No i windą zjeżdża do holu, do Jima...

Jim wciąż przyglądał się swym dłoniom — szerokim, żyłastym, z bliznami na kostkach palców. Może zastanawiał się, czy Rita Ferris żyłaby jeszcze, gdyby miał okazję dostać w nie tego starucha.

— Kazałem jej poczekać w holu, przy recepcji — powiedział, przejmując opowieść. — Poszedłem do tamtego pokoju, ale za otwartymi drzwiami było zupełnie pusto. Jak mówiła: żadnych bagaży, niczego. Więc wróciłem do recepcji i mówię, że miałem się spotkać z przyjacielem, który mieszka w tym hotelu. W pokoju dziewięćset dwadzieścia siedem...

Ściągnął wargi, długim paznokciem podrapał się po bliźnie na dłoni.

— Pokój dziewięćset dwadzieścia siedem nie był zajęty — rzekł w końcu. — Stał pusty i ten staruch musiał jakoś załatwić z kimś z obsługi, by się tam dostać. Wziąłem Ritę do baru, postawiłem jej brandy i czekałem, aż się uspokoi, nim odwiozę ją do domu. I to wszystko.

— Powiadomiliście gliny?

Biggs potrząsnął głową. — Niby jak?

— Macie telefon.

— Mam też interes — odpalił.

Nie na długo, pomyślałem. Biggs, przy całym swym szpanerstwie, nie jest niczym lepszym od natarczywej muchy, wkręcającej się w życie młodych kobiet i żerującej na nich od środka.

— Mógł spróbować ponownie — powiedziałem — może nawet spróbował i dlatego Rita Ferris wylądowała w kostnicy.

Biggs pokręcił głową. — Cóż, zdarza się. Ten zboczeniec pewnie wrócił do domu i po prostu się spuścił.

Jego wzrok mówił mi, że nie wierzy we własne kłamstwa. Stojący obok Jim wciąż nie uniósł głowy. Poczucie winy otaczało go niczym mgłą.

— Podać opis?

— Jak już mówiliśmy: stary, wysoki, siwy, paskudnie woniał, to wszystko.

Podniosłem się. — Dzięki, bardzo mi pomogliście.

— Zawsze gotowi do usług. W razie organizowania prywatki daj pan znać. •

— Jasne, w pierwszej kolejności.

Gdy wyszedłem na zewnątrz, podjechał samochód: auto Ellisa Howarda. Nie był zbyt uszczęśliwiony moim widokiem.

— Co tu robisz? — zapytał.

— Pewnie to samo, co ty.

— Dostaliśmy anonimowy cynk.

— Szczęściarze. — Najwyraźniej sumienie Lucy Mims nie dawało jej spokoju.

Ellis potarł twarz wierzchem dłoni, rozciągając skórę tak, iż dostrzegłem czerwień pod jego oczami.

— Wciąż nie odpowiedziałeś na pytanie — nie rezygnował. — Skąd wiedziałeś, że pracowała jako prostytutka?

Może z tego samego źródła, co ty, jakie to ma znaczenie.

— Nie zamierzałeś nas poinformować?

• Z Uczyniłbym to w końcu. Nie chciałem, by otrzymała etykietkę ziwki no wiesz, biorąc pod uwagę rozgłos sprawy, prasę... najpierw zamierzałem dowiedzieć się czegoś więcej.

— Nie przypuszczałem, żeś taki sentymentalny — rzucił Ellis bez uśmiechu.

— Mam ukryte słabości — odrzekłem. Odwróciłem się i ruszyłem do samochodu. — Do zobaczenia, Ellis.

mmimMŁ mmm

Po opuszczeniu biura Lestera Biggsa udałem się do baru kawowego Green Mountain na Temple Street. Zamówiłem muffinkę, popijałem parzoną po francusku kawę i obserwowałem samochody przejeżdżające po Federal Street. Pod pobliskim kinem Nickelodeon, gdzie wyświetlano tanie filmy, zgromadziła się niewielka kolejka; na Monument Square roiło się od spacerowiczów. Nieco dalej tętniła życiem Congress Street. Ucierpiała w okresie, gdy podmiejskie supermarkety odciągnęły cały handel z city, teraz wyrosły tu restauracje, kawiarnia Keystone, i ulica znów powracała do swej dawnej świetności kulturalnego centrum Portland.

To miasto wytrzymało wiele i nie poddawało się; dwukrotnie spalone przez Indian w roku 1676 i 1690, ponownie płonęło w roku 1775 pod ogniem dział Anglika Henry Mowatta, w wyniku jakiejś sprzeczki o maszty, a potem znowu w roku 1866, gdy ktoś wrzucił petardę na

teren stoczni przy Commercial Street i połowę miasta obrócił w popiół. Ale ono pozostało i wciąż się rozwijało.

W Portland, podobnie jak w moim domu w Scarborough, czułem przeszłość obecną w teraźniejszości; każdy mógł odnaleźć tu swoje miejsce na ziemi, jeżeli tylko rozumiał, że jest ogniwem łańcucha — człowiek pozbawiony przeszłości, w teraźniejszości dryfuje bezradnie. Może, częściowo, w tym właśnie tkwiło sedno kłopotów Billy'ego Purdue. Nie zaznał w życiu nadmiaru stabilności. Jego przeszłość stanowiła serię epizodów, połączonych jedynie, wywoływanym pamięcią o nich, poczuciem niedoli. Billy nie miał szans na udane małżeństwo, bo zazwyczaj, gdy ktoś prześladowany przez los połączy się z drugą osobą, zaraz unieszczęśliwi i ją, a z czasem ta para nieszczęśników wystąpi o rozwód.

W końcu, pomyślałem sobie, nie mam w stosunku do Billy'ego Purdue żadnych zobowiązań. Jakąkolwiek sztuczkę, z jakiegokolwiek powodu, wywinął Tony'emu Celli, sprawa dotyczy wyłącznie ich dwóch. Billy był już dużym chłopcem, a jego poczynania przy Ferry Beach świadczyły, że bawi się w gry dla dorosłych. Ale jeżeli kłopoty Billy'ego Purdue mnie nie dotyczyły, dlaczego dręczyło uczucie, iż powinienem spróbować go uratować?

Kontynuując podobne rozważania, mógłbym także odwrócić się od Rity i Donalda, a jakoś nie potrafiłem. W mieszkaniu, gdzie te dwa ciała leżały na podłodze, jakby zastygłe, unieruchomione w błysku lampy fotografa, ogarnęło mnie uczucie, które — przekazane mi w darze — poznałem już wcześniej: dreszcz delikatny niczym szmer zmarszczek załamujących w słoneczny dzień taflę jeziora, przenikający do najdalszych głębi mej świadomości. W zatłoczonej kawiarni — wiele osób schroniło się tu przed chłodem, rozmawiało o dzieciach, plotkowało o sąsiadach, chłopcy dotykali rąk swych dziewczyn, dziewczyny gładziły dłonie kochanków — delikatnie przesunąłem palcami lewej ręki po wewnętrznej stronie prawej, przywołując wspomnienie dotyku o wiele bardziej intensywnego niż gdyby pochodził od kochanki, i znów poczułem silną, wręcz uderzającą do głowy woń bagien Luizjany.

Mniej więcej przed ośmioma miesiącami siedziałem w sypialni starej, niewidomej kobiety, zwanej Tante Marie Aguiard, olbrzymiej, czarnej jak heban, o martwych, ślepych oczach, której świadomość poruszała się w ciemnościach jej własnego bytu, a także w zakamarkach egzystencji innych. Tak do końca nie wiedziałem na pewno, czego od niej oczekuję; w każdym razie twierdziła, że słyszy, dochodzące z bagien, wołanie martwej dziewczyny. Sądziłem wtedy, że człowiek, który zabił tamtą młodą istotę, mógł także zamordować moją żonę i dziecko — przy założeniu, iż stara nie była szalona ani złośliwa, czy normalnie samotna i rozpaczliwie spragniona zainteresowania.

Gdy jednak, w tym mrocznym pokoju, dotknęła mej dłoni, przeszło mnie uczucie przypominające elektryczny wstrząs i wiedziałem, że ona nie kłamie: w jakiś sposób słyszy płacz dziewczyny, dochodzący spomiędzy rozkładającej się roślinności i głębokiej zielonej wody; i że Tante Marie próbowała pocieszyć ją w chwili śmierci.

I poprzez Tante Marie usłyszałem głosy Susan i Jennifer, słabe, ale wyraźne, i zabrałem je ze sobą, a tydzień później, w metrze, moja żona ukazała mi się po raz pierwszy. Oto dar, jaki otrzymałem od Tante Marie: mogłem widzieć i słyszeć mą nieżyjącą żonę i dziecko, później także innych zmarłych. W końcu i Tante Marie dołączyła do nich. To ona dała mi ten dar, przekazała dotknięciem dłoni, a jednak nie potrafiłbym go do końca wytłumaczyć.

Może stanowił rodzaj empatii, zdolności do przeżywania cierpienia tych, których zabrano ze świata w sposób bolesny, brutalny i bezlitosny. A uczucie, którego doświadczam, jest formą szaleństwa zrodzonego z żalu i świadomości winy; może wstrząs, który przeżyłem, stworzył w mojej wyobraźni alternatywne światy, gdzie martwi domagają się od żywych

zadośćuczynienia... Mogę tylko powiedzieć, że ci, którzy odeszli, za przyczyną tego daru stają się obecni.

Ale niektóre dary są straszniejsze od klątwy, a najgorsze, że nie da się ich ukryć przed tamtymi. Ci zagubieni, ci, którzy zboczyli z drogi, a przecież nie powinni byli odejść, ci niewinni, szamoczące się, udręczone cienie, rosnące szeregi zmarłych — oni wiedzą.

I przychodzą.

Pomimo męczących mnie wątpliwości, spędziłem popołudnie w drodze od baru do baru, rozmawiając z tymi, którzy znali Bill/ego Purdue i mogli mieć jakieś pojęcie, dokąd mógł się udać. W niektórych przypadkach przyjmowano mnie raczej chłodno, bo policja z Portland zdążyła mnie wyprzedzić. Nikt nie potrafił, a może nie chciał niczego mi powiedzieć. Byłbym w końcu zrezygnował, gdybym nie trafił na Jamesa Hamilla.

Nie sądzę, by drzewo jego rodziny mogło się poszczycić wieloma rozgałęzieniami. Ten kościsty prymityw, sto dwadzieścia funtów goryczy, tłumionego gniewu i ciemniactwa, należał do takich, co to nigdy z własnej woli nie wyświadczyliby nikomu przysługi, gdyby w zamian mogli wyrządzić mu krzywdę. Miejsce Hamilla na socjalnej drabinie plasowało się bardzo nisko, na samym dnie ludzkiej egzystencji.

Zastałem go, gdy rozgrywał samotny mecz w sali bilardowej Old Port przy Fore Street; właśnie przygotowywał się do strzału, z czapką baseballową daszkiem do tyłu; jego nędzny wąsik aż skręcił się od napięcia. Chybił i głośno zaklął. Choćby bila była z żelaza, a łoża namagnesowana, i tak by nie trafił. Hamill był po prostu tego rodzaju facetem.

Ktoś w Gritty McDuff wspomniał, że Hamilla czasami widywano z Billym Purdue. Nie mogłem sobie wyobrazić, dlaczego. Może Billy chciał być z kimś, przy kim czuł się lepszy?

— James Hamill? — zagadnąłem.

Podrapał się po tyłku i podał mi rękę. Jego uśmiech można by nazwać: »koszmar dentysty".

— Miło mi, kim tam jesteś. A teraz spierdalaj. — Powrócił do gry.

— Szukam Billy'ego Purdue.

— To stań w kolejce.

— Pytał o niego ktoś jeszcze?

— Z tego, co słyszałem, niemal każdy w mundurze i z odznaką. Ty też gliniarz?

— Nie.

— Prywatny? — Powoli cofnął kij, celując w środkową łożę.

— Tak jakby.

— To ciebie wynajął?

Podniosłem bilę i czubek kija trafił wprost do łoży.

— Hej! — wrzasnął. — Oddaj! — Choć zachowywał się jak rozwydrzony bachor, przypuszczam, że nie przekonałbym żadnej matki, aby uznała go za swego.

— Billy Purdue wynajął prywatnego detektywa?

Zdradził mnie ton, jakim zadałem pytanie, bo na twarzy Hamilla wyraz głębokiego niezadowolenia ustąpił miejsca chytremu spojrzeniu.

— A co ci do tego?

— Interesuje mnie rozmowa z każdym, kto może mi pomóc odnaleźć Billy'ego. Kim jest ten prywatny detektyw? — Jeżeli Hamill by mi nie powiedział, równie dobrze mogłem wypytywać każdego, kogo spotkam, zakładając, że wynajęty przez Billy'ego osobnik sam się przyzna.

— Nie chciałbym wpakować kolesia w tarapaty. — Z wyrazem twarzy przypominającym głębokie zastanowienie, Hamill podrapał się po brodzie. — A ty, z której strony w to wchodzisz?

— Pracowałem dla jego byłej żony.

— Ona nie żyje; mam nadzieję, że zapłaciła ci z góry.

Zważyłem bilę w dłoni i rozważyłem uderzenie nią w głowę Hamilla. Chyba po mojej minie zorientował się.

— Słuchaj, potrzebuję gotówki. — Dał do zrozumienia, że mięknie. — Kopsnij trochę, a podam ci nazwisko.

Wyjąłem portfel i położyłem na stole dwudziestkę.

— Kurwa, dwadzieścia dolców — omal nie splunął. — Prawdziwy z ciebie jajcarz. Taka informacja będzie więcej kosztowała.

— Dodam coś, potrzebuję tego nazwiska.

Hamill zastanawiał się przez chwilę. — Nie wiem, jak ma na imię, ale nazywają go Wildon, Wifford, jakoś tak...

— Willeford?

— Ano właśnie, Willeford.

Podziękowałem skinieniem głowy i ruszyłem do drzwi.

— Zaraz, zaraz! — wrzasnął Hamill i jego obute w adidasy stopy za- szurały za mną po podłodze.

Odwrociłem się. — Przepraszam, byłbym zapomniat.

Położyłem dziesięć centów na dwudziestce, mrugnąłem do Hamilla i odłożyłem bilę na stół.

— To za ten żarcik o jego byłej żonie, na zdrowie!

Odszedłem i skierowałem się ku schodom.

— Hej, facet — wrzasnął Hamill do mych znikających pleców — wracaj tu, no już, słyszysz?

Marvina Willeforda nie zastałem w jego biurze, dziupli na jedno biurko, nad włoską restauracją naprzeciw błękitnego terminalu promów Casco Bay, a odręczna notatka na drzwiach informowała, że udał się na lunch — najwyraźniej z tych przedłużających się. Zapytałem w restauracji, gdzie Willeford zazwyczaj bywa, i kelner podał mi nazwę baru na wybrzeżu, tawerny Sail Loft przy Commercial i Silver.

W ciągu osiemnastego i dziewiętnastego wieku port w Portland kwitnął jako centrum rybołówstwa i żeglugi. W tamtych czasach nabrzeża pełne były drewna przeznaczonego dla Bostonu i Indii Zachodnich. Niedługo znów pojawi się tu drewno, ale teraz popłynie do Chin i na Bliski Wschód. Na razie wskrzeszenie znaczenia portu i budowa nowych apartamentów i sklepów, by przyciągnąć turystów i młodych ludzi o wysokich kwalifikacjach, wciąż stanowiły przedmiot kontrowersji. Trudno jest mieć prawidłowo działający port, gdy tłumy w jaskrawych koszulkach i sandałach włóczą się wokół i robią sobie zdjęcia, pałaszując lody. Tawerna Sail Loft przypominała dawne czasy i miejsca, jakie zwykle się nazywać domem.

Znałem Willeforda z widzenia, ale nigdy z nim nie rozmawiałem i prawie nic nie wiedziałem o jego przeszłości. Gdy znalazłem go w ciemnym barze, oglądającego w telewizorze, otoczonym ze wszystkich stron wiszącymi na ścianach podobiznami morsów i rozgwiżdżanymi, powtórkę meczu baseballowego, wydał mi się starszy, niż go zapamiętałem. Wyglądał na nieco po sześćdziesiątce, z wydatnym podbródkiem i łysiną, z kilkoma tylko białymi pasemkami włosów, oplatającymi mu czaszkę niczym wodorosty skałę. Cerę miał bladą, niemal przezroczystą, z delikatnym wzorem żyłek na policzkach, a liczne ślady po węgrych, rozsiane na bulwiastym, czerwonym nosie, tworzyły rysunek przypominający wypukłą mapę Marsa. Rysy twarzy zdawały się zatarte i niewyraźne, jakby powoli roztopiały się w krążącym w jego ciele alkoholu, stopniowo zmieniając się w zamazaną wersję pierwotnej formy.

W ręce trzymał szklanekę piwa, obok miał pusty kieliszek po wzmac- maczu, a przed nim, wpatrzonym w ekran telewizora, stał talerz z resztkami kanapki i frytek. Nie opierał się o bar — siedział wyprostowany, lekko tylko dotykając plecami oparcia krzesła.

— Cześć! — rzuciłem i zająłem stołek obok. — Marvin Willeford?

— A co, winien ci forse? — spytał, nie zdejmując oka z telewizora.

— Jeszcze nie — odrzekłem.

— Świetnie. Ty mu jesteś winny?

— Jeszcze nie — powtórzyłem.

— Szkoda. Cóż, na twoim miejscu tak bym trzymał. — Odwrócił się do mnie. — Czym mogę ci służyć, synu?

Jakoś dziwnie było mi słyszeć, jak ktoś, przy moich trzydziestu czterech latach, zwraca się tak do mnie. Niemał miałem ochotę pokazać mu legitymację. — Nazywam się Char lie Parker.

Skinał głową. — Znałem twojego dziadka, Boba Warrena, dobry był z niego człek. Jak słyszałem, zamierzasz wejść na moje pastwisko, Char- lie Parkerze.

Wzruszyłem ramionami. — Być może, mam nadzieję, że roboty wystarczy dla nas obu. Postawić piwo?

Wychylił szklankę do dna i poprosił o następną. Ja zamówiłem kawę.

— Stare szeregi zmieniają się, ustępują miejsca nowym — wyrecytował Willeford ze smutkiem.

— Tennyson — skomentowałem.

Uśmiechnął się z aprobatą. — Miło widzieć, że zostało jeszcze kilku romantyków. — W Willefordzie tkwiło coś więcej niż te długie lunchy w ciemnym barze, jak zresztą zazwyczaj bywa w przypadku takich jak on.

Uśmiechnął się znowu i wznosił szklankę w geście toastu.

— Przynajmniej, synu, nie jesteś całkowitym filistrem. Wiesz, przychodzę tutaj już od bardzo wielu lat. Rozglądam się i zastanawiam, jak długo to miejsce jeszcze przetrwa, przy tych wszystkich nowych, szpa- nerskich apartamentach i eleganckich sklepikach, rosnących w porcie jak grzyby po deszczu. Czasem błysnie mi myśl, by w proteście przykuć się łańcuchem do balustrady, ale doskwiera mi biodro i z zimna chce mi się sikać. — Ze smutkiem pokiwał głową. — No więc, synu, co cię sprowadza do mego biura?

— Liczyłem na jakąś informację o Billym Purdue. >

Ściągnął wargi, przełykając piwo. — Sprawa zawodowa czy osobista? Jeżeli osobista, to zaraz sobie pogadamy, co? Ale jeżeli zawodowa, no to w grę wchodzi etyka, zaufanie klienta, zysk, chociaż — i teraz to ja powiem ci coś osobiście — jeżeli chcesz przejąć Billy'ego, nie mam nic przeciwko. Brakowało mu pewnych podstawowych cech, jakich szukam u klienta, na przykład wypłacalności, choć z tego, co słyszę, bardziej potrzebuje teraz adwokata niż prywatnego detektywa.

— Założmy więc, że pytam z powodów osobistych.

— Niech będzie. Wynajął mnie, bym odnalazł jego biologicznych rodziców.

— Kiedy?

— Z miesiąc temu. Wręczył mi dwie pięćdziesiątki — w jedynkach i piątkach, prosto z pudełka po herbatnikach — ale potem nie mógł płacić, więc wycofałem się. Niezbyt go to ucieszyło, ale cóż, interes to interes. W każdym razie ten chłopak był bardziej upierdliwy od artretyzmu.

— Jak daleko doszedłeś?

— Cóż, podjąłem rutynowe czynności. Wniosłem podanie do urzędu stanu o udostępnienie podstawowych danych — no wiesz, wiek rodziców, ich zawód, miejsce urodzenia, pochodzenie etniczne. I nic, kompletne zero. Dzieciaka najwyraźniej znaleziono pod liściem kapusty.

— Żadnej metryki?

Wzniósł ręce w geście komicznego zdumienia, potem pociągnął następny, ogromny łyk piwa. Pomyślałem, że na trzy razy opróżni szklankę do dna; miałem rację.

— Cóż, pojechałem do Dark Hollow. Wiesz, gdzie to jest? Na północ od Greenville... — Potaknąłem, a on ciągnął opowieść: — Miałem inną sprawę do załatwienia w okolicy Moosehead, pomyślałem więc, że wyświadczę Purdue przysługę i popracuję dla niego w godzinach opłaconych przez innego klienta. Ostatni facet, który go wychowywał, mieszka tam gdzieś, teraz już całkiem stary, starszy ode mnie. Nazywa się Payne, Meade Payne. Powiedział mi, że o ile mu wiadomo, adopcja Billy'ego Purdue została załatwiona prywatnie, przez jakąś kobietę w Bangor i zakonnice od Św. Marty.

Św. Marta zabrzmiało mi znajomo, choć nie pamiętałem dlaczego. Willeford zdawał się wyczuwać moje wątpliwości.

— U Św. Marty — rzekł — to tam, gdzie ta stara dama zabiła się kilka dni temu, ta, która uciekła. Św. Marta kiedyś była klasztorem i zakonnice przyjmowały kobiety, no wiesz, te upadłe. Ale teraz siostry albo już nie żyją, albo dokonują dni w zakładzie dla chorych na Alzheimera, i Św. Marta została prywatnym domem opieki, takim dla najuboższych. Śmierdzi tam sikami i gotowanymi jarzynami...

— I nie znalazłeś tam żadnych urzędowych danych?

— Nic. Przejrzałem wszystkie teczki z dokumentami, jakie jeszcze pozostały, a nie było ich wiele. Siostry prowadziły rejestr urodzin i zostawiały kopie istotnych dokumentów, ale nie dokopałem się do niczego, co by pasowało do Purdue. Zupełnie jakby jego przypadek nie został odnotowany w księgach, a jeżeli nawet, to ktoś dopilnował, by zatrzeć wszelkie ślady. I nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego.

— A rozmawiałeś z tą kobietą, tą, która załatwiała adopcję?

— Lansing, Cheryl Lansing. Tak, widziałem się z nią. Ona też jest stara; Jezu, nawet jej dzieci się starzeją. Wciąż tylko mam do czynienia ze starymi — staruchy albo klienci. Chyba powinienem zaprzyjaźnić się z kimś młodszym.

— Ludzie zaczną zaraz gadać — orzekłem. — Stracisz reputację.

Roześmiał się sam do siebie. — Czy można być tatuśkiem bez kasy?

— Nie wiem, możesz spróbować, ale nie sądzę, byś daleko zajechał.

Przytaknął ruchem głowy, wypił piwo do dna.

— Oto historia mego życia: martwi bawią się lepiej niż mnie się kiedykolwiek zdarzyło...

Wyszło na to, że Cheryl Lansing była kobietą, która załatwiła adopcję Billy'ego Purdue. Najwyraźniej interesował ją bardziej niż tylko zawodowo, skoro próbowała, jeszcze trzydzieści lat później, pomóc jego byłej żonie i synkowi. Przypomniała mi się torba z ubraniami, pudło z żywnością i zwitek banknotów w dłoni Rity Ferris. Cheryl Lansing sprawiała wrażenie miłej osoby. Pomyślałem, że wiadomość o śmierci tych dwojga z pewnością boleśnie ją dotknie.

Poprosiłem o jeszcze jedno piwo i Willeford podziękował mi. Miał już nieźle w czubie. Poczulem satysfakcję, że udało mi się upić go do tego stopnia, by przez resztę dnia nie był już w stanie pracować, tym samym dając mi fory.

— I co z tą Cheryl Lansing? — nie ustępowałem.

— Cóż, nie chciała rozmawiać o Billym Purdue. Nalegania nie zdały się na nic. Powiedziała tylko, że kobieta pochodziła z północy, a ona przeprowadziła adopcję w ramach przysługi dla siostr i nawet nie знаła nazwiska tamtej. Najwyraźniej dorabiała sobie pośrednictwem w przysposobieniach załatwianych przez siostry i część zysku im przekazywała, ale nie w tym wypadku, ten był pro bono. Miała metrykę urodzenia, ale rodzice figurowali jako nieznan. Pomyślałem, że gdzieś musi się znajdować wpis do rejestru.

— I co zrobiłeś?

— No cóż, opierając się na informacjach od Payne'a i po sprawdzeniu ksiąg, odkryłem, że większość zastępczych rodziców Billy'ego także pochodziła z północy. Najdalej na południe dotarł do Bangor, dopóki nie wyjechał do Bostonu, gdy był już starszy. A więc zadawałem

pytania, wywieszałem informacje z przybliżoną datą urodzenia, nawet umieściłem ogłoszenia w kilku miejscowych gazetach, a potem już tylko czekałem na odzew. W każdym razie pieniądze się skończyły i nie sądziłem, by Billy Purdue był w stanie zdobyć więcej... A potem otrzymałem telefon z wiadomością, że powinienem porozmawiać z kobietą w domu starców w Dark Hollow, więc znowu wszystko wróciło do Św. Marty. — Przerwał i upił duży łyk. — Powiedziałem wtedy Billy'emu, że może coś mam i zapytałem, czy chce, bym dalej popychał sprawę. Na to on, że nie ma forsy, a ja z kolei, że w takim razie, choć z żalem, nasz wspólny interes się kończy. Zareagował gwałtownie, groził zdemolowaniem biura, jeżeli odmówię pomocy. Pokazałem mu to — odsunął do tyłu kłapy marynarki, odsłaniając colta pythona z długą, osiemnastocalową lufą. — I poszedł sobie.

— Podałś mi nazwisko tej kobiety?

— Zdjąłbym z grzbietu marynarkę i wręczył mu, byle tylko się odczepił. Pomyślałem, że najwyższa pora na strategiczne wycofanie się. Inaczej wpadłbym po uszy.

Kawa w kubku przede mną całkiem wystygła. Przechyliłem się przez bar i wylałem ją do zlewu.

— Masz jakieś pojęcie, gdzie Billy Purdue może się teraz znajdować?

Willeford zaprzeczył ruchem głowy.

— Jest jeszcze coś — powiedział.

Czekałem.

— Ta kobieta u Św. Marty nazywała się panna Emily Watts, w każdym razie takie nazwisko podała. Czy coś ci ono mówi?

Zastanawiałem się przez chwilę, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

— Nie, a powinno?

— To ta stara dama, która umarła tam na śniegu. Dziwna sprawa, nie sądzisz?

Teraz przypomniałem sobie całą historię. Masakra przy Prouts Neck zajęła jej miejsce w mej pamięci.

— Sądzisz, że Billy Purdue poszedł się z nią zobaczyć?

— Nie wiem, ale coś wystraszyło ją wystarczająco, by uciec do lasu i zabić się, gdy próbowali ściągnąć ją z powrotem.

Wstałem i podziękowałem mu, potem narzuciłem płaszcz.

— Cała przyjemność po mojej stronie, synu. Wiesz, wyglądasz trochę Jak twój dziadek. Zachowaniem też go przypominasz i nikt nie pożałuje, że cię poznał.

Poczułem wyrzuty sumienia. — Dzięki, może gdzieś cię podwieźć?

Potrząsnął szklanką, by zamówić następne piwo, i poprosił także o whisky. Położyłem na kontuarze dziesięć dolców na pokrycie rachunku, a on wniósł kieliszek, jakby mi salutował.

— Synu — powiedział — ja już nie zamierzam stąd się ruszać.

Robiło się już ciemno, gdy wyszedłem z baru, ciasno otuliwszy się płaszczem, by nie zmarznąć. Od morza ciągnął wiatr, lodowatymi dłońmi przeczesywał mi włosy, pocierał twarz chłodnymi palcami. Zostawiłem mustanga na placu przy One India, w zakątku Portland cieszącym się dość ponurą sławą. Na miejscu One India znajdował się kiedyś Fort Loy- al, wzniesiony przez kolonistów w roku 1680. Przetrwał zaledwie dziesięć lat, do czasu gdy Francuzi i ich indiańscy poplecznicy zdobyli go i wymordowali stu dziewięćdziesięciu osadników, gdy tamci w końcu złożyli broń. Na tym samym miejscu wybudowano India Street Terminal, kamień milowy kompani dróg żelaznych: Atlantic, St Lawrence, Kanadyjskiej Grand Trunk Railway i Kanadyjskich Linii Państwowych, kiedy Portland było jeszcze ważnym centrum kolejowym. Na One India, gdzie obecnie znajdowało się towarzystwo ubezpieczeniowe, na drzwiach wciąż jeszcze widniały wywieszki pozostałe po biurach Grand Trunk i Steamship.

Koleje znikły stąd prawie trzydzieści lat temu, choć ostatnio mówi się o odbudowaniu Union Station na St John i otwarciu na nowo linii pasażerskiej z Bostonu. Dziwne, jak sprawy

z przeszłości, wydawałoby się stracone i zapomniane na zawsze, mają zostać wskrzeszone i znów w pełni ożyć w teraźniejszości.

Gdy podchodziłem do samochodu, okna mustanga zaczynały już zamarzać, a nad magazynami i łodziami na wodzie zawisła mgła, zaostarzająca każdy odgłos. Wtedy to usłyszałem za sobą kroki. Zacząłem się odwracać, z guzikami płaszcza już odpiętymi i ręką lekko wysuniętą w stronę broni, ale coś walnęło mnie w tył głowy i usłyszałem:

— Trzymaj ręce daleko od siebie.

Uniosłem je do poziomu, z dala od boków. Następna postać, o lewej stopie skrzyżowanej nieco do wewnątrz, przykuśtykała z prawej strony i wyjęła mi broń z kabury. Niski, o wzroście może pięć stóp i cztery cale, nieznajomy mógł mieć pod pięćdziesiątkę. Gęste, czarne włosy opadały mu na brązowe oczy, pod płaszczem rysowały się szerokie ramiona i wklęsły brzuch. Nazwałbym go nawet przystojnym, gdyby nie zajęcza wargą, jak szrama po cięciu nożem przecinająca usta.

Drugi był wyższy i potężniejszy; długie, ciemne włosy opadały na kołnierzyk czystej, białej koszuli. Oczy o zimnym wyrazie i pozbawione uśmiechu usta kontrastowały z zawiązanym na szyi, jaskrawym krawatem, ozdobionym wizerunkiem Misia Puchatka. Głowa, jakby kwadratowa i muskularny, potężny kark osadzone były na szerokich, prawie prostokątnych ramionach. Poruszał się na sztywnych nogach, jak pozujący na gangstera wyrostek. Razem tworzyli niezłą parę.

— Rany, chłopaki, chyba już nieco za późno na sztuczki i zabawy. — Konspiracyjnie pochyliłem się do niższego. — I wiesz — szepnąłem — jeżeli wiatr zmieni kierunek, może cię niezłe zatkać... — Złośliwość nie z tych wybrednych, ale nie lubiłem, gdy ktoś podkradał się do mnie we mgle i przytykał mi broń do pleców. Jak mógłby powiedzieć Billy Purdue: takie zachowanie było raczej niegrzeczne.

Niższy facet obrócił w dłoni moją broń i z uznaniem eksperta przyglądał się trzeciej generacji smitha & wessona.

— Niezła zabawka — pochwalił.

— Oddaj, a pokażę ci, jak działa.

Uśmiechnął się krzywo.

— Jedziesz z nami. — Gestem dłoni kazał mi iść w kierunku India Street, skąd z ciemności świeciła para reflektorów.

Obejrzałem się na mustanga.

— O kurwa — z udaną troską zaklął Zajęcza Wargę — martwisz się o samochód, co?

Odbezpieczył moją broń i strzelił w mustanga, rozwalając przednią i tylną oponę, po stronie kierowcy. Gdzieś w pobliżu rozwrzeszczał się alarm samochodowy.

— Zrobione — orzekł — teraz nikt ci go nie ukradnie.

— Zapamiętam, że ty to zrobiłeś — odrzekłem.

— Aha. Jak będziesz chciał, bym ci przeliterował nazwisko, daj mi tylko znać.

Wyższy pchnął mnie w kierunku samochodu, srebrnego bmw, który podjechał do nas i zahamował po prawej stronie, z otwartymi tylnymi drzwiami. W środku siedział następny przystojniak, o krótkich, brązowych włosach, z bronią przypiętą do uda. Kierowca, młodszy od pozostałych, żuł gumę balonową i słuchał muzyki, dochodzącej z zamontowanego w samochodzie stereo. Gdy wsiadałem, Bryan Adams śpiewał właśnie piosenkę z Don Juan de Marco.

— Jest szansa na zmianę stacji? — spytałem, gdy odjeżdżaliśmy.

Siedzący obok Zajęcza Wargę trącił mnie mocno bronią.

— Ja lubię tę piosenkę. — Zanucił melodię. — Brak w tobie duszy.

Spojrzałem na niego — chyba mówił serio.

Pojechaliśmy do hotelu Regency na Milk Street, najlepszego w Portland, stojącego na miejscu starego, ceglanego budynku fabryki broni w Old Port. Kierowca zaparkował na tyłach i podeszliśmy do bocznego wejścia, obok sali gimnastycznej, gdzie następny młody facet w eleganckim czarnym garniturze otworzył nam drzwi, a potem przez mikrofon w klapie marynarki dał komuś znać o naszej obecności. Wyjechaliśmy windą na najwyższe piętro, gdzie Zajęcza Warga ostrożnie zapukał do ostatnich drzwi po prawej. Kiedy się otwały, wprowadzono mnie i zaprowadzono do Tony'ego Celli.

Tony siedział w obszernym fotelu; stopy, bez butów, opierał na dobranym w stylu podnóżku. Miał czarne, jedwabne skarpetki i nieskazitelnie odprasowane, szare spodnie. Od koszuli w niebieskie paski z białym kołnierzykiem odcinał się ciemnoczerwony krawat o zawiłym wzorze czarnych spirali. Przy białych mankietach błyszczało złoto spinek. Był dokładnie ogolony, czarne włosy miał gładko zaczesane, z przedziałkiem z boku. Brązowe oczy spoglądały spod wąskich, depilowanych brwi. Nos długi, prosty, usta nieco miękkie, podbródek trochę zaokrąglony. Na zaciśniętych palcach rąk, które trzymał przed sobą na kolanach, nie było pierścionków. Przed nim, na ekranie telewizora, migotał wieczorny raport finansowy. Na stoliku obok leżały słuchawki i urządzenie do wykrywania podsłuchu, a więc pomieszczenie zostało już sprawdzone.

Znałem Tony'ego Celli z reputacji. Wywindował się z samego dołu, zaczynał od porno i prostytutek w pewnej dzielnicy Bostonu, opłacał się komu należy, aż wreszcie stworzył sobie silną bazę. Brał forszę od zajmujących pozycję niżej od niego, sporo płacił tym nad sobą. Wywiązywał się ze zobowiązań i obecnie uważano go za dobrze rokującego na przyszłość. Wiedziałem, że już zdobył sobie duże wpływy w dziedzinie finansów, bo uważano, iż ma w tym kierunku wyjątkowe zdolności, a teraz opinię tę eksponował jeszcze koszulą w paski i uwagą, jaką poświęcał cenom akcji, które ukazywały się przy dolnej krawędzi ekranu.

Na moje oko wyglądał na jakąś czterdziestkę, na pewno nie więcej. I do tego wyśmienicie. W istocie tak dobrze, jak facet, którego można by przyprowadzić do domu i przedstawić matce, gdyby się nie wiedziało, że prawdopodobnie torturowałby ją zaraz, zgwałcił, a potem to, co z niej pozostało, wrzucił do wody w bostońskim porcie.

Przez wisko Tony Czyścioch przyłgnęło doń z wielu powodów — jednym był wygląd — ale głównie dlatego, że Tony nigdy nie brudził sobie rąk. Dla Tony'ego wielu zmywało krew ze swych dłoni, patrząc, jak spływa po popękanych porcelanowych umywalkach czy zlewach z nierdzewnej stali, ale Tony pozostał bez jednej plamki.

Słyszałem o nim pewną historię, jeszcze w 1990 roku, gdy Tony wciąż załatwiał alfonsów, którzy zapomnieli, jak bardzo może być przywiązany do swego terytorium. Facet o nazwisku Stan Goodman, bostoński developer, miał weekendową posiadłość w Rockport: duży stary dom ze szczytowymi oknami, pośród olbrzymich, zielonych trawników, z dwustuletnim dębem przy murze granicznym. Rockport to miła okolica, taka rybacka wioska na północ od Bostonu przy Cape Ann, gdzie wciąż jeszcze można parkować za pensa, a wagoniki Salt Water powożą cię po mieście za cztery dolary dziennie.

Goodman miał żonę i dwoje nastoletnich dzieci, chłopca i dziewczynkę, którzy także uwielbiali ten dom. Tony zaproponował Stanowi Goodmani kupę forszy za rezydencję, ale ten odmówił. Powiedział, że należała do jego ojca, który nabył ją w latach czterdziestych od pierwszego właściciela. Zaproponował Tony'emu znalezienie mu w pobliżu podobnej posiadłości, bo wydedukował sobie, że jeżeli trzymać się Czyściocha od jego dobrej strony, to wszystko ułoży się jak należy. Tyle, że Tony Czyścioch nie miał tej dobrej strony.

Pewnej czerwcowej nocy ktoś zakradł się do domu Goodmanów, zastrzelił psa, związał i zakneblował całą czwórkę i wywiózł do dawnych kamieniołomów przy Halibut Point. Myślę, że Stan Goodman umarł ostatni, po tym jak zabili jego żonę, córkę i syna, kładąc ich głowy na płaskich kamieniach i rozwalając młotem. Gdy znaleziono ich następnego ranka, na ziemi

pozostało mnóstwo krwi i sądzę, iż ci, którzy ich zabili, długo musieli zmywać ją ze swych ubrań. Tonny Celli kupił ten dom w następnym miesiącu; innych ofert nie było.

Już sam fakt, że Tony pojawił się tu po wydarzeniach przy Prouts Neck, wskazywał, że nie zamierza żartować. Potrzebował pieniędzy, i to bardzo, do tego stopnia, że zaryzykował ściągnięcie na siebie uwagi.

— Oglądasz wiadomości? — odezwał się w końcu. Nie odrywał wzroku od ekranu, ale wiedziałem, że pytanie zostało skierowane do mnie.

— Nie.

Wreszcie na mnie popatrzył. /

— Nie oglądasz wiadomości?!

— Nie.

— Dlaczego?

— Zasmucają mnie.

— Coś łatwo się dajesz zasmucić.

97

96

— Mam wrażliwą naturę.

Przez chwilę milczał, z uwagą skupioną znów na ekranie, bo ukazały się szczegóły dotyczące upadku jakiegoś banku w Tokio.

— Nie oglądasz wiadomości?! — powtórzył, jakby właśnie usłyszał, że nie lubię seksu czy chińskiego jedzenia. — Nigdy?

— Jak powiedziałeś, łatwo wpadam w przygnębienie. Nawet przy prognozie pogody.

— To dlatego, że tutaj mieszkasz. Spróbuj przenieść się do Kalifornii, a prognoza nie będzie dla ciebie taka przykra.

— Podobno słońce świeci tam przez cały rok.

— Tak, zawsze jest słonecznie.

— No to popadłbym w depresję od tej monotonii.

— Nie widać, by coś mogło w pełni cię uszczęśliwić.

— Może i racja, ale staram się zachować pogodę ducha.

— Aż za bardzo, zaczynam cię nie lubić.

— Szkoda. Myślałem, że moglibyśmy wyskoczyć gdzieś jak dwaj kumple, może do kina.

Finansowe sprawozdanie skończyło się. Wypielegnowanym palcem przycisnął guzik na pilocie i wyłączył odbiornik, po czym całą uwagę zwrócił na mnie.

— Wiesz, kim jestem? — spytał.

— No, wiem, kim jesteś.

— Dobra. W takim razie, jako inteligentny gość, orientujesz się pewnie, dlaczego tu jestem.

— Świąteczne sprawunki? Kupno nowego domu?

Uśmiechnął się chłodno. — Wiem o tobie wszystko, Parker. To ty wykończyłeś tych Ferrera... — Ferrera byli mafijną rodziną z Nowego Jorku, a słowo „byli” oddaje rzeczywistość. Zostałem zamieszany w ich sprawy, co skończyło się dla nich fatalnie.

— Sami się wykończyli, ja się tylko przypatrywałem.

— Słyszałem coś innego. Wielu w Nowym Jorku uszczęśliwiłaby wiadomość o twojej śmierci. Uważają, że nie okazujesz należnego szacunku.

— Bez wątplenia.

— No więc dlaczego jeszcze nie jesteś martwy?

— Może rozjaśniam ten ponury świat.

— Jakby chcieli rozjaśnić sobie świat, włączyliby światło. Próbuj da-

lej.

— Bo wiedzą, że zabiję każdego, kogo za mną wyślą, a potem tego, kto go wysłał.

— Sam mógłbym cię teraz zabić. I twoje groźby nie zakłóca mi snu, chyba że potrafisz zmartwychwstać.

— Mam przyjaciół. Dałbym ci tydzień, może dziesięć dni. Potem ty też umrzesz.

Skrzywił się kpiąco, a kilku jego chłopaków prychnęło śmiechem.

— Grasz w karty? — spytał, gdy wesołość ucichła.

— tylko sam ze sobą, lubię grać z kimś, komu mogę zaufać.

— A wiesz, co oznacza „spieprzyć talię”?

— Tak, wiem. — Spieprzenie talii to coś, co czasem przytrafia się początkującym hazardzistom: psują grę, wdając się w idiotyczne licytacje. Dlatego niektórzy doświadczeni gracze nie chcą mieć do czynienia z amatorami, choćby dobrze wyposażonymi w gotówkę. Zawsze istnieje możliwość, że do tego stopnia zepsują grę, iż wysokie ryzyko straty nie będzie warte gry.

— Billy Purdue spieprzył moją grę, a teraz wydaje mi się, że ty zamierzasz pójść w jego ślady. To niedobrze, chcę, byś się wycofał. Najpierw powiesz mi wszystko, co wiesz o Purdue, a potem zapłacę ci, byś się odczepił.

— Nie potrzebuję forsy.

— Każdy potrzebuje. Mogę spłacić wszelkie twoje długi, sprawić, że pozostałe znikną.

— Nikomu nic nie jestem dłużny.

— Każdy ma jakiś dług.

— Nie ja. Jestem wolny, bez zobowiązań.

— A może masz długi, których nie da się spłacić pieniędzmi...

— Bardzo spostrzegawcze. Co to ma znaczyć?

— Ano, że zaczyna mi brakować rozsądnych sposobów na zmianę twych obecnych poczynań, Człowieku-Ptaku. — Przy tym ostatnim słowie wykonał palcami niewielki gest oznaczający cudzysłów, potem ściszył głos i wstał. Nawet w skarpetkach górował nade mną wzrostem. — A teraz posłuchaj — rzekł, stając ode mnie zaledwie o kilka cali. — Nie każ mi wyrwać ci skrzydełek. Słyszałem, że odwaliłeś jakąś robotę dla byłej żony Billy'ego Purdue. Podobno dał ci pieniądze — moje — ^ś jej przekazał. To czyni cię bardzo interesującą jednostką, Człowieku-Ptaku, bo doszedłem do wniosku, że byłeś jednym z ostatnich, kto rozmawiał z nimi obojgiem, zanim się rozstali. A teraz może powiesz mi> co wiesz, żebyś mógł sobie wrócić do tej swojej małej klatki i uło- zyc się do snu?

Wpatrywał się we mnie, a ja wytrzymałem jego spojrzenie. — Gdybym wiedział coś pożytecznego i zdradził ci, sumienie nie dawałoby mi spać — powiedziałem. — Ale akurat nic nie wiem, pożytecznego bądź nie.

— Wiesz jednak że Purdue ma moją forszę?

— Naprawdę?

Potrząsnął głową, niemal ze smutkiem. — Robisz wszystko, bym musiał zadać ci ból.

— A czy ty ty zabiłeś Ritę Ferris i jej synka?

Tony zrobił krok do tyłu, po czym z całej siły walnął mnie pięścią w brzuch.

Przewidziałem ten cios i napiąłem mięśnie, ale siła, z jaką został zadany, powaliła mnie na kolana. Gdy usiłowałem złapać powietrze, usłyszałem szcęk odbezpieczanej broni i poczułem chłód stali na potylicy.

— Ja nie zabijam kobiet i dzieci — powiedział Tony.

— Od kiedy? — spytałem. — Od Nowego Roku?

Ktoś chwycił mnie za włosy i postawił na nogi; za uchem wciąż czułem nacisk broni.

— Do jakiego stopnia ty jesteś głupi? — ciągnął Tony, rozcierając nadgarstki. — Chcesz umrzeć?

— Niczego nie wiem — powtórzyłem. — Załatwialem coś dla jego byłej żony, w ramach przysługi, poprzytykałem się z Purdue i poszedłem sobie, to wszystko.

Tony Czyścioch skinął głową. — A o czym rozmawiałeś z tym pijaczyną w barze?

— O czymś innym.

Tony znów zamachnął się pięścią.

— O czymś innym — powtórzyłem, tym razem głośniej. — Był przyjacielem mojego dziadka, chciałem tylko z nim pogadać, nic więcej. Masz rację, to pijaczyna, zostaw go w spokoju.

Tony cofnął się o krok, wciąż rozcierał nadgarstki.

— Jeżeli dowiem się, że mnie okłamujesz, umrzesz bardzo nieprzyjemną śmiercią, rozumiesz? A jeżeli jesteś rozgarniętym gościem, i to nie tylko w gębie, trzymaj się z daleka od moich spraw.

Mówił to coraz łagodniejszym tonem, ale jego twarz miała zimny wyraz, gdy powiedział wreszcie:

— Przykro mi, ale muszę mieć pewność, że mnie zrozumiałeś. A jak poczujesz, że masz coś do dodania, zajęcz głośniej...

Skinął głową typowi, który stał za mną, i znów powalono mnie na kolana. Wepchnięto mi szmatę do ust, ramiona wykręcono do tyłu i spięto kajdankami. Uniosłem głowę i ujrzałem, jak Zajęcza Warga, kuśtykając, zbliża się do mnie. W ręce trzymał czarny, metalowy pręt. Wzdłuż całej jego długości migotały, trzeszcząc, błękitne ogniki.

Pierwsze dwa dotknięcia pręta, używanego do ogłuszania bydła, rzuciły mnie do tyłu, w konwulsjach upadłem na podłogę i z bólu wbilem zęby w szmatę. Po trzecim czy czwartym dotyku straciłem kontrolę nad zmysłami, błękitne błyski przelatowały przez czerń mej świadomości, aż w końcu otoczyły mnie chmury i nastąpiła cisza.

Gdy odzyskałem przytomność, leżałem za mustangiem, schowany przed wzrokiem przechodniów. Końce palców piekły mnie boleśnie, płaszcz pokrywały kryształki szronu. Głowa bolała mnie okropnie, ciałem wciąż wstrząsały dreszcze, twarz i przód płaszcza pokrywała zaschnięta krew i wymiociny. Śmierdziałem. Niepewnie podniosłem się i sprawdziłem kieszenie. W jednej wymacałem mój rewolwer, tyle że bez magazynka, w drugiej nieuszkodzoną komórkę. Wezwałem taksówkę i, w oczekiwaniu na jej przybycie, zadzwoniłem do mechanika z zakładu przy Veteran's Memorial Bridge, by zajął się moim samochodem.

Gdy dojechałem do Scarborough, prawa strona twarzy paskudnie spuchła; widać było ślady oparzeń w miejscach, w którym pręt dotykał skóry. Także na głowie odkryłem dwie czy trzy rany, jedną całkiem głęboką; pewnie Zajęcza Warga na wszelki wypadek wymierzył mi kilka kopniaków. Przyłożyłem w te miejsca kostki lodu, popsikałem sprayem oparzenia, połknąłem kilka tabletek przeciwbólowych, wciągnąłem spodnie od dresu i podkoszulek, by nie zmarznąć, i próbowałem zasnąć.

Nie przypominam sobie, czemu się obudziłem, ale gdy otworzyłem oczy, pokój zdawał się zawieszony między ciemnością a jasnością, zupełnie jakby wszechświat przystanął dla zaczerpnięcia oddechu, w momencie gdy poranne słońce wysyła pierwsze smugi światła poprzez ciemne, zimowe chmury.

I skądś ze środka domu doszedł mnie odgłos szurania stóp, jak gdyby drobne, delikatne kroki wędrowały po podłodze. Wyciągnąłem broń i wstałem. Podłoga zionęła chłodem, szyby w oknach lekko brzęczały. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na korytarz.

Po prawej poruszyła się jakaś postać. Uchwyciłem ten ruch kącikiem oka, tak że nawet nie miałem pewności, czy widziałem kogoś, czy zaledwie zarejestrowałem przesuwanie się cieni w kuchni. Odwróciłem się i wolno Przeszedłem na tyły domu; deski poskrzypywały pod moimi stopami.

I wtedy usłyszałem: delikatny śmiech dziecka, radosny chichot, i znów lekkie kroki, tym razem z lewej strony. Dotarłem do środka kuchni, z podniesioną bronią, i odwróciłem się w sama porę, by dostrzec następny, niewyraźny ruch przy framudze drzwi łączących kuchnię z salonem, by usłyszeć następny okrzyk dziecięcego zachwytu naszą gonitwą. Nie miałem wątpliwości: widziałem dziecięcą stopę, osłoniętą przed zimnem purpurowymi rajtuzami. I wiedziałem też, że już kiedyś widziałem tę małą stopkę, i na to wspomnienie poczułem suchość w gardle.

Wszedłem do jadalni. Coś małego czekało na mnie za drzwiami przy drugim końcu pokoju. Widziałem tylko sylwetkę w cieniu, światło w jej oczach, ale nic więcej. Gdy próbowałem podejść bliżej, postać poruszyła się i usłyszałem skrzyp zawiasów frontowych drzwi; powiew wiatru, swobodnie przelatującego teraz przez dom, marszczącego prześcieradła, łomoczącego o framugi okien i wzbijającego spirale kurzu w korytarzu, pchnął mnie na ścianę.

Teraz szedłem szybciej. Gdy dotarłem do drzwi, znów mignęła mi mała postać, coś ubranego w purpurę przemykało między drzewami, i dalej, i dalej, w ciemność. Zszedłem z werandy na podwórze, miałem trawę pod nogami, drobne kamyczki wbijały mi się w podeszwy stóp i poczułem, jak coś małego, posiadającego wiele kończyn, przesunęło mi się po palcach. Stałem na granicy lasu i bałem się.

Czekała tam na mnie. Bez ruchu, wśród krzaków i drzew, które zakrywały jej ciało przede mną, z twarzą to niewidoczną w cieniu gałęzi, to znów wyraźną. Oczy miała pełne krwi, a gruba, czarna nić wiła się tam i z powrotem przez jej twarz jak prymitywnie zaznaczone usta szmacianej lalki. Stała bez słowa, obserwowała mnie z lasu, a za nią mała figurka tańczyła i skakała wśród zielonego poszycia.

Zamknąłem oczy i skupiłem się, próbując się zbudzić, ale chłód moich stóp był rzeczywisty, jak i pulsujący ból w głowie, i dźwięk dziecięcego śmiechu, niesiony wiatrem.

Poczułem ruch za plecami i czyjś dotyk na ramieniu. Już się odwracałem, gdy ten nacisk zwiększył się i wiedziałem, że nie wolno mi się obejrzeć, poznać, kto za mną stoi. Zerknąłem tylko na miejsce nacisku i nie mogłem powstrzymać dreszczu, który przeszedł me ciało. Zaraz zamknąłem oczy, ale to, co już ujrzałem, odcisnęło się w świadomości niczym obraz oglądany pod jaskrawe, słoneczne światło.

Dłoń była miękka, biała i delikatna, o długich, zwięzających się ku końcom palcach. Obrączka ślubna błyszczała w tym dziwnym świetle, tuż przed świtem.

Bird

Ileż to razy słyszałem ten głos szepczący do mnie w ciemnościach, preludium do delikatnej pieśnicy ciepłej dłoni, podmuchu jej oddechu na mym policzku, moich wargach, dotyku jej małych piersi, twardej skóry w zetknięciu z mym ciałem, jej nóg owijających się wokół mnie niczym bluszcz. Słyszałem go w chwilach miłości i namiętności, kiedy byliśmy ze sobą szczęśliwi, w momentach gniewu, szału i smutku, gdy nasze małżeństwo rozpadło się. I od tamtego czasu słyszałem go w szeleście liści na trawie i w odgłosie gałęzi ocierających się o siebie w jesiennym wietrze, głos, który rozbrzmiewał z daleka i wołał do mnie z krainy cieni.

Susan, moja Susan.

Bird

Teraz głos przybliżał się, jakby mówił mi niemal do ucha, ale nie czułem oddechu na twarzy.

pomóż jej

Dalej, z lasu, obserwowała mnie kobieta, jej szeroko otwarte, pełne czerwieni oczy ani drgnęły.

Jak?

znajdź go

Kogo? Billy'ego?

Palce zacisnęły się mocniej.

tak

Nie jestem za niego odpowiedzialny
jesteś, za nich wszystkich

I w plamach księżycowego światła, pod drzewami, jakieś kształty okręcały się i obracały zawieszony w powietrzu, ze stopami nie dotykającymi ziemi, a ich zniszczone brzuchy świeciły czernią i wilgocią. Ja, odpowiedzialny, za nie wszystkie.

Wtedy nacisk na moje ramię zelżał i poczułem, że ona oddała się. Przede mną rozległ się jakiś dźwięk pośród krzewów i kobieta, znana kiedyś jako Rita Ferris, cofnęła się między drzewa. Uchwyciłem ostatni błysk czegoś w purpurze, poruszającego się szybko za linią drzew, a śmiech przypominający muzykę wracał do mnie.

I zobaczyłem coś jeszcze.

Małą dziewczynkę o długich, jasnych włosach, która popatrzyła na mnie jakby z miłością, a potem podążyła w ciemność za towarzyszem zabaw.

mmmmML

MHWI4W

Gdy się zbudziłem, w pokoju, rozświetlonym przedostającymi się przez zasłony promieniami zimowego słońca, było całkiem jasno. W głowie mi szumiało, bolały szczęki zeszytywniałe od zaciskania zębów w reakcji na wstrząs elektryczny. Usiadłem, w głowie zakołatało mocniej, i wtedy przypomniałem sobie, co śniło mi się tej nocy, jeżeli w ogóle można mówić o śnie.

Łóżko zasłane było liśćmi i gałązkami, na stopach dostrzegłem błoto.

Miałem w domu środki homeopatyczne, zalecane przez Louisa, zażyłem je więc, popiłem i czekałem na zagranie się wody na prysznic. Połknąłem mieszankę fosforu — przeciwko mdłościom, a także gelseminę, polecaną przez Louisa jako środek na opanowanie drżenia. Do tego jeszcze wywar z dziurawca, naturalny środek przeciwbólowy. Poczuję się trochę głupio, zażywszy taką ilość pigułek, ale w końcu nikt tego nie widział i nie musiałem się przejmować.

Zaparzyłem dzbanek kawy, napełniłem kubek i postawiłem na stole. Siedziałem i patrzyłem na stygnący płyn. Czuję się fatalnie i nawet rozważałem zmianę zawodu — na ogrodnictwo, a może łowienie homarów. Gdy na kawie uformował się już cienki kożuch, zadzwoniłem do Ellisa Howarda. Z jego obecności pod biurkiem Lestera Biggsa wywnioskowałem, iż postanowił zająć się sprawą osobiście. Chwilę trwało, nim podszedł do telefonu, pewnie jeszcze zły na mnie za zamieszanie z Biggsem.

— Coś wcześniej jesteś na nogach — rzekł, podnosząc słuchawkę.

Słyszałem, jak wzdycha, sadowiąc się na krześle. A nawet jak krzesło skrzypi na znak protestu. Gdyby Ellis usiadł na mnie, też bym zaskrzypiał.

— Mógłbym powiedzieć to samo o tobie — odpaliłem. — Mam nadzieję, że jesteś już po kawie i pączkach?

— Aha, i po czymś jeszcze. Wiadomo ci, że Tony Celli pojawił się wczoraj w mieście?

— Tak, złe wiadomości rozchodzą się błyskawicą. Zwłaszcza gdy wciska ci je ktoś między zęby, przy pomocy prądu.

— Dziś rano znów zniknął, najwyraźniej postanowił się przycząić.

— Co za szkoda, już myślałem, że się tu przeprowadzi i otworzy kwaciarnię.

Po drugiej stronie linii rozległ się odgłos zakrywania dłonią słuchawki, przytłumionej wymiany słów i przerzucania kartek papieru, a potem: — No więc czego sobie życzysz, Bird?

— Chciałem się dowiedzieć, czy jest coś nowego w sprawie Rity Ferris, Billy'ego Purdue, czy wreszcie tego coupe de ville.

Ellis roześmiał się głucho. — Zero co do dwóch pierwszych, ale trzecia sprawa wygląda interesująco. Okazało się, że ten coupe de ville to samochód firmowy, zarejestrowany na niejakiego Leo Vossa, prawnika z Bostonu. — Chwila milczenia. Czekałem, wreszcie pojąłem, iż znowu mam zgrywać naiwniaka.

— No i...? — wydukałem w końcu.

— No i — powtórzył za mną Ellis — Leo Vossa już nie ma wśród nas. Umarł sześć dni temu.

— Cholera, jeden martwy prawnik. Zostało ich jeszcze z milion.

— Nie tracimy nadziei...

— Przewrócił się sam, czy go popchnięto?

— W tym cała heca. Sekretarka znalazła go i wezwała gliny. Siedział za biurkiem, ciągle jeszcze w stroju do biegania — adidas, skarpety, T-shirt, dres — przed nim otwarta butelka wody mineralnej. Z początku zakładali atak serca. Według sekretarki, już dzień wcześniej nie czuł się najlepiej, obawiał się, że ma grypę. Ale sekcja wykazała zapalenie nerwów dłoni i stóp. Stracił także trochę włosów, pewnie dzień lub dwa wcześniej. Analiza próbek owłosienia wykazała ślady talu; wiesz, co to takiego?

— Tak, orientuję się.

Mój dziadek stosował go do tępienia szczurów, dopóki tego środka nie wycofano ze sprzedaży. Metaliczny pierwiastek, podobny do ołowiu czy rtęci, ale o wiele bardziej trujący. W postaci proszku rozpuszcza się w wodzie, jest prawie bez smaku, powoduje symptomy przypominające objawy grypy, zapalenia opon mózgowych czy zapalenia mózgu. Śmiertelna dawka siarczynu talu, może osiemset miligramów lub więcej, potrafi zabić każdego w ciągu dwudziestu czterech do czterdziestu godzin.

— A czym zajmował się ten Leo Voss? — zapytałem.

— Niczym podejrzanym, głównie sprawami firmy; choć najwyraźniej lukratywnymi. Miał dom na Beacon Hill, letni domek w Vineyard, i zapewne jeszcze coś w banku, chociażby dlatego, że był kawalerem i nikt nie płacił za futra jego kartą kredytową.

Doreen, pomyślałem. Gdyby Ellisa było na to stać, pewnie wywiesiłby JeJ podobizny przed kościołami, jako ostrzeżenie dla innych.

— Wciąż sprawdzają jego dokumenty, ale wydaje się biały jak śnieg — dokończył Ellis.

— Co pewnie oznacza coś wręcz przeciwnego.

Ellis cmoknął. — Taki cynizm w tak młodym wieku! No i właśnie, podobno rozmawiałeś z Willefordem...

— Zgadza się, coś nie tak?

— Możliwe. On zniknął, a ja zaczynam powoli mieć dość przybywania do miejsc, gdzie okazuje się, że ty już tam byłeś. Robisz ze mnie nieudacznika, a tego nie brakuje mi w domu.

Czułem, jak dłoń mocniej zaciska mi się na słuchawce. — Gdy go widziałem ostatni raz, siedział w Sail Loft i rozkoszował się drinkiem.

— Willeford nigdy w życiu nie rozkoszował się drinkiem. One nie przetrwają w jego szklance na tyle długo, by mógł się nimi nacieszyć. Czy mówił ci coś, co by wskazywało, że planował wyjazd?

— Nie, nic. — Przypomniałem sobie zainteresowanie Tony'ego Celli Willefordem i poczułem suchość w ustach.

— A o czym rozmawialiście?

— Pracował na zlecenie Billy'ego Purdue — odrzekłem po chwili zastanowienia. — Usiłował znaleźć jego biologicznych rodziców.

— To wszystko?

— Tak.

— I udało mu się? ?

— Nie sądzę.

Ellis zamilkł, a po chwili wypalił bez ogródek: — Nie ukrywaj przede mną niczego, Bird, nie lubię tego.

— Nie ukrywam. — Co nie było do końca kłamstwem, ale nie jestem pewien, czy można zakwalifikować moją wypowiedź jako zgodną z prawdą. Czekałem na dalsze pytania, ale najwyraźniej zrezygnował.

— Trzymaj się z dala od kłopotów, Bird — powiedział jeszcze i odwiesił słuchawkę. Właśnie skończyłem sprzątać ze stołu i w sypialni ubierałem wysokie buty, gdy usłyszałem podjeżdżający samochód. Przez szczelinę w zasłonach dostrzegłem tył złotego mercury'ego sable, zaparkowanego przy bocznej ścianie domu. Wziąłem smitha & wessona, owinałem ręcznikiem i wyszedłem na werandę. Gdy stanąłem w zimnym, porannym świetle słońca, usłyszałem znajomy głos:

— Jak komuś chciało się sadzić taką ilość drzew? Kto ma tyle czasu? Mnie nawet nie wystarcza go na pranie.

Angel stał odwrócony do mnie plecami i gapił się na drzewa, wznoszące się na granicy mej posiadłości. Miał na sobie barankowy kożuszek z Timberlandu, brązowe sztruksy i także brązowe, ciężkie buciory. U jego stóp ujrzałem walizkę z twardego sztucznego tworzywa, tak poobijaną i zniszczoną, jakby zrzucono ją z samolotu. Kawalek niebieskiej liny wspinaczkowej i kaprys losu zabezpieczyły ją przed otwarciem.

Angel oddychał głęboko — po chwili aż pochylił się, ogarnięty nagłym atakiem kaszlu. Splunął czymś dużym i paskudnym na ziemię tuż przed sobą.

— To czyste powietrze wyciąga gówno z płuc — rozległ się głęboki, rozciągający sylaby głos.

Zza podniesionej klapy bagażnika wyłonił się Louis, z walizką typu Delsey i dopasowanym do niej pokrowcem na garnitur. Miał na sobie czarny, dyrektorski płaszcz, spod którego połyskiwało szare, dwurzędowe ubranie. Czarną koszulę zapiął pod samą szyję, ogolona głowa aż lśniła. W otwartym bagażniku dostrzegłem długą, metalową skrzynkę. Louis nigdy nie wybierał się w podróż bez swoich zabawek.

— Wygląda na płuco — powiedział Angel, czubkiem buta z zainteresowaniem trąciwszy to coś, co wydarło się z jego ciała. Gdy patrzyłem na nich, poczułem przyptyw otuchy. Nie wiedziałem, dlaczego są tutaj, a nie w Nowym Jorku, ale, tak czy owak, ucieszyłem się. Louis rzucił na mnie okiem i skinął głową, w geście, jakim zwykle wyrażał aprobatę.

— Wiesz, Angel — odezwałem się — już samo to, że tu stoisz, sprawia, iż przyroda przypomina wyglądem chlew.

Angel odwrócił się i uniósł ramię w geście imitującym zamiatanie.

— Drzewa! — Uśmiechnął się i z niedowierzaniem potrząsnął głową. — Tyle drzew. Nie widziałem ich w takich ilościach, odkąd wykopali mnie z indiańskich skautów.

— Chyba nawet nie chcę poznać przyczyny — odrzekłem.

Angel podniósł walizkę. — Dranie, a już miałem dostać znaczek bada- cza-odkrywcy.

— Pewnie nie mieli odpowiednich odznak do gówna, które badałeś — rzucił Louis zza pleców Angela. — Z taką plakietką można by wylądować w pierdlu w Georgii.

— Bardzo śmieszne — warknął Angel. — To tylko mit, że nie można być gejem i dokonywać rzeczy typu macho.

— Taa, jak i prawdą jest to, że wszyscy homoseksualiści ładnie się ubierają i dbają o swe ciało.

— Chyba nie pijesz do mnie?

Jakże miło było widzieć, że niektóre sprawy pozostają bez zmian.

— Jak się dzisiaj czujesz? — zagadnął Angel i przecisnął się obok mnie. — I odłóż broń. My zostajemy, chcesz czy nie. A tak przy okazji, też wyglądasz jak kupa gówna...

— Ładne ubranie — pochwaliłem szybko Louisa, gdy wchodził za An- gelem.

— Dzięki. I nie zapominaj: bez gustu, to tak jak bez kasy.

Przez chwilę stałem na werandzie, czując się głupio z owiniętą w ręcznik bronią wciąż w dłoni. Potem doszedłem do wniosku, że sprawa została postanowiona na długo, nim pojawili się w Maine, i poszedłem za nimi do domu.

Pokazałem im dodatkową sypialnię, wyposażoną jedynie w materac leżący na podłodze i starą szafkę.

— Jezu! — zawołał Angel. — Wypisz wymaluj Hanoi Hilton. Jak zastukamy w rury, lepiej niech ktoś odpowie.

— Dostarczysz pościeli, czy mamy poturbować kilku pijaków i ściągnąć z nich płaszcze? — zapytał Louis.

— Nie mogę tu spać — zaprotestował Angel tonem wyrażającym nieodwołalność decyzji. — Jeżeli szczerom zachce się poucztować na mnie, niech skurwiele przynajmniej wysilą się na wspinaczkę po ramie łóżka.

Ponownie przecisnął się obok mnie i po chwili zawołał:

— Hej, tu jest o wiele lepiej, weźmy ten pokój.

Hałas, który się rozległ, bez żadnych wątpliwości sygnalizował, iż ktoś skacze po mym łóżku, w górę i w dół. Louis spojrzał wymownie.

— Może jednak ta broń będzie ci potrzebna. — Wzruszył ramionami i poszedł za dźwiękiem wydawanym przez sprężyny.

Gdy w końcu udało mi się wyrzucić ich z mojej sypialni i załatwić dostawę dodatkowego umeblowania, łącznie z łóżkiem, z niewielkiego magazynu Krafta na Gorham Road, zasiedliśmy przy kuchennym stole i czekałem, by wyjaśnili mi, skąd się tu wzięli. Zaczęło padać: twarde, zimne krople, zwiastujące śnieg.

— Jesteśmy dla ciebie jak rodzice chrzestni rodem z bajki — powiedział Angel.

— Nie jestem pewien, czy mam twoje słowa rozumieć dosłownie... — zawiesiłem głos, w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

— Może po prostu usłyszeliśmy, że to jest miejsce, w którym należy się pokazać — ciągnął Angel. — Każdy, kto choć trochę się liczy, jest tu teraz. Masz swego Tony'ego Celli, swoich fedziów, miejscowych skurwieli, martwych Azjatów. Kurwa, to miejsce przypomina zbrojone ONZ.

— Ile wiecie? — zaciekałem się.

— Tyle, że od jakiegoś czasu wkurwiasz ludzi — odrzekł. — Co ci się stało w twarz?

— Facet z zajęczą wargą próbował pouczać mnie przy pomocy pręta do ogłuszania bydła, a potem poprawił mi fryzurę butem.

Angel skrzywił się współczująco. — Goście z zajęczymi wargami pragną ze wszystkimi podzielić się swymi fizycznymi defektami.

— To Mifflin — stwierdził Louis. — Czy był z nim facet, wyglądający jakby ktoś rzucił mu sejf na głowę, i sejf się rozbił?

— Tak — przyznałem — jednak on mnie nie kopał.

— Dlatego, że zamiar pewnie dotarł do połowy drogi między jego mózgiem a stopą, a potem gościu zapomniał, o co chodziło. Nazywa się Be- rendt. Jest taki durny, że gównu wygląda przy nim inteligentnie. Był z nimi Tony Czyścioch? — Przez cały czas trwania swej przemowy Louis stawiał ostrzem na końcu wskazującego palca jeden z moich kuchennych noży i zabawiał się rzucaniem w górę i chwytniem go za rękojeść. Niezła sztuczka: gdyby cyrk przyjechał do miasta, mieliby numer jeden.

— Zatrzymali się w Regency — powiedziałem. — Odbyłem przymusową wizytę w pokoju Tony'ego.

— Miło było? — spytał Angel, z niesmakiem przesuając dłonią pod stołem i przypatrując się warstwie kurzu zebranego na palcach.

— Dość, nie licząc kopniaków w głowę i elektrycznych wstrząsów.

— Pierdolić go. Powinniśmy kazać mu zatrzymać się tutaj. Trochę brudu przypomniałoby mu, skąd się wywodzi.

— Jeszcze raz skrytykujesz mój dom, i możesz spać w ogródku.

— Prawdopodobnie czyściej — mruknął — i cieplej.

Louis stuknął o blat stołu długim, szczupłym palcem. — Podobno w okolicy duża kasa popłynęła w niewłaściwym kierunku. Ogromna kasa.

— Zdaje się.

— Masz pomysł, gdzie się podziała?

— Możliwe. Chyba trafiła do faceta zwanego Billy Purdue.

— Też tak słyszałem.

— Od Tony'ego Celli?

— Od kilku niezadowolonych. Uważają, że Billy Purdue jest już tak martwy, że mógłby zostać patronem cementarza...

Powiedziałem im o śmierci Rity i Donalda. Zauważyłem, jak wymieniają spojrzenia, i wiedziałem, że usłyszę coś więcej.

— Billy Purdue załatwi! ludzi Tony'ego? — dopytywał się Angel.

— Przynajmniej dwóch. Przyjmując, że to on zabrał tę forszę, a tak właśnie zakłada Tony Celli jak i prawo.

Louis wstał i dokładnie umył swój garnuszek. — Tony ma kłopoty — rzekł w końcu. — Wplątał się w jakiś niewypał na Wall Street.

Słyszałem opowieści o Włochach rozszerzających interesy na Wall Street, zakładających firmy akcyjne i znajdujących nieuczciwych maklerów, by rozprowadzali akcje, naciągając inwestorów. Da się tam zrobić niezłą forszę, byle zastosować właściwy sposób.

— Tony spieprzył zabawę — kontynuował Louis — i oto mamy człowieka, którego dni są policzone, i to w pojedynczych cyfrach.

— Na ile sprawa wygląda źle?

Louis odstawił kubek dnem do góry, by woda ociekła, oparł się plecami o zlew. — Mówi ci coś hasło: PERLS2?

— Tyle co każdemu. Jeśli chodzi o perły. A hasło? To coś, co się znajduje w meduzach?

— Nie, chyba że meduza może cię naciąć na półtora miliona. Od razu widać, że nigdy nie miałeś dość kasy, by inwestować.

— Prowadzę ascetyczną egzystencję, jak Ojciec Damian, tyle że bez trędowatych.

— PERLS — powiedział Louis — to Principal Exchange Rate Linked Security³ — pakiet papierów wartościowych, rozprowadzany przez banki inwestycyjne; ma dawać wrażenie bezpieczeństwa, tyle że jego zawartość jest ryzykowna jak seks z rekinem. Kupujący stawia jakąś ilość forsy, a zysk wynika ze zmian kursów rozmaitych walut. Jedno jest pewne, jeżeli wszystko pójdzie jak należy, można zbić fortunę.

Zawsze fascynowało mnie, jak Louis, w jednej chwili, gdy temat tego wymaga, potrafi odrzucić ten swój monosylabowy szpan bandziora, ale nie mówiłem mu o tym.

— Tak więc Tony Celli uważa się za finansowego magika i niektórzy w Bostonie wierzą mu — ciągnął. — Zajmuje się praniem brudnych pieniędzy, przepuszcza kupę kasy przez banki na wyspach oraz firmy akcyjne, aż forsa trafi z powrotem na właściwe konta. Załatwia sprawy z księgowymi, on też jako pierwszy dostaje cynk o wszelkich możliwościach. Jest jakby najwęższym miejscem klepsydry: wszystko musi przejść przez niego, by dotrzeć gdzie indziej. A czasami Tony robi kilka inwestycji na boku, wykorzystując gotówkę innych, albo zarabia trochę na kursie walut i zatrzymuje zysk we własnej kieszeni. Nikt o to nie dba, jak długo nie stanie się nadmiernie chciwy...

— Niech zgadnę — wtrąciłem — Tony stracił umiar.

Louis przytaknął. — Znudził się miejscem na dole i teraz chce być szefem. Wie, że na to potrzebuje kasy, większej niż ta, którą dysponuje. Więc gada z jakimś pieprzonym

pośrednikiem od kombinacji giełdowych, który nie ma najmniejszego pojęcia, kim jest Tony, poza tym, że to frajer w koszuli w paski i z kupą kasy do wydania, no bo Tony stara się prowadzić swoje interesy możliwie najdyskretniej. A więc gość przekonuje Tony'ego do kupna jakiejś odmiany tych PERLS, związanej z różnicą między wartością pewnej południowo-wschodnio-azjatyckiej waluty, a koszykiem innych — dolarów, franków szwajcarskich, niemieckiej marki — i chapie forszę za pośrednictwo. Rzecz jest tak niebezpieczna, jak bomba zegarowa, ale Tony kupuje akcje za półtora miliona dolarów, w większości za cudze pieniądze, gdyż w interes wchodzi także środkowowschodnie towarzystwa ubezpieczeniowe i fundusze emerytalne, a Toni błędnie rozumuje, iż są zbyt konserwatywne, by stawiać na ryzyko. Inwestycja ma być krótkoterminowa i Toni jest przekonany, że dostanie kasę, zanim ktokolwiek zauważy, że przetrzymywał ją dłużej niż zwykle.

— I co się stało?

— Czytujesz gazety. Jeny idą w dół, banki padają, cała gospodarka południowo-wschodniej Azji zaczyna się rozpadać. Wartość akcji Tony'ego spada o dziewięćdziesiąt pięć procent w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, a perspektywa długości jego życia mniej więcej o tyle samo. Tony wysłał gości, by odnaleźli tego pośrednika. Złapali go w Zip City na Osiemnastej Ulicy, akurat kiedy sobie kpił, jak to puścił jednego gościa z torbami — „zdarł mu twarz”, bo tak ci macherzy określają wciśnięcie komuś eksplodujących akcji...

I tymi słowami, według Louisa, podpisał na siebie wyrok. Porwano go, gdy udał się do kibla, zawieziono do podziemi w Queens i przywiązano do krzesła. Wszedł Tony, wbił palce w miękkie ciało pod brodą faceta i zaczął ciągnąć. Nie trwało więcej niż dwie minuty, jak rozdarł gościowi twarz na strzępy. Potem wsadzili go do auta i pobili na śmierć w jakimś lesie na krańcach stanu.

Louis znów zabrał się za podrzucanie noża, potem wetknął go z powrotem w drewniany stojak. Na koniuszku palca nie miał ani kropli krwi, mimo nacisku ostrza. — Tak więc Tony strasznie potrzebuje forsy i jakieś szychy już zaczynają się niepokoić, dlaczego tak długo ich forsa do nich nie wraca. I wtedy Tony znowu ma szczęście: jakiś macher z Toronto, dłużny Celli przysługę, mówi mu o tym starym Kambodżaninie, żyjącym sobie spokojnie w Hamilton, w południowej części miasta. Stary zapewne był kiedyś Czerwonym Khmerem i zastępcą dyrektora w obozie Tuol Seng w Phnom Penh...

Słyszałem o Tuol Seng — dawna szkoła w stolicy Kambodży, zamieniona w miejsce tortur i egzekucji dokonywanych przez Czerwonych Khmerów, gdy przejęli władzę nad krajem. Tuol Seng prowadził wielkouchy dyrektor obozu, znany jako Comrade Deuch, który używał biczów, łańcuchów, jadowitych węży i wody do męczenia i zabicia chyba nawet szesnastu tysięcy osób, łącznie z zachodnimi turystami, którzy zbyt blisko przybliżyli się do wybrzeży Kambodży

— Staruch najwyraźniej miał przyjaciół w Tajlandii i zarobił kupę forsy na boku, jako pośrednik w szmuglu heroiny — ciągnął Louis. — Po najeździe Wietnamczyków zniknął i pojawił się jako restaurator w Toronto. Jego córka właśnie zaczęła studia w Bostonie, więc Tony namierzył ją, porwał i wyznaczył staremu okup, który pokryłby jego długi, i jeszcze trochę. Stary nie mógł zwrócić się do glin z powodu swej przeszłości, a Tony dał mu siedemdziesiąt dwie godziny na dostarczenie okupu, choć dziewczyna już wtedy nie żyła. Stary gromadzi pieniądze, wysłał swoich ludzi do Maine na miejsce wymiany i — bum! — wszystko idzie nie tak...

To by wyjaśniało obecność Eldritch, gliniarza z Toronto. Wspomniałem o nim Louisowi, a on uniósł zaraz szczypty palec.

— Jeszcze jedno: w czasie, gdy tu doszło do masakry, dom starego w Hamilton spłonął do samych fundamentów, a razem z domem gospodarz, reszta jego rodziny i osobistej obstawy, w sumie siedem osób. Tony chciał załatwić sprawę czysto, bo z niego taki czyścioszek.

— Wyznaczono więc nagrodę za głowę Tony'ego, a przy okazji Billy wywinął się od więzienia — skwitowałem. — A teraz powiedz mi, co miała znaczyć ta wymiana spojrzeń między tobą a Angelem? — Gdy Louis skończył mówić, Angel jeszcze raz spojrzął na niego w taki sposób, iż zrozumiałem, że usłyszę coś więcej, i to coś niedobrego.

Louis przyglądał się rozplywającym się na szybie kroplom deszczu.

— Ty masz więcej kłopotów niż Tony i wymiar sprawiedliwości z nim — powiedział cicho. Twarz miał poważną, ten sam wyraz malował się na obliczu zwykle impulsywnego Angela.

— Aż tak źle?

— Chyba nie może być gorzej. Słyszałeś kiedyś o Abelu i Stritchu?

— Nie, a oni co za jedni?

— Oni zabijają.

— Z całym szacunkiem, ale fakt ten nie czyni ich wyjątkowymi w obecnym tu towarzystwie.

— Oni to lubią.

I przez następne pół godziny Louis odtwarzał drogę dwóch mężczyzn znanych tylko jako Abel i Stritch, szlak wyznaczony torturami, paleniem, gazowaniem, przypadkowymi zabójstwami na tle seksualnym, gwałtami i okrutną przemocą wobec kobiet i dzieci, płatnymi i niepłatnymi zabójstwami. Łamali kości i przelewali krew; zabijali prądem i dusili gazem. Wydeptana przez nich ścieżka otaczała świat niczym zwój kolczastego drutu; rozciągała się od Azji i Południowej Afryki po Środkową Amerykę, wszędzie gdzie wybuchały niepokoje i gdzie zaistniała możliwość otrzymania zapłaty za terroryzowanie i zabijanie przeciwników, obojętnie, czy chodziło o partyzantów, agentów rządowych, chłopów, księży, zakonnice czy dzieci.

Louis opowiedział mi o wydarzeniu w Chile, gdzie pewna rodzina, podejrzewana o pomaganie Indianom Mapuche, została namierzona przez agentów policji reżimu Pinocheta. Trzech synów, w wieku siedemnastu, osiemnastu i dwudziestu lat, zaciągnięto do podziemi opuszczonego budynku, zakneblowano i przywiązano do cementowych filarów. Przyprawiono matkę i siostry, i pod groźbą broni kazano im usiąść twarzą do mężczyzn. Wszystko odbywało się w absolutnym milczeniu.

Potem z ciemności na tyłach pomieszczenia wyłoniła się postać: przysadzisty, bladej mężczyzna o łysej głowie i martwych oczach. Drugi pozostał w cieniu, ale widzieli od czasu do czasu żarzący się koniec papierosa i czuli dym, który wydychał.

W prawej ręce łysy trzymał potężną, pięciusetwatową lutownicę, przystosowaną tak, by rozżarzona końcówka miała prawie pół cala długości i paliła się w temperaturze dwustu czy trzystu stopni. Podeszedł do najmłodszego syna, odsunął mu koszulę z klatki piersiowej i przyłożył końcówkę tuż pod mostkiem. Żelazo z sykiem weszło w ciało, pomieszczenie wypełnił smród przypalonego mięsa. Chłopiec szarpał się, gdy metal wdzierał się głębiej i głębiej; z jego ust wydobywały się stłumione dźwięki przerażenia i bólu. Oczy kata zmieniły się teraz, pojaśniały, nabrały życia, oddech stał się krótki, głośny. Mężczyzna wolną ręką sięgnął do rozporka chłopca i trzymał go za przyrodzenie, równocześnie podnosząc żelazo w górę, ku sercu ofiary. Gdy pręt przebił powłokę mięśni, bladej mężczyzna zacisnął uchwyt i uśmiechnął się; chłopiec zadrzał i umarł.

Kobiety powiedziały im wszystko, co wiedziały, czyli bardzo niewiele, i pozostali chłopcy umarli szybko, być może nie tylko dzięki tym wyznaniom, lecz dlatego, że bladej nasycił już żądę.

I teraz ci dwaj dotarli na północ, aż do Maine.

— W jakim celu pojawili się tutaj?

— Za forszą — wyjaśnił Louis. — Tacy jak oni mają wrogów. Jeżeli są dobrzy w tym, co robią, większość ich nieprzyjaciół nie pożyje wystarczająco długo, by wyrządzić im krzywdę.

Ale im dłużej pracują, tym większa szansa, że komuś uda się przecisnąć przez sieć. Ci dwaj mordują od dziesięcioleci. Teraz wybiła ich godzina. Forsa pomogłaby w stworzeniu sobie niezłego, cichego funduszu emerytalnego. Przyszło mi do głowy, że mogą złożyć ci wizytę, i dlatego tu jesteśmy.

— Jak wyglądają? — spytałem, ale już miałem swoje podejrzania.

— W tym problem. Nic nie wiadomo o Abelu, poza tym, że jest wysoki i ma siwe, niemal białe włosy. Ale Stritch, ten, który torturuje... jest jak z galerii wybryków natury: niski, z szeroką, łysą głową, ustami jak krwawiąca rana. Przypomina Wujka Festera, ale bez jego dobroci.

Pomyślałem o dziwnym, podobnym do karła gościu przed gospodą, tym samym, który później pojawił się w Java Joe's, ostentacyjnie nawracając do Boga, z prymitywnie narysowanym szkicem matki i dzieciątka, i o cichych, ukrytych groźbach.

— Spotkałem go — oznajmiłem.

Louis aż otarł dłonią usta. Nigdy nie widziałem go tak zaniepokojonego niebezpieczeństwem, jakie mogłoby grozić z czyjejkolwiek strony. Przed oczami wciąż miałem obraz tamtej ciemności, nagle ozywającej w opuszczonych magazynach w Queens i jednego z najbardziej niebezpiecznych zabójców w mieście, stojącego na palcach, z ustami rozwartymi do krzyku, gdy ostrze noża Louisa zagłębiało się mu w podstawę czaszki. Louis nie panikował z byle powodu. Powiedziałem mu o samochodzie i spotkaniu w kawiarni, i o prawniku o nazwisku Leo Voss.

— Według mnie Voss stanowił ich skrzynkę kontaktową, do niego zwracali się przyszli klienci Abela i Stritcha — stwierdził Louis. — Jeżeli nie żyje, to z pewnością oni go zabili. Likwidują interes i nie chcą zostawiać za sobą żadnych śladów. A jak Stritch tu jest, Abel na pewno także. Nie działają osobno. Pojawił się znowu?

— Nie. Mam przeczucie, że tylko chciał dać znać o swej obecności-

— Przeciętny gość nie jeździłby cadillakiem nieboszczyka — wtrącił Angel — tylko taki, który chce ściągnąć na siebie uwagę.

— Albo odciągnąć ją od kogoś innego — zauważyłem.

— On tylko obserwuje — powiedział Louis. — Jak i ukryty gdzieś jego partner. Czekają, byś zaprowadził ich do Billy'ego Purdue... — Zastanawiał się przez chwilę. — Czy ta kobieta i chłopiec byli torturowani?

Potrząsnąłem głową. — Kobietę uduszono; żadnych śladów innych obrażeń czy seksualnej przemocy. Chłopiec zginął, bo wszedł mordercy w drogę. — Przypomniałem sobie usta Rity Ferris, gdy gliniarze odwrócili ją na plecy. — Jeszcze coś: po śmierci Rity morderca zszyl jej wargi czarną nicią.

Angel skrzywił się. — Bez sensu.

— Bez sensu w przypadku Abela i Stritcha — zgodził się Louis. — Ci powyrywaliby jej palce i męczyli chłopca, by wyciągnąć z niej, co wie o forsie. To nie wygląda na ich robotę.

— Ani Tony'ego Celli — dodał Angel.

— Gliny uważają, że mógł ich zabić Billy — wyjaśniłem. — Istnieje taka możliwość, ale i tak nie widzę, jaki miałby mieć powód kaleczenia ust żony.

W milczeniu rozważaliśmy te wszystkie informacje. Chyba w końcu doszliśmy do tego samego wniosku, ale to Louis wyraził go na głos:

— Jest tu jeszcze ktoś inny.

Na dworze padał deszcz, twarde krople jak uderzenia młotkiem waliły o dachówki, tarły o szyby okien. Poczułem chłód na ramieniu, a może tylko wspomnienie tamtego dotyku, i głos deszczu zdawał się szeptać do mnie w języku, którego nie rozumiałem.

Kilka godzin później nadjechała ciężarówka z częścią mebli. Wstawiliśmy łóżko do dodatkowego pokoju, dołożyliśmy kilka dywaników i w sumie nadaliśmy pomieszczeniu bardziej domowego wyglądu, zakładając oczywiście, że prawdziwy dom nie był zbyt

wymyślnie urządzony. Potem, gdy już wszyscy odświeżyliśmy się, pojechaliśmy do Portland, mijając niebiesko- białe światełka choinki na Congress Square i drugie co do wielkości drzewko bożonarodzeniowe na Monument Square. Zaparkowaliśmy wóz i spacerem przeszliśmy do piwiarni Stone Coast Brewing Company na York Street, gdzie Angel i Louis wypili po piwie, i razem zastanawialiśmy się, gdzie pójdziemy coś przekąsić.

— Macie w pobliżu jakiś bar z sushi? — spytał Louis.

— Nie jadam owoców morza — zaprotestowałem.

— Nie jadasz owoców morza? — głos Louisa podskoczył o oktawę. — Co z tobą, do kurwy nędzy! Mieszkasz w Maine. Homary praktycznie podają ci nóż i widelec i błagają, byś wgrzył im się w dupę...

— No wiesz, ja w ogóle nie jadam owoców morza — tłumaczyłem cierpliwie. — Taki nawyk.

— Jaki nawyk, człowieku, to fobia.

Siedzący obok mnie Angel uśmiechnął się. Dobrze było tak sobie się dzieć i przekomarzać się, po tym co zostało przed chwilą powiedziane.

— Przykro mi — ciągnąłem — ale nie tknę niczego, co ma więcej niż cztery nogi albo żadnych kończyn. Założę się, że ty wsuwasz nawet płuc- ka krabów...

— Płucka, sok krabów...

— To nie sok, Louis, to zawartość ich układu trawiennego. Jak my. ślisz, dlaczego jest żółty?

Lekceważąco machnął ręką. — W sushi i tak nie ma żadnego krabie- go gówna.

Angel dopił piwo. — Cóż, w tym przedmiocie popieram Birda. Ostatnim razem, gdy byłem w LA, jadłem w barze z sushi. Prawie same flaki. Po wyjściu rzuciłem jeszcze okiem na wystawę i zobaczyłem ocenę „C” wystawioną przez wydział zdrowia. Pierdolone „C”! Mógłbym zeżreć burgera w knajpie kategorii „C”, i najgorsze, czego można by oczekiwać, to zemsta Ronalda McDonalda, ale sushi kategorii C... Człowieku, to świństwo mogło zabić! Ta ich cholerna ryba była taka zła, że niemal cię dusiła i skubała ci tylko portfel.

Louis objął dłońmi głowę i modlił się do tego, do kogo modlą się tacy jak on — pewnie do smitha & wessona.

Zjedliśmy w barze Tony's Thai Taste na Wharf Street, w Starym Porcie. Akurat trzy stoły dalej od nas siedzieli Samson i Doyle, dwaj fedzie, których widziałem w mieszkaniu Rity Ferris, a przy nich także Eldritch, policjant z Toronto. Rzucili w naszą stronę zainteresowane, choć niezbyt przyjazne spojrzenie, potem dalej jedli czerwone curry.

— Twoi przyjaciele? — zainteresował się Angel.

— Chłopcy federalni plus ich kuzyn z za północnej granicy.

— Fedzie nie mają powodu, by cię lubić, Bird. Zresztą oni nie potrzebują powodu, by do kogokolwiek nie żywić sympatii.

Pojawiło się nasze jedzenie: Niebiański Kurczak dla Louisa, a ^ mnie i Angela danie szefa kuchni, mieszanina wołowiny z papryką, afl8' nasem i zielonym groszkiem, doprawiona trawą cytrynową, czosnkiem i sosem chili. Louis poczuł zapach czosnku i zmarszczył nos. Cóż, nie sadiłem, by od kogoś z nas oczekiwał dzisiaj całusa na dobranoc.

Jedliśmy w milczeniu. Fedzie i Eldritch wyszli, gdy byliśmy zajf' daniami. Miałem uczucie, że jeszcze dadzą o sobie znać. Po ich odejś0"

Louis starannie wytarł serwetką usta i wypił ostatni łyk piwa Tsing-tsa. potem spytał: — Masz plan działania co do Billy'ego Purdue?

Wzruszyłem ramionami. — Rozpytywałem, gdzie mogłem, ale zapadł się pod ziemię. Część mnie jest przekonana, że on tutaj jest, ale druga część podsuwa, że może wyruszył na północ. Jeżeli ma kłopoty, to zakładam, że będzie szukał kogoś, u kogo znalazł zrozumienie w przeszłości, a takich ma już niewiele. Jest facet nad jeziorem Moosehead, w miejscowości

zwanej Dark Hollow, który przez jakiś czas był dla Billy'ego rodzicem zastępczym. Może coś wiedzieć, a może otrzymał od Purdue jakiś znak...

Opowiedziałem im o rozmowie w barze z Willefordem i o jego, zaraz potem, zniknięciu. — Zamierzam także wpaść do Cheryl Lansing, może będzie umiała coś dodać do słów Willeforda.

— Ta sprawa naprawdę cię kręci — zauważył Angel.

— Może, ale...

— Ale?

Nie chciałem im opowiadać o przeżyciach z poprzedniej nocy, niezależnie od tego, jak bardzo im ufałem. Czyżbym zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością? — Ale winien jestem coś Ricie i jej synkowi. A zresztą najwyraźniej inni postanowili dopisać mnie do sprawy, czy mi się to podoba, czy nie.

— Czyż nie zawsze tak jest?

— Faktycznie. — Sięgnąłem do portfela, wyjąłem rachunek z firmy przewozu mebli i pomachałem Angelowi przed nosem. — Czyż nie zawsze tak jest? — udałem echo.

Uśmiechnął się. — Przyjmij na stałe takie nastawienie, a może nigdy we wyjedziemy.

— Nawet o tym nie myśl, Angel — ostrzegłem. — I zapłać rachunek. To najlepsze, co możesz zrobić.

mmmim*

B nMTOEĄW

w

. stałem późno, wystarczająco wypoczęty na wyprawę do Bangor. Angel uis byli jeszcze w łóżku, więc udałem się do Oak Hill, z zamiarem zadania się pod bankiem i wyciągnięcia gotówki potrzebnej na podróż

na północ. Jednakże, gdy już to załatwiłem, pojechałem dalej Old County Road, potem Black Point Road, minąłem White Caps Sandwich Shop, aż dotarłem do Ferry Road. Z lewej strony ciągnęły się pola golfowe, po prawej wznosiły się domki letnie, a przede mną pojawił się parking, na którym zginęli tamci mężczyźni. Deszcz zmył ślady, ale na balustradzie dalej kołysały się, w podmuchach nadlatującego od morza wiatru, kawałki podartej taśmy, odgradzającej miejsce zbrodni.

Gdy tak stałem, obejmując wzrokiem scenę zdarzenia, za moimi plecami zatrzymał się wóz patrolowy; za kierownicą siedział gliniarz z Nec- ku.

— Wszystko w porządku, proszę pana? — spytał, wysiadając z samochodu.

— O tak, tylko się rozglądałem — odrzekłem. — Mieszkam w okolicy, na Spring Street.

Zmierzył mnie wzrokiem, kiwnął głową. — Teraz pana poznaję. Proszę o wybaczenie, ale po tym, co tu się wydarzyło, musimy zachować podwójną ostrożność.

Gestem dłoni zaakceptowałem wyjaśnienie, ale on najwyraźniej był w nastroju do rozmowy. Sporo młodszy ode mnie, miał włosy koloru słomy i wrażliwe, poważne oczy. — Dziwna sprawa — stwierdził — zazwyczaj bywa tu cicho i spokojnie.

— Pochodzi pan z tych stron? — zagadnąłem.

Pokręcił głową. — Nie, z Flint, Michigan. Po tym, jak załatwiło nas General Motors, ruszyłem na wschód i zacząłem od nowa. Najlepsze, co mogłem zrobić...

— Cóż, ta okolica nie zawsze była spokojna...

Mój dziadek potrafił odtworzyć dzieje rodziny od połowy siedemnastego wieku, może dwadzieścia lat po pierwszych osadnikach, założycielach Scarborough w 1632 lub 1633 roku. Wtedy wszystkie te tereny nosiły nazwę Black Point, a osadę porzucano dwukrotnie z powodu ataków Indian. W roku 1677 Wabankowie dwa razy napadli na angielski fort w Black Point i wybili do nogi ponad czterdziestu angielskich żołnierzy oraz z tuzin sprzymierzonych z nimi Indian z protestanckiej, misyjnej wioski Natick niedaleko Bostonu.

Samochodem jakieś dziesięć minut stąd znajdowało się miejsce zwane Massacre Pond, gdzie Richard Hunnewell i dziewiętnastu innych zginęło podczas ataku Indian w roku 1713.

Teraz, w otoczeniu tych wszystkich letnich domów i jacht klubu, sanktuarium ptaków i kortów tenisowych, łatwo zapominało się, iż kiedyś była to pełna przemocy, niespokojna okolica. Tu, pod ziemią, zalegała przelana krew, warstwa na warstwie, niczym ślady pozostawione na skałach przez morza, które nie istnieją już od setek milionów lat. Czasem myślę, iż to miejsce przechowało wspomnienia — domy, pola, miasta, góry, wszystkie wypełnione duchami przeszłych wydarzeń — i że historia przejawia skłonność do powtarzania się, co by pozwoliło wierzyć, iż czasami miejsca te działają niczym magnes, przyciągający jak żelazne płatki nieszczęście i przemoc. Rozumując w ten sposób, należy przyjąć, że tam, gdzie raz przelano wiele krwi, jest bardzo prawdopodobne, iż w przyszłości zostanie przelana ponownie.

A jeżeli to prawda, nic dziwnego, że ośmiu mężczyzn w tak krwawy sposób zakończyło tu życie. Absolutnie nic dziwnego.

Po powrocie do domu podgrzałem kilka angielskich muffinek, nastawiłem kawę i w spokoju zjadłem w kuchni śniadanie, podczas gdy Louis i Angel brali prysznic i ubierali się.

Poprzedniego wieczora zdecydowaliśmy, że Louis zostanie w domu, może rozejrzy się po Portland i spróbuje sprawdzić, czy nie ma jakichś śladów pojawienia się Abla i Stritcha. A także, gdyby podczas mojej nieobecności wydarzyło się coś nowego, da mi znać przez komórkę.

Odległość z Portland do Bangor wynosi sto dwadzieścia pięć mil w kierunku północy, autostradą 1-95. Po drodze Angel z niecierpliwością przeglądał moje kasety, z każdej wysłuchiwał jedną, dwie piosenki, po czym odrzucał na tylne siedzenie. Go-Betweens, Triffids, Gourds z Austin, Jim White, Doc Watson, wszyscy lądowali na stercie, tak że samochód zaczynał wyglądać jak zły sen człowieka z A&R. Nastawiłem kasetę z muzyką Lambchop i delikatne, smutne akordy „I Will Drive Slowly” wypełniły wóz.

— A to co? — zdenerwował się Angel.

— Alternatywne country.

— Niby to, że kiedy twoja ciężarówka rusza, żona wraca, a pies wstaje z martwych — zadrwił.

— Jakby usłyszał cię Willie Nelson, skopałby ci dupę.

— Ten sam Willie Nelson, którego żona pewnego razu owinęła prześcieradłem i kijem od miotły pobila do nieprzytomności? Gdyby ten kapuściany łeb ruszył na mnie, chyba bym sobie z nim poradził.

W końcu zgodziliśmy się na lokalne wiadomości na PBS. Wspomniano coś o mierniczym z przedsiębiorstwa zajmującego się wycinką drewna, który najwyraźniej zaginął gdzieś na północy, ale nie zwróciłem na tę informację specjalnej uwagi.

W Waterville zjechaliśmy z drogi — na zupę i kawę. Gdy czekaliśmy potem na rachunek, Angel bawił się słonymi okruszkami pieczywa. Widać było, że coś go dręczy, i nie trwało długo, gdy zwrócił się do mnie.

— Pamiętasz, jak jeszcze w Nowym Jorku wypytywałem o Rachel?

— Owszem.

— Nie przejawiałaś zbyt ochoty rozmawiania o niej.

— Sytuacja się nie zmieniła.

— Może powinienesz.

Zapadło milczenie. Zastanawiałem się, kiedy to Louis i Angel wymieniali uwagi o mnie i Rachel i doszedłem do wniosku, że zdarzyło się to częściej niż raz.

— Ona nie chce mnie widzieć — wyjaśniłem.

Ściągnął wargi. — A ty, jak to przyjmujesz?

— Będiesz mnie dręczył godzinami?

Rzucił we mnie okruszkiem. — Tylko to jedno pytanie, odpowiedz.
— Nie najlepiej, ale, szczerze mówiąc, mam inne sprawy na głowie.
Angel musnął mnie spojrzeniem i znów odwrócił wzrok. — Wiesz, kiedyś zadzwoniła i pytała, jak ci się wiedzie...
— Zadzwoniła do was? Skąd miała numer?
— Figurujemy w książce telefonicznej.
— Nieprawda.
— Cóż, to pewnie podaliśmy go jej.
— Co za uprzejmość! — Westchnąłem i przejechałem dłońmi po twarzy. — Wiesz, Angel, to pokręcona historia. Sam nie wiem, czy jestem już gotowy, a zresztą, tak czy owak, przerażam ją. Nie zapominaj, to ona mnie odepchnęła.
— Specjalnie się nie broniłeś.
Przyniesiono rachunek, położyłem dziesiątkę, a na niej kilka jedynek.
— No cóż... miałem swoje powody.
Wstałem, a Angel ze mną.
— Być może — powiedział jeszcze. — Szkoda tylko, że nie potraficie, ani ona, ani ty, znaleźć choćby jednego porządnego powodu.
Gdy wjechaliśmy na I-95, Angel wyciągnął się wygodnie obok mnie i rękaw jego obszernej koszuli zsunął mu się do łokcia. Na przedramieniu ujrzałem wtedy bliznę, bladą i poszarpaną, zaczynającą się od wklęsnięcia pod łokciem i kończącą cał, dwa przed nadgarstkiem. Wszystkiego miała może sześć cali długości i zupełnie nie rozumiem, jak mogłem nie dostrzec jej wcześniej, choć jak się nad tym zastanowiłem, fakt ten wynikał z wielu czynników: po pierwsze Angel rzadko kiedy nosił podkoszulek, a jeżeli już to z długimi rękawami; po drugie byłem zbyt zaabsorbowany sobą, gdy w Luizjanie polowaliśmy na Podróżnika; trzeci powód to niechęć Angela do omawiania nieprzyjemnych spraw z przeszłości.
Zauważył, że patrzę na bliznę, i poczerwieniał, ale nie próbował jej zasłonić. Przeciwnie, sam się jej przyjrzał i zamyślił się, jakby przypominał sobie, w jakich okolicznościach powstała.
— Chcesz wiedzieć? — zapytał.
— A chcesz opowiedzieć?
— Niekoniecznie.
— No to nie mów.
Po chwili milczenia odezwał się: — Ta sprawa w pewien sposób cię dotyczy, więc masz prawo się dowiedzieć.
— Jeżeli zamierzasz wyznać, że zawsze się we mnie kochałeś, zatrzymam samochód i możesz do Bangor iść piechotą.
Angel roześmiał się. — A więc odtrącasz mnie.
— Nawet nie wiesz, jak bardzo.
— Nie jesteś znów takim przystojniakiem. — Delikatnie dotknął blizny palcem wskazującym prawej ręki. — Byłeś w Rikers, prawda?
Przytaknąłem ruchem głowy. Byłem w Rikers Island podczas prowadzenia pewnego dochodzenia. A także interweniowałem, gdy Angel odsiadywał tam wyrok i inny więzień, o nazwisku William Vance, zagroził mu śmiercią. Vance już nie żyje. Skonał z końcem października, od wewnętrznych obrażeń, po tym gdy nieznanymi osobnikami wylali mu do gardła butelkę detergentu, jak się rozeszło, że jest podejrzany o morderstwo na tle seksualnym, ale z braku dowodów nigdy za ten czyn nie stanie przed sądem. To ja dostarczyłem informacji, która stała się przyczyną ataku. Uczyniłem tak, by uratować Angela, a Vance nie stanowił wielkiej straty dla świata; jednak sumienie wciąż mi ciążyło z jego powodu.

— Gdy Vance zaatakował mnie po raz pierwszy, wybiłem mu kilka zębów — odezwał się cicho Angel. — Groził mi już od wielu dni, wrzeszczał, że zapierdoli mnie na śmierć. Ten pieprzony kutas po prostu wziął się na milie, sam wiesz. Cios, jaki mu zadałem, nie był wyjątkowo mocny, ale strażnik nakrył nas, jego krwawiącego, mnie nad nim, i oberwałem dwadzieścia dni w bunkrze.

„Bunkier” oznaczał odosobnienie: dwadzieścia trzy godziny w celi, możliwość godzinnego spaceru na podwórku. Podwórko w praktyce stanowiło klatkę nie większą od celi, a więźniowie poruszali się w kajdankach.

Były tam kosze do koszykówki, ale żadnych piłek, nawet gdyby ktoś dał radę grać w kosza w kajdankach na rękach. Więźniowie mogli więc jedynie walczyć ze sobą, co zazwyczaj czynili, gdy tylko ich wypuszczano.

— Przez większość czasu nie wystawiałem nosa z celi — kontynuował Angel. — Vance dostał dziesięć dni tylko za to, że dopuścił, by mu prze法西斯owano głowę, i wiedziałem, że chce mnie dorwać. — Ucichł, przygryzł dolną wargę. — Wydaje ci się, że to będzie łatwe, no wiesz, spokój i cisza, i bezpiecznie przez większość czasu, ale tak nie jest. Nie możesz niczego wziąć ze sobą. Zabierają ci ubranie i w zamian dają trzy dresy. Nie wolno palić, ale „zbufowałem” większą część paczki tytoniu w trzech kondomach i zawinałem w papier toaletowy.

„Bufowanie” oznacza przemycenie kontrabandy w odbytnicy.

— Po pięciu dniach tytoń się skończył i odtąd już nie miałem nic do palenia. Po tych pięciu dobach w celi nie mogłem już dłużej wytrzymać: te odgłosy, wrzaski. Psychologiczna tortura! Po raz pierwszy wyszedłem na podwórko i Vance zaraz skoczył mi do gardła: walił pięściami w głowę, rzucił na ziemię i kopał. Zanim go odciągnęli, udało mu się trafić mnie pięć czy sześć razy, ale ja i tak wiedziałem, że już więcej tej celi nie zniosę. W żaden sposób. Zabrali mnie do szpitala. Obejrzelni, nie znaleźli nic złamanego i z powrotem odesłali do bunkra. Udało mi się przeszmuglować śrubę, długą może na trzy cale, którą wyciągnąłem z podstawy szafki na lekarstwa. I gdy zamknęli drzwi i zgasili światło, próbowałem się pociąć... — Potrząsnął głową i po raz pierwszy, odkąd zaczął opowiadać tę historię, uśmiechnął się. — Próbowaleś kiedyś pociąć się śrubą?

— Nie sądzę.

— No cóż, raczej trudna sprawa. Śruby raczej nie służą do tego celu. Po wielu staraniach udało mi się spowodować poważny krwotok, ale gdybym chciał wykrwawić się na śmierć, musiałbym pewnie odsiedzieć te moje dwadzieścia dni. W końcu nakryli mnie, jak rozorałem sobie rękę i ponownie zaciągnęli mnie do infirmerii. I wtedy do ciebie zadzwoniłem... Po przeprowadzeniu ze mną kilku rozmów, sporządzeniu psychologicznego profilu i po tym, cokolwiek im powiedzialesz, przenieśli mnie z powrotem na ogólny. Doszli do wniosku, że nie zamierzam wyrządzić nikomu krzywdy, najwyżej samemu sobie — zresztą potrzebowali bunkra dla kogoś bardziej zasłużonego.

Niedługo potem rozmawiałem z Vancem, zanim został wypuszczony z pojedynki, i powiedziałem mu, co o nim wiem i o czym poinformuję innych, jeżeli znów zaatakuje Angela. Nie pomogło; zaraz po powrocie na ogólny Vance usiłował zgładzić Angela pod prysznicem. No i już właściwie nie żył.

— Gdyby odesłali mnie znowu do bunkra, znalazłbym sposób, by się zabić — stwierdził Angel. — Może pozwoliłbym Vance'owi załatwić sprawę. Są długi, których nigdy nie da się spłacić, Bird, i to czasami nie jest takie złe. Louis wie o tym, i ja. To, że postępujesz tak, jak postępujesz, w słusznej sprawie, ułatwia stanięcie po twojej stronie, ale gdybyś nawet postanowił wysadzić w powietrze Kongres, Louis znalazłby sposób na podpalenie lontu. A ja w tym czasie potrzywałbym mu płaszcz.

Cheryl Lansing mieszkała w schludnym, otynkowanym na biało, piętrowym budynku na zachodnich krańcach Bangor, otoczonym przez zadbane trawniki i wyrosnięte sosny.

Dzielnica, z zamożnie wyglądającymi domami i nowymi samochodami na podjazdach, sprawiała wrażenie spokojnej. Angel pozostał w mustangu, ja nacisnąłem dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Zwinąłem dłonie w trąbkę i zajrzałem przez szklaną szybę, ale nie zobaczyłem nikogo.

Przeszedłem wzdłuż ściany do dużego ogrodu, z basenem tuż przy domu. Angel dołączył do mnie.

— Pośrednictwo adopcyjne najwyraźniej się opląca — zauważył. Z uśmiechem pomachał czarną saszetką o wymiarach sześć na cztery cale: narzędzia jego profesji. — Na wszelki wypadek — oświadczył.

— Świetnie. Jak zajrzą tu miejscowe gliny, powiem im, że przyjechałem kogoś zaaresztować...

Do tylnej części domu przylegała przeszklona przybudówka, latem pozwalająca Cheryl Lansing spoglądać na zielony trawnik, a zimą na padający śnieg. Basenu nie czyszczono od jakiegoś czasu, nie był też przykryty. Nie sprawiał wrażenia zbyt głębokiego, z jednego końca miał jakieś trzy stopy, przy drugim opadał do sześciu, siedmiu, i pełny był liści i śmieci.

— Bird...

Podszedłem zobaczyć, co takiego w domu zwróciło uwagę Angela. Z jednej strony rozciągała się przestrzeń kuchenna oraz duży, dębowy stół, otoczony pięcioma krzesłami; dalej prowadziło przejście do pokoju dziennego. Na stole stały filiżanki, talerze, dzbanek z kawą i różnego rodzaju Pieczywo. Pośrodku misa pełna owoców. Nawet z miejsca, w którym się znajdowałem, widać było pokrywającą żywność pleśń.

Angel wyjął parę grubych rękawic i spróbował otworzyć rozsuwane drzwi. Szybko ustąpiły pod jego dotykiem.

— Masz ochotę się rozejrzeć?

— Chyba tak.

Wewnątrz poczułem woń skwaśniałego mleka i mocny odór zepsutego jedzenia.

Przeszliśmy przez kuchnię do pokoju dziennego, umeblowanego puchatymi sofami i fotelami z różowym obiciem w kwiecisty wzór. Przeszukiwałem parter, podczas gdy Angel sprawdzał pokoje na górze. Gdy mnie zawołał, szedłem już do niego po schodach.

Stał w pomieszczeniu najwyraźniej stanowiącym nieduży gabinet, z ciemnym drewnianym biurkiem, komputerem i dwoma szafkami na akta. Na półkach wzdłuż ściany ustawiono liczne segregatory, na każdym zaznaczono rok. Skoroszyty z lat 1965 do 1966 zdjęto z półki, a ich zawartość leżała porzucana na podłodze.

— Billy Purdue urodził się z początkiem 1966 — powiedziałem cicho.

— Sądysz, że to on złożył wizytę?

— Ktoś to zrobił.

Do jakiego stopnia Billy Purdue pragnął dogrzebać się do swych korzeni? Wystarczająco, by pojawić się tu i zdemolować gabinet starej kobiety, aby zdobyć to, co było jej wiadomo?

— Sprawdź szafki — poleciłem Angelowi. — Zobacz, czy jest coś dotyczącego Billy'ego Purdue, co mogłoby nam się przydać. Jeszcze raz rozejrzę się po domu, może natrafię na coś, czego się pozbyto.

Skinął głową, a ja ponownie przeszukiwałem dom, od sypialni, przez łazienkę i wreszcie pokoje na dole. W kuchni, na stole, gniły owoce w misie, pośród czterech nakryć, ustawionych na kształt kompasu — dwie filiżanki kawy i dwie szklanki skwaśniałego mleka.

Wyszedłem na podwórze. Przy wschodnim jego krańcu wznosiła się komórka na narzędzia, otwarta kłódka zwisała pod zasuwką. Podszedłem bliżej, wyjąłem z kieszeni chustkę i odsunąłem skobel. Wewnątrz znajdowała się tylko benzynowa kosiarka do trawników, doniczki, tacki na nasiona i zbiór narzędzi ogrodniczych o krótkich rękojeściach. Na półkach, obok słoików z używanymi pędzlami i gwoździami, stały stare puszki farby. Z haka wbitego pod dachem zwisała pusta klatka na ptaki. Zamknąłem komórkę i ruszyłem w stronę domu.

Gdy szedłem, powiał lekki wietrzyk, poruszył gałęziami drzew i uginającymi się pod moimi stopami źdźbłami trawy. Unosił liście w pustym basenie, przesuwając je jedno na drugie z suchym, szeleszczącym dźwiękiem. Przy głębszym końcu, między zielenią, brązami i delikatnymi żółtymi kolorami, pojawiło się coś jaskrawoczerwonego.

Przykucnąłem przy krawędzi basenu i przyjrzałem się: głowa lalki z czubem rudych włosów. Dostrzegłem szklane oko i kawałek rubinowych ust. Basen był szeroki i przyszło mi do głowy, by poszukać w komórce na narzędzia czegoś na tyle długiego, by dosięgnąć lalki, ale nie przypomniałem sobie, bym widział tam coś odpowiedniego. Oczywiście ta lalka nie musi niczego oznaczać. Dzieciaki zostawiają rzeczy w najdziwniejszych miejscach. Ale lalki...? Zazwyczaj troszczą się o nie. Jennifer miała jedną o imieniu Molly, z szopą gęstych, ciemnych włosów i usteczkami jak u gwiazdy filmowej; zawsze towarzyszyła jej przy stole przy kolacji i pustym wzrokiem gapiała się na jedzenie. Molly i Jenny, przyjaciółki na śmierć i życie...

Przeszedłem do końca basenu, od strony domu, gdzie kilka stopni schodziło na płyciznę, ostatni zasłonięty przez liście. Zszedłem i ostrożnie stawiałem stopy, uważając, by nie pośliznąć się na pochyłości. W miarę jak się posuwałem, warstwa liści rosła; najpierw zakryła czubki moich butów, potem mankiety spodni, wreszcie dotarła do kolan. Gdy zbliżyłem się do lalki, liście sięgały mi już do połowy uda, czułem wilgoć emanującą z gnijącej roślinności i wodę chlupiącą w butach. Teraz szedłem ostrożniej, uważnie stąpając po śliskich kaflach na opadającej stromiźnie dna.

Szklane oko patrzyło w niebo, sterta brązowych liści i śmieci zakrywała drugą stronę twarzy lalki. Ostrożnie sięgnąłem ręką między liście

I uniosłem głowę zabawki w górę. W miarę jak się wyłaniała, liście opadły i prawie oko, dotąd zamknięte pod naciskającym nań ciężarem, cicho kliknęło. Stopniowo ukazywała się niebieska bluzka zabawki i zielona spódniczka. Tłuste kolanka były zabrudzone ziemią i gnijącą roślinnością.

Cała lalka wynurzyła się spod liści z delikatnym, ssącym odgłosem, i coś jeszcze razem z nią. Rączka zaciśnięta na nogach zabawki była mała, ale pod wpływem rozkładu spuchła i nabrała zimowych barw. Dwa paznokcie zaczynały już odpadać, na skórze, odsłaniającej prążki mięśni, pokazały się krople przypominające łzy. Przy łokciu, ponad dużym pęcherzem gromadzącego się gazu, widziałem koniec gnijącego rękawa, którego kiedyś ładny, różowy kolor niemal całkiem szerniał od pleśni, brudu i zakrzepłej krwi.

Instynktownie zrobiłem krok do tyłu, w ręce wciąż trzymając lalkę, i z przerażeniem poczułem, jak moje stopy ślizgają się na kaflach. Upadłem do tyłu na liście, noga wystrzeliła w górę i uderzyła w coś miękkiego, mokrego i ustępującego pod naciskiem. W ustach miałem liście i smród rozkładu, gdy dziecko, pchnięte w górę moimi szamoczącymi się nogami i kurczowym ściskaniem lalki, uniosło się. Ześlizgując się na dno i walcząc o znalezienie jakiegoś oparcia, ujrzałem wilgotne włosy, szarą cerę i oczy koloru mleka. Przerażony wypuściłem lalkę i instynktownie odepchnąłem ciało dziecka; gdy dziewczynka z powrotem zniknęła w mule, czułem na ręce jej przejmującą woń. I zaraz mój upadek powstrzymała jakaś cięższa sylwetka, wokół łydki poczułem martwe palce i wiedziałem już, że one wszystkie są tu, pod tymi gnijącymi liśćmi, rozkład pod rozkładem, i jeżeli pograżę się głębiej, zobaczę je i może nigdy już się stąd nie wydostanę...

Poczułem, jak ktoś chwyta mnie za prawe ramię, i usłyszałem krzyk Angela: — Bird, spokojnie, spokojnie!

Spojrzałem w górę i odkryłem, że znajduję się niemal po prawej stronie basenu. Przy pomocy Angela sięgnąłem krawędzi basenu i wygramoliłem się na brzeg. Odczołgałem się dalej i leżałem w chłodnej, wilgotnej trawie; bez końca wycierałem w nią dłonie, w daremnym wysiłku pozbycia się z palców woni tej biednej, zagubionej dziewczynki.

— One wszystkie tam są — powiedziałem. — Wszystkie są tam, na dnie...

Angel zadzwonił do Louisa, potem ja wezwałem bangorską policję. Mój przyjaciel oddalił się przed ich przybyciem; z rejestrem, jaki posiadał, jego obecność tylko skomplikowałaby sytuację. Kazałem mu wziąć taksówkę i zameldować się w Days Inn, niedaleko olbrzymiego centrum handlowego w Bangor, poza miastem, i poczekać tam na mnie. A potem stałem na skraju basenu i spoglądałem na włosy i bluzkę młodej dziewczyny, wyraźnie teraz widocznej wśród wirujących liści, i czekałem na przyjazd gliniarzy.

Spotkałem się z Angelem w Days Inn cztery godziny później. Powiedziałem policji wszystko, łącznie z faktem, że przeszukiwałem dom. Nie byli tym zbyt uszczęśliwieni, ale Ellis Howard, choć niechętnie, poręczył za mnie z Portland, a potem poprosił, by oddano mi słuchawkę.

— A podobno niczego nie zataiłeś...! — Słuchawka niemal wibrowała od gniewu w jego głosie. — Powinienem być wtedy pozwolić cię zamknąć za zakłócanie śledztwa na miejscu zbrodni.

Przeprosiny nic by nie zmieniły, więc powstrzymałem się. — Powiedział mi o niej Willeford. Załatwiła adopcję Billy'ego Purdue. Była u Rity Ferris wieczorem parę dni wcześniej, nim tamtych dwoje zamordowano.

— Najpierw żona i dziecko, teraz ta kobieta od adopcji. Wygląda na to, że Billy Purdue żywi urazę do całego świata,

— Sam w to nie wierzysz, Ellis.

— Skąd, u kurwy nędzy, wiesz, w co wierzę? Jak chcesz być bolejącym sercem, idź i krwaw gdzie indziej. Tu już mamy dość...! — Był tak rozzłoszczony, że dopiero po trzecim przekleństwie wyłączył się.

Podąłem bangorskimi gliniarzom numer mojej komórki i ofiarowałem się z pomocą.

W basenie znaleziono cztery ciała. Cheryl Lansing na samym dnie, z głębszego końca, pod zwłokami synowej Louise. Jej dwie wnuczki, Sophie i Sarah, leżały dalej, obie w koszulach nocnych. Narzucono na nie liście z całego podwórka, a z wierzchu przykryto je warstwą mierzwy zza komórki na narzędzia.

Wszystkie cztery miały poderżnięte gardła, od lewej do prawej. Cheryl Lansing w dodatku uderzeniem w lewą stronę twarzy złamano szczękę i jej otwarte usta dziwacznie opadły, kiedy medycy pracujący w pustym basenie odsłoniли jej twarz. I jak tak leżała pod trupem synowej, z otwartymi ustami, okazało się, że morderca wyrządził jej ciału ostateczną obelgę.

Przed śmiercią Cheryl Lansing wydarto język.

Jeżeli Cheryl Lansing nie żyła, to ktoś — Billy Purdue, Abel i jego partner Stritch lub ktoś jeszcze nieznan — odtwarzał szlak życia Billy'ego, ścieżkę, która wydawała się teraz połączona z nieudaną próbą dotarcia do korzeni, dokonaną przez Willeforda. Postanowiłem więc dalej posuwać się na północ. Angel zaproponował swe towarzystwo, ale powiedziałem, że lepiej, jak następnego ranka złapie najbliższy lot do Portland, a ja wezmę mustanga i pojedę dalej.

— Bird? — zapytał, gdy zapalałem silnik. — Mówiłeś mi o Billym Purdue, jego żonie i dzieciaku... I nie mogę zrozumieć: jak ona mogła wylądować z kimś takim?

Wzruszyłem ramionami. Rita, jak sądziłem, pochodziła z rozbitej rodziny i zdawała się powielać ten sam wzorzec poprzez założenie własnej, także nieudanej, z Billym Purdue. Ale było w tym coś więcej; Rita Ferris miała w sobie jakiś element dobra, który pozostał nietknięty i nie zniszczony — pomimo wszystkiego, co jej się przytrafiło. Może, ale tylko może, wierzyła w istnienie czegoś podobnego w Billym i sądziła, że jeżeli potrafi do tego dotrzeć, uratuje go, sprawi, że będzie jej potrzebował tak samo, jak ona jego, gdyż uważała miłość i potrzebę za jedno. Wiele poniżanych żon i bitych kochanek, poranionych kobiet i nieszczęśliwych dzieci mogłoby jej powiedzieć, że się myli, i że tylko uporczywa ślepotą pozwala Wierzyć, iż jeden człowiek może w jakiś sposób zbawić drugiego. Ludzie muszą sami się zbawiać, ale niektórzy po prostu wcale tego nie chcą albo nie umieją rozpoznać swej szansy na odkupienie.

— Kochała go — powiedziałem po chwili milczenia. — Tak naprawdę to wszystko, co mogła mu ofiarować, a dawanie było jej niezbędne...

— Nie najlepsze wyjaśnienie.

— Nie znam odpowiedzi, Angel, tylko różny sposób formułowania py. tań...

Wyjechałem z parkingu i ruszyłem na północ, ku skrzyżowaniu I-95 i 15, w stronę Dover-Foxcroft, Greenville i Dark Hollow.

Teraz wiem, że był to pierwszy krok w podróży, która miała doprowadzić mnie do konfrontacji nie tylko z moją własną przeszłością, ale i z przeszłością mego dziadka, zaniepokoić stare duchy, dawno uważane za spoczywające w pokoju, a w końcu kazać mi stanąć twarzą w twarz z tym, co tak długo czekało w ciemnościach wielkich północnych kniei.

mmmmmm

Przez większość swego istnienia Maine stanowiło zaledwie skupisko osad rybackich, wczepionych w wybrzeże Atlantyku. Tuż obok, na dnie oceanu, spoczywały pozostałości po innym świecie, który, gdy podniosły się wody, przestał istnieć. Maine przylega do zatopionego wybrzeża: wyspy były kiedyś górami, na dnie rozciągają się zapomniane pola. Przeszłość leży zatopiona głęboko, poza zasięgiem promieni słonecznych.

I tak terażniejszość narodziła się tuż nad krawędzią przeszłości, ludzie przyłgnęli do wybrzeża. Na dzikie tereny we wnętrzu krainy zawędrowało niewielu, poza francuskimi misjonarzami, szerzącymi chrześcijaństwo między miejscowymi plemionami — populacja tych ostatnich nigdy zbyt nie przekraczała trzech tysięcy, a większość żyła również na terenach przybrzeżnych — i traperami utrzymującymi się ze sprzedaży futer. Gleba pokrywająca nadbrzeżne skały była dobra i urodzajna, i & dianie uprawiali ją, jako nawóz stosując rozkładające się ryby, który0'1 smród mieszał się z zapachem dzikiej róży i morskiej lawendy. Później P0" jawiły się morskie farmy, wydobywanie mięczaków na płycznach OT& olbrzymie lodownie, gdzie, przed wysłaniem do najdalszych zakątkó*

świata, przechowywano produkowany w Maine lód.

Zorientowawszy się, jakie możliwości kryją się w lasach, osadnicy zaczęli przeć coraz dalej na północ i na zachód. Na rozkaz króla, do budowy masztów dla jego okrętów ścinano, na wysokości stopy ponad ziemią, białe sosny o średnicy pnia wynoszącej dwadzieścia cztery cale. Maszty HMS Victory, okrętu Admirala Nelsona, który pod Trafalgarem rozgromił flotę Napoleona, wyrosły w Maine.

Ale dopiero z początkiem dziewiętnastego wieku, gdy już rozpoznano finansowy potencjał lasów Maine, interior został w pełni zbadany i wymierzony, i otworzyła się droga ku Wielkim Północnym Puszczo. W samym sercu kniei wzniesiono zakłady produkujące papier, celulozę i deski. Szku- nery podpływały do Penobscot, po spławiane z najdalszych zakątków północy sosnowe i świerkowe drewno. Wzdłuż rzek zaroilo się od tartaków: w Merrimack, Kennebec, Saint Croix i Machias. Do roku 1978, kiedy to nastąpił kres epoki wykorzystywania szlaków wodnych do transportu towarowego, wielu straciło życie w zmaganiach z zatorami na rzece o utrzymanie razem milionów stóp kwadratowych bali. Okolicę dostosowano do potrzeb baronów drewna: zmieniano łożyska rzek, tworzone jeziora, budowano tamy. Pożary trawiły pozostawione przez drwali suche zręby, strumienie umierały, zasypane trocinami. Od dwu stuleci wycinano sosny; teraz nadeszła kolej na twarde drewno brzozy, klonu i dębu.

Obecnie większość północy kraju, porośnięta lasami wykorzystywanymi do celów przemysłowych, należy do przedsiębiorstw leśnych; ich ciężarówki transportują olbrzymie ilości świeżo ściętych drzew. W zimie firmy dokonują wycięcia w leśnych ostępach — padają wszystkie nadające się do wycinki drzewa, a w marcu i kwietniu układa się je w sterty. Drewno stanowi bogactwo stanu i nawet mój dziadek, jak wielu na wybrzeżu, sadił świerki i

jodełki, przeznaczone na bożonarodzeniowe choinki; ścinał je i sprzedawał od listopada do połowy grudnia.

Ale istnieją jeszcze miejsca, gdzie dojrzały las pozostaje nietknięty, a zwierzęce ścieżki i odchody łosi wiodą do odosobnionych wodopojów, zasilanych przez opadające ponad skałami, kamieniami i zwalonymi drzewami siklawy. To ostatni region, w którym przetrwały wilki, kuguary i karibu. Maine posiada jeszcze dziesięć milionów nie zamieszkałych akrów, 1 stan jest obecnie bardziej zielony niż przed stu laty, gdy wyjąłowanie cienkiej warstwy gleby spowodowało recesję rolnictwa; las na nowo objął ziemię w posiadanie, a mury, kiedyś dające schronienie rodzi-mm, teraz °słaniają tylko świerki i sosny.

Człowiek, gdyby zechciał, mógłby zupełnie zatracić się wśród bezdroży.

*

Dark Hollow leżało około pięciu mil na północ od Greenville, w pobliżu wschodniego brzegu Moosehead Lake i dwustu tysięcy akrów dzikich terenów stanowego Baxter Park, tam gdzie na horyzoncie, od strony północnego krańca Szlaku Appalachów, dominuje Katahdin. Już niemal byłem zdecydowany zatrzymać się w Greenville — na drodze zrobiło się ciemno i zimno — ale wiedziałem, że przede wszystkim muszę odszukać Meade'a. Osoby w jakiś sposób bliskie Billy'emu Purdue — jego żona, dziecko, kobieta, która zorganizowała adopcję — umierały, i to w okrutny sposób. Payne'go koniecznie trzeba było ostrzec.

Greenville stanowiło bramę wiodącą do północnych puszczy, a drewno od dawna było bogactwem stanu i okolicy. W mieście istniał nawet tartak, dający zatrudnienie mieszkańcom Greenville i otaczających terenów, ale zamknięto go w połowie lat siedemdziesiątych, gdy sytuacja gospodarcza sprawiła, że już nie przynosił zysków. Wielu ludzi opuściło tę okolicę. Ci, którzy pozostali, próbowali utrzymać się z turystyki, rybołówstwa i polowania, ale Greenville, jak i mniejsze miasteczka, porzrucane dalej ku północy — Beaver Cove, Kokadjo, Dark Hollow, tam gdzie kończyła się trakcja elektryczna i zaczynały prawdziwie dzikie tereny— pozostało ubogie. Wprowadzona przez miejscowy klub golfowy dwustudolarowa podwyżka za grę wzbudziła powszechny protest.

Jechałem Lily Bay Road, traktem przez wiele lat wykorzystywanym zimą do ściągania potężnych dostaw do obozów drwali; po obu stronach wysoko wznosiły się sterty śniegu, las ciągnął się przede mną w nieskończoność, aż wyłoniło się Dark Hollow. Było to niewielkie miasteczko, z nie więcej niż dwoma przecznicami w centrum i posterunkiem policji na północnym krańcu. Dark Hollow otrzymywało czasem nadwyżki turystów i myśliwych z Greenville, ale nie za duże. Z tutejszych uliczek nie widać było jeziora, tylko góry i drzewa. Jedyny motel, Tamara Motor Inn, od frontu ozdobiony wysokim łukiem, na którym nazwa błyskała czerwonym i zielonym neonem, przypominał relikw z lat pięćdziesiątych. Ze dwa sklepiki z ręcznymi wyrobami sprzedawały pachnące świece i tego rodzaju meble, które, gdy się na nich usiądzie, pozostawiają na spodniach drobiny kory. Księgarnia z kawowym barkiem, tania restauracja i apteka stanowiły główną atrakcję handlowego życia miasta, w którym sterty zmarzłego śniegu wciąż zalegały w rynsztokach i podcieniach domów. Tylko jadłodajnia była jeszcze otwarta. Na zewnątrz pomalowano ja- na tak zwariowane kolory, iż mogłaby posłużyć za schronienie dla paczki Scooby Doo, już po tym, gdy „Tajemnicza Maszyna” w końcu się zepsuła- podobnie jak dla hippisów w latach sześćdziesiątych, których klimaty^0' wane powietrzem volkswageny rozkraczały się w Santa Fe podczas próby pokonania bezdroży.

Wnętrze ozdobiono reprodukcjami plakatów z koncertów sprzed lat oraz landszaftami, zapewne pędzla miejscowych artystów. Rzuciłem okiem na wiszącą w kącie fotografię, na której chłopak w mundurze stał obok starszego mężczyzny, ale nie przypatrzyłem się jej dokładnie; zauważyłem tylko, przypięte wokół obrazka, czerwone, białe i niebieskie, spłowiłe wstążki. Przy stolikach kilku starszych gości gawędziło nad kawą, a czterech

młodzików szpanowało na twardzieli i rzucało pełne ukrytych gróźb uśmieški, mimo obawy popekania im pryszczy.

Zamówiłem kanapkę klubową plus kubek kawy. Była dobra i niemal przez chwilę zapomniałem o wydarzeniach w Bangor. Poprosiłem kelnerkę o imieniu Annie o wskazówki, jak trafić do domu Payne'a; dała mi je z uśmiechem, choć ostrzegła, że należy się spodziewać następnych mrozów i większych opadów śniegu, i że nawet przy najlepszej pogodzie droga jest bardzo zła.

— Pan jest przyjacielem Meade'a? — zaciękała się.

Annie zdawała się wielce chętna do rozmowy, na pewno bardziej niż ja. Miała rude włosy, na wargach czerwoną szminkę, na powiekach błękit. W połączeniu z naturalną bladością przypominała niedokończony obrazek, próbkę porzuconą przez zainteresowane czymś nowym dziecko.

— Nie, chcę tylko z nim porozmawiać.

Uśmiech stracił nieco na pewności. — Mam nadzieję, że to nic złego, starszek wiele się nacierpiał.

— Nie — skłamałem — nic takiego. Przykro mi słyszeć, że Meade miał kłopoty...

Wzruszyła ramionami. — Kilka lat temu umarła mu żona, potem siostrzeniec zginął nad Zatoką Perską podczas Pustynnej Burzy. Od tego czasu niechętnie bywa wśród ludzi i ostatnio nieczęsto go widzimy.

Annie nachyliła się po talerz z okruskami kanapki, piersią lekko musnęła mi ramię.

— Życzy pan sobie czegoś jeszcze? — spytała promiennie, najwyraźniej kończąc ten temat.

Nie byłem pewien, czy w pytaniu kryło się coś więcej, ale postanowiłem przyjąć wersję nie komplikującą życia. — Nie, dziękuję.

Energicznie wyrwała kwitek z bloczka. — No to zostawiam panu tylko to. — Wsunęła rachunek pod miskę z ciasteczkami. — Uważaj na siebie, słodziutki — rzuciła jeszcze i odpłynęła.

— Z pewnością — obiecałem. Odczułem ulgę, gdy się oddaliła.

Meade Payne nie miał telefonu, w każdym razie nie figurował w książce. Z niechęcią musiałem odłożyć rozmowę z nim do następnego ranka. Za dwadzieścia osiem dolarów dostałem pokój w Tamara i spędziłem noc w starym łóżku z grubym materacem i drewnianym oparciem. Obudziłem się tylko raz, gdy smród gnijących liści i szelest poruszającego się pod nimi czegoś ciężkiego, rozkładającego się, stały się nie do wytrzymania.

Kelnerka miała rację: gdy następnego ranka opuszczałem Tamare, ziemia była mocno zmarznięta, żdźbła trawy na wąskim pasku trawnika przed motelem wydawały pod moimi stopami krystaliczny dźwięk. W jaskrawym świetle poranka samochody przejeżdżały wolno główną ulicą, ludziska w płaszczach i rękawicach przedzierali się chodnikiem niczym maszyny parowe. Zostawiłem samochód pod motelem i piechotą przeszedłem do jadłodajni. Już od zewnątrz widać było, że przy większości stolików siedzą goście; panowała między nimi serdeczna atmosfera przynależności do tej samej społeczności. Kelnerki — Annie nie było wśród nich — uwijały się od stolika do stolika jak motyle, a w pobliżu kasy grubo, brodaty mężczyzna w fartuchu rozmawiał z bywalcami. Już niemal dochodziłem do drzwi, gdy za plecami usłyszałem głos — delikatny, cichy, znajomy: „Charlie?”. Odwróciłem się, a przeszłość z terażniejszością starły się we wspomnieniu pocałunku.

Lorna Jennings była ode mnie starsza o sześć lat i mieszkała milę od domu mojego dziadka. Drobna i gibka, nie wyższa niż pięć stóp i dwa cale, z pewnością nie ważyła więcej niż sto dziesięć funtów. Miała ciemne, na chłopca ostrzyżone włosy, usta, które zawsze wydawały się być tuż przed lub zaraz po pocałunku, błękitnozielone oczy i porcelanową cerę.

Jej męża, Randalla, koledzy nazywali Randem. Wysoki, kiedyś rokujący nadzieję w hokeju, teraz był gliniarzem, wciąż w mundurze i wciąż zabiegający o rangę detektywa.

Nigdy nie uderzył żony, nie dręczył jej fizycznie i wierzyła w sukces ich małżeństwa, dopóki nie opowiedział jej o swoim, jak twierdził pierwszym, romansie. Wydarzyło się to, zanim ją poznałem, zanim zostaliśmy kochankami.

Spędzałem w domu pierwsze letnie wakacje po studiach na Uniwersytecie Maine, gdzie udało mi się otrzymać stopień naukowy z angielskiego. Miałem dwadzieścia trzy lata. Po ukończeniu szkoły średniej trochę pracowałem — takie tam niewybredne zajęcia — i zanim ugrzęzłem w college[^], trochę podróżowałem po Zachodnim Wybrzeżu. Teraz wróciłem do Scarborough na ostatnie wolne lato. Już złożyłem podanie do nowojorskiej policji, wykorzystując te kilka kontaktów, jakie miałem jeszcze wśród tych, którzy zachowali mego ojca w życzliwej pamięci. Może snułem idealistyczne plany zmycia swą przynależnością plamy z jego imienia. Chyba stało się przeciwnie; w niektórych tylko obudziłem dawne wspomnienia, wypływające na powierzchnię jak błoto z dna stawu, gdy zbyt głęboko zamieszamy wodę.

Dziadek załatwił mi pracę w towarzystwie ubezpieczeniowym. Zostałem gońcem biurowym, chłopcem do wszystkiego. Przygotowywałem kawę, zamiatałem pomieszczenia, odbierałem telefony, sprzątałem biurka i nauczyłem się tyle o ubezpieczeniach, by wiedzieć, że każdy, kto uwierzy w słowa agenta ubezpieczeniowego, musi być albo naiwny, albo całkiem zdesperowany

Lorna Jennings zajmowała stanowisko osobistej asystentki dyrektora. Zawsze traktowała mnie uprzejmie, ale na początku niewiele rozmawialiśmy, choć raz czy dwa przyłapałem ją, jak patrzyła na mnie z pewnego rodzaju rozbawieniem, zanim ponownie zabrała się do studiowania dokumentów czy pisania na maszynie. Tak naprawdę po raz pierwszy rozmawiałem z nią podczas przyjęcia wydawanego z okazji przejścia na emeryturę jednej z sekretarek, wysokiej kobiety z włosami utlenionymi na błękit, którą rok później skazano na więzienie za zarabianie siekierą jednego z własnych psów. Laura podeszła do mnie, do baru, gdzie siedziałem, popijając piwo i usiłując udawać, że ja i ubezpieczeniowy biznes w najmniejszym stopniu nie mamy ze sobą nic wspólnego.

— Cześć — powitała mnie. — Sprawiasz wrażenie samotnego. Starasz się zachować dystans?

— Cześć — odrzekłem, obracając szklanekę — nie, skądże.

Uniosła brwi i wyznałem prawdę.

— No cóż, może trochę, ale nie do ciebie.

Brwi uniosły się jeszcze wyżej. Zastanawiałem się, czy z zażenowania nie pęknie mi jakaś żyłka.

— Widziałam cię dzisiaj zatopionego w książce. — Usiadła na stołku obok. Miała na sobie długą, ciemną, wełnianą suknię, otulającą ciało niczym futerał, pachniała kwiatami: balsamem do ciała, jak później się dowiedziałem. Rzadko się perfumowała. — Co to było?

Wciąż chyba odczuwałem zażenowanie. Czytałem „Dobrego żołnierza” Forda Madoxa Forda. Wziąłem tę powieść do ręki, sądząc, że to coś całkiem innego niż się okazało: analiza szeregu osób, na różny sposób wzajemnie sobie niewiernych. Potem, gdy nasz stosunek się rozwijał, książka okazała się bardziej podręcznikiem niż powieścią.

— To Ford Madox Ford, czytałaś go?

— Nie, znam tylko nazwisko. A powinnam?

— Chyba tak. — Moją odpowiedź trudno byłoby uznać za entuzjastyczną rekomendację czy błyskotliwą krytykę literacką, kontynuowałem więc: — Jeżeli chcesz czytać o słabych mężczyznach i złych małżeństwach...

Na te słowa drgnęła i choć wtedy niemal nic o niej jeszcze nie wiedziałem, miałem wrażenie, jakby część mego świata odpadła i potoczyła się po podłodze między niedopalkami i lupinkami po orzeszkach. Pomyślałem, że gdybym wykopał w ziemi z połowę drogi do Chin

i przysypał ją z wierzchu, może znalazłbym się wystarczająco głęboko, by ukryć zmieszanie. Najwyraźniej sprawiłem jej przykrość, choć nie wiedziałem dlaczego.

— Naprawdę? — spytała w końcu. — Może kiedyś mi ją pożyczysz.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, o biurze, o moim dziadku, wreszcie podniosła się, by odejść. Gdy wstawała, przejechała dłonią po sukience, tuż nad kolanem, i strzepnęła białą nitkę. Materiał naprężył się, jeszcze ciasniej opiął na udach, uwypuklając sylwetkę niemal do kolan. Popatrzyła na mnie jakby z zaciekawieniem, głowę skłoniwszy na bok, a w jej oczach ujrzałem światło, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Nikt dotąd nie patrzył na mnie w taki sposób i, pomyślałem, nikt już więcej tak na mnie nie spojrzy. Delikatnie dotknęła mego ramienia, a jej dotyk wręcz palił.

— Nie zapomnij o książce — rzuciła na pożegnanie.

I odeszła.

Chyba tak to się zaczęło. Pożyczyłem jej tę powieść i w jakiś sposób sprawiało mi przyjemność wyobrażanie sobie jej palców dotykających kartek, delikatnie pieszczących papier. Tydzień później porzuciłem pracę. A dokładniej, zostałem zwolniony po kłótni z kierownikiem biura; nazwał mnie leniwym skurwysynem, a ja zrewanżowałem się, odpowiadając: „ty pedale”, zresztą zgodnie z prawdą. Dziadek z początku trochę się gniewał — w końcu straciłem posadę — ale chyba skrycie cieszył się, iż nazwałem kierownika pedałem. Dziadek też go za takiego uważał.

Minał następny tydzień, nim zebrałem się na odwagę i zadzwoniłem do Lorny. Umówiliśmy się na kawę w maleńkiej kafejce w pobliżu Veterans Memorial Bridge. Stwierdziła, że „Dobry żołnierz” bardzo jej się podobał, choć wprawił ją w smutny nastrój. Przyniosła mi książkę, ale poprosiłem, by ją zatrzymała. Chciałem wierzyć, że może patrząc na nią, pomyśli o mnie. Takimi właśnie czyni nas zauroczenie, choć akurat to wkrótce zmieniło się w coś więcej.

Wyszliśmy z kawiarni i zaproponowałem jej podwiezienie do domu moim MG — prezent od dziadka z okazji ukończenia studiów, model amerykański, z tych wyprodukowanych, nim British Leyland wykupiło firmę i zniszczyło ją. Wóz trochę szpanerski, ale podobało mi się, jak się poruszał. Odmówiła.

— Mam spotkać się z Randem — oświadczyła.

Chyba nie potrafiłem ukryć uczucia przykrości, gdyż pochyliła się i delikatnie pocałowała mnie w policzek.

— Nie czekaj tak długo z następnym razem — poprosiła.

Nie czekałem.

Po tamtym dniu spotykaliśmy się często, ale pierwszy raz pocałowaliśmy się tak naprawdę pewnej ciepłej, lipcowej nocy. Wcześniej obejrzelśmy w kinie jakiś idiotyczny film i szliśmy już do samochodów, każde do swojego. Rand nie lubił filmów, głupich ani mądrych. Nie powiedziała mu, że wybiera się do kina ze mną, i spytała, czy uważam jej postępowanie za właściwe. Powiedziałem, że chyba tak, choć sądzę, że niezgodnie z prawdą. W każdym razie Rand z pewnością był innego zdania, gdy sprawy pod koniec przybrały zły obrót.

— Wiesz, nie chciałabym przeszkadzać ci w poznaniu jakiejś miłej dziewczyny — oświadczyła. Mówiąc te słowa, nie patrzyła na mnie.

— Nie ma sprawy — skłamałem.

— I nie chcę, by nasza przyjaźń rozdzieliła mnie i Randa — teraz ona skłamała.

— No to świetnie — odwdzieczyłem się tym samym.

W tym momencie staliśmy przy samochodach, ona, z kluczykami w ręce, patrzyła prosto przed siebie, na niebo. Potem, wciąż trzymając kluczyki, włożyła rękę do kieszeni i przechyliła głowę.

— Chodź tutaj — poprosiłem — na chwileczkę.

Co uczyniła.

Pierwszy raz kochaliśmy się w mojej sypialni pewnego piątkowego popołudnia, gdy Rand wyjechał do Bostonu na pogrzeb. Dziadek spędzał w mieście czas z dawnymi kolegami z policji, na wspomnieniach starych spraw i uaktualnianiu wieści o nekrologach. W domu panowała cisza.

Przyszła piechota. Mimo że umówiliśmy się, byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem ją przed drzwiami, w dżinsach i drelichowej koszuli i białym T-shircie pod spodem. Milczała, gdy prowadziłem ją do mego pokoju... Pierwsze, niezgrabne pocałunki, jej koszula wciąż pozapinana na guziki. Potem gorętsze. Żołądek ze zdenerwowania podchodził mi do gardła. Moc- n°, do bólu, odbierałem jej obecność, zapach, piersi pod koszulą, sam świadom swego niedoświadczenia i pożądania, a może, już wtedy, miłości, którą do niej czułem. Cofnęła się i rozpięła koszulę, potem ściągnęła T-shirt — nie miała stanika — i jej piersi uniosły się delikatnie. W jednej chwili znalazłem się obok niej, zająłem się jej dżinsami, a ona skoncentrowała się na mej koszuli; językiem sięgałem głęboko w jej usta, owijałem go wokół jej języka, twardo napierałem na nią biodrami.

I w pocętkowanym świetle lipcowego popołudnia zatraciłem się w żarze pocałunku, a potem, wszedłszy w nią, w delikatnym, poddającym się ciele.

Chyba trwało ze cztery miesiące, zanim Rand się o nas dowiedział.

Spotykaliśmy się, gdy tylko mogła się wyrwać z domu. Pracowałem wtedy jako kelner i popołudnia miałem raczej wolne, a także dwa, trzy wieczory, kiedy postanawiałem nie iść do pracy. Kochaliśmy się wszędzie, gdzie tylko i kiedy się dało, a porozumiewaliśmy się głównie listownie lub ukradkiem przez telefon. Pewnego razu uprawialiśmy miłość na Higgins Beach, co w pewnym sensie zrekompensowało mi brak powodzenia z Be- rube, i kochaliśmy się także, gdy z Nowego Jorku przyszło potwierdzenie przyjęcia mnie do policji, choć wyczuwałem jej smutek nawet w naszych miłosnych spazmach.

Romans z Lorną całkowicie różnił się od moich wcześniejszych związków. Tamte trwały krótko i były niezbyt udane, od początku zwarzone przez małomiasteczkową atmosferę Scarborough, gdzie faceci potrafili opowiadać, na jak wiele sposobów, jeden drugiemu, pieprzyli dziewczyny i jak spisywały się one w oralnej robocie. Lorna zdawała się jakby poza tymi sprawami, choć i ją dotknęły w pewien sposób — wyraźny w stopniowej, zdradzieckiej korozji, rujnującej wywodzące się ze szkolnej ławki, małżeńskie więzy.

Koniec nastąpił, gdy przyjaciel Randa nakrył nas w kawiarni, jak trzymaliśmy się za ręce pod stołem, pokrytym cukrem z pączków i śmietanką. Tak banalnie. Pokłócili się i Rand zaproponował, iż da jej dziecko, którego od tak dawna pragnęła. W końcu postanowiła, że nie warto, dla chłopca, wyrzucać w błoto siedem lat małżeństwa. Prawdopodobnie miała rację, ale ból, jaki mi sprawiła, rozdzierał mnie jeszcze przez dwa lata i pozostał, dając czasem o sobie znać, jeszcze dłużej. Nie zadzwoniłem do niej, nie spotkałem się z nią więcej. Nie przyszła na pogrzeb mego dziadka, choć była jego sąsiadką przez prawie dziesięć lat. Potem okazało się, że ona i Rand opuścili Scarborough, ale nie próbowałem dowiedzieć się, gdzie mogli się udać.

Ta historia posiada jeszcze pewnego rodzaju post scriptum. Miesiąc po zakończeniu naszego związku piłem w barze niedaleko Fore Street, w towarzystwie kilku osób, które pozostały w Portland, podczas gdy reszta wyjechała do college'u czy dostała pracę poza stanem, wreszcie pożeniła się. Wszedłem do męskiej toalety i myłem ręce; nagle drzwi za moimi plecami otwarły się. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem Randa Jenningsa, po cywilnemu, a za nim grubego, krzepkiego faceta, który opierał się o drzwi, by nikt nie mógł wejść.

Skinałem głowę, patrząc w lustro, w końcu cóż innego mogłem zrobić. Wytarłem ręce ręcznikiem, odwróciłem się i dostałem pięścią prosto w żołądek. Cios, cholernie mocny, zadany z całej siły, wydusił mi powietrze z płuc. Opadłem na kolana, łapiąc się za przeponeę, a on wymierzył mi potężnego kopniaka w żebra. I potem, gdy leżałem na podłodze, wśród

brudu i uryny, kopał mnie i kopał bez końca: w uda, pośladki, ramiona, plecy. Trzymał się z dala od mej głowy, wreszcie uniósł mnie za włosy i mocno uderzył w twarz. Przez cały czas nie wypowiedział ani słowa, i zostawił mnie tam, krwawiącego, na podłodze, gdzie znaleźli mnie przyjaciele. Chyba miałem szczęście, choć wtedy myślałem inaczej. Gorsze rzeczy przytrafiają się gościom zabierającym się do żony gliniarza.

I teraz, w tej mieścinie na skraju leśnych pustkowi, lata jakby cofnęły się i ona znów stała przede mną. Jej oczy były trochę starsze, a odchodzące od nich zmarszczki wyraźniejsze. Także wokół ust widać było lekkie prążki, jakby zbyt często usta trzymała ściągnięte. Ajednak, gdy nieśmiało się uśmiechnęła, w jej oczach pokazało się to samo spojrzenie i widziałem, że wciąż jest piękna i że mężczyzna znów mógłby się w niej zakochać, gdyby nie był ostrożny.

— To ty, prawda? — zapytała, a ja kiwnąłem głową. — Co, na Boga, robisz w Hollow?

— Szukam kogoś — odrzekłem i zobaczyłem w jej wzroku, przez jedną krótką chwilę, nadzieję, iż może chodzi o nią. — Masz ochotę na filiżankę kawy? — zaproponowałem.

Przez moment wydawała się niepewna, rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że Rand nie obserwuje jej z ukrycia, i znów się uśmiechnęła.

— Jak najbardziej, z przyjemnością.

W środku znaleźliśmy pustą wnękę z dala od okna i zamówiliśmy garnuszki parującej kawy. Ja dostałem jeszcze jajka i bekon, które i ona, odruchowo, dzióbnięła. Na te kilka sekund jakby ubyło nam dziesięć lat i znów siedzieliśmy w kafejce w South Portland, rozmawiając o przyszłości — SC1> która nigdy nie miała przyjść i ukradkiem dotykając się pod stołem.

— Jak się miewasz? — spytałem.

— Chyba w porządku. To niezłe miejsce do zamieszkania, może trochę odizolowane, ale miłe.

— Kiedyście tu przyjechali?

— W osiemdziesiątym ósmym. W Portland nie najlepiej nam się układało. Randowi nie udało się zdobyć odznaki detektywa, więc przyjął posadę tutaj. Teraz jest szefem.

Ucieczka na kraniec ziemi zapomnianej przez Boga i ludzi, by uratować małżeństwo, nie wydawała mi się najrozsądniejszym pociągnięciem, ale nie odezwałem się. Osądziłem, że jeżeli tak długo są razem, to pewnie wiedzą, co robią.

Oczywiście, myliłem się.

— A więc dalej ze sobą jesteście?

Dopiero teraz coś jakby drgnęło na jej twarzy: może żal lub gniew, lub odkrycie, że to prawda, przy całkowitym niezrozumieniu, dlaczego tak jest. A może po prostu przekazałem jej moją własną reakcję na wspomnienia tamtego czasu, grymas bólu wywołany przypomnieniem starej rany.

— Tak, jesteśmy razem.

— A dzieci?

— Nie mamy. — Wyglądała na zmieszana i na jej twarzy ukazało się cierpienie.

Przypomniałem sobie obietnicę Randa, gdy próbował ją odzyskać, ale nic nie powiedziałem. Upiła łyk kawy i gdy znów się odezwała, cierpienie już skryło się, pewnie tam, gdzie zwykła je chować. — Przykro mi. Słyszałam o tym, co w Nowym Jorku stało się z twoją rodziną.

— Dzięki.

— Ktoś za to zapłacił, prawda?

W niezwykły sposób postawiła sprawę. — Wielu.

Przytaknęła, potem popatrzyła na mnie z głową przechyloną na bok.

— Zmieniłeś się. Jesteś... starszy, jakby twardszy. Dziwnie widzieć cię takiego.

Wzruszyłem ramionami. — Minęło wiele czasu i dużo się wydarzyło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni...

Zmieniliśmy temat, rozmawialiśmy o życiu w Dark Hollow, ojej pracy nauczycielki, na pół etatu w Dover-Foxcroft, o moim powrocie do Scarborough. Dla zwykłego przechodnia wyglądaliśmy jak starzy przyjaciele, odpoczywający w swym towarzystwie, wypyujący o minione lata, ale istniało między nami napięcie, tylko częściowo powiązane z przeszłością. Może myliłem się, ale wyczuwałem w Lornie jakąś potrzebę i bliżej nie określone próby znalezienia ukojenia.

Jednym haustem dokończyła kawę. Gdy odstawiała kubek, dłoń lekko jej drżała. — Wiesz — powiedziała — po tym, jak skończyliśmy ze sobą, dalej o tobie myślałam. Staralam się zdobyć jakieś informacje, dowiedzieć się, co się z tobą dzieje. Rozmawiałam o tobie z twoim dziadkiem, powtórzył ci?

— Nie, ani słowa.

— Prosiłam, by nic ci nie mówił. Chyba bałam się, że możesz mnie fałszywie zrozumieć.

— To znaczy?

Pytanie zadałem ot tak sobie, ale ona przyjęła je inaczej. Jej usta zacisnęły się i wytrzymała mój wzrok z wyrazem na pół bólu, na pół gniewu. — Wiesz, stawałam na skałach nad morzem, tam na Necku i modliłam się, by nadeszła fala, z tych dwudziestostopowych, i zmyła mnie. Wiele razy myślałam o tobie i Randzie, o całej tej żalostnej, pieprzonej historii, i marzyłam o dnie oceanu. Znasz taki rodzaj bólu?

— O tak — zapewniłem ją — o tak.

Wtedy wstała, zapięła guziki płaszcza i, zanim odeszła, obdarzyła mnie słabym uśmiechem. — Rzeczywiście, chyba znasz — przyznała. Miło cię było znowu widzieć, Charlie.

— Ciebie także.

Drzwi zamknęły się za nią cicho, z lekkim trzaśnięciem. Widziałem przez okno, jak rozgląda się w lewo i prawo i przebiega przez ulicę, z rękami głęboko w kieszeniach i z nisko opuszczoną głową.

I w wyobraźni ujrzałem ją na czarnych skałach przy Prouts Neck — wiatr rozwiewa jej włosy, w ustach czuje smak soli; na tle wieczornego nieba ciemna sylwetka kobiety czekającej, by morze zawołało ją po imieniu.

Meade Payne mieszkał w zbitym z sekwoi domu, z widokiem na Ragged Lake. Długi, zaniedbany podjazd prowadził na podwórko, na którym stał zaparkowany pickup dodge, stary i częściowo przeżarty przez rdzę. W domu panowała cisza; gdy parkowałem mustanga obok furgonetki, nie zaszczekał pies, tylko pod kołami chrzęścił zmarznięty śnieg.

Zastukałem do drzwi, ale nikt się nie pokazał. Już miałem przejść na tyły domu, gdy drzwi się otworzyły i na progu pojawił się mężczyzna. Około trzydziestki, miał ciemne włosy i ziemistą, przewianą wiatrem cerę. Było w nim coś brutalnego; wierzch palców żyłastych dłoni pokrywały szramy. Nie nosił sygnetu ani zegarka, a jego ubranie zdawało się jakby uszyte na miarę kogoś innego: koszula zbyt obcisła w ramionach i klatce piersiowej, dżinsy trochę za krótkie, odsłaniające grube, wełniane skarpety nad czarnymi butami o podkutych blaszką obcasach.

— W czymś pomóc? — zapytał tonem wskazującym, iż wolałby się powstrzymać od uczynności.

— Szukam pana Meade'a Payne'a.

— W jakim celu?

— Chcę z nim porozmawiać o chłopcu, którego kiedyś wychowywał. Czy pan Payne jest w domu?

— Nie znam cię — odpowiedział. Nie wiadomo, dlaczego ton głosu stał się zaczepny

Nie traciłem cierpliwości. — Nie pochodzę stąd, przyjechałem z Portland. Bardzo jest ważne, bym z nim porozmawiał.

Młody człowiek zastanowił się nad moimi słowami, potem zostawił mnie czekającego wśród śniegu i zamknął za sobą drzwi. Po kilku minutach z domu wyszedł starszy mężczyzna.

Był lekko pochylony i szedł powoli, przesuając stopami, jakby bolały go stawy w kolanach, ale sędzę, że kiedyś mógł dorównywać mi wzrostem, może nawet liczył ze sześć stóp. Miał na sobie drelichowe spodnie, czerwoną, kraciastą koszulę i białe adidas Na głowę naciągnął czapkę z emblematem Chicago Bears, spod jej obwódki usiłowały wydostać się kosmyki siwych włosów. Oczy miał jasnoniebieskie i bardzo przejrzyste. Dłonie trzymał w kieszeniach i, głowę lekko przechyliwszy na bok, mierzył mnie uważnym wzrokiem — zupełnie jakby usiłował mnie gdzieś umiejscowić.

— Ja jestem Meade Pyne, co mogę dla pana zrobić?

— Nazywam się Charlie Parker, prywatny detektyw z Portland. Chodzi o chłopca, którego wychowywał pan przed laty: Billy'ego Purdue.

Na dźwięk wymówionego przeze mnie imienia oczy otwarły mu się nieco szerzej. Machnięciem dłoni wskazał mi stare krzesło na biegunach, przy końcu werandy. Zanim usiadłem, wyjął z kieszeni szmatkę i dokładnie wytarł siedzenie. — Przepraszam, ale nie wiem wielu gości. Zawsze starałem się ich zniechęcić, głównie z powodu moich wychowanków.

— Nie bardzo rozumiem.

Wskazał na dom ruchem brody. Skórę miał wciąż całkiem elastyczną, koloru czerwonego brązu. — Niektórzy z chłopców, których wychowywałem przez te lata, mieli skłonności do wpadania w kłopoty. Wymagali mocnej ręki i trzymania z dala od pokus. A tam — wskazał dłonią na jezioro i drzewa — można tylko polować na króliki i trzepać kapucyna. Nie wiem, do jakiego stopnia spogląda pan na obie te sprawy życzliwie, ale nie sędzę, by w ogólnym rozrachunku zbyt się liczyły.

— Kiedy przestał pan przyjmować dzieciaki na wychowanie?

— Jakiś czas temu — odrzekł tylko, po czym wyciągnął dłoń i długim palcem stuknął w oparcie mego krzesła. — A teraz, panie Parker, proszę mi powiedzieć: Billy ma kłopoty?

Powiedziałem mu tyle, ile uważałem za właściwe: że jego żona i dziecko zostali zamordowani; że był podejrzanym o te zabójstwa, ale ja nie wierzyłem, by był sprawcą; że pewni ludzie spoza kręgów prawa uważali, że ukradł należące do nich pieniądze i zrobiliby mu krzywdę, byle tylko je odzyskać. Stary wysłuchał mnie w milczeniu. Wrogo nastawiony młody człowiek stał oparty o framugę otwartych drzwi i obserwował nas.

— Czy wie pan, gdzie Billy może się teraz podziewać? — spytał stary.

— Miałem nadzieję, że pan będzie się orientował.

— Nie widziałem go, jeżeli o to pan pyta. A jeśli się u mnie zjawi, nie sędzę, bym go komukolwiek wydał, musiałbym mieć pewność, że będzie miał uczciwy proces.

Wodę jeziora przecinała motorówka. Z jej szlaku zrywało się ptactwo, zbyt dalekie, by je rozpoznać.

— Może być w tym coś jeszcze — zacząłem, zastanawiając się, co powiem dalej. — Pamięta pan Cheryl Lansing?

— Przypominam sobie.

— Nie żyje. Została zamordowana razem z trzema innymi członkami rodziny. Nie jestem pewien, jak dawno temu, ale najwyżej przed kilkoma dniami. Jeżeli w tej sprawie istnieje jakiś związek z Billym Purdue, to może znaleźć się pan w niebezpieczeństwie.

Stary łagodnie potrząsnął głową. Palcami skubnął wargi, przez chwilę milczał. Wreszcie: — Doceniam, że poświęcił pan tyle czasu, by tu przyjechać, panie Parker, ale, jak już powiedziałem, nie miałem wiadomości od Billy'ego, a jeżeli da mi znać, będę musiał myśleć długo i intensywnie, jak postąpić dalej. A co do grożącego mi niebezpieczeństwa, potrafię posługiwać się bronią i mam przy sobie chłopaka.

— Pański syn?

— Caspar. Dla znajomych Cas. Umiemy zadbać o siebie i nikogo się nie boimy, panie Parker.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Dałem Payne'owi numer mojej komórki — wcisnął karteczkę do kieszeni drelchów. Ucisnął mi dłoń i wolno odszedł w stronę drzwi, sztywno wyprostowany, nucąc cicho pod nosem. Stara melodia, pomyślałem. Skądś ją pamiętałem, choć nie wiedziałem skąd, słowa o czułych paniach i przystojnym graczu, i powracających wspomnieniach. Też zacząłem ją gwizdać; w tylnym lusterku zoba-

Po powrocie do Dark Hollow zatrzymałem się przy jadłodajni i zerknąłem do książki telefonicznej. Znalazłem adres Randa Jenningsa, a kucharz objaśnił mi, jak tam trafić. Rand i Lorna mieszkali jakieś dwie mile poza miastem. W piętrowym, pomalowanym na żółto i czarno domu, otoczonym zadbanym ogrodem, z czarnym parkanem wokół granicy posiadłości. Z komina unosił się dym. Za domem płynęła rzeka, biorąca swój początek w jeziorach na zachód od miasta. Przejeżdżając, zwolniłem, ale nie zatrzymałem się. Nawet nie byłem pewien, po co się tam znalazłem — pewnie wróciły wspomnienia z przeszłości. Wciąż darzyłem Lornę jakimś uczuciem: nie miłością — raczej, choć bez konkretnego powodu, pełnym nostalgii współczuciem. Zawróciłem i skierowałem się na południe, do Greenville.

Komendę policji znalazłem w budynku rady miejskiej na Minden Street. Zielone okiennice i bożonarodzeniowy wieniec na drzwiach miały pewnie upiększyć niezbyt atrakcyjne, pomalowane na brązowy kolor pomieszczenia biurowe. Nieopodal mieściła się straż pożarna, na placu stał samochód policyjny i zielony pickup strażników leśnych z Wydziału Ochrony Przyrody.

Wszedłem do budynku, podałem nazwisko dwom uśmiechniętym sekretarkom i zająłem miejsce na ławce naprzeciw drzwi. Po dwudziestu minutach z gabinetu przy końcu korytarza wyszedł krępy mężczyzna o ciemnej czuprynie, wąsach i brązowych, czujnych oczach, w starannie odprasowanym, granatowym mundurze. Powitał mnie uściskiem dłoni.

— Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać. Do naszych obowiązków należy patrolowanie Beaver Cove, spędziłem tam prawie cały dzień. Jestem Dave Martel, szef policji.

czyłem, jak Caspar pomaga staremu wejść do domu. Ani jeden, ani drugi nie obejrzał się, gdy odjeżdżałem.

Za namową Martela wyszliśmy z budynku i minąwszy Unijny Kościół Ewangelicki, dotarliśmy do kawiarni Hard Drive w supermarkecie Soursa. Na parkingu po drugiej stronie ulicy stało kilka samochodów, za nimi wynurzał się biały kadłub parowca Katahdin. Falująca nad jeziorem mgła wzniosła przy końcu ulicy biały mur, od czasu do czasu rozbijany przez samochody. Zamówiliśmy parzoną po francusku kawę z wanilią i zajęliśmy miejsca w pobliżu komputerowych terminali, gdzie mieszkańcy miasta zazwyczaj odbierali pocztę elektroniczną.

— Znałem pańskiego dziadka — oświadczył Martel, gdy czekaliśmy na kawę. Zwykle nie pamięta się, jak mocno więzy międzyludzkie przetrwały w tej części stanu. — Jeszcze jako chłopiec znałem Boba Warrena w Portland. Porządny był z niego gość.

— Od dawna pan tu mieszka?

— Od dziesięciu lat.

— I podoba się panu.

— O tak, to niezwykle miejsce. W tej części kraju zebrało się wielu, którzy nie przepadają za prawem, i osiedlili się w tej okolicy, bo nie lubią, gdy się nimi dyryguje. Ale cóż, zastali tu mnie, strażników leśnych, szeryfa hrabstwa i patrol drogowy, i wszyscy mamy na nich oko.

Na ogół nie sprawiamy sobie nawzajem kłopotów, ale przestępstwa się zdarzają i na brak roboty nie narzekam.

— Bywa coś poważnego?

Martel uśmiechnął się. — Strażnicy leśni, gdyby ich pan zapytał, za poważne przestępstwo uznaliby polowanie na łosia poza sezonem.

Skrzywiłem się. Kuropatwy, bażanty, króliki, może nawet wiewiórki, jeszcze mógłbym zrozumieć — te ostatnie przynajmniej poruszają się dostatecznie szybko, by stanowić jakieś wyzwanie — ale nie łos. Ich populacja w tym stanie wzrosła do trzydziestu tysięcy, od trzech tysięcy w latach trzydziestych, i pozwolono polować na nie przez jeden tydzień października. Przy braku większej ilości turystów złagodzenie przepisów przyniosło znaczne dochody miejscowościom takim jak Greenville, ale przyciągnęło także przeróżnych kretynów. Tamtego roku około stu tysięcy osób wystąpiło o może dwa tysiące dostępnych pozwoleń, kto żyw próbował umieścić głowę łosia nad kominkiem.

Nietrudno jest zabić łosia. Tak naprawdę łatwiej udaje się trafić tylko w martwego. Choć posiadają dobry zmysł węchu i słuchu, wzrok mają nie najlepszy i nie ruszają się, jeżeli nie muszą. Większość myśliwych zdobywa swe zwierzę już pierwszego lub drugiego dnia polowania i puszy się tym wyczynem przed innymi debilami. Potem, gdy myśliwi znikną wraz ze swymi wielkimi motocyklami i pomarańczowymi czapeczkami, można wyruszyć w teren i popatrzeć na łosie, którym udało się przeżyć, podziwiać, jak schodzą się, by zlizywać sól pozostawioną na przydrożnych skałach do topienia śniegu, a wykorzystywaną przez łosi jako uzupełnienie diety.

— Ale jeżeli pyta pan o najnowsze wydarzenia, mamy człowieka o nazwisku Gary Chute, geodetę wykonującego zlecenia firmy drzewnej, który zginął gdzieś ze sprawozdaniem.

Przypomniałem sobie wiadomości stacji PBS, choć nie wyłapałem w nich nic niezwykłego.

— Słyszałem, jak mówią o tym w radio — powiedziałem. — Czy sprawa wygląda poważnie?

— Trudno powiedzieć. Podobno żona nie widziała go od dość dawna, choć to o niczym nie świadczy. Miał kilka zadań do wykonania i planował spędzenie sporo czasu póza domem. Mówi się także, jakoby w Troy, w Vermont, mieszkała jego panienska. Dodać jeszcze skłonność do butelki, i mamy gościa być może nie najbardziej odpowiedzialnego. Jeżeli nie pojawi się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, chyba trzeba będzie zorganizować poszukiwania, co prawdopodobnie spadnie na strażników i szeryfa z Piscataquis, ale zapewne wszyscy będziemy musieli pomóc. A wracając do spraw poważnych: podobno chce pan dowiedzieć się czegoś o Emily Watts?

Skinałem głową. Uznałem, że lepiej najpierw porozmawiać z Martelem, a potem starać się uporać z Randem Jenningsem, niż próbować tylko od niego wydobyć interesujące mnie informacje. I miałem nadzieję, że Martel nie zauważy moich manewrów, ale był na to zbyt pojętny.

— Mogę spytać, czemu nie rozmawia pan o tej sprawie z Randem Jenningsem z Dark Hollow? — Uśmiechał się, ale oczy pozostały nieruchome i czujne.

— Rand i ja mamy ze sobą trochę na bakier, stara historia — odrzekłem. — Panu się z nim układa? — Coś w sposobie, w jaki Martel zadał pytanie, mówiło mi, że nie jestem jedyny w złych układach z Jenningsem.

— Staram się — odparł Martel dyplomatycznie. — To nie najmiłszy z ludzi, ale na swój sposób człowiek skrupulatny. Natomiast jego sierżant, Ressler, to zupełnie inna historia. Taka kupa gówna, że nawet białka oczu ma brązowe. Ostatnio zbyt często go nie widywałem, no i bardzo dobrze. Mieli mnóstwo roboty, przede wszystkim w związku ze śmiercią Emily Watts, i z całą tą sprawą...

Na ulicy jakiś samochód powoli jechał na północ, ale nie widziałem żadnych pieszych. W oddali rysowały się sylwetki pokrytych sosnami wysp na jeziorze, wyłaniające się z mgły jak ciemne plamy.

Przyniesiono kawę i Martel opowiedział mi, co wydarzyło się tamtej nocy, gdy umarła Emily Watts, tej samej, kiedy Billy Purdue skręcił dwa miliony dolarów, przez które zginęło wielu ludzi. Dziwna to była śmierć, tam w puszczy. Kobieta, gdyby jej nie odnaleziono, i tak umarłaby z zimna, ale żeby zabić się, w lesie, w wieku sześćdziesięciu lat...

— Koszmarna historia — ciągnął Martel — cóż, takie rzeczy zdarzają się czasem i nie da się ich przewidzieć. Może, gdyby strażnik nie miał przy sobie broni, a pielęgniarka odpowiedzialna za piętro, na którym mieszkała ta kobieta, mniej oglądała telewizję, drzwi zamknięto dokładniej, i jeszcze z tuzin innych, nietypowych okoliczności z tamtej nocy, może sprawa miałaby się inaczej... Powie mi pan, skąd to zainteresowanie?

— Billy Purdue.

— Billy Purdue! Aż miło się robi na duszy.

— Zna go pan?

— Pewnie. Niedawno mieli z nim niezłe zamieszanie. Może dziesięć dni temu. Pojawił się u Św. Marty z awanturą, w sztok pijany. Domagał się widzenia ze swoją mamusią, ale nikt go tam nie znał. Zaciągnęli go na posterunek, dali czas na ochłonięcie w jednej z cel Jenningsa, po czym odesłali do domu. Ostrzegli, że jeżeli pojawi się ponownie, zostanie oskarżony o wtargnięcie na teren prywatny i zakłócanie spokoju. Nawet pisano o nim w miejscowych gazetach. Z tego, co słyszę, ostatnich kilka dni nie uczyniło z niego praworządnego obywatela...

Billy Purdue najwyraźniej ruszył śladem informacji dostarczonej przez Willeforda.

— Słyszał pan o tragicznej śmierci jego żony i dziecka?

— O tak, ale nigdy bym nie sądził, że to morderca. — Popatrzył na mnie badawczo. — Pan zdaje się też tak nie uważa.

— Nie wiem. Czy mógł szukać tej kobiety, która się zastrzeliła?

— Dlaczego pan tak myśli?

— Nie przepadam za zbiegami okoliczności. Są jakby szeptem Boga, podpowiadającym nam, iż nie ogarniamy całości sprawy. — Poza tym wiedziałem, że Willeford, słusznie czy nie, podał Billy'emu nazwisko Emily Watts.

— Jak już znajdzie pan brakujące fragmenty układanki, proszę dać mi; znać, bo naprawdę nie mam pojęcia, czemu staruszka zrobiła to, co zrobiła. Może z powodu koszmarów?

— Koszmarów?

— Powiedziała pielęgniarkom o mężczyźnie, który podobno obserwo- WaUą przez okno, a potem jakoby ktoś próbował dostać się z zewnątrz do ?•ej pokoju.

Były jakieś ślady włamania?

— Nic. Do diabła, mieszkała na trzecim piętrze. Ktokolwiek usiłowałby się do niej dostać, musiałby wspiąć się po rynnie. Może kilka dni wcześniej ktoś kręcił się po terenie ośrodka, to się czasami zdarza. Jakiś odlewający się pijak, szukające guza dzieciaki. Według mnie stara po prostu zaczynała tracić zmysły, inaczej nie da się wytłumaczyć tej historii ani imienia, które wypowiedziała, nim umarła.

Nachyliłem się ku niemu. — Imienia? Jakiego?

— Wezwała potwora — powiedział Martel z uśmiechem — którym matki straszą dzieci, by zagnać je do łóżka; takie tam straszdyło.

— Jakie to było imię? — powtórzyłem, a w mym głosie zadźwięczał ton przerażenia.

Na twarzy Martela miejsce uśmiechu zajął wyraz zaintrygowania.

— Caleb — powiedział. — Wezwała Caleba Kyle'a.

Bo spotkało mnie, czegom się lękał, bałem się, a jednak to przyszło.

Księga Hioba, tłum. ks. Władysław Bartoszewski

mmmuŁ, rmmmrz

Lata toczą się niczym umykające przed wietrzykiem liście, pozwijane, pokryte żyłkami; zieleni ustępuje miejsca jeszcze nie zapomnianym, złocistym, jesiennym odcieniom przeszłości. Widzę siebie jako dziecko, jako młodzieńca, kochanka, męża, ojca, żałobnika. Wokół mnie starcy, w spodniach i koszulach, jakie zwykle noszą starsi mężczyźni, tańczą, drobiażkami stopami taneczne kroki, nieznane już młodszemu pokoleniu; wspominają dawne dzieje; rozgrzewają przy ogniu pokryte plamkami dłonie. Ich cera Przypomina wymięty papier, głosy szelest pustych żdźbeł.

Stary człowiek kroczy wśród bujnych, sierpniowych traw, dłonią w rękawicy odsuwa korę odpadłą z drzew; starzec wysoki, wyprostowany, z wianuszkiem srebrnych włosów, sunie niczym starożytny anioł, a obok mego wolno drecze pies — według psiego wieku nawet starszy od swego Pana — z siwą brodą spryskaną śliną, z wywieszonym językiem, z ogonem łagodnie rozkołysanym w ciepłym powietrzu wieczora. W koronach ^zew pobłyskują pierwsze plamy czerwieni, wrzask insektów przycicha.

Jesiony, co to wiosną ostatnie wypuszczają liście, pierwsze pozwalają im opaść na ziemię. Igły sosnowe gniją na leśnej ściółce. Mężczyzna mija, w zgodzie z rytmem otaczającego go świata, jeżyny — dojrzałe i zwarte.

A oto czym się zajmuje, gdy podążając, w rozpiętej kurtce, mocnymi krokami pozostawia wyraźnie odcisnięte ślady: rąbie drewno, waży siekierę w dłoniach; perfekcja zamachu, i świeża szczelina, gdy ostrze rozcina klonową kłodę; pochyla głowę, odsuwa połówki i z precyzją układa następne polano; siekiera znów w górze, mięśnie drgają, napinają się pod koszulą starego mężczyzny. Przychodzi kolej na układanie, drewno na drewnie, przykładane, unoszone, przewracane, tak by sterta nie rozsypała się, by nic z niej nie wypadło, by nawet jedno drewnienko nie zostało zmarnowane. W końcu starzec rozpościera na drewnie płachtę, po rogach przyciska cegłami — zawsze tymi samymi, gdyż jest, i zawsze był, człowiekiem metodycznym. I gdy zimą przyjdzie pora rozpalić ogień, on wróci do swej sterty, pochyli się nad nią — zamek paska przy starczych spodniach wbija się w miękkość brzucha — i przypomni sobie, że kiedyś brzuch miał twardy, gdy był młodzieńcem, gdy pas przytrzymał broń, pałkę i kajdanki, a oznaka lśniła jak srebrne słońce.

Ja też się postarzę, i, jeżeli mi się powiedzie, stanę się tym człowiekiem. Odnajdę jakiś rodzaj szczęścia w powtarzaniu jego ruchów, w trafności wykonywanych czynności, jakby zamykających krąg, gdy stanę się nim; gdyż to on począł tę, która poczęła mnie. I czyniąc to samo, co kiedyś on, przed tym samym domem, wśród drzew kołyszących się na wietrze, z tą samą siekierą w dłoni, rozłupującą ostrzem drewno, stworzę pomnik pamięci o wiele potężniejszy od tysiąca modlitw. I mój dziadek będzie żył we mnie, a duch psa, smakując językiem powietrze, zaszczeka radośnie.

Teraz widzę jego dłonie, poruszające się przy ogniu, słyszę jego głos, gdy opowiada mi historię o Calebie Kyle'u i drzewie o dziwnym owocu, na skraju leśnych bezdroży. Nigdy wcześniej nie opowiadał mi jej i nigdy jej nie dokończył, bo dla niego nie miała finału. To ja, za niego, znajdę zakończenie, uzupełnię brakujące elementy.

Pierwsza zniknęła Judy Giffen, w Bangor, w 1965 roku. Była szczupłą dziewczętnastolatką, o grzywie ciemnych włosów i miękkich, czerwonych wargach, którymi smakowała mężczyźni niczym jagody. Pracowała w sklepie z kapeluszami i zaginęła pewnego ciepłego, kwietniowego wieczora, pachnącego obietnicą lata. Szukano jej wszędzie, bez skutku. Jej twarz spoglądała ze stron dziesięciu tysięcy gazet, zatrzymana w czasie, jakby uwięziona w burszynie.

Ruth Dickinson z Corinny, kolejna szczupła piękność, o długich blond włosach, sięgających niemal do pasa, była następną z zaginionych; przepadła pod koniec maja, tuż przed

dwudziestymi pierwszymi urodzinami. Do nich dołączą Louise Moore z East Corinth, Laurel Trulock z Skowhegan i Sarah Raines z Portland; wszystkie znikły we wrześniu, w odstępie kilku dni. Sarah Raines, nauczycielka, najstarsza z zaginionych kobiet, miała dwadzieścia dwa lata. Jej ojciec, Samuel Raines, chodził do szkoły z Bobem Warrenem, moim dziadkiem i ojcem chrzestnym Sarah. Ostatnia, osiemnastoletnia studentka Judith Mundy, zaginęła po przyjęciu w Monson, z początkiem października. Przeciwnie niż pozostałe, ta była pucułowata, niezbyt atrakcyjna, ale już wtedy powszechnie mówiono, że dzieje się coś bardzo złego, i ta niezgodność z dotychczasowym schematem nie wydawała się ważna. Zorganizowano poszukiwanie zaginionej Mundy na terenach północnych i wielu wzięło w nich udział, a niektórzy, jak mój dziadek, z okolic nawet tak daleko położonych na południe jak Portland. Przyjechał na miejsce pewnego sobotniego poranka, ale wtedy już stracono nadzieję. Dołączył do małej grupki, sprawdzającej obszar nad jeziorem Sebec, kilka mil na wschód od Monson. Było ich trzech, potem dwóch, wreszcie został tylko dziadek.

Tamtego wieczora znalazł sobie pokój w Sebec i jadł kolację w barze pod miastem. Miejsce pękało w szwach od szukających Judith Mundy, dziennikarzy i policjantów. Dziadek siedział przy kontuarze i popijał piwo, gdy nagle usłyszał:

— Wie pan, o co ta cała heca?

Dziadek odwrócił się i zobaczył wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, z ustami jak szrama od cięcia nożem i twardymi, bezlitosnymi oczami. Nieznajomy wydawał się mówić z lekko południowym akcentem. Miał na sobie brązowe, sztruksowe spodnie i ciemny sweter pełen dziur, przez które prześwitywały kawałki brudnej, żółtej koszuli. Brązowy deszczowiec sięgał mu do łydek, spod przydługich nogawek wystawały czubki ciężkich, czarnych buciorów.

— Szukają zaginionej dziewczyny — odrzekł dziadek; poczuł się dziwnie nieswojo. W głosie obcego brzmiał jakiś kwaśno-słodki jad, coś jak syrop z dokładką arseniku. Woniał ziemią, żywicą i czymś jeszcze, czego dziadek nie umiał określić.

— Sądzi pan, że ją znajdą? — W oczach mężczyzny pojawił się błysk, jakby rozbawienie.

— Być może.

— Pozostałych nie znaleźli.

Teraz bacznie obserwował dziadka, z twarzą poważną, ale z dziwnym światłem wciąż lśniącym w oczach.

— No nie.

— Jest pan gliną?

Dziadek skinął głową. Nie było sensu zaprzeczać, niektórzy po prostu wiedzieli.

— Ale nie stąd?

— Nie, z Portland.

— Portland? — powtórzył obcy, jakby pod wrażeniem. — A gdzie szukaliście?

— Nad jeziorem Sebec, na południowym brzegu.

— Jezioro Sebec, ładna okolica. Ale ja wolę potok Little Wilson, w pobliżu drogi do Elliotsville. Tam naprawdę jest fajnie, warto zobaczyć, jeżeli ktoś ma dość czasu. Brzegi całkiem zarośnięte. — Mężczyzna gestem dłoni poprosił o whisky, rzucił na ladę kilka monet i jednym haustem opróżnił szklanekę. — Wraca pan tam jutro?

— Chyba tak.

Obcy skinął głową, prawą ręką otarł usta. Dziadek dostrzegł blizny na wnętrzu dłoni i brud za paznokciami. — Cóż, może się panu poszczęści bardziej niż innym, w końcu jest pan aż z Portland. Czasem trzeba nowego spojrzenia, by rozgryźć stary trick... — I odszedł.

Tamta niedziela, dzień, w którym mój dziadek znalazł drzewo o dziwnym owocu, rozpoczęła się pełna świeżości i blasku, z ptakami wśród gałęzi drzew, kwiatami nad lśniącymi wodami jeziora Sebec. Zostawił samochód nad jeziorem przy obozowisku Packarda, pokazał odznakę i dołączył do małej grupy, składającej się z dwóch braci i ich kuzyna, kierującej się na

północny brzeg. Czwórka mężczyzn przez trzy godziny prowadziła wspólnie poszukiwania, niemal w milczeniu, wreszcie spokrewnieni mężczyźni odjechali do domu na niedzielny lunch. Spytali dziadka, czy chce pojechać z nimi, ale miał ze sobą, zawinięty w serwetkę, razowy chleb i kawałek kurczaka, a także termos z kawą, więc podziękował za zaproszenie. Wrócił do obozowiska Packarda i jadł posiłek, zasiadłszy na kamieniu nad brzegiem szemrzącej za plecami rzeki i przyglądał się skaczącym w trawie królikom.

Gdy tamci nie pojawili się z powrotem, wsiadł do samochodu i ruszył drogą na północ, aż dojechał do stalowego mostu, łączącego brzegi Little Wilson. Przejazd wiódł po kracie, przez którą, w dole, widać było brązowe, rozpędzone wody potoku. Po drugiej stronie mostu droga wspiwała się?

w górę, potem rozdzielała na dwie — jedna prowadziła na zachód do Ontwa i Borestone Mountain wzdłuż Elliotsville Road, druga na wschód do Leighton. Brzegi rzeki gęsto porośły drzewami. Drozd pustelnik wystrzelił spomiędzy liści brzozy i zakreślił nad wodą. Gdzieś zawołała gajówka.

Dziadek nie przeszedł przez most; zaparkował samochód na poboczu i ruszył w dół brzegiem rzeki, wyboistym, pełnym kamieni i błota szlakiem. Potok płynął wartko, a dziadek, natrafiwszy na głazy i powalone konary, nieraz musiał je omijać, wchodząc do wody. Wkrótce na wznoszącym się nad rzeką zboczem skończyły się zabudowania. Brzeg stawał się coraz trudniejszy do forsowania i dziadek coraz częściej musiał brnąć korytem rzeki.

Szedł już niemal trzydzieści minut, gdy usłyszał muchy.

Pojawiła się przed nim olbrzymia skała, o kształcie odwróconego stożka. Dziadek wspiął się na nią, dla rąk i stóp wykorzystując krawędzie i szczeliny. Gdy stanął na płaszczyźnie, z prawej strony płynęła rzeka, po lewej rozpościerała się zadrzewiona przestrzeń, skąd jeszcze donośniej dochodziło brzęczenie much. Dziadek przeskoczył przez szczelinę, nad którą zwisające drzewa tworzyły łuk, przypominający wrota katedry i dotarł do niewielkiej polanki. Widok, który ujrzał, sprawił, iż stanął jak wryty i gwałtownie zwymiotował wszystko, co wcześniej zjadł.

Dziewczęta zwisały z dojrzałego dębu, o grubym, sękatym pniu i ciężkich, rozłożystych konarach, podobnych do powykrzywianych paluchów. Ciała obracały się powoli, czarne w słonecznym blasku, z rękami zwisającymi po bokach, głowami opadającymi ku ramieniu. A wokół szalały hordy much, podekscytowanych smrodem rozkładu. Dziadek podszedł bliżej i dostrzegł kolor włosów, gałązki i liście wczepione w kosmyki włosów, poźółkłe zęby, porozrywaną skórę twarzy, okaleczone brzuchy. Jedne były całkiem nagie, na innych jeszcze trzymały się podarte sukienki. Wykonywały w powietrzu piruety, jak duchy pięciu tancerek, już nie podlegających prawu przyciągania. Każdą podtrzymywał gruby, szorstki sznur, jednym końcem owinięty wokół szyi, drugim przymocowany do konara nad głową ofiary.

Było ich tylko pięć. Po zdjęciu i zidentyfikowaniu ciał okazało się, iż Judith Mundy nie ma wśród nich. A gdy się nie pojawiła — nigdy nie znaleziono po niej śladu — przyjęto, że ktokolwiek był odpowiedzialny za te Pięć morderstw, prawdopodobnie nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Mundy. Dopiero po trzydziestu latach ten element rozumowania okazał się fałszywy.

Dziadek powiedział policji o mężczyźnie w barze i jego słowach. Zanotowano szczegóły i okazało się, że kogoś mniej więcej odpowiadającego rysopisowi widziano w Monson w czasie zniknięcia Judith Mundy. Opisy podobnego osobnika nadeszły też z Skowhegan, choć różniły się co do wzrostu podejrzanego, koloru oczu czy fryzury. A więc przez jakiś czas nieznajomy zajmował pierwsze miejsce na liście podejrzanych, przynajmniej dopóki nie nastąpił przełom w sprawie.

Ubranie Ruth Dickinson, wysmarowane krwią i odchodami znaleziono w Corinnie, w stodole należącej do rodziny Quintina Fletchera. Fletcher miał dwadzieścia osiem lat i był trochę niedorozwinięty: zarabiał sprzedając figurek rzeźbionych z drewna, które zbierał w

lesie; z walizką drewnianych laleczek, samochodzików i lichterzy podróżował greyhoundem po całym stanie. Ruth Dickinson poskarżyła się kiedyś jego rodzinie, a później zgłosiła na policji, iż szedł za nią, zachowywał się oblesnie i składał jej nieprzyzwoite propozycje. A gdy potem na targu w hrabstwie próbował dotknąć jej piersi, policja ostrzegła jego rodzinę, że jeśli raz jeszcze zbliży się do dziewczyny Dickinsonów, wsadzą go do więzienia. Nazwisko Fletchera pojawiło się w czasie śledztwa. Został przesłuchany, dom przeszukano i dokonano odkrycia. Fletcher rozplakał się i przysięgał, że nic mu nie wiadomo o pochodzeniu ubrania i że nikogo nie skrzywdził. Został zatrzymany i czekał na proces w więzieniu stanowym Maine — władze obawiały się o jego bezpieczeństwo, gdyby pozostał w domu. Mógłby jeszcze do tej pory produkować w więzieniu zabawki i żeglarskie pamiątki dla sklepu przy US 1 w Yorku, gdzie sprzedają wyroby więźniów, ale pewien cieszący się przywilejami za dobre zachowanie współpensjonariusz, daleki krewny Judy Giffen, zaatakował Fletchera, gdy ten przechodził badania kontrolne w więziennym szpitalu: trzykrotnie dziabnął go skalpelem, w szyję i pierś. Fletcher zmarł dwadzieścia cztery godziny później, dwa dni przed procesem.

I tak to się zakończyło, przynajmniej dla większości: zabójstwa ukoronowane złapaniem Fletchera, potem jego śmiercią. Ale mój dziadek nie mógł zapomnieć mężczyzny z baru, błysku w jego oczach i wzmianki o Elliotsville Road. Jeszcze całymi miesiącami, spokojnie, lecz stanowczo, stawiał czoła niechęci, potrzebie żaloby i zapomnienia. Udało mu się tylko uzyskać imię, o jakim słyszano, ale nie całkiem dobrze już pamiętano oraz dowiedzieć się, że tego mężczyznę widziano w barze w każdym z miast, w którym zaginęła dziewczyna. Wszczął swoistą kampanię, rozmawiał z dziennikarzami, występował w radio, gdzie tylko się dało, starając się przekonać ludzi, że ten, który zamordował pięć dziewczyn i udekorował nimi drzewo, wciąż pozostaje na wolności. Przez jakiś czas nawet mu się udawało, przynajmniej z niektórymi, aż rodzina Quintina Fletchera zwróciła się przeciwko niemu i ludzie mieli już dość całej sprawy, nawet jego stary przyjaciel Sam Raines.

W końcu wrogość i obojętność okazały się zbyt silne nawet dla niego. Pod niejaką presją, dziadek opuścił służbę w policji i, by utrzymać rodzinę, zajął się budownictwem, a potem obróbką drewna; rzeźbił lampy, stoły i krzesła i sprzedawał je przez instytucję HOME — wyposażenie domków — prowadzoną przez siostry franciszkanki w Orland. Każdą rzecz rzeźbił z taką samą starannością i wrażliwością, jaką stosował, przepytując rodziny zmarłych dziewcząt. Potem nawiązał do tej sprawy tylko raz, tamtej nocy przy ognisku, przewiany zapachem drewna, z psem śpiącym u stóp. Odkrycie, którego dokonał owego ciepłego dnia, zwarzyło mu życie. W snach dręczyło go, iż mordercy dziewcząt udało się umknąć sprawiedliwości.

Później, po usłyszeniu jego opowieści, wiedziałem, że gdy siedzi na werandzie z wystygłą fajką w ustach, z wzrokiem utkwionym gdzieś za linią słońca, rozmyśla o tym, co wydarzyło się przed dziesiątkami lat. Gdy odsuwał od siebie niemal nietknięte jedzenie, po przeczytaniu w gazecie, że jakaś dziewczyna znikła z domu i jeszcze jej nie odnaleziono, znów wracał na Elliotsville Road, czuł wodę chlupiącą w wysokich butach, w uszach słyszał szept martwych dziewcząt.

A nazwisko, które wygrzebał, tak długo zaangażowany w śledztwo, stało się, w miastach na północy, pewnego rodzaju zaklęciem, choć nikt nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Straszono nim dzieci, gdy nie chciały słuchać starszych lub oddalały się do lasu, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybierają. Imię to wypowiadano nocą, tuż przed zgaszeniem światła, nim znajoma dłoń przyglądziła czuprynę, a delikatny zapach matczynych perfum pozostał po ostatnim pocałunku na dobranoc: „A teraz bądź grzeczny i śpij. I żadnych więcej wycieczek do lasu, bo złapie cię Caleb”.

Jeszcze widzę, jak mój dziadek wsuwa polana pod palenisko, czeka, by opadły, zanim doda następne, patrzę na iskry ulatujące w komin, na skwierczący w płomieniach, topniejący śnieg.

— Caleb Kyle, Caleb Kyle — zawodzi dziadek, powtarzając słowa dziecięcego wierszyka, a ogień rzuca cienie na jego twarz. — Jak go zobaczysz, na miłą uciekaj...

I śnieg syczy, drewno trzaska, a pies cicho pojękuje we śnie.

mWMML COTUMMAOTY

Wejścia na teren ośrodka Św. Marty strzegł wysoki na piętnaście stóp, kamienny mur, zaopatrzony w bramę z kutego żelaza; zgromadzone na niej pęcherzyki i łuski czarnej farby zdawały się przygotowywać do powolnego, trzepotliwego osunięcia się na pokrytą śniegiem ziemię. Liście i śmieci wypełniały stawek, kiedyś ozdobę ogrodu, trawnik wybujał ponad wszelką miarę, drzew nie przycinano tak długo, że gałęzie jednych, wplątane w konary sąsiadów, tworzyły baldachim, pod którym trawa nie miała szans na przetrwanie. Sam budynek sprawiał ponure, instytucjonalne wrażenie: cztery poziomy szarego kamienia, zakończone stromym dachem, pod którym rzeźbiony krzyż zdradzał religijne pochodzenie budowli.

Podjechałem do głównej bramy, zaparkowałem w zatoczce przeznaczonej dla personelu i po granitowych schodach wszedłem do budynku. Po jednej stronie stała kanciapa strażnika; tu właśnie owa stara kobieta pozbawiła Judda broni, zanim pobiegła po własną śmierć. Na wprost znajdowało się biurko recepcji, przy którym istota płci żeńskiej, ubrana w biały fartuch, zajęta była porządkowaniem papierów. Za nią, prowadzące do biura drzwi stały otworem, pozwalając dostrzec półki pełne książek i teczek na dokumenty. Recepcjonistka, nieatrakcyjna kobieta o białych, nalanych policzkach i ciemnym makijażu pod oczami, przypominała kościotrupa rodem z Mardi Gras. Na klapie jej fartucha nie dostrzegłem wizytówki z nazwiskiem, tylko, gdy podszedłem bliżej, plamy w okolicach piersi i białe nitki, niczym pajęczyna zwisające z obstrzępionego kołnierzyka. Willeford miał rację: środki do dezynfekcji nieskutecznie tłumili zapach przegotowanych jarzyn i ludzkich odchodów. Biorąc wszystko pod uwagę, Emily Watts, uciekając do lasu, miała może nie najgorszy pomysł.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytała kobieta. Twarz zachowała obojętny wyraz, ale w głosie zabrzmiał ten sam ton, co u chłopaka Mea- de'a Payne'a. To „panu” zabrzmiało jakoś nieprzyzwoicie. Sposób, w jaki powiedziała „pomóc”, nie był o wiele lepszy.

Podaliśmy nazwisko i wyjaśniłem, iż komendant Martel dzwonił z prośbą, by umożliwiono mi z kimś rozmowę o okolicznościach śmierci Emily Watts.

— Przykro mi, ale doktor Ryley, dyrektor ośrodka, przebywa na konferencji w Augustynie i wróci dopiero jutro. — Jej pozornie uprzejma mina me zdołała ukryć, iż każdy wypytujący o Emily Watts byłby tu powitany równie serdecznie jak każdy czarny na zebraniu KKK. — Poinformowałam komendanta, ale pan już wyjechał. — Teraz wyraz twarzy dostosował się do tonu głosu, z domieszką złośliwego zadowolenia z faktu, że nadaremnie zrobiłem szmat drogi.

— Niech zgadnę... — powiedziałem. — Nie może mi pani pozwolić na rozmowę z kimkolwiek bez zgody dyrektora, a jego tu nie ma i pani nie jest w stanie się z nim skontaktować...

— Właśnie.

— I bardzo to panią cieszy, co?

Zjeżyła się i mocniej chwyciła pióro, jakby zaraz miała wbić mi je w oko. Z budki strażnika wyłonił się pękaty facet, w tanim, niedopasowanym uniformie. Idąc w moim kierunku, założył kapelusz, ale nie na tyle szybko, by ukryć szramy widoczne na tylnej części głowy.

— Wszystko w porządku, Gład? — rzucił do kobiety zza biurka. Gład: z klubu tych, co to są jak duży palec, w obraźliwym geście wymierzony w wszechświat.

— Zaczynam się bać — powiedziałem. — Olbrzymi strażnik i żadnej staruszki, która by mnie obroniła.

Poczerwieniał jak burak i lekko wciągnął brzuch.

— Lepiej niech pan odejdzie. Tak jak pani powiedziała, nie ma nikogo, kto mógłby panu pomóc.

Skinąłem głową i wskazałem na jego pas. — Widzę, że ma pan nową broń. Może przydałaby się kłódka i łańcuch, na wypadek gdyby jakiemuś przechodzącemu dziecku zachciało się ją ukraść...

Zostawiłem ich w recepcji i wyszedłem na dwór. Trochę żałowałem złośliwości wobec Judda, ale czułem się zmęczony i zniechęcony, do tego wyprowadziło mnie z równowagi imię Caleba Kyle'a, wspomniane po tylu latach. Stałem na trawie i patrzyłem na brudną, ponurą fasadę domu starców. Pokój Emily Watts znajdował się, według słów Martela, na ostatnim piętrze zachodniego skrzydła. Okno zasłaniała firanka, na parapecie widać było ptasie odchody. Za szybą w pokoju obok poruszyła się jakaś postać: obserwowała mnie starsza kobieta, z włosami ściągniętymi do tyłu w koczek. Uśmiechnąłem się do niej, ale nie zareagowała. Odjeżdżając, widziałem ją w tylnym lusterku; wciąż stała przy oknie, wciąż mnie obserwowała.

Planowałem pozostanie w Dark Hollow jeszcze jeden dzień, bo nie zdążyłem porozmawiać z Randem Jenningsem. Widok jego żony wzbudził we mnie zapomniane uczucia: gniew, żal, resztki dawnego pożądania. Wróciło upokorzenie z tamtego dnia, gdy leżałem na podłodze toalety, a ciosy Jenningsa spadały na mnie jeden za drugim, podczas gdy jego tłusty koleś pogardliwie prychnął, blokując drzwi. Dziwne, najwyraźniej część mnie, nawet po tylu latach, wciąż domagała się rewanzu.

W drodze powrotnej do motelu próbowałem złapać Angela przez komórkę, ale bezskutecznie, widać znajdowałem się poza zasięgiem sieci. Zadzwoiłem więc do niego ze stacji benzynowej i wysłuchałem, jak świeżo zainstalowany w domu w Scarborough telefon dzwoni pięć razy, nim wreszcie usłyszałem: — Tak?

— Tu Bird. Dzieje się coś?

— Mnóstwo, ale nic dobrego. Gdy na północy bawiłeś się w Perry Masona, Billy'ego Purdue zauważono w miejscowym sklepie. Uciekł, nim gliny zdążyły go dopaść, ale wciąż ukrywa się gdzieś w mieście.

— Jak już go namierzono, nie zostanie tam długo. A co z Tonym Celi?

— Nic. Za to gliny znalazły coupe de ville'a w starej szopie przy West-brook. Louis podsłuchał o tym na paśmie policyjnym. Najwyraźniej ten cudak porzucił swoje kółka dla czegoś bardziej szpanerskiego...

Już miałem mu przekazać tych kilka informacji, jakie zebrałem, ale przerwał mi:

— Jest jeszcze coś. Masz tu gościa, przybył dzisiaj rano.

— Kto taki?

— Lee Cole.

Byłem zaskoczony, biorąc pod uwagę pogorszenie się moich stosunków z jej mężem. Może ma nadzieję na odbudowanie mostów między Walterem a mną.

— Powiedziała, o co chodzi?

Usłyszałem wahanie w głosie Angela, i zaraz ucisk w żołądku. — Mniej więcej. Bird, zaginęła jej córka, Ellen.

Natychmiast ruszyłem z powrotem, z przeciętną osiemdziesięciu mil na godzinę, gdy tylko wjechałem na 1-95. Już prawie na przedmieściach Portland odezwała się komórka.

Podniosłem ją, na wpół oczekując głosu Angela, ale to nie był on.

— Parker? — Niemal natychmiast zorientowałem się, kto dzwoni.

— Billy? Gdzie jesteś?

W głosie Billy'ego Purdue usłyszałem panikę i przerażenie. — Mam kłopoty, człowieku. Moja żona ci ufała, teraz ja muszę ci zawierzyć. Nie zabiłem ich, Parker. Nie zrobiłbym tego. Nie potrafiłbym ich skrzywdzić.

— Wiem, Billy, wiem. — Wciąż powtarzałem jego imię, by go uspokoić i wzmocnić choćby tę odrobinę zaufania, jaką mógł do mnie żywić. Próbowalem nie myśleć, przynajmniej chwilowo, o Ellen Cole. Zajmę się jej sprawą najszybciej, jak będę mógł.

— Gliny mnie szukają. Myślą, że to ja ich zabiłem. Kochałem ich. Nigdy bym nie wyrządził im krzywdy, chciałem ich tylko zatrzymać... — Najwyraźniej był bliski hysterii.

— Uspokój się, Billy — starałem się dodać mu otuchy. — Słuchaj, powiedz mi, gdzie jesteś, a przyjadę po ciebie. Ukryjemy cię gdzieś i obgada- my sprawę.

— Koło ich domu kręcił się jakiś stary gość, Parker. Widziałem, jak obserwuje mieszkanie, akurat tej nocy, gdy zabrały mnie gliny. Próbowalem zaopiekować się nimi, ale nie mogłem...

Nawet nie byłem pewien, czy usłyszał moją propozycję, pozwoliłem mu wszakże mówić; właśnie skręciłem na wjazd przy Falmouth, jakieś trzy mile od miasta.

— Rozpoznałeś go, Billy?

— Nie, nigdy wcześniej go nie widziałem, ale poznałbym, gdybym go ponownie spotkał.

— Świetnie, Billy. A teraz powiedz, gdzie jesteś, a przyjadę po ciebie.

— W budce telefonicznej na Commercial. Nie mogę tutaj zostać — za dużo ludzi i samochodów. Przez cały czas ukrywałem się w kompleksie Portland Company na Fore Street, przy muzeum lokomotyw. Zaraz za główną bramą stoi opuszczony budynek, wiesz gdzie?

— Tak, orientuję się. Wracaj tam, pojawię się jak najszybciej.

Zadzwoiłem do Angela i kazałem mu przyjechać z Louistem na róg India i Commercial. Lee Cole mieli zawieźć do Java Joe's. Nie chciałem, by została w domu, na wypadek gdyby Tony Celli lub ktokolwiek inny postanowił wpaść z wizytą.

Gdy dojechałem na róg India i Commercial, w pobliżu nie dostrzegłem nikogo. Zatrzymałem samochód na parkingu dawnego terminalu Old India, w cieniu starego, dwupiętrowego budynku. Gdy wysiadałem, na masce, z przeraźliwym hałasem, eksplodowały pierwsze krople dojmującego, przenikającego przez ubranie deszczu, pozostawiając na przedniej szybie rozbryzgi wielkości ćwierć dolara. Obszedłem terminal i minąwszy piknikowy stół, a następnie jednopiętrowy, pomalowany na czerwono budynek biurowy, znalazłem się tuż nad ciemnymi wodami portu. Nagle huknął piorun i w świetle błyskawicy dostrzegłem kontury statku, unoszącego się w Casco Bay. Przede mną, na odbudowanym odcinku torów, przywróconych do życia, by dać turystom posmakować czaru wąskotorówki, w miejscu, gdzie zaczynała się linia kolejowa, stał wagonik-platforma z załadowanym nań zbiornikiem. Po prawej ciągnął się terminal promów Casco Bay, nad którym, przypominający cielsko dinozaura, górował niebieski, osiemnastotonowy dźwig, wsparty, niczym okaleczona pluskwa, na czterech pajęczych nogach.

Właśnie miałem wrócić do samochodu, gdy za plecami usłyszałem szmer żwiru i znajomy głos powiedział:

— Zła pogoda dla ptaków Powinieneś teraz słodko spać w swej klatce... — Słowom towarzyszył szczęk odciąganego kurka.

Powoli wyjąłem ręce z kieszeni płaszcza i odwróciłem się; Mifflin, oszpecony zajęczą wargą bandzior Tony'ego Celli, uśmiechał się do mnie złośliwie. W grubej, zakończonej krótkimi palcami dłoni, mocno ścisnął zaokrągloną kolbę sześciostrzałowego rugera.

— Zupełnie jak déj? vu — powiedziałem. — W przyszłości będę musiał znaleźć sobie inny parking.

— Twoje kłopoty z parkowaniem chyba się kończą, i to na stałe. Jak tam głowa? — Wciąż się uśmiechał.

— Troszkę rwie. Mam nadzieję, że nie nadwreżyłeś sobie stopy.

— Mam specjalne podeszwy; absorbują uderzenie, nic nie poczułem.

Stał blisko, oddalony ode mnie najwyżej sześć czy siedem stóp. Skąd się tu wziął? Może cały czas czaił się w cieniu One India albo jechał za mną na spotkanie, choć nie miałem

pojęcia, w jaki sposób się o nim dowiedział. Za moimi plecami deszcz z trzaskiem uderzał o wodę.

Mifflin wskazał ruchem głowy w kierunku parkingu. — Widzę, że dałeś mustanga do naprawy.

— Jakiś wypadek zawsze może się przydarzyć, dlatego jestem ubezpieczony.

— Powinieneś być raczej wydać forszę na panienki. Samochodu nie będziesz więcej potrzebował, chyba że w piekle przechowują złom. — Uniósł broń i zacisnął palec na cynglu. — Założę się, że tego polisa nie obejmuje.

— Śmiem twierdzić przeciwnie — odrzekłem, gdy Louis pojawił się zza czerwonego budynku biura; ujrzałem czarną dłoń zaciskającą się na ręce, w której Mifflin trzymał broń, i szybko odsunąłem się na lewo.

Louis prawą ręką wcisnął lufę SIG-a w miękkie miejsce pod szczęką niedoszłego mordercy.

— Spokojnie — powiedział — nie chcielibyśmy, by samo wystrzeliło i kogoś wystraszyło, ktoś też mógłby zostać trafiony w szczękę.

Mifflin ostrożnie zdjął palec ze spustu. Angel dołączył do Louisa i wyjął rugera z dłoni bandziora.

— Cześć, śliczniutki — zawołał, celując w głowę Mifflina. — Taka duża broń dla takiego małego facecika.

Mifflin nie odezwał się ani słowem, tymczasem Louis cofnął SIG-a i wsunął do kieszeni swego ciemnego płaszcza, wciąż nie wypuszczając z uchwytu ramienia bandyty. Zrobił też nagły, szybki ruch i rozległ się głośny trzask — złamał w łokciu prawą rękę Mifflina. Potem dwa razy uderzył jego głową o ścianę budynku. Bandzior osunął się na ziemię. Angel zniknął i pojawił się po chwili, za kierownicą mercury'ego. Otworzył bagażnik, a Louis wrzucił nieprzytomnego Mifflina do środka. Potem obaj poszliśmy za samochodem, a Angel podjechał do końca parkingu Island, do szczeliny w ogrodzeniu, na skraju doku. Zatrzymaliśmy się, Louis wyjął ciało z bagażnika, podciągnął ku krawędzi i zrzucił. Rozległ się głośny plusk, gdy uderzało w wodę, ale hałas szybko zgubił się w niekończącym się odgłosie padającego deszczu.

Louis uznałby mnie za mięczaka, gdybym, tak sądę, wyraził moje myśli na głos: z żalem przyjąłem śmierć Mifflina. Oczywiście, jego obecność i zamiar zabicia mnie wskazywały, że według Tony'ego Celli już do niczego mu się nie przydam. Gdybyśmy pozwolili Mifflinowi żyć, wróciłby i próbował ponownie, pewnie w silniejszym składzie. Jednak ostateczność plusku napełniła mnie nużącym uczuciem beznadziejności.

— Zaparkował samochód kilka przecznic stąd — oznajmił Angel. — A to znaleźliśmy na podłodze. — W ręce trzymał przenośny, trzykanałowy nadajnik VHF, szeroki może na pięć cali, jeden i pół w przekroju, zaprojektowany na pobieranie mocy z samochodowego akumulatora. Jeżeli jest odbiornik, musiał istnieć także nadajnik.

— Podłożyli pluskwę w domu — domyśliłem się — prawdopodobnie podczas mojego pobytu w pokoju Celliego. Powiniennem być wiedzieć, gdy mnie nie wykończyli.

Angel wzruszył ramionami i wrzucił odbiornik do morza. — Jeżeli on się tu pojawił, to jego przyjaciele są już w drodze do kompleksu — stwierdził. Po lewej stronie Fore Street wiała się ku północy, równoległe do portu, a w oddali widniały budynki Portland Company.

— Pójdziemy za torami i wejdziemy do środka od strony portu — zaproponowałem. Wyciągnąłem broń, ale Louis klepnął mnie po ramieniu i z prawej kieszeni płaszcza wyjął colta government model 380. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął i zamocował tłumik. — Użyjesz swojego smitha & wessona, i jeżeli coś nie wyjdzie, dojdą po nim do ciebie — wyjaśnił. — Weź, później się wyrzuci. Poza tym jest o wiele cichszy. — Nic dziwnego, Louis znał swoje zabawki: półautomatyczne, z komorą na ponaddzwiękową amunicję, są jedynymi

pistoletami, które dają odpowiedni efekt z tłumikiem. Gdyby ci od Hertza wiedzieli, jakiego rodzaju bagaż przewozi w ich samochodzie, doszłoby do gromadnego zawału serca.

Louis podał swego SIG-a Angelowi, z lewej kieszeni wyjął stosowną trzysta osiemdziesiątkę i ponownie zamocował tłumik — powinienem się być domyśleć, co zamierza — nawet Louisowi nie zdarzało się „przypadkiem” nosić przy sobie broni z tłumikiem — ale zbyt martwiłem się o Billy'ego Purdue, by zawracać sobie tym głowę.

Ruszyliśmy z Louistem torami, Angel szedł z tyłu. Czerwone od rdzy wagoniki kolejowe zalegały w dawno zapomnianych stertach, obok połamanych, poskręcanych drewnianych podkładów, miejscami całkiem szerniałych. Za magazynami, gdzie stare, stalowe kule, używane przy rozbiórce złomu, leżały jedna przy drugiej, a cementowe wsporniki krwawiły rdzą swych wnętrzości, sterty drewna poruszały się w podmuchach wiatru niczym pierwotny las.

Kompleks budynków Portland Company wznosił się po drugiej stronie przystani, przy wejściu stała kolejka Sandy River Railroad, wykorzystywana do przewozu turystów — czerwona lokomotywa i zielone wagoniki. Kompleks ten służył kiedyś kolei, gdy Portland Company budowała maszyny i lokomotywy parowe, ale zamknięto go w latach siedemdziesiątych i budynki przekształcano właśnie w muzeum przemysłu. Na podwórzu stał stary traktor z czarnej stali, z odnowionym kominem, wskazując drogę do Muzeum Kolejek Wąskotorowych. Budynek ten, jak wszystkie w kompleksie, zbudowany został z czerwonej cegły, a w najwyższym miejscu wznosił się na trzy poziomy. Zakład narzędzi automatycznych mieścił się z tyłu, w podobnym, choć obszerniejszym budynku, obydwa zaś połączono zabudowaną przełączką. Na lewo od muzeum ciągnęła się długa budowla, mieszcząca jakieś usługi jachtowe, tak mi się przynajmniej wydawało, i druga, podobna, używana przez firmę produkującą szklane włókno.

Przy południowym końcu placu stał duży, dwupiętrowy dom, z oknami na parterze zabitymi deskami, a na pozostałych piętrach zaciemnionymi kratami, w którym Billy Purdue miał się ponoć ukrywać. Nie było do niego wejścia od strony portu, ale przy północnym końcu wznosiła się drewniana, podobna do szopy konstrukcja, mieszcząca główne wejście. Szyny zawijały się wokół niego i biegnęły dalej, do bramy dla odwiedzających kompleks przy Fore Street. Całe miejsce zdawało się opustoszałe, deszcz spadał nań ciężko, bezlitośnie. Krople jak kamyki waliły o dach muzeum, którego boczne wejście stało otworem. W milczeniu wskazałem na nie i wszyscy trzej weszliśmy do środka.

Tam, pod sklepieniem sufitem, stały w rzędach porzucone wagony kolejowe: zielone z Wicasset i Quebecu, zielone i czerwone firmy Sandy Rivers z hrabstwa Franklin, zielone i żółte z Bridgton i Saco, a po prawej stronie stary autobus szynowy z podwoziem motorowego wagonu REO linii Sandy River.

Obok autobusu leżało skręcone ciało, w długim, ciemnym płaszczu, otulającym je jak całun. Odwróciłem zwłoki twarzą do góry, przygotowując się na widok Billy'ego Purdue. Ale nie — patrzyłem na zniekształcone konwulsjami rysy Berendta, wielkogłowego kolesia Mifilina, na jego czole widać było poszarpany otwór wylotu kuli. Doleciała mnie woń spalonych włosów. Na podłodze muzeum krew i kurz tworzyły zastygłą maź.

Padł na mnie cień Louisa. — Robota Billy'ego Purdue?

Przełknąłem ślinę, w uszach mi szumiało. Pokręciłem głową, a on, w milczeniu, tylko potaknął.

Wyszliśmy na zewnątrz, po drodze do biura muzeum minęliśmy dwa wagony linii Edaville. W budynku nie widać było nikogo, ale stalowe drzwi frontowe pod naporem wiatru i deszczu z hukiem uderzały o framugę.

W ciemnościach, pod przełączką łączącą fabrykę narzędzi z budynkiem muzeum, stał zaparkowany czarny sedan, z oknami zaciemnionymi przez padający deszcz. Rozpoznałem go z miejsca zbrodni — widziałem go przed domem Rity Ferris.

— Fedzie — oznajmiłem — pewnie znaleźli chłopców Celliego.

— Albo też cię podsłuchiwali — mruknął Louis.

— Cudownie — powiedział Angel. — Czy istnieje ktoś, kogo tu nie ma? Billy Purdue jest popularny jak jasna cholera, powinien mieć własne święto...!

Z tylnego siedzenia samochodu wysiadła postać w ciemnym płaszczu, z opuszczoną głową. Mężczyzna cicho zamknął za sobą drzwi. Szedł pospiesznie w naszym kierunku, z ręką zanurzoną głęboko w kieszeni, w drugiej trzymał, wysoko nad głową, czarny parasol. Blask padający z narzędziowni oświetlił go na moment.

— A to będzie...? — zapytał Angel ze znużeniem.

— Eldritch, gliniarz z Kanady. Zostań na miejscu.

Wyszedłem z cienia i Eldritch zatrzymał się; jakby zakłopotany, jakby usiłował mnie sobie przypomnieć.

— Parker? — spytał w końcu. — Może by twoi przyjaciele też wyszli z ukrycia, co?

Louis i Angel wysunęli się zza moich pleców i stanęli z boku. Louis przyglądał się Eldritchowi z pewnym zainteresowaniem.

— No co, macie zamiar sterczeć na deszczu? — zniecierpliwił się Kanadyjczyk.

— Pan pierwszy, oficerze — odrzekłem.

W momencie, gdy Eldritch wysiadał z forda, coś tuż przy samochodzie zwróciło moją uwagę; wewnętrzne światelko rzuciło słaby blask na ziemię przy nie domkniętych drzwiach od strony kierowcy, na kałużę czegoś czerwonego, co w dalszym ciągu skapywało przez szczelinę.

Eldritch stanął przy mnie, w jednej ręce wciąż trzymając parasol — spod podciągniętego rękawa płaszcza, na mankietcie białej koszuli, widać było złotą spinkę. I coś jeszcze: czerwoną plamkę, która powiększyła moje zainteresowanie dla samochodu.

Spojrzałem na Louisa, ale coś innego zwróciło jego uwagę.

— Ma pan coś na kołnierzu, oficerze — powiedział spokojnie, gdy Eldritch znalazł się pod lampą.

Kołnierzyk koszuli Eldritch'a wystawał spod poły płaszcza. Na zagięciu, tuż nad węzłem krawata, widniały czarne smugi, jakby sadzy. Ale po słowach Louisa Eldritch opuścił parasol, chcąc wyraźnie zasłonić się przed moim wzrokiem, i tylko przez moment, gdy wyjmował dłoń z kieszeni, dostrzegłem broń. Widziałem, że Louis już unosi swoją; Eldritch zaczął się odwracać, jego parasol zdawał się teraz zawieszony w powietrzu; z drugiej strony patrzył Angel. Ale to ja wystrzeliłem pierwszy. Kula wyrwała dziurę w parasolu i uderzyła Eldritch'a nisko, w udo. Tłumik i coraz bardziej intensywny deszcz wyciszyły huk wystrzału. Strzeliłem ponownie, tym razem trafiłem go w bok. Broń wypadła mu z dłoni, osunął się na ścianę muzeum i plecami ześlizgiwał się po niej, aż usiadł na ziemi, z zębami zaciśniętymi z bólu. Ręką przyciskał miejsce, w którym czerwona plama rozszerzała się na cały płaszcz. Louis, znajdujący się teraz bliżej rannego, przy pomocy długopisu, który przełożył przez spust, podniósł z ziemi broń i oglądał ją z zainteresowaniem profesjonalisty.

— Taurus — orzekł — brazylijski. Nasz przyjaciel najwyraźniej spędzał wakacje w Południowej Ameryce.

Podszedłem do samochodu. W przedniej szybie widać było dwie, w kształcie gwiazdy, dziury po kulach, obok bliźniacze rozpryski krwi. Zabezpieczony rękawiczką, otwarłem drzwi i cofnąłem się, gdy agent Samson opadł bokiem na ziemię; na garbku zniszczonego nosa widniał otwór po kuli. Obok agent Doyle spoczywał czołem oparty o deskę rozdzielczą, a krew tworzyła kałużę u jego stóp. Obaj byli jeszcze ciepli.

Ostrożnie uniosłem Samsona i wsadziłem do samochodu, zamknąłem drzwi i wróciłem do Louisa i Angela, stojących nad krwawiącym mężczyzną.

— To Abel — powiedział Louis. Pomimo bólu ranny patrzył na nas ciemnymi, pełnymi nienawiści oczami, ale nie odzywał się.

— On nigdzie się stąd nie ruszy — powiedziałem. — Wepchniemy go do bagażnika forda i wezwiemy gliny, niech się nim zajmą.

Ale zarówno Angel, jak i Louis zdawali się mnie nie słuchać. Angel pokręcił głową i aż cmoknął: — Żeby gość w twoim wieku malował sobie włosy — zwrócił się do Abela — to zwykła próżność.

— A wiesz, co mówią o próżności — dodał cicho Louis.

Abel spojrział na niego rozszerzającymi się oczami.

— Próżność zabija — dokończył Louis. Potem oddał jeden strzał, a colt podskoczył mu w dłoni. Głowa Abela uderzyła o ścianę, oczy zamknęły się, w końcu broda bezwładnie opadła na pierś.

Nigdy jeszcze Louis nie rozzłościł mnie do tego stopnia, bym zaatakował go fizycznie. Teraz wyciągnąłem ramię i mocno pchnąłem go w pierś. Cofnął się o krok, oczy nie zmieniły wyrazu.

— Dlaczego? — krzyknąłem — dlaczego go zabiłeś? Jezu, Louis, czy musisz wykańczać wszystkich?

— Nie — odrzekł — tylko Abela i Stritcha.

I wtedy zrozumiałem, dlaczego Angel i Louis tu przyjechali. Świadomość wstrząsnęła mną niczym cios w żołądek.

— A więc to kontrakt! Zostałeś wynajęty... — Teraz wiedziałem, dlaczego Leo Voss zginął, dlaczego Abel i Stritch wybrali ten akurat czas, by się wycofać; tylko częściowo z powodu szansy, jaką dawał im Billy Purdue i pieniądze, które ukradł. Oni uciekali przed Louisem.

Skinął głową tylko raz. Stojący obok niego Angel patrzył na mnie z pewnym smutkiem, ale także z determinacją. Wiedziałem, po czyjej był stronie.

— Za ile? — spytałem.

— Za dolara — odrzekł Louis po prostu. — Wziąłbym pięćdziesiąt centów, ale gość nie miał drobnych.

— Za dolara? — Dziwne, ale niemal, wbrew samemu sobie, uśmiechałem się. Wziął jednego dolara, a jednak życie tych dwóch było warte jeszcze mniej. Spojrzałem na ciało Abela i pomyślałem o dwóch agentach w samochodzie i prawdziwym Eldritchcu, który pewnie nie dojechał do Ma- ine.

— Oni są jak wcielone zło, Bird — powiedział Angel. — Nie ma od nich gorszych. Nie pozwól, by nas rozdzielili.

Pokręciłem głową. — Powinniście byli mi powiedzieć, to wszystko. Mogliście mi zaufać.

— Masz rację, popełniłem błąd...

Louis stał przede mną, w oczekiwaniu na odpowiedź, a ja wiedziałem, dlaczego miał przede mną tajemnice. W końcu byłem eks-gliną, z przyjaciółmi wśród gliniarzy. Może Louis wciąż miał wątpliwości. Uratowałem Angelowi życie, gdy siedział w więzieniu, a oni w rewanżu stali przy mnie, gdy Jennifer i Susan zostały zamordowane, narażali życie w polowaniu na ich zabójcę, i na innych, i nie prosili o nic w zamian. Ja nie miałem powodu nie ufać im; natomiast im, włamywaczowi i mordercy, można było wybaczyć pewną nieufność w stosunku do mnie.

— Rozumiem — powiedziałem w końcu.

Louis pokiwał głową, tylko raz, ale tym gestem i wyrazem oczu przekazał wszystko, co chciał.

— Chodźmy — powiedziałem. — Czas odnaleźć Billy'ego Purdue.

I gdy szliśmy do pustego budynku — deszcz padał teraz prawdziwie obficie — po raz ostatni spojrzełem na Abela i przeszedł mnie lekki dreszcz. Jego poskręcane ciało, i zwłoki Berendta w muzeum kolei, były milczącymi dowodami, iż przysadzista, groteskowa postać Stritcha nie może znajdować się daleko stąd.

Dalej na Fore Street, naprzeciwko kilku nowych domów z szarego drewna, do połowy wymurowanych czerwoną cegłą, stały zaparkowane dwa samochody. Było zbyt ciemno, by dostrzec, czy ktoś w nich siedzi. Gdy dotarliśmy do głównego wejścia nie zamieszkanego budynku, okazało się, że zamek został już wyłamany i drzwi są niedomknięte. Przycisnąwszy się do ściany, ostrożnie wyjrzałem za róg, na front budynku. Okna na najwyższym piętrze zabito deskami, a od trawnika do zamkniętych drzwi na drugim piętrze wiodła drewniana kładka. Z powodu stromizny terenu parter znajdował się właściwie pod poziomem trawy, tu okna zaopatrzono w dodatkowe siatki.

Wróciłem do drzwi, przy których czekali na mnie Angel i Louis, i zdecydowaliśmy, że Angel odejdzie do mercury'ego, abyśmy mogli, wróciwszy razem z Billym, jak najszybciej opuścić to miejsce.

Za drzwiami pięła się w górę klatka schodowa, zakurzona, pełna porozrzucanych wszędzie starych gazet. Schody prowadziły na drugie piętro, do pomieszczenia przeznaczonego na magazyn, wspartego na stalowych filarach. Za schodami znajdowały się biura i hale produkcyjne, obecnie ciche i nieoświetlone. W magazynie wciąż dało się wyczuć zapach drewna, choć przeważała woń wilgoci i zgnilizny. Louis miał przy sobie latarkę, lecz nie zapalał jej, w obawie, że mógłby zwrócić na nas uwagę.

Z miejsca gdzie stałem, mogłem dostrzec hałdy gnijącego drewna, wciąż zalegające w kącie w pobliżu schodów. Z sufitu kapąła woda, bo przez dach magazynu przedzierał się deszcz, i stopniowa sączyła się poprzez piętra na sam dół. Przeszliśmy za schodami do pierwszej z całej serii hal produkcyjnych, pustej poza kilkoma drewnianymi ławkami i połamanym plastikowym krzesłem. Gdy zbliżaliśmy się do przejścia prowadzącego do dalszych pomieszczeń, poprzez szum deszczu i kapiącej wody dosłyszałem dochodzący zza ściany dźwięk. Gestem dłoni wskazałem Louisowi, by poszedł w lewo, sam zająłem pozycję z prawej strony, tak by choć trochę móc zerknąć do następnej sali. Potem powoli wysunąłem się, cal po calu, zajrzałem do środka i, gdy nikt nie próbował odstrzelić mi głowy, wszedłem tam.

Znalazłem się w jednym z podwójnych pomieszczeń, które kiedyś służyły jako biura. Wyczułem nikły zapach dymu, unoszący się ze sterty gnijącego drewna i śmieci w najbardziej oddalonym kącie.

Wycelowałem w tę stronę broń i zacisnąłem palec na spuście.

— Nie strzelaj — rozległ się chrapliwy, trzeszczący głos i jakaś postać powoli wyłoniła się z ukrycia, w którym się przyczaiła. Osobnik miał stopy owinięte plastikowymi workami, na nogach przeżarte brudem drelichy, do tego płaszcz z rękawami do łokci, obwiązany w pasie sznurkiem. Włosy długie i zaniedbane, broda siwa, upstrzona żółtymi plamami nikotyny. — Proszę, nie strzelaj. Nie chciałem nic złego, rozpalając ten ogień.

— Przejdź na prawo, szybko.

Poprzez szczelinę w drewnianym panelu dochodziło nikłe światło, rzucane przez uliczną lampę. Stary przesunął się, aż stanął w jego promieniu. Oczy miał małe i zamglone. Nawet z odległości dwunastu stóp czułem smród alkoholu, i czegoś jeszcze.

Przez chwilę przytrzymałem go w polu widzenia, potem machnąłem bronią w prawo — w wejściu stanął właśnie Louis. — Wynoś się! — poleciłem — tu nie jest bezpiecznie.

— Mogę zabrać graty? — Wskazał na niewielką kupkę swych rzeczy, wciśniętych na wózek na zakupy.

— Weź, co dasz radę unieść, i znikaj.

Stary kiwnął w podzięcie głową i zaczął z wózka zbierać swoje skarby: parę buciorów, puszkę po wodzie sodowej, kłębek miedzianego drutu. Niektóre odkładał z powrotem, nad innymi zastanawiał się dłużej. Gdy medytował nad pojedynczym adidasem Reeboka, głęboki głos za jego plecami powiedział: — Masz pięć sekund, stary, by wynieść się z tym swoim głównem, albo w sortowaniu wyręczy cię koroner.

Uwaga Louisa zdała się poskutkować; stary jakby oprzytomniał i po chwili przebiegł obok nas, przyciskając do piersi kupkę drutu, buciorów i puszek.

— Nie ukradniecie niczego, prawda? — spytał Louisa już przy wyjściu.

— Nie. Zabrałeś już wszystko, co dobre.

Stary, uszczęśliwiony, kiwnął głową i zaczął wychodzić, i jeszcze na chwilę zatrzymał się przy drzwiach. — Tamci goście poszli na górę — powiedział tylko i znikł.

Szybko, ale dokładnie przeszukiwaliśmy piętro, aż dotarliśmy do dwóch, biegnących równoległe do siebie, klatek schodowych, każda w jednym rogu budynku. Usłyszałem kroki nad naszymi głowami — ktoś ostrożnie stapał po podłodze. Pomiedzy schodami znajdowały się bliźniacze drzwi, prowadzące na podwórze. Na ziemi leżał zerwany łańcuch, drzwi, zablokowane połówką cegły, stały otworem. Louis ruszył w górę prawymi schodami, ja wybrałem lewe. Wchodząc, starałem się trzymać jak najbliżej ściany, by zmniejszyć ryzyko stanięcia na słabym stopniu. Nie musiałem zachowywać się specjalnie cicho — deszcz padał ze wzmożoną gwałtownością i stary budynek rozbrzmiewał echem jego pieśni.

Spotkaliśmy się na podeście, z którego pojedyncze, szerokie schody wiodły na drugie piętro. Louis poszedł pierwszy, ja czekałem chwilę. Patrzyłem, jak jednym pchnięciem otwiera rozkołysane drzwi — na wprost ukazało się brudne, zabezpieczone siatką okno — i zaczyna przeszukiwać pomieszczenia. Właśnie zdecydowałem się wyjść na poziom wyżej, gdy z dołu usłyszałem szmer. Wyjrawszy przez balustradę, ujrzałem mężczyznę zapalającego zapalką papierosa. W błysku oświetlającym twarz rozpoznałem jednego z chłopców Tony'ego Celli z hotelowego pokoju, tego, który został pilnować drzwi od zewnątrz, ale ukrył się przed deszczem. Nade mną podłoga lekko zatrzeszczała, raz, drugi: przynajmniej jeden z ludzi Tony'ego znajdował się na najwyższym piętrze.

Gdy patrzyłem, jak podwładny Tony'ego Czyściocha pali papierosa, cos z lewej strony przyciągnęło mą uwagę. Okna na podeście, kiedyś dające wgląd na podwórze, teraz, zabite deskami, nie przepuszczały światła. Śączyło się jedynie poprzez szczerbę w ścianie, w miejscu gdzie zawilgocony tynk wokół urządzenia klimatyzacyjnego osunął się i spadł, wraz z metalową skrzynką, na piętro niżej. Dochodzące przez otwór światło tworzyło mroczną plamę między dwoma obszarami całkowitej ciemności. W jednej z nieoświetlonych części pomieszczenia wyczułem czyjąś obecność. Błysk bladej postaci, niczym strzęp papieru delikatnie opadającego na ziemię. Wysunąłem się bliżej, serce waliło mi w piersi, broń ciążyła w dłoni.

Z czarnej przestrzeni wyłoniła się twarz. Mroczne, pozbawione białek oczy, wokół szyi zdawał się zwisać ciemny naszyjnik. Z wolna ukazały się usta, zygzak pieczętującej je czarnej nici, głęboko odcisnięty na skórze ślad sznura. Przez moment obserwowała mnie, potem jakby zajęła się sobą, i po chwili tam, gdzie była, została tylko pustka. Oblany zimnym potem, poczułem mdłości. Raz jeszcze spojrziałem na ciemną plamę i odwróciłem się, a wtedy z dołu doszedł mnie cichy okrzyk bólu.

Zatrzymałem się na pierwszym stopniu; czekałem. Padał deszcz, wokół kapala woda. Usłyszałem szuranie stóp po drewnie i po chwili, na schodach po prawej, ujrzałem jakiegoś mężczyznę; z kołnierza brązowego płaszcza wyrastała łysa głowa. Stritch uniósł swą dziwną, jak ulepioną z roztopionego wosku twarz i ciemne, pozbawione koloru oczy patrzyły na mnie przez chwilę. Potem wykrzywił swe szerokie usta uśmiechem, w którym nie było cienia humoru, i z powrotem wycofał się na półpiętro. Zastanawiałem się, czy już wie o śmierci Abela i na ile uważa mnie za zagrożenie.

Odpowiedź nadeszła w ciągu kilku sekund, gdy stłumione serie uderzyły w wilgotne drewno balustrady, wyrzucając drzazgi w pustkę budynku. Przeskakiwałem po stopniach do samej góry, a kule podążały za mną, bo Stritch starał się namierzyć mnie na słuch. Poczułem, jak coś ciągnie mnie od tyłu za płaszcz i zrozumiałem, że niemal mu się udało; niewiele brakowało, a trafiłby mnie.

Na drugim piętrze ruszyłem w poszukiwaniu Louisa. Za drzwiami, po prawej stronie wejściowego holu, stało stare biurko, za nim otwierał się widok na ciągnące się przez całe piętro pomieszczenia magazynów, przedzielonych ściankami, połączonych jednym wejściem, enklaw usytuowanych w amfiladzie tak, że przy wystarczającym świetle mógłbym dostrzec przeciwległą ścianę budynku. Nawet z miejsca, w którym się znajdowałem, widziałem wciąż zalegające tu zniszczone biurka i połamane krzesła, rulony gnijących mat i pudła z niepotrzebnymi papierzyskami. Po obu stronach biegły korytarze, jeden bezpośrednio przede mną, drugi po prawej. Założyłem, że Louis już podąża prawym, więc szybko poszedłem tym drugim, z niepokojem oglądając się co chwile, by sprawdzić, czy Stritch się jeszcze nie pojawił.

Z przodu, od prawej, rozległ się huk serii z automatu, a potem, w odpowiedzi, dwa, jeden po drugim, ciche wystrzały. Usłyszałem krzyki i stukot biegnących stóp, dudniących echem w całym budynku. Przy wejściu, po mojej prawej stronie, ujrzałem na podłodze skuloną postać, w czarnej, skórzanej kurtce, z kałużą krwi wokół głowy. Louis już zostawiał po sobie ślady, ale jeszcze nie wiedział, że Stritch podąża za nami, i koniecznie trzeba mu było dać o tym znać. Cofnąłem się z powrotem do korytarza, w samą porę, bo za biurkiem w holu mignęła mi sylwetka w brązowym płaszczu. Uskoczyłem w bok, obchodząc nieruchome ciało żołnierza Tony'ego Celli i znalazłem się w miejscu, skąd mogłem zobaczyć, co kryje się po drugiej stronie biurka: po Stritchu ani śladu. Pognałem do przejścia do następnego przepierzenia. W momencie gdy przytulony do framugi zaglądałem do środka, poczułem na prawej skroni dotyk końca lufy wyposażonego w tłumik rewolweru.

— Kurwa, Bird, niemal odstrzeliłem ci łeb! — zaklął Louis. W półmroku, cały na czarno, był prawie niewidoczny, tylko zęby i białka oczu błyszczały w ciemnościach.

— Stritch jest tutaj — poinformowałem go.

— Wiem. Mignął mi, a potem ty odwróciłeś moją uwagę.

Wymianę zdań przerwał nam dźwięk następnej kanonady, gdzieś tuż przed nami, za każdym razem z tej samej broni, po trzy wystrzały, i bez odpowiedzi. Znowu krzyki, a potem odgłos broni automatycznej i stóp biegnących schodami w górę. Porozumieliśmy się z Louistem ruchem głowy i ruszyliśmy na tyły budynku; przystawaliśmy, ja po jednej, a Louis z drugiej strony framugi każdego przejścia, sprawdzając po kolei wszystkie pomieszczenia magazynu i oba korytarze. Tak dotarliśmy do windy towarowej, w której leżał trup następnego człowieka Tony'ego. Na najwyższe piętro, gdzie Stritch pewnie dostał się przed nami, równoległe z szybem windy prowadziły pojedyncze schody. Właśnie osiągnęliśmy drugi stopień, gdy usłyszałem za sobą znajomy, mrożący w żyłach krew dźwięk: dwukrotny klik ładowania dubeltówki. Odwróciliśmy się z Louistem powoli, z bronią uniesioną i wycelowaną w bok — tuż obok nas stał Billy Purdue. Czarne strugi spływały mu po twarzy, ubranie przemokło mu do suchej nitki, a na ramionach miał czarny plecak.

— Opuśćcie broń — rozkazał.

W jakiś sposób, między starymi meblami i biurowymi rupieciami, udało mu się ukryć przed tymi, którzy za nim polowali, no i przed nami. Zrobiliśmy jak kazał, rzucając niespokojne spojrzenia na jego broń i na schody.

— Ty ich tu ściągnąłeś — głos trząśł mu się z gniewu. — Sprzedałeś mnie. — Po policzkach spływały mu łzy.

— Nie, Billy — zaprzeczyłem — przyszliśmy zabrać cię w bezpieczne miejsce. Tu nie możesz zostać. Odlóż broń, spróbujemy cię stąd wydostać.

— Nie, odpierdolicie się, teraz już nie mam nikogo. — Mówiąc to, dwukrotnie wystrzelił ze strzelby, rozpryskując drewno i tynk za naszymi plecami i zmuszając nas do położenia się na podłodze.

Gdy znów spojrzeliśmy w górę, z drzazgami i tynkiem we włosach, już tylko słyszeć było, jak Billy pędzi tam, skąd my przyszliśmy. Louis natychmiast poderwał się i pobiegł za nim.

Następne strzały rozległy się w chwili, gdy wstawałem, na piętrze nad nami, seria z automatu, a potem pojedynczy. Powoli zacząłem wchodzić po schodach, nad słuchując, z głową przechyloną w bok, z dłońmi śliskimi od potu. Na samej górze, skulony w kącie tuż przy schodach, leżał jeszcze jeden chłopiec Tony'ego. Z rany na jego szyi płynęła krew. I czegoś jeszcze omal nie przeoczyłem.

Miał rozpięte spodnie, odciągnięty zamek rozporoka i genitalia częściowo na wierzchu.

Przedemną wyrosło przejście, za nim całkowita ciemność, a w niej, wiedziałem, ciał się Stritch. Doleciała mnie słodkawa woń taniej wody kolońskiej i mroczny, ziemisty odór, którego nie udało mu się stłumić perfumami. Niemal widziałem, jak z napięciem węszyć w powietrzu, czyhając na ofiarę. I czułem jego żądze, popęd seksualny, który zadowalał, sprawiając ból i zabijając, tę zбочzoną seksualność, która kazała mu dotykać i obnażać, w chwili śmierci, młodego człowieka, skulonego w tamtym kącie.

I miałem absolutną pewność: jeżeli postawię stopę za przejściem, Stritch dopadnie mnie, zabije i dotknie, gdy będę umierał. Poczulem przesuwające się nade mną cienie, a na dole, w matowej poświacie, roześmiało się dziecko. Zdawało się wzywać mnie z powrotem znad krawędzi, a może strach kazał mi w to wierzyć. W każdym razie postanowiłem zostawić Stritcha w ciemnościach i powrócić do światła.

Louis zbliżył się, gdy schodziłem na dół. Miał spodnie rozdarte przy kolanie, lekko utykał. — Pośliznąłem się — słowa jakby wypluwał z ust — i uciekł. Co ze Stritchem?

Wskazałem na piętro nad nami. — Może sam Tony Celli wyświadczy ci przysługę...

— Sądźisz? — rzucił Louis tonem, którym jasno dawał do zrozumienia, że to mało prawdopodobne. Przypatrzył mi się uważniej: — W porządku, Bird?

Przeszedłem obok niego, chowając twarz. Wstydzilem się mej słabości, ale pamiętałem, co wtedy czułem i co ujrzałem w czerwonych od krwi oczach martwej kobiety.

— Mnie interesuje Billy Purdue — powiedziałem. — Gdy Stritch dowie się, że jego koleś nie żyje, nie ruszy się stąd, zanim się nie zemści. Dostaniesz jeszcze jedną szansę.

— Wolę wykorzystać tę — odrzekł.

— Tam jest ciemno jak w piekle. Zrobisz krok do środka i dopadnie cię.

Louis patrzył na mnie uważnie, ale nie odezwał się. Z daleka usłyszałem coraz głośniejsze wycie syren. Widziałem, jak Louis się waha, stara się zbalansować ryzyko stworzone przez przyjazd policji i cienie na górze z szansą dorwania się do Stritcha. Potem wolno, rzuciwszy tylko jedno spojrzenie za siebie, na schody prowadzące w mrok trzeciego piętra, poszedł za mną.

Dotarliśmy do głównego pomieszczenia magazynu, w którym spotkaliśmy tamtego starego. — Jeżeli spróbujemy wydostać się frontowym wyjściem, możemy nadzieć się na ludzi Celliego albo gliny — stwierdziłem. — A jeżeli Billy wyszedł tędy, już jest martwy.

Louis wyraził zgodę kiwnięciem głowy i ruszyliśmy do drzwi na tyłach budynku, gdzie człowiek zabity przez Stritcha leżał przerzucony przez próg, z ramieniem przysłaniającym oczy, jakby chronił je przed słońcem. Z drugiej strony podwórka dostrzegłem mercury'ego. Maszyna ożyła, An- gel szybko przejechał podwórko, zawrócił i zatrzymał się, pozwalając nam wsiąść.

— Nie widziałeś tu gdzieś Bill/ego?

— Nie, nigdzie. A wam jak poszło?

— Świetnie — zapewniłem go, chociaż wciąż trząsałem się ze strachu, jaki poczułem na najwyższym piętrze. — Stritch tam był, wyłonił się gdzieś z tyłu budynku.

— Wygląda na to, że wszyscy oprócz was samych wiedzieli, co zamierzacie — zauważył Angel, gdy pędziliśmy przez podwórze, a potem po torach w kierunku India Street. Tuż zanim się skończyły, skręcił kierownicą w prawo i przez otwór w ogrodzeniu z kolczastego drutu wydostał się na parking przy One India. Zgasił reflektory, bo rozległo się wycie syren i dwa

czarno-białe policyjne radiowozy popędziły Fore Street. Potem zczekaliśmy, czy nie pokaże się Billy.

Gdy siedzieliśmy w milczeniu, starałem się poskładać w całość wszystkie fragmenty tego, co się wydarzyło. Fedzie albo mieli mój telefon na podsłuchu, albo udało im się namierzyć chłopców Tony'ego. Gdy uczynili pierwszy ruch, Abel skontaktował się ze Stritchem i powiedział mu, dokąd ma się udać, z zamiarem połączenia się z nim, po zajęciu się fedziami. Przy trzech grupach, polujących na siebie, w jednym, zamkniętym miejscu, Billy'emu Purdue jednak udało się uciec.

Rozmyślałem też o na wpół wyobrażonej sobie postaci, którą dostrzegłem w mroku. Rita Ferris nie żyła, już wkrótce jej grób pokryje się śniegiem. Padłem ofiarą wyobraźni, a może tylko miałem taką nadzieję?

Nikt nie nadszedł pieszo od strony kompleksu. Jeżeli któryś z ludzi Tony'ego Celli przeżył, to z pewnością natychmiast udałby się na północ, zamiast zostawać w mieście i ryzykować spotkanie z glinami.

— Myślisz, że on wciąż tam jest? — zagađnąłem Louisa.

— Kto, Stritch? Jeżeli tak, to tylko nieżywy. Nie sądzę też, by Tony Celli czy ktokolwiek inny miał po swojej stronie kogoś wystarczająco dobrego, kto pozostał tam jeszcze przy życiu... — Znowu przechwyciłem to jego czujne spojrzenie, gdy badał moją twarz w tylnym lusterku.

— Powiem ci tylko tyle — rzekł. — On wie, że Abel nie żyje, i teraz naprawdę się wścieknie.

E mSMML I MĘTOAOTf

Louis i Angel wysadzili mnie przy mustangu, potem jechali za mną aż do Java Joe's. Czulem się pusty w środku, wręcz chory na wspomnienie wyrazu, jaki tuż przed śmiercią pojawił się w oczach Abela; widoku młodego rewolwerowca, zbezczeszczonego w momencie śmierci; starca uciekającego w zimną, mokrą noc, z kupą adidasów i miedzianego drutu w ramionach.

Louis i Angel nie weszli ze mną do baru kawowego, pozostali w mer- curym i popijali kawę Mocha, kupioną na wynos. Lee Cole siedziała pod oknem, w dżinsach upchanych w wykładane futrem, sięgające do połowy łydek botki i białym, wełnianym wdzianku, zapiętym pod samą szyję. Gdy podniosła się na powitanie, pasemka siwizny w jej włosach zamigotały w świetle kawiarnianych lamp. Serdecznie pocałowała mnie w policzek, mocno przytuliła. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz; wtulona w moje ramię, rozplakała się. Odsunąłem ją delikatnie i patrzyłem, jak zażenowana potrząsa głową i szuka w kieszeniach chusteczki. Wciąż była piękna — Walter miał szczęście.

— Nie ma jej, Bird — powiedziała, siadając z powrotem. — Nie możemy jej znaleźć. Pomóż mi.

— Przecież była u mnie zaledwie parę dni temu — zdziwiłem się. — Ona i jej chłopak, zatrzymali się u mnie na kilka godzin.

Lee kiwnęła głową. — Wiem, dzwoniła do nas z Portland, powiadomiła, że jedzie z Rickym dalej. Telefonowała raz jeszcze, w drodze do jakiejś miejscowości dalej na północy, potem już nic, cisza. Miała nakazane kontaktować się z nami codziennie, więc gdy przestała się odzywać...

— Zawiadomiliście policję?

— Tak, Walter zgłosił zaginięcie, ale oni myślą, że po prostu urwała się z Rickym. Walter pokłócił się z nią w zeszłym miesiącu, palnął jej kazanie, jak to powinna skoncentrować się na nauce, a nie uganiać się za chłopakami. Wiesz, jaki on potrafi być, a przejście na emeryturę nie zrobiło go bardziej tolerancyjnym.

Przytaknąłem. Znałem go przecież. — Po powrocie do domu zadzwoń do agenta specjalnego Rossa w biurze FBI na Manhattanie. Powołaj się na mnie. Sprawdzi, czy Ellen figuruje w bazie danych OCIP. — Ogólnokrajowe Centrum Informacyjne o Przestępstwach

posiadało rejestry zgłoszeń zaginionych, dorosłych i nieletnich. — Brak jej nazwiska oznaczałoby, że policja nie robi wszystkiego, co do niej należy, i w tej sprawie Ross też będzie mógł pomóc.

Rozpogodziła się trochę. — Poproszę Waltera, by się tym zajął.

— On wie, że tu jesteś?

— Nie. Namawiałam, by się z tobą skontaktował, ale odmówił. Już tam był, próbował wyrzucić nacisk na miejscową policję. Poradzili mu, by cierpliwie czekał. Ale nie Walter! Objechał okolicę, rozpytywał w innych miastach — ani śladu. Wrócił wczoraj, nie sądząc jednak, by dłużej wytrzymał na miejscu. Powiedziałam mu, że muszę się wyrwać z domu, chociaż na krótko. Miałam już zarezerwowany bilet na samolot. Próbowałam złapać cię przez komórkę, nie udało mi się. Nie wiem... — Urwała i po chwili zaczęła znowu: — Nie wiem o wszystkim, co wydarzyło się między wami. Znam niektóre szczegóły, innych mogę się domyślić, ale to nie ma nic wspólnego z moją córką. Zostawiłam mu notatkę na lodówce, pewnie już ją znalazł. — Patrzyła przez okno, jakby wyobrażała sobie odkrycie kartki i reakcję Waltera na jej treść.

— Czy istnieje możliwość, że policja ma rację, że ona rzeczywiście uciekła? — spytałem. — Nigdy nie wyglądała mi na tego rodzaju dzieciaka i w czasie wizyty u mnie nie sprawiała wrażenia, jakby coś jej doskwierało, ale wiesz, pojawia się seks i młodzi zaczynają świrować. Przynajmniej ze mną tak zawsze było.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się. — Pamiętam, co to seks, Bird. Może jestem od ciebie starsza, ale jeszcze nie sztywna... — Uśmiech zniknął, bo te słowa spowodowały reakcję łańcuchową w jej wyobraźni i wiem, że starała się nie myśleć, co mogło przydarzyć się Ellen. — Ona nie uciekła. Znam ją, nigdy by nam tego nie zrobiła, choćbyśmy nie wiem jak się z nią pokłócili.

— A ten chłopak, Ricky? Odnoszę wrażenie, że środowiskowo są niezbyt dobrani.

Lee najwyraźniej niewiele wiedziała o Rickym poza tym, że jego matka opuściła rodzinę, gdy miał trzy lata, a ojciec wychował go i jego trzy siostry, ciężko pracując na dwóch posiadłościach. Chłopak miał stypendium uniwersyteckie; owszem, przyznała, zdawał się nieco nieokrzesany, ale nie wierzyła, by było w nim coś złego czy mógł maczać palce w ucieczce dziewczyny z domu.

— Poszukasz jej, Bird? Wciąż mam wrażenie, że ona ma jakieś kłopoty. Może wybrali się na wędrowną i coś poszło nie tak, może ktoś... — Urwała i wzięła mnie za rękę. — Znajdziesz ją dla mnie?

Pomyślałem o Billym Purdue i o tych, którzy na niego polowali, o Ricie i Donaldzie, o wnuczce Cheryl Lansing, wynurzającej się spod warstwy mokrych, gnijących liści. Czuję się odpowiedzialny za zmarłych, za tę młodą, zaniepokojoną kobietę, pragnącą lepszego życia dla siebie i swego dziecka, ale ona odeszła, a Billy Purdue dryfował w stronę jakiegoś rozrachunku, przed którym nie byłem w stanie go uchronić. Teraz miałem obowiązek wobec żywych, wobec Ellen, która opiekowała się moją córeczką w czasie jej krótkiego życia.

— Poszukam jej — obiecałem. — Gdzie się wybierała, gdy dzwoniła do ciebie po raz ostatni?

I gdy Lee przemówiła, świat jakby przesunął się na swej osi, rzucając dziwne cienie na znajome miejsca, a każda rzecz wyłaniała się niczym odbita w krzywym zwierciadle. I przekląłem Billy'ego Purdue, ponieważ, w jakiś sposób, którego jeszcze nie rozpoznałem, on ponosił odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. W słowach Lee niegdyś odległe światy rzuciły na siebie cień, jakby płaszczyzny przesuwające się pod powierzchnią ziemi zeszyły się, tworząc nowy, ciemny kontynent.

— Mówiła, że jadą do miejscowości o nazwie Dark Hollow...

Zawiozłem ją na lotnisko w Portland, w samą porę na lot do Nowego Jorku, potem wróciłem do domu. We frontowym pokoju Angel i Louis oglądali na kablówce jakiś marny talk show maraton.

— Dają właśnie: „Nie mogę się z tobą ożenić, nie jesteś dziewicą” — poinformował mnie Angel. — Przynajmniej nie udają dziewic, inaczej tytuł brzmiałby: „Nie mogę się z tobą ożenić, jesteś kłamczuchą”.

— Albo: „Nie mogę się z tobą ożenić, bo jesteś brzydka” — podsunął Louis. Z nogami wyciągniętymi na stojącym przed nim krześle, sączył, wprost z butelki, katahdin ale. — Człowieku, jakim sposobem udaje im się zebrać widownię na ten show? Rozrzucają dolary na parkingu przyczep? — Nacisnął pilota i wyłączył dźwięk.

— Jak tam Lee? — zapytał Angel, nagle poważny.

— Trzyma się, ale ledwo, ledwo.

— No to co robimy?

— Ja muszę znowu wybrać się na północ i tym razem chyba będę was potrzebował. Ellen Cole po raz ostatni odezwała się z drogi do Dark Hollow, właśnie tej miejscowości, w której przez jakiś czas wychowywał się Billy Purdue i dokąd, jak sądzę, teraz zdąża.

Louis wzruszył ramionami. — No to jedziemy.

Usiadłem na fotelu obok niego. — Możemy natknąć się na kłopoty.

— Rany, Bird — zaprotestował Angel — tych to nam nie brakuje.

— Czy ten akurat nosi jakieś nazwisko? — zainteresował się Louis.

— Rand Jennings.

— Czyli?

— Komendant policji w Dark Hollow.

— A nie lubi cię, bo...? — przejął pałeczkę Angel.

— Miałem romans z jego żoną.

— Cały ty — zauważył Louis. — Ty nawet potykając się, skomplikowałbyś zaraz potem swoje zetknięcie się z ziemią...!

— To wydarzyło się dawno temu.

— Wystarczająco, by Rand Jennings wybaczył ci i zapomniał? — upewniał się Angel.

— Nie sądzę.

— Może powinieneś napisać do niego — zasugerował — albo wysłać mu kwiaty.

— Takie gadanie nie pomoże.

— To nie ja spałem z jego żoną. A więc w skali tego, co może pomóc, mam nad tobą przewagę o całą długość.

— Widziałeś się z nim w czasie ostatniego pobytu? — zapytał Louis.

— Nie.

— A z tą kobietą?

— Tak.

Angel roześmiał się. — Niezły z ciebie kutas, Bird. Potrafisz powstrzymać się, gdy tam będziemy, czy przeciwnie, planujesz odświeżenie znajomości?

— Spotkaliśmy się przypadkiem, niechcący.

— Aha, powiedz to Randowi Jenningsowi: No cześć, Rand, to był przypadek. Potknąłem się i przewróciłem na twoją żonę. — Angel ze śmiechem ruszył w stronę sypialni.

Louis dokończył piwo, potem uniósł nogi z krzesła i zabierał się do pójścia w ślady przyjaciela. — Spieprzyliśmy dzisiaj robotę — orzekł.

— Samo się popieprzyło, zrobiliśmy, co się dało.

— Tony Celli nie odpuści, Stritch też nie.

— Wiem — przyznałem mu rację.

— Powiesz mi wreszcie, co się wydarzyło na górnym piętrze?

— Wyczułem go, Louis, czekał na mnie. I wiedziałem, że jeżeli pójdę za nim, umrę. A mimo istnienia wielu dowodów na coś przeciwnego, nie mam ochoty na śmierć. Nie zamierzałem zginąć z jego rąk; ani tam, ani nigdzie indziej.

Louis pozostał przy drzwiach i rozważał moje słowa. — Jeżeli tak to odebrałeś, no to tak miało być — powiedział w końcu. — Czasem właśnie na tym polega różnica między pozostaniem przy życiu a umieraniem. Ale następnym razem, jak go zobaczę, dopadnę go.

— Nie, jeżeli ja trafię na niego pierwszy. — I taki miałem zamiar, niezależnie od tego, co się wydarzyło, i strachu, jaki czułem.

Usta drgnęły mu jednym z tych uśmiechów, które stanowiły znak firmowy jego profesji.

— Założę się o dolara, że ci się nie uda.

— Pięćdziesiąt centów — odrzekłem. — Już zarobiłeś połowę należności.

— Chyba tak — zgodził się. — Chyba zarobiłem...

Louis i Angel wyjechali wcześniej następnego ranka. Louis na lotnisko, a Angel rozejrzeć się wokół przyczepy Billy'ego Purdue za czymś, co gliny mogły być przeoczyć. Właśnie miałem pozamykać dom, gdy samochód El- lisa Howarda wjechał na podjazd i po chwili on sam wytoczył się z auta. Spojrzał na moją torbę, wskazał na nią palcem.

— Wybierasz się gdzieś?

— Tak.

— Raczysz powiedzieć, dokąd?

— Nie.

Lekko klepnął dłonią o maskę mustanga, jakby chciał przelać swą frustrację na metal samochodu. — Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

— W drodze z Greenville.

— O której wróciłeś do miasta?

— Około szóstej. Mam dzwonić do adwokata?

— Przyjechałeś prosto do domu?

— Nie, zaparkowałem i spotkałem się z kimś w Java Joe's. Zapytam raz jeszcze: czym mam skontaktować się z moim prawnikiem?

— Nie, chyba że chcesz coś wyznać. Zamierzałem przekazać ci, co wydarzyło się wczoraj wieczorem w kompleksie Portland Company, ale może już wiesz, jako że twojego mustanga widziano wtedy w pobliżu portu.

A więc Ellis badał grunt. Nie dysponował niczym konkretnym, a ja nie zamierzałem się załamać i prosić o litość.

— Powiedziałem ci, miałem spotkanie.

— Ta osoba wciąż przebywa w mieście?

— Nie.

— I nic nie wiesz o tym, co wczoraj wieczorem wydarzyło się w kompleksie?

— Staram się unikać wiadomości, źle działają na moją karmę.

— Gdybym wierzył, że to coś da, twoja karma siedziałaby teraz w celi. Znaleźliśmy tam cztery trupy koleś Tony'ego Celli, oprócz tego, na zewnątrz, dwóch martwych fedziów i jakiegoś tajemniczego gościa.

— Tajemniczego gościa? — zdziwiłem się, ale myślami przebywałem gdzie indziej. W budynku powinno było znajdować się pięć ciał, a więc jeden z ludzi Tony'ego przeżył i uciekł, co oznaczało, że Tony prawdopodobnie już wie o obecności mojej i Louisa.

Ellis przyjrzał mi się uważnie; chciał ocenić, ile wiem. Gdy odezwał się, wyraźnie czekał na moją reakcję, i rozczarował się.

j ~ Znaleźliśmy gliniarza z Toronto, Eldritch, martwego. Trzy kule, z dwóch różnych broni. Egzekucyjny strzał w głowę.

— Czekam na jakieś „ale”...

— „Ale” jest w tym, że gość nie był Eldritchem. Według legitymacji — tak, natomiast nie zgadzają się odciski palców ani twarz. Teraz mam na głowie cały wydział z Toronto, domagający się, bym odnalazł ich człowieka, kupę fedziów mocno zainteresowanych Nieznajomkiem, który zabił dwóch ich agentów, do tego czterech najlepszych specjalistów z Bostonu, wykorzystujących więcej miejsca w kostnicy, niż mogę im oferować. Lekarz medycyny sądowej rozważa nawet przeniesienie się tutaj na stałe, biorąc pod uwagę, jakimi wyśmienitymi jesteśmy klientami. I jeszcze Tony Celli, nie widziano go od jego pobytu w Regency...

— Nie zapłacił rachunku?

— Daj spokój, Bird, nie jestem w nastroju. Nie zapominaj, że Willeforda wciąż nie odnaleziono, a dopóki się nie pojawiłeś, wiedział tyle o Purdue, co wszyscy.

Puściłem ostatnią uwagę mimo uszu. Nie chciałem sobie nawet wyobrazić, co mogłem ściągnąć na starego detektywa. Woląłem zapytać: — A czy w Bangor wiadomo coś w sprawie Cheryl Lansing?

— Nie, nie ma też nic nowego w sprawie morderstwa Rity Ferris i jej syna. Co przypomina mi o drugim powodzie mojej wizyty. Możesz mi przypomnieć, co robiłeś w Bangor? I potem w Greenville?

— Jak powiedziałem tym w Bangor, Billy Purdue wynajął kogoś do odnalezienia swych naturalnych rodziców. Pomyślałem, że teraz, gdy ma kłopoty, może idzie tym śladem.

— I jak, idzie?

— Ktoś z pewnością nim podąża.

Ellis podszedł do mnie, jego potężna postać tchnęła wręcz groźbą, oczy jeszcze bardziej.

— Powiesz mi, dokąd się wybierasz, Bird, albo, przysięgam na Boga, aresztuję cię i dokładniej przyjrę się twojej broni.

Wiedziałem, że nie żartuje. I chociaż wszystkie sztuki, razem z tłumikami, leżały teraz obok Mifflina na dnie Casco Bay, nie mogłem ryzykować opóźnienia poszukiwań Ellen Cole.

— Jadę na północ do miejscowości Dark Hollow. Zaginęła córka mojego przyjaciela. Próbuję ją odnaleźć. Właśnie z jej matką spotkałem się w Java Joe's wczoraj wieczorem.

Część złości znikła z jego twarzy. — Czy to zbieg okoliczności? Dark Hollow to kraina Billy'ego Purdue.

— Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

Jeszcze raz klepnął maskę, zdawał się podjąć decyzję. — Ja też nie. Bądź ze mną w kontakcie, Bird, słyszysz?

Odwrócił się i odszedł do swojego samochodu.

— To wszystko? — zdziwiłem się. Zaskoczyło mnie, że tak łatwo zrezygnował.

— Nie, chyba nie, ale nie widzę, co jeszcze mógłbym zrobić. — Stał przy otwartych drzwiczkach samochodu i patrzył na mnie z uwagą. — Szczerze mówiąc, Bird, rozważam korzyści wynikające z wsadzenia cię za kratki i przyciśnięcia, o ile powiesz nam cokolwiek, i te drugie z pozwolenia ci powłóczenia się i zajrzenia pod każdy kamień. Jak na razie, ta druga możliwość wydaje się korzystniejsza, ale tylko trochę, pamiętaj o tym.

Poczekalem chwilę.

— Czy to oznacza, że wycofujesz ofertę zatrudnienia, Ellis?

Nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową i odjechał, pozostawiając mnie na rozmyślaniach o Tonym Celli i Stritchu, i tym starszym gościu w barze w porcie, popijającym piwo i czekającym, aż nowy świat zmiecie go z powierzchni ziemi.

Powiedziałem Ellisowi część prawdy, ale nie całą. Jechałem do Dark Hollow i dotrę tam przed zapadnięciem nocy, ale przedtem z Louistem złożymy wizytę w Bostonie. Istniała niska możliwość, że Tony Celli porwał Ellen Cole, być może w nadziei użycia jej jako narzędzia nacisku, gdybym znalazł Billy'ego Purdue przed nim. A nawet gdyby tak nie było, istniały sprawy wymagające wyjaśnienia, nim znów ruszymy przeciwko Celliemu. Tony był

człowiekiem, który sam wykuwał swój los, i ważne było, by każdy wiedział, jak się ma jego możliwość sukcesu do przyszłości Celliego.

Zanim wyjechałem spotkać się z Louistem na lotnisku, zatrzymałem się przed małym magazynem Krafta. Tam, w trzech sąsiadujących pomieszczeniach, znajdowało się wszystko, co pozostawiłem sobie z rzeczy dziadka. Trochę mebli, niewielki zestaw książek, kilka srebrnych talerzy i miedziana przysłona do kominka; i kilka paczek ze starymi dokumentami i teczkami.

Po piętnastu minutach udało mi się znaleźć to, czego szukałem, i zabrać do samochodu: teczkę z brązowej tektury, obwiązaną kawałkiem czerwonej wstążki. Na naklejce widniały, namalowane ozdobnym charakterem pisma dziadka, słowa: „Caleb Kyle”.

MDMMML MIOMAOW

Al Z prowadził działalność z biura mieszczącego się nad sklepem z komiksami przy Newbury Street. Lokalizacja dość niezwykła, ale odpowiadało mu przebywanie w okolicy odwiedzanej przez turystów, zaglądających do butików z szykowną odzieżą, popijających egzotyczne rodzaje herbaty i zwiedzających galerie. Panował tu ożywiony ruch i przebywało zbyt wielu ludzi, by ktoś mógł sprawiać kłopoty, poza tym Al Z mógł, gdy tylko przyszła mu ochota, posłać kogoś po niezwykłą w smaku herbatę lub zapachowe świece.

Siedzieliśmy z Louistem w lodziarni Ban & Jerry's, naprzeciw wzniesionego z piaskowca budynku, w którym mieściło się biuro Ala Z, podjadaliśmy lody czekoladowe, popijali kawę. Byliśmy jedynymi klientami siedzącymi na zewnątrz, głównie z tego powodu, że w panującym na dworze chłodzie lody nawet nie zaczęły się topić.

— Sądysz, że nas zauważył? — spytałem, gdy wreszcie zaprzestałem daremnych prób opanowania roztrzęsionych palców, trzymających łyżeczkę.

Louis w zamyśleniu sączył kawę. — Wysoki, przystojny, czarny mężczyzna i jego biały chłopiec siedzą na zewnątrz i zjadają lody, gdy tak kurawsko zimno? Z pewnością już ktoś nas przykapował.

— Nie jestem pewien, czy podoba mi się nazywanie mnie chłopcem — zadumałem się na głos.

— Do kolejki, białasie. Akurat co do tego zażalenia, dysponujemy trzystuletnimi forami! Za oknem, ponad księgarnią z komiksami, przesunął się czyjś cień.

— Chodźmy — zdecydował Louis. — Gdyby nie to cholerne zimno, bracia już dawno panowaliby nad światem...

Na szczycie klatki schodowej, tuż przy oknie sklepu, przy drewnianych, pełnych drzwiach, znajdował się przycisk. Nacisnąłem go i jakiś głos odpowiedział po prostu: — Tak?

— Ja do pana Ala Z — wyjaśniłem.

— Nie ma tu żadnego Ala Z — odrzekł głos, szybkim, mocno akcentowanym tonem, tak że zabrzmiało to: „Niemażaz”. Potem „klik”, i domofon ucichł.

Louis ponownie nacisnął dzwonek.

— Tak — ten sam głos.

— Człowieku, otwórz łaskawie te pieprzone wrota!

Interkom wyłączył się, potem znów zabręczało i przeszliśmy przez wzmocnione drzwi, które natychmiast zatrzasnęły się za nami. Schodami wspieliśmy się na czwartą kondygnację, do miejsca, gdzie znajdowały się otwarte, zwykłe, nie polakierowane drzwi. W środku, w okiennej wnęcie, stał jakiś człowiek, niski i pękaty, z ręką opartą gdzieś w połowie między szyją a pasem, gotową, w razie potrzeby, sięgnąć po broń. Jediną ozdobą ściany był tandetny, czarno-biały zegar, cicho odmierzający sekundy. Prawdopodobnie przysłał nadzorującą wszystko kamerę. Gdy po wejściu do pokoju na ekranie telewizora umieszczonego na biurku Ala Z zobaczyłem pustą klatkę schodową, moje przypuszczenia sprawdziły się.

Wewnątrz przebywało czterech mężczyzn. Ten niski i pękaty, o cerze żółtej jak wosk, który obserwował nas od wejścia. Drugi, starszy, z twarzą obwisłą przy szczęce jak u baseta,

siedział, ze skrzyżowanymi nogami, na wytartej, skórzanej sofie; miał białą koszulę i czerwony, jedwabny krawat, wystający spod czarnej marynarki. Oczy przysłaniały mu małe, okrągłe okulary. Pod ścianą stał oparty młody byczek, z kciukami wciśniętymi pod pasek spodni; poły srebrzystoszarej marynarki przytrzymał rozsunięte na tyle, by odsłaniać kolbę półautomatycznego H&K, wetkniętego za pas. Szare spodnie garnituru luźno opadały do miejsca, w którym zwięzały się w rurki przy zetknięciu z nabijanymi srebrem kowbojskimi butami. Najwyraźniej w okolicy, z której pochodził, moda na lata osiemdziesiąte kwitła jeszcze w pełni.

Louis patrzył prosto przed siebie, jakby w pokoju nie było nikogo poza czwartym mężczyzną, giedzącym przy biurku z tekowego drewna, z blatem obitym zieloną skórą. Biurko było puste, poza czarnym aparatem telefonicznym, piórem, notesem i monitorem, nieustannie czuwającym nad schodami.

Al Z przypominał dobrze zadbanego przedsiębiorcę pogrzebowego — na wakacjach. Rzadkie, srebrzyste włosy, szesane z szerokiego czoła, gładko przylegały do czaszki. Twarz miał pooraną zmarszczkami, oczy — ciemne opale, wargi wąskie i suche, dziurki długiego nosa cienkie i dziwnie wydłużone, jakby jego podstawową cechą był wyjątkowo wykształcony zmysł węchu. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur w jesiennych odcieniach czerwieni, pomarańczy i żółci, delikatnie poprzeplatanych. Szpiczasty kołnierzyk białej koszuli był rozpięty, nie nosił krawata. W prawej ręce trzymał papierosa; lewa leżała płasko na biurku; paznokcie krótkie i czyste, ale bez manikiuru. Al Z działał jako zaporą bezpieczeństwa między wyższymi sferami organizacji a dołami. Rozwiązywał pojawiające się problemy. I miał w tej dziedzinie talent; a jakież sens w chodzeniu do marnikiurzystki, jeżeli ręce pozostają brudne?

Przed biurkiem nie było krzeseł, a człowiek w czarnym garniturze rozsiadł się na sofie, mogliśmy tylko stać. Al Z kiwnął głową Louisowi, potem długo szacował mnie wzrokiem.

— No, no, sławny Charlie Parker — powiedział w końcu. — Gdybym się pana spodziewał, założyłbym krawat.

— Wszyscy cię znają! Jakim sposobem udaje ci się zarabiać na życie jako prywatnemu detektywowi? — zamruczał Louis. — Wynajmowanie ciebie do delikatnej roboty, to jak zatrudnienie gwiazdy filmowej...

Al Z zaczekał, aż Louis zakończy tyradę i przeniósł na niego swe zainteresowanie. — Gdybym wiedział, że przyjdzie pan w równie wyśmienitym towarzystwie, panie Parker, kazałbym wszystkim założyć krawaty.

— Długo się nie widzieliśmy — stwierdził Louis.

Al Z przytaknął ruchem głowy.

— Zapadłem na płuca. — Lekko zakołysał papierosem. — Powietrze nowojorskie źle na mnie działa, wolę tutejszą okolicę.

Ale chodziło o coś więcej: mafia już nie była taka jak kiedyś. Świat Ojca Chrzestnego stał się przeszłością, jeszcze nim film ukazał się na ekranach; wizerunek Włochów został zbrukany ich powiązaniem z plagą heroiny z lat siedemdziesiątych i odtąd spadał niżej i niżej, zwłaszcza odkąd tacy jak John Gotti Jr., wplątując się w coraz to ryzykowniejsze interesy, pogrążali go jeszcze bardziej. Ustawy wymierzone w korupcję i wpływy mafii ograniczyły znacznie proceder wymuszeń budowlanych, działalność śmieciarskich monopoli, a także kontrolę mafii nad Placem Rybnym na Fulton Street w Nowym Jorku. Szmugiel heroiny, prowadzony poprzez pizzerie, zniknął, rozpracowany przez FBI w 1987 roku. Dawni bossowie albo nie żyli, albo siedzieli w więzieniu.

W międzyczasie Azjaci rozszerzyli swą działalność z Chinatown, przekroczyli linię podziału — Canal Street — i weszli na terytorium Małej Italii, a czarni i Latynosi kontrolowali działalność w Harlemie. Al Z wyczuł w powietrzu zapach śmierci — jeszcze bardziej starał się działać z ukrycia, wreszcie przeniósł się na północ. Teraz siedział wśród

gołych ścian biura nad sklepem z komiksami w Bostonie i próbował utrzymać jakiś element stabilności w tym, co mu jeszcze zostało. Dlatego Tony Czyścioch był niebezpieczny: wierzył w mity i wciąż widział możliwość zdobycia osobistej chwały w zniszczonych resztkach starego porządku. Swymi działaniami mógł ściągnąć niebezpieczeństwo na partnerów w interesach, w momencie gdy kondycja organizacji była mocno osłabiona. Jego dalsza egzystencja zagrażała przetrwaniu wszystkich wokół niego.

Młody oprych po lewej odsunął się od ściany. — Przyszli obciążeni, Al. — powiedział. — Czy mam im pomóc zmniejszyć ciężar?

Kątem oka dostrzegłem, jak brwi Louisa unoszą się o jakieś ćwierć cala. Al Z też to zauważył i uśmiechnął się lekko.

— Życzę ci szczęścia — powiedział — nie sądzę, by któryś z naszych gości łatwo dał sobie odebrać zabawki.

Wyraz pewności siebie na twarzy młodego żołnierza jakby nieco osłabł, jakby chłopak nie był pewien, czy przypadkiem nie zostaje poddany próbie. — Nie wyglądają na takich twardzieli — powiedział.

— Przyjrzyj się może lepiej — poradził Al Z.

Żołnierz starał się jak mógł, ale jego zdolności percepcyjne nie były zbyt wysokiego lotu. Jeszcze raz rzucił okiem na Ala Z, potem ruszył w stronę Louisa.

— Na twoim miejscu nie robiłbym tego — cicho ostrzegł go Louis.

— Nie jesteś mną — odrzekł młody, ale w jego głosie zabrzmiało wahanie.

— To prawda — przyznał Louis — gdybym był tobą, nie ubierałbym się jak dealer. — W oczach młodego pojawiła się błyskawica. — Ty będziesz tak do mnie mówił, ty pierdolony czar...

Słowa zamarzyły w ciężkim oddechu, gdy Louis odwrócił się i mocno zacisnął lewą dłoń na szyi młodego, popychając go przy tym do tyłu, a prawą wyciągnął broń z kabury Włocha i rzucił na podłogę. Bandzior uderzył o ścianę, z jego gardła wydobył się bulgot, z ust popłynęła ślina, gdy powietrze ulatywało z płuc. Potem, powoli, jego stopy zawisły nad podłogą; najpierw obcasy, potem palce, aż jedynym, co trzymało go w wyprostowanej pozycji, pozostała nie zwalnająca uchwytu dłoń Louisa. Różowa przedtem twarz duszonego poczerwieniała. Louis nie rozluźniał chwytu, aż uszy i wargi tamtego zsiniały, wtedy nagle otworzył dłoń i żołnierz opadł na podłogę, rozpaczliwie szarpiąc rękami kołnierzyk koszuli i usiłując wciągnąć bolesne, dławiące hausty do wyschniętych płuc.

Przez cały okres trwania incydentu nikt w pokoju ani drgnął, bo Al Z niczym nie okazał, że powinni. Patrzył na swego usiłującego dojść do życia żołnierza, jakby miał przed oczami kraba o jednym kleszczu, zdychającego na plaży, potem zwrócił się do Louisa.

— Trzeba mu wybaczyć — rzekł. — Niektórzy z tych chłopców zdobywają maniery i sposób mówienia w rynsztoku. — Odwrócił się do potężnego faceta przy drzwiach, papierosem machnął w kierunku młodego na podłodze, teraz opartego o ścianę, z oczami zamglonymi i otwartymi ustami. — Weź go do łazienki i daj mu szklanek wody. A potem spróbuj wytłumaczyć, gdzie popełnił błąd.

Pękaty pomógł młodemu podnieść się na nogi i wyszedł z nim z pokoju. Wielkolud na sofie ani drgnął. Al Z wstał i podszedł do okna, gdzie zatrzymał się na chwilę, nim odwrócił się i oparł o parapet. Teraz nasza trójka znajdowała się na tym samym poziomie i rozpoznałem ten gest, wyrażający dobre maniery po tym, co miało właśnie miejsce.

— A teraz, co mogę dla panów uczynić? — zapytał.

— Dwa dni temu odwiedziła mnie pewna dziewczyna — zacząłem.

— Szczęściarz z pana. Ostatnim razem, gdy mnie odwiedziła dziewczyna, kosztowało mnie to pięćset dolarów. — Uśmiechnął się z własnego dowcipu.

— Ta dziewczyna jest córką mego przyjaciela, byłego gliniarza.

Al Z wzruszył ramionami. — Pan wybaczy, ale nie rozumiem, w jaki sposób ten fakt mnie dotyczy.

— Po wizycie tej dziewczyny miałem spotkanie z Tonym Czyściochem. Trochę bolało, ale nie sądzę, by sprawiło Tony'emu więcej satysfakcji niż mnie.

Al Z głęboko zaciągnął się papierosem, potem hałaśliwie wypuścił dym przez nozdrza. — Niech pan mówi dalej — rzekł ze znużeniem.

— Chcę wiedzieć, czy Tony porwał tę dziewczynę, może jako środek nacisku. Jeżeli ją ma, powinien puścić. Nie potrzeba mu kłopotów z gliniarzami. Już ma ich sporo — dodałem.

Al Z potarł kąciki oczu i w milczeniu skinął głową. Popatrzył na tłustego na sofie. Tamten lekko poruszył głową, wyraz jego oczu był niewidoczny za szklami okularów.

— A więc tak — powiedział Al Z w końcu. — Mam zapytać Tony'ego Czyściocha, czy porwał córkę eks gliniarza, a jeżeli to prawda, powinien ją puścić?

— Jeżeli pan tego nie zrobi — wtrącił cicho Louis — będziemy musieli sami go przekonać.

— Wiecie, gdzie on się podziewa? — zainteresował się Al Z.

Byłem świadom, że atmosfera robi się napięta.

— Nie — odrzekłem. — Gdybyśmy wiedzieli, może by nas tu nie było. Doszliśmy do wniosku, że może pan wie...

Ale coś w sposobie, w jaki Al Z zadał ostatnie pytanie, mówiło mi, że nie wiedział i że Tony Czyścioch działa poza jego kontrolą. Al Z najwyraźniej zastanawiał się nad tą sprawą jeszcze przed naszym przyjściem.

Stąd ten tłusty na sofie. Dlatego nie kazano mu wyjść, bo nie był z tych, których ktokolwiek mógłby wyprosić. Był z tych, co zadają pytania. Sprawy Tony'ego najwyraźniej zaczynały się mocno komplikować, co zresztą potwierdziły następne słowa Ala Z.

— W tej sytuacji byłoby nierozsądnie z waszej strony mieszać się w sprawę — powiedział spokojnie.

— W jakiej sytuacji? — spytałem.

Wypuścił więcej dymu. — Sprawy prywatno-zawodowe, do jakich nie należy się mieszać. Jeżeli się nie wycofacie, będziemy zmuszeni użyć nacisku.

— Moglibyśmy zrewanżować się tym samym.

— W takim przypadku bylibyście martwi.

Wzruszyłem ramionami. — Doprowadzenie nas do tego stanu mogłoby okazać się trudne.

Niby żartowaliśmy, ale groźba w głosie Ala Z była głośna i wyraźna. Patrzyłem, jak gasi niedopałek w kryształowej popielniczce z siłą o wiele większą, niż była potrzebna.

— A więc nie zamierzacie wycofać się z naszych spraw? — zapytał.

— Nie jestem zainteresowany waszymi problemami. Mam inne zmartwienia.

— Dziewczyna? A może Billy Purdue?

Na moment mnie zaskoczył, ale nie na długo. Jeżeli gdzieś coś pulsowało, to Al Z trzymał na pulsie palec i unosił go, dopiero gdy bicie ustawało.

— Bo jeżeli to Billy Purdue, możemy mieć kłopoty — dodał.

— Zaginiona dziewczyna jest przyjaciółką, ale Rita Ferris, eks-żona Billy'ego, była moja klientką.

— Pana klientka nie żyje.

— To mnie nie zwalnia z obowiązku.

— A więc jest pan człowiekiem zasad — stwierdził Al Z. Słowo „zasad” wypowiedział, jakby był to orzeszek, który rozgniata się obcasem. — Cóż, ja też.

Byłem innego zdania. Zasady to kosztowna do utrzymania rzecz, a Al Z nie wyglądał na kogoś posiadającego dość moralnych zasobów, by zachować jakiegokolwiek. Nawet na kogoś zdolnego do nasikania na pałacy się sierociniec.

— Nie sądzę, by moje i pańskie zasady podpadały pod tę samą definicję — powiedziałem.

Uśmiechnął się. — Może nie. — Zwrócił się do Louisa: — A pana miejsce w tej sprawie?

— Przy nim — odrzekł Louis, skłaniając głowę lekko w moim kierunku.

— No to musimy dojść do jakiegoś porozumienia — zawnioskował Al Z. — Jestem pragmatykiem. Nie będziecie zbytnio stawać mi na drodze, a nie zabiję was, jeżeli nie będzie to konieczne.

— Z naszej strony podobnie — odpowiedziałem — zwłaszcza po tym, jak uprzejmie nas pan potraktował. — Po tych słowach odeszliśmy.

Na dworze było zimno i pochmurno.

— Co sądzisz? — spytał Louis.

— Tony chyba działa całkiem na własną rękę i może liczy na rozwiązanie kłopotów, zanim Al Z straci cierpliwość. Myślisz, że ma Ellen?

Louis nie odpowiedział od razu. Gdy się odezwał, jego oczy miały twarde wyraz. — Ma czy nie, to wszystko jakoś wiąże się z Billym Purdue, co oznacza, że dla kogoś skończy się źle.

Podeszliśmy do Boylston i zatrzymaliśmy taksówkę. Gdy podjechała, Louis wśliznął się do środka i powiedział: — Logan. — Ale ja uniosłem dłoń.

— Możemy jeszcze zawrócić?

Louis wzruszył ramionami, taksówkarz także, zupełnie jak w lichej pantomimie.

— Harvard — poleciłem. Spojrzałem na Louisa: — Nie musisz jechać ze mną, spotkamy się na lotnisku.

Brwi Louisa podskoczyły o pół cala w górę. — Nie, pojedę z tobą, chyba że boisz się, bym ci nie popsuł stylu.

Taksówka podwiozła nas do bryły budynku William James Hall, tuż przy Quincy i Kirkland. Zostawiłem Louisa w holu i pojechałem windą do pokoju 232, gdzie mieściło się biuro Wydziału Psychologii. W żołądku czułem ucisk, pocity mi się dłonie. Uprzejma sekretarka poinformowała mnie, gdzie znajduje się gabinet Rachel Wolfe, ale dowiedziałem się też, że jest dzisiaj nieobecna. Była na seminarium poza miastem i nie wróci do jutra rana.

— Mam coś jej przekazać? — zapytała sekretarka.

Już miałem odwrócić się na pięcie i wyjść, ale zmieniłem zdanie. Sięgnąłem do portfela i wyjąłem wizytówkę. Z tyłu napisałem nowy numer telefonu w domu w Scarborough i podałem sekretarce. — Tylko to, bardzo Proszę.

Uśmiechnęła się. Podziękowałem, i wyszedłem.

Wróciliśmy z Louistem na Harvard Square, by znowu złapać taksówkę. Odezwał się dopiero, gdy jechaliśmy na Logan.

— Robiłeś to częściej? — zapytał z leciutkim śladem uśmiechu.

— Raz, ale nigdy nie dotarłem tak daleko.

— To co, osaczasz ją?

— Żadne osaczanie, jeżeli osobę zna się dobrze.

— Aha — skinął energicznie. — Dzięki za wyjaśnienie tej drobnej różnicy, nigdy nie mogłem jej zrozumieć.

Przez chwilę milczał, potem spytał ponownie: — I co starasz się osiągnąć?

— Próbuję powiedzieć jej, że jest mi przykro.

— Chcesz się znowu z nią zejść?

Stuknąłem palcami w szybę okna. — Nie chcę, by pozostało między nami tak, jak teraz, to wszystko. Nie wiem, co chcę osiągnąć, i jak już powiedziałem twojej ważnej drugiej połowie, nawet nie wiem, czy jestem gotów...

— Ale kochasz ją?

— Tak.

— No to życie zadecyduje, kiedy będziesz gotowy. — Więcej się nie odezwał.

EdMUMMMŁ ^WBWMmmw

Angel wyjechał po nas na lotnisko i, przed wyruszeniem na północ, wstąpiliśmy jeszcze do centrum handlowego Maine, by coś przekazać.

— Kurwa — zaklął Angel, gdy jechaliśmy już Maine Mail Road. — Spójrzcie tylko: Burger King, naleśnikowy International House, Dunkin Donuts, pizzerie, cztery główne domeny żarcia tuż pod samym nosem. Jakby się tu dłużej mieszkało, musieliby człowieka przetaczać z miejsca na miejsce.

W przybytku pod gołym niebem zjedliśmy chińszczyznę i opowiedzieliśmy Angelowi o naszym spotkaniu z Alem Z. On natomiast wyciągnął pomięty list, zaadresowany do Billy'ego Purdue na ręce Ronalda Stray- deera.

— Gliniarze i fedzie przeszukali każdy kąt, ale nie wiedzieli, jak należy postępować z twoim koleśkiem Ronaldem — powiedział.

— Pogadałeś z nim o jego psie? — zgadywałem.

— Rozmawiałem o psie i zjadłem trochę gulaszu. — Sprawiał wrażenie, jakby ogarnęły go mdłości.

— Ze zwierzaka zabitego na drodze? — Ronald nie wzdragał się przed zbieraniem padliny, pomimo przepisów stanowych zabraniających tego procederu. Ja akurat nie widziałem nic złego w wykorzystaniu jelenia czy wiewiórki jako dania, zamiast zostawiania, by gniły przy drodze. Ronald specjalizował się w dość obrzydliwym steku z sarniny, podawanym wraz z burakami i marchewką — jarzyny przechowywał zagrzebane w piasku.

— Podobno była to wiewiórka — rzekł Angel — ale śmierdziała jak skunks. Nie wypadało mi pytać. List przyszedł do Billy'ego jakiś tydzień temu, a że Ronald już od tamtej pory go nie widział, nie mógł mu doręczyć poczty.

Nadano go w Greenville. Był krótki, zawierał nie wiele więcej niż kartka z życzeniami: kilka szczegółów o odnawianiu domu i o starym psie, którego piszący wciąż posiadał i którego Billy Purdue najwyraźniej kiedyś znał dobrze, gdy zwierzę było jeszcze szczeniakiem. Na dole, nagryzmołony starym piśmem podpis: Meade Payne.

— A więc przez te wszystkie lata pozostawali w kontakcie — zauważyłem. Moje przypuszczenia potwierdzały się; jeżeli Billy Purdue zwróci się do kogoś o pomoc, niewątpliwie poszuka jej u Meade'a Payne'a.

Do Dark Hollow jechaliśmy bez zatrzymywania się, Angel i Louis pędzili mercurym, przede mną. Im dalej na północ, tym bardziej robiło się mgliście, i podróż z Portland do Dark Hollow zmieniała się w przenosiny w niezwykłą, jakby widmową krainę, w której lampy domów jarzyły się przyćmione, wiązki rzucanych przez reflektory promieni żyły własną, wyraźną niczym sylwetka lancy egzystencją, a znaki drogowe sygnalizowały pojawienie się miast przypominających rozrzucone, pozbawione centrum osiedla. Zapowiadano więcej śniegu i wnet samochody odśnieżające wyruszają, całymi stadami, na międzystanowe drogi. Ale na razie, gdy przez nie przejeżdżaliśmy, Greenville wciąż było ciche, na poboczach zalegał wymieszany z piaskiem śnieg, a na wyboistej, pełnej dziur Lily Bay Road, prowadzącej do Dark Hollow, minąłem zaledwie dwa samochody.

Gdy zajechałem pod motel, Angel i Louis już załatwiali formalności w recepcji. Ta sama kobieta, o pofarbowanych na fioletowo włosach, która Powitała mnie przed kilkoma dniami, stała za biurkiem i przeglądała dane na pojedynczej karcie meldunkowej. Obok niej na kontuarze spał brązowy kot, zwinięty tak mocno, że nosem niemal dotykał ogona. Angel rozmawiał z hotelarką, a Louis przeglądał leżące na półce, podniszczone, turystyczne broszury. Gdy wszedłem, spojrzał na mnie, ale nie dał po Sobie poznać, że mnie zauważył.

— Panowie bierzecie jeden pokój? — zapytała fioletowowłosa.

— Tak, proszę pani — odrzekł Angel, z miną zadufanego w sobie prostaczka. — Dolar oszczędzony, to dolar zarobiony

Kobieta popatrzyła na Louisa, niezwykle dostojnego w czarnym garniturze, czarnym płaszczu i białej koszuli. — Pana przyjaciel jest może kaznodzieją? — zaciekawiała się.

— W pewnym sensie, proszę pani — przyznał Angel. — Ściśle przestrzega praw Starego Testamentu. No wie pani, oko za oko, etc...

— Jakże mi miło, nie zatrzymuje się u nas zbyt wielu ludzi kościoła.

Twarz Louisa przypominała teraz męczeńskie oblicze świętego, który właśnie usłyszał, że zaraz zaczną przybijać gwoździe.

— Jeżeli jesteście panowie zainteresowani — kontynuowała kobieta — mamy dzisiaj mszę baptystów. Będziecie mile widziani.

— Dziękuję, proszę pani — odrzekł Angel — ale my praktykujemy nasze własne formy wiary.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. — Proszę bardzo, byle byście tylko nie zakłócili spokoju pozostałym gościom.

— Postaramy się — wtrącił się Louis, biorąc klucz.

Gdy podszedłem do biurka, kobieta rozpoznała mnie. — Już z powrotem? Chyba spodobało się panu w Dark Hollow.

— Mam nadzieję poznać je lepiej — odrzekłem. — Może pani mogłaby mi w czymś pomóc.

Uśmiechnęła się. — Oczywiście, jeżeli tylko potrafię.

Podałem jej zdjęcie Ellen Cole, małe, z legitymacji, zrobione w automacie. Kazałem je powiększyć, miało teraz format kartki. — Rozpoznaje pani tę dziewczynę?

Zmrużyła oczy przysłonięte grubymi szklami i przypatrzyła się dokładnie. — Tak, poznaję, wpadła w tarapaty?

— Mam nadzieję, że nie, ale zaginęła i rodzice poprosili mnie o pomoc w odnalezieniu jej.

Kobieta ponownie przyjrzała się fotografii, pokiwała głową. — O tak, przypominam ją sobie. Pytał o nią komendant Jennings. Ona i jej chłopak zatrzymali się u nas na jedną noc. Jeżeli pan sobie życzy, mogę odszukać dokładną datę.

— Bardzo proszę.

Wyjęła kartę rejestracyjną z zielonego, metalowego pudła i odczytała dane: — Piąty grudnia, zapłacono kartą kredytową na nazwisko Ellen C. Cole.

— Czy przypomina sobie pani jakieś niezwykle szczegóły, może coś się wydarzyło?

— Nie, nic ważnego. Ktoś zasugerował im wizytę tutaj, mężczyzna, którego podwieźli z Portland. To wszystko. Pamiętam ją, była miła. On trochę gburowaty, ale w tym wieku to nic niezwykłego. Sama dobrze wiem, wychowałam czworo, a zanim osiągnęli dwadzieścia pięć lat, byli okropni jak nadbrzeżne szczury...

— Czy wspominali, dokąd się wybierają?

— Chyba na północ. Może do Katahdin, nie jestem pewna. Poradziłam im, jeżeli mają czas, wyjechać z miasta i obejrzeć zachód słońca nad jeziorem. Podobał im się ten pomysł. To ładny widok, a dla takiej pary także romantyczny. Pozwoliłam im zatrzymać pokój do późnego popołudnia, żeby nie musieli się spieszyć z pakowaniem.

— A nie mówili, kto ich namawiał do zahaczenia o Dark Hollow? — Ta sprawa nie dawała mi spokoju, przecież w Dark Hollow nie było wiele do zwiedzania.

— O tak. Jakiś starszy gość, którego spotkali na drodze. Podwieźli go i zdaje się spotkali się z nim przed wyjazdem.

Poczułem mdłości. — Czy wspomnieli, jak się nazywał?

— Nie, to chyba nikt stąd. — Lekko zmarszczyła czoło. — Nie wydawali się nim w żaden sposób przejęci. W końcu, co mógłby im zrobić taki stary człowiek? — Zaczynając pytanie, zamierzała dokończyć je jako retoryczne, ale zdaje się, nie zabrzmiało w ten sposób ani dla niej, ani dla mnie.

Przeprosiła, powiedziała, że nic więcej nie wie. Potem, na mapie turystycznej, wskazała mi, jak trafić nad jezioro, milę czy dwie za miastem. Podziękowałem jej, zostawiłem torbę w pokoju i zapukałem do sąsiednich drzwi, do pokoju Louisa i Angela. Angel otworzył i

wpuścił mnie do środka. Louis wieształ garnitury w sfatygowanej, brązowej szafie. Staralem się nie myśleć o tym starym gościu. Nie zamierzałem wyciągać wniosków, jeszcze nie teraz.

— Jakimi rozrywkami dysponują w okolicy? — spytał Angel, siadając ciężko na podwójnym łóżku. — To miejsce wydaje się mieć mniej ruchu od Papieża.

•— Opatulają się ciepło na zimę — odparłem. — I czekają na lato.

— A jak już lato nadejdzie?

— Czasami to się nie zdarza.

— No to skąd znają różnicę?

— W zimie deszcz zamienia się w śnieg.

— Pełna egzystencja, zwłaszcza jak się jest drzewem.

Louis zakończył układanie ubrań, odwrócił się do nas. — Dowiedziałeś się czegoś?

— Kierowniczka pamięta Ellen i jej chłopaka. Poradziła im obejrzenie zachodu słońca za miastem, a potem, według niej, ruszyli na północ.

— Może tam pojechali — stwierdził Louis.

— Według Lee Cole, strażnicy w Baxter State Park nie widzieli ich. Poza tym możliwości podróżowania w stronę północy są ograniczone. No i jeszcze kobieta z recepcji twierdzi, że podwieźli jakiegoś starucha i że właśnie on zasugerował im zatrzymanie się w Dark Hollow.

— Czy to może oznaczać coś złego?

— Nie wiem, zależy kim był. Może nic. — Ale wróciło wspomnienie starego osobnika z hotelu, który napalił się na Rite Ferris, a także postać starca, widzianą przez Billy'ego Purdue, niedługo przed tym, jak zamordowano jego rodzinę. I pomyślałem o odpowiedzi Ronalda Straydeera, który, gdy staliśmy przed przyczepą Billy'ego, najwyraźniej wziął moje słowa za pytanie o człowieka, mogącego kręcić się kilka dni wcześniej wokół jego domu. * y

— Stary to już tak ma...

— Tak, mógł być stary.

— No i co teraz?

Ciężko wzruszyłem ramionami. — Zamierzam porozmawiać z Randem Jenningsem.

— Jedziemy z tobą?

— Nie, mam dla was inne plany. Wybierzcie się do domu Payne'a i zobaczcie, co się tam dzieje...

— To znaczy, czy pojawił się Billy Purdue — dokończył Angel.

— Cokolwiek.

— A jeżeli tam jest?

— Pójdziemy i zabierzemy go.

— A jeżeli go nie ma?

— Poczekamy, dopóki się nie upewnię, że z Ellen Cole wszystko w porządku. Potem... — wzruszyłem ramionami.

— Poczekamy jeszcze trochę — znowu dokończył za mnie Angel.

— Chyba tak — zgodziłem się.

— Dobrze wiedzieć — stwierdził. — Wreszcie mogę zaplanować, co na siebie włożę.

Posterunek komendy policji znajdował się milę poza północnym krańcem miasta. Był to jednopiętrowy budynek z cegły, z własnym generatorem w betonowym bunkrze po wschodniej stronie. Zbudowano go po pożarze sprzed kilku laty, który zniszczył pierwotną budowlę, stojącą tuż przy głównej ulicy.

Wnętrze było ciepłe i dobrze oświetlone, zza drewnianego kontuaru podniósł się sierżant w koszuli z krótkimi rękawami. Na lśniącej odznace widniało nazwisko „Ressler” i pomyślałem, że to pewnie ten sam, który patrzył na śmierć Emily Watts. Przedstawiłem się i poprosiłem o widzenie z komendantem.

— Zechce pan powiedzieć, w jakiej sprawie?

— Ellen Cole.

Lekko zmarszczył brwi, uniósł słuchawkę i wykręcił numer wewnętrzny. — Jest tu gość, który chce z panem rozmawiać o Ellen Cole, szefie. — Przyłożył dłoń do słuchawki i zwrócił się do mnie: — Jak brzmiało pańskie nazwisko?

Podaliśmy je, a on powtórzył do telefonu. — Tak szefie, Parker, Charlie Parker. — Chwilę słuchał, potem spojrzał na mnie badawczo, jakby mnie szacował. — Tak, zgadza się. Oczywiście, oczywiście. — Odłożył słuchawkę i znów, bez słowa, spojrzał na mnie.

— A więc on mnie pamięta? — spytałem.

Ressler nie odpowiedział, ale miałem uczucie, że sierżant zna swego szefa i wykrył coś w jego głosie, co postawiło go na baczność.

— Proszę za mną — polecił. Uniósł część blatu i przytrzymał, by mnie przepuścić. Poczekalem, aż na nowo zamknie wejście na klucz, po czym poszedłem za nim, między dwoma biurkami, do małego, oszklonego pomieszczenia. Za metalowym biurkiem, na którym leżała teczka z dokumentami i stał komputer, siedział Randall Jennings.

Nie zmienił się wiele. Może trochę posiwiał i nieco przybył na wadze, pod lekko obrzmiałą twarzą widać było zarys podbródka, ale wciąż pozostał przystojnym mężczyzną, o czujnych, brązowych oczach i szerokich, mocnych ramionach. Jego ego musiało ucierpieć, gdy żona wdała się w romans ze mną.

Zaczekał na odejście Resslera. Zanim się odezwał, zamknął drzwi gabinetu. Nie wskazał mi miejsca i najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że stojąc, mogę na niego patrzeć z góry.

— Nigdy bym nie sądził, że jeszcze kiedyś cię zobaczę — powiedział w końcu.

— Domyśliłem się ze sposobu, w jaki się ze mną pożegnałeś. Jestem zaskoczony, że nie poprosisz sierżanta, by przypilnował drzwi.

Nie zareagował, tylko przeczucił jakieś papiery leżące na biurku. Nie byłem pewien, czy ten gest ma rozluźnić jego, czy mnie. — Przyjechałeś w sprawie Ellen Cole?

— Zgadza się.

— Nic o niej nie wiemy, przyjechała, wyjechała. — Uniósł ręce w geście bezradności.

— Jej matka uważa inaczej.

— Nie obchodzi mnie, co sądzi jej matka. Mówię ci to, co wiem, to samo przekazałem jej ojcu, gdy był tutaj.

Mogłem się minąć z Walterem Cole, może nawet w tym samym czasie przebywaliśmy w mieście. Poczułem lekki żal, że zaniepokojony o córkę, musiał całkiem sam przyjechać aż tutaj. Gdybym wiedział, pomógłbym mu.

— Rodzina zarejestrowała ją jako osobę zaginioną.

— Wiem. Miałem na głowie agenta federalnego, naskakującego na mnie o niezarejestrowanie formularza. — Spojrzał na mnie ostro. — Zwróciłem mu uwagę, że z Nowego Jorku do Dark Hollow daleka droga, i że my tu pracujemy po swojemu.

Nie zareagowałem na ten wybuch terytorialnej wyższości. — Będiesz działać zgodnie z raportem? — naciskałem.

Jennings wstał, kostkami palców swych wielkich dłoni wsparł się o biurko. Niemal zapomniałem, jak potężny był z niego mężczyzna. W kaburze przy pasie broń — coonan .357, magnum z St. Paul, Minnesota — lśniła świeżością. Pewnie nie miał wielu okazji do użycia jej, chyba że siadał na werandzie i strzelał do królików.

— Czy tak trudno mnie zrozumieć? — powiedział cicho, ale słyszało się w jego głosie powstrzymywany gniew. — Zrobiliśmy wszystko, co się dało. Zareagowaliśmy na zgłoszenie osoby zaginionej. Według nas, ta dziewczyna i jej chłopiec uciekli razem i jak dotąd nie mamy dowodów na coś innego.

— Kierowniczką w motelu, w którym się zatrzymali, twierdzi, że wybierali się na północ.

— Może tak właśnie było.

— Na północ mogli udać się tylko do Baxter albo w okolice Katahdin.

Anie pokazali się tam.

- Może pojechali gdzie indziej.
- Może ktoś z nimi był.
- Możliwe. Mnie wiadomo jedynie, że opuścili miasto.
- Teraz rozumiem, dlaczego nie udało ci się zdobyć odznaki detektywa.

Drgnął, twarz mu poczerwieniała. — Nie masz o mnie najmniejszego pojęcia — warknął. Gniew był już wyraźny w jego głosie, a następne słowa zabrzmiały powoli i dobitnie. — Raczysz wybaczyć, ale mamy dość prawdziwych przestępstw, którymi musimy się zająć.

— Rzeczywiście. Ktoś ukradł choinkę bożonarodzeniową, co? A może próbował wydupczyć łosia?

Przeszedł wokół biurka i otwierając drzwi, stanął tuż przy mnie. Spodziewał się pewnie, że się cofnę, ale stałem nieruchomo.

— Mam nadzieję, że nie szukasz tu kłopotów — powiedział. Mógł mówić o Ellen Cole, jednak w jego oczach widać było, iż co innego ma na myśli.

— Nie muszę ich szukać — odrzekłem. — Zostanę wystarczająco długo, a same mnie znajdą.

— Bo jesteś tępy — powiedział, wciąż przytrzymując drzwi. — Nie wykorzystujesz lekcji, jakie daje ci życie.

— Byłbyś zaskoczony, ile się nauczyłem.

Już miałem wyjść, gdy nagle zablokował mnie, wysunąwszy lewą rękę. — Zapamiętaj, Parker; to moje miasto, ty jesteś gościem. Nie nadużywaj przywilejów

— A więc nie ma mowy o: co moje, to twoje?

— Nie — powiedział z groźbą w głosie. — W żadnym przypadku.

Wyszedłem z budynku i wróciłem do samochodu; wiatr wył wśród drzew, kąsał mi palce. Nade mną zawisło ciemne niebo. Właśnie dotarłem do mustanga, gdy na parking zajechał stary, zielony datsun i wysiadła z niego Lorna Jennings. Miała na sobie czarną, skórzaną kurtkę z dużym, futrzanym kołnierzem i dżinsy, wciśnięte w te same botki, w których widziałem JA ostatnim razem. Nie zauważyła mnie, dopóki nie zaczęła iść w stronę głównego wejścia. Wtedy zatrzymała się na chwilę, po czym podeszła do mnie, rzucając na oświetlone wejście niespokojne spojrzenia.

— Co ty tu robisz? — spytała.

— Rozmawiałem z twoim mężem, ale nie okazał się przesadnie chętny do pomocy.

Uniosła brwi. — Dziwisz się?

— Właściwie nie, ale nie chodzi o mnie. O dziewczynę i młodego człowieka, którzy zaginęli, i sądzę, że ktoś tutaj może wiedzieć, co się z nimi stało. Dopóki nie dowiem się, kto to mógłby być, nie ruszę się stąd.

— Kim oni są?

— Córka przyjaciela i jej chłopak. Nazywa się Ellen Cole, słyszałaś, by Rand o niej wspominał?

Przytaknęła. — Twierdzi, że zrobił, co było możliwe. Według niego, oni urwali się z domu.

— Młoda miłość — mruknąłem — coś pięknego...

Lorna przełknęła ślinę, przejechała dłonią po włosach. — On cię nienawidzi, Bird. Za to, co zrobiłeś, co my zrobiliśmy.

— Tak dawno temu.

— Nie dla niego — powiedziała — ani dla mnie.

Żalowałem wzmianki o młodej miłości. Nie podobał mi się wyraz jej oczu. Czynił mnie nerwowym. Ale sam siebie zaskoczyłem następnym pytaniem.

— Czemu wciąż z nim jesteś, Lorna?

— Bo to mój mąż. Bo nie mam dokąd pójść.

— Nieprawda, Lorna, zawsze istnieje jakieś dokądś.

— Czy to propozycja?

— Tylko spostrzeżenie. Uważaj na siebie. — Zacząłem odchodzić, ale wyciągnęła dłoń i położyła mi ją na ramieniu.

— Nie, to ty uważaj na siebie, Bird. Jak już mówiłam, on ci nie wybaczył, nigdy tego nie uczyni.

— A wybaczył tobie? — spytałem.

Gdy przemówiła, wyraz jej twarzy przypomniał mi nasze pierwsze wspólne popołudnie, ciepło jej skóry przy moim ciele. — Nie potrzebowałam jego wybaczenia... — Uśmiechnęła się smutno i odeszła.

Następną godzinę spędziłem na wędrowce od sklepu do sklepu, pokazywałem zdjęcie Ellen Cole każdemu, kto zechciał popatrzeć. Przypomnieli ją sobie w restauracji i w aptece, ale nikt nie widział, jak Ellen i Ricky odjeżdżali i nikt nie mógł potwierdzić, czy byli sami, czy z jakimś mężczyzną, i kto mógł nim być. Robiło się coraz zimniej, a ja, ciasno owinięty płaszczem, błądziłem w poświacie sklepowych lamp, rzucających na śnieg żółty blask.

Gdy już wyczerpałem wszelkie możliwości, przynajmniej chwilowo, wróciłem do pokoju, wziąłem prysznic i przebrałem się w spodnie drelichowe, koszulę i sweter, narzuciłem jeszcze płaszcz i byłem gotowy na wyjście na kolację z Angelem i Lousem. Angel już siedział przed domkiem; popijał kawę i, niczym zepsuta maszyna parowa, wypuszczał kłęby białego powietrza.

— Wiesz, tu jest cieplej niż w środku — oświadczył. — Straciłem warstwę skóry ze stóp, takie chłodne są płytki w łazience.

— Jesteś zbyt wrażliwy, to pewnie cecha gejów.

— Aha, a siedząc na kiblu, gram na skrzypcach i popełniam wielkie dzieła literackie.

Właśnie podobne stereotypy przeszkadzają gejom...

— W czym? Czemu nie robisz tego, czego naprawdę pragniesz?

— Wrócić do Nowego Jorku?

— A bycie gejem nie pozwala ci na to?

— No nie, raczej ty.

— Widzisz? A więc preferencje seksualne nie mają nic z tym wspólnego. Jakbyś był normalny, też byś tu tkwił.

Angel parsknął z nieszczęśliwą miną i drobił stopami, przekładając garnuszek z kawą z ręki do ręki, a wolną chował pod przeciwną pachę.

— Przestań — zażądałem — jeszcze ściągniesz deszcz. Coś nowego nie zaszło u Payne'a?

Zamarł w bezruchu. — Nic, co moglibyśmy zauważyć bez stukania do drzwi i poproszenia o ciasteczka i szklankę mleka. Mignął mi ten młody i Payne, jak jedli kolację, ale byli sami, przynajmniej tyle widzieliśmy. A tobie poszczęściło się z Jenningsem?

— Nie.

— Zaskoczony jesteś?

— Tak i nie. Nie ma powodu, by mi pomagać, ale tu nie chodzi o mnie, a o Ellen i jej chłopaka. Jednak widziałem w jego oczach, że gdyby mógł, wykorzystałby ich, by mnie dopaść. Nie rozumiem go. Jego żona zadała się z innym facetem, kimś z dziesięć lat młodszym, a on wciąż z nią jest, i to piekło dla nich obojga. I przecież nie dlatego, by Rand był stary, okrutny czy niewydolny seksualnie. Jest całkiem do rzeczy, w każdym razie według jego własnej miary. Zabrałem mu coś i on nigdy mi nie wybaczy. Ale jak może nie myśleć o Ellen Cole, Rickim i ich rodzinach? Choćby nie wiem jak mnie nienawidził, powinno mu na nich zależeć... — Kopnąłem grudkę ziemi. — Wybacz, Angel, rozmyślam sobie na głos.

Angel wylał resztki kawy na muldę zmarzłego, zbitego śniegu. Usłyszałem delikatny syk, gdy kawa zetknęła się z bielą i zniszczyła ją, kryształ po kryształ.

— Cierpienie to nie wszystko, Bird — powiedział łagodnie. — On cierpiał, i co z tego, może ustawić się w kolejce z nami wszystkimi, pieprzonymi cierpiętnikami. Nie wystarczy

cierpieć, dobrze o tym wiesz. Ważne, że rozumiesz, iż inni są nieszczęśliwi, a niektórzy o wiele bardziej, niż kiedykolwiek ty. I jeżeli możesz coś z tym zrobić, no to robisz i to bez jęczenia czy wymachiwania na cały świat własnym, przypieprzonym krzyżem. Postępujesz tak, bo tak należy... Z tego, co mówisz, ten Rand Jennings nie ma w sobie kropli współczucia. Rozczuła się wyłącznie nad samym sobą i nie rozumie innego cierpienia oprócz własnego. Spójrz choćby na jego małżeństwo. Ich jest w nim dwoje, Bird; cokolwiek kiedyś do niej czuleś, ona została z nim tak długo; gdybyś w lutym nie pojawił się tu jak ogień, wszystko zostałoby po dawnemu. On by był nieszczęśliwy, ona też, cierpieliby we dwoje; i wydaje się, że każde z nich nieźle się stara, by sytuacja nie uległa zmianie. Ale on jest egoistą, Bird. Myśli tylko o własnej krzywdzie, własnym bólu i obwinia ją i ciebie, i cały świat. Ma gdzieś Ellen Cole czy Waltera, czy Lee. Rozżalony na pecha, jakim obdarzyło go życie, nie widzi wyjścia.

Popatrzyłem na Angela, na jego nieogolony profil, kosmyki ciemnych włosów, wysuwające się spod ciemnego, wełnianego kapelusza, na pusty garnuszek po kawie, który, w roztargnieniu, wciąż trzymał ręce. Istna obfitość przeciwieństw! Uderzyło mnie, że dostaję lekcje życia od liczącego zaledwie pięć stóp i sześć cali włamywacza — na emeryturze, którego przyjaciel, przed niespełną dobą, wykończył człowieka pod ceglany murem. Moje życie, pomyślałem, zakreśla dziwne meandry.

Angel zdawał się wyczuwać tok moich myśli, bo odwrócił się do mnie i mówił dalej: — Jesteśmy przyjaciółmi od dawna, ty i ja, może nawet żaden z nas nie zdawał sobie z tego sprawy. Znam cię i wiem, że przez jakiś czas nie byłeś daleki od stania się kimś podobnym do Jenningsa i miliona takich jak on, ale teraz mam pewność, że tak nie będzie. Nie wiem do końca, co się wydarzyło i niekoniecznie chciałbym znać szczegóły. Ale jedno jest pewne: stałeś się człowiekiem pełnym współczucia, Bird. To nie to samo co litość czy poczucie winy, lub usiłowanie spłacenia długu — losowi czy Bogu. To odczuwanie bólu innych jak własnego, i działanie, by go zlikwidować. I może czasami, by tak się stało, musisz popełniać złe czyny, ale życie nie tak łatwo równoważy szale. Możesz być dobrym człowiekiem, a jednak czynić zło, bo taka jest natura spraw. Ci, którzy uważają inaczej, tylko marnują czas, zbyt wiele poświęcają go na walkę z własnym sumieniem, a nic nie robią, nic się nie zmienia i niewinni, bezbronni wciąż są krzywdzeni. W ostateczności, to ty robisz, co potrafisz, a może musisz, by świat stał się lepszy. W następnym życiu, na szali, przeciwagą twego serca nie będzie piórko. Przypuszczam, że tam prowadzą porównawcze badania, inaczej wszyscy skończylibyśmy w piekle...

Uśmiechnął się słabym, chłodnym uśmiechem, którym dawał do zrozumienia, że zna koszt stosowania podobnej filozofii. Przecież sam ją praktykował, czasem wobec mnie, czasem Louisa, ale zawsze postępował tak, jak uważał za słuszne. Nie jestem pewien, czy właściwie opisał kierujące mną motywy. Uznawałem oceny moralne, ale bez przekonania, bym miał do nich prawo, bo wciąż jeszcze nie udało mi się pozbyć poczucia winy, stłumić żalu. To, co robiłem, miało stępić mój ból i czasem udawało mi się równocześnie zmniejszyć cierpienie innych. Tyle jeżeli chodzi o współczucie w moim przypadku, przynajmniej jak na razie.

Z odległego końca miasta doleciał odgłos syren, coraz bliższy Czerwone i niebieskie światła zabłyśły na tle budynków głównej ulicy; zza rogu wynurzył się wóz patrolowy i z wielką prędkością jechał w naszym kierunku. Na przednim siedzeniu siedział chyba Randall Jennings.

— Pewnie gdzieś sprzedają świeże pączki — skomentował Angel.

Drugi, nieoznaczony samochód przejechał główną ulicą, obrócił się niemal w miejscu i z piskiem opon ruszył za pierwszym pojazdem.

— Z kawą za darmo — dodałem.

Podrzuciłem kluczyki w ręce, potem odsunąłem Angela od maski mustanga, o którą właśnie się oparł. — Zamierzam się rozejrzeć, jedziesz ze mną?

— Nie, poczekam na czarnego narcyza, aż skończy się dla nas upiększać. Zaczekamy na ciebie, może spalimy jakiś mebel, żeby zrobiło się ciepło...

Ruszyłem za światłami tamtych samochodów; reflektory omiatały wyciągające się nad drogą, niczym ramiona, konary. Po jakiejś mili dołączyłem do wozów policyjnych akurat w chwili, gdy wjeżdżały w las, na prywatną drogę firmy drzewnej; obok odsuniętej w bok bariery, pozwalającej na przejazd, stał mężczyzna w wełnianej czapce i watowanej kurtce. Za nim, w dół, biegła ścieżka, prowadząca do niewielkiego domku, wzniesionego na skraju terenów firmy Pewnie to on wezwał policję.

Trzymałem się jak najbliżej samochodu zamykającego kawalkadę, jego tylnych świateł, które to wznosiły się, to opadały na wąskiej, pełnej kolein drodze. Wreszcie radiowóz zatrzymał się przy furgonetce marki Ford, na pace widać było załadowane niskie sanie; obok stał potężny, brodaty mężczyzna, z brzuchem jak u ciężarnej kobiety. Jennings wysiadł z samochodu prowadzącego kawalkadę, Ressler i jeszcze jeden policjant wyłonili się z drugiego. Zamigotały światła latarek i trzech gliniarzy podeszli na tył furgonetki i zajrzeli do środka. Wziąłem z bagażnika własną latarkę i dołączyłem do nich. Jeszcze zanim doszedłem, usłyszałem słowa brodacza:

— Nie chciałem go tam zostawiać. Zapowiadają opady śniegu, nie odnaleźliby go aż do roztopów.

Gdy się zbliżyłem, odwróciły się do mnie twarze, jedna należąca do Randa Jenningsa.

— Co ty tu, do cholery, robisz? — zdenerwował się.

— Zbieram jagody. Co tam macie?

Poświeciłem latarką na dno paki, choć to, co się tam znajdowało, nie wymagało dodatkowej iluminacji, ale ciemności, ziemi i kamienia nagrobnego o wysokości sześciu stóp.

Na brezentowej płachcie ujrzałem ciało mężczyzny, z szeroko rozwartymi ustami, pełnymi liści. Oczy miał zamknięte, głowę skrzyżowaną pod nienaturalnym kątem. Wygięty, połamany, leżał między narzędziami i plastikowymi pojemnikami, włosami dotykając pustego stojaka na strzelbę.

— Kto to?

Przez moment wydawało mi się, że Jennings nie zamierza odpowiedzieć. Ale powiedział z westchnieniem:

— Chyba Gary Chute. Wykonywał pomiary dla przedsiębiorstwa drzewnego. Znalazł go ten tutaj, Daryl, gdy sprawdzał swoje sidła. Natknął się też na samochód, kilka mil od ciała.

Daryl sprawiał wrażenie, jakby miał zaprotestować w sprawie wyników. Już otwierał usta, ale pod spojrzeniem Jenningsa zamknął je ponownie. Nie wydawał się zbyt rozgarnięty. Miał tępe spojrzenie, niskie czoło, a usta, choć zamknięte, bezustannie się poruszały, jakby wciąż przygryzał wewnętrzną stronę dolnej wargi.

Stojący przy nim Ressler przeglądał zawartość portfela nieboszczyka.

— Zgadza się, to Chute — stwierdził. — Ale w portfelu nie ma gotówki, tylko karty kredytowe. Zabrałeś forszę, Daryl?

Ten gwałtownie pokręcił głową. — Nie tknąłem niczego.

— Jesteś pewien?

— No jak, pewnie, że jestem.

Ressler nie wyglądał na przekonanego, jednak nie naciskał.

Zwróciłem się do Daryla: — Jak go znalazłeś?

— Że co?

— To znaczy, jak leżał, w jakiej pozycji.

— U podnóża góry, niemal całkiem zagrzebany pod liśćmi i śniegiem — odrzekł. — Zupełnie jakby się pośliznął i spadając, walił w kamienie i pnie, a na końcu zaczepił szyją o wystający korzeń. Musiała trzasnąć jak gałązka. — Daryl uśmiechnął się z zażenowaniem, niepewny, czy wyraził się należycie.

Historia nie wydawała się prawdopodobna, zwłaszcza biorąc pod uwagę brak gotówki w portfelu. — Twierdzisz, że był przysypany śniegiem i liśćmi, Daryl?

— Tak, szefie — przytaknął z entuzjazmem. — I gałęziami.

Kiwnąłem głową, ponownie oświetliłem ciało. Dostrzegłem coś na nadgarstkach i, nim zgasilem latarkę, poświeciłem na nie przez chwilę.

— Szkoda, że go ruszono — powiedziałem.

Nawet Jennings musiał się ze mną zgodzić. — Cholera, Daryl, trzeba było zostawić go na miejscu i powiadomić strażników.

— Nie mogłem — upierał się Daryl. — To by nie było w porządku.

— Może ma rację — wmieszał się Ressler. — Jeżeli zacznie padać, co jest pewne, nie znaleźlibyśmy go aż do wiosny. Daryl natrafił na te zwłoki przy Island Pond, zawinął je w brezent i na saniach pociągnął dziesięć mil do furgonetki. Island Pond znajduje się naprawdę daleko stąd i, jak mówi Daryl, zanim się tam dotrze, droga już zmienia się w jedną, wielką zaspę.

Spojrzałem na Daryla z szacunkiem; niewielu ciągnęłoby ciało obcego przez tyle mil. — Nie ma mowy, by ktoś udał się tam w ciemnościach, nawet gdybyśmy zdołali odnaleźć to miejsce — podsumował Jennings. — W każdym razie sprawa leży w gestii strażników, może biura szeryfa, ale nie w naszej. Załatwimy, by rano zabrano go do Augusty i niech zbada go lekarz sądowy.

Uniosłem głowę, spojrzałem na czarne niebo nocy, zawisłe nad drzewami. Wyczuwało się w nim jakiś ciężar, już prawie gotowy, by spaść. Ressler podążył za moim spojrzeniem.

— Jak widać, Daryl miał rację. Będzie padało.

Jennings popatrzył na Resslera wzrokiem świadczącym wymownie, iż nie życzy sobie, by więcej szczegółów makabrycznego odkrycia omawiano w obecności Daryla, no i mojej.

Mocno klasnął w dłonie. — W porządku, jedziemy.

Pochylił się nad paką furgonetki i nakrył ciało Gary'ego Chute'a brezentową płachtą, potem przycisnął ją, by nie odfrunęła, kawałkami żelastwa, żelazną obręczą i kolbą dubeltówki. Skinał na policjanta.

— Stevie, pojedziesz z nim i dopilnujesz, by brezent się nie odwinął.

Stevie, o wyglądzie jedenastolatka, wyraźnie unieszczęśliwiony pokręcił głową, ostrożnie wspiął się na pakę i wcisnął się obok ciała. Ressler wrócił do swego samochodu. Zostaliśmy z Jenningsem sami.

— Doceniamy twoją pomoc, Parker.

— Jakoś nie mogę uwierzyć, byś mówił szczerze.

— I masz rację. Trzymaj się z dala ode mnie i moich spraw. Nie chciałbym się powtarzać. — Stuknął mnie w pierś palcem odzianej w rękawiczkę dłoni, odwrócił się i odszedł.

Samochody wystartowały niemal unisono i uformowały konwój — jeden przed furgonetką, drugi za nią, i tak Gary Chute został przetransportowany do Dark Hollow.

Według relacji Daryla, ciało pokrywały liście i gałęzie, a także śnieg. Jeżeli śmierć nastąpiła w wyniku wypadku, a Daryl nie zabrał gotówki z portfela zmarłego, coś się nie zgadza. Na drzewach nie było już liści, a przez ostatni tydzień bez przerwy padał śnieg i to on zasypałby ciało, ale nie liście i gałęzie. Ich obecność dowodziła, iż ktoś próbował ukryć zwłoki.

Wróciłem do samochodu i zamyśliłem się nad szczegółem, który dostrzegłem w błysku latarki: czerwone ślady na nadgarstkach martwego mężczyzny. Ich nie spowodował upadek, nie pozostawiły zwierzęta czy mróz.

One pochodziły od sznura.

Po powrocie do motelu nie zastałem Angela i Louisa. Pod drzwiami znalazłem informację napisaną tym zaskakująco schludnym pismem Angela, że poszli do baru i czekają tam na

mnie. Nie dołączyłem do nich. Udałem się natomiast do recepcji, napełniłem dwa piankowe pojemniki na kawę i wróciłem do pokoju.

Śmierć Chute'a wciąż nie dawała mi spokoju. Fatalnie się złożyło, iż to akurat Daryl trafił na ciało, nawet jeżeli działał wiedziony najlepszymi intencjami. Pierwotnie wóz Chute'a mógł posłużyć na miejscu zbrodni za tymczasowy wyznacznik, ale jego obiektywność została w dużej mierze unicestwiona faktem, że Daryl przeniósł ciało.

Może niepotrzebnie, jednak zaznaczyłem na mapie miejsce przy Island Pond, w którym, mniej więcej, zostało znalezione ciało. Island Pond znajdował się na północny wschód od Dark Hollow. Dojechać tam można było wyłącznie prywatną drogą, wymagającą specjalnego zezwolenia. Ktokolwiek zamordował Gary'ego Chute'a, musiałby jechać tą drogą, by dotrzeć do niego wśród bezdroży. Albo morderca już znajdował się w kniei i czekał na ofiarę. Albo...

Może Chute miał pecha i zobaczył kogoś lub coś, czego nie powinien. Może zabójca nie wyruszył za nim w knieję, ale właśnie się z niej wyłaniał- A jeżeli ostatnia możliwość odpowiada rzeczywistości, to pierwszym miejscem, do którego zawitałby osobnik z puszczy, byłoby Dark Hollow.

Ale to tylko spekulacje. Poczuję potrzebę uporządkowania myśli. Na kartce notatnika spisałem wszystko, co wydarzyło się od tamtej nocy, gdy Billy Purdue zatopił nóż w mój policzek. Tam, gdzie sprawy się w jakiś sposób łączyły, między nazwiskami osób przeciągałem kropkowane linie. Większość, poza zniknięciem Ellen Cole i śmiercią Gary'ego Chute'a, prowadziła do Billy'ego Purdue.

Pośrodku kartki pozostało puste miejsce, białe i czyste jak świeży śnieg. Imiona i wydarzenia krążyły wokół niczym planety wokół słońca. Odezwwał się we mnie dawny instynkt, pragnienie przyłożenia szablonu do wydarzeń, których jeszcze w pełni nie rozumiałem, zastosowania jakiejś formy wyjaśnień, która mogłaby doprowadzić mnie do ostatecznej prawdy. Gdy jeszcze jako nowojorski detektyw zajmowałem się zgonami nie znanych mi osób, z którymi nic mnie nie łączyło i wobec których nie miałem obowiązku innego poza, spoczywającym na policjancie, zadaniem wykrycia, co się wydarzyło i dopilnowania, by winny odpowiedział za swą zbrodnię, ułożyłbym schemat śledztwa i postępował za każdym wątkiem; gdyby okazało się, że prowadzą donikąd lub są całkowicie błędne, wrzuciłbym ramionami, wrócił do punktu wyjścia i podążył innym śladem. Byłem przygotowany na popełnianie błędów, w nadziei, że w końcu znajdę coś, co zaprowadzi mnie na właściwy trop.

Tamten luksus, komfort spojrzenia z boku, oderwania, został mi odebrany, gdy umarły Susan i Jennifer. Teraz wszyscy oni się liczyli, ci zagubieni, ci, którzy odeszli, a najbardziej Ellen Cole. Jeżeli wpadła w tarapaty, to nie było już miejsca na błąd ani czasu na omyłki, na chaotyczne próby odnalezienia ostatecznego rozwiązania. Nie potrafiłem także zapomnieć Rity Ferris i jej synka, i na myśl o niej instynktownie oglądałem się przez ramię, spoglądałem w ciemny prostokąt okna i wyczuwałem ciężar na ramieniu, zimny, ale nieustęplicy dotyk znajomej dłoni.

Zbyt wiele się działo, zbyt wiele śmierci krążyło wokół białej przestrzeni pośrodku strony. Postawiłem tam znak zapytania, starannie otoczyłem kropkami i odprowadziłem odnośnik na koniec strony.

I tam napisałem: Caleb Kyle.

Powinienem był wtedy wyjść coś przekąsić, odnaleźć Angela i Louisa, pójść do baru i przyglądać się, jak popijają i dziwacznie flirtują ze sobą. Być może i ja wychyliłbym jednego, tego jedyne...

Obok przechodziłyby kobiety, delikatnie rozkołysane, gdy alkohol ogarniał ich ciała i umysły. Być może któraś uśmiechnęłaby się do mnie, może odwzajemniłbym uśmiech i czuł jak iskry zapalają się, gdy piękna kobieta koncentruje uwagę na mężczyźnie. Może napiłbym

się jeszcze jednego, potem następnego, i zapomniałbym o wszystkim i na zawsze zanurzył w zapomnieniu.

Rocznica zbliżała się. Wciąż myślałem o niej jak o ciemnej chmurze na horyzoncie, nadszyciej nieubłaganej, by pograżyć mnie we wspomnieniach straty i bólu. Pragnąłem normalności, jednak wciąż znajdowała się poza moim zasięgiem. Nawet nie byłem pewien, czemu udałem się do biura Rachel; poza świadomością, że chcę być z nią, moje uczucia wobec niej napęły mnie żalem i poczuciem winy, jakbym w jakiś sposób zdradzał pamięć Susan. Z tymi myślami, po tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, z umysłem zaangażowanym w badanie natury zabójstw, które wydarzyły się zarówno w niedalekiej, jak i odległej przeszłości, nie powinienem był pozostać sam.

Zmęczony i głodny do tego stopnia, że miejsce apetytu zajął jeszcze bardziej dręczący, głębszy niepokój, rozebrałem się i położyłem do łóżka, naciągnąłem na głowę prześcieradło i rozważałem, ile czasu zajmie mi zasypianie. Okazało się, że wystarczająco dużo, by zapomnieć o tej myśli.

Obudził mnie jakiś dźwięk i nikła, nieprzyjemna woń, którą dopiero po chwili zidentyfikowałem. Odór gnijącej roślinności, liści i mierzwy, i stojącej wody. Uniosłem się z poduszki i przetarłem zaspane oczy, a nos aż zmarszczył mi się, bo zapach rozkładu stawał się coraz mocniejszy. Na bu- dziku-radiu na stoliku nocnym widniała godzina 12:33 — trzydzieści trzy minuty po północy. Sprawdziłem, czy przypadkiem w nocy alarm sam jakoś się nie włączył — ale nie, radio milczało. Rozglądałem się po pokoju, świadom dziwnej, o niezwyklej odcieniu poświaty, której nie powinno tu być.

Z łazienki dochodził śpiew.

Cichy, ale słodki dźwięk dwóch głosów zespolonych w piosence, brzmiącej jak dziecięca kołysanka, ze słowami przytłumionymi przez zamknięte drzwi łazienki.

A spod nich sączyło się zielone światło, kształt falujący na tanim dywanie. Odrzuciłem przykrycie i nagi stanąłem na podłodze — nie czułem zimna ani nawet chłodu — i zacząłem iść w stronę łazienki. W miarę gdy się do niej zbliżałem, zapach stawał się intensywniejszy. Czułem, jak przylega mi do skóry i włosów, jakbym kąpał się w jego źródle. Śpiew rozbrzmiewał coraz głośnie, słowa już całkiem wyraźne, te same trzy sylaby powtarzane bez końca wysokim, dziewczęcym tonem.

Caleb Kyle, Caleb Kyle

Przystanąłem sekundę na skraju zielonego światła, potem postawiłem bosą stopę w jego kałuży

Śpiew wtedy ucichł, ale światło pozostało i przesuwawało się lekko, wolno, po mych bosych palcach. Sięgnąłem do gałki i powoli przekręciłem ją. Szarpnięciem otwarłem drzwi i wszedłem na kafelki.

Pomieszczenie było puste. Zobaczyłem tylko białe płytki, nad toaletą starannie ułożoną stertę ręczników, umywalkę, a na niej tanie mydło, jeszcze w opakowaniu, szklanki w papierowych torebkach, zasłonę w kwiatki niemal całkowicie zasłaniającą wannę.

Światło dochodziło zza zasłony, mdła, zielona poświata, połyskująca maleńką częścią mocy swego źródła, jakby musiała przedzierać się przez niezliczone, powstrzymujące ją warstwy, by dać tę niewielką iluminację. I w ciszy łazienki, zakłócanej tylko chlupotaniem za zasłonką, wydawało się, jakby ktoś wstrzymał oddech. Usłyszałem cichy chichot, odbity echem śmiech kogoś jeszcze, a woda zachlupotała głośnie.

Sięgnąłem dłonią za plastik i zacząłem szybko go odsuwać. Wyczuwałem jakiś opór, ale nie ustawałem, dopóki wewnątrz wanny nie odsłoniło się przede mną.

Woda była pełna liści, tak wielu, że sięgały aż po kurki. Zielone, czerwone, brązowe, żółte, czarne i złote. Osika i brzoza, cedr i czereśnia, klon i lipa, buk i jodła; poskręcane, jedne na drugich; gwałtowność rozkładu brukała wodę i wytwarzała niemal namacalny odór.

Coś się poruszyło pod liśćmi, z bulgotem. Białe coś powoli przebijało powłokę z wody i roślinności — z trudem, jakby pokonywało przepastną głębię. Rozdzielało się przy tym na dwa stwory, trzymające się za ręce, z rozwianymi długimi włosami, otwartymi ustami i pustymi oczodołami.

Wypuściłem zasłonę z dłoni i usiłowałem się poruszyć, ale kafle zdradziły mnie, tak jak zdradziły w dniu, gdy po raz pierwszy znalazłem te dziewczynki. I gdy upadałem, ich cienie poruszyły się za zasłoną, a ja cofałem się, na dłoniach i piętach, a palce rąk i nóg rozpaczliwie walczyły o wsparcie, aż znów się przebudziłem i w nogach łóżka ujrzałem poskręcane prześcieradła, odsłonięty materac, a w nim, w miejscu, o które darłem paznokciami, zakrwawioną dziurę.

Ktoś walił do drzwi.

— Bird! Bird! — rozlegał się głos Louisa.

Wypełzłem z łóżka i stwierdziłem, że nie jestem w stanie powstrzymać dreszczy. Zmagałem się z łańcuchem na drzwiach, palcami niezdarnie sięgając zasuwki, wreszcie stanęły otworem, a w nich Louis, w szarych spodniach od dresu i białej podkoszulce, z bronią w ręku.

— Bird? — powtórzył. W jego oczach malowała się troska i jakby miłość. — Co się dzieje?

Zabulgotało mi w gardle, poczułem smak żółci i kawy.

— Widziałem je — wyrzuciłem z siebie — widziałem je wszystkie.

MMMIAŁ

©OTMWAOW

Usiadłem na krawędzi łóżka, ukryłem twarz w dłoniach i czekałem, aż Louis wróci z recepcji, z dwoma kubkami kawy, z podgrzewanego przez cały czas dzbanka. Gdy przechodził przez swój pokój, usłyszałem, jak wymienia kilka słów z Angelem, ale wrócił sam i zamknął za sobą drzwi, odcinając zimne powietrze nocy. Podał mi piankowy kubek; zanim w milczeniu zacząłem pić, podziękowałem mu. Z zewnątrz dochodził cichy dźwięk śniegu padającego na szybę. Louis nie odzywał się, najwyraźniej zastanawiał się nad czymś.

— Czy opowiadałem ci już o mojej babce Lucy? — zapytał w końcu. Zaskoczył mnie. — Louis, ja nawet nie znam twojego nazwiska. Uśmiechnął się blado, jak gdyby tylko tyle mógł uczynić, by samemu sobie je przypomnieć. — W każdym razie — ciągnął, a uśmiech znikł — Lucy była moją babcią, mamą mojej mamy, niewiele starszą wtedy niż ja teraz. Piękna kobieta: wysoka, o skórze przypominającej dzień zmieniający się w noc. Włosy nosiła zawsze rozpuszczone, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział ją w innej fryzurze — opadały jej na ramiona w ciemnych lokach. Mieszkała z nami do samej śmierci, a umarła młodo. Zabrało ją zapalenie płuc, zgasła wśród dreszczy i potu.

Żył w tej miejscowości mężczyzna o nazwisku Errol Rich. Odkąd go znałem, nigdy nie wydawał się kimś, kto potrafiłby nadstawić drugi policzek. A jak się było czarnym i mieszkało w takim mieście, to właśnie tego należało się nauczyć przede wszystkim: zawsze nadstawiało się drugi policzek, bo w przeciwnym razie ani biały szeryf, ani biała ława przysięgłych, ani banda ciemnych wsioków, zawsze trzymających w pogotowiu sznur do przywiązania cię do osi ciężarówki i przeciągnięcia po ciemnych drogach, aż zejdziesz ci skóra, żaden z nich nie widziałby tego inaczej niż czarnucha wywyższającego się nad innymi, a może nawet dającego zły przykład innemu, próbującego rozżłościć ich do tego stopnia, że biali, z poważniejszymi sprawami na głowie, będą musieli wyjść z domu w ciemną noc i dać im wszystkim nauczkę; nauczyć manier.

Ale Errol widział sprawy inaczej. Był potężnym mężczyzną. Gdy szedł ulicą, słońce nie wydawało się wystarczająco duże, by móc oświetlić mu ramiona. Naprawiał różne urządzenia — silniki, kosiarki, wszystko co tylko posiadało ruchomą część, jeżeli tylko zręczność ludzkich rąk mogła je przywrócić do użytku. Mieszkał w obszernym baraku przy jednej z

dróg hrabstwa, razem z mamusią i siostrami, i patrzył białym chłopakom prosto w oczy, wiedząc, że się go boją.

Oprócz tego jednego razu, gdy przejeżdżał koło baru przy autostradzie nr 5 i usłyszał wołanie: — Hej, czarnuchu! — a potem trzask starej, przedniej szyby furgonetki: rozpadła się, po prostu eksplodowała. Rzucili w nią wielką butlą, napełnioną taką ilością szczyn, jaką tylko byli w stanie nalać. Eroll zatrzymał się i przez chwilę siedział w wozie cały w urynie, szkle i krwi, potem wysiadł z szoferki, wziął z paki szczapę drewna o długości może trzech stóp i podszedł tam, gdzie chojracy siedzieli na werandzie. Było ich czterech, łącznie z właścicielem baru, wieprzem o imieniu Mały Tom Rudge. Na widok Errola aż zeszywnieli.

— Kto to rzucił? — spytał. — Ty, Mały Tomie? Lepiej powiedz prawdę, inaczej spalę tę twoją zasaną budę do samych fundamentów.

Ale nikt się nie odezwał. Chłopcy po prostu stracili ze strachu głos. Nawet wszyscy razem i podpici wiedzieli, że z Errolem lepiej nie zaczynać. A on tylko patrzył na nich przez chwilę, potem splunął, zamachnął się szczapą i rzucił nią w okno baru. A Mały Tom nic nie mógł na to poradzić. W każdym razie nie wtedy.

Przyszli po Errola następnej nocy, trzy ciężarówki pełne facetów. Zabrali go w obecności matki i siostr i zawieźli do miejsca zwanego Polem Ady, gdzie stał może stuletni kasztan. A gdy dojechali, czekała tam już z połowa miasta. Kobiety, nawet niektóre starsze dzieci. Ludzie zajadali kurczaki i biszkopty, popijali wodę sodową ze szklanych butelek, rozmawiali o pogodzie, o nadchodzących żniwach, a może także o sezonie baseballu; zupełnie jak na festynie hrabstwa, jakby spodziewali się przedstawienia. Ponad sto osób siedziało, w oczekiwaniu, na maskach swych samochodów.

Przywlekli Errola ze związanymi nogami i rękami i wciągnęli na dach starego lincolna, zaparkowanego pod kasztanem. Zarzucili mu sznur na szyję, zacisnęli pętlę. Potem ktoś podszedł z kanistrem i oblał go benzyną, a Errol uniósł głowę i jedynymi słowami, jakie powiedział, odkąd go wzięli i jakie miał jeszcze powiedzieć na tej ziemi, były: — Nie palcie mnie.

Nie prosił o darowanie mu życia, o zaniechanie wieszania, tego się nie bał. Ale nie chciał płonąć. Gdy jednak, jak sądzę, ujrzał w ich oczach wyrok: będzie co ma być, opuścił głowę i zaczął się modlić.

Cóż, zacisnęli mu wokół szyi sznur i pociągnęli, aż wspiął się na czubki palców, na dachu tego samochodu; potem wóz ruszył i Errol zawisł w powietrzu, wirował okręcany na sznurze. I ktoś podszedł z płonąca pochodnią i przyłożył do wiszącego, a ci wszyscy ludzie słuchali jego krzyków, które ucichły dopiero, gdy spłonęły mu płuca i już nie mógł krzyżeć. A potem umarł.

Wydarzyło się to po dziewiątej, pewnej lipcowej nocy, może trzy mile od naszego domu, dokładnie na drugim krańcu miasta. A dziesięć po dziewiątej moja babcia Lucy wstała ze swego krzesła przy radiu. Podeszła do drzwi i wyszła w noc, w samej tylko koszuli i szalu, i popatrzyła w las. Poszedłem za nią i spytałem: — Panno Lucy, co się stało?

A ona nic nie odpowiadała, tylko szła, aż znalazła się w odległości około dziesięciu stóp od drzew i tam się zatrzymała.

I w ciemności, w lesie, ujrzałem światło. Nie zdawało się być niczym więcej niż płamą poświaty rzucanej przez księżyc, ale gdy spróbowałem odszukać go na niebie, nie dostrzegłem niczego, reszta lasu pozostawała ciemna. Odwróciłem się do babci Lucy i spojrzałem w jej oczy...

Louis przerwał i jego własne oczy przymrużyły się na chwilę, jak u człowieka przywołującego wspomnienie bólu, który dawno został zapomniany.

— Jej źrenice płonęły. W samym ich środku ujrzałem płomienie. Widziałem palącego się mężczyznę, jakby stał tuż przed nami, pod osłoną drzew. Ale gdy spojrzałem w ciemność, została tylko plama światła, i nic więcej.

A Lucy powiedziała: — Biedny, biedny, chłopcze. — I zaczęła płakać. I jej łzy, ten żal, zdawał się gasić płomień, bo widok palącego się mężczyzny blednął, aż całkiem znikł, a z nim także księżycowa poświata.

Babcia Lucy nigdy nie omawiała tego wydarzenia z nikim innym i mnie także poleciła trzymać usta na kłódkę. Ale myślę, że moja mama wiedziała. A przynajmniej, że jej mama posiada pewien wyjątkowy dar, nie dany nikomu innemu. Lucy potrafiła odnaleźć miejsca tak ciemne, że nikt inny nie umiałby ich odszukać ani nie chciałby w nie zajrzeć, stworzenia poruszające się wśród cieni i tych, którzy odchodzili ich także widziała.

Zamilkł. — To właśnie widzisz, Bird? — spytał łagodnie. — Cienie?

Poczułem chłód w końcach palców rąk i nóg. — Nie wiem...

— Bo ja pamiętam, co wydarzyło się w Luizjanie, Bird — ciągnął. — Widziałeś tam rzeczy niedostępne innym, ja wiem. Czulem ten dar w tobie, przerażał cię.

Wolno pokręciłem głową. Nie mogłem przyznać się do czegoś, w co sam nie chciałem uwierzyć. Czasem myślałem — może nawet miałem nadzieję — że utraciłem równowagę ducha z żalu, że odejście żony i dziecka wywołało u mnie chorobę, stałem się niestabilny emocjonalnie i psychicznie, i tak dręczony przez poczucie winy, że nachodziły mnie obrazy zmarłych, wyczarowane w chorym mózgu. A jednak wtedy zobaczyłem Jennifer i Susan, po spotkaniu z Tante Marie Aguiard w Luizjanie, po tym jak powiedziała mi, co im się przytrafiło, choć przecież nie mogła tego wiedzieć. Inni pojawili się później i przemawiali do mnie w mych snach.

Teraz, gdy widziałem Ritę, Donalda, moją Jennifer, gdy czulem dłoń Susan na ramieniu, na wpół miałem nadzieję, że dzieje się tak za przyczyną nadchodzącej rocznicy, a zapamiętany żal niczym robak wpełza w ukryte w mym mózgu miejsca i ponownie zaczyna proces destrukcji. A może to z powodu poczucia winy, spowodowanej pożądaniem Rachel Wolfe, i pragnienia szansy na rozpoczęcie od nowa.

Istnieje pewna forma narkolepsji, cierpiący na nią dosłownie śnią na jawie, niespokojne sny nachodzą ich podczas codziennych zajęć; rzeczywistość i świat wyobraźni stają się jednym, a krainy snu i przebudzenia kolidują ze sobą. Przez jakiś czas sądziłem, że może padłem ofiarą podobnej choroby, jednak głęboko w duszy wiedziałem, że to nie ten przypadek. Zeszły do mnie dwa światy, ale nie krainy snu i jawy. Nikt w tych światach nie spał, nikt nie odpoczywał.

Opowiedziałem trochę o tym stanie Louisowi, a on, niewzruszony, obserwował mnie z krzesła, z rogu pokoju. Czulem się trochę zażenowany wybuchem i ściąganiem go do wysłuchiwania mych majaczeń. — Może po prostu miałem złe sny, i to wszystko. Ale nic mi nie będzie, Louis, dzięki tobie wszystko się ułoży.

Spojrzał mi twardo w oczy, potem wstał i podszedł do drzwi.

— Zawsze służę pomocą. — Jeszcze zatrzymał się w progu. — Nie myśl, że jestem przesądny, Bird, nic podobnego. Ale wiem, co wydarzyło się tamtej nocy Czulem zapach spalenizny, palące się liście.

I z tymi słowami wrócił do siebie.

Śnieg dalej padał, na oknie kryształki zamieniały się w lód. Patrzyłem, jak się formują i myślałem o wnuczkach Cheryl Lansing, o Ricie Ferris i Garym Chute. Nie chciałem, by Ellen Cole dołączyła do nich. Ani Billy Purdue. Pragnąłem uratować tych, którzy pozostali.

Aby oderwać myśli, próbowałem czytać. Właśnie kończyłem biografię Earla Rochester, angielskiego dandysa z epoki Karola II, który piciem i prostytutkami wpędził się do wczesnego grobu, w międzyczasie pisząc wspaniałe wiersze. Przeczytałem ostatnie strony leżąc na łóżku, pod żółtym światłem ściennej lampy i w aż dźwięczącym w pokoju ciepłym powietrzu. Wychodziło na to, że w roku 1676 Rochester został zamieszany w zabójstwo konstabla i ukrywał się, przebrany jako znachor doktor Alexander Bendo, sprzedający lekarstwa produkowane z gliny, sadzy, mydła i kawałków starego muru naiwniakom z

Londynu; ci nigdy nie domyślili się prawdziwej tożsamości człowieka, któremu powierzali swe sekrety i najbardziej intymne części ciała swych żon.

Staremu Saulowi Mannowi spodobałby się Rochester, pomyślałem. Doceniłby element przebrania, możliwość, w razie potrzeby, przyjęcia przez jednego człowieka tożsamości innego i oszukującego właśnie tych, którzy go poszukiwali. Usnąłem przy delikatnym akompaniamencie uderzania płatków śniegu o szybę i śniłem o Saulu Mannie, otulonym płaszczem księżycy i gwiazd, z rozłożonymi przed sobą kartami, spokojnie oczekującego na rozpoczęcie się wielkiej gry.

E(MM MŁ

Tamtej nocy spadł pierwszy, obfity zimowy śnieg. Pokrył Dark Hollow i Beaver Cove, osiadł na jeziorze Moosehead, na Rockwood i Tarrati- ne. Przykrył warstwą białego lukru góry i zbocza Big Squaw i Kineo, Baker i Elephant. Zamienił Longfellows w białą szramę, przecinającą grzbiet Piscataquis. Niektóre z mniejszych stawów pozamarzały, oblekając się warstewką lodu, cienką i zdradziecką niczym ostrze zdrajcy. Biel osiadła brzemieniem na wiecznie zielonych krzewach, ziemia pod nimi leżała cicha, niepokoiona jedynie szurgotaniem gałęzi, niechętnie uginających się pod brzemieniem; zbite płatki opadały ciężko na zaspy, stary śnieg witał serdecznie swego młodszego brata. W moim śnie, niespokojnym, bez ładu i składu, śnieg padał wyraźnie, wyczuwałem zmianę w otoczeniu, gdy świat otulał się całunem, a noc czekała na odsłonięcie, przez wolno nadchodzące światło świtu, cudownej doskonałości dzieła zimy.

Wcześniej, nad ranem, usłyszałem śnieżny pług, przesuwający się główną ulicą, potem wolno jadące samochody, donośny dźwięk łańcuchów oplatających koła. W pokoju panował przeraźliwy chłód, krople wilgoci zmieniły szyby w potrzaskane na kawałeczki tafle; wystarczyło przesunąć po nich dłonią, a cudownie wracały do pierwotnego stanu. Wyglądałem na zewnątrz, na ślady samochodów, na pierwszych przechodniów śpieszących ulicami, z rękami głęboko w kieszeniach lub przyciśniętymi do boków; niezliczone warstwy swetrów i koszul, ciepłej bielizny i szali zmuszały do poruszania się z komiczną nienaturalnością, jak dzieci wciśnięte w nowe ubranka.

Z niepokojem podszedłem do łazienki, ale jej wnętrze zastałem ciche i czyste. Wziąłem prysznic, puściwszy strumień tak gorący i mocny, jak tylko mogłem wytrzymać, potem wytarłem się, i już szczekałem zębami, gdy tylko temperatura powietrza ochłodziła krople wody na moim ciele. Naciągnąłem dżinsy, wysokie buty, grubą, bawełnianą koszulę i ciemny, wełniany sweter, na wierzch założyłem kurtkę i rękawice i wyszedłem na rześkie, poranne powietrze. Pod stopami śnieg chrząścił i ugiął się, pozostawiałem za sobą ślady. Zastukałem mocno, dwa razy, do drzwi sąsiedniego domku.

— Wynoś się — usłyszałem głos Angela; ostrości jego wypowiedzi nie łagodził fakt, iż słowa przedarły się przez cztery warstwy koców Przez chwilę poczułem wyrzuty sumienia za zbudzenie ich poprzedniej nocy i starałem się nie rozmyślać o rozmowie, jaką odbyłem z Louisem.

— To ja Bird — wyjaśniłem.

— Wiem, sływaj.

— Idę do jadłodajni, tam się spotkamy.

— Prędzej chyba w piekle. Na dworze jest zimno.

— W środku jeszcze bardziej.

— Zaryzykuję.

— Za dwadzieścia minut.

— Jak sobie chcesz, tylko już sływaj.

Już kierowałem się w stronę jadłodajni, gdy zauważyłem coś dziwnego przy moim samochodzie. Z okna pokoju czerwona sylwetka auta wydawała się tylko częściowo

przysłonięta śniegiem, przez który przebijały błyski farby, zupełnie jakby ktoś już zdążył zabrać się do odśnieżania. Ale to nie dlatego biel na aucie została splamiona czerwienią.

Na przedniej szybie była krew. Także na masce; długa smuga prowadziła od przodu samochodu, poprzez drzwi kierowcy i tylną szybę, i wpadała do kałuży pod bagażnikiem. Kot miał otwarty pyszczek, język zwisał nad białymi ząbkami. W poprzek brzucha zwierzęcia ziała czerwona rana, ale większość krwi zdawała się już ścieknąć na samochód.

Z lewej strony usłyszałem, jak strzelają drzwi recepcji i ujrzałem nadchodzącą kierowniczkę. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

— Wezwałam już policję — oświadczyła. — W pierwszej chwili pomyślałam, że potrafił go pan samochodem, ale gdy zobaczyłam krew, zrozumiałam, że się myliłam. Któż wyrządziłby zwierzęciu coś podobnego? Co za osoba mogła czerpać przyjemność z zadania takiego bólu? — Znów zaczęła płakać.

— Nie wiem — powiedziałem.

Ale wiedziałem.

Wystarczyło zapukać trzy razy i Angel otworzył drzwi. Stał, trzęsąc się z zimna, gdy opowiadałem mu o kocie; Louis za jego plecami przysłuchiwał się w milczeniu.

— On tu jest — powiedział.

— Nie mamy co do tego pewności — odrzekłem, ale wiedziałem, że ma rację. Gdzieś w pobliżu czaił się Stritch.

Zostawiłem ich i poszedłem do jadalni. Było dziesięć po ósmej i w pomieszczeniu, niemal już całkiem wypełnionym stołownikami, w ciepłym powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i bekonu. Od strony kontuaru, a także z kuchni, dochodziły głośne rozmowy. Zauważyłem bożonarodzeniowy wystrój, coca-celowego Dziadka Mroza, świecidelka i gwiazdki. To będą moje drugie święta bez nich. Poczułem niemal wdzięczność do Billy'ego Purdue, a także może do Ellen Cole, za podarowanie mi czegoś, co zajmie moje myśli. Całą energię, jaką mogłem utopić w żalobie, w gniewie i poczuciu winy, w obawie przed rocznicą, teraz wkładam w poszukiwania tych dwojga. Ale wdzięczność, krótka i ulotna, stanowiła brzydką zdradę wobec osób, których sprawa dotyczyła, i poczułem do siebie wstręt na myśl, że wykorzystuję czyjeś cierpienia, by złagodzić własne.

Zająłem stolik i przyglądałem się przechodzącym ludziom. Gdy nadeszła kelnerka, zamówiłem tylko kawę. Widok kota i świadomość tropiącego nas Stritcha pozbawiły mnie apetytu. Zacząłem z uwagą lustrować twarze jedzących, jak gdyby Stritch w jakiś sposób zdołał się zmutować lub ukraść powłokę kogoś innego. Naprzeciw mnie kilku mężczyzn z przedsiębiorstwa drzewnego pochłaniało szynkę i jajka i rozmawiało o Garym Chute.

Słuchałem i uczyłem się, gdyż świat północnych bezdroży znalazł się w przededniu zmian. Obszar prawie stu tysięcy akrów lasu, własność pewnej europejskiej spółki, miał właśnie zostać poddany wycince. Tereny te, przetrzebione w latach trzydziestych i czterdziestych, zarosły na nowo. Przez ostatnie dziesięć lat spółka naprawiała drogi i mosty, przygotowywała je na czas, gdy ogromne ciężarówki do transportu kłód, wraz z przypominającymi pazury podnośnikami, ruszą na bezdroża, po sosny, świerki i jodły, dęby, klony i brzozy. Chute, absolwent Uniwersytetu Maine w Orono, należał do grupy pracowników odpowiedzialnych za skontrolowanie dróg, sprawdzenie wzrostu drzew i wyznaczenie granic wyřębu.

Przepisy leśne zmieniły się od ostatnich wycinek. Niegdyś przedsiębiorstwa ogałacały teren kompletnie, co powodowało gromadzenie się mułu, zabójczego dla ryb, przemieszczanie się zwierzyny oraz przyczyniało do powstawania poważnych erozji. Teraz przepisy nakazywały wycinanie drzew według wzoru szachownicy, należało także pozostawić połowę lasu na następne dwadzieścia, trzydzieści lat, by środowisko mogło się odnowić. Już ukazały się pierwsze ślady wczesnych wyřębów, gdzie jelenie i łosie będą karmić się jagodami, a wierzby i olchy wystrzelą w poszukiwaniu światła. Tak więc dni nienaruszonej, północnej puszczy zdawały się policzone, wkrótce ludzie i maszyny ruszą w jej głąb. Gary Chute był pierwszym

z wielu; obowiązki zawiodły go na tereny, na których nieliczni tylko postawili stopę przez całe dziesięciolecie.

Po drugiej stronie ulicy Lorna Jennings wysiadła z zielonego nissana; spod przewiązanej w pasie, białej, ocieplanej kurtki wystawały czarne, drelichowe spodnie i czarne botki do połowy łydki. Zastanawiałem się, jak długo tam jest; nie widziałem śladu gazu ulatniającego się z rury wydechowej, a mimo że na ulicy panował niewielki ruch, na odciski kół jej samochodu nałożyło się już wiele innych.

Stała przy chodniku, z rękami w kieszeni kurtki i patrzyła na lokal. Przesuwała wzrokiem po oknach, aż dotarła do miejsca, gdzie siedziałem z kubkiem kawy w ręce. Przez chwilę jakby się zastanawiała, potem przeszła przez drogę, weszła do jadłodajni i usiadła naprzeciw mnie, po drodze rozpinając kurtkę: czerwony golf ciasno opinał jej piersi. Gdy siadała, jedna czy dwie osoby spojrzały na nią, wymieniły uwagi.

— Budzisz zainteresowanie — stwierdziłem.

Zaczerwieniła się lekko. — Do diabła z nimi. — Usta miała delikatnie podkreślone różową szminką, włosy luźno opadały na kark, ich kosmyki, przypominające ciemne piórka z ptasiego skrzydła, muskały lewe oko. — Niektórzy już wiedzą, że byłeś tam ostatniej nocy, gdy znaleziono ciało. Zadają pytania, dlaczego.

Złożyła zamówienie i kelnerka przyniosła jej kawę i bułeczkę oraz, na osobnym talerzyku, kilka cienkich plasterków bekonu. Zanim się oddaliła, obrzuciła nas przebiegłym spojrzeniem. Lorna jadła bułkę, bez masła, trzymając ją w lewej ręce, podczas gdy prawą unosiła kawałki bekonu, które delikatnie ogryzała.

— I co myślą?

— Słyszeli, że szukasz jakiejś dziewczyny. Teraz zastanawiają się, czy miałeś coś wspólnego ze zniknięciem pracownika spółki drzewnej. — Umilkła i napiła się kawy. — No więc...?

— Ty pytasz czy Rand?

Skrzywiła się. — To cios poniżej pasa — powiedziała cicho. — Rand może sam zadawać swoje pytania.

Wzruszyłem ramionami. — Nie sędzę, by śmierć Chute'a nastąpiła wskutek wypadku, ale to sprawa dla lekarza sądowego. Nie widzę żadnego związku między nim a Ellen Cole.

Co nie było całkowitą prawdą. Łączyło ich Dark Hollow i ciemna linia drogi wiodącej przez puszcze, a na niej, nanizana niczym pojedynczy, czerwony koralik, śmierć Chute'a.

— Ale były też inne zgony, niektóre z nich mają coś wspólnego z gościem o nazwisku Billy Purdue. Kiedyś był jednym z chłopców Meade'a Payne'a.

— Sądysz, że może tam teraz być?

— Myślę, że mógł próbować dotrzeć do Payne'a. Szukają go tacy różni, bardzo źli ludzie. Zabrał pieniądze, które nie należały do niego, i teraz ucieka, śmiertelnie przerażony. Chyba Meade Payne jest jednym z nielicznych, którym może ufać.

— A co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

— Załatwiałem pewną sprawę dla jego żony, byłej żony. Nazywała się Rita Ferris. Miała syna.

Lorna zmarszczyła czoło, potem na moment przymknęła oczy i kiwnęła głową, gdy przypomniała sobie, z czym kojarzy jej się to nazwisko.

— Kobieta i dziecko, którzy zginęli w Portland, to oni, prawda? A ten Billy Purdue to jej były mąż?

— Aha, zgadza się.

— Mówią, że zamordował własną rodzinę.

— Mylą się.

Przez chwilę milczała, potem znów odezwała się: — Wydajesz się bardzo tego pewny.

— On nie był typem mordercy.

— A ty niby znasz ten „typ”? — Teraz obserwowała mnie uważnie. W jej oczach ukazały się sprzeczne emocje. Czuję je, emanujące z niej, tak jak wyczuwałem śnieg miękko padający nocą: ciekawość, współczucie i jeszcze coś, co pozostawało uśpione przez wiele lat, jakieś powstrzymywane uczucie, które teraz stopniowo się odsłaniało. Zaprzagnąłem oddalić się od niej. Niektóre sprawy najlepiej pozostawić przeszłości.

— Tak, znam ten typ.

— Znasz, bo zabijałeś ich.

Nim odpowiedziałem, zawahałem się przez ułamek sekundy. — Tak.

— I tym się właśnie obecnie zajmujesz?

Uśmiechnąłem się smutno. — To jakby część całości.

— Czy oni zasłużyli na śmierć?

— Nie zasługiwali, by żyć.

— To nie to samo.

— Niewątpliwie.

— Rand wie o tobie wszystko — oznajmiła, odsunawszy od siebie resztki jedzenia. — Mówił o tobie wczoraj wieczorem. A raczej wrzeszczał, ja też. — Napila się kawy. — Chyba się ciebie boi. — Patrzyła na ulicę, unikając mego wzroku, obserwowała moje odbicie w szybie. — Wiem, co on ci zrobił w tej męskiej toalecie. Zawsze wiedziałam. Przykro mi.

— Byłem młody, rany się zagoiły

Zwróciła do mnie twarz. — Moje nie — powiedziała. — Ale nie mogłam od niego odejść, nie wtedy. Wciąż go kochałam albo tak mi się wydawało. I byłam na tyle młoda, by wierzyć, że dano nam jeszcze szansę. Próbowaliśmy mieć dzieci. Sądziliśmy, że w ten sposób uda nam się coś naprawić. Straciłam dwoje, Bird, ostatnie trzy lata temu. Nie sądzę, bym mogła donosić ciążę. Okazałam się całkiem do niczego, nie potrafiłam nawet dać mu dziecka...

Ściągnęła wargi i odrzuciła włosy z czoła. Jej oczy patrzyły martwo.

— A teraz marzę, by odejść, ale jeżeli to zrobię, zostanę z niczym. Taki zawarliśmy układ i być może tak powinno być. On chce, bym została, względnie tak twierdzi, aleja wiele nauczyłam się przez ostatnie lata. Dowiedziałam się, że mężczyźni odczuwają głód. Pragną i pożądają, a po pewnym czasie przechodzi im łaknienie i pragnienie tego, co już posiadają, więc muszą szukać gdzie indziej. Widziałam, jak on patrzy na inne kobiety, na dziewczęta w obcisłych sukienkach, gdy idą przez miasto. On wierzy, że dzięki jednej z nich spełni swe największe marzenie, zdobędzie to, czego tak bardzo pragnie, ale nic z tego, one okazują się bezużyteczne, i wtedy on powraca i błaga o wybaczenie, przysięgając, że już wszystko pojął. Ale zrozumienia starcza mu tylko na tak długo, jak długo dokuczają mu poczucie winy, a potem ono milknie, i on zaczyna od nowa... Mężczyźni są tacy głupi, tak bardzo zaabsorbowani sobą. Każdy myśli, że jest inny, że jego pragnienie, ta pustka w nim, jest wyjątkowa i usprawiedliwia jego postępowanie. Ale tak nie jest, i wtedy on zarzuca kobiecie, że go ogranicza, jakby bez niej było mu lepiej, jakby mógł mieć więcej. I ten głód narasta, i wcześniej czy później zaczyna zżerać się sam, i cała ta smutna historia rozpada się, jak mięśnie i ścięgna odpadają, oddzielone od kości.

— A kobiety nie mają pragnień? — zapytałem.

— O tak, my też pragniemy. I przez większość czasu umieramy z głodu. Ty również jesteś wygłodniały, Charlie Parkerze. I pragniesz być może więcej niż ktokolwiek inny. Kiedyś chciałeś mnie, bo byłam inna, starsza i dlatego, że byłam dla ciebie owocem zakazanym, który jednak potoczył się z drzewa. Pragnąłeś mnie, bo wydawałam się nieosiągalna.

— Bo cię kochałem.

Lorna uśmiechnęła się na wspomnienie przeszłości. — Zostawiłbyś mnie. Może nie od razu — może minęłyby lata — ale odszedłbyś. Gdybym się postarzała, pokazałyby się zmarszczki, wyschłabym i nie mogła mieć dzieci, gdyby jakaś ślicznotka pojawiła się w pobliżu i rzuciła ci uśmiech, zacząłbyś myśleć: „wciąż jestem młody, stać mnie na coś

więcej", i wtedy byś odszedł albo zdradził, i potem wrócił skruszony. A ja nie mogłabym znieść tego bólu, Charlie, nie od ciebie. Umarłabym. Zwinęłabym się w kłębek i umarła od wewnątrz.

— Ale to nie powinno być powodem, dla którego z nim zostałeś... — Urwałem, bo nic dobrego nie mogło wynikać z tej rozmowy. — Tak czy owak, to przeszłość. Co było, to było.

Odwróciła ode mnie wzrok, na jej czole pokazały się zmarszczki cierpienia. — Czy kiedykolwiek zdradziłeś żonę? — spytała.

— tylko z butelką.

Roześmiała się cicho i spojrzała na mnie spod opadających na czoło włosów. — Sama nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej niż z kobietą. Chyba gorzej. — Uśmiech zniknął, ale w jej oczach pozostała czułość. — Byłeś pełen bólu, Bird, nawet wtedy. Ile zebrałeś go od tamtej pory?

— Nie z własnego wyboru, ale byłem winny wydarzeń, które go spowodowały.

Wydawało się, jakby wszyscy wokół nas rozplęnęli się, zmienili w cienie, a niewielki krąg dziennej jasności, otaczającej stół, reprezentował granicę świata, za którą znajdowała się ciemność, a w niej spłwiałe postacie, poruszające się i połyskujące jak duchy gwiazd.

— A co robiłeś, Bird? — Poczulem delikatny dotyk jej dłoni.

— Jak sama wiesz, krzywdziłem ludzi. A teraz staram się to wynagrodzić.

I z mgły wokół nas zdawały się przybliżać postacie, i nie były to sylwetki ludzi jedzących posiłek w jadalni małego miasteczka, plotkujących i bliskich sobie w tej zamkniętej społeczności. To cienie utraconych i przeklętych, a między nimi i tych, których kiedyś nazywałem przyjacielem, kochanką, dzieckiem.

Lorna wstała i wokół nas bar znów ożył, a upiory przeszłości stały się rzeczywistością teraźniejszości. Spojrzała na mnie z góry, dłoń paliła mnie delikatnie w miejscu, gdzie przed chwilą mnie dotykała.

— Co było, to było — powtórzyła moje słowa. — Tak właśnie o mnie myślisz?

Linie między naszą przeszłością a teraźniejszością zamazały się, rozdrapywaliśmy stare rany, które już dawno powinny były się zagoić. Nie odpowiedziałem, więc narzuciła kurtkę, wyjęła z torebki pięć dolarów i położyła na stole. Potem odwróciła się i odeszła, pozostawiając lekki zapach perfum i wspomnienie dotyku, niczym obietnicę złożoną, ale nie spełnioną. Wiedziała, że Rand dowie się, iż widziano nas razem, i jak długo rozmawialiśmy przy stoliku. Chyba nawet wtedy prowokowała go; nas obu. Niemal słyszałem tykanie zegara, odmierzającego godziny i minuty przed ostateczną destrukcją jej małżeństwa.

Właśnie dotarła do drzwi, gdy otworzyły się i Angel z Lousem weszli do lokalu. Spojrzeli na mnie, a ja kiwnąłem im głową. Lorna jeszcze dostrzegła mój gest i uśmiechnęła się do nich. Usiedli naprzeciw mnie i patrzyli, jak żona Randa przechodzi przez ulicę i kieruje się na północ, w tej swojej białej kurtce, z głową opuszczoną jak łabędź.

Angel zamówił dwie kawy i, w oczekiwaniu na ich przybycie, pogwizdywał cicho: The Way We Were.

Gdy już zjedli śniadanie, dokładnie omówiliśmy odkrycie ciała Chu-te'a poprzedniej nocy i zastanawialiśmy się nad planem dnia. Louis miał udać się nad jezioro i wyszukać miejsce, z którego dalej obserwowałby dom Payne'a, gdyż poprzedniego wieczora wywiad nie dał żadnych rezultatów. Przedtem miał zostawić Angela w Greenville, gdzie na stacji benzynowej wynajęliśmy starego plymoutha. Z Greenville Angel pojedzie do Rockwood, Seboomook, Pittston Farm i Jackman, West Forks i Bingham, do wszystkich miast na południowy zachód od Moosehead Lake. Mnie przypadło Monson, Abbot Village, Guilford i Dover-Foxcroft na południe i południowy wschód. W każdym mieście mieliśmy pokazywać fotografie Ellen Cole, sprawdzać w sklepach i motelach, kawiarniach i kantynach, barach i biurach informacji turystycznej. Gdzie tylko możliwe, należało rozmawiać z miejscowymi przedstawicielami

prawa, a także ze starcami, przesiadującymi na swych ulubionych miejscach w barach i kantynach, z tymi, którzy z pewnością zauważyliby obcych w mieście. Zapowiadała się męcząca, frustrująca, ale niezbędna robota.

Zauważyłem, że Louis, jakiś nieswój, wciąż omiata wzrokiem jadalnię i ulicę.

— On nie napadnie na nas podczas dnia — stwierdziłem.

— Mógł nas dopaść wczoraj w nocy.

— Ale nie zrobił tego.

— Chce, byśmy wiedzieli, że tu jest. Rozkoszuje się strachem innych...

Więcej już o nim nie rozmawialiśmy.

Przed wyruszeniem do wyznaczonych mi miast postanowiłem pojechać drogą, którą Ellen i jej chłopak mogli wyruszyć w dniu, gdy wyjeżdżali z miasta. Zatrzymałem się jeszcze przy stacji obsługi i poleciłem mechanikowi założyć na mustanga łańcuchy. Nie byłem pewny, jak złe mogą okazać się warunki dalej na północ.

Jadąc, wciąż rzucałem okiem w lusterko, świadom, że Stritch może znajdować się gdzieś w okolicy, ale nie jechał za mną żaden samochód i nikogo nie minąłem na drodze. Kilka mil za miastem zobaczyłem znak zapowiadający miejsce widokowe. Droga prowadziła tam stromo pod górę i mustang z wysiłkiem pokonywał zakręt. W jednym punkcie dwie mniejsze odnogi odbijały na wschód i na zachód, ale trzymałem się głównej, aż dotarłem do małej przestrzeni parkingowej i wyjrzałem na rozpościerające się przede mną wzgórze i górę, z jeziorem Ragged błyszczącym na zachodzie i parkiem stanowym Baxter i Katahdin widniejącymi na północnym wschodzie. Parking był ostatnim ogólnodostępnym miejscem. Dalej prowadziły już tylko trakty wykorzystywane przez firmę drzewną, zbyt wyboiste dla większości samochodów. Okolica wręcz szokowała bielą, zimnem i pięknem. Zrozumiałem, dlaczego kobieta z motelu wysłała ich tutaj, wyobrażałem sobie, jak cudownie wyglądało skapanie w złocie jezioro.

Wróciłem do krzyżówki, skąd na wschód prowadziła droga grubo pokryta śniegiem. Wiła się prawie milę, nim zakończyła się powalonymi drzewami i gęstymi krzakami. Po obu stronach wznosił się gęsty las, drzewa niemal czarne na tle śniegu. Zawróciłem i ruszyłem odnogą prowadzącą na zachód, która stopniowo skręcała na północny zachód, by objechać brzeg stawu. Miał może milę długości i pół szerokości, był obrośnięty szkieletami buków i grubymi sosnami. Na zachodnim brzegu, wśród drzew, wiła się wąska ścieżka. Zostawiłem samochód i poszedłem nią; nogawki dżinsów szybko zrobiły się ciężkie, mokre.

Szedłem może z dziesięć minut, gdy poczułem zapach dymu i usłyszałem szczekanie psa. Skręciłem ze ścieżki i wspiałem się po wzgórzu leśną przecinką; na szczycie ujrzałem mały dom, szeroki może na dwie izby. Miał nisko zwisający dach, wąską werandę i kwadratowe okna o czterech szybkach, z framug obłaziła stara farba. Sam budynek mógł kiedyś być biały, ale obecnie kolor spełził niemal wszędzie, zostały tylko smugi pod okapem i na framugach okien. Trzy czy cztery obszerne, gumowe pojemniki na odpadki, takie, jakich używa się do przetwarzania śmieci, stały po jednej stronie domu. Po drugiej widać było starą, żółtą furgonetkę marki Ford. Pordzewiały kadłub niebieskiego oldsmobila, bez opon, z szybami zalepionymi brudem, stał jakieś pięć kroków od forda. Zauważyłem, że w środku coś się rusza, i po chwili mały, czarny kundel, z uciętym ogonem i wyszczerzonymi zębami przez otwarte okno wyskoczył z tylnego siedzenia i szybko biegł w moim kierunku. Zatrzymał się tuż przede mną i głośno zaszczekał.

Drzwi domu otworzyły się i pokazał się w nich stary mężczyzna z rzadką bródką. Miał na sobie niebieski dres i długie, czerwony deszczowiec. Włosy długie, splątane, dłonie niemal czarne od brudu. Widziałem je wyraźnie, bo trzymał w nich remingtona A-70, wycelowanego prosto we mnie. Na widok starca pies zaszczekał głośniejsze i bardziej zajadle, gwałtownie machał resztką ogona.

— Czego tu szukasz? — zapytał stary, a raczej wymamrotał. Jedna strona jego ust pozostała nieruchoma i domyśliłem się, że miał uszkodzony mięsień twarzy.

— Szukam kogoś, młodej kobiety, która być może pojawiła się w tej okolicy kilka dni temu.

Stary wykrzywił się szyderczo, odsłaniając poźółkłe, niekompletne zarówno u góry jak i u dołu zęby.

— Nie ma tu już żadnych młodych kobiet — rzucił, nie odwracając ode mnie wylotu strzelby — już nie ten wygląd.

— Blondynka, jakieś pięć stóp i pięć cali. Nazywa się Ellen Cole.

— Nie widziałem ich — powiedział stary i potrząsnął ku mnie strzelbą. — A teraz wynoś się z mojej ziemi.

Nie drgnąłem. Pies wyskoczył i kłapnął nogawkę mych spodni. Korciło mnie, by go kopnąć, ale wiedziałem, że wtedy natychmiast ugryzie mnie w nogę. Nie odrywałem oczu od starego i zastanawiałem się nad jego słowami.

— „Ich”? Wspomniałem tylko o dziewczynie.

Stary aż zmrużył oczy uświadomiwszy sobie ten błąd. Załadował strzelbę, a dźwięk doprowadził psa do szaleństwa. Kundel złapał mokry koniec mej nogawki i wbił się w nią białymi, ostrymi kłami.

— Mówię poważnie, człowieku — rzekł. — Odejdź i nie wracaj, albo zastrzelę cię i zaryzykuję z prawem. — Gwizdnął na psa. — No chodź, mały, nie chcę, by stała ci się krzywda. — Pies w jednej chwili odwrócił się i pobiegł do plymoutha, mocnymi łapami pomagając sobie przecisnąć się przez okno. Obserwował mnie potem z przedniego siedzenia, nie przestając szczeekać.

— Nie sprawiaj, bym musiał wracać, stary — rzuciłem spokojnie.

— Przede wszystkim nie zapraszałem cię tu i z pewnością nie zależy mi, byś wracał. Nie mam ci nic do powiedzenia. A teraz mówię po raz ostatni: wynoś się.

Wzruszyłem ramionami i odszedłem. Nic więcej nie mogłem zrobić, nie ryzykując, że odstrzeli mi głowę. Odwróciłem się i ujrzałem, że wciąż stoi na werandzie, że strzelbą w dłoniach. Miałem do pogadania z innymi osobami, ale wiedziałem: muszę tu wrócić i jeszcze raz porozmawiać ze starym. ' ,

I to był mój pierwszy błąd.

mmwMŁi

BWtEJBOTOW

Po opuszczeniu starego pojechałem na południe. Jego słowa nie dawały mi spokoju. Może nie miały znaczenia; w końcu mógł widzieć Ellen i Ric-ka w miasteczku, a wiadomość o ich zaginięciu szybko się rozchodziła, dotarła nawet na to jego odludzie. Gdyby okazało się jednak, że w tym, co mówił, tkwi coś więcej, wiedziałem, gdzie go szukać w razie potrzeby.

Objechałem okoliczne miejscowości, dłużej niż w innych zatrzymując się w Guilford i Dover-Foxcroft, ale niczego się nie dowiedziałem. Z budki telefonicznej zadzwoniłem do Martela w Greenville, a on przystał na spotkanie u Św. Marty, by pomóc mi dogadać się z dyrektorem, doktorem Ry leyem, z którym chciałem porozmawiać o Emily Watts.

I o Calebie Kyle'u.

— Podobno rozpytujesz o tę Cole — powiedział, gdy już miałem się rozłączyć.

Zdziwiłem się: odkąd przybyłem do Dark Hollow, nie kontaktowałem się z nim. Wyczuł moje zaskoczenie.

— Hej, to mała mieścina, wiadomości rozchodzą się szybko w naszej okolicy! Dziś rano dzwoniło do mnie z Nowego Jorku i pytano o zaginioną.

— Kto taki?

— Jej ojciec — ciągnął Martel — wraca tu. Najwyraźniej stał się z Randem Jenningsem, który kazał mu trzymać się z dala od Dark Hollow, jeżeli chce pomóc córce. Cole zadzwonił

do mnie po informacje, których nie zdobył od Jenningsa. Prawdopodobnie telefonował także do szeryfa hrabstwa.

Westchnąłem. Postawić Walterowi Cole'owi ultimatum, to jakby kazać deszczowi padać w górę.

— Powiedział, kiedy tu będzie?

— Chyba jutro. Zapewne zatrzyma się u nas, nie w Dark Hollow. Mam cię poinformować, gdy się pojawi?

— Nie trzeba — odrzekłem — wiadomość sama do mnie dotrze. — Przedstawiłem mu pokrótce, co wiem o sprawie, i wyjaśniłem, że zajmuję się nią na prośbę Lee, nie Waltera. Martel cicho parsknął śmiechem.

— Ponoć byłeś także obecny przy odnalezieniu zwłok Gary'ego Chu- te'a. Ależ skomplikowane wieszysz życie!

— Znacie już więcej szczegółów?

— Daryl zawiódł strażnika na miejsce gdzie, jak sądzi, znalazł Chu- te'a — podobno cholernie ciężko było tam dotrzeć — a jak tylko przetrą szlak, sprowadzą samochód i oddadzą do oględzin. Ciało jedzie właśnie do Augusty, na sekcję. Według współpracownika Jenningsa, wpadł tu dzisiaj rano, jego szef twierdzi, że ślady na ciele ofiary wskazują na pobicie przed śmiercią. Zamierzają przesłuchać żonę zabitego, może miała dość męża i wysłała kogoś, by się nim zajął.

— Nie najmocniejsza teoria.

— Rzeczywiście słaba — przyznał. — Zobaczymy się w ośrodku.

Gdy przybyłem do Św. Marty, samochód Martela stał już zaparkowany obok głównego wejścia, a on i doktor Ryley czekali na mnie w recepcji.

Doktor był mężczyzną w średnim wieku, z uzębieniem w doskonałym stanie, w dobrze skrojonym garniturze i o oślizłych manierach sprzedawcy trumien. Podał mi na powitanie miękką, wilgotną dłoń i ledwie powstrzymałem się od wytarcia ręki o dzinsy. Nietrudno było zrozumieć, czemu Emily Watts do niego strzeliła.

Nie omieszkał wyrazić swego żalu z powodu nieszczęśliwego zajścia i poinformował nas o nowych krokach, jakie podjął w celu zapewnienia w ośrodku bezpieczeństwa: sprowadzały się do zamykania drzwi na klucz i chowania wszelkich przedmiotów, które mogłyby zostać użyte do pozbawienia strażnika przytomności. Po krótkiej wymianie uprzejmości z Martelem przystał na moją rozmowę z panią Schneider, kobietą zajmującą pokój obok zmarłej Emily Watts. Martel postanowił poczekać w holu, byśmy nie wystraszyli starej damy, pojawiając się zespołowo. Usiadł, czubkiem buta przyciągnął przed siebie drugie krzesło, wsparł na nim stopy i zdawał się pogrążyć we śnie.

Pani Erica Schneider okazała się niemiecką Żydówką, która w roku 1938 uciekła z mężem do Ameryki. Był jubilerem i przywiózł ze sobą wystarczającą ilość drogich kamieni, by założyć w Bangor firmę. Żyli sobie wygodnie, jak mi powiedziała, przynajmniej do czasu jego śmierci, ale później zaczęły napływać nie popłacone rachunki, które ukrywał przed nią przez prawie pięć lat. Musiała sprzedać dom i większość ruchomości, wreszcie, w wyniku stresu, rozchorowała się. Dzieci umieściły ją w ośrodku, dowodząc, iż większość z nich mieszka w okolicy i może ją odwiedzać, co wcale nie oznacza, jak powiedziała, by któreś do niej wpadło. Czas upływa jej głównie na oglądaniu telewizji i czytaniu lub spacerach po okolicy zakładu, gdy pogoda pozwala.

Usiadłem obok niej w małym, schludnym pokoiku, ze starannie zaścielonym łóżkiem, pojedynczą szafą pełną dawno niemodnych, ciemnych ubrań, toaletką z ograniczoną ilością kosmetyków, których używała każdego ranka. Stara kobieta spojrzała na mnie i wypaliła: — Mam nadzieję, że niedługo już umrę. Chcę opuścić to miejsce.

Nie wiedziałem, jak zareagować; czyż mogłem się z nią nie zgodzić? Powiedziałem natomiast: — Pani Schneider, wszystko, co zostanie tu powiedziane, będę starał się zachować

między nami, ale muszę wiedzieć: czy zadzwoniła pani do mężczyzny o nazwisku Willeford, do Portland i rozmawiała z nim o Emily Watts?

Milczała. Przez moment zdawała się bliska łez, bo odwróciła wzrok i jakby miała kłopot z oczami. Znowu przemówiłem:

— Pani Schneider, naprawdę potrzebuję pani pomocy Zamordowano kilka osób, zaginęła młoda dziewczyna, i myślę, że te wypadki mają w jakiś sposób związek z Emily Watts. Jeżeli może mi pani powiedzieć cokolwiek, co mogłoby mi pomóc zakończyć tę sprawę, naprawdę byłbym pani wdzięczny

Chwyliła końce sznura od szlafroka, zwijała je, na twarzy ukazał się grymas bólu. — Tak — odpowiedziała w końcu. — Chciałam jej pomóc. — Pociągnięty mocniej sznur zacisnął się wokół jej dłoni, a w głosie kobiety zabrzmiał strach, jakby ta pętla otaczała jej szyję. — Była taka smutna.

— Dlaczego, pani Schneider, skąd ten smutek?

Dłonie wciąż szarpały sznur. Wreszcie odpowiedziała: — Pewnej nocy, może rok temu, zaskoczyłam ją, gdy płakała. Podeszłam, przytuliłam ją i wtedy zwierzyła mi się. Powiedziała mi, że to urodziny jej dziecka — chłopca, twierdziła, którego bała się zatrzymać...

— Czego ona się obawiała, pani Schneider?

— Mężczyzny, który spłodził to dziecko. — Przełknęła ślinę i spojrzała w stronę okna. — Co mogłoby zaszkodzić mówienie o tym teraz? — szepnęła, bardziej do siebie niż do mnie, potem znowu odwróciła się do mnie. — Wyznała, że gdy była młoda, jej ojciec... to bardzo zły człowiek, panie Parker. Bił ją i zmuszał do takich rzeczy... pan rozumie? Do seksu, ja? Nawet kiedy dorosła, nie pozwolił jej odejść, wciąż pragnął mieć ją przy sobie.

Skinąłem głową, ale milczałem, bo kolejne słowa wypadały z niej niczym szczury z worka.

— Potem pojawił się w mieście pewien mężczyzna, zalecał się do niej i wziął ją do łóżka. Nie opowiedziała mu o seksie, ale w końcu wyznała o biciu. I ten człowiek odnalazł jej ojca w barze i pobił go, i zapowiedział, że jeżeli dotknie jej ponownie, zabije go. — Stara kobieta podkreślała każde słowo ruchem palca, dla większego efektu oddzielała sylaby. — Iz tego powodu zakochała się w tamtym mężczyźnie.

Ale coś z nim było nie tak, panie Parker, tutaj — dotknęła głowy —

I tutaj. — Palec przesunął się na serce. — Nie wiedziała, gdzie mieszka i skąd pochodzi. Odnajdywał ją, gdy jej chciał. Czasami nie było go kilka dni, znikał nawet na całe tygodnie. Gdy wracał, woniał drewnem i roślinnością, a raz miał krew na ubraniu i pod paznokciami. Twierdził, że samochodem śmiertelnie potracił jelenia. Innym razem znowu, że polował. Podał dwie różne przyczyny i ona zaczęła się bać.

Właśnie wtedy zaginęły dwie młode dziewczyny, panie Parker. Pewnego razu, gdy z nim była, poczuła od niego zapach innej kobiety. Także na szyi miał zadrapania, zadane jakby czyjąś ręką. Pokłócili się wtedy, twierdził, że ona wyobraża sobie niestworzone rzeczy, a zadrapał się gałęzią. Ale ona wiedziała, że to on, panie Parker. Że porwał te dziewczyny, tylko nie rozumiała, dlaczego. W tym czasie zaszła z nim w ciążę i on o tym wiedział. Bała się mu przyznać, ale wiadomość najwyraźniej niezwykle go uradowała. Pragnął syna, panie Parker. Tak jej powiedział: „Chcę syna.”

Jednak ona nie oddałaby dziecka takiemu mężczyźnie, tak mi powiedziała. Coraz bardziej się bała. A on strasznie czekał na to dziecko, panie Parker. Wciąż wypytywał ją o nie, ostrzegał, by nie zrobiła nic, co by mogło płodowi wyrządzić krzywdę. Jednak nie było w nim miłości, a jeżeli nawet, to jakaś dziwna, niedobra. Emily pojęła, że on zrobi wszystko, by odebrać jej dziecko, i już nigdy maleństwa nie zobaczy. I wiedziała, że jest złym człowiekiem, nawet gorszym od jej ojca.

Pewnego wieczoru, gdy była z nim, w jego pickupie, w pobliżu domu ojca, powiedziała mu, że dostała bólów. W toalecie na zewnątrz miała przygotowaną gazetę, a w niej... — Pani Schneider szukała słów. — Wnętrznosci, krew, odchody, rozumie pan? I z płaczem

posmarowała się krwią, włożyła odpadki do miski klozetowej, potem zawołała go i oznajmiła o stracie dziecka.

Pani Schneider znów przerwała, wzięła z łóżka koc i otuliła przed zimmem ramiona.

— Gdy mu to powiedziała, myślała, że ją zabije. Wył, panie Parker, jak dzikie zwierzę, złapał ją za włosy, szarpał i bił bez końca. Nazwał ją słabą i bezwartościową. Oskarżał o zabicie jego dziecka. Potem odwrócił się i odszedł, i słyszała, jak w komórce szuka czegoś wśród narzędzi, które jej ojciec tam trzymał. Na brzęk noża uciekła w las. Pobiegnął za nią, słyszała, jak przedzierał się między drzewami. Zamarła bez ruchu, niemal nie oddychała, a on przeszedł obok i już nigdy nie powrócił...

Później znaleźli te dziewczyny zwisające z drzewa i ona wiedziała, że to on je tam zostawił. Ale już nigdy go nie zobaczyła. Schroniła się u sióstr, u Św. Marty i myślę, że zwierzyła się im, przed czym ucieka. Została u nich, aż urodziła chłopca, potem zabrały dziecko. Nigdy już całkiem nie wróciła do siebie. Po wielu latach siostry znów zaopiekowały się nią. Gdy ośrodek sprzedano, tę niewielką ilość pieniędzy, jaką miała, wpłaciła, by tu zostać. To nie jest drogi dom, panie Parker. Chyba pan widzi. — Gestem dłoni wskazała na swój skromny, mały pokój. Skórę miała cienką jak papier, promienie słońca niczym miód przeciekały między jej palcami.

— Pani Schneider, czy panna Emily podała pani nazwisko ojca dziecka?

— Nie wiem... — odrzekła.

Westchnąłem cicho, ale zaraz uświadomiłem sobie, że nie dałem jej czasu dokończyć, co miała do powiedzenia.

— Znam tylko imię — dodała. Dłonią zakreślała w powietrzu przede mną niewielkie kręgi, jakby wyczarowując imię z przeszłości. — Mówiła o nim: Caleb.

Pada śnieg, wszystko się miesza; zamieć wspomnień. Młode dziewczęta obracają się na wietrze, mój dziadek patrzy na nie i wzbiera w nim gniew i żal, a woń rozkładu okrywa go ciasno niczym gnijący płaszcz. Spoglądał na nie, sam ojciec i mąż, i rozmyślał o tych wszystkich młodych mężczyznach, których one już nie pocałują; o oddechu kochanków, którego głęboką nocą już nie poczują na policzkach; o mężczyznach, którym swym ciałem nie podarują spokoju i spełnienia. O dzieciach, których nie będą miały, gdyż ich potencjał tworzenia nowego życia na zawsze został wygaszony; o ziejących pustką otworach w ich brzuchach, z których wydarto łona. W każdej z nich istniały niewyobrażalne możliwości. Wraz z ich śmiercią niekończący się łańcuch istnień urwał się, potencjalne światy na zawsze zostały stracone, a uniwersum skurczyło się nieco wraz z ich odejściem.

Wstałem i podszedłem do okna. Warstwa śniegu sprawiała, iż ziemia straciła posepny wygląd, a drzewa stały się mniej nagie. Cóż, to tylko iluzja, sprawy pozostały takimi, jakimi były, zmiany zachodzące w przyrodzie mogą ukryć ich prawdziwą treść tylko na jakiś czas. I pomyślałem o Calebie, zanurzającym się w dodającą otuchy ciemność lasu, gdy szalał z powodu śmierci swego nienarodzonego dziecka, zdradzonego przez zbyt wątłe, zbyt słabe ciało kobiety, którą chronił, a potem zapłodnił. Wziął po niej trzy inne, jedną po drugiej, w krótkich odstępach czasu, wypełniając swój gniew aż do końca; potem powiesił je na drzewie niczym ozdoby, by znalazł je człowiek zupełnie od niego różny, tak dalece od niego oddalony, że śmierć każdej z tych młodych kobiet przyjął jak osobistą stratę. Gdyż w świecie Caleba rzeczy zmieniały się w swe przeciwieństwa: stworzenie w zniszczenie, miłość w nienawiść, życie w śmierć.

Pięć zgonów, a brakowało sześciu dziewczyn; o losie jednej nie dowiedziano się nigdy. W aktach zebranych przez mego dziadka jej imię zostało podkreślone na pliku stron, na których dokładnie zrekonstruowano jej ruchy w dniu, w którym zaginęła. W rogu przypięto jej zdjęcie: pulchna, niezbyt ładna, Judy Mundy, odznaczająca się odpornością, przekazaną przez Pokolenia ludzi zmagających się z nędzną, niewiele obiecującą ziemią, którzy potrafili wycisnąć z niej podstawy swej egzystencji. Judith Mundy, zaginiona i już zapomniana, przez

wszystkich poza rodzicami; ci zawsze będą odczuwać jej nieobecność jak otchłań, w której wykrzykują jej imię, a nawet echo nie odpowiada.

— Dlaczego ten człowiek miałby wyrządzić coś podobnego tym dziewczętom? — zapytała pani Schneider, a ja nie znalazłem odpowiedzi. Latami patrzyłem w twarze tych, którzy mordowali, i wciąż nie znalazłem odpowiedzi, czemu to robili. Żałowałem utraty Waltera Cole'a jako kolegi. I właśnie on, bezpieczny w poczuciu własnej prawości, potrafił zajrzeć w głąb samego siebie, dostrzec to, co niewłaściwe: wczesne objawy zła, guz, pierwsza chora komórka, z której rak może rozpanoszyć się na cały organizm. Był niczym matematyk, do końca oderwany od rozpracowywanego problemu, a umiejący przenieść prosty, zwyczajny kwadrat w inne wymiary i przestrzenie, poza płaszczyznę, na której figura się znajduje.

Stąd brała się jego siła, ale także, według mnie, w tym tkwiła jego słabość, bo nie zaglądał wystarczająco głęboko, z obawy przed tym, co mógłby znaleźć w sobie: zdolność do popełnienia zła. Zbyt opierał się impulsowi rozgryzienia do końca własnej osoby, aby móc innych zrozumieć lepiej. Zrozumienie oznacza przyjęcie do wiadomości możliwość popełnienia zarówno zła, jak i dobra, a nie sądzę, by Walter Cole chciał uznać siebie za zdolnego, w jakiegokolwiek dziedzinie, do czegoś naprawdę złego. Gdy ja popełniłem czyny, które on uznał za moralnie nie do przyjęcia, gdy dopadłem złoczyńców, sam czyniąc zło, Walter zerwał ze mną, choć przecież to on wysłał mnie do odnalezienia tych osobników i wiedział, co zrobię, gdy ich znajdę. Dlatego już nie byliśmy przyjaciółmi: ja uznałem moją winę, złe cechy, ukryte głęboko we mnie, które wydobyłem i wykorzystałem: ból, gorycz, poczucie winy, pragnienie zemsty. Może za każdym razem, gdy czyniłem zło, zabijałem jakąś część samego siebie; może to cena, którą musiałem zapłacić. Ale Walter był dobrym człowiekiem i, jak u wielu mu podobnych, jego słabość tkwiła w przekonaniu, iż jest lepszy od innych.

Pani Schneider znów przemówiła: — Myślę, że to przez matkę — szepnęła.

Oparłem się o okno i czekałem na ciąg dalszy.

— Pewnego razu ten człowiek, Caleb, upił się i opowiedział panie Emily o swej matce. Była twardą kobietą, panie Parker. Ojciec opuścił ich ze strachu przed nią, potem zginął na wojnie. Biła syna, kijem, łańcuchem i robiła jeszcze gorsze rzeczy. Nocą, panie Parker, przychodziła do niego, do własnego syna, dotykała go, wchłaniała w siebie. A potem, już zaspokojona, zadawała mu ból. Ciągnęła za nogi, za włosy, kopała, aż kaszlał krwią. Przykuwała łańcuchem na dworze jak psa, nagiego, w deszcz i śnieg. Tak wyznał panie Emily.

— Mówił, gdzie to się wydarzyło?

Pokręciła przecząco głową. — Może na południu. Nie wiem. Chyba...

Słuchałem w milczeniu. Pani Schneider zmarszczyła czoło, palcami prawej dłoni zataczała kółka w powietrzu.

— Medina — przypomniała sobie w końcu; jej oczy zabłysły triumfem.

— Mówił coś panie Emily o Medynie.

Zanotowałem nazwę. — A co stało się z jego matką?

Pani Schneider poruszyła się na krześle, zwróciła bardziej w moją stronę. — Zabił ją — powiedziała po prostu.

Drzwi za mną otworzyły się i pielęgniarka wniosła dzbanek kawy i talerz ciasteczek prawdopodobnie zachęcona do podobnej gościnności przez doktora Ryley'a. Pani Schneider zrobiła nieco zaskoczona minę, zaraz jednak przyjęła rolę gospodyni, naląła kawę do filiżanek, podsunęła mi cukier i dzbanuszek ze śmietanką. Nalegała, bym poczęstował się ciasteczkami, ale odmówiłem; pomyślałem, że mogą przydać jej się później. I miałem rację. Wzięła jedno, a pozostałe starannie zawinęła w dwie serwetki z tacki i schowała do dolnej szuflady toaletki. Nagle niebo znów zachmurzyło się, popołudnie pociemniało, a pani Schneider ciągnęła swą opowieść o Emily Watts.

— Nie mówiła wiele, panie Parker, tylko wtedy, ten jeden raz — powiedziała swą wyraźnie wymawianą angielszczyzną, wciąż nie pozbawioną śladu jej pochodzenia, dającego się słyszeć w głosce „w” i kilku innych.

— Panna Emily rzucała najwyżej „witam”, czasem „dobranoc”, kilka uwag o pogodzie, ale nie więcej. Nigdy też już nie wspomniała o tym chłopcu. Inni nasi pensjonariusze, jak się ich poprosi, a nawet choćby tylko wstąpi na chwilę do ich pokoju, natychmiast rozgadają się o dzieciach i wnukach, o mężach i żonach. — Pani Schneider uśmiechnęła się. — Podobnie jak ja przy panu, panie Parker.

Już miałem zaprotestować, zapewnić, że słuchałem z zainteresowaniem, przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić, ale powstrzymała mnie uniesieniem dłoni.

— Proszę nie mówić, że się panu podobało. Nie jestem młodą dziewczyną, która potrzebuje komplementów.

Uśmiech wciąż pozostawał na jej twarzy. Kiedyś musiała być naprawdę piękna i coś mówiło mi, że w młodości wielu mężczyzn z przyjemnością rzucało jej miłe słowa.

— Ona nie wspominała o takich sprawach — ciągnęła. — W jej pokoju nie było zdjęć ani obrazków, i przez te pięć lat, odkąd tu jestem, powiedziała do mnie zaledwie witam, pani Schneider, dzień dobry, pani Schneider, ładny dzień, pani Schneider. To wszystko i nic poza tym, oprócz tego jednego razu, i myślę, że później wstydziła się, a może nawet bała... Nikt jej nie odwiedzał i nigdy więcej nie wspomniała tej historii, dopiero po pojawieniu się tego młodego człowieka...

Pochyliłem się do przodu, pani Schneider zrobiła to samo i teraz dzieliło nas zaledwie kilka cali.

— Przyszedł kilka dni po moim telefonie do pana Willeforda, którego ogłoszenie przeczytałam w gazecie. Najpierw usłyszałyśmy dochodzące z dołu krzyki, potem odgłos biegnących stóp. Młody, olbrzymi mężczyzna, 0 wielkich, szalonych oczach, przebiegł obok mych drzwi i wpadł do pokoju panny Emily. Cóż, bałam się o nią, także o siebie, więc zabrałam laskę — wskazała na laskę z główką w kształcie ptaka i metalową końcówką —
I poszłam za nim.

Gdy weszłam do pokoju, panna Emily siedziała przy oknie, jak ja teraz, ale jej dłonie, och... — Pani Schneider przyłożyła ręce do policzków, usta otworzyła szeroko, jakby w wyrazie szoku. — Aten młody tylko patrzył na nią, wreszcie powiedział: Mamusia? Tak właśnie, zupełnie jakby pytał. Ale ona pokręciła głową i powtórzyła kilka razy, nie, nie i nie. Chłopak wyciągnął ku niej ramiona, ale ona cofała się przed nim, aż dotarła w kąt pokoju, gdzie upadła na podłogę.

Potem usłyszałam głosy nadchodzących pielęgniarek. Przyszły z tym tłustym strażnikiem, z tym, którego panna Emily rąbnęła w noc ucieczki, i zabrano mnie z jej pokoju, chłopaka także. Obserwowałam go, gdy go wyprowadzali, panie Parker, widziałam jego twarz. Zupełnie jakby zobaczył czyjąś śmierć, kogoś, kogo kochał. I płakał, i znowu wołał: mamusiu, mamusiu... ale ona nie reagowała.

Przyszli po niego policjanci. Potem pielęgniarzka spytała pannę Emily, czy to prawda, co mówił ten chłopiec. Ale ona tylko, że nie wie, o czym on mówił, i że nie ma syna ani w ogóle dziecka.

Ale tamtej nocy usłyszałam jej płacz, zdawało się, że nigdy nie przestanie. Poszłam do niej i przytuliłam ją. Pocieszałam, że nie ma czego się bać, że jest bezpieczna, ale ona tylko szepnęła...

Umilkła, ręce zaczęły jej drżeć. Wyciągnąłem dłoń, by ją uspokoić, a ona położyła prawą rękę na mojej, trzymała mocno; i tak siedziała z zamkniętymi oczami. Przez chwilę stałem się jej synem, dzieckiem, jednym z tych, którzy nigdy jej nie odwiedzali i zostawili ją, by umarła na tej zimnej północy — równie dobrze, z takim samym skutkiem, mogliby porzucić ją w

lasach Piscataquis czy Aroostock. Po chwili otworzyła oczy i puściła moją dłoń. Jej ręce znów zamarły, nieruchome.

— Pani Schneider — naciskałem — co ona powiedziała?

— Powiedziała: Teraz on mnie zabije.

— Kogo miała na myśli? Billy'ego, tego młodego, który do niej przyszedł? — Ale chyba już znałem odpowiedź.

Pani Schneider pokręciła głową.

— Nie, tego drugiego. Tego, którego się bała, że ją odnajdzie i nikt nie będzie w stanie jej przed nim obronić... To ten, który pojawił się później. Dowiedział się, co się wydarzyło i przyszedł.

Czekałem w milczeniu. Coś musnęło okno, płatek śniegu topniejąc spływał po szybie.

— To wydarzyło się w noc wcześniej, zanim od nas uciekła — ciągnęła pani Schneider. — Było zimno, pamiętam, musiałam poprosić o dodatkowy koc, aż tak marzłam. Gdy się obudziłam, za oknem panowały kompletne ciemności, czerń bez księżyca. I usłyszałam hałas dochodzący z zewnątrz, jakby drapanie. Wstałam z łóżka i gdy dotknęłam podłogi, aż westchnęłam, taka była zimna. Podeszłam do okna i uchyliłam zasłonę, ale nic nie zobaczyłam. Potem dźwięk powtórzył się, popatrzyłam w dół i...

Była przerażona. Czulem ogarniające ją fale głębokiego, nie opuszczającego ją strachu, który wstrząsnął nią do samej głębi.

— Ujrzałam mężczyznę, panie Parker, wspinał się po rynnie, chwyt po chwycie. Głowę trzymał opuszczoną, odwróconą ode mnie, więc nie widziałam jego twarzy. Zresztą w tych ciemnościach przypominał cień. Ale ten cień dotarł do okna pokoju panny Emily i widziałam, jak napiera na nie ręką, próbuje sforsować. Usłyszałam jej wołanie o pomoc, też krzyknęłam i wybiegłam na korytarz, wołając pielęgniarkę. I przez cały czas słyszałam krzyki panny Emily. Ale gdy nadeszli inni, mężczyzna znikł, a na terenie ośrodka nie znaleziono po nim śladu.

— Co to był za mężczyzna, pani Schneider? Wysoki, niski, wielki, mały?

— Jak już mówiłam, było ciemno, nie widziałam dokładnie. — Z żalem potrząsnęła głową, widać było, że próbuje sobie przypomnieć.

— Czy to mógł być Billy?

— Nie. — Tu miała pewność. — Nie ta sylwetka, nie taka potężna. — Uniosła dłonie, imitując gestem szerokość ramion. — Gdy powiedziałam Pielęgniarce o tym mężczyźnie, sądziła chyba, że mam przywidzenia, że dwie starszki straszą się nawzajem. Ale to nieprawda, panie Parker, nie mogłam zobaczyć go dokładnie, ale czułam, całkiem wyraźnie, że to nie złodziej, który przyszedł okraść stare kobiety. Chciał czegoś innego, skrzywdzić pannę Emily, ukarać ją za coś, co zrobiła dawno temu. Ten chłopiec, Billy, który nazwał ją mamusią, musiał swym przyjściem wprawić coś w ruch. A może, panie Parker, ja to uczyniłam, dzwoniąc do Willeforda? Może to moja wina.

— Nie, pani Schneider — zaprotestowałem — cokolwiek zapoczątkowało tę sprawę, wydarzyło się dawno temu.

Spojrzała na mnie jakby z czułością, potem wyciągnęła dłoń i delikatnie położyła na moim kolanie, by podkreślić swe następne słowa:

— Bała się bardzo, panie Parker — szepnęła. — Ona tak się bała, że pragnęła śmierci. Zostawiłem ją samą ze wspomnieniami i poczuciem winy. Zima, ten złodziej światła, sprawiała, że lampy już migotały w oddali, gdy z Martelem podchodziliśmy do samochodów.

— Dowiedział się pan czegoś? — zapytał.

Nie odpowiedziałem od razu. Popatrzyłem na północ, w stronę leśnych bezdroży. — Czy ktoś mógłby tam przetrwać? — zastanawiałem się na głos.

Martel zmarszczył czoło. — Zależy od jak dawna tam przebywa, jakie ma ubranie i żywność...

— Nie o to mi chodzi — przerwałem. — Czy ktoś mógłby tam przeżyć dłuższy czas, może całe lata?

Martel pomyślał przez chwilę. Jego odpowiedź świadczyła, że potraktował pytanie poważnie, czym jeszcze bardziej zasłużył sobie na mój szacunek. — Nie widzę powodu, dlaczego by nie. Ludzie żyją tam od czasu zasiedlenia kraju. Świadczą o tym, zachowane do tej pory, pozostałości starych chat. To niełatwa egzystencja i sędzę, że od czasu do czasu musiałby wracać do cywilizacji — ale możliwa.

— I nikt nie zakłóciłby mu tam spokoju?

— Większość tych terenów pozostaje nietknięta od ponad pięćdziesięciu lat. Idź wystarczająco głęboko w las, a nawet myśliwi czy strażnicy cię nie zaniepokoją... Myśli pan, że ktoś tam zawędrował?

— Tak sędzę. — Uścisnąłem mu na pożegnanie dłoń i otwarłem drzwiczki mustanga. — Kłopot w tym, że chyba znów stamtąd wylazł.

mmmMŁ

BWIOTMKW PUMEW^T

Poznałem już jego odór, instynktownie wyczuwałem jego obecność, aż cierpła mi skóra, ale potrzebowałem więcej, by go zrozumieć, nim go dopadnę, nim on zdąży odnaleźć Billy'ego Purdue, zanim znowu zabije. Znacznie przybliżyłem się do odkrycia brakującego ogniwa; zawisło w moim zasięgu niczym na wpół zapomniana melodia. Potrzebowałem kogoś, kto by moje, nie do końca uformowane podejrzenia zestawiał w czytelną całość, a znałem tylko jedną osobę, której mógłbym do tego stopnia zaufać. Koniecznie musiałem porozmawiać z Rachel Wolfe.

Wróciłem do Dark Hollow, spakowałem rzeczy na jedną noc, na wierzch położyłem teczkę z dokumentacją o Calebie Kyle'u. Gdy wyjeżdżałem, Louis i Angel już wrócili, każdy swoim samochodem. Poinformowałem ich

o planach i ruszyłem do Bangor, by złapać samolot do Bostonu.

Właśnie wyjechałem z Guilford, kiedy trzy samochody przede mną zauważyłem żółtego forda pickupa, z rury wydechowej wypływającego na drogę brudne opary. Przyśpieszyłem, minąłem go, przyjrzałem się kierowcy. W kabinie siedział ten sam stary, który postraszył mnie dubeltówką. Przez jakiś czas trzymałem się w pewnej odległości przed nim, potem zjechałem na stację benzynową w Dover-Foxcroft i pozwoliłem mu przejechać. Całą drogę do Orono jechałem jakieś cztery, pięć samochodów za nim, aż odbił na parking podupadłego centrum handlowego i zatrzymał się przed sklepem z szyldem: „Stuckey Trading”. Spojrzałem na zegarek. Jeszcze trochę, a spóźnię się na samolot. Patrzyłem, jak stary wyładowuje kilka czarnych worków z paki samochodu i wchodzi do sklepu, wreszcie, zniecierpliwiony, uderzył dłońią o kierownicę i pośpiesznie odjechał w stronę Bangor i lotniska.

Wiedziałem, że Rachel Wolfe miała zajęcia na Harvardzie — uniwersytet płacił za badania, które prowadziła nad związkami między zaburzoną strukturą mózgu a kryminalnymi zachowaniami. Porzuciła praktykę Prywatną i, o ile mi wiadomo, przestała pomagać przy sporządzaniu sylwetek przestępców.

Rachel, w charakterze nieoficjalnego doradcy nowojorskiej policji, Wzięła udział w wielu sprawach, łącznie z serią morderstw popełnionych Przez Podróżnika. Wtedy właśnie ją poznałem i zostaliśmy kochankami,

I w końcu ta historia rozdzieliła nas. Rachel, której brat-policjant zginął z rąk bandyty o zaburzonej osobowości, wierzyła, że badając świadomość przestępcy, może zapobiec podobnym tragediom. Ale świadomość Podróżnika różniła się całkowicie od innych i polowanie na niego omal nie kosztowało Rachel życia. Dała wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mnie widzieć, a ja, aż do niedawna, uszanowałem jej życzenie. Nie chciałem sprawiać

jej więcej bólu, jednak teraz czułem, że poza nią nie mam się do kogo zwrócić.

Ale nie oszukiwałem się, wiedziałem, że chodzi o coś więcej. W ciągu ostatnich trzech miesięcy dwukrotnie jeździłem do Bostonu z zamiarem odnalezienia jej, może dokonania próby odbudowania tego, cośmy utracili, i za każdym razem wracałem, zrezygnowawszy z rozmowy. Przy ostatniej okazji, gdy Louis czekał na dole w holu, pozostawiając w sekretariacie wizytówkę, znalazłem się najbliżej skontaktowania się z nią. Może, w pewien sposób, Caleb Kyle dostarczy między nami pomostu, jakimi są czynności zawodowe, które mogą także pozwolić sprawom osobistym rozwijać się równolegle.

W czasie lotu podsumowałem informacje, jakie otrzymałem od pani Schneider, dodałem te z teczki mego dziadka; spisałem wszystko starannymi, dużymi, drukowanymi literami. Przeglądałem fotografie, notując charakterystyczne szczegóły dotyczące od dawna martwych, młodych kobiet, których życie zostało dokładniej udokumentowane przez dziadka po ich śmierci niż przez kogokolwiek za życia. Poznał je od wielu stron i zależało mu na nich nie mniej niż ich rodzicom, a w niektórych przypadkach nawet więcej. Swą żonę przeżył o trzydzieści lat, córkę o dwanaście. Pomyślałem, że żył tak długo, by nosić żalobę po wielu kobietach.

Przypomniałem sobie, co powiedział mi kiedyś, po tym, gdy już zostałem policjantem. Siedziałem obok niego w domu w Scarborough przy stole, z bliźniaczymi kubkami na kawę i patrzyłem, jak przygląda się mej odznace, a światło odbija się w jego okularach, gdy przekładał i odwracał ją w dłoni. Na dworze świeciło słońce, ale w domu panował chłód i mrok.

— To dziwne powołanie — oświadczył w końcu. — Ci wszyscy gwałciciele i mordercy, złodzieje i handlarze narkotyków — potrzebujemy ich, by istnieć. Bez nich nasza egzystencja byłaby pozbawiona celu. To oni dostarczają sensu naszemu życiu zawodowemu... I w tym tkwi niebezpieczeństwo, Charlie. Bo gdzieś, przy którejś sprawie, napotkasz kogoś przedstawiającego sobą wyjątkowe zagrożenie, kogo nie da się pozostawić za sobą, kiedy zdejmujesz się odznakę pod koniec dnia. Będziesz musiał walczyć ze złem, inaczej twoi przyjaciele, twoja rodzina, wszyscy zostaną zbrukani jego cieniem. Taki człowiek uformuje cię na swe podobieństwo. Twoje życie stanie się kontynuacją jego, a jeżeli nie odnajdziesz go, nie zlikwidujesz, będzie cię dręczył do śmierci. Rozumiesz mnie, Charlie?

Rozumiałem, albo tak mi się wydawało. Nawet wtedy, gdy dożywał swych dni, wciąż był naznaczony swym związkiem z Calebem Kylem. Miał nadzieję, iż mnie się to nigdy nie przytrafi, a jednak stało się; przy sprawie Podróżnika, i teraz. Odziedziczyłem upiora, który dręczył dziadka, jego demona.

Po zestawieniu informacji ponownie przejrzałem teczkę, próbując podążyć ścieżką rozumowania dziadka i poprzez jego wysiłki dotrzeć do mózgu Caleba Kyle'a. Na końcu znalazłem, starannie złożoną, stronę gazety. Pochodziła z Maine Sunday Telegram z roku 1977 — dwanaście lat po tym, kiedy to, według dziadka, Caleb Kyle zniknął, rozplynął się. Znajdowało się tam zdjęcie zrobione w Greenville: przedstawiciel Scott Paper Company, firmy posiadającej większość obszaru leśnego na północ od Greenville, przekazuje — do odnowienia — parowiec Katahdin do muzeum Moosehead Maine. W tle widzowie uśmiechają się i machają rękami, a całkiem z tyłu stoi uchwycona przez fotografa postać, z twarzą zwróconą ku kamerze; w rękach ma pudło, może z artykułami spożywczymi. Nawet z daleka mężczyzna na zdjęciu wydaje się wysoki i żyłasty, ramiona trzymające pudło są długie i chude, nogi szczupłe, ale mocne. Twarz, rozmytą w plamę, starannie obrysowano czerwonym pisakiem.

Dziadek powiększył ją, potem jeszcze raz i znowu, i raz jeszcze, każde powiększenie umieszczone za poprzednim. I twarz wyrosła ze strony, coraz większa, aż przybrała rozmiary czaszki, tusz zmienił oczy w czarne dziury, a oblicze w konstrukcję czarnych i białych

kropek. Człowiek ze zdjęcia stał się widmem, jego rysy są nie do odróżnienia, nie do poznania przez nikogo oprócz mego dziadka. Bo dziadek siedział obok niego w barze, czuł jego woń, słuchał, gdy tamten kierował go do drzewa, z którego zwisały i obracały się na wietrze martwe dziewczęta.

To właśnie, dziadek nie miał wątpliwości, był Caleb Kyle. Z lotniska zadzwoniłem na Wydział Psychologii w Harvardzie, podałem numer legitymacji i zapytałem, czy Rachel Wolfe wyklada tego dnia. Poinformowano mnie, że pani Wolfe ma zajęcia ze studentami psychologii o szóstej po południu. Teraz było piętnaście po piątej. Jeżeli bym się minął z Rachel na kampusie, podaliby mi jej adres domowy, ale zabrałoby to wiele czasu, a ja nagle zacząłem zdawać sobie sprawę, że nie posiadam go w nadmiarze. Zatrzymałem taksówkę i po gorącym namawianiu kierowcy, by dla ominięcia korków pojechał tunelem Teda Williama, przybyłem do Cambridge.

Sztandar wyborczy wisiał przed pubem Grafton, a idąc przez kampus w stronę skrzyżowania Quincy i Kirkland, spotkałem mnóstwo dzieciaków z emblematami elekcyjnymi na torbach i kurtkach. Usiadłem w cieniu kościoła Nowa Jerozolima, naprzeciw William James Hall, i czekałem.

O 5.59 postać w czarnym, wełnianym płaszczu, botkach do kostek i czarnych spodniach, z rudymi włosami związanymi na karku białą-czarną wstążką, przeszła przez Quincy i weszła do budynku. Nawet z oddali Rachel wciąż wyglądała pięknie i zauważyłem spojrzenia, jakie rzuciło jej paru studentów, gdy koło nich przechodziła. Trzymając się blisko z tyłu, wszedłem za nią do holu i obserwowałem, jak schodami udaje się na pierwsze piętro do sali seminaryjnej nr 6; chciałem mieć pewność, że nie zamierza odwołać zajęć i odejść. Podążałem za nią, aż weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi; zająłem wtedy miejsce na plastikowym krześle z widokiem na salę i czekałem.

Po godzinie drzwi otworzyły się i wysypali się z nich studenci, większość niosła dużego formatu kolonotatniki, przyciśnięte do piersi lub wystające z toreb; kolonotatniki to słabość Rachel. Odsunąłem się, by przepuścić studentów, potem wszedłem do małej sali wykładowej, z dominującym olbrzymim stołem, wokół którego, jak i pod ścianami, stały krzesła. U szczytu stołu, pod czarną tablicą, siedziała Rachel Wolfe. Miała na sobie zielony sweter, pod spodem białą, męską koszulę, z kołnierzykiem postawionym wokół szyi. Jak zwykle była tylko lekko, choć starannie umalowana, z ciemnoczerwoną kredką na wargach.

Uniosła głowę z wyrazem oczekiwania na twarzy i słabym uśmiechem, który zamarł, gdy tylko mnie poznała. Cicho zamknąłem za sobą drzwi i zająłem wolne miejsce przy stole, jak najdalej od niej.

— Cześć — rzuciłem.

Z wystudiowanym spokojem odłożyła długopisy i notatki, włożyła je do teczki, potem wstała i zaczęła naciągać płaszcz.

— Prosiłam, byś nie próbował się ze mną kontaktować — powiedziała, walcząc z odnalezieniem lewego rękawa.

Wstałem, podszedłem do niej i przytrzymałem rękaw tak, by mogła doń włożyć ramię. Czułem się łąco, burząc jej spokój, ale odczułem także ukłucie gniewu: nie tylko Rachel została skrzywdzona w Luizjanie przy poszukiwaniach Podróżnika. Gniew szybko minął, zastąpiony poczuciem winy, gdy przypomniałem sobie jej dotyk w mych ramionach, jej ciało rozrywane łkaniem, kiedy została zmuszona do zabicia człowieka na cmentarzu Metairie. Znów ujrzałem, jak unosi broń, a palec zaciska się na spuście, z wylotu lufy błyska ogień, broń drga w jej dłoniach. Głęboki, nieugaszony instynkt przeżycia kierował w tamten letni dzień jej działaniem. Myślę, że teraz, gdy spojrzała na mnie, przypomniała sobie, co zrobiła, i poczuła strach przed tym, co reprezentowałem: zdolność do przemocy, która na krótko w niej eksplodowała i której popioły wciąż żarzyły się czerwono w ciemnych zakątkach jej duszy.

— Nie martw się — powiedziałem, nieco mijając się z prawdą — jestem tu z powodów zawodowych, nie osobistych.

— No to z pewnością nie chcę o nich słyszeć. — Odwróciła się, z teczką pod pachą. — Wybacz, mam dużo pracy.

Wyciągnąłem rękę i położyłem jej na ramieniu, spojrzała na mnie gniewnie. Odsunąłem dłoń. — Rachel, zaczekaj, potrzebuję twojej pomocy.

— Proszę, puść mnie, stoisz mi na drodze.

Cofnąłem się i przeszła obok mnie, z opuszczoną głową.

— Rachel, wysłuchaj mnie, przez chwilę. Nie z mojego powodu, ale Waltera Cole'a.

Zatrzymała się przy drzwiach, choć się nie odwróciła. — Co ma do tego Walter?

— Zagineła jego córka, Ellen. Nie jestem pewien, ale jej zniknięcie może mieć coś wspólnego ze sprawą, nad którą właśnie pracuję. Może być także w jakiś sposób powiązane z Thani Pho, zamordowaną studentką.

Rachel przystanęła, wzięła głęboki oddech, zamknęła drzwi i usiadła na krześle, które przed chwilą zajmowałem. Aby zachować równowagę spraw, usiadłem na jej miejscu u szczytu stołu.

— Masz dwie minuty — oświadczyła.

— Chcę, byś przeczytała zawartość tej teczki i wyraziła opinię.

— Już tego nie praktykuję.

— Słyszałem, że prowadzisz badania nad związkiem między brutalnym przestępstwem a zaburzeniami świadomości, do czego potrzebne są analizy mózgu...

Wiedziałem nawet więcej. Rachel zajmowała się badaniami dysfunkcji mózgu w dwóch polach, migdałka mózdkowego i płatu czołowego. Jak zrozumiałem, przeczytawszy artykuł, który napisała do czasopisma psychologicznego, migdałek mózdkowy, niewielki obszar tkanki w nieświadomym obszarze mózgu, generuje uczucia pozwalające reagować na niedole innych. Te emocje są zapisane w frontowym płacie, skąd wyłania się świadomość i konstruowane są plany. Jest to także ta część mózgu, która kieruje naszymi impulsami.

U psychopatów, według obecnie obowiązujących opinii, płat czołowy zawodzi i nie reaguje w konfrontacji z sytuacją emocjonalną, być może z powodu jakichś braków w samym migdałku lub procesach powodujących wysyłanie jego sygnałów do kory mózgowej. Rachel, jak wielu innych, nalegała na prowadzenie, na szeroką skalę, badań mózgu skazanych przestępców, dowodząc, że mogą one odsłonić powiązanie między uszkodzeniem mózgu a psychopatycznym, zbrodniczym zachowaniem.

Zmarszczyła czoło. — Najwyraźniej sporo o mnie wiesz. Nie jestem pewna, czy podoba mi się, że mnie śledzisz.

Znów poczułem przyływ urazy. Tak mocny, że aż niechcący drgnęły mi usta. — To nie tak, ale widzę, że twoje ego jest wciąż silne i zdrowe.

Rachel lekko, przelotnie uśmiechnęła się. — Pozostała część mnie nie jest taka krzepka. Do końca życia będę miała blizny, Bird. Dwa razy w tygodniu chodzę na terapię i musiałam zrezygnować z prywatnej praktyki. Wciąż o tobie myślę, wciąż mnie przerażasz... czasami.

— Przykro mi. — Może tylko w mojej wyobraźni, ale jakbym usłyszał sugestię, że myśli o mnie także w inny sposób.

— Wiem. Opowiedz mi o tej twojej tekcze...

Podąłem jej krótkie streszczenie historii zabójstw, dorzuciłem coś z opowieści pani Schneider plus to, co sam podejrzewałem, czego się domyślałem. — Większość tych informacji znajdziesz w środku — uniosłem zniszczoną, brązową teczkę. — Chciałbym, żebyś ją przejrzała i zobaczyła, jakie nasuną ci się wnioski.

Sięgnęła przez stół i przysunęła teczkę ku sobie. Przerzuciła pośpiesznie ręcznie zapisane notatki, odbitki i fotografie. Jedna ukazywała miejsce zbrodni z brzegów Little Wilson. — O Boże — szepnęła i zamknęła oczy. Gdy znów je otwarła, pojawiło się w nich nowe światło,

błysk profesjonalnej ciekawości i coś jeszcze, coś, co przyciągnęło mnie do niej od samego początku.

Empatia.

— To może zająć mi kilka dni — stwierdziła.

— Za późno, muszę mieć wynik dziś wieczorem.

— Niewykonalne. Przykro mi, ale nie jestem w stanie do tego czasu nawet zabrać się do roboty.

— Rachel, nikt mi nie wierzy. Nikt nie przyjmie do wiadomości, że ten człowiek w ogóle istniał ani, co gorsza, że wciąż może istnieć. Ale on tam jest. Wyczuwam go, Rachel. Muszę go rozgryźć, zrozumieć, choćby trochę. Potrzebuję czegoś, czegokolwiek, by uczynić go rzeczywistym, by wyciągnąć go z tej teczki i skonstruować jego rozpoznawalny wizerunek. Proszę-

Mam w głowie cały plik detali i potrzebuję kogoś, by pomógł mi poukładać je w całość. Do nikogo innego nie mogłem się zwrócić, jesteś najlepszym psychologiem kryminalistyki, jakiego znam.

— Jedyńm, jakiego znasz — poprawiła mnie i uśmiech znów się pojawił na jej twarzy.

— To także.

Podniosła się. — W żaden sposób nie zdążę przygotować czegoś na wieczór, ale spotkajmy się jutro w uniwersyteckiej księgarni, powiedzmy o jedenastej. Dam ci, co będę miała.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Bardzo proszę. — Iz tymi słowami odeszła.

Zatrzymałem się tam gdzie zwykle, gdy byłem w Bostonie, w Nolan House na G Street w południowej części miasta. Był to spokojny pensjonat, z antycznymi meblami i kilkoma restauracjami w pobliżu. Sprawdziłem u Louisa i Angela, czy nic się nie wydarzyło, ale nic nowego nie zaszło w Dark Hollow.

— Widziałeś się z Rachel? — spytał Angel.

— Tak, spotkałem się z nią.

— Jak cię przyjęła?

— Nie zdawała się specjalnie uradowana.

— Wskrzeszasz złe wspomnienia.

— Tak już wygląda całe moje życie. Może kiedyś ktoś mnie zobaczy i ogarną go szczęśliwe myśli.

— Wykluczone — orzekł. — Zrelaksuj się i powiedz jej, że pytaliśmy o nią.

— Jasne, powiem. Są jakieś ruchy wokół domu Payne'a?

— Młody wybrał się do miasta, po mleko i jedzenie, to wszystko. Ani śladu Billy'ego Purdue czy Tony'ego Celli, czy Stritcha. Ale Louis wciąż dziwnie się zachowuje. Stritch jest gdzieś w pobliżu, tego jesteśmy pewni. Im szybciej powrócisz, tym lepiej.

Wziąłem prysznic, założyłem czysty podkoszulek i dżinsy. Między przewodnikami w Nolan House znalazłem drogowy atlas Gousha z roku 1995. Podawał osiem miast o nazwie Medina: w Teksasie, Tennessee, Waszyngtonie, Wisconsin, Nowym Jorku, Północnej Dakocie, Michigan

1 Ohio, i jedno Medinah w Illinois. Odrzuciłem wszystkie północne miejscowości w nadziei, że dziadek miał rację o południowych korzeniach Caleba, i pozostał mi Tennessee i Teksas. Spróbowałem najpierw w Tennessee, ale nikt w biurze szeryfa w hrabstwie Gibson nie przypominał sobie

Caleba Kyle'a, który mógł zabić swą matkę na farmie gdzieś w latach czterdziestych, ale, jak powiedział mi uczynny zastępca, nie oznacza to, że taka sprawa się nie wydarzyła, po prostu nikt czegoś podobnego nie pamiętał. Zatelefonowałem do policji stanowej, na wszelki wypadek, ale odpowiedź otrzymałem tę samą: żadnego Caleba Kyle'a.

Dochodziła już ósma trzydzieści, gdy wykręcałem do Teksasu. Medina, jak się okazało, należała do hrabstwa Bandera, a nie Medina, jak sądziłem, więc telefon do szeryfa w tym ostatnim nie zaprowadził mnie daleko. Ale udało się za drugim razem, naprawdę miałem szczęście, i nie mogłem powstrzymać się od zastanawiania się, jak czułby się dziadek na moim miejscu, gdyby dowiedział się prawdy o Calebie Kyle'u...

momm

BWUJMMW HMHJGH

Nazwisko szeryfa brzmiało Dan Tannen, jak poinformował mnie zastępca. Czekałem na połączenie z gabinetem szefa. Po kilku kliknięciach usłyszałem kobiecy głos: — Halo?

— Szeryf Tannen, tak? — A więc miałem nosa.

— To ja, nie wydaje się pan zaskoczony

— A powinienem?

— Tyle razy brano mnie za sekretarkę, co, muszę się panu przyznać, wkurza mnie jak diabli. Dan jest skrótem od Danielle, i tyle. Podobno rozpytuje pan o Caleba Kyle'a?

— Zgadza się — przyznałem. — Jestem prywatnym detektywem, z Portland, z Maine. I...

Przerwała mi: — Gdzie usłyszał pan to imię?

— Caleb?

— Aha. A raczej, dokładniej, Caleb Kyle. Gdzie słyszał pan to imię i nazwisko?

Dobre pytanie. Od czego powinienem zacząć? Od pani Schneider? Emily Watts? Mojego dziadka? Ruth Dickinson i Lauren Trulock oraz trzech innych dziewcząt, które skończyły dyndając na drzewie, na brzegu Little Wilson?

— Panie Parker, zadałam pytanie... — Miałem wrażenie, że szeryf Tannen długo utrzyma się na stanowisku.

— Przepraszam — pośpieszyłem z wyjaśnieniem. — To skomplikowana sprawa. Po raz pierwszy usłyszałem je jeszcze jako chłopiec, od mego dziadka, a teraz, w ciągu ostatniego tygodnia, wspomniano je przy mnie dwukrotnie. — I powiedziałem jej, co wiem. Nie przerywała, a gdy skończyłem, milczała przez dłuższą chwilę, nim zabrała głos.

— To wydarzyło się dawno temu, jeszcze zanim przyszłam na świat. Chłopiec mieszkał gdzieś w Hill Country, może ze cztery mile na południowy wschód stąd — on i jego mamuśka. Urodził się, o ile sobie przypominam bez zaglądania do dokumentów, w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym lub dwudziestym dziewiątym, jako Caleb Brewster. Jego tatuś to Lyall Brewster, który wyjechał walczyć z Hitlerem i zginął w Północnej Afryce, a tych dwoje zostało samych i musiało o siebie zadbać. Poza tym Lyall Brewster nigdy nie ożenił się z Bonnie Kyle, jak nazywała się matka. Widzi pan, dlatego zainteresowało mnie pana wypytywanie o Caleba Kyle'a. Niewielu zna go pod tym nazwiskiem. Właściwie nigdy nie słyszałam, by go tak nazywano. Tutaj, aż do czasu gdy zabił matkę, zawsze istniał jako Caleb Brewster...

To była diabelska suka, jak mówili ci, którzy ją znali. Trzymała się z dala od innych, chłopca też izolowała. A on był pojętny, panie Parker. W szkole znacznie wyprzedzał innych uczniów w matematyce, w czytaniu, we wszystkim, do czego przyszła mu fantazja. Matka uznała, że nie podoba jej się zainteresowanie, jakie syn na siebie ściąga, i zabrała go ze szkoły. Twierdziła, że sama go uczy.

— Myśli pani, że dochodziło do nadużycia praw rodzicielskich?

— Wiele opowiadano. Kiedyś ktoś wspomniał mi, jak to znaleziono go wędrującego nago po drodze między naszym miastem a Kerrville, całego w błocie i świńskim łajnie. Policjanci zawinęli go w koc i zawieźli do domu, do mamuśki. Chłopiec mógł mieć wtedy najwyżej czternaście, piętnaście lat. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, usłyszeli jego krzyk.

Najwyraźniej potraktowała go kijem, ale co do innych spraw...

Przerwała. Usłyszałem po drugiej stronie linii przetykanie płynu.

— To woda — rzekła — gdyby przypadkiem pan się zastanawiał.

— Nie przyszło mi nawet do głowy.

— Cóż, mniejsza o to. W każdym razie nic nie wiem o seksualnym molestowaniu. Coś tam wyszło wprawdzie na sprawie sądowej, ale do niczego konkretnego nie doprowadziło, jak to zwykle bywa w takich aferach. Jak powiedziałam, panie Parker, Caleb był rozgarnięty. Nawet w wieku szesnastu, siedemnastu lat przejawiał więcej inteligencji niż inni mieszkańcy miasta.

— Myśli pani, że zmyślał?

Przez chwilę nie odpowiadała.

— Nie wiem, ale był wystarczająco cwany, by wykorzystać ten motyw jako okoliczność łagodzącą. Musi pan pamiętać, panie Parker, że w tamtych czasach raczej nie rozprawiano o podobnych sprawach. Już samo ujawnienie tego aspektu wzbudziło sensację. W końcu, sądzę, nigdy się nie dowiemy, co działo się w tamtym domu... Ale Caleb Brewster odznaczał się czymś więcej niż inteligencją. Okoliczni mieszkańcy twierdzili, że był zły, wręcz niewyobrażalnie. Torturował zwierzęta, panie Parker, i zawieszał ich szczątki na drzewach; wiewiórki, króliki, nawet psy. Nie można mu było niczego dowieść, rozumie pan, ale ludzie wiedzieli. Może znudził się zabijaniem zwierząt i posunął się dalej. Wydarzyły się też inne rzeczy...

— Co ma pani na myśli?

— Cóż, może po kolei. Wiemy, że zabił matkę i nakarmił nią świnie. Dwa czy trzy dni po incydencie na drodze, szeryf Garrett i jego zastępca pojechali sprawdzić, co dzieje się z chłopcem. Zastali go na werandzie, pijącego ze słoika kwaśne mleko. W kuchni było pełno krwi: na ścianach, na podłodze. Deski aż nią przesiąkły. Chłopak wciąż miał przy sobie nóż. Ubranie Bonnie Kyle znaleziono w chlewie, wraz z częścią kości — tyle zostawiły świnie. Jeszcze jej pierścionek, który świnia wydalila z kałem. Chyba przechowują go w Muzeum Pogranicza w Banderas, razem z dwugłowym jagnięciem i próbkami indiańskiego pisma klinowego.

— I co się stało z Calebem?

— Sądzone go jako dorosłego i osadzono w więzieniu.

— Dożywno?

— Dwadzieścia lat. Wyszedł zdaje się w sześćdziesiątym trzecim lub czwartym.

— Przeszedł rehabilitację?

— On, rehabilitację? Na Boga! Myślę, że nie był całkiem przy zdrowych zmysłach, jeszcze zanim ją zabił, i nigdy nie stał się normalny. Ale ktoś uznał za właściwe wypuszczenie go, biorąc pod uwagę ciężkie okoliczności. Odsiedział wyrok i nie mogli trzymać go w zamknięciu bez końca, choćby nie wiem jak dobry był to pomysł. I jak mówiłam, on był cwany. W więzieniu starał się zachowywać jak najlepiej. Uznali, że się poprawił- Ja myślę, że on się przyczaił.

— Wrócił do siebie, do krainy wzgórz?— zaciekałem się.

Znów chwila milczenia. Tym razem bardzo długa.

— Dom wciąż stał — podjęła opowieść Tannen. — Pamiętam, jak Caleb przyjechał do miasta gryhoundem — miałam może dziesięć czy jedenaście lat — i widziałam go podążającego w stronę starego domu: ludzie rozstępowali się na boki i patrzyli za nim. Nie wiem, ile czasu tu spędził. Nie więcej niż kilka nocy, ale...

— Tak?

Westchnęła. — Zginęła dziewczyna. Lillian Boyce. Mówią, że była najpiękniejsza w całym hrabstwie i pewnie mają rację. Znaleźli ją przy Hondo Creek, w pobliżu Tarpley. Paskudnie pociętą. Choć nie to było najgorsze...

Czekałem i chyba wiedziałem, co nadchodzi, nawet zanim wypowiedziała te słowa.

— Zwisiała z drzewa. Jakby ktoś chciał, by ją znaleziono; jako ostrzeżenie skierowane do nas wszystkich.

Linia zdawała się szumieć, komórka parzyła mnie w dłoń, a szeryf Tannen kończyła opowieść:

— Gdy ją znaleźli, Caleb Brewster znowu zniknął. O ile wiem, nakaz aresztowania wciąż nie stracił ważności, ale nie sądzę, by ktokolwiek kiedykolwiek mógł mu go wręczyć. W każdym razie tak uważałam do tej pory...

Po odłożeniu telefonu jakiś czas siedziałem na łóżku. W pokoju, na półce, leżała talia kart, ich krawędzie rozmazywały mi się przed oczami. Zobaczyłem damę kier i wyciągnąłem ją z talii.

— Szastum-prastum — tak mówił Saul Mann na sztuczkę: „znaleźć królową”. Stał przy pokrytym filcem stoliku na kozłach, rozkładał karty, pstrykał jedną o drugą. — Pięć da dziesięć, dziesięć przyniesie dwadzieścia. — Zdawał się nawet nie zauważać wolno zbierających się wokół hazardzistów, przyciąganych pewnymi ruchami jego rąk i nadzieją łatwych pieniędzy, ale cały czas obserwował. Obserwował i czekał, i powoli, ale nieuchronnie, przychodzili do niego. Był jak myśliwy, który wie, że w pewnym momencie jeleń musi przebiec mu drogę.

Myślałem też o Calebie Kyle'u, wpatrzonym w to, co pozostało z dziewcząt, które rozerwał na strzępy i porozwieszał na drzewie. Przypomniałem sobie legendę o cesarzu Neronie: ponoć, gdy zabił swą matkę, Agrypinę Młodszą, rozkazał otworzyć jej ciało, by zobaczyć miejsce, z którego się wyłonił. Niejasny jest motyw tego czynu: chora obsesja czy nawet uczucia kazirodcze, jakie przypisywali mu starożytni kronikarze. A może miał nadzieję na dowiedzenie się czegoś o samym sobie, zrozumienie własnej natury poprzez odsłonięcie miejsca swego pochodzenia. Pewnie kiedyś ją kochał, zanim miłość zmieniła się w furie, gniew i nienawiść, zanim zdecydował się własnoręcznie odebrać jej życie, a ciało rozdrzeć na kawałki. Przez krótką chwilę poczułem współczucie dla Caleba i smutek na myśl o chłopcu, jakim kiedyś był, nienawiść do mężczyzny, którym się stał.

Widziałem cienie zwisające z drzew i postać przesuwającą się na północ, jak igła na kompasie. Oczywiście on podążałby na północ. Północ znajdowała się najdalej od Teksasu, dokąd mógł dotrzeć po zemstczeniu się na społeczności, która uznała się za uprawnioną do wysłania go do więzienia po tym, jak zabił matkę.

Ale zdaje się było w tym coś więcej. Dziadek opowiadał mi, że jeszcze z dzieciństwa zapamiętał, jak to ksiądz czytał ustępy Biblii po północnej stronie kościoła, ponieważ północ zawsze uważano za obszar, który jeszcze nie widział Bożego światła. Z tego samego powodu nieochrzczonych, samobójców i morderców chowano w północnej części cmentarza, poza granicami murów kościoła.

Bo północ to kraina ciemności.

Następnego ranka w księgarni kłębiło się od studentów i turystów. Zamówiłem kawę i czytałem Rolling Stones, które ktoś zostawił na krześle, aż do chwili przybycia Rachel, jak zwykle spóźnionej. Znowu ubrała czarny płaszcz, ale tym razem włożyła niebieskie, drelichowe spodnie i wycięty w V sweter koloru nieba. Pod nim oksfordzką koszulę w błękitno-białe paski, zapiętą pod samą szyję. Włosy opadały jej luźno na ramiona.

— Pojawiasz się kiedykolwiek za wcześnie? — zapytałem i zamówiłem dla niej kawę i muffinkę.

— Nie kładłam się do piątej rano, pracowałam nad twoją cholerną teczką — odpaliła. — Gdybyś musiał płacić za czas, jaki ci poświęcam, nie byłoby cię na mnie stać.

— Przepraszam — zmiygotowałem się — ledwo mogę sobie pozwolić na kawę i muffinkę.

— Łamiesz mi serce — odcięła się, ale widać było, że trochę zmiękła od wczoraj, choć może było to tylko moje pobożne życzenie. — Jesteś gotowy wysłuchać, do czego doszłam? — spytała.

Skinąłem głową, ale zanim zaczęła, przekazałem jej informacje otrzymane od szeryfa z Mediny, także o tym, jak to Caleb przybrał nazwisko matki, by umknąć przed przeszłością.

Potaknęła. — Zgadza się — powiedziała — wszystko pasuje.

Pojawiła się kawa, Rachel dodała cukru, odwinęła muffinkę, porozrywała ją na nadające się na kęsy kawałki i zaczęła mówić.

— Większość to przypuszczenia i domniemanie. Każdy przyzwoity przedstawiciel prawa wyśmiałby mnie, ale jako że ty nie jesteś ani przyzwoitym, ani przedstawicielem prawa, przyjmiesz to, co dostaniesz. Poza tym, wszystko, co mi przekazałeś, także oparte jest na przypuszczeniach, z dodatkiem odrobiny zabobonów i paranoi.

W zamyśleniu potrząsnęła głową, potem spoważniała i otworzyła koło- notatnik. Przed nią leżał gęsto zapisany tekst, linijka po linijce, gdzieniegdzie z żółtymi dopiskami.

— Większość z tego, co ci powiem, już wiesz. Wszystko co mogę, to spróbować wyjaśnić rozmaite wątki, ułożyć je w jakimś porządku. Bird, jeżeli ten człowiek istnieje — przynajmniej jeżeli ten sam, Caleb Kyle, jest odpowiedzialny za te wszystkie morderstwa — to masz do czynienia z podręcznikowym, psychopatycznym sadystą. A nawet jeszcze gorzej, bo nigdy nie spotkałam się z czymś podobnym ani w literaturze, ani w pracy klinicznej; w każdym razie nie w jednym i tym samym wydaniu. A przy okazji, w teczce nie znalazłam nic o morderstwach po roku 1965. Nawet biorąc pod uwagę fotografię z gazety, nie zastanawiałeś się, że on może już nie żyć albo siedzi w więzieniu za inne przestępstwa? I jedno, i drugie tłumaczyłoby nagłą przerwę w mordowaniu.

— Może nie żyje — przyznałem — a w takim wypadku nasze wysiłki są stratą czasu, bo mamy do czynienia z czymś całkowicie innym. Ale założmy, że nie zamknięto go do więzienia: jeżeli szeryf ma rację i Caleb był tak rozgarnięty, jak ona uważa, to nie zamierzał ponownie trafić za kratki. Zresztą mój dziadek sprawdził to wtedy — dowód jest w teczce — i wiem, że dowiadywał się, wyrzykowo, w ciągu tych wszystkich lat; tyle że on szukałby Caleba Kyle'a, nie Brewstera.

Wzruszyła ramionami. — No to masz dwie następne możliwości: albo dalej zabijał, ale jego ofiary figurują w policyjnych rejestrach jako osoby zaginione, jeżeli w ogóle zauważono ich brak albo...

— Tak?

Rachel uderzyła czubkiem pióra w notatnik, tuż obok słowa obrysowanego czerwoną obwódka. — Albo pozostaje w stanie uśpienia. Teoria „wkraczania w okres uśpienia” przez niektórych seryjnych morderców jest jedną z rozważanych przez Pomocniczy Zespół Badawczy FBI, personel grupy sporządzania profili i programu konsultacyjnego. Wiesz o tym, już ci mówiłam. Właśnie ta teoria mogłaby tłumaczyć, dlaczego niektóre serie zabójstw nagle ustają, choć nie znaleziono sprawcy. W pewnym momencie, z jakiegoś powodu, potrzeba znalezienia ofiary nie jest już tak nagląca i morderstwa urywają się.

— Jeżeli on pozostawał w uśpieniu do tej pory, to coś go obudziło — stwierdziłem. Pomyślałem o mierniczym z przedsiębiorstwa drzewnego, wędrującym w knieję, by przygotować grunt pod zniszczenie lasu, i o tym, co mógł napotkać w puszczy. Przypomniałem sobie także opowieść pani Schneider i artykuł z gazety, i badania Willeforda, prowadzone zupełnie jak w dawnych czasach, kiedy to pukało się do drzwi, przypinało informacje i rozpuszczało wokół wieści, aż docierały do osoby, o którą chodziło; także relacje w gazecie po aresztowaniu Billy'ego Purdue u Św. Marty. Jeżeli wystawisz miód, nie powinieneś się dziwić z przybycia os.

— Bardzo cienka nić, ale trzeba te możliwości wziąć pod uwagę — kontynuowała Rachel. — Przyjrzyjmy się początkowym morderstwom. Po pierwsze, choć to nie musi mieć większego znaczenia, liczy się miejsce, w którym znaleziono ciała. Caleb Kyle sam decydował, kiedy zostaną odkryte, gdzie i przez kogo, w ten sposób kontrolował i uczestniczył w poszukiwaniach. Zabójstwa niekoniecznie były uporządkowane — nigdy nie

będziemy wiedzieli tego na pewno, nie znając miejsca popełnienia zbrodni — ale pokaz ciała został świetnie zorganizowany. Sprawca chciał być częścią odkrycia. Przypuszczam, że obserwował twego dziadka do momentu, gdy ten znalazł te kobiety.

A co do samych zabójstw, to jeżeli historia opowiedziana ci przez panią Schneider jest prawdziwa, co zależy od stopnia prawdomówności Emily Watts, Kyle zabijał już w czasie trwania ich związku. Stopień rozkładu każdego z pięciu ciał był inny: Judy Giffen i Ruth Dickinson zginęły na początku, w przerwie niemal miesiąca jedna po drugiej. Ale Laurel Trulock, Louise Moore i Sarah Raines zabito szybko po sobie: według sprawozdania lekarza sądowego, zgony Trulock i Moore mogła dzielić doba, a Raines zabito nie później niż dwadzieścia cztery godziny po nich.

Przypuszczam, że wszystkie — a zwłaszcza trzy ostatnie — były fizycznie podobne do Emily Watts: szczupłe, delikatne dziewczęta, może bardziej bierne od Emily, która okazała się silna w potrzebie, ale także w tym typie. Gdy byłeś policjantem, zetknąłeś się z gwałtami powodowanymi zemstą, prawda?

Przytaknąłem — wiedziałem, o co jej chodzi.

— Mężczyzna kłóci się z żoną lub przyjaciółką, wypada wściekły z domu i wyładowuje gniew na całkiem obcej osobie — ciągnęła Rachel. — W jego świadomości kobiety ponoszą zbiorową odpowiedzialność za rzekome winy jednej, dlatego każda może zostać przywołana do porządku i ukarana za rzeczywiste lub wyimaginowane szyderstwo czy obrazę, przekroczenie granic, jakie gwałcielem ustanowił w swym umyśle jako zachowanie odpowiednie dla kobiety. Cóż, Caleb Kyle jest jak ci mężczyźni, ale w tym przypadku sprawy posunęły się dalej. Lekarz sądowy nie znalazł śladów przemocy seksualnej na ciałach trzech ostatnich ofiar, ale — i tu wchodzimy w obszar klasycznego, patologicznego lęku przed terytorium seksualności kobiecej — istniały pewne uszkodzenia organów seksualnych, zadane tym samym narzędziem, jakiego użyto do pchnięć w brzuch i zniszczenia macicy każdej z ofiar. Co interesujące, w przypadku Gillen i Dickinson, zadał im ciosy jakiś miesiąc po ich śmierci, prawdopodobnie po zabiciu trzech pozostałych, a może na krótko przedtem.

— Wrócił do nich, gdy myślał, że stracił dziecko.

— Właśnie. Karał je, ponieważ ciało Emily Watts zdradziło go, zabijając płód: wiele kobiet ukarano za błędy jednej. Podejrzewam, że karał inne przedtem, być może za coś innego.

Zjadła kawałek muffinki i napiła się kawy.

— Teraz, wracając do sprawozdania lekarza sądowego, znajdujemy dowód, że każdą z tych dziewczyn torturowano przed śmiercią. Brak paznokci, połamane palce u rąk i nóg, wyrwane zęby, ślady po przypalaniu papierosem, rany zadane wieszakiem na ubrania. To może mieć znaczenie, choć obecnie sytuacja wygląda inaczej. Trzy ostatnie ofiary torturował jeszcze okrutniej. Te dziewczęta bardzo cierpiały przed śmiercią, Bird...

Rachel spojrzała na mnie z powagą i dostrzegłem ból w jej oczach: z ich powodu i na wspomnienie własnego bólu.

— Według sylwetek ofiar, sporządzonych przez twego dziadka, te młode kobiety były delikatne, pochodziły z dobrych domów. Przeważnie skromne, wstydlive, nie posiadające seksualnego doświadczenia. Chyba Judy Giffen miała jakieś przygody. Przypuszczam, że zanim umarły, błagały o litość, sądząc, że mogą się uratować. Ale on właśnie chciał, by płakały i krzyczały. Tu może istnieć związek między agresją a satysfakcją seksualną, ich prośby podniecały go, ale też nienawidził za te błagania, więc umierały.

Jej oczy wypełniały się teraz jasnością, po ruchach dłoni można było poznać, jak wielką satysfakcję czerpie z możliwości wtargnięcia do świadomości tego człowieka; świadczyła o tym prędkość, z jaką mówiła, intelektualna radość z odnajdywania zaskakujących, nieoczekiwanych połączeń, jednak zrównoważona wstrętem do czynów, jakie omawiała.

— Boże — powiedziała — niemal widzę wynik badania tomograficznego mózgu: odchylenia płatu skroniowego, wiążące się z dewiacją seksualną; zniekształcenie płatu

czołowego, przyczyniające się do gwałtownych zachowań; niski poziom współdziałania między układem limbicznym a płacami czołowymi, co prowadzi do całkowitej nieobecności poczucia winy czy wyrzutów sumienia. — Potrząsnęła głową, jakby zadziwiona zachowaniem wyjątkowo paskudnego insekta. — Jednak potrafił wpływać na innych. Te dziewczęta mogły być nieśmiałe, ale nie głupie. Musiał wykazać wiele zręczności, by zdobyć ich zaufanie, a więc ta inteligencja pasuje. A co do pochodzenia i wychowania, jeżeli powiedział prawdę Emily Watts, to w dzieciństwie niewątpliwie był molestowany fizycznie i prawdopodobnie seksualnie przez matkę, która wykorzystując go i upokarzając, mówiła o miłości, a potem karała go. Pozbawiony przyzwyczajonych posiłków i opieki, musiał nauczyć się samowystarczalności. Gdy dostatecznie dorósł, zabił swą dręczycielkę, a potem zwrócił się przeciw innym. Z Emily Watts stało się coś innego. Sama padła ofiarą przemocy, potem zaszła w ciążę. Sądzę, że i tak byłby ją zabił, zaraz po porodzie. Z tego, co mówiła, pragnął tego dziecka.

Upiła łyk kawy, co wykorzystałem na chwilę przerwy.

— A co z Ritą Ferris i Cheryl Lansing? Czy można założyć, że to on jest odpowiedzialny za ich śmierć?

— Możliwe. — Rachel patrzyła na mnie w milczeniu, czekała, czy znajdę brakujące ogniwo.

— Czegoś nie rozumiem — powiedziałem w końcu — i pewnie dlatego masz minę jak kot nad śmietanką.

— Zapominasz o obrażeniach ust. Rany zadane łonom tamtym dziewczętom w roku 1965 miały przekazać wiadomość, coś oznaczały. Widzieliśmy już podobne okaleczanie, Bird...

Uśmiech zniknął z jej twarzy, a ja przytaknąłem: Podróżnik.

— Tak więc, trzydzieści lat później, znów mamy z tym do czynienia: sprawca kaleczy ofiarom usta i w każdym przypadku chce przekazać coś innego. Wargi Rity zostały zeszyte. Co to oznacza?

— Że powinna była trzymać je zamknięte?

— Być może — przyznała Rachel. — Mało subtelne, ale zabójca nie zawracał sobie tym głowy.

Zastanowiłem się nad słowami Rachel i po chwili zrozumiałem, co oznaczały: — Rita poskarżyła się policji na Billy'ego Purdue i zabrali go.

; Morderca mógł obserwować dom w nocy, kiedy to aresztowano Bil- Rita^o nm0Ze t0 ten stary człowiek- którego rzekomo widział Billy, zanim i Donald zostali zabici, może ten sam, który zaatakował Ritę w ho-

— W przypadku Cheryl Lansing — ciągnęła Rachel — złamano jej szczękę i wyrwano język. Trochę może naciągam teorię, ale przypuszczam, że ukarano ją za milczenie.

— Bo brała udział w ukryciu narodzin dziecka.

— Całkiem możliwe wyjaśnienie. W końcu, niezależnie co uczyniło Caleba Kyle'a takim, jaki jest, niezależnie od znaków, jakie pozostawia, i żalu, który ma do świata, jest maszyną do zabijania, całkowicie pozbawioną litości.

— Ale czuł coś po stracie dziecka.

Rachel niemal podskoczyła na krześle. — Tak! — Uśmiechnęła się do mnie radośnie, niczym nauczyciel zwracający się do wyjątkowo zdolnego ucznia. — Problemem, czy kluczem, jest ta szóstka dziewczyna, ta, której nigdy nie odnaleziono. Z wielu powodów, większość których, gdybym je podała na piśmie, pewnie przyniosłaby mi ostracyzm ze strony kolegów po fachu, uważam, iż twój dziadek nie mylił się, gdy podejrzewał, że ona także padła ofiarą Kyle'a, ale nie miał racji co do rodzaju zbrodni.

— Nie rozumiem.

— On zakładał, że także została zabita, a zabójca, z jakiejś przyczyny, nie wystawił jej na pokaz.

— Ty uważasz inaczej! — Mogłem przewidzieć tok jej rozumowania i poczułem ucisk w żołądku na myśl o tej ewentualności. Od jakiegoś czasu kołatała w zakątkach mej świadomości — możliwe, iż dziadek też ją rozważał. Chyba miał nadzieję, że Judy Mundy także umarła, bo ta inna wersja była gorsza.

— Tak, ja nie sędzę, że została zabita, i tu wracamy do cierpień zadanych tym dziewczętom. Torturując je, morderca nie tylko osiągał zadowolenie, przeprowadzał także test. Wypróbowywał ich wytrzymałość, wiedząc zresztą, choć nie przyznawał tego przed sobą, że nie przejdą próby, bo nie były wystarczająco silne. Ale spójrz na opis Judy Mundy — mocna, dobrze zbudowana, o dominującej osobowości. Nie płakała z byle powodu, potrafiła poradzić sobie w bójce. Ona zdałaby ten rodzaj testu, i to tak dobrze, że prawdopodobnie nie musiał zbyt jej dręczyć, by zdać sobie sprawę, że jest inna.

Zamknąłem oczy. Już wiedziałem, co przydarzyło się Judy Mundy, dlaczego nie została odnaleziona, a Rachel pojęła, że zrozumiałem.

— Została zabrana jako materiał rozplodowy, Bird — powiedziała cicho. — Wziął ją, by płodzić z niej potomstwo.

*

Rachel zaproponowała mi odwieszenie na Logan, ale odmówiłem. Zrobiła już dla mnie dość, więcej niż miałem prawo ją prosić. Idąc obok niej przez Harvard Square, czułem do niej miłość, o tyle intensywniejszą, że sądziłem, iż coraz bardziej się ode mnie oddala.

— Myślisz, że ten człowiek, Caleb Kyle, może mieć związek ze zniknięciem Ellen Cole? — spytała. Musnęła mnie ramieniem i po raz pierwszy, odkąd przyjechałem do Bostonu, nie odsunęła się ode mnie.

— Nie jestem pewien — przyznałem. — Może policja ma rację: może pod wpływem hormonów uciekła, a w takim przypadku sam nie wiem, co robię. Ale jakiś spotkany na drodze stary mężczyzna skierował ją do Dark Hollow, a jak często powtarzam, nie wierzę w przypadki. Mam co do niego przeczucie, Rachel. Pewnie wrócił po Billy'ego Purdue i po zemstę na wszystkich, którzy pomagali go ukryć. Myślę, że zabił Ritę Ferris i jej synka. Może przez zazdrość albo żeby tak odizolować Billy'ego, by nie miał nikogo bliskiego; a może dlatego, że Rita chciała odejść i zabrać synka. Nie sędzę, by śmierć chłopca została zaplanowana, ale sprawy wymknęły się spod kontroli.

Gdy doszliśmy do placu, wyciągnąłem na pożegnanie dłoń. Nie pocałowałem Rachel, bo nie uważałem, bym miał do tego prawo. Ujęła moją rękę i przytrzymała w mocnym uścisku.

— Bird, ten człowiek uważa, że ma prawo do zemsty, bo wyrządzono mu krzywdę; mści się na każdym, kto stanie mu na drodze. Właśnie podałam fachowe określenie psychopaty... — W jej oczach ujrzałem troskę i coś jeszcze.

— Innymi słowy: co tłumaczy mnie? — Uśmiechnąłem się, ale uśmiech nie sięgnął poza usta.

— One odeszły, Bird. Susan i Jennifer nie żyją, i to, co przydarzyło się im i tobie, było straszne. Ale za każdym razem, gdy każesz komuś płacić za wyrządzone ci zło, krzywdzisz następną osobę i ryzykujesz stanie się kimś takim jak ten, kogo nienawidzisz. Rozumiesz mnie, Bird?

— To nie dotyczy mnie, Rachel — powiedziałem miękko — w każdym razie nie do końca. Ktoś musi powstrzymać tych osobników. Ktoś musi wziąć na siebie odpowiedzialność. — I znów rozległo się echo: masz obowiązek wobec nich wszystkich.

Delikatnie, kciukiem, pogłaskała mnie po rękę, potem drugą dłonią dotknęła mej twarzy. — Dlaczego tu przyjechałeś? Większości z tego, co ci powiedziałam, mogłeś sam się domyślić.

— Nie jestem taki bystry.

— Nie wciskaj kitu fachowcowi od wciskania kitu.

— A więc to prawda, co mówią o psychologach.

— Tylko o tych z New Age. Ale unikasz odpowiedzi.

— Niektórych spraw już się domyślałem. Lub prawie, ale musiałem usłyszeć potwierdzenie od kogoś jeszcze, inaczej bałem się, że wariuję. Jestem tu także dlatego, bo wciąż zależy mi na tobie, bo gdy odeszłaś, zabrałaś coś ze mnie. Chciałem w ten sposób zbliżyć się do ciebie, znów cię zobaczyć. Może, w głębi duszy, o to właśnie mi chodziło. — Odwróciłem od niej wzrok.

Jej ręka zacisnęła się mocniej na mojej dłoni. — Widziałam, co robiłeś tam, w Luizjanie. Nie pojechałeś, by znaleźć Podróżnika, lecz by go zabić. I każdy, kto stanął na twojej drodze, został skrzywdzony, i to okropnie. Twoja zdolność do zadawania przemocy przerażała mnie. Napawałaś mnie lękiem.

— Nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić, nie wtedy.

— A teraz?

Właśnie miałem odpowiedzieć, gdy jej palec dotknął blizny na moim policzku, tej pozostawionej przez ostrze Billy'ego Purdue. — Jak to się stało? — spytała.

— Pewien człowiek wbił mi nóż.

— I co zrobiłeś?

Odpowiedziałem po chwili milczenia: — Odszedłem.

— Kto to był?

— Billy Purdue.

Oczy jej rozszerzyły się i jak by coś w jej wnętrzu, zwinięte w pozycji ochronnej, powoli zaczęło się rozwijać. Widziałem to w niej, wyczuwałem w jej dotyku.

— On nigdy nie miał szans, Rachel. Od samego początku wszystko sprzysięgło się przeciw niemu.

— Jeżeli zadam ci pytanie, odpowiesz na nie uczciwie?

— Zawsze starałem się być z tobą szczery.

Skinęła głową. — Wiem, ale to ważne. Muszę być pewna.

— Pytaj.

— Czy potrzebujesz przemocy, Bird?

Zastanowiłem się nad jej pytaniem. W przeszłości kierowała mną chęć zemsty. Zadawałem ludziom ból, zabijałem z powodu tego, co przytrafiło się Susan i Jennifer, i mnie. Teraz pragnienie przygasalo, każdego dnia coraz bardziej, a przestrzeń, jaką pozostawiło, wypełniła się potrzebą zadośćuczynienia. Ponośiłem pewną odpowiedzialność za to, co stało się z Susan i Jennifer. Nie sądziłem, bym kiedykolwiek mógł pogodzić się z tą świadomością, ale mogłem próbować coś naprawić, choć na niewielką skalę, poprzez przyjęcie do wiadomości moich błędów z przeszłości i wykorzystanie ich tak, by przyszłość stała się lepsza.

— Była mi niezbędna przez jakiś czas — przyznałem.

— A teraz?

— Już nie, ale użyję jej, jeżeli będę musiał. Nie będę stał bezczynnie i patrzył, jak niewinni są krzywdzeni.

Rachel pochyliła się i delikatnie pocałowała mnie w policzek. Gdy się ode mnie odsuwała, jej oczy spoglądały łagodnie.

— A więc jesteś aniołem zemsty — powiedziała.

— Coś w tym rodzaju.

— Do widzenia więc, aniele zemsty — szepnęła.

Odwróciła się i odeszła, z powrotem do biblioteki i do swej pracy. Nie popatrzyła na mnie więcej, szła z opuszczoną głową; wyczuwałem ciężar jej myśli, gdy znikwała w tłumie. Samolot wzbił się z Logan, w górę, skierował na północ, przedzierając się przez zimowe powietrze, ciężka chmura otaczała go niczym oddech Boga. Pomyślałem o szeryf Tannen, która obiecała wyszukać mi najświeższe zdjęcia Caleba Kyle'a. Będą miały ze trzydzieści lat, ale to już coś. Z teczki dziadka wyjąłem zamazaną fotografię Caleba i długo mu się przypatrywałem. Był jak szkielet, powoli obrastający ciałem, jakby proces rozpadu zostawał

wolno, stopniowo, nieodwracalnie odwracany. Postać, która dotąd była niewiele więcej niż imieniem, formą migającą w cieniu, przyjmowała realny kształt.

Znam cię, pomyślałem, ja cię znam.

MOWMML

bwummw nao

Przybyłem do Bangor wczesnym popołudniem, odebrałem samochód z lotniskowego parkingu i ruszyłem z powrotem do Dark Hollow. Czułem się szarpany w dziesięciu różnych kierunkach, jednak każdy zdawał się prowadzić w to samo miejsce, do tego samego wniosku, choć różnymi drogami: Caleb Kyle powrócił. Zabił w Teksasie zaraz po zwolnieniu z więzienia jakąś dziewczynę, w akcie zemsty na całej społeczności. Potem przybrał nazwisko matki i ruszył daleko na północ, jak najdalej się dało, i w końcu zanurzył się w kniei.

Jeżeli Emily Watts powiedziała prawdę pani Schneider, a nie było powodu, by wątpić, to urodziła syna i ukryła go, gdyż uważała, że jego ojciec jest mordercą młodych kobiet, i wyczuwała, że pragnie dziecka dla swych własnych celów. Następny wniosek prowadził do przyjęcia, iż tym dzieckiem może być Billy Purdue, a jego ojcem Caleb Kyle.

Tymczasem po Ellen Cole i jej chłopaku nie było śladu, po Willefordzie także. Tony Celli zszedł do podziemia, ale niewątpliwie wciąż węszył za Billym. Nie miał wyboru: jeżeli go nie odnajdzie, nie będzie w stanie oddać pieniędzy, które stracił, i zginie jako ostrzeżenie dla innych. Podejrzywałem, że i tak jest dla niego za późno. Dla Tony'ego Czyściocha stało się za późno już w momencie, w którym kupił papiery wartościowe, a może nawet wcześniej, gdy przyszła mu do głowy myśl wykorzystania cudzych pieniędzy dla zabezpieczenia własnej przyszłości. Tony uczyni, co możliwe, by wysledzić Billy'ego, ale czego by nie zrobił, przemoc, jakiej się dopuszczał, i uwaga, którą ściągał na swych bossów, czyniły coraz mniej prawdopodobną możliwość, że pozostawią go przy życiu. Był jak ktoś, kto schwytyany w ciemnościach tunelu, koncentruje się na jedynym świetle, jakie widzi przed sobą, nieświadom, że to, co przyjął za zbawienną jasność, okaże się ogniem, który go pochłonie.

Istniały jeszcze inne powody do obawy Gdzieś w ciemnościach czał się Stritch. Przypuszczałem, że wciąż pragnie pieniędzy, ale jeszcze bardziej zemsty za śmierć partnera. Pomyślałem o martwym mężczyźnie w kompleksie w Portland, zbrukany, w ostatniej chwili życia, sprośnym czynem Stritcha, i pamiętałem własny strach, pewność, że gdybym tak postanowił, mógłbym pozwolić śmierci ogarnąć mnie wśród tamtych cieni.

No i ten stary w lesie. Wciąż istniała możliwość, że wie więcej, niż mi powiedział, a wzmianka o dwojgu młodych wzięła się z czegoś poważniejszego niż plotka zasłyszana w mieście. Dlatego musiałem, przed powrotem do Dark Hollow, wpaść w jeszcze jedno miejsce. Sklep w Orono wciąż był otwarty. Na tablicy nad drzwiami odręczny napis „Stuckey Trading” jarzył się podświetlony. W środku woniało stęchli- zną i panowało tam nieznośne gorąco; klimatyzacja, wydająca odgłos przypominający tłuczenie szkła, przez otwór wentylacyjny pompowała stęchłe powietrze. Jacyś faceci w motocyklowych kurtkach oglądali dubeltówki z odzysku, a kobieta w sukience pamiętającej jeszcze czasy Woodstock przeglądała pudło z płytami. W gablotach leżały stare zegarki i złote łańcuchy, na stojaku obok lady ustawiono akcesoria do polowania.

Nie byłem pewien, czego właściwie szukam, więc lustrowałem półki, stare meble, prawie nowe obicia foteli, wreszcie coś przyciągnęło moją uwagę. W kącie, obok wieszaka z ubraniami na złą pogodę — głównie stare deszczowce i kilka wypłowiałych, żółtych zestawów nieprzemakalnych — stały dwa rzędy niskich i wysokich butów. Wśród pomarszczonych od starości, znoszonych egzemplarzy, wyróżniały się wysokie zamberlainy. Męskie, stosunkowo nowe i o wiele droższe niż pozostałe; ostatnio ktoś najwyraźniej zadał sobie wiele trudu, by doprowadzić je do porządku. Ktoś, pewnie właściciel sklepu, zanim postawił na półce, wyczyścił je i na- woskował. Uniosłem jeden i powąchałem wewnątrz. Wyczułem lizol i coś jeszcze: ziemię, psujące się mięso. Uniosłem drugi i poczułem tę samą, nikłą woń. Ricky miał

na sobie zamberlainy w dniu, gdy mnie odwiedzili, a nieczęsto tak dobre buty można znaleźć w sklepie ze starzyzną. Zaniósłem je do kontuaru.

Mężczyzna za kasą był niski, o grubych, ciemnych, nienaturalnych włosach — peruce, która mogłaby pochodzić ze sklepu z manekinami. Spod niej wymykały się na kark strąki jego własnych, mysiej barwy włosów — jak psychicznie chorzy krewni, których zamyka się na strychu. Z szyi zwisały na sznurku okulary, zanurzone we włosach na piersi. Ubrany był w do połowy rozpiętą, czerwoną koszulę, na klatce piersiowej dostrzegłem blizny. Miał chude, sprawiające wrażenie silnych ręce, przy lewej dłoni brakowało kawałków małego i serdecznego palca, uciętych tuż nad pierwszym stawem. Paznokcie na pozostałych były schludnie obcięte.

Zauważył, że patrzę na jego zdeformowaną lewą dłoń i uniósł ją ku twarzy; bliźniacze pieńki po palcach wyglądały, jakby próbował uformować je w broń, tak jak robią to dzieciaki bawiące się na szkolnych podwórkach.

— Straciłem je w tartaku — wyjaśnił.

— Tak bywa — odrzekłem.

Wzruszył ramionami. — Ostrze o mało nie odcięło mi wszystkich. Pracował pan kiedyś w tartaku?

— Nie. Zawsze uważałem, że palce doskonale się mają na mojej dłoni. Lubię ich widok w tym miejscu.

Patrzył na kikuty zamyślony. — Dziwne, ale wciąż je czuję, jakby dalej tam były. Może pan nie wie, jak to jest.

— Chyba tak. Pan to Stuckey?

— Zgadza się, to moja buda.

Postawiłem buty na kontuarze.

— To dobre egzemplarze — powiedział, unosząc jeden zdrową dłoń. — Nie wezmę za nie mniej niż sześćdziesiąt dolców. Nawoskowałem je i wypolerowałem nie dawniej niż przed dwoma godzinami.

— Powąchaj je pan — rzuciłem.

Stuckey zmrużył oczy, przechylił głowę. — Co takiego?

— Powiedziałem, powąchaj je...

Popatrzył na mnie dziwnie, potem wziął but i uważnie powąchał wewnątrz; nozdrza mu drżały jak u królika, który zwęszył pułapkę.

— Niczego nie czuję — orzekł.

— Lizol, czujesz lizol, czyż nie?

— No pewnie. Zawsze je dezynfekuję, zanim wystawię do sprzedaży. Nie chciałbym sprzedać komuś butów, które śmierdzą.

Przechyliłem się przez ladę i podstawiłem mu pod nos drugi. — Słuchaj — powiedziałem cicho — moje pytanie brzmi: czym woniały, zanim je wyczyściłeś?

Nie był człowiekiem, którego łatwo można zastraszyć. Nachylił się do przodu, sześć palców wsparł na kontuarze, uniósł brwi. — Czyś pan zwariował?

W lustrze za ladą dostrzegłem, że motocykliści obserwują zajście. Odezwałem się cicho: — Te buty były utyłane ziemią, gdy je kupowałeś, zgadza się? I śmierdziały padliną, ludzką.

Cofnął się o krok. — Kim pan jest?

— Zwykłym facetem.

— Gdybyś pan był tylko facetem, kupiłbyś te cholerne buty i już by cię tu nie było.

— Kto ci je sprzedał?

— Nie pańska zaszrana sprawa. — Nabierał animuszu. — A teraz won z mojego sklepu!

Nie ruszyłem się. — Słuchaj, przyjacielu, możesz porozmawiać ze mną albo z gliniarzami, ale powiesz, rozumiesz? Nie chcę przysparzać ci kłopotów, jeżeli jednak będę musiał, nic mnie nie powstrzyma.

Stuckey wbił we mnie wzrok i zrozumiał, że nie żartuję. Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległ się głos: — Hej, Stuckey! — zawołał któryś z motocyklistów. — Wszystko w porządku?

Stuckey uniósł zdeformowaną dłoń, by uspokoić tamtych, i zwrócił się do mnie, bez śladu goryczy; był pragmatykiem — w jego biznesie to konieczne — i wiedział, kiedy należy się wycofać.

— Stary gościu z północy — westchnął. — Pojawia się tu może raz w miesiącu, przynosi, co znajdzie. Większość to szajs, ale zwykle daję mu kilka dolców i znika. Czasem ma coś lepszego.

— Te przywiózł niedawno?

— Tak, wczoraj. Dałem mu trzydzieści dolców. Przyniósł też plecak, marki Lowe Alpine. Ten od razu sprzedałem, nic więcej nie miał.

— To ten stary z drogi na Dark Hollow?

— Tak, właśnie stamtąd.

— Znasz jego nazwisko?

Stuckey znów zmrużył oczy. — Kim pan jest, prywatnym policjantem?

— Jak już mówiłem, nikim specjalnym.

— Jak na takiego, zadaje pan mnóstwo pytań. — Czuję, że Stuckey znów się jeży.

— Z natury jestem ciekawy — powiedziałem, ale i tak pokazałem mu legitymację. — To jakie ma nazwisko?

— Barley, John Barley.

— Prawdziwe?

— Skąd, u diabła, mam wiedzieć?

— Pokazał ci jakieś papiery?

Stuckey omal nie parsknął śmiechem. — Jak go pan zobaczy, zrozumie, że on nie z tych, co to noszą przy sobie dokumenty.

Skinałem głową, wyjąłem portfel i odliczyłem na blat sześć dziesiątek. — Potrzebuję na to fakturę — powiedziałem.

Stuckey pośpiesznie, niechlujnym pismem wypełnił rachunek, przyłożył pieczętkę i zanim mi go wręczył, przytrzymał jeszcze przez chwilę.

— Jak już mówiłem, nie chcę kłopotów — powiedział.

— Jeżeli nie skłamałeś, nie masz się czego obawiać.

Złożył rachunek i razem z butami włożył do plastikowej torby. — Nie chcę pana obrazić, ale ma pan takie zdolności do znajdowania przyjaciół jak skorpion.

Uniosłem torbę, schowałem portfel do kieszeni płaszcza. — O co chodzi — spytałem — czyżbyś także przyjaźń miał na składzie?

— Nie, proszę pana — powiedział z jakąś finalną stanowczością. — Ale nie sądzę, by pan złożył ofertę kupna, nawet gdybym jakąś dysponował...

IMMMML

bwuidmmw CPMH

Już się ściemniało, gdy ruszyłem z powrotem do Dark Hollow. Gęsty śnieg zasypywał szosę do Beaver Cove i wąską, trzypasmową drogę, prowadzącą do Hollow. Biel lśniła w blasku reflektorów, drobiny światła osuwały się w dół, zupełnie jakby samo niebo odrywało się, by spaść na ziemię. Próbowałem z komórki dodzwonić się do Angela i Louisa, ale na próżno. Gdy dotarłem do motelu, okazało się, że już tam są. Louis otworzył mi drzwi ubrany w czarne spodnie ze starannie odprasowanymi kantami i w kremową koszulę. Nigdy nie udało mi się dociec, w jaki sposób utrzymuje ubrania w tak wyśmienitym stanie; moje koszule były bardziej pomięte od jego, nim jeszcze je rozpakowałem.

— Angel bierze prysznic — poinformował mnie, gdy wszedłem do ich pokoju. Na ekranie telewizora Wolf Blitzer, na trawniku przed Białym Domem, poruszał bezgłośnie ustami.

— Co nieczęste, to cudowne...

— Amen. Gdybyśmy mieli lato, przyciągałby muchy.

Oczywiście żartowaliśmy. Angel może i wyglądał na kogoś niezbyt za pan brat z mydłem i gorącą wodą, ale biorąc wszystko pod uwagę, odznaczał się niezwykle czystością. Po prostu sprawiał wrażenie bardziej niechlujnego od większości osób. W istocie bardziej od kogokolwiek, kto mi przychodził na myśl.

— Coś nowego się działo przy siedzibie Payne'a?

— Nic. Stary wyjechał i znów wrócił. Chłopak wyjechał i wrócił. Za czwartym czy piątym razem to już rutyna. Ani śladu po Billym Purdue, i zresztą nikim innym.

— Zauważyli cię?

— Może. Choć nie dali po sobie znać, co mogło oznaczać jedno i drugie. A ty, masz coś?

Pokazałem mu buty i powtórzyłem rozmowę ze Stuckeyem. W tym momencie Angel wyszedł spod prysznic, owinięty w cztery ręczniki.

— Cholera, Angel — zaklął Louis. — Któż ty jesteś, pieprzony Mahat- ma Gandhi? Po co ci te wszystkie ręczniki?

— Zimno mi — jęknął tamten. — I mam już na tyłku odciski od siedzenia samochodu.

— Zrobią ci się od palców moich stóp, jeżeli nie zdobędziesz mi jakichś ręczników.

Wycieraj tę swoją kościstą, białą dupę, wal do recepcji i poproś damę o kilka nowych. I lepiej dopilnuj, by były puchate, Angel. Nie zamierzam wycierać pleców papierem ściernym.

Gdy Angel wycierał się i ubierał, mrużąc coś cicho do siebie, opowiedziałem im szczegółowo o spotkaniu z Rachel, o rozmowie z szeryf Tanner i panią Schneider, i czego dowiedziałem się o Billym Purdue podczas wizyty u Św. Marty.

— Wygląda na to, że zbieramy mnóstwo informacji — zauważył Louis, gdy skończyłem — ale nie wiemy, co oznaczają.

— Niektóre, tak — zaprotestowałem.

— Sądzisz, że ten facet, ten Caleb, naprawdę istnieje? — spytał.

— Był wystarczająco rzeczywisty, by zamordować matkę i, dwadzieścia lat później, może jeszcze miejscową dziewczynę. No i te, które zginęły w sześćdziesiątym piątym — ich nie zamordował psychicznie opóźniony. Wystawienie ciał mogło służyć wielu celom — okazanie pogardy, wywołanie szoku — ale była to także próba przedstawienia zbrodni jako aktu szaleństwa. Aby myślano, że tylko wariat mógł popełnić podobny czyn, a podrzucenie części ubrań ofiar w domu Fletchera wskazało na szaleńca, którego szukali.

— No dobrze, to niby dokąd on poszedł?

Opadłem ciężko na jedno z podwójnych łóżek. — Nie wiem, chyba na północ, w lasy.

— A dlaczego przestał zabijać? — zaciekawił się Angel.

— Tego też nie wiem, może robił to dalej, a jedynie nie znaleziono zwłok. — Słyszałem o turystach zamordowanych na szlaku Appalachów i o innych, którzy zaginęli bez wieści. Zastanawiałem się, czy nie zeszli z wyznaczonej drogi, z nadzieją na skrót, i spotkali coś o wiele gorszego, niż mogliby sobie wyobrazić. — Albo i zabijał, zanim pojawił się w Maine, tyle że nikt nie powiązał z nim tych zbrodni — ciągnąłem. — Rachel twierdzi, że na jakiś czas mógł zapaść w stan uśpienia, ale ostatnie wydarzenia zakłóciły jego sen.

Angel wziął jeden z zamberlainów i przytrzymał w dłoniach. — Cóż, wiemy, co to oznacza, założywszy, że należały kiedyś do przyjaciela Ellen Cole. — Popatrzył na buty i w jego oczach ujrzałem smutek.

Nie miałem ochoty mu odpowiadać ani godzić się z możliwością, że jeżeli Ricky nie żył, to Ellen Cole pewnie też była już martwa.

— A jak tam sprawa Stritcha? — spytałem.

Louis zjeżył się. — Jakbym go czuł — powiedział. — Kobieta z recepcji wciąż nie na żarty wścieka się o kota. Gliniarze uważają jednak, że to robota dzieciaków.

— I co teraz? — niecierpliwił się Angel.

— Pojadę do Johna Barleya — odrzekłem, ale Louis potrząsnął głową.

— Zły pomysł, Bird — powiedział. — Jest ciemno, a on zna las lepiej od ciebie. Mógłbyś go wypłoszyć, a wtedy w żaden sposób nie dowiemy się, skąd wziął buty. Poza tym jest jeszcze ten jego cholerny pies: ostrzeże starego, ten zacznie strzelać i wtedy ty też będziesz musiał. A martwy nie przyda się nam.

Miał rację, co wcale nie wpłynęło na poprawę mojego samopoczucia. — Jak tylko zrobi się jasno — zgodziłem się z niechęcią. Między nami zawisła niewypowiedziana na głos ewentualność, że być może spotkałem już Caleba Kyle'a i wycofałem się, bo zagroził mi strzelbą.

— Jak zrobi się jasno — zaakceptował tę decyzję Louis.

Opuściłem ich i wróciłem do własnego pokoju, skąd zadzwoniłem do domu Waltera i Lee Cole w Queens. Po trzecim sygnale słuchawkę podniosła Lee, w jej głosie usłyszałem mieszaninę lęku i nadziei, taką samą, jaka rozbrzmiewała w głosach setek rodziców, przyjaciół i krewnych, czekających na choćby jedno słowo informacji o zaginionej, bliskiej osobie.

— Lee, tu Bird.

Przez chwilę nie odzywała się, ale słyszałem jej kroki, jakby wynosiła słuchawkę poza zasięg czyichś uszu, pewnie Lauren.

— Bird? Znalazłeś ją?

— Nie, jesteśmy w Dark Hollow i szukamy jej, ale jak dotąd nie mamy nic konkretnego. — Nie powiedziałem jej o butach Ricky'ego; jeżeli myliłem się co do tego, co mogło mu się przytrafić lub kto inny okazałby się właścicielem butów, nie powinienem niepotrzebnie jej niepokoić. Jeżeli mam rację, szybko dowiemy się reszty.

— Widziałeś się z Walterem?

Zaprzeczyłem. Z pewnością już dotarł do Greenville, ale wolałem uniknąć spotkania z nim. Tylko by skomplikował sprawy, a sam już z trudem kontrolowałem własne emocje.

— Bird, on był strasznie zły, jak się dowiedział, co zrobiłam... — Lee zaczęła płakać, głos jej się łamał. — Według niego, gdy ty włączasz się w sprawę, innym dzieje się krzywda, giną, i to zamordowani. Proszę, Bird, nie pozwól, by coś jej się przytrafiło.

— Przyrzekam, Lee, będziemy w kontakcie.

Odwiesiłem słuchawkę, przesunąłem nerwowo dłońmi po twarzy i włosach. Walter miał rację. W przeszłości, gdy podejmowałem trop, ludzi wokół mnie spotykało coś złego, ale głównie dlatego, że sami też się angażowali, z własnej woli. Czasami można kogoś pchnąć do działania, w tym czy przeciwnym kierunku, jednak najważniejsze kroki podejmuje się z własnej inicjatywy

Walter miał zasady, ale nigdy nie znalazł się w sytuacji, w której pojawia się konieczność pójścia z nimi na kompromis, by chronić tych, których się kochało, lub pomścić ich, jeżeli zostali nam zabrani. Teraz znalazł się w pobliżu Dark Hollow. Sytuacja już była skomplikowana, a zanosilo się na coraz gorzej. Przez jakiś czas siedziałem z twarzą ukrytą w dłoniach, potem rozebrałem się, stanąłem pod prysznicem — z głową opuszczoną w dół i plecami wystawionymi na mocny strumień wody, który, niczym zręczne palce, masował zmęczone, napięte mięśnie.

Gdy wycierałem się, zadzwonił telefon. Angel. Chcieli, bym poszedł z nimi coś zjeść. Nie czułem głodu, a troska o Ellen zakłócała tok myśli, niemniej zgodziłem się dołączyć do nich. Gdy dotarliśmy do jadłodajni, na drzwiach wisiała kartka z informacją, iż lokal zamknięto dziś wcześniej. W barze Roadside odbywała się tego wieczora jakaś charytatywna impreza, mająca na celu zebranie funduszy na orkiestrę szkolną, i wszystkich tam zapraszano. Angel i Louis wymienili nieszczęśliwe spojrzenia.

— Musimy wspomóc orkiestrę, jeżeli chcemy coś zjeść? — oburzył się Louis. — Cóż to za dzieciole miasto. Kogo musimy przekupić, by napić się piwa? Pewnie Stowarzyszenie

Rodziców i Nauczycieli. — Dokładniej przyjrzał się napisowi na kartce. — No, to grupa country, Larry Fulcher and the Gamblers, może to miasto nie jest znowu aż taką dziurą!

— Boże, nie! — jęknął Angel. — Byle nie znowu ta gówniana muzyka. Czemu nie możesz słuchać soulu, jak każdy z twego etnicznego rodzaju? No wiesz, Curtisa Mayfielda, może jakieś kawałki Wilsona Picketta, to twoi bracia, człowieku, a nie jacyś tam Brothers Louvin i Kathy Mattea. Poza tym jeszcze niedawno wykorzystywano to zasrane country jako muzyczne tło przy wieszaniu twych braci.

— Angel — Louis nie tracił cierpliwości — nikt nigdy nie powiesił nikogo w takt melodii z płyty Johnny'ego Casha!

Nie pozostało nic innego, jak udać się do Roadside. Wróciliśmy do motelu, wziąłem kluczyki do samochodu. Gdy wyszedłem z pokoju, ujrzałem, że Louis dodał do swego stroju czarny, kowbojski kapelusz, z wstążką ze srebrnymi gwiazdkami. Angel chwycił się za głowę i głośno zaklął.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. — Masz ze sobą jeszcze więcej podobnych rekwizytów? Wiesz, ty i Charley Pride jesteście raczej wyizolowani w tym waszym demonstrowaniu mocy black country i westernu. Jakby bracia zobaczyli cię tak ubranego, mogliby powiedzieć ci coś niemiłego-

— Bracia pomogli zbudować ten wielki kraj, a ta „gówniana muzyka”, jak nazwał ją rezydujący tu teoretyk kultury, była tłem muzycznym dla całej generacji robotników. Nie wszystko to Negro Spiritual i Paul Robson. A poza tym podoba mi się ten kapelusz. — I palcem pstryknął w rondo.

— Miałem nadzieję, że wy dwaj, dopóki tu jesteście, nie będziecie ściągać na siebie uwagi, jeżeli nie zajdzie taka potrzeba — powiedziałem i wsiałem do mustanga.

Louis westchnął głośno. — Bird, jestem jedynym bratem stąd aż do Toronto, i jeżeli nie zbieję między motelem a gospodą i przyjęciem wydanym dla dobra orkiestry, nie ma możliwości, bym uniknął wyróżniania się. Zamknij się więc i ruszaj.

— Tak, Bird, jedź — rzucił Angel z tylnego siedzenia. — Inaczej tu obecny Cleavon Little odcisnie ci na dupie swój przydomek. Może Życzliwy Kowboj albo Wróg Prerii.

— Angel — rzucił Louis — zamknij się już!

Bar Roadside mieścił się w obszernej budowli, w całości wzniesionej z ciemnego drewna. Do długiego, pełnego okien, parterowego budynku prowadziło wejście przykryte stromym dachem, wznoszącym się, niczym wieża kościoła, ponad całą resztą. Parking szczelnie zajmowały samochody, poupychano je też po jego obu stronach, po samą linię drzew. Roadside znajdował się przy zachodnich krańcach miasta; dalej zaczynał się ciemny las.

Przy drzwiach zapłaciliśmy po pięć dolarów za wstęp.

— Piątka! — syknął Angel. — To miejsce należy do mafii?

W długiej, przepastnej sali panowały ciemności niemal takie jak na dworze. Lamy na ścianach rzucały przyćmione światło, sam bar był wystarczająco jasny, by pijący mogli rozróżniać naklejki na butelkach, ale już nie datę ważności. Lokal okazał się o wiele większy, niż zdawał się od zewnątrz; urządzenia iluminacyjne wystarczały na oświetlenie baru i środka parkietu, ciągnącego się z trzysta stóp od drzwi do podwyższenia, z barem wzniesionym pośrodku. Stoliki rozchodziły się od niego w mrok pod ścianami, przy których przepierzenia tworzyły jakby oddzielne pokoiki. W kątach panowała taka ciemność, że ledwie widać było blade, księżycowe twarze, i to tylko wtedy, gdy ich właściciele stanęli w plamie światła. Przez resztę czasu pozostawali za ledwie cieniami, poruszającymi się pod ścianami niczym duchy.

— Bar w sam raz dla Stevie Wondera — stwierdził Angel. — Menu pewnie podają brajlem.

— Rzeczywiście, bardzo tu ciemno — przyznałem. — Upuść ćwierć-dolarówkę, a jak ją odnajdziesz, będzie warta dziesięć centów.

— Aha, taka reaganoekonomia w miniaturze — stwierdził Angel.

— Tylko nic nie mów na Reagana — ostrzegł Louis. — Mam po nim dobre wspomnienia.

— To więcej niż on sam — parsknął Angel.

Louis poprowadził nas do przepierzenia po prawej stronie, w pobliżu wyjścia awaryjnego, znajdującego się w połowie każdej ściany Roadside. Z tyłu, za sceną, też zamontowano jedno. Na podwyższeniu siedzieli już Larry Fulcher i The Gamblers. Louis wystukiwał stopą rytm, kiwał głową w takt muzyki.

W istocie, zespół okazał się niezły. Liczył sześć osób; Fulcher liderował na mandolinie, gitarze i banjo. Grali „Bonaparte's Retreat” i kilka piosenek Boba Willsa: „Get With It”, „Texas Playboy Rag”. Potem przeszli do „Wabash Cannonball” i „Worried Man Blues” z repertuaru Carter Family, „You're Learning” Louvin Brothers, wreszcie wykonali niezłą wersję „One Piece at a Time” Johnny'ego Casha. Same hity; grali dobrze i z widocznym zapałem. Nawet Louis był pod wrażeniem. Ostatnim razem widziałem go tak przejętego, gdy Angel otworzył ogień na trawniku Joego Bonesa w Nowym Orleanie i nie trafił żadnego z nas.

Zamówiliśmy burgery i frytki. Nadjechały w czerwonych, plastikowych wiaderkach, wymoszczonych na dnie, by zatrzymać tłuszcz. Zapach jedzenia aż mnie zemdleł. Angel i Louis pili Pete's Wicked, ja wybrałem wodę.

Zespół zrobił sobie przerwę i ludzie napłynęli do baru, ruszyli do toalet. Popijałem wodę i lustrowałem tłum. Ani śladu Randa Jenningsa czy jego żony, no i dobrze.

— Tak właściwie to powinniśmy teraz siedzieć przy domu Meade'a Payne'a — zatroskał się Louis. — Billy Purdue nie pojawi się tam w pełnym świetle dnia.

— Gdybyście tam teraz siedzieli, zmarzlibyście na kość i niczego nie bylibyście w stanie dostrzec — zaprotestowałem. — Robimy, co się da...

Czułem, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Może zresztą tak zawsze było, od samego początku, od momentu, gdy wziąłem od Billy'ego te pięćset dolarów i nie spytałem, skąd je wytrzasnął. Wciąż miałem pewność, że Billy prędzej czy później przedrze się do Dark Hollow. Bez współpracy Meade'a mogło się zdarzyć, że Billy umknie naszej uwadze, ale przypuszczałem, że zaszyje się u starego na jakiś czas, może nawet, z jego pomocą, spróbuje przedostać się do Kanady. Przybycie Billy'ego zakłóci rutynę zajęć w domu Payne'a, a wierzyłem, że Angel i Louis potrafią zauważyć zmianę.

Ale o Billy'ego nie bałem się tak bardzo jak o Ellen Cole, choć może, w pewien sposób, którego jeszcze nie rozgryzłem, istniał między nimi jakiś związek. Stary przywiódł ich tutaj — prawdopodobnie ten sam, który śledził Ritę Ferris w dniach poprzedzających jej śmierć, i może ten sam, którego w małym, teksańskim miasteczku znano kiedyś jako Caleba Brewstera. Dark Hollow było zbyt niewielką miejsciną, by miały w niej miejsce tego rodzaju, nie powiązane ze sobą, zbiegi okoliczności.

Jakby w odpowiedzi na moje rozważania, jakaś kobieta przepchała się do baru i zamówiła drinka. Lorna Jennings! Jej jaskrawy, czerwony sweter błyszczał w tłumie niczym latarnia morska. Przyszła w towarzystwie dwóch kobiet, szczupłej brunetki w zielonej bluzce i drugiej, starszej, też o czarnych włosach, ubranej w białą, bawełnianą bluzeczkę, ozdobioną pastelowymi różyczkami. Babski wieczór! Lorna nie zauważyła mnie, może nie chciała.

Rozległy się oklaski: Larry Fulcher i jego kapela powrócili na podwyższenie. Zaczęli od „Blue Moon of Kentucky” i parkiet natychmiast zapełnił się swingującym tłumem; kołyszące się na parkiecie pary uśmiechały się do siebie, kobiety wirowały na czubkach palców, mężczyźni prowadzili je umiejętnie. W powietrzu czuło się radość i śmiech. Grupki przyjaciół i sąsiadów stały rozmawiając, rozkoszowano się atmosferą serdeczności, przynależności do tej samej wspólnoty. Napis na transparencie nad barem dziękował zebranym za wspomaganie szkolnej kapeli z Dark Hollow. W cieniu młodsze pary całowały się dyskretnie, podczas gdy ich rodzice, na parkiecie, praktykowali pieszczoty wstępne. Muzyka zdawała się

rozbrzmiewać coraz głośniejsze, tłum poruszał się szybciej, od strony baru nadleciał, przy akompaniamencie zażenowanego chichotu, dźwięk tłuczonego szkła. Lorna stała tuż obok filaru, między przyjaciółkami, wszystkie trzy w milczeniu przysłuchiwały się muzyce. W mroku pod ścianami, niczym z trudem możliwe do odróżnienia cienie, poruszały się jakieś postacie. Pary małżeńskie wymieniały uwagi, młodzi żartowali, społeczność relaksowała się. Tu i tam słyszało się komentarze dotyczące odkrycia ciała Garyego Chute'a, wypowiedziane wszakże bez większego zaangażowania; nic nie zaburzało odświeżoności wieczoru. Obserwowałem kobietę i mężczyznę, siedzących przy barze naprzeciw Lorny: całowali się namiętnie, gdy stykały się usta, wyraźnie widać było języki... dłoń kobiety zakradająca się ku udzie partnera, niżej, niżej...

Stało tam dziecko, oświetlone kręgiem światła, którym jakby samo promieniowało. Obok przesuwały się pary, przechodzili mężczyźni przepychający się przez tłum z tacami pełnymi szklanic piwa, nikt jednak nie naruszał przestrzeni otaczającej chłopczyka, nie przekraczał jasności, w której stał. Oświetlała jego jasne włosy, wydobywała głębie czerwieni rajtuzów; paznokcie rączki zaślśniły, gdy mały chłopczyk uniósł ją i wskazał na cienie.

— Donnie? — usłyszałem swój szept.

I z ciemności najdalszego kąta sali wyłonił się biały kształt. Usta Stritcha rozciągał uśmiech, grube, miękkie wargi przecinały twarz na pół, łysa głowa błyszczała w mrocznej poświacie. Odwrócił się w stronę Lorny Jennings, potem, przedzierając się do niej przez tłum, popatrzył na mnie i prawym palcem wskazującym przesunął w poprzek szyi.

— Stritch — syknąłem i zerwałem się z krzesła.

Louis, unosząc się, już lustrował tłum, sięgał po SIG-a.

— Nie widzę go, jesteś pewien?

— Z drugiej strony baru, chce dopaść Lornę.

Louis ruszył w prawo, z ręką pod czarną kurtką, palcami przytrzymując broń. Ja rzuciłem się w lewo, ale tłum, gęsty, z niechęcią się rozstępował. Przepychałem się bez pardonu, wśród przekleństw i narzekań, gdy rozlewałem piwo. (Koleś, hej, koleś, gdzie się pali?!). Starąłem się nie tracić z oczu czerwonego swetra Lorny — daremnie, w końcu zgubiłem ją w tłumie. Po prawej widziałem Louisa, przedzierającego się między parami na skraju parkietu; biegły za nim zaniepokojone spojrzenia. Od lewej Angel okrążał bar szerokim łukiem.

Przybliżyliśmy się do kontuaru — tu kobiety i mężczyźni, stłoczeni, wołali o drinki, machali pieniędzmi, śmiali się, wymieniali czułości. Przedostałem się na sam przód, po drodze rozlałem niesione na tacy napoje i pchnąłem chudego, przyszczatego młodzika tak mocno, że aż ukląkł na podłodze. W moją stronę wyciągnęły się ręce, podniosły gniewne głosy, ale zignorowałem je. Barman, tłusty mężczyzna o śniadej cerze i gęstej brodzie, uniósł w proteście dłoń, gdy pośliznąwszy się na mokrej podłodze, wspiąłem się na ladę.

— Hej, złaż stamtąd! — zawołał, ale urwał na widok Smitha & Wessona. Wycofał się w kierunku telefonu przy kasie.

Teraz widziałem Lornę wyraźnie. Gdy wyrosłem tuż nad nią, spojrzała na mnie, inne głowy też zaczęły się odwracać w moją stronę, oczy otwierały szeroko z zaciekawienia. Obróciłem się na pięcie i ujrzałem, jak Louis przepycha się między gośćmi przy barze, jak lustruje tłum i wyteżę wzrok, by dostrzec choć czubek tej bladej, przypominającej kopułę głowy.

Ja zobaczyłem go pierwszy. Między nim a Lorną znajdowało się może jeszcze ze dwadzieścia osób, a on wciąż przesuwał się ku niej. Od czasu do czasu ktoś na niego popatrzył, ale to ja ścigałem teraz uwagę — na blacie, z bronią w prawej dłoni. Stritch znów się do mnie uśmiechnął i coś zabłysło w jego ręce: krótkie, krzywe ostrze, z paskudnie ostrym szpicem. Jednym skokiem znalazłem się na samym środku lady, w części zajętej przez kasę i butelki, następny doniósł mnie niemal do samej Lorny; szklanki spod mych stóp spadały i

rozbiwały się na podłodze. Ludzie odsuwali się ode mnie, rozległy się krzyki. Odepchnąłem się od baru i ruszyłem ku Lornie.

— Cofnij się — powiedziałem — grozi ci niebezpieczeństwo.

Uśmiech zastygł na jej twarzy, na czole pokazały się zmarszczki, wreszcie dostrzegła broń. — O co ci chodzi?

Spojrzałem za jej plecy, tam gdzie ostatnio widziałem Stritcha, ale już zniknął mi z pola widzenia, wtapiał się w tłum. Teraz ponad jakimś stołem ujrzałem głowę Louisa, starającego się trzymać jak najniżej, by samemu nie stać się celem. Odwrócił się do mnie i gestem wskazał środkowe wyjście. Kapela na podeście wciąż grała, ale dostrzegłem zaniepokojone spojrzenia członków zespołu.

Od lewej jakieś osiłki w T-shirtach szły w naszą stronę. Chwyciłem Lornę za ramię. — Bierz przyjaciółki i trzymajcie się blisko baru. Mówię poważnie, później wyjaśnię. — Przytaknęła ruchem głowy, już bez uśmiechu; chyba dostrzegła Stritcha i zobaczyła w jego oczach, jakie ma wobec niej zamiary.

Energicznie używając ramion, zacząłem przeciskać się do głównego wyjścia. Do drzwi prowadziło kilka schodków. Dostrzegłem przy nich kelnerkę, ładną dziewczynę o długich, czarnych włosach, która ze zmarszczonym czołem, niepewnie przyglądała się sytuacji przy barze. A potem wyłoniła się obok niej jakaś postać. Błada twarz, przylepiona do kopuły głowy, wykrzywiła się w uśmiechu. Wyblakła dłoń zanurzyła się we włosach dziewczyny, błysnęło ostrze. Kelnerka szarpnęła się, z wysiłku aż padła na kolana. Próbowałem unieść rewolwer, ale wciąż mnie potracano, ramiona i głowy przysłaniały mi cel. Jakiś młodzieniec o posturze futbolisty usiłował przytrzymać mnie za prawe ramię, ale zarobił ode mnie łokciem w twarz i cofnął się. Już zdawało się, że nie zdołamy uratować dziewczyny, pozwolimy, by poderżnięto jej gardło, gdy przez salę przeleciał ciemny przedmiot i rozbił się na głowie Stritcha. Po lewej stronie ujrzałem stojącego na krześle Angela, z ramieniem wciąż uniesionym po rzucie butelką. Stritch zatoczył się do tyłu, z licznych ran na jego twarzy połała się krew; kelnerka wyrwała się i stoczyła po schodach, zostawiwszy w dłoni napastnika girlandę włosów. Drzwi za Stritchem otworzyły się i on sam, w jednej chwili, zanurzył się w noc.

Louisa i mnie dzieliły od niego ledwie sekundy, dotarliśmy do schodów niemal równocześnie. Za naszymi plecami, przy głównym wejściu ukazały się niebieskie mundury, rozległy się głośne okrzyki.

Na zewnątrz, po jednej stronie drzwi, stały stłoczone razem beczki, z drugiej zielone pojemniki na śmieci. Przed nami widniał skraj puszczy, oświetlony wielkimi lampami, umieszczonymi przy bocznej ścianie baru. Coś białego poruszało się w ciemnościach, tuż za linią światła; ruszyliśmy za tym czymś.

WMM. m

bwhjiimtow phaw

Cisza panująca w lesie napawała przerażeniem, zupełnie jakby śnieg stłumił przyrodę, zduślił życie. Żadnego wiatru ani głosów nocnego ptactwa, tylko skrzypienie butów i delikatne trzaski niewidocznych, zakopanych pod naszymi stopami gałązek.

Mocno zacisnąłem powieki, by oczy przywykły do leśnych ciemności, dłonią wsparłem się o pień drzewa. Z otaczających nas zasp, jak węże oplatające cienką warstwę gleby, tu i ówdzie wystawały korzenie. Louis już raz upadł i przód płaszcza miał obsypany śniegiem.

Za nami, od strony baru, słychać było krzyki, nawoływania, ale jak dotąd, nikt za nami nie szedł. W końcu nie wiadomo, co się wydarzyło: mężczyzna wymachujący bronią; inny rzucający butelką i raniący trzeciego; niektórzy widzieli nóż, którego istnienie mogła potwierdzić kelnerka. Zabierze im trochę czasu zdobycie latarek i zorganizowanie policyjnej obławy. Od czasu do czasu za naszymi plecami błyskała żółto słaba wiązka światła, ale

wkrótce coraz gęściej rosnące drzewa już jej nie przepuszczały. Tylko błąda poświata księżycza z trudem przedzierała się przez gałęzie, rozwieszane nad naszymi głowami.

Louis parł do przodu tuż przy mnie, wystarczająco blisko, byśmy mogli się widzieć. Uniosłem dłoń i zatrzymaliśmy się. Przed nami nic nie było słyhać, co oznaczało, że Stritch albo skradał się ostrożnie, albo zatrzymał się i czekał na nas w ciemnościach. Znowu pomyślałem o drzwiach w kompleksie Portland i o mej pewności, że on tam jest i że gdybym ruszył za nim, zabiłby mnie. Tym razem nie zamierzałem się wycofać.

Nagle usłyszałem jakiś dźwięk, dochodzący z lewa, delikatny, przypominający szelest ocierającej się o ubranie gałązki wiecznie zielonego krzewu, a potem odgłos śniegu uginającego się pod stopą. Wyraz twarzy Louisa wyraźnie świadczył, iż on też coś zarejestrował. Jeszcze cichy odgłos stawianej stopy, i następny, ale nie w naszym kierunku, lecz oddalający się od nas.

— Czyżbyśmy go wyprzedzili? — szepnąłem.

— Wątpię, może to ktoś z baru.

— Bez latarki i sam, nie w grupie?

No i jeszcze coś: ktoś hałasował, nie przejmując się, jakby z rozmysłem. Jakby chciał, byśmy wiedzieli, że on czy ona tam jest.

Przełknąłem głośno ślinę. Obok mnie obłok wydychanego przez Louisa powietrza na chwilę przesłonił jego rysy cienką mgłą.

Louis popatrzył na mnie i wzruszył ramionami.

— Nasłuchujmy, ale lepiej chodźmy dalej...

Wyszedł zza pnia jodły i wtedy dźwięk wystrzału rozerwał ciszę lasu. Twarz Louisa obsypały kawałki kory i żywicy. Błyskawicznie padł i potoczył się w prawo, aż znalazł osłonę w zagłębieniu, przed którym wynurzał się ze śniegu obły czubek potężnego głązu.

— Niewiele brakowało — usłyszałem. — Pieprzeni zawodowcy!

— Ponoć jesteś takim — przypomniałem mu — dlatego się tu znalazłeś.

— Wciąż zapominam — odrzekł. — Pewnie dlatego, że bez przerwy otaczają mnie amatorzy.

Zastanawiałem się, jak długo Stritch nas obserwował, czekając z następnym ruchem. Wystarczająco, by zobaczyć mnie z Lorną i pojąć, że coś nas łączy.

— Dlaczego próbował jej dopaść na widoku publicznym? — zastanawiałem się na głos.

Louis zaryzykował wyrznięcie na drugą stronę głązu, ale nikt nie strzelił. — Zamierzał skrzywdzić tę kobietę tak, byś wiedział, że to on. Co więcej, chciał nas stamtąd wywabić.

— I poszliśmy za nim.

— Nie chciałem go rozczarować — odrzekł Louis. — Powiem ci, Bird: nie sądzę, by facetowi zależało jeszcze na tamtych pieniądzech...

Zaczynałem mieć dość przyciskania się do wielkiej jodły — Zamierzam ruszyć się, zobaczyć, jak daleko uda mi się dojść. Mógłbyś jeszcze raz wyrzeć z tej twojej dziury i osłaniać mnie?

Nabrałem powietrza i, nisko pochylony, pobiegłem zygzakiem. Potknąłem się na dwóch ukrytych korzeniach, ale udało mi się nie upaść, gdy broń Stritcha szczęknęła dwukrotnie, wznosząc na prawo ode mnie pióropusz ziemi i śniegu. Potem rozległa się seria z Louisowego SIG-a — trzaskały łamane gałęzie, wylatywały w górę kamienie — i najwyraźniej zmusiła Stritcha do schowania głowy.

— Widzisz go? — wrzasnąłem. Przykucnąłem, plecami oparty o świerk, i wypuszczałem z płuc białe kłęby. Wreszcie trochę się rozgrzałem, chociaż, nawet w ciemnościach, moje palce i dłonie zdawały się jedną, żywą czerwinią. Zanim Louis zdążył odpowiedzieć, coś barwy wyblakłej bieli oderwało się od widniejącej przed nami kępy krzewów. Strzeliłem i postać wycofała się w ciemność. — Mniejsza z tym — stwierdziłem — jest jakieś trzydzieści stóp na północny wschód przed tobą i idzie dalej.

Louis już biegł znowu, jego ciemna sylwetka rysowała się na bieli. Westchnąłem, wycelowałem i oddałem cztery strzały w miejsce, w którym przed chwilą widziałem Stritcha — cisza, żadnej odpowiedzi. Louis znalazł się na tym samym poziomie, co ja, tyle że dziesięć stóp w bok.

I znów, po lewej, ale tym razem dalej, gdzieś z przodu, las ożył, coś poruszyło się gwałtownie. Ktoś szedł szybko i pewnie w stronę Stritcha.

— Bird? — odezwał się Louis. Natychmiast uniosłem się i wskazałem kierunek hałasu. Znowu cisza. Czekaliśmy. Przez trzydzieści sekund nic się nie działo. Żadnego dźwięku, odgłosu kroków, nawet śniegu spadającego z drzew. Nic, tylko bicie serca i szum krwi w uszach.

Dwa strzały zabrzmiały jeden po drugim, a potem rozległ się dźwięk jakby wpadających na siebie ciał. Louis i ja ruszyliśmy w tym samym momencie, wysoko wyciągając przemarznięte stopy z zapadającego się śniegu. Biegliśmy bez wytchnienia, aż dotarliśmy do kępy krzaków, przedarliśmy się przez nią, uniesionymi ramionami rozsuwając gałęzie, i znaleźliśmy Stritcha.

Stał na małej, kamienistej polance, oblanej srebrzystą poświatą, plecami zwrócony do nas, stopami ledwie dotykał śniegu, ramionami obejmował pień wielkiej jodły. Z brązowego deszczowca wydobywało się coś gęstego i czerwonego, i błyszczało ciemno w świetle księżyca. Gdy się do niego zbliżyliśmy, Stritch zadrzał i zdawał się mocniej przywrzeć do drzewa, jakby z całej siły starał się zerwać z ostrego konaru, na który został nabit. Z ust trysnął mu strumień krwi; Stritch jęknął i poluzował chwyt. Na dźwięk naszych kroków odwrócił głowę i patrzył oczyma czarnymi od szoku, a jego grube, mokre wargi, rozwarłe szeroko, odsłaniały zęby, zaciśnięte w wysiłku, by trzymać się prosto. Krew płynęła z rany na głowie, ciemne strugi zalewały wyblakłą twarz.

Byliśmy tuż przy nim, gdy otworzył usta i jego ciałem wstrząsnął silny, ostatni spazm. Potem Stritch poluzował uchwyt, głowa opadła mu do przodu i oparła się o korę pnia.

A gdy umarł, przebiegłem wzrokiem przecinając, wiedząc, że Louis czyni to samo, obaj świadomi, iż niedostępny dla naszego wzroku, ktoś nas obserwuje i czerpie radość z tego, co widzi, i ze swego czynu.

md mm

BWUMMW

W biurze Randa Jenningsa, w komendzie policji w Dark Hollow, patrzyłem na bielejące na szybie, na tle szarości wczesnego poranka, płatki śniegu. Jennings siedział naprzeciw mnie, z dłońmi splecionymi pod brodą, koniuszkami palców podpierając niewielki walek tłuszczu, zarysowujący się wokół podbródka. Za mną stał Ressler, a kilku mundurowych, przeważnie zatrudnionych czasowo, co chwilę wpadało do pokoju; biegali tam i z powrotem po korytarzu, wpadając na siebie niczym mrówki, którym zakłócono chemiczne sygnalizatory.

— Powiedz mi, kto to był — zażądał Ressler.

— Już mówiłem.

— To powtórz.

— Nazywał się Stritch. Wolny strzelec od mokrej roboty — morderstwo, tortury, zabójstwo, co tylko chcesz.

— A skąd ten atak na kelnerkę w Dark Hollow, w Maine?

— Nie mam pojęcia. — Skłamałem, ale gdybym powiedział mu, że była to próba zemsty za śmierć partnera, Jennings chciałby wiedzieć, kto zabił tamtego i jaką rolę odegrałem w sprawie. Gdybym wyznał mu prawdę, miałbym duże szanse wyłudować w celi.

— Zapytaj go o czarnucha — włączył się Ressler. Instynktownie mięśnie mych ramion i karku zeszytywniały i usłyszałem, jak Ressler prycha za moimi plecami. — Nie podoba się panu to słowo, panie Złoty Strzelec?

Nie lubi pan, gdy kogoś nazywają czarnuchem, zwłaszcza gdy chodzi o pańskiego przyjaciela?

Wzięłam głęboki oddech i opanowałam wzbierający we mnie gniew.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Ale chętnie bym posłuchał, jak odzywa się pan tak w Harlemie.

Jennings rozsunął dłonie i wycelował we mnie palcem wskazującym.

— I znowu muszę nazwać cię kłamcą, Parker. Mam świadka, który widział, jak ten kolorowy wyszedł za tobą, on też zameldował się w motelu razem z tym chudym białym facetem w dniu, gdy tu przyjechałeś; ten sam kolorowy zapłacił z góry za pokój, który dzielił z tym chudym białym, co to walnął Stritcha butelką, i ten sam kolorowy... — Teraz Jennings już krzyczał. — ...ten sam pieprzony kolorowy, który już wymeldował się z motelu i rozplynał się w pieprzonym eterze ze swym koleśkiem. Słyszysz mnie?

Wiedziałem, dokąd udali się Angel z Louistem. Schronili się w motelu India Hill przy drodze nr 6, pod Greenville. Będą jadał w pobliskim Mc-Donaldzie i zaczekają na mój telefon.

— Powtarzam, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Byłem sam, gdy znalazłem Stritcha. Może ktoś jeszcze szedł za mną, sądząc, że będę potrzebował pomocy w złapaniu tego gościa, ale nawet jeżeli tak było, nie widziałem go.

— Pieprzysz, Parker. Mamy trzy, może cztery rodzaje śladów biegnących w kierunku przecinki. A teraz zapytam jeszcze raz: z jakiego powodu ten gość zaatakował kelnerkę w moim mieście?

— Nie wiem — skłamałem ponownie. Gdyby ta rozmowa była z koniem, ktoś już by go z pewnością zastrzelił.

— Nie wciskaj mi ciemnoty. Wypatrzyłeś faceta. Śledziłeś go, nim jeszcze zabrał się za tę dziewczynę... — Przerwał — ...założywszy, że zamierzał się dobrać właśnie do Carlene Simmons. — Przybrał zamyślony wyraz twarzy, nie odrywał ode mnie wzroku. Nie lubiłem go nigdy, a to, co między nami zaszło, nie przyczyniło się do polepszenia naszych stosunków, ale nie był głupi. Wstał i podszedł do okna, i przez dłuższy czas wyglądał w ciemność. — Sierzancie — powiedział w końcu — możesz nas zostawić na chwilę?

Usłyszałem, jak za moimi plecami Ressler cichym, ale zdecydowanym krokiem wychodzi, potem zamyka za sobą drzwi. Jennings zwrócił się do mnie, z trzaskiem wcisnął prawą pięść w lewą dłoń.

— Gdybym cię teraz walnął, nikt z tych na zewnątrz nie próbowałby mnie powstrzymać, nawet gdyby chciał. Nikt by się nie wmieszał. — Głos miał spokojny, ale oczy mu płonęły.

— Ruszysz ręką w moją stronę, Rand, to lepiej módl się, by ktoś spróbował się wmieszać. Mógłbyś być zadowolony z pomocy.

Usiadł na krawędzi biurka, twarzą do mnie, prawą dłoń wciąż trzymał zwiniętą w lewej, wspartą na udach. — Podobno widziano cię w mieście z moją żoną...

Teraz nie patrzył na mnie. Całą uwagę skoncentrował na swych rękach, badał wzrokiem każdą bliznę i zmarszczkę, każdą żyłę i każdy por. Dłonie starego człowieka, starszego niż w rzeczywistości. Było w Jenning- sie jakieś zmęczenie, znużenie. Życie z kobietą, która nas nie kocha, tylko po to, by nikt inny nie mógł jej mieć, odciska się piętnem na mężczyźnie; na kobiecie także.

Nie zareagowałem na jego słowa, ale wiedziałem, o czym myśli. Tak czasem bywa. Można to nazwać losem, przeznaczeniem, wolą Boga. Pechem, jeżeli usiłuje się utrzymać rozpadające się małżeństwo za wszelką cenę, aby tylko nie rozpadło się bardziej, podobnie jak ci egocentrycy, polecający po śmierci zamrozić się w nitroglicerynie, w nadziei, że po stuleciach medycyna zrobi tak dalekie postępy, iż można będzie ich ożywić; jakby przyszły świat tylko czekał, by powitać stare ciało z przeszłości. Małżeństwo Randa chyba właśnie tak wyglądało: utrzymywał je na siłę, zamrożone w jakimś nieistniejącym świetle i czekające na cud, który miał przywrócić je do życia. I nagle pojawiłem się ja, jak kwietniowa odwilż, a on zrozumiał, iż konstrukcja zaczyna topnieć. Nie miałem nic do oferowania jego żonie, w

każdym razie nic takiego, co chciałbym jej dać. A co ona widziała we mnie? Może miało to mniej wspólnego ze mną niż z tym, co reprezentowałem: stracone możliwości, nie podjęte ścieżki, drugą szansę.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — zapytał.

— Słyszałem.

— To prawda? — Teraz patrzył na mnie i bał się. Nie tak określiliby swój stan, nawet by się przed sobą nie przyznał, ale był to strach. Może, gdzieś w głębi, wciąż kochał żonę, choć w tak dziwny sposób, tak oderwany od zwykłego życia, że przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie dla obojga z nich.

— Jeżeli pytasz, to już wiesz.

— Próbujesz znowu mi ją zabrać?

Niemal mu współczułem. — Nie jestem tu, by zabierać kogokolwiek komukolwiek. Jeżeli ona cię opuści, to z własnych powodów, nie dlatego, że mężczyzna z przeszłości porwie ją wbrew jej woli. Masz problemy z żoną, zajmij się nimi. Nie jestem twoim małżeńskim doradcą.

Zsunął się z biurka, z dłońmi po obu stronach ciała, już zwijającymi się w pięści. — Nie bądź taki przemądrzały, bo...

Wstałem i poszedłem bliżej, znaleźliśmy się twarzą w twarz. Nawet gdyby spróbował mnie teraz uderzyć, nie miał dość miejsca na odpowiedni zamach. Powiedziałem cicho, ale wyraźnie: — Nic nie zrobisz, spróbujesz, a powalę cię. A co do Lorny, to lepiej zamilczmy o niej, bo nasza rozmowa niewątpliwie przybrałaby nieprzyjemny obrót i jeden z nas mógłby ucierpieć. Przed laty zarobiłem kopniaki na zalanej szczytnymi podłódze, podczas gdy twój koleś się przyglądał. Ale od tamtego czasu zabijałem i załatwię cię, jeżeli mi się postawisz... Jak będziesz miał więcej pytań, albo zechcesz wysunąć przeciwko mnie oskarżenie, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Zostawiłem go, zabrałem z biurka broń i poszedłem do mustanga. Czulem się obolały i brudny, stopy marzły mi w przemokniętych butach. Pomyślałem o Stritchu, wijącym się i usiłującym zerwać się z drzewa, wspinającym się na palcach w daremnej, bezsilnej próbie przeżycia. Ileż trzeba było siły, by nadziać go na ten pniak! Stritch był krępy, potężnym mężczyzną, o niskim środku ciężkości. Takich niełatwo jest ruszyć. Kołnierz płaszcza miał oddarty, gdy morderca pochwycił go i, wykorzystując ciężar własnego ciała, stworzył moment siły potrzebnej do nadziania ofiary na drzewo. Szukaliśmy kogoś silnego i szybkiego, kogoś, kto widział w Stritchu zagrożenie dla siebie.

Lub dla kogoś innego.

Zimny wiatr marszczył główną ulicę Dark Hollow, obsypywał samochód śniegiem; wreszcie przede mną wyłonił się motel. Poszedłem do pokoju, włożyłem klucz do zamka i przekręciłem, ale drzwi były otwarte. Trzymając się blisko prawej ściany, wyciągnąłem broń z kabury i cicho otwarłem drzwi na oścież.

Lorna Jennings siedziała na łóżku, bez butów, z kolanami podciągniętymi pod brodę; paliła się tylko nocna lampka. Lorna obejmowała dłońmi łydki, palce miała splecione. Na ekranie telewizora widać było jakiś talk show, dźwięk przyciszono do minimum.

Spojrzała na mnie wzrokiem, który mógł oznaczać miłość lub nienawiść. Świat, który tu dla siebie stworzyła — kokon obojętności otaczający pogrzebane uczucia i stygnące serce nędznego małżeństwa — walił się w gruzy. Potrząsnęła głową, z oczami wciąż utkwionymi we mnie; zdawała się być na granicy łez. Potem odwróciła się w stronę okna, przez które, już niedługo, ponure, zimowe światło miało wpaść do pokoju.

— Kto to był? — spytała.

— Nazywał się Stritch.

W pobliżu jej bosej stopy kciuk i palec wskazujący zepchnęły obrączkę ślubną niemal na czubek palca i obracały nią tam, zanim wreszcie zsunęła się; wtedy Lorna przytrzymała ją. Pomyślałem, że to zły znak.

— Zamierzał mnie zabić, prawda? — Mówiła obojętnym tonem, ale coś drżało w jej głosie.

— Tak.

— Dlaczego? Nigdy go dotąd nie widziałam. Co ja mu zrobiłam? — Oparła policzek na kolanie, czekała na moją odpowiedź. Po twarzy spływały jej łzy.

— Chciał cię zabić, bo sądził, że coś dla mnie znaczysz. Szukał zemsty i dostrzegł odpowiednią okazję.

— A czy ja coś dla ciebie znaczę? — niemal szepnęła.

— Kiedyś cię kochałem — powiedziałem po prostu.

— A teraz?

— Wciąż zależy mi na tobie wystarczająco, bym nie chciał, żeby ktoś cię skrzywdził.

Potrząsnęła głową, uniosła ją znad kolan i przyłożyła wierzch prawej dłoni do policzka. Teraz nie kryła łez.

— Zabiłeś go?

— Nie, ktoś dopadł go przede mną.

— Ale zabiłbyś, prawda?

— Tak.

Kąciki ust opadły w wyrazie bólu i rozpaczy, twarz ociekała łzami, które spływały na prześcieradło. Z pudełka na komodzie wyjąłem chusteczkę i wręczyłem jej, potem usiadłem na skraju łóżka.

— Jezu, dlaczego musiałeś tu przyjechać? — zapytała. Spazmy szloch szarpały jej ciałem. Dochodziły z takiej głębokości, że przerywały potok jej słów, niczym małe cezury bólu. — Czasami nie wspominałam cię całymi tygodniami. Gdy dowiedziałam się o twoim ślubie, płonęłam w środku, ale pomyślałam, że to może pomóc, że rana się zagoi. I tak było, Bird, naprawdę. Ale teraz...

Sięgnąłem do jej ramienia, ale odsunęła się.

— Nie — powiedziała — nie rób tego.

Ale ja nie słuchałem. Usiadłem głębiej na łóżku, ukląknęłam obok niej i przyciągnąłem ją do siebie. Walczyła, otwartą dłonią uderzała mnie w głowę, w rękę. A potem ukryła mi twarz na piersi i przestała walczyć. Objęła mnie ramionami, mocno przycisnęła policzek, pomiędzy jej zaciśniętych zębów wydobywał się jakby jęk. Przesunąłem dłońmi po jej plecach, koniuszkami palców musnąłem ramiączka stanika pod swetrem,

który lekko się podwinął, odsłaniając, nad dzinsami, oliwkową skórę i koronkę zdobiącą jej bieliznę.

Lorna poruszyła głową wtuloną pod moją brodą, jej policzek ocierał się o moją szyję i przesuwiał się w górę, aż oparł o mój. Poczulem przypływ żądz. Zatrzęsły mi się dłonie, zapewne bardziej w opóźnionej reakcji na polowanie za Stritchem niż na bliskość Lorny. Tak łatwo byłoby dać się ponieść fali, odtworzyć, choć na krótko, wspomnienie młodości.

Pocałowałem ją delikatnie w skroń, potem odsunąłem się.

— Przepraszam — powiedziałem. Wstałem i podszedłem do okna. Za plecami usłyszałem, jak idzie do łazienki, drzwi się zamykają, potem syk kurków. Przez krótką chwilę stałem się znowu młodzieńcem, zżeranym pożądaniem czegoś, do czego nie ma prawa. Ale ten młodzieniec już odszedł, a ten, który zajął jego miejsce, nie odczuwał już z taką intensywnością miłości do Lorny Jennings. Na dworze padał śnieg, niczym lata zakrywające przeszłość niesplamioną bielą niewypowiedzianych możliwości.

Drzwi łazienki otwały się. Kiedy się odwróciłem, Lorna stała nago przede mną.

Przez chwilę patrzyłem na nią, wreszcie powiedziałem: — Chyba zostawiłaś coś w łazience... — Nie poruszyłem się w jej kierunku.

— Nie chcesz być ze mną? — spytała.

— Nie mogę, Lorna. Gdyby tak się stało, zrobiłbym to ze złych powodów, a, szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy umiałbym sobie z tym poradzić.

— Nie, to nie to — powiedziała. Łza spłynęła jej po policzku. — Postarzałam się. Nie jestem taka, jaką mnie znałeś.

Mówiła prawdę, upływający czas odcisnął ślady na jej ciele. Na udach i pośladkach pojawiły się wgłębienia, wokół brzucha niewielkie fałdki tłuszczu. Piersi straciły jędrność, górne części ramion już wiotczały. Delikatny zarys żyły przebijał się na lewym udzie. Wokół ust pojawiły się maleńkie zmarszczki, z kącików oczu wymykała się triada linii.

A jednak, choć lata ją zmieniły — nawet teraz proces ten nie ustawał — nie uczyniły jej mniej piękną. Odwrotnie, wraz ze starzeniem się, kwintesencja jej kobiecości zdawała się potęgować. Delikatna piękność młodości nie zbladła; wytrzymała, przystosowawszy się, surowe zimy północy i trudy małżeństwa, i siła ta znalazła wyraz w jej twarzy, w jej ciele, odsłaniając godność i dojrzałość, niegdyś w niej ukryte. Gdy patrzyłem jej w oczy i wytrzymywałem jej wzrok, wiedziałem, że kobieta, którą kochałem, dla której wciąż czułem coś, co było niemal miłością, pozostała wewnątrz nietknięta.

— Wciąż jesteś piękna — powiedziałem.

Patrzyła na mnie uważnie, starając się upewnić, czy nie usiłuję pocieszać jej dobrymi kłamstwami. Gdy przekonała się, że mówię prawdę, przymknęła delikatnie powieki, jakby głęboko wzruszona, ale nie potrafiła powiedzieć, czy czuje ból, czy przyjemność.

Zakryła dłońmi twarz, potrząsnęła głową. — Sytuacja trochę żenująca.

— Dość — przyznałem.

Wróciła do łazienki. Po wyjściu ruszyła wprost do drzwi. Poszedłem za nią i stanąłem przy nich, gdy dotknęła klamki. Odwróciła się jeszcze i położyła mi dłoń na policzku.

— Nie wiem, Bird. — Przez chwilę oparła czoło o moje ramię. — Po prostu nie wiem.

I wymknęła się w poranne słońce.

Spałem jakiś czas, potem wziąłem prysznic i ubrałem się. Spojrzałem na zegarek, przypinając go do nadgarstka, i przeszył mnie ból, jakiego nie odczuwałem od miesiący. Zwinąłem się, padłem na podłogę i zacząłem cicho płakać, mocno obejmując się ramionami; mym ciałem wstrząsały fale bólu. Przez to wszystko, co się wydarzyło — polowanie na Caleba Kyle'a, spotkanie z Rachel, śmierć Stritcha — przestałem liczyć dni.

Był jedenasty grudnia. Jeden dzień do rocznicy.

Minęła trzecia, gdy przełknąłem w jadalni grzanekę i napiłem się kawy. Pomyślałem o Susan i poczułem wściekłość na świat za przyzwolenie, by odebrano mi ją i dziecko. I zastanawiałem się, w jaki sposób, z tym całym, zwiniętym we mnie bólem i żalem, mógłbym zacząć od nowa.

Ale pragnąłem Rachel, wiedziałem o tym, i zaskakiwała mnie głębia mej potrzeby. Czułem ją, gdy siedziałem naprzeciw Rachel na Harvard Square, słuchałem jej głosu i przypatrywałem się ruchom jej dłoni. Ile razy kochaliśmy się? Dwa? A jednak, przy niej, odczuwałem spokój, którego na tak długo mnie pozbawiono.

Zastanawiałem się też, czym dla niej i dla mnie mogłoby się skończyć, gdyby nasz stosunek rozwijał się dalej. Ja byłem mężczyzną nawiedzonym przez ducha żony. Wtedy nosiłem po niej żalobę, teraz także. Wciąż czułem się winny z powodu mego uczucia do Rachel i tego, co razem robiliśmy. Czy to zdrada wobec pamięci Susan, to pragnienie, by zacząć od nowa? Tyle uczuć, emocji, tyle aktów zemsty, tyle prób rekompensaty skoncentrowało się w

ostatnich dwunastu miesiącach. Odczuwałem pustkę w duszy, dręczonej obrazami, które, nieproszone, wpełzały w moje sny i w chwili przebudzenia. Widziałem w barze Donalda Purdue, tak wyraźnie, jak później nagą Lornę, jak Stritcha wbitego na pień drzewa.

Pragnąłem zacząć od nowa, ale nie wiedziałem jak. Wiedziałem tylko, że zbliżam się do krawędzi i że muszę znaleźć jakiś sposób zakotwiczenia się, nim spadnę.

Wyszedłem z jadłodajni i pojechałem do Greenville. Mercury, niemal niewidoczny z drogi, stał zaparkowany za motelem, pod kępą drzew. Nie sądziłem, by Rand, dopóki miał mnie, rozpoczął poszukiwania Angela i Louisa, ale nie szkodziło przedsięwziąć środków ostrożności. Gdy zaparkowałem, Angel otworzył drzwi pokoju numer sześć i odsunął się, by wpuścić mnie do środka, potem zamknął je.

— No, no, patrzcie go! — Obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

Louis leżał na jednym z podwójnych łóżek i czytał ostatnie wydanie 71-me'a. — On ma rację, Bird — rzekł. — Niezły jesteś, niedługo ty i Michael Douglas razem znajdziecie się w jednej z tych klinik leczących przesadne zapotrzebowanie na seks i przeczytamy o was w magazynie People.

— Przyjechała po twoim wyjeździe, widzieliśmy ją — dodał Angel. — Była strasznie podekscytowana. Nie miałem innego wyjścia, jak wpuścić ją do środka. — Usiadł obok Louisa. — A teraz pewnie powiesz nam, że ty i szef przedyskutowaliście tę sprawę, i on oświadczył: „Pewnie, możesz spać z moją żoną, bo ona tak naprawdę kocha ciebie, a nie mnie”. Bo jeżeli rzecz ma się inaczej, to już wkrótce będziesz tu jeszcze mniej serdecznie witany niż teraz.

— Nie spałem z nią — powiedziałem.

— Narzucała ci się?

— Czy słyszałeś kiedyś o delikatności?

„ — Przeceniana, ale przyjmę to jako „tak” i założę się, że nie zareagowałeś. Jezu, Bird, posiadasz samokontrolę jak jakiś święty.

— Zostaw to, Angel, proszę.

Usiadłem na krawędzi drugiego łóżka, ukryłem twarz w dłoniach. Oddychałem głęboko i mocno zaciskałem powieki. Gdy znów uniosłem głowę, Angel siedział tuż obok; ręką dałem mu znać, że nic mi nie jest. Poszedłem do łazienki i spryskałem twarz zimną wodą, potem wróciłem do przyjaciół.

— A co do szefa, to jeszcze nie przegnał mnie z miasta — zapewniłem, podejmując rozmowę tam, gdzie została przerwana. — Jestem świadkiem oraz podejrzany w nierozwikłanej sprawie zabójstwa nieznanego mężczyzny w lasach Maine. Jennings kazał mi pozostać na miejscu; pogadaliśmy trochę o niczym. Dowiedziałem się także, że lekarz sądowy wprowadzie oficjalnie jeszcze nie dostarczył raportu, ale prawdopodobnie potwierdzi, że przed śmiercią Chute został paskudnie pobity. Ze śladów na nadgarstkach wynika, że mógł w tym celu zostać powieszony na drzewie. — Dodając do tego śmierć Stritcha, można było następnego ranka spodziewać się w Dark Hollow tłumy dziennikarzy i jeszcze więcej gliniarzy.

— Louis wykonał kilka telefonów, skontaktował się z kolegami — powiedział Angel — i dowiedział się, że Al Z i kontyngent ochotników z Palermo przylecieli do Bangor wczoraj wieczorem. Najwyraźniej czas To-ny'ego Celli dobiega końca.

A więc pułapka zamykała się, nadchodziło rozliczenie. Poszedłem do drzwi i wyjrzałem w ciszę ośrodka handlowego India Hill, ze sklepem z bronią i biurem informacji turystycznej, z opustoszałym parkingiem. Louis podszedł i stanął obok mnie.

— Wieczorem, w barze, nim zobaczyłeś Stritcha, wymówiłeś imię tego chłopca.

Skinąłem głową. — Zobaczyłem coś, ale nawet nie wiem, co to było.

Otworłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Louis nie naciskał.

— To co teraz? — spytał. — Ubrałeś się jak na arktyczną wyprawę.

— Wciąż zamierzam dowiedzieć się od tego starego, w jaki sposób wszedł w posiadanie butów Ricky'ego. Sprzedał je Stuckeyowi.

— Mamy pojechać z tobą?

— Nie. Nie chcę wystraszyć go więcej, niż będę musiał, i lepiej, byście przez jakiś czas trzymali się z dala od Dark Hollow. Jak już z nim porozmawiam, zdecydujemy, co dalej. Tę sprawę potrafię załatwić sam.

Mylilem się.

m

W życia wędrowce, na połowie czasu, Straciwszy z oczu szlak nieomyślnej drogi, W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

Dante Alighieri, Boska Komedia, „Piekło” tłum. Edward Porębowicz

EOTMMŁ

Bttomow snóMnr

Gdy jechałem do domu starego człowieka, znanego jako John Barley, powrócił do mnie obraz Stritcha, nadzianego na drzewo. Z pewnością nie wiedział o Calebie Kyle'u, nie podejrzewał, że polują na niego z dwóch stron. Liczył, że uda mu się zabić Louisa i mnie, pomścić śmierć partnera, a równocześnie zlikwidować kontrakt na swoje życie; przegapił jednak istnienie Caleba.

Nie ulegało wątpliwości: Kyle zabił Stritcha. Jak się o nim dowiedział? Mógł zetknąć się z nim, gdy obaj docierali do Billy'ego Purdue. Zresztą, Caleb był drapieżnikiem, a te nie tylko wyczuwają naturę swej ofiary, ale i tych stworzeń, które mogą z kolei zapolować na nich. Kyle nie przetrwałby trzydziestu lat, nie posiadając dalece rozwiniętego zmysłu wyczuwania zagrożenia. W tym przypadku Stritch stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo dla Billy'ego Purdue i Caleb wywęszył go. Billy stanowił klucz do Caleba Kyle'a, był jedynym, który go widział i przeżył, tylko on mógłby opisać jego wygląd. Ale w miarę jak zbliżałem się do chaty Barleya, ogarniało mnie uczucie, iż opis ten może okazać się niepotrzebny. Wysiadłem z samochodu już z bronią w ręce.

Do domu starego dotarłem o zmroku. Schodziłem ze wzgórza łagodnie opadającego ku podwórku i w jednym z okien ujrzałem światło. Zbliżałem się od zachodu, pod wiatr, tak by dom znalazł się między mną a psem siedzącym w byle jak skleconej budzie. Byłem już niemal przy drzwiach, gdy od strony samochodu rozległ się przenikliwy skowyt, przez śnieg nadleciał cień, i pies, który w końcu wyczuł mój zapach, usiłował mnie zatrzymać. Drzwi domu otworzyły się w jednej chwili, wysunęła się z nich lufa dubeltówki. Złapałem za nią i wyciągnąłem starego na zewnątrz. Obok mnie pies dostał szału, na zmianę skakał mi do twarzy lub zębami łapał za nogawki spodni. Stary leżał na ziemi, oszołomiony upadkiem, z dubeltówką wciąż w dłoni. Uderzeniem ręki odgoniłem psa i przytknąłem rewolwer do ucha właściciela.

— Puść broń albo, przysięgam na Boga, zastrzelę na miejscu — zagroziłem.

Uniósł palec ze spustu, powoli zsunął dłoń z kolby. Gwizdnął cicho i powiedział: — Spokojnie, Jess, spokojnie, dobry pies.

Zwierzę zaskowytało i odbiegło, zadowolając się krążeniem wokół nas i warczeniem, gdy podnosiłem starego na nogi. Wskazałem mu krzesło na werandzie; upadł na nie ciężko i rozcierał łokieć, który, padając, otarł sobie boleśnie.

— Czego chcesz? — zapytał John Barley. Nie patrzył na mnie, nie spuszczał wzroku z psa. Zwierzę ostrożnie przysunęło się do swego pana, warcząc na mnie basem, i usiadło blisko niego, tak by mógł je delikatnie pogłaskać za uchem.

Na ramieniu miałem plecak z Timberlandu — rzuciłem nim w stronę starego. Złapał go i po raz pierwszy spojrzał na mnie otępiąłym wzrokiem.

— Otwórz! — rozkazałem.

Poczekał chwilę, potem rozsunął zamek i zajrzał do środka.

— Poznajesz?

Potrząsnął głową. — Nie, chyba nie.

Odwiodłem kurek rewolweru. Warczenie psa wzniosło się o oktawę.

— Słuchaj, stary, to sprawa osobista, lepiej mnie nie denerwuj. Wiem, że sprzedałeś te buty Stuckeyowi w Bangor. Dał ci za nie trzydzieści dolarów. Teraz mi powiesz, w jaki sposób wszedłeś w ich posiadanie.

Wzruszył ramionami. — Chyba znalazłem.

Podszedłem bliżej i pies podniósł się, cały zjeżony. Obnażył kły. Przez cały czas trzymałem broń wycelowaną w starego, a teraz, powoli, przesunąłem lufę w kierunku psa.

— Nie — zawołał Barley i sięgnął dłonią, by przytrzymać zwierzę, zasłonić je. — Proszę, tylko nie pies.

Czułem się paskudnie, grożąc zwierzęciu, i to uczucie sprawiło, iż zacząłem wątpić, by stary mógł być Calebem Kylem. Myślałem, że rozpoznam Caleba, gdy go spotkam, że wyczuję jego prawdziwą naturę. A John Barley emanował wyłącznie strachem: przede mną i, podejrzewałem, przed czymś jeszcze.

— Powiedz prawdę — rzekłem łagodnie — gdzie zdobyłeś te buty? Po naszej rozmowie próbowałeś się ich pozbyć. Muszę wiedzieć, dlaczego.

Zmrużył oczy i głośno przełknął ślinę, przygryzł dolną wargę, wreszcie podjął decyzję. — Zdjąłem je z ciała tego chłopca. Wykopałem go, zabrałem buty, potem znów go zakopałem.

— Ponownie wzruszył ramionami. — Wziąłem też plecak, i tak już go nie potrzebował.

Ledwie powstrzymałem się od przyłożenia mu kolbą rewolweru.

— A dziewczyna?

Stary dwukrotnie potrząsnął głową, jakby usiłował wytrząsnąć z włosów insekta. — Ja ich nie zabiłem — powiedział w końcu. Przez chwilę myślałem, że się rozplacze. — Nikomu nie wyrządziłbym krzywdy, chodziło mi tylko o te buty

Poczułem mdłości. Pomyślałem o Lee i Walterze, o wszystkich tych wspólnie spędzonych z nimi, i z Ellen, godzinach. Żebym tylko nie musiał powiadamiać ich o śmierci córki! I znów zwątpiłem, by ten obszarpany starzec, ten ścierwnik, mógł być Calebem Kylem.

— Gdzie ona jest?

Teraz już metodycznie gładził psa, mocno przeciągał dłonią od głowy niemal po ogon. — Wiem tylko o chłopaku. Co do dziewczyny, nie mam pojęcia.

W świetle padającym z okna twarz starego błyszczała mętną żółcią. Wyglądał źle, na chorego. Miał wilgotne oczy, źrenice jak główki od szpilki. Najwyraźniej wystraszony, drżał. Opuściłem broń. — Nic ci nie zrobię.

Stary potrząsnął głową i to, co powiedział, sprawiło, że ścierpła mi skóra: — Panie — szepnął — nie ciebie się boję...

Zobaczył ich w pobliżu Little Briar Creek, chłopca i dziewczynę na przednim siedzeniu, i jakąś postać, niemal cień, z tyłu. Szedł z psem, wracał do domu z polowania na króliki; samochód stał w pewnej odległości przed nim, z silnika wydobywał się chropowaty odgłos, przypominający mielenie kamieni. Jeszcze nie nadszedł wieczór, ale zapadł już mrok. Barley widział młodych wyraźnie w świetle reflektorów: dziewczynę w dżinsach i jasno- czerwonej, ocieplanej kurtce, chłopca w czarnej, skórzanej kurtce, rozpiętej pomimo zimna.

Chłopak podniósł maskę i zajrzał do środka — do oświetlenia silnika użył latarki. Widać było, jak potrząsa głową, potem niewyraźnie mówi coś do dziewczyny, wreszcie głośno zaklął wśród ciszy lasu.

Tylne drzwi otworzyły się i wysiadł trzeci pasażer. Był wysoki, coś mówiło Johnowi Barleyowi, że jest stary, starszy nawet od niego. I z jakiegoś powodu, którego w pełni nie rozumiał, przeszedł go zimny dreszcz, a pies u jego nóg cicho zaskowytał. Postać przy samochodzie przystanąła i zdawała się lustrować wzrokiem las, jakby chciała wykryć źródło niespodziewanego dźwięku. Barley łagodnie poklepał psa: „Cicho, stary, cicho”, ale widział,

jak szybko pracują nozdrza zwierzęcia, wyczuwał jego drżenie. To, co pies wywęszył, mocno go wystraszyło, i lęk ten udzielił się właścicielowi.

Wysoki mężczyzna pochylił się nad samochodem od strony kierowcy i zaraz światła reflektorów zgasły. — Hej — zawołał chłopiec — co robisz? Zgasiłeś światła.

Wiązka promieni padająca z latarki przesunęła się na twarz przybliżającego się mężczyzny, potem na przedmiot błyszczący w jego ręce.

— Hej — powiedział znów chłopiec, tym razem ciszej. Wysunął się przed dziewczynę, odepchnął ją do tyłu, ochraniał przed ostrzem. — Nie rób tego! — zawołał.

Nóż błysnął i latarka upadła. Chłopiec zatoczył się do tyłu i Barley usłyszał: — Uciekaj, Ellen, uciekaj! — Stary skoczył niczym długa, ciemna chmura, i Barley zobaczył unoszący się i opadający nóż, raz i jeszcze raz, i odgłos ciosów zakłócił milczenie delikatnie kołyszących się drzew.

A potem postać ruszyła za dziewczyną. Odgłos potknięcia, potem niezdarnego przedzierania się przez las. Nie odbiegła daleko. Rozległ się krzyk i jakby upadło coś ciężkiego, wreszcie cisza. Pies przy nogach pana drgnął i wydał niski, cichy skowyt.

Chwilę trwało, nim wysoki powrócił. Bez dziewczyny. Uniósł chłopca pod ramiona i zaciągnął na tył samochodu, wepchnął do bagażnika. Otworzył drzwi od strony kierowcy i powoli, nie przystając, pchał auto ciemną drogą, prowadzącą nad jezioro Ragged.

Barley przywiązał psa do drzewa i delikatnie omotał mu pysk chustką, przy tym poklepywał zwierzę, zapewniał o swym powrocie. Potem ruszył za dźwiękiem pchanego samochodu, kół skrzypiących na drodze gdzieś przed nim.

Po jakiejś pół mili, tuż przed jeziorem, wyszedł na przecinkę obok kawałka bobrowego bagna, gdzie w czarnej wodzie leżały poskręcane, obumarłe drzewa. Na polance wykopano dół, a przyzma świeżej ziemi przypominała ceremonię pogrzebu. Z jednej strony wznosiło się wzgórze i morderca wykorzystał je do zepchnięcia samochodu do wykopu. Wóz zmieścił się niemal w całości, tylko prawe, tylne koło lekko wystawało. Potem wysoki wspiał się na dach i stamtąd zaczął zasypywać dół. Rozległ się dźwięk łopaty wyciąganej z gleby i cichy odgłos, gdy znów zanurzyła się w ziemi, potem szurgotanie pierwszych grud padających na dach samochodu.

Zasypywanie grobu trwało prawie godzinę. A niedługo śnieg pokryje ziemię i zasy ukryją wszelkie zapadliska. Wysoki metodycznie unosił łopatę i rzucał grudy, w ogóle nie zmieniając rytmu, i pomimo wszystkiego, co zobaczył, John Barley pozazdrościł mu siły.

Ale gdy tamten zakończył obchodzenie miejsca, by upewnić się, czy dobrze wykonał robotę, Barley usłyszał, gdzieś z bliska, szczekanie, a potem długi skowyt i wiedział, że Jess zdołał jakoś zerwać opaskę z pyska. Postać przy grobie zamarła, rzuciła łopatę daleko w bagno i ruszyła — długie nogi wręcz połykały stromiznę — w stronę, skąd dochodziły odgłosy psa.

Ale Barley też już szedł, szybko i cicho. Odnajdywał drogę wśród leżących konarów, stapał ścieżką jelenia i łosia, by nie narobić hałasu staniem na świeżych gałęziach. Gdy doszedł do psa, ujrzał, że zwierzę szarpie się na sznurze, macha ogonem i wydaje delikatne piski radości i ulgi. Opierało się trochę, gdy Barley poprawiał opaskę, potem odwiązał je, wziął w ramiona i pobiegł do domu. Raz zatrzymał się i obejrzał za siebie, niemal pewien, że słyszy, z bliska, odgłosy pogoni, ale niczego nie dostrzegł. Gdy dotarł do chaty, zamknął drzwi na klucz, załadował dubeltówkę i usiadł na krześle, czuwając aż do nadejścia świtu, a wtedy zapadł w męczący, niespokojny sen, przerywany koszmarami; śniło mu się, że ziemia pada w jego otwarte usta.

— Czemu nie powiedziałeś nikomu o tym, co widziałeś? — zapytałem. Jeszcze nie byłem całkiem przekonany, czy mu wierzyć. Jak mogłem mieć pewność, że jest tym, za kogo się podaje, a opowieść prawdziwa? Ale gdy spojrzałem mu w oczy, nie dostrzegłem w nich śladu przebiegłości, tylko strach starego człowieka przed nadchodzącą śmiercią. Pies leżał teraz

obok niego; nie spał, oczy miał otwarte i od czasu do czasu łypał na mnie, by upewnić się, czy się nie poruszyłem.

— Nie chciałem mieć kłopotów — odrzekł stary. — Ale wróciłem, by zobaczyć, czy nie ma śladów po dziewczynie, no i po te buty. Były bardzo porządne. I może chciałem się upewnić, czy to, co widziałem, nie było wytworem mej wyobraźni. Jestem starym człowiekiem i czasem miewam przywidzenia. Ale tym razem niczego sobie nie wyobraziłem, choć dziewczyna znikła bez śladu, a na ziemi nie pozostała krew, która mogłaby wskazać coś więcej. Jak tylko ujrzałem zapadnięcie gruntu, a moja łopata uderzyła w metal, wiedziałem, że to wydarzyło się naprawdę. Zamierzałem zatrzymać buty i plecak, może nawet rozważyłem zabranie ich na policję, by nie uznali mnie za wariata, gdy opowiem im tę historię. Ale...

Zamilkł. Czekałem.

— Następnego nocy siedziałem na werandzie z Jessem i w pewnej chwili poczułem, że drży. Nie czekał, nie wydawał żadnego głosu, tylko trząsł się i skowytał. Patrzył w las, właśnie tam...

Uniósł palec i wskazał miejsce, gdzie konary dwóch ogołoconych z liści klonów niemal stykały się, jak kochankowie sięgający ku sobie w ciemnościach.

— Ktoś tam stał i obserwował nas. Nie poruszał się, nie odzywał, tylko stał i patrzył. I wiedziałem, że to on. Czulem to głęboko w sobie, wyczuwałem w psie. Potem jakby rozpląnął się w lesie i więcej go nie widziałem. Ale zrozumiałem, czego chciał. Przekazał ostrzeżenie. Nie był pewien, ile zobaczyłem, i nie zamierzał mnie zabić, dopóki się nie przekona, ale wtedy żałowałem, że poszedłem po te buty. A gdybym cokolwiek opowiedział, on dowie się i wróci po mnie. Co do tego nie miałem wątpliwości. Potem pan się pojawił i zadawał pytania, i już wiedziałem, że muszę się ich pozbyć. Opróżniłem plecak, sprzedałem razem z butami Stuckeyowi i byłem wdzięczny za to, co mi dał. Ubrania chłopca spaliłem tam, za domem. Nic więcej nie mogłem zrobić.

— Widziałeś już kiedyś tego mężczyznę? — spytałem.

Barley potrząsnął głową. — Nigdy. Nie jest stąd, inaczej rozpoznałbym go. — Pochylił się. — Nie powinieneś być przychodzić tu, panie... — W jego głosie zabrzmiała rezygnacja. — On się dowie i przyjdzie po mnie, po nas obu...

Spojrzałem przed siebie w nadchodzącą noc, w cienie drzew. Na niebie nie widać było gwiazd, księżyc zasłaniały chmury. Zapowiadano dalsze opady śniegu; w przyszłym tygodniu dwanaście cali, a może więcej. I nagle gwałtownie żałowałem, że mój samochód stoi daleko, na drodze, i że będziemy musieli iść przez ciemność lasu, by do niego dojść.

— Czy słyszałeś kiedyś o Calebie Kyle'u? — spytałem.

Mrugnął oczami, jakbym dał mu w twarz, choć tak naprawdę nie widać było, bym go zaskoczył. — Pewnie, to taka legenda. Naprawdę nigdy nie istniał, w każdym razie nie w tej okolicy. — Ale samym pytaniem zasiałem w nim wątpliwości i niemal słyszałem, jak zęby maszyny ze szczękiem zaskakują na swoje miejsca, i oczy Barleya poszerzyły się świadomością.

A więc Caleb śledził Ellen i Ricky'ego, zdobył ich zaufanie. To on poradził im odwiedzenie Dark Hollow, tak jak powiedziała mi kierowniczka hotelu; nie miałem wątpliwości, że to Caleb uszkodził silnik samochodu, a potem powiedział, gdzie mają się zatrzymać, tuż przy jeziorze Ragged, gdzie czekał już grób. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego zrobił to wszystko. Nie miało sensu, chyba że...

Chyba że śledził mnie przez cały czas, odkąd zacząłem pomagać Ricie Ferris. Każdego, kto wziął stronę Rity, uznaliby za przeciwnika Billy'ego. Czy porwał Ellen Cole, może nawet zabił ją, tak jak jej chłopaka, by ukarać mnie za mieszanie się w sprawę człowieka, którego uważał za swego syna? Jeżeli Ellen wciąż żyła, to jakkolwiek nadzieja uratowania jej leżała w zrozumieniu drogi myślowej Caleba Kyle'a, a może i w odnalezieniu Billy'ego Purdue.

Pomyślałem o Calebie, obserwującym mnie podczas snu, po tym jak zamordował Donalda i Ritę i zostawił mi zabawkę dziecka na kuchennym stole. Co on sobie wtedy myślał? I dlaczego mnie nie zabił, gdy miał okazję? Gdzieś, poza moim zasięgiem, leżała odpowiedź na te pytania. Zacisnąłem pięści w rozpaczy, że nie mogę jej dotknąć, i wtedy do mnie przyszła.

On wiedział, kim jestem, względnie, co ważniejsze, czyim jestem wnukiem. Podobałoby mu się, pomyślałem, dręczyć wnuka tak, jak dręczył dziadka. Trzydzieści lat później rozpoczął tę samą grę.

Skinąłem na starego: — Idziemy.

Powoli wstał i patrzył na drzewa, jakby spodziewając się ponownie ujrzeć tamtą postać. — Dokąd?

— Pokażesz mi, gdzie jest zakopany samochód, a potem powiesz Randowi Jenningsowi to samo, co mnie.

Nie ruszył się, tylko z lękiem spoglądał w las. — Panie, nie chcę tam wracać...

Zignorowałem go, wziąłem dubeltówkę, rozładowałem ją i pustą wrzuciłem do domu. Ruchem głowy nakazałem mu iść przede mną, broń wciąż trzymałem w pogotowiu. Po chwili wahania ruszył.

— Możesz wziąć psa — powiedziałem. — Jeżeli coś tam jest, on wyczuje to przed nami.

BWBMIHIOV TOIW

Śnieg zaczął padać niemal natychmiast, gdy straciliśmy z widoku chatę starego; potężne grudy stężonego kryształu pokryły drogę, ciężko osiadały na poprzedniej warstwie bieli. Kiedy dotarliśmy do mustanga, ramiona i włosy mieliśmy już obsypane; pies podskakiwał obok nas, próbując złapać zębami fruujące płatki. Umieściłem starego na siedzeniu pasażera, wyjąłem kajdanki z bagażnika i lewą rękę przypiąłem mu do podpórki na drzwiach. Nie byłem pewien, czy nie zamachnie się na mnie, względnie, gdy tylko nadarzy się okazja, ucieknie do lasu. Na tylnym siedzeniu pies zostawiał brudne ślady na tapicerce.

Widoczność była słaba, wycieraczki przedniej szyby zmagaly się z powłoką śniegu. Z początku jechałem z prędkością trzydziestu mil na godzinę, potem zwoleńłem do dwudziestu pięciu, wreszcie do dwudziestu. Wkrótce przede mną rozpościerał się jedynie welon bieli, a po obu stronach drogi wyłaniały się wysokie sylwetki drzew: sosny i jodły wznosiły się ze śniegu niczym wieże kościołów. Stary, najwyraźniej nieswój, milczał, prawą dłonią wsparty o deskę rozdzielczą.

— Wierzę, żeś mnie nie okłamał, Johnie Barley, inaczej...

Oczy miał puste, jakby patrzył do środka, jak człowiek, który właśnie usłyszał wyrok śmierci i wie, że jest on nieodwołalny.

— To bez znaczenia — powiedział, a pies z tyłu zaskomlał. — Jak on nas odnajdzie, nie będzie się liczyło, w co pan wierzy.

Nagle, może pięćdziesiąt stóp przed nami, zupełnie jakby padający śnieg zabawiał się z perspektywą, ujrzałem błysk przypominający światła reflektorów. Gdy podjechaliśmy bliżej, na drodze pojawiły się dwa samochody i zablokowały nam przejazd. Za nami, daleko z tyłu, błysnęły inne lampy, potem zdawały się cofać, wreszcie znikły. Ich światło odbijało się teraz od drzew po prawej stronie, najwyraźniej jadący za nami wóz zawrócił i stanął w poprzek drogi, zamykając odwrót.

Zwoleńłem jakieś dwadzieścia stóp przed autami. — Co się dzieje? — spytał stary — wypadek?

— Może.

Trzy postacie, ciemne na tle śniegu i światła, ruszyły w naszą stronę. Coś znajomego uderzyło mnie w tej, która szła w środku, w sposobie, w jaki się poruszała. Człowiek był mały. Z ramion luźno zwisał mu płaszcz, spod niego wystawała prawa ręka, wsparta na temblaku. Gdy przekroczył linię światła, dostrzegłem końce ciemnych nici, sterczące z ran na czole i paskudny grymas zajęczej wargi.

Mifflin uśmiechał się złośliwie. Sięgnąłem po kluczyki od kajdanek, a drugą ręką wyjąłem z kabury smitha & wessona. Stary wyczuł, że mamy kłopot, i zaczął się szarpać.

— Uwolnij mnie! — wrzasnął. — Uwolnij!

Z tyłu rozległo się szczekanie psa. Rzuciłem staremu kluczyki i zaraz zajął się kajdankami, a ja włączyłem tylny bieg i nacisnąłem gaz — broń trzymałem tuż przy kierownicy — z nadzieją na zepchnięcie wozu blokującego nas od tyłu. Wpadliśmy w niego z chrzęstem łamanego metalu i tłuczonego szkła, a siła uderzenia naciągnęła pasy, gdy rzuciło nas na przednią szybę. Pies wpadł w przerwę między siedzeniami i zaskowyczał z bólu.

Pięciu mężczyzn przedzierało się ku nam przez śnieg, z tyłu usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi samochodu. Wrzuciłem bieg i znów miałem nacisnąć gaz — daremnie, silnik mustanga umilkł. Spróbowałem przekręcić kluczyk w stacyjce, ale stary właśnie otwierał drzwi od swojej strony, a pies wsadzał już nos w szczelinę. Wyciągnąłem dłoń, by powstrzymać Barleya. — Nie, nie rób tego! — krzyknąłem.

Szyba eksplodowała, samochód wypełniła fontanna czerni i czerwieni, upstrzona kawałkami szkła, która pokryła mi twarz i ciało, oślepiła. Wytarłem oczy i ujrzałem osuwającą się ku mnie, posiekaną twarz starca i szczątki psa na jego udach. Pchnąłem drzwi i, nisko pochylony, wypadłem na zewnątrz, a następne kule już rozdzierały maskę i wnętrze wozu; tylna szyba rozpadła się w chwili, gdy potoczyłem się po drodze. Wyczułem ruch z lewej strony, błyskawicznie odwróciłem się i strzeliłem. Mężczyzna w ciemnej, lotniczej kurtce, z wyrazem zdziwienia na twarzy i krwią na policzku, wykonał półobrót i upadł na śnieg jakieś dziesięć stóp ode mnie. Rzuciłem okiem na miejsce kolizji, tam gdzie mustang uderzył w ich neo- na — ciało drugiego mężczyzny tkwiło, w pozycji pionowej, wciśnięte między drzwi od strony kierowcy a skorupę dodge'a, zgniecione siłą uderzenia w momencie próby wydostania się z wozu.

Odwróciłem się i rzuciłem w bok, z zasy py ześliznąłem się w las. Nad głową przelatywały mi kule, uderzały w drogę, śnieg i ziemię wokół mnie, za mną rozległy się strzały i krzyki; gdy wreszcie znalazłem się wśród drzew, gałązki trzaskały mi pod stopami, potykałem się o poskręcane korzenie. Światła latarek przedzierały się przez noc, rozbrzmiewało staccato automatów, nade mną i po mojej prawej stronie liście i gałęzie padały, szarpane na strzepy morderczym wysiłkiem kul. Biegłem i wciąż czułem ciepło krwi Barleya. Skapywała mi z twarzy, w ustach czułem jej smak-

Nie przestawałem biec — z bronią w ręce — oddychałem ciężko, piekło obolałe gardło. Spróbowałem zmienić kierunek i z powrotem dotrzeć do drogi, ale światła towarzyszyły mi przez cały czas, z obu stron, jakby tamci starali się odciąć mnie od traktu. Śnieg wciąż padał, osiadał mi na rzęsach, topił się na wargach. Na dłoniach zaraz zamarzał i niemal mnie oślepił, zasypując oczy.

Potem teren zmienił się i potknąłem się o głaz, boleśnie wykręciłem nogę i na wpół ześliznąłem się, na wpół zbiegłem w dół zbocza, aż wpadłem, po kostki, do lodowatej wody. Przede mną rozpościerała się ciemna tafla ogromnego stawu, zimowe światło zanurzało się w jej czerni. Odwróciłem się, spróbowałem odnaleźć drogę z powrotem, ale blask reflektorów i krzyki przybliżały się. Daleko, z lewej strony, dostrzegłem światło, inne przedzierały się między drzewami od prawej: byłem okrążony. Wzięłem głęboki oddech i pomacałem kostkę — aż skrzywiłem się z bólu. Wycelowałem broń w prawo, nisko i strzeliłem. Rozległ się okrzyk bólu i łomot padającego ciała. Strzeliłem jeszcze dwa razy, wprost w nadchodzące w ciemnościach postacie i usłyszałem: — Zgasić światła, zgasić światła!

Gdy zanurkowałem, broń trzymając w ręce wyciągniętej tuż nad poziomem wody, seria z automatu pocięła brzeg. Nie sądziłem, by staw był głęboki — jakieś pół mili dalej, w połowie odległości między najszerszym a najwęższym miejscem, dostrzegłem zarysowujące się kontury wystających głazów. Skały te jednak zmyliły mnie. Przecinając staw po przekątnej, oddaliłem się może ze dwadzieścia pięć stóp od brzegu, gdy dno zaczęło stromo opadać i, z

pluskiem, straciłem grunt pod nogami. Wypląłem na powierzchnię, łapiąc powietrze, a reflektor przesunął się po mnie, potem powrócił i zatrzymał się. Wziąłem następny, głęboki oddech i zanurkowałem; kule padały na wodę niczym krople deszczu i rozdzierały powierzchnię tuż obok mnie. Zszedłem w dół, głębiej i głębiej, w czerń, płuca zdawały się pękać, przeraźliwe zimno aż paliło.

A potem szarpnięcie w bok i poczułem drętwienie, stopniowo przechodzące w nowy, jasnoczerwony rodzaj bólu, ogarniający mnie całego. Zwinąłem się niczym ryba złapana na haczyk, a z boku spływała w wodę ciepła krew. Jak w agonii otwarłem usta i drogocenny tlen ulatywał bąbelkami; upuściłem broń. W panice, jak szalony, zacząłem przedzierać się ku powierzchni, zdoławszy ledwie na tyle się opanować, by tam, na górze, nie narobić hałasu. Wziąwszy głęboki oddech, trzymałem twarz niemal na poziomie wody; znów przeszył mnie dotkliwy ból. Nogi mi zdrętwiały, a także ramiona i końce palców. Rana postrzałowa piekła, jednak gdybym wyszedł z wody, żar stałby się pewnie nie do zniesienia.

Jakieś postacie poruszały się na brzegu, ale teraz widać było tylko światła. Czekali, aż się pokażę, wciąż w obawie przed bronią, której już nie miałem. Wziąłem oddech i zanurkowałem ponownie, płynąłem tuż pod powierzchnią, przy pomocy jednej ręki, byle tylko oddalić się. Nie wynurzałem się, dopóki dłonią nie wyczułem przybrzeżnej płycizny. Unosząc zraniony bok, wypląłem i poszukałem miejsca, w którym mógłbym bezpiecznie wydostać się na brzeg. Znów zabrzmiała seria z automatu, ale tym razem kule uderzały daleko za mną. Rozległy się inne strzały, pojedyncze, oddane na ślepo, bez celu, z nadzieją na szczęśliwy traf. Brnąłem wciąż przed siebie, w stronę jeszcze głębszej ciemności, tam gdzie zaczynał się las.

Po prawej ujrzałem wyrwę w brzegu i spływającą po kamieniach wodę: rzeka. A ona, wiedziałem, płynęła przez Dark Hollow. Mogłem ruszyć ku dalszemu brzegowi, za którym wyrastał las, ale gdybym padł wśród drzew czy pomylił kierunek, w najlepszym wypadku mógłbym liczyć na śmierć od zamrznięcia, bo nikt oprócz ludzi Tony'ego Celli nie wiedziałby, że tam jestem. A gdyby oni mnie znaleźli, nie musiałbym długo martwić się o chłód.

Znalazłem stopnie u ujścia rzeki, w miejscu, w którym wypływała z jeziora, ale nie podniosłem się, wolałem czołgać się dalej, aż kępa drzew zasłoni mnie przed pościgiem na tyle, bym mógł wstać i dalej iść korytem strumienia. Bok bolał mnie teraz tak dotkliwie, iż każdy ruch słał falę bólu, promieniującą przez całe ciało. Woda przelewała się przez niewysoki, kamienny brzeg; dopiero za drugim razem udało mi się nań wspiąć. Najpierw podciągnąłem się, ale zaraz znów leżałem w wodzie, a wiązka światła przesunęła się w moim kierunku, potem oświetliła ujście rzeki. Policzyłem do dziesięciu i jeszcze raz podjąłem, tym razem udaną, próbę.

Śnieg, wraz z ucichnięciem wiatru, nieco zelżał. Już nie zaciął tak mocno, ale wciąż padał gęsto; ziemia wokół całkiem zbielała. Gdy przedzierałem się przez zasy, bok dokuczał mi coraz mocniej; przystanąłem, wsparty o pień drzewa, by obejrzeć ranę. Na plecach kurtki znalazłem wyszarpaną dziurę, podobne w swetrze i koszuli, a na ciele mały otwór wejściowy, w okolicy dziesiątego żebra oraz większy, wylotowy, z przodu, mniej więcej na tym samym poziomie. Ból dokuczał nieznośnie, ale rana była płytka: odległość między wlotem a wylotem nie mogła mieć dużo więcej niż jeden cal. Krew przeciekała mi przez palce i zbierała się na śniegu. To powinno mnie być ostrzec, jednak, przerażony i obolały, nie zachowałem niezbędnej ostrożności. Sięgnąłem w dół, łapiąc powietrze, bo ból przeszył mnie z całą siłą, i nabrałem dwie garście śniegu. Wpakowałem je w rany i ruszyłem dalej brzegiem. Potykałem się i ślizgałem, postanowiłem jednak nie ryzykować zboczenia z drogi i pozostałem w pobliżu wody. Nie byłem w stanie powstrzymać się od szczekania zębami, mokre ubranie oblepiało mnie; palce paliły od lodowatej wody. Po przeżytych szoku odczuwałem mdłości.

Dopiero po przejściu pewnej odległości — od czasu do czasu zatrzymywałem się, by oparty o drzewo odpocząć — pojąłem, z której strony miasta się znalazłem. Przede mną, po prawej, w odległości dwustu jardów, dostrzegłem światła domu. Huk wodospadu i zarys mostu uświadomił mi, gdzie jestem i dokąd mogę się udać.

Gdy dotarłem do tylnych drzwi domu Jenningsa, w kuchni paliło się światło. W środku coś zabrzęczało i zaraz rozległ się wystraszony głos:

— Kto tam? — Zasłona nad drzwiami uchyliła się; na widok mej twarzy oczy Lorny stały się ogromne. — Bird?

Klucz zgrzytnął w zamku i, pozbawiony podparcia, wpadłem do środka. Pomogła mi usiąść na krześle, a ja tylko poprosiłem, by zadzwoniła do pokoju numer sześć w motelu India Hill i nigdzie indziej, i zamknąłem oczy, pogrążając się w falach bólu.

Krew zapieniła się przy otworze wylotowym, gdy Lorna czyściła ranę; otarła skórę wokół i wysterylizowaną pęsetką wyciągnęła strzępy materiału. Przyłożyła tampon i ból znów wrócił, tak piekący, iż obróciłem się na krześle.

— Siedź spokojnie — powiedziała i tak też uczyniłem.

Gdy skończyła, kazała mi się odwrócić, by dostać się do otworu wlotowego. Nieco zbladła, ale nie ustawała.

— Na pewno chcesz, bym to zrobiła? — spytała w końcu.

Skinąłem głową.

Polała igłę wrzącą wodą.

— Będzie trochę bolało — ostrzegła.

Okazała się optymistką — bolało jak diabli. Z oczu poleciały mi łzy, gdy zakładała szwy, po dwa na każdej ranie. Zabieg trudno by uznać za wzorcowy, zgodny ze wskazówkami podręcznika medycyny, potrzebowałem jednak czegoś, co pomogłoby mi przetrwać przez następne kilka godzin. Gdy skończyła, nałożyła elastyczny bandaż, potem wzięła większą rolkę i owinęła mi brzuch.

— Utrzyma się, dopóki nie dotrzesz do szpitala — zapewniła. Uśmiechnęła się do mnie nerwowo. — To lekcje pierwszej pomocy Czerwonego Krzyża. Powinieneś być wdzięczny, że uważałam na nich.

Skinąłem głową na znak, że zrozumiałem. Rana była czysta. Choć tyle dobrego można powiedzieć o pociskach o dużej prędkości: nie deformują przy uderzeniu, nie rozdierają ciała, tylko podążają swą drogą entuzjastycznie, z maksimum energii, z łuskami nienaruszonymi.

— Powiesz, co się wydarzyło? — spytała Lorna.

Wolno wstałem i dopiero wtedy zauważyłem krew na kafelkach.

— Niech to szlag! — zakląłem. Ogarnęła mnie fala mdłości, ale przytrzymałem się stołu i zamknąłem oczy, aż mi przeszło.

Lorna otoczyła mnie ramieniem.

— Musisz usiąść, Bird, jesteś słaby, straciłeś mnóstwo krwi.

— Wiem — przyznałem i, odepchnąwszy się od stołu, na chwiejących się nogach podszedłem do kuchennych drzwi. — Właśnie to mnie martwi — powiedziałem i uniosłem firankę. Śnieg wciąż zacinał, ale blask kuchennej lampy wyraźnie oświetlał zdradziecką ścieżkę czerwonych śladów, prowadzącą od strony rzeki do kuchennych drzwi; krew ciemna i tak gęsta, że absorbowała padające płatki.

Odwróciłem się do Lorny. — Przykro mi, nie powinienem był tu przychodzić.

Minę miała poważną, usta ściągnięte, ale po chwili znów się uśmiechnęła. — A dokąd miałeś pójść? Powiadomiłam twoich przyjaciół, już są w drodze.

— Gdzie Rand?

— W mieście. Znaleźli Billy'ego Purdue, tego, którego szukali. Rand zatrzymał go, już rano, a wkrótce przybędą ci z FBI i mnóstwo innych, by z nim porozmawiać.

A więc dlatego ludzie Tony'ego Celli pojawili się tutaj. Wiadomość o ujęciu Billy'ego Purdue najpewniej rozeszła się błyskawicą poprzez agencje i wydziały policji zainteresowane sprawą, a Tony Celli tylko na to czekał. Zastanawiałem się, jak szybko po przyjeździe mnie namierzili. Zobaczyli mustanga i zdecydowali, że łatwiej będzie mnie zabić niż mieć przeze mnie kłopoty.

— Ci, którzy mnie postrzelili, chcą dopaść Billy'ego Purdue — rzuciłem cicho. — I zabijają Randa i jego ludzi, jeżeli go im nie przekaże.

Coś błysnęło na szybie, jakby odbicie spadającej gwiazdy. Niemal natychmiast zorientowałem się, co to: promień latarki. Złapałem Lornę za rękę i zaciągnąłem do frontowej części domu.

— Musimy się wydostać — powiedziałem. Korytarz był ciemny, na prawo prowadziły drzwi do jadalni. Pomimo bolącego boku, nisko pochylony, przez szparę pod zasłoną wyrząłem na podwórko.

Stały tam dwie postacie: mężczyzna z dubeltówką, drugi z ręką na temblaku.

Wróciłem do korytarza. Lorna spojrzała na mnie. — Od przodu są także, prawda? — Zorientowała się z wyrazu mojej twarzy.

Przytaknąłem.

— Dlaczego chcą cię zabić?

— Myślą, że będę im przeszkadzał, no i mają ze mną na pieńku za coś, co wydarzyło się w Portland. Z pewnością jest w tym domu broń, wiesz gdzie?

— Na górze. Rand trzyma jedną sztukę w komodzie.

Poprowadziła mnie schodami do sypialni. Znajdowało się tam szerokie, sosnowe, wiejskie łóżko, z żółtą kapą i poduszkami w tym samym kolorze. Sosnowa komoda, w podobnym stylu, stała naprzeciwko potężnej szafy. W kącie znajdowała się półka, zapełniona książkami. Z drugiej strony cicho grało radio, grupa The Band grała Evangeline, a głos Emmylou Harris raz mocniej, raz ciszej akcentował tekst, górował nad chórkami. Lorna wyjęła z szuflady skarpetki, męską bieliznę i podkoszulki, wreszcie znalazła rewolwer. Był to charter arms undercover .38, z trzycalową lufą — prawdziwa broń przedstawiciela prawa. Pięć załadowanych komór, obok magazynek, też pełny. W pobliżu, w kaburze marki Propex, leżała druga broń, ruger mark 2, ze stożkową lufą. — Rand czasem strzela do celu — wyjaśniła Lorna, wskazując na znajdujące się w kącie szuflady, niemal puste, pudełko naboju .22, marki Long Rifle, z łuskami z kryzą.

— Dzięki Bogu za tę paranoję! — Odetchnąłem z ulgą.

Na szafce przy łóżku stała duża, plastikowa butelka wody, prawie pusta. Oparty o komodę, widziałem w lustrze moje śmiertelnie blade oblicze. Pod oczami rysowały się bruzdy bólu i wyczerpania, twarz, powalana kawałkami kory i krwią starego, znaczyły szramy od odłamków szkła. Czułem na sobie zapach Barleya, woń jego psa.

— Masz może taśmę, taką klejącą? — zapytałem.

— Pewnie na dole, w szafce w łazience jest rolka bandażu przylepnego. Nada się?

Skinąłem głową, wziąłem butelkę i poszedłem za Lorną do żółtobiałej, wykafelkowanej łazienki; po drodze załadowałem rugera. Otworzyła szafkę i podała mi rolkę szerokiego na całą bandażu. Resztę wody mineralnej wylałem do zlewu, wcisnąłem wąską lufę rugera do butelki i kilka razy obwiązałem.

— Co robisz? — zainteresowała się.

— Tłumik — wyjaśniłem. Jeżeli chłopcy Celliego przeszukają dom, dzięki temu urządzeniu będę mógł, w razie potrzeby, załatwić jednego i zdobyć dla nas pięć lub dziesięć sekund czasu. W walce z bronią palną, przy bliskiej odległości, dziesięć sekund to wieczność.

Z dołu doleciał dźwięk otwieranych kopnięciem kuchennych drzwi, potem tłuczonego szkła, i dom od frontu stanął otworem. Wepchnąłem .38 za pasek spodni i odbezpieczyłem rugera.

— Włóż do wanny i trzymaj głowę nisko! — rzuciłem szeptem.

Zsunęła sandały i cicho ułożyła się na dnie wanny. Ja zdjąłem buty, postawiłem je na kafelkowej podłodze, potem na palcach przeszedłem na podest i z powrotem do sypialni. Radio wciąż grało, ale Neil Young zajął miejsce The Band, i jego wysoki, żalący się głos wypełniał pokój.

Nie pozwól, by cię to załamało...

Zająłem pozycję w cieniu przy oknie. Po smithcie & wessonie jakoś nieswojo czułem się z rugerem w dłoni, ale w końcu to też była broń. Odwiodłem kurek i czekałem.

To przecież pałą się pałace...

Usłyszałem go na schodach: najpierw poruszający się cień, potem człowiek przystanął, i zaraz zaczął iść za dźwiękami muzyki. Mocniej nacisnąłem język spustowy, wziąłem głęboki oddech.

Tylko znajdź kogoś, kto wraca...

Otworzył drzwi stopą, poczekał chwilę, potem, z uniesioną dubeltówką, wpadł do środka. Przełknąłem ślinę i wypaliłem.

...I wyjdiesz z tego cało.

Nacisnąłem spust .22 i górna część butelki eksplodowała z odgłosem przypominającym huk wydawany przez pękającą papierową torebkę. Czysty strzał, prosto w serce. Podszedłem i strzeliłem ponownie, a on zatoczył się na ścianę, potem powoli osunął się na podłogę, pozostawiając na żółtym tle ciemny, czerwony szlaczek. Chwyciłem dubeltówkę, mossberga o pistoletowej rękojeści, gdy wypadła mu z rąk. Rzuciwszy na ziemię .22, przekroczyłem ciało, moje stopy, w samych skarpetkach, poruszały się bezszelestnie, i cofnąłem się z powrotem do korytarza.

— Terry? — zawołał ktoś z dołu i ujrzałem zaraz dłoń trzymającą magnum .44, potem ramię, tułów, wreszcie twarz. Spojrzał w górę, a ja wycelowałem w głowę — huk dubeltówki zabrzmiał jak grzmot armaty. Rysy twarzy mężczyzny rozplynęły się w czerwonej mgłę; padł do tyłu. Przeładowałem i już wchodziłem na schody, gdy kula uderzyła w ścianę tuż obok mojego ucha, a w ciemnościach jadalni błysnęła lufa. Wystrzeliłem, przeładowałem, wystrzeliłem, przeładowałem: dwie kolejki w ciemność. Szkło rozpadło się, opadł tynk, i już nic, żadnych strzałów. Frontowe drzwi stały teraz otwarte. Resztki szyby rozpadły się, z drewnianej obudowy poleciały drzazgi. Ktoś otworzył ogień z kuchni. Zatrzymałem się na schodach, wepchnąłem dubeltówkę między pręty balustrady, wycelowałem i wystrzeliłem ostatnią serię.

W kuchni oderwał się od ściany jakiś cień i sunął skrajem korytarza, nie przestając strzelać; drewno balustrady rozpryskiwało się ze świstem, obok mnie wzniosła się żółta chmura tynku; cień celował coraz bliżej. Wyrwałem zza pasa .38 i oddałem trzy strzały. Rozległ się okrzyk bólu, akurat w chwili, gdy kątem oka dostrzegłem jakiś ruch przy drzwiach, który przyciągnął moją uwagę. Gdy się odwracałem, ranny wyłonił się z kuchni i wszedł do holu z uzbrojoną ręką w górze; drugą trzymał się za ramię. Wyszczrzył wściekle zęby i... przeraźliwy huk, i w torsie zbira pojawiła się dziura, tak wielka, że można by w nią włożyć pięści. Przez nią zobaczyłem kuchnię, szkło na podłodze, obudowę zlewu, kawałek krzesła. Ranny utrzymał się na nogach jeszcze ułamek sekundy, potem padł na ziemię, niczym pacynka po odcięciu sznurka.

W drzwiach stał Louis, w rękach trzymał olbrzymią strzelbę ithaca mag-10 road-blocker; gumowa kolba wciąż drgała mu na ramieniu.

— Właśnie otrzymał uścisk dłoni kaliber 10 — powiedział.

Z tyłu domu rozległo się więcej strzałów i odgłos szybko startującego samochodu. Louis przeskoczył ciało, ja za nim i przez zdemolowaną kuchnię wybiegliśmy na podwórze. Przy bramie stał Angel z dziewięćmilimetrowym glockiem w dłoniach. Na nasz widok wzruszył ramionami.

— Uciekł, skurwiel. Zauważyłem go dopiero, gdy dotarł do auta.

— Mifflin — powiedziałem ze znużeniem.

Louis spojrział na mnie. — To monstrum jeszcze żyje? — Zdziwiony potrząsnął głową.

— Może by tak wystrzelić go w przestrzeń, z nadzieją, że spłonie przy powrocie — rozmarzył się Angel.

Zadrzałem z zimna, tylko bandaż osłaniał górną część mego ciała. Już przesiąkł czerwienią. W uszach szumiało mi od huku strzałów, eksplodujących w zamkniętej przestrzeni. Louis zsunął z ramion płaszcz i narzucił mi na plecy. Pomimo zimna zdawałem się płonąć.

— Wiesz — odezwał się Angel — powinienes bardziej uważać. Możesz przeziębic się na śmierć.

Wszyscy trzej drgnęliśmy na dźwięk, jaki rozległ się za nami, ale to tylko Lorna stanęła w drzwiach. Podeszedłem do niej i położyłem dłoń na jej ramieniu.

Ciasno objęła się rękami, nie spuszczała ze mnie wzroku, starała się nie patrzeć na ciała na podłodze za nią. — Co masz zamiar teraz zrobić?

— Wracamy do Dark Hollow. Potrzebuję Billy'ego Purdue żywego.

— A Rand?

— Zrobię, co będę mógł. Lepiej zadzwoń do niego i powiedz, co się wydarzyło.

— Próbowałam, telefon nie działa. Pewnie nim weszli, przecięli kabel.

— To idź do sąsiadów i zadzwoń od nich. Przy odrobinie szczęścia niedługo dotrzemy do Dark Hollow.

Żyłem nadzieją, że nie zniszczono miejskiego kabla, bo wtedy całe Dark Hollow zostałoby odcięte od świata.

Nadszedł czas, by ruszać, ale Lorna uniosła dłoń: — Zaczekaj — powiedziała i weszła na górę. Wróciła z grubą, bawełnianą koszulą, swetrem i ocieplaną kurtką firmy LL Bean oraz paczką naboji do .38.

Pomogła mi się ubrać, potem delikatnie dotknęła mej dłoni.

— Uważaj na siebie, Bird.

— Ty też.

Za moimi plecami Angel włączył silnik mercury'ego; Louis siedział już na przednim siedzeniu. Zająłem miejsce z tyłu i odjechaliśmy. Obejrzałem się jeszcze i zobaczyłem Lornę stojącą na podwórzu: patrzyła za nami, aż zniknęliśmy jej z oczu.

mmmuł

BWOTMUOTfB^HWHAW

Jechaliśmy pustymi drogami, a otaczającą nas ciszę przerywał jedynie pomruk silnika mercury'ego i miękki, głuchy odgłos płatków śniegu, uderzających o przednią szybę. Ból w boku doskwierał mi dotkliwie, raz czy dwa przymknąłem oczy i chyba straciłem kilka sekund. Miałem krew na palcach, a na spodniach, od pachwiny do kolana, plamę koloru ochry. Dostrzegłem w lusterku, że Louis rzuca mi niespokojne spojrzenia, więc uniosłem dłoń, by dać znać, że wciąż jestem z nimi. Gest mógłby wypaść bardziej przekonująco, gdyby nie krew na ręce.

Gdy wjechaliśmy na parking przed komendą policji, stały tam dwa radiowozy oraz pomarańczowy 74 Trans-Am, sprawiający wrażenie, jakby uruchomienie go wymagało cudu, a także kilka innych pojazdów, wystarczająco długo zaparkowanych, by śnieg zakrył ich sylwetki — między nimi dostrzegłem toyotę, wypożyczoną w Bangor. Ani śladu Tony'ego Celli czy jego ludzi.

Weszliśmy przez główne wejście. Za biurkiem Ressler medytował nad gniazdkiem telefonu. Był z nim inny, młodszy posterunkowy, którego nie znałem, pewnie jeszcze jeden zatrudniony na godziny, a dalej, przed celami — komenda dysponowała dwiema — stał sam Jennings. Na krześle obok siedział Walter Cole. Moje pojawienie najwyraźniej zaskoczyło go; sam także niezbyt cieszyłem się z tego faktu.

— Czego, do cholery, tu chcecie? — warknął Jennings.

Zaalarmowany Ressler poderwał się i rzucił niespokojnie spojrzenie na Louisa i Angela, potem na mnie. Nie zdawał się uradowany widokiem naszej broni, przybliżył dłoń do własnej. Zdumiony patrzył na moją poranioną twarz i krew na ubraniu.

— Co się stało z telefonami? — spytałem.

— Nie działają — po chwili wyjaśnił Ressler. — Połączenie zostało przerwane, pewnie z powodu pogody.

Minąłem go i podszedłem do cel. Jedna była pusta. W drugiej, z twarzą ukrytą w dłoniach, siedział Billy Purdue. Ubranie miał brudne, buty zabłocone. Przypominał wystraszone, zdesperowane, złapane w pułapkę zwierzę. Coś sobie nucił, zupełnie jak mały chłopiec, usiłujący odciąć się od otaczającego świata. Nie poprosiłem Randa Jenningsa o pozwolenie na rozmowę; potrzebowałem odpowiedzi, a tylko ten więzień mógł mi ich dostarczyć.

— Billy! — zacząłem ostro.

Spojrzał na mnie. — Spieprzyłem sprawę — powiedział — prawda? — I dalej nucił swą piosenkę.

— Nie wiem, Billy. Chcę, byś opowiedział mi o tym człowieku, tym starym, którego widziałeś. Opisz mi go.

Za moimi plecami rozległ się głos Jenningsa: — Parker, odejdz od więźnia.

Zignorowałem go. — Słuchasz mnie, Billy?

Kiwał się do przodu i do tyłu, wciąż nucił, zamknął ciało w uścisku ramion. — Taa, słyszę. — W skupieniu ściągnął twarz. — Trudno będzie, ledwo go widziałem. Był... stary.

— Wysił się, Billy. Niski, wysoki?

Znów zaczął nucić, potem urwał. — Wysoki — powiedział w przerwie — może taki jak ja.

— Szczupły, tęgi?

— Chudy. Kościsty, szczupły, no wiesz. — Wstał, teraz jakby zainteresowany, i jak mógł, starał się opisać postać, którą zobaczył.

— Jakie miał włosy?

— Cholera, włosy, nie wiem... — Ponownie zanucił tę samą piosenkę, dodając tym razem słowa, niektóre uformowane tylko w połowie, jakby nie były mu całkiem znane.

A wy wszystkie piękne i czule panie...

Baczcie, jak zalecacie się do swego mężczyzny...

I w końcu rozpoznałem: „Piękne i czule panie”. Śpiewał ją Gene Clark z Carlą Olson, choć piosenka była o wiele starsza. I uświadomiłem sobie, gdzie ją słyszałem po raz pierwszy: nucił ją Meade Payne, gdy żegnał mnie przed domem.

— Billy — zwróciłem się do więźnia — byłeś już u Meade'a Pyne'a?

Pokręcił głową. — Nie znam takiego.

Przytrzymałem się kraty. — Billy, to ważne. Wiem, że chciałeś dotrzeć do Meade'a. Przyznając to, nie wpakujesz go w kłopoty.

Spojrzał na mnie z westchnieniem. — Nie udało mi się, wzięli mnie jeszcze przed miastem.

Powiedziałem łagodnie i wyraźnie, za wszelką cenę starając się zachować spokój: — Gdzie usłyszałeś tę piosenkę, Billy?

— Jaka?

— Tę, którą nuczisz. „Piękne i czule panie”. Skąd ją znasz?

— Nie pamiętam. — Odwrócił wzrok i wiedziałem, że przypominał sobie. Przejechał dłońmi po włosach, przytrzymał rękami loki poskręcane na szyi, jakby z obawą, co jego dłonie mogłyby uczynić, gdyby nie znalazł sposobu zajęcia ich czymś, potem znów zaczął się kiwać, w przód i w tył.

— To ten stary, którego widziałem przy domu Rity, chyba on ją śpiewał, tak pod nosem. Nie mogę tej cholernej melodii wyrzucić z głowy... — Zaczął płakać.

Poczułem suchość w gardle. — Billy, jak wygląda Meade Payne?

— Co? — zdziwił się. Naprawdę nie wiedział, o co mi chodzi.

Zza pleców znów usłyszałem głos Jenningsa: — Ostrzegam cię po raz ostatni, Parker. Odejdź od więźnia. — Rozległy się kroki, chyba ruszył w moją stronę.

— Tam na ścianie jest Meade na zdjęciu. — Billy wstał i wskazał dłonią na oprawioną w ramki fotografię trzech mężczyzn, która wisiała na ścianie w pobliżu biurka; była to jakby wersja zdjęcia z jadłodajni, tyle że na tamtej widniały tylko dwie postacie. Podszedłem bliżej, odepchnąłem zastawiającego mi drogę Jenningsa. Na zdjęciu, pośrodku grupki, stał młody człowiek w mundurze marynarki USA i prawym ramieniem otaczał Randa Jenningsa, a lewym starszego mężczyznę, który z dumą uśmiechał się do kamery. Na tabliczce poniżej widniał napis: Posterunkowy Daniel Payne, 1967-1991.

Rand Jennings. Daniel Payne. Meade Payne. Tyle że stary mężczyzna na zdjęciu był niski — jakieś pięć stóp, sześć cali — przygarbiony, o łagodnych oczach, z wianuszkami siwych włosów, otaczających łysinę poznaczoną wątrobowymi plamami. Twarz jak mapa o setkach poziomicy.

To nie był mężczyzna, którego spotkałem przy domu Payne'a.

Powoli części układanki trafiały na swoje miejsce.

Wszyscy tu trzymali psy. Meade Payne wspominał o swoim w liście do Billy'ego, ale tam, w lesie wokół jego domu, nie dostrzegłem żadnego. Pomyślałem o postaci, którą Elsa Schneider widziała wspinającą się po rynnę. Nie dałby rady zrobić tego stary człowiek, ale młody, tak. I przypomniałem sobie słowa Rachel o Judith Mundy, o tym, że została wykorzystana jako materiał rozplodowy.

Materiał rozplodowy.

Spłodzenie chłopca.

I przypomniałem sobie starego Saula Manna, jego dłonie przesuwane nad kartami, pośpiesznie nakrywające damę lub wsuwające groszek pod kubek do wody sodowej, by wyciągnąć frajerowi pięć dolców. Nigdy na nich nie naciskał, nigdy nie narzucał się, nie próbował siłą zmusić ich do przyjścia, ponieważ wiedział, jak sprawy się potoczą.

Caleb miał pewność, że Billy powróci do Meade'a Payne'a. Może uzyskał jego nazwisko od Cheryl Lansing, nim ją zabił, a może wpadł na nie podczas poszukiwań prowadzonych przez Willeforda. Jakkolwiek jednak by go nie odkrył, Caleb wiedział, że jeżeli usunie wszelkie przeszkody i możliwości, Billy będzie musiał zwrócić się do Meade'a Payne'a.

Bo Caleb świetnie rozumiał, podobnie jak oszuści i myśliwi: czasami lepiej zastawić przynętę, czekać i pozwolić ofierze, by sama do nich przyszła.

Odwróciłem się. Rand Jennings celował we mnie ze swego coonana; chyba ignorowałem go trochę zbyt długo. — Mam cię dość, Parker. Ty i twoi kolesie rzucacie natychmiast broń i kładziecie się na podłozę — warknął. — No już!

Ressler także wyciągnął rewolwer, a na tyłach biura młody policjant już trzymał remingtona na ramieniu.

— Chyba wpadliśmy na zebranie nerwowych gliniarzy — rzucił Angel.

— Jennings, nie mam na to czasu — powiedziałem. — Musisz mnie wysłuchać...

— Zamknij się! — wrzasnął Jennings. — Mówię po raz ostatni, Parker... — Przerwał i spojrzał na broń u mego pasa. — Skąd to masz? — zapytał, a groźba w jego głosie przypominała ton bandyty na pogrzebie.

Odciągnął kurek i zrobił trzy kroki w moją stronę, a jego rewolwer znalazł się w odległości kilku cali od mej twarzy. Teraz rozpoznał także sweter i kurtkę. Usłyszałem, jak za moimi plecami Angel wzdycha głośno.

— Mów, do cholery, skąd masz tę broń, albo cię zabiję!

Nie było dobrego sposobu wytłumaczyć mu, co się wydarzyło, więc nawet nie próbowałem. — Zastawiono na mnie pułapkę na drodze. Ten stary, który mieszkał nad jeziorem, John Barley, zginął, w moim samochodzie. Gonili mnie, dotarłem do twojego domu i Lorna dała mi broń. Jak wrócisz, znajdziesz kilka ciał na podłodze, ale Lorna jest bezpieczna. Słuchaj, co mówię, Rand, ta dziewczyna...

Rand Jennings delikatnie opuścił kurek i lułą rewolweru rąbnął mnie w lewą skroń. Zatoczyłem się do tyłu, a on uniół ramię, by powtórzyć cios, jednak Ressler przytrzymał go.

— Zabiję cię, skurwielu, zabiję! — Twarz Jenningsa poczerwieniała z wściekłości, ale pojawił się na niej także smutek, bo Rand wiedział, że sprawy już nigdy nie będą takie same po tym, co się tu wydarzyło, że skorupa w końcu pękła i życie, które wiódł do tej pory, odpływało już podczas naszej rozmowy, a teraz uciekało w powietrze jak gaz.

Czułem ciekącą po policzku krew, w głowie dotkliwe pulsowanie. W istocie cały byłem obolały, ale cóż, taki to już trafił mi się dzień. — Możesz nie mieć drugiej takiej okazji. Faceci, którzy zastawili na mnie pułapkę, to ludzie Tony'ego Celli. A jemu chodzi o Billy'ego Purdue.

Jennings, oddychając już nieco spokojniej, skinął na Resslera, który wciąż przytrzymywał go za ramię. — Nikt nie zabierze mi więźnia — powiedział.

I wtedy zgasły światła, i wybuchło piekło.

Na kilka chwil komenda pogrążyła się w ciemnościach. Potem mętną poświatę rzuciły cztery, umieszczone na ścianach, awaryjne lampy fluorescencyjne. Z celi krzyknął Billy: — Hej, wy tam, co się dzieje? Co się stało ze światłem?

Na tyłach budynku komendy coś huknęło, trzy razy, jakby ktoś walił młotem, potem drzwi głośno uderzyły o ścianę. Louis natychmiast ruszył w tamtą stronę, z potężnym roadblockerem w dłoni. Widziałem, jak przechodzi obok celi Billy'ego i zatrzymuje się tuż za rogiem, gdzie zaczynał się korytarz wiodący do tylnych drzwi. Przez chwilę jakby liczył do trzech, następnie odwrócił się, przysunął bliżej do ściany i oddał dwa strzały w głób korytarza. Zniknął w środku, strzelił raz jeszcze, cofnął się i znów mieliśmy go w polu widzenia. Jennings, Ressler i ja podbiegliśmy do niego, a młody gliniarz i Angel, wraz z Walterem, zajęli się barykadowaniem frontowych drzwi.

W korytarzu leżało dwóch martwych osobników, z twarzami ukrytymi pod czarnymi maskami, obaj w czarnych, drelichowych spodniach i krótkich, także czarnych kurtkach.

— Źle wybrali przebranie — skomentował Louis — powinni byli wysłuchać prognozy pogody. — Ściągnął maskę z trupa i odwrócił się do mnie. — Znasz go?

Potrząsnąłem głową, Louis wypuścił maskę z dłoni. — Pewnie tak czy owak nie wart znajomości — stwierdził.

Ostrożnie podsunęliśmy się w stronę otwartych drzwi, przytrzymywanych na zewnątrz naporem wiatru. Louis wziął miotłę i przy jej pomocy przyciągnął je i zamknął; zamek rozwalono potężnym uderzeniem. Zapanowała cisza, żadnych strzałów. Potem biurkiem, które Louis z Resslerem przenieśli korytarzem, zabarykadowaliśmy wejście. Zostawiliśmy przy nim na straży Louisa, sami wróciliśmy do głównego pomieszczenia, gdzie Angel i młody gliniarz stali po obu stronach okna, usiłując ustalić liczbę mężczyzn, poruszających się na zewnątrz. Chyba nie zostało ich wielu, choć Tony Celli wciąż był wśród nich.

Walter stał nieco z tyłu, zauważyłem, że w ręce trzyma swego starego .38. Byłem już pewien, gdzie jest Ellen — o ile jeszcze żyła — ale gdybym przekazał tę wiadomość Walterowi, jak szalony wypadłby na ludzi Celliego, by móc po nią pobiec, i zginąłby, nadaremnie.

Ktoś zawołał: — Hej, tam w środku, nie chcemy nikomu zrobić nic złego, tylko wystawcie Purdue, i już nas nie ma. — Głos jakby Mifflina.

Angel spojrział na mnie i wykrzywił się szyderczo. — Obiecuj, że cokolwiek się stanie, tym razem wykończysz skurwiela na dobre.

Stanąłem obok niego i wyjrzałem w ciemność. — Faktycznie, jest irytujący — przyznałem. Odwróciłem się i zobaczyłem tuż przy sobie Louisa.

— Drzwi powinny wytrzymać. Jak tamci spróbują znów wejść, usłyszymy, zanim narobią szkody. — Rzucił okiem przez okno. — Człowieku, nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek powiem coś takiego, ale czuję się jak John Wayne...

— W „Rio Bravo” — odpowiedziałem.

— Trafiłeś!

Za nami Jennings i Ressler próbowali sklecić jakiś plan walki. Zupełnie jak dwójka dzieciaków, próbujących przy pomocy palców u nóg trzymać pałeczki do jedzenia.

— Macie radio? — spytałem.

Odpowiedział mi Ressler: — Słyszać tylko hałas, nic poza tym.

— Zakłócają.

Teraz odezwał się Jennings: — Przeczekamy, oni w końcu zrezygnują. To nie pogranicze, nie mogą tak po prostu napadać na komendę policji i porywać więźnia.

— Ależ to właśnie jest pogranicze — zaprotestowałem — i mogą robić, co tylko chcą. Bez niego nie odejdą. Celli potrzebuje forsy, którą Purdue mu zabrał, bo inaczej zabiją go jego ludzie... — Przerwałem. — Te pieniądze można by mu oddać...

— On nie miał niczego przy sobie, gdyśmy go aresztowali — wyjaśnił Ressler. — Żadnego bagażu.

— To może by go zapytać — zaproponowałem.

Dostrzegłem, że Billy Purdue patrzy na mnie jakoś dziwnie. Ressler spojrział na Jenningsa, wzruszył ramionami i skierował się do celi. W tym momencie Angel odskoczył w bok, a Louis pchnął mnie na podłogę. Krzyknąłem z bólu, gdy zraniony bok zetknął się z dywanem.

— Chować głowy! — zawołał Angel.

Frontowe okno komendy eksplodowało do środka, kule demolowały ściany, biurka, szafki i lampy. Z brzękiem rozsypało się szklane przepierzenia, na kawałki rozpadły akwarele, a raporty i skoroszyty zmieniły się w konfetti. Ressler upadł na podłogę, na jego nodze, od tyłu, ziała czerwienią poszarpana rana. Leżący obok mnie Angel podniósł się i otworzył ogień z glocka. Zadudnił też roadblocker Louisa, gdy ten zajął pozycję przy partnerze.

— Rozedrą nas na kawałki! — krzyknął Angel.

Ogień z zewnątrz ustał. Za naszymi plecami słychać było tylko opadające kartki papieru, skrzypienie szkła i wodę kapiącą ze zniszczonej chłodziarki. Spojrzałem na Louisa.

— Może przenieść wojnę na ich teren? — zaproponowałem.

— Dobrze — zgodził się. — Poradzisz sobie?

— Chyba tak — skłamałem.

Pochylony nad Resslerem, Jennings rozcinał mu nogawkę spodni, by dostać się do rany.

— Macie tu okno, które wychodziłoby na jakieś zacienione miejsce, na przykład zasłonięte przez drzewo? — zapytałem go.

Uniósł głowę, przytaknął. — Z męskiego wychodka, w końcu korytarza. Znajduje się tuż przy murze i choć jest bardzo wąskie, można by się z niego wspiąć na ogrodzenie.

— Brzmi zachęcająco.

— A co ze mną? — zapytał Angel.

— Pohałasujesz tu trochę glockiem — odrzekł Louis.

— Tak uważasz?

— Właśnie. Jak ci się uda kogoś trafić, chyba zacznę wierzyć w Boga; tak czy owak nieźle wystraszysz chłopców Tony'ego.

— Potrzebujecie pomocy? — spytał Walter. Po raz pierwszy zwrócił się do mnie od pogrzebu w Queens.

— Zostań tu — poleciłem. — Chyba coś wiem.

— O Ellen? — Aż drgnąłem na widok bólu w jego oczach.

— Nic nam to nie da, dopóki na zewnątrz są ludzie Tony'ego Celli. Jak załatwimy sprawę z nimi, pogadamy.

Odwróciliśmy się, by odejść, ale przeszkody jakby się uwzięły, by piętrzyć się jedna po drugiej. Rand Jennins wciąż klęczał przy Resslerze. Wciąż miał w ręce broń, i wciąż celował do mnie.

— Nigdzie nie idziesz, Parker.

Spojrzałem na niego, ale nie zatrzymałem się. Lufa przesuwiała się za mną, gdy koło niego przechodziłem.

— Parker...

— Rand — wrzasnąłem — zamknij się!

Zaskakujące, ale podziałało.

Zostawiliśmy ich i poszliśmy do męskiej toalety. Pokryte szronem okno znajdowało się nad umywalkami. Przez chwilę nasłuchiwaaliśmy, co dzieje się na zewnątrz, potem odgięliśmy haczyk, otworzyli okno i cofnęliśmy się — cisza, żadnych strzałów. Już po chwili wciągaliśmy się na mur, potem skok na kawałek gołej, niczym nie zarośniętej ziemi pod północną ścianą komendy — w kieszeni Louisa zagrzechotały naboje. Bok mi doskwierał, ale teraz było mi już wszystko jedno.

— Wiesz, Louis, ten stary w domu Payne'a to Caleb Kyle...

Zaskoczyłem go. — Co mówisz?

— On czekał na Biłly'ego. Jeżeli coś mi się przydarzy, dokończ tę sprawę.

Skinął głową, potem dodał: — Człowieku, sam się nią zajmiesz. Jeszcze cię nie zabili, nigdy cię nie utłuką.

Uśmiechnąłem się, potem rozdzieliliśmy się i ruszyliśmy, powoli, noga za nogą, w stronę frontowej części komendy i ludzi Tony'ego Celli.

MmBMML

mromm

Nie bardzo wiem, co się stało, dlaczego zatoczyłem się w ciemność. Pamiętam tylko, że bez przerwy się trząsałem, skóra parzyła pod dotykiem, a twarz lśniła od potu. Dalej miałem rewolwer Jenningsa, ale wciąż czułem się z nim nieswojo. Jak przez mgłę żałowałem utraty smitha & wes-sona. Zabijałem z tamtej broni, przez co zabiłem coś w sobie, ale była moja, i jej dzieje w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy odzwierciedlały moje własne. Może i lepiej się stało, że leżała teraz głęboko w wodzie.

Padał śnieg i świat, z ustami zatkanymi przez płatki, zaniemówił. Idąc wzdłuż muru — komendę miałem po lewej stronie — zapadałem się głęboko, zimno przenikało przez buty i paraliżowało palce nóg. Wiedziałem, że z drugiej strony wytrwale sunie Louis, z wielką strzelbą w dłoniach.

Zatrzymałem się w miejscu, gdzie mur obniżał się nagle przy końcu budynku i zmieniał w ogrodzenie, wysokie na trzy stopy, wokół parkingu. Zajrzałem do środka, nie dostrzegłem żadnego ruchu, i ruszyłem pod osłonę ostatniego modelu forda, ale moja reakcja była powolna, więc czyniłem więcej hałasu, niż powinienem. Teraz ręce trzęsły mi się nieustannie, tak bardzo, że idąc, musiałem pomóc sobie lewą przytrzymać lufę rewolweru. Ból w boku nie ustawał, a gdy spojrzałem w dół, zobaczyłem na swetrze plamę krwi.

Wiatr zerwał się z nową siłą, potęgował fale padającego śniegu. Wielkie pokosy bieli zasłały mi twarz, językiem nabierałem płatki niczym łyżką. Wypatrywałem ciemnej postaci Louisa, ale widoczność kończyła się na granicy parkingu. Klęczałem, ogarnięty mdłościami, oddychałem z trudem. Przez chwilę bałem się, że zemdleję. Ostrożnie przykucnąwszy, nabrałem garść śniegu i wtarłem w twarz. Nie poczułem się lepiej, ale ten gest uratował mi życie.

Nade mną, z lewej, za jednym z radiowozów mignął cień. Zobaczyłem unoszącą się nad śniegiem stopę w czarnym lakierku, obsypany płatkami mankiet czarnych spodni i, falujący

na wietrze, kraj niebieskiej kurtki. Wstałem, uniosłem broń, aż głowa i rewolwer znalazły się nad maską forda. Gdy postać, zarejestrowawszy mój ruch, odwróciła się, oddałem pojedynczy strzał w pierś i patrzyłem, bez emocji, jak mężczyzna zsuwa się w zaspę, która narosła pod murem. Opadł tam, z głową opartą o pierś, a jego krew barwiła śnieg na czarno.

I w tym momencie coś się we mnie stało. Mój świat pociemniał; krew wsiąkała w śnieg, a wraz z nią zdawała się rozplýwać moja świadomość. Wszechświat rozmył się na krańcach, pozostawiając mi za ledwie maleńki otvorek perspektywy. I gdy rzeczywistość przesuwawała się i przechylała, zdawało mi się, że słyszę i czuję, jak ostrze brzytwy wchodzi w ciało, potem dźwięk, jakby ktoś jednym ciosem rozłupał melon. Wiedziony niewielką plamką jasności, przeszedłem za mur, potem na drugą stronę drogi, gdzie zbocze łagodnie opadało ku drzewom. W śniegu jak zmięta szmata leżał mężczyzna rozcięty od piersi do mostka, płatki śniegu osiadały na jego zmasakrowanej głowie. Obok ciała prowadziły ślady, głębokie, wyraźne. Oddalały się od trupa i kierowały ku miastu, podążały za innymi, zniekształconymi kuśtykaniem, poplamionymi krwią Mifflina. Gdy ruszyłem ich tropem, od strony komendy rozległy się następne serie, wyłowiłem dźwięk broni Louisa.

Szedłem na południe jakieś pięć, dziesięć minut, może trochę dłużej, w końcu znalazłem się na skraju ulicy. Mężczyzna i kobieta, oboje w starszym wieku, otuleni ciasno w płaszcze i koce, stali na werandzie; on obejmował ją ramieniem. Strzały ucichły, ale oni wciąż czekali, wciąż patrzyli. Zauważyli mnie i instynktownie cofnęli się. Starzec pociągnął żonę, może siostrę, z powrotem do środka i zamknął za sobą drzwi. Przez cały ten czas nie spuszczała ze mnie wzroku. Świeciło się w kilku innych domach, tu i ówdzie poruszyła się firanka. Widziałem twarze połyskujące w mdłym świetle, ale nikt nie wyszedł na zewnątrz.

Dotarłem do rogu Spring Street i Maybury. Spring prowadziła do centrum miasta, ale na końcu Maybury panowały ciemności i właśnie tam wiodły oba ślady. Gdzieś w połowie ulicy rozdzieliły się: ten nieregularny dalej prowadził w ciemność, drugi odbił na północny zachód, przez granicę między dwoma posiadłościami. Najwyraźniej Mifflin znalazł się tu pierwszy i zniknął w ciemnościach, skąd mógł obserwować ulicę, a jego prześladowca skręcił, by go okrążyć, gdy zrozumiał, co się dzieje. Poszedłem na południe i przedzierałem się za domami, aż dotarłem do kępy drzew na zachodnim brzegu lasu. Zatrzymałem się.

Jakieś trzydzieści stóp przede mną, na skraju plamy światła rzucanego przez ostatnią uliczną lampę, uformowała się i zaraz znikła jakaś chmura. Coś poruszyło się, ktoś, zaskoczony, wykonał gest pełen przerażenia. Najpierw pojawiła się twarz, rozglądnęła w lewo i w prawo, potem zza drzewa wyjrzała postać. Mifflin, z ramieniem wciąż na temblaku. Gdy podchodziłem bliżej, zasłonięty cieniem, z krokami tłumionymi przez śnieg, ujrzałem krew obficie skapującą mu z palców i powiększającą się kałużę czerwieni u jego stóp. Byłem niemal przy nim, gdy jakiś dźwięk zaalarmował go. Odwrócił się. Rozwarł szeroko oczy, błyskawicznie wyprostował się, w zdrowej dłoni błysnął nóż. Strzeliłem mu w prawe ramię; obrócił się, nogi ugięły się pod nim. Upadł na plecy z cichym okrzykiem bólu. Szybko podbiegłem, wciąż do niego celując. Zmrużył oczy i próbował wyostrzyć wzrok, gdy stanąłem w plamie światła.

— Ty! — wydusił w końcu. Usiłował wstać, ale nie miał siły. Podniósł tylko głowę i z powrotem opadł na śnieg.

Dostrzegłem szeroką wyrwę w poprzek na przedzie płaszcza; wewnątrz coś lśniło wilgocią.

— Kto to zrobił? — zapytałem.

Śmiech Mifflina zabrzmiał jak atak kaszlu. Krew trysnęła mu z ust i poplamiała zęby na czerwono. — Jakiś stary, pieprzony staruch. Pojawił się znikąd i zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje, zadał mi cios, potem rzucił się na Contorno. Uciekałem jak oszalały, pieprzyć Contorno... — Próbował ruszyć głową, spojrzeć za siebie w kierunku miasta. — Jest tam gdzieś, obserwuje nas, to się czuje.

Maybury była cicha, na ulicy nic się nie poruszało. Ale on miał rację: z głębi otaczającej ciemności coś nas obserwowało. Ktoś wstrzymywał oddech i czekał.

— Wkrótce nadejdzie pomoc — powiedziałem, chociaż wcale nie byłem pewien, czy sprawy w komendzie potoczyły się po naszej myśli. W końcu mieliśmy Louisa, pomyślałem, inaczej wszyscy bylibyśmy martwi. — Zabierzemy cię do lekarza.

Potrząsnął głową. — Żadnego łapiducha! — popatrzył na mnie z wściekłością. — Sprawa tu się kończy. Zrób to, kurwa, no już!

— Nie — powiedziałem cicho. — Już dość.

Ale on nie zamierzał rezygnować. Z całą siłą, jaka mu jeszcze pozostała, sięgnął do kłapy płaszcza, zaciskając z wysiłku zęby. Zareagowałem automatycznie i zabiłem go na miejscu, ale gdy wyciągnąłem mu dłoń z kieszeni płaszcza, okazała się pusta. Jak mogło być inaczej, skoro miał do obrony tylko nóż?

Gdy podnosiłem się, coś jakby mignęło w ciemnościach po drugiej stronie ulicy, potem znikło.

Ruszyłem z powrotem do komendy i niemal dotarłem na miejsce, gdy z prawej strony zamajaczyła jakaś sylwetka. Błyskawicznie odwróciłem się, na szczęście usłyszałem: — Bird, to ja. — Z cienia wyłonił się Louis, strzelbę niósł w ramionach niczym śpiące niemowlę. Twarz miał spryskaną krwią, płaszcz podarty na lewym ramieniu.

— Zniszczyłeś palto — powiedziałem. — Twój krawiec będzie niepokieszony.

— I tak nosiłem je już ostatni sezon, czułem się w nim jak lump. — Zrobił krok ku mnie. — Ty też nie wyglądasz najlepiej.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że mnie postrzelono? — spytałem obrażonym tonem.

— Do ciebie zawsze ktoś strzela — odrzekł. — Gdyby tego nie robiono i nie bito cię, nie porażano prądem, wpadłbyś w apatię. Jak sądzisz, wytrzymasz? — zmienił ton i wiedziałem, że ma dla mnie złą wiadomość.

— Mów! — zażądałem.

— Billy Purdue zniknął. Zdaje się Ressler zemdlał od odniesionej rany i Billy przyciągnął go pod celę za nogawkę spodni, w czasie gdy Angel i inni byli zajęci. Zabrał mu zza pasa klucze, wziął strzelbę ze stojaka i wypuścił się. Prawdopodobnie wyszedł tą samą drogą co my.

— A gdzie Angel, nic mu się nie stało?

— Nic, ani jemu, ani Walterowi. Pomagali Jenningsowi wzmocnić blokadę drzwi. Zdaje się, że po naszym odejściu niedobitki Tony'ego jeszcze raz próbowali. A Billy po prostu wyszedł.

— A my oczyściliśmy mu drogę. — Zakląłem paskudnie, potem powiedziałem o Mifflinie i tym drugim, martwym, na śniegu.

— Caleb? — spytał tylko Louis.

— Tak. Przyszedł po swego chłopaka i zabija każdego, kto zagrozi jemu lub synowi. Mifflin widział go i też nie żyje.

— Zabiłeś go?

— Tak. — Mifflin nie dał mi wyboru, ale w ostatnich chwilach wykazał jednak pewną godność. — Muszę dostać się do domu Payne'a.

— Mamy bardziej palący kłopot — zaprotestował Louis.

— Tony Celli...?

— Właśnie. Ta zabawa musi się tutaj skończyć, Bird. Jego samochód stoi zaparkowany jakieś pół mili na wschód, na samym krańcu miasta.

— Skąd wiesz? — Zaczęliśmy iść w tym kierunku.

— Zapytałem.

— Musiałeś być bardzo przekonujący.

— Użyłem grzecznych słów.

— I wielkiej broni.

Usta mu drgnęły — Duża broń zawsze pomaga.

Czarna limuzyna marki Lincoln stała na poboczu drogi, z przyciemnionymi światłami. Za nią parkowały dwa inne samochody, duże fordy, także ledwo oświetlone, oraz dwie furgonetki chevy. Przed lincolnem na śniegu klęczał jakiś człowiek, z opuszczoną głową, z rękami związanymi na plecach. Zanim zdołaliśmy podejść bliżej, za nami szczęknęła broń i ktoś powiedział: — Odłóżcie to, chłopcy.

Postąpiliśmy, jak nam kazano, ale nie odwróciliśmy się.

— A teraz idźcie dalej.

Drzwi po stronie kierowcy jednego z fordów otwarły się i wysiadł z nich Al Z. W błysku wewnętrznego światła dostrzegłem jeszcze jednego mężczyznę, grubego, o srebrzystych włosach, w ciemnych okularach i z papierosem w dłoni. Al Z zamknął drzwi i światło zgasło. Al Z podszedł do klęczącego na drodze, a z drugiego forda wysiadło trzech kolesiów i stało w oczekiwaniu. Ten na śniegu uniósł głowę i Tony Celli spojrzał na nas martwymi oczami.

Al Z trzymał dłonie głęboko w kieszeniach szarego płaszcza i patrzył, jak podchodzimy. Gdy znaleźliśmy się dziesięć stóp od Tony'ego, podniósł rękę i powstrzymał nas. Wyglądał niemal na rozbawionego.

Niemal.

— Prosiłem, byście się trzymali z daleka od naszych spraw — powiedział.

— Jak już mówiłem, to była nasza część „spraw”, z którą miałem kłopoty — odrzekłem. Czuję ogarniającą mnie słabość i, z wielkim trudem, udało mi się ją opanować.

— Masz kłopoty ze słuchem. Powinieneś być gdzie indziej prowadzić tę swoją moralną wyprawę krzyżową.

Wyjął z kieszeni prawą dłoń, trzymając .9 hecklera & kocha, kilka razy łagodnie kiwnął głową i swym miękkim, stanowczym tonem powiedział: — Wy popieprzeńcy! — Potem strzelił Tony'emu Celli w głowę. Ten padł twarzą na ziemię, z lewym okiem wciąż otwartym i dziurą tam, gdzie przedtem znajdowało się prawe. Podeszło dwóch kolesiów, jeden niósł na ramieniu plastikową płachtę. Zawinęli zwłoki i wsadzili do bagażnika. Trzeci kolesz przesunął ręką w rękawiczkach po śniegu, aż znalazł nabój, wsunął go do kieszeni razem z łuską i odszedł za kumplami.

— Nie miał tej dziewczyny — powiedział Al Z — spytałem go.

— Wiem — powiedziałem. — Jest jeszcze ktoś inny, kto poderznął gardła dwóm ludziom Tony'ego.

Al Z wzruszył ramionami. Teraz najważniejszą sprawą były dla niego pieniądze, a nie ostateczny los tych, którzy postanowili pójść za Tonym.

— Z tego, co się domyślam, ty masz jeszcze więcej na sumieniu...

Nie zareagowałem. Jeżeli Al Z zdecyduje, by nas zabito za to, co zrobiliśmy z maszyną Tony'ego Celli, cokolwiek bym powiedział, nie zmieni jego zamiaru.

— Chcemy Billy'ego Purdue — ciągnął. — Przekażesz go nam, a zapomnimy o tym, co tu się wydarzyło. Nie będziemy pamiętać, że zabiłeś ludzi, których nie powinieneś być tykać.

— Nie potrzeba ci Bill/ego — powiedziałem. — Chcecie odzyskać pieniądze, te, które stracił Tony

Al Z wyjął lewą rękę z kieszeni i zrobił gest oznaczający: każdy sposób jest dobry. Omawianie okoliczności odzyskania pieniędzy było dla niego zaledwie ćwiczeniem semantycznym.

— Billy uciekł. W zamieszaniu udało mu się wydostać. Znajdziemy go — obiecałem. — Dostaniesz swoją forszę, ale jego wam nie przekażę.

Al Z zastanowił się chwilę, potem spojrzął w stronę mężczyzny w samochodzie. Papieros poruszył się w geście obojętności. Al Z odwrócił się do nas. — Masz dwadzieścia cztery godziny. Potem nawet twój przyjaciel, ten tutaj, nie będzie w stanie cię ocalić.

Odszedł do samochodu, reszta kolesiów także i wszyscy odjechali w noc, a na śniegu pozostały tylko ślady opon, plama krwi i czegoś szarego.

MMmiNh TBmMIMW PllfOT

Komenda wyglądała, jakby zaatakowała ją niewielka armia: od frontu prawie wszystkie okna rozbite, drzwi podziurawione kulami. Angel otworzył nam i szkło z brzękiem opadło na podłogę. Za jego plecami zobaczyłem Waltera. Tymczasem z północnej części miasta nadchodzili co odważniejsi mieszkańcy.

— Teraz idziemy odnaleźć Caleba — oświadczył Louis, ale ja pokręciłem głową.

— Niedługo pojawią się fedzie, nie chcę, by widzieli tu ciebie czy Angela.

— Bzdury — zaprotestował.

— Nic podobnego, i dobrze o tym wiesz. Jeżeli cię tu zastaną, żadne wyjaśnienia nie pomogą wydobyć cię z kłopotów. A poza tym to sprawa osobista, dotyczy mnie i Waltera. Wy musicie zniknąć.

Louis zawahał się, przez moment zdawał się rozważać, czy dalej nalegać, wreszcie skinął głową. — A niech tam! Wynosimy się.

Po chwili razem z Angelem ruszyli do mercury'ego; patrzyliśmy z Walterem na ich odjazd. Ocenilem moje zdolności do utrzymania się na nogach na jakąś godzinę, może tylko pół.

— Chyba wiem, gdzie jest Ellen — powiedziałem. — Jesteś gotowy po nią iść?

Walter skinął głową.

— Jeżeli wciąż żyje, będziemy musieli kogoś zabić, by ją wydostać — zastrzegłem.

— Zrobi się, co konieczne.

Spojrzałem na niego, mówił poważnie. — Świetnie, lepiej ty prowadź, to nie był mój najszcześniejszy dzień za kierownicą...

Zostawiliśmy wóz jakieś ćwierć mili za domem Payne'a i, kryjąc się między drzewami, podeszliśmy od tyłu. Wewnątrz paliły się dwa światła, jedno we frontowym pokoju, drugie na piętrze. Dotarliśmy na skraj posiadłości, gdzie niewielka komórka, pokryta falistą blachą, powoli popadała w ruinę; wciąż nie widzieliśmy śladu życia. Na śniegu widniały nie całkiem zasypane odciski stóp. Ktoś kręcił się tu niedawno, silnik zaparkowanej w pobliżu furgonetki był jeszcze ciepły.

Poczułem bijącą z komórki woń, smutny zapach rozkładu, smród gnijącego mięsa.

Podszedłem i ostrożnie uniosłem zasuwkę: zaskrzypiała cicho. Otworzyłem drzwi i odór uderzył z całą siłą. Spojrzałem na Waltera i zobaczyłem, jak nadzieja gaśnie w jego oczach.

— Zostań tu — powiedziałem i wsunąłem się do środka.

Smród był tak mocny, że oczy mi powilgotniały, obrzydła woń zdawała się przywierać do ubrania. W kącie stała długa zamrażarka, z rogami najedzonymi przez rdzę — w kilku miejscach na wylot. Nie podłączony przewód zwisał okręcony wokół jednej nogi niczym ogon. Zasłoniłem usta i uniosłem pokrywę.

Wewnątrz leżało poskręcane ciało. Mężczyzna ubrany w niebieski dres, z bosymi stopami; odwinięta na plecy ręka, gnijące, powykręcane palce; drugą zasłaniało ciało. Twarz opuchnięta, oczy białe. Oczy starego człowieka. Panujący chłód trochę go zakonserwował i pomimo spustoszenia, jakiemu uległy zwłoki, poznałem Meade'a Payne'a, mężczyznę z fotografii wiszącej w jadalni, który musiał umrzeć, by Caleb Kyle zajął jego miejsce i czekał na nadejście Billy'ego Purdue. Pod trupem dostrzegłem resztki ogona i czarnej sierści: szczątki psa.

Za moimi plecami skrzypnęły zawiasy i wszedł Walter, powoli, z lękiem, i także zajrzał do zamrażarki. Na widok ciała nie potrafił powstrzymać westchnienia ulgi.

— To ten gość z fotografii? — zapytał.

— Tak.

— W takim razie ona wciąż żyje.

Skinąłem głową, ale nic nie powiedziałem. Były gorsze rzeczy niż gwałtowna śmierć, i myślałem, że w ciemnych, zabarykadowanych obszarach świadomości Walter wiedział o tym.

— Ty od przodu czy od tyłu? — spytałem.

— Od przodu.

Wyszliśmy z komórki. Wzięłem głęboki oddech. — No to do roboty!

Dom śmierdzał czymś skwaśniałym. W olbrzymiej kuchni od tyłu stał sosnowy stół i cztery podobne krzesła. Na blacie leżały porozrzucane kawałki chleba, niektóre już dawno nieświeże, stały otwarte kartony z mlekiem, którego nawet panująca w pomieszczeniu temperatura nie zdołała uratować od skisnięcia. Plastry zimnego mięsa, o podwiniętych i twardych brzegach, z tuzin pustych puszek po napojach i pół butelki taniej, żytniej whisky. W jednym kącie stał czarny worek na śmieci, z niego bił najgorszy smród; pojemnik najwyraźniej zawierał ponadtygodniową porcję zepsutego jedzenia.

Przez otwarte drzwi kuchenne widziałem, jak Walter wchodzi do domu, jego minę, gdy owionął go paskudny zapach. Przeszedł do prawej części domu, trzymając się plecami przy ścianie, i z bronią gotową do strzału sprawdził jadalnię, połączoną z kuchnią zamkniętymi teraz drzwiami. Ja uczyniłem podobnie w pokoju telewizyjnym, znajdującym się w lewej części budynku. Obydwa pomieszczenia były zasypane pustymi torbami po kartoflanych chipsach, butelkami i puszkami po piwie, niedojedzoną żywnością na brudnych talerzach. W pokoju telewizyjnym stał też zielony plecak, zapakowany i gotowy do drogi. Wskazałem na schody i Walter ruszył pierwszy, tuż przy ścianie, by uniknąć skrzypiących stopni; broń trzymał obiema rękami.

Na pierwszym podejściu znaleźliśmy łazienkę, cuchnącą uryną i kałem, z mokrymi, brudnymi ręcznikami narzuconymi na klozet i innymi w stercie na podłodze, obok drzwi. Dwa stopnie wyżej znajdowała się pierwsza sypialnia, nie pościelone łóżko i znów resztki jedzenia na podłodze i komodzie, ale poza tym nic nie wskazywało, by pokój był ostatnio używany. Żadnych ubrań, butów, bagaży. Właśnie w tym pomieszczeniu wciąż paliło się światło.

W drugiej sypialni, na łóżku, leżała Ellen Cole, z rękami przywiązanymi sznurem do oparcia. Na oczach i uszach miała czarną szmatę, pod opaskę wepchnięto jej wkładkę z waty, by przytłumić słuch. Pośrodku zaklejającej usta taśmy widniał niewielki otwór. Ellen leżała pod dwoma kocami. Na małym stoliku obok łóżka stała plastikowa butelka z wodą.

Nie drgnęła, gdy weszliśmy do pokoju, chociaż gdy zbliżyliśmy się, zdawała się nas wyczuwać. Walter sięgnął dłonią, by ją dotknąć, wtedy cofnęła się z cichym jękiem strachu. Delikatnie uniosłem koce. Rozebrano ją do bielizny, ale nie wyglądała na raną. Zostawiłem ich i poszedłem przeszukać trzeci pokój. On też był pusty, ale najwyraźniej niedawno ktoś w nim spał. Gdy wróciłem do poprzedniego pomieszczenia, Walter delikatnie przytrzymał głowę Ellen i rozwiązywał opaskę. Przymrużyła oczy, choć w pokoju było dość ciemno. Potem zobaczyła ojca i zaczęła płakać.

— Wszędzie pusto — oświadczyłem.

Podszedłem do łóżka i scyzorykiem przeciąłem sznury przytrzymujące jej ręce, a Walter oderwał taśmę. Trzymał ją w ramionach, jej ciałem szarpał szloch. Resztę rzeczy Ellen znalazłem w kupce pod oknem.

— Pomóż jej się ubrać — poleciłem. Wciąż się nie odzywała, ale gdy Walter naciągał jej dzinsy na nogi, ująłem ją za rękę i zwróciłem uwagę na siebie.

— Ellen, ich jest tylko dwóch, prawda?

Potrwało chwilę, nim zareagowała, potem przytaknęła ruchem głowy.

— Dwóch — powiedziała. Miała zachrypły głos, wyschnięte gardło. Podałem jej butelkę z wodą i upiła trochę przez słomkę.

— Czy wyrządzili ci krzywdę?

Zaprzeczyła, znów ruchem głowy, i znów się rozpląkała. Przytuliłem ją, potem odsunąłem się, a Walter założył jej sweter na ramiona i naciągnął na plecy. Objął ją i pomógł podnieść się z łóżka, ale nogi niemal natychmiast ugięły się pod nią.

— W porządku, kochanie — uspokajał. — Zniesiemy cię.

Właśnie mieliśmy schodzić, gdy usłyszeliśmy dźwięk otwieranych frontowych drzwi.

Poczułem ucisk w żołądku. Przez chwilę nasłuchiwaaliśmy, ale na schodach nic się nie poruszało. Wskazałem Walterowi gestem, że powinien zostawić Ellen. Gdybyśmy teraz próbowali ją przenieść, zaalarmowalibyśmy osobnika na dole. Wydała cichy, miaukliwy jęk, a gdy ojciec odsunął się od niej, próbowała go przytrzymać. Delikatnie pocałował ją w policzek i poszedł za mną. Frontowe drzwi stały otworem, z ciemności wpadał przez nie śnieg. Kiedy dotarliśmy na dół, ujrzałem w kuchni, po prawej stronie, poruszający się cień. Odwróciłem się, przyłożyłem palec do ust.

Postać przesunęła się w poprzek drzwi, nie patrząc w naszym kierunku: młody mężczyzna, którego spotkałem przy pierwszej wizycie. Caspar, jak sądziłem, syn Caleba. Przełknąłem ślinę i wysunąłem się dalej, podniesioną dłonią dając znak Walterowi, że ma się trzymać z tyłu, w pobliżu drzwi. Odliczyłem do trzech i wszedłem do kuchni, z bronią uniesioną i wycelowaną w lewo.

Pomieszczenie było puste, ale drzwi łączące je z jadalnią stały teraz otworem. Skoczyłem w tył, by ostrzec Waltera; w samą porę! Dostrzegłem poruszającą się za nim sylwetkę i ostrze noża błyszczące w półmroku. Zobaczył wyraz mojej twarzy i uskoczył w bok, ale opadający nóż jeszcze zdołał trafić go w lewe ramię. Walter aż naprężył plecy i wydał okrzyk bólu. Uniósł broń i strzelił do tyłu, ale nóż trafił go ponownie, tym razem przejechał przez plecy. Walter upadł, a napastnik pchnął go z całej siły i głowa padającego uderzyła o balustradę. Klęczał teraz, wsparty na dłoniach i kolanach, z twarzy ściekała mu krew, oczy patrzyły nieprzytomnie.

Młody zwrócił się w moją stronę, w nożem uniesionym w prawej dłoni. Czerwień wyciekająca z biodra, z rany od kuli Waltera, paskudnie plamiła mu spodnie, ale zdawał się nie zauważać bólu. Zgiął się i całym ciałem rzucił się na mnie przez korytarz. Usta miał otwarte, zęby obnażone, nóż gotowy do ciosu.

Strzeliłem mu w pierś; w jednej chwili zatrzymany w biegu, zakołysał się na piętach. Przyłożył dłoń do rany i patrzył na krew, jakby dopiero teraz uwierzył, że go trafiłem. Spojrzał na mnie ponownie, przechylił głowę i zrobił ruch, jakby znów się miał na mnie rzucić. Znowu strzeliłem. Tym razem kula trafiła go prosto w serce. Upadł na plecy, na deski podłogi, głową w pobliżu miejsca, gdzie Walter starał się utrzymać na kolanach i rękach, i chyba już martwy uderzył o ziemię. Z góry usłyszałem krzyk Ellen: — Tatusiu! — Chwiejąc się na szczycie schodów, usiłowała zejść.

Jej okrzyk uratował mi życie. Odwróciłem się w jej kierunku i za plecami usłyszałem świst, przede mną przesunął się cień. Otrzymałem bolesny cios w ramię, ktoś chybił zaledwie kilka cali i nie trafił mnie w głowę. Otarła mnie ostra krawędź łopaty. Lewą ręką chwyciłem drewnianą rękojeść, prawą równocześnie zamachnąłem się. Trafiłem w czyjaś szczękę, potem, używając szpadla jako dźwigni, pociągnąłem napastnika i podłożyłem mu nogę. Potknął się i padł, tuż przede mną. Przez chwilę pozostawał na czworakach, potem podniósł się i odwrócił do mnie twarzą, na tle nocy wdzierającej się przez otwarte drzwi.

I wiedziałem, że to Caleb Kyle. Teraz już nie udawał poskręcane go ar-tretyka, ale stał wysoki i wyprostowany; szczupłe, żyłaste ciało, odziane w niebieskie drelichy i niebieską koszulę. Był starym człowiekiem, ale wyczuwałem, niemal namacalnie, jego siłę, wściekłość i zdolność do zadawania bólu i cierpienia. Zdawały się promieniować z niego żarem, broń w mojej dłoni aż drgnęła pod ich naporem. Miał okrutne oczy, błyszczące głębokim, czerwonym ogniem; instynktownie pomyślałem o Billym Purdue. A także o tych młodych kobietach,

zwisających z drzewa, o cierpieniu, jakie musiały znieść z jego rąk, i o dziadku, do końca życia dręczonym koszmarami o tym człowieku. Jakkolwiek ból zadano Calebowi, po stokroć oddał go otaczającemu światu.

Spojrzał na martwego syna, leżącego u jego stóp. Potem na mnie, a intensywność jego nienawiści aż mną zakołysała. Oczy świeciły mu głęboką, skierowaną na czynienie zła inteligencją. Manipulował nami wszystkimi, przez dziesiątki lat unikał schwytania i niemal znów udało mu się umknąć, ale kosztowało to życie jego syna. Cokolwiek stanie się później, jakaś niewielka doza sprawiedliwości została osiągnięta dla tych dziewcząt, zwisających z drzewa, a także dla Judith Mundy, która skołała, nieludzko traktowana i samotna, gdzieś w wielkich Puszczech Północy

— Nie — zaprotestował. — O nie!

Dopiero wtedy zacząłem rozumieć, dlaczego tak bardzo pragnął splodzić syna. Gdyby Judith Mundy dała mu córkę, wiedziony nienawiścią zamordowałby dziecko i próbował od nowa. On chciał tego, czego pragnie tak wielu mężczyzn: widzieć replikę siebie tu, na ziemi, zostawić w innym to, co w nich najlepszego. Tyle że Caleb chciał, by przetrwało to, co okrutne i złe, żeby jego potomek pożerał życie innym, jak czynił to jego ojciec.

Caleb zrobił krok do przodu. Odciągnąłem kurek.

— Cofnij się! — rozkazałem. — I trzymaj ręce tak, bym mógł je widzieć.

Potrząsnął głową, ale cofnął się kilka kroków, z rękoma odsuniętymi od boków. Nie patrzył na mnie, wbijał wzrok w ciało syna. Podszedłem do Waltera, który podniósł się i siedział oparty zdrowym ramieniem o ścianę; z twarzy ściekała mu krew. Wprawdzie w prawej dłoni wciąż trzymał broń, ale nie był w stanie nią wycelować i najwyraźniej bardzo cierpiał. Ja też nie czułem się najlepiej. Ellen dotarła już jakoś do połowy schodów, więc uniesioną dłonią powstrzymałem ją — wołałem, by trzymała się z dala od tego człowieka. Stała nieruchomo, ale słyszałem jej płacz.

— Za to, co zrobiłeś, umrzesz. — Caleb splunął na ziemię, teraz całą uwagę zwrócił na mnie. — Rozedrę cię gołymi rękami, potem zajebię tę dziwkę na śmierć i zostawię ciało w lesie, na zimową przekąskę.

Nie zareagowałem na obelgi.

— Odsuń się, stary — powiedziałem. Nie chciałem przebywać z nim w zamkniętej przestrzeni; ani w korytarzu, ani na werandzie. Był groźny. Nawet z bronią gotową do strzału wiedziałem o tym.

Znów się cofnął, potem powoli, odwrócony, zszedł po stopniach i stanął na podwórku; śnieg padał mu na gołą głowę, na wyciągnięte ramiona, a światło błyszczące z pokoju lekko go złociło. Trzymał dłonie daleko od ciała, ale zauważyłem kolbę broni wystającą z tyłu zza paska spodni.

— Odwróć się — rozkazałem.

Nie poruszył się.

— Odwróć się albo strzelę ci w nogi! — Nie mogłem go zabić, jeszcze nie.

Popatrzył na mnie z wściekłością i odwrócił się w prawo.

— Sięgnij za siebie, kciukiem i palcem wskazującym wyciągnij broń za kolbę i rzuć na ziemię!

Zrobił, jak mu kazałem, cisnął broń na rosnące pod werandą, ogołoczone z liści krzaki róż.

— Teraz odwróć się.

Znów stanął twarzą do mnie.

— To ty, prawda? — stwierdziłem raczej, niż zapytałem. — Ty jesteś Calebem Kylem.

Uśmiechnął się, szary, lodowaty stwór, niczym zaraza na żywym organizmie. — To tylko imię, chłopcze. Caleb Kyle jest równie dobre jak każde inne. — Splunął ponownie. — Jeszcze się nie boisz?

— Jesteś starym człowiekiem — odrzekłem. — To ty powinieneś się bać. Ten świat osądzi cię ostro, ale nie tak surowo jak ten drugi...

Otworzył usta i strzyknął śliną. — Twój dziadzius bał się mnie, a ty jesteś jak jego żywe odbicie — powiedział. — I wyglądasz na wystraszonego.

Nie odpowiedziałem, za to wskazałem głową na ciało leżące za mną na ziemi. — Twój martwy chłopak, jego matką była Judith Mundy, czyż nie?

Wyszczrzył zęby i wykonał ruch, jakby chciał ruszyć na mnie, więc strzeliłem w ziemię przed nim. W górę wzniosł się pióropusz gliny i śniegu i powstrzymał go.

— Nie rób tego — ostrzegłem. — Odpowiedz: Porwałś Judith Mundy?

— Przysięgam, że zobaczę cię martwego — syknął. Patrzył w przestrzeń za mną, tam gdzie leżał jego martwy syn; mięśnie jego twarzy zeszywniały, z rozpaczycy zaciskał zęby. Wyglądał jak jakiś dziwaczny, starożytny demon, żyły sterczały mu na karku, grube jak kable, zęby miał długie i żółte. — Wziąłem toto, by z tego spłodzić, bo myślałem, że tamten mój chłopiec już był pogrzebany, wrzucony w dziurę z gównem.

— Toto... A ona nie żyje?

— Nie twoja sprawa. Ale tak było, wykrwawiło się toto na śmierć, gdy już dało chłopca. Pozwoliłem mu zdechnąć. Już nie miało mi się do niczego przydać.

— I wróciłeś.

— Przyszedłem po mojego chłopca, tego, co myślałem, że go straciłem, którego ta kurwa schowała przede mną, a wszystkie te kurwy i skurwiele ukrywali.

— I pozabijałeś ich.

Z dumą skinął głową. — Ilu tylko znalazłem.

— A Gary Chute, pracownik leśny?

— Nie powinien tam być — powiedział. — Nie oszczędzam tych, którzy wejdą na mój teren.

— A twój wnuk?

Oczy zabłyśły mu przez chwilę, jakby żalem. — Zdarzył się błąd, mały stanął mi na drodze. — I zaraz dodał: — Był chorowity, i tak nie przeżyłby tam, dokąd szliśmy.

— Nie masz już dokąd iść, stary, oni odbierają swój las. Nie dasz rady zabić każdego, kto tam wejdzie.

— Znam różne miejsca, zawsze jest gdzie się skryć.

— Już nie. Jest tylko jedno, do którego pójdziesz.

Usłyszałem za plecami ruch na schodach. Ellen zignorowała mnie i podeszła do Waltera; jak zresztą przewidywałem.

Caleb popatrzył na nią nad moim ramieniem. — Ona nie twoja?

— Nie.

— Kurwa! — warknął. — Widziałem ciebie, a w tobie twego dziadka, ale oczy musiały mnie zmylić, gdy widziałem ciebie w niej.

— I też zamierzałeś zapładniać ją?

Potrząsnął moje głową. — Była dla mojego chłopca, dla nich obu. Żebyś zdechł za to, co mu zrobiłeś...

— Nie, to ty idź już do piekła! — Uniosłem broń i wycelowałem w jego głowę.

Za sobą usłyszałem jęk Waltera, a Ellen krzyknęła: — Bird! — tym swoim zmienionym, chropowatym głosem. Coś chłodnego dotknęło zaraz tyłu mej głowy. I Billy Purdue powiedział: — Palec ci drgnie na spuście, a będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz w życiu.

Zawahałem się przez chwilę, potem poluzowałem nacisk na język spustowy i cofnąłem palec. Uniosłem broń, by pokazać, że zastosowałem się do polecenia.

— Wiesz, co z tym zrobić — powiedział.

Zabezpieczyłem rewolwer i rzuciłem na werandę.

— Na kolana — rozkazał.

Ból w boku stał się niemal nie do wytrzymania, ale ukląknęłam, a on przesunął się wokół mnie, z walterem za paskiem spodni. W dłoniach trzymał remingtona. Odsunął się do tyłu, by mieć nas obu na widoku.

Caleb Kyle patrzył na niego z podziwem. Po tym, co się stało, po tym, co zrobił, jego syn wrócił do niego.

— Zabij go, chłopcze — powiedział. — On zamordował twego przyrodniego brata, zastrzelił jak psa. Zabił twój krewnego, a krew żąda krwi, wiesz przecież.

Na twarzy Billy'ego ukazał się wyraz całkowitego zaskoczenia, widać było zmaganie się emocji. Potem strzelba drgnęła w moją stronę. — To prawda, mój brat? — spytał, podświadomie przyjmując sposób mówienia starego.

Nie odpowiedziałem. Nozdrza mu się wydeły i kolbą walnął mnie w głowę. Upadłem na twarz, przed sobą usłyszałem rechot Caleba.

— Tak, chłopcze, zabij skurwysyna! — Potem śmiech ucichł i choć byłem zamroczony, czułem, że stary się do mnie zbliża.

— Przyszedłem po ciebie, synu. Ja i twój brat wróciliśmy, by cię odnaleźć. Słyszeliśmy, że się rozpytujesz. Dowiedzieliśmy się o człowieku, którego wynajęłeś, by mnie znaleźć. Twoja mamuśka ukryła cię przede mną, ale ja powróciłem cię odszukać i teraz zagubione jagniątko zostało odnalezione...

— Ty? — powiedział Billy miękkim, zdziwionym tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem. — Ty jesteś moim tatusiem?

— Jestem twoim tatusiem — odrzekł Caleb i uśmiechnął się. — A teraz wykończ go za to, co zrobił z twoim bratem, którego nigdy nie poznasz. Zabij go za to, co uczynił Casparowi.

Uniosłem się na kolana, podpierając się na kostkach palców, i przemówiłem: — Spytaj go, co on zrobił, Billy. Zapytaj, co przydarzyło się Ricie i Donaldowi.

Oczy Caleba Kyle'a zabłyśły, ślina przysła mu z ust. — Zamknij się. Twoje kłamstwa nie rozdzielią mnie z mym chłopakiem.

— Zapytaj go, Billy. Niech powie, gdzie jest Meade Payne. Jak umarła Cheryl Lansing, jej synowa i małe wnuczki. Zapytaj go, Billy...

Caleb wskoczył na schody i prawą nogą mocno kopnął mnie w usta. Poczułem, jak pękają mi zęby, usta wypełnia ból i krew. Zobaczyłem ponownie wysuwającą się stopę.

— Dość — rzucił Billy — wystarczy, daj mu spokój...

Uniosłem wzrok i wydawało mi się, że mój ból jest niczym przy rozpaczycie malującej się na twarzy Billy'ego Purdue. Cierpienie całego życia paliło się w jego oczach: porzucenie, strata, walka ze światem, który zawsze w końcu miał go pokonać, próby życia bez przeszłości i przyszłości, tylko w uciążliwej, bolesnej terażniejszości. Teraz zasłona została zdarta i zaświtało mu, kim mógł być, kim jeszcze mógłby zostać. Ojciec wrócił po niego, a wszystko, co zrobił, całe cierpienie, za które odpowiadał ten człowiek, zostało zadane z miłości do syna.

— Zabij go, Billy, i skończ zabawę! — nalegał Caleb.

Ale Billy nie poruszył się, nie patrzył na żadnego z nas, tylko w jakąś głębię w sobie, gdzie wszystko to, czego zawsze się bał, i to, czym zawsze chciał zostać, leżało splątane razem.

— Zabij go — syknął stary i Billy uniósł broń. — Zrób, jak mówię, chłopcze. Słuchaj mnie, jestem twoim tatą.

A w oczach Billy'ego Purdue coś zgasło. — Nie — odrzekł — jesteś dla mnie nikim.

Strzelba huknęła i lufa cofnęła się w jego dłoniach. Caleb Kyle pochylił się i zatoczył do tyłu, jak od ciosu w żołądek. I zaraz pokazała się ciemna, rozszerzająca się plama, przez którą trzewia i wnętrzności błyszczały niczym głowy hydry. Przewrócił się i leżał na plecach, z rękami uniesionymi, przyciśniętymi do otworu pośrodku ciała, a potem powoli, w agonii, uniósł się na kolana i patrzył na Billy'ego Purdue. Usta opadły mu otwarte i krew bulgotała

przez wargi. Na twarzy malowało się cierpienie, brak zrozumienia. Po tym wszystkim, co zrobił, co wycierpiał, jego własny syn odwrócił się przeciw niemu.

Usłyszałem dźwięk następnego naboju ładowanego do lufy, oczy Cale- ba Kyle'a stały się ogromne, a potem jego twarz znikła, czerwona dłoń zasłoniła mi wzrok i zimowe światło, roztańczone, biegło przez moje oczy jak myśli przez świadomość Boga.

Od Dark Hollow rozległ się dźwięk syren, niesiony przez zimowe powietrze niczym wycie rannych zwierząt. Było pięć po północy, dwunastego grudnia.

Moja żona i dziecko nie żyły dokładnie od roku.
usmam

Jest dwudziesty grudnia i wkrótce nadejdą święta Bożego Narodzenia. Scarborough zmieniło się w krainę pól lodów i pokrytych pudrem drzewek; z okien domów migoczą kolorowe światełka, na drzwiach zielenią się wieńce jedliny. Wyciąłem jodełkę w ogrodzie, jedną z tych, które posadził dziadek w roku swej śmierci, i wstawiłem do frontowego pokoju. W Wigilię zawieszę na niej małe, białe lampki, dla mojego dziecka, i jeżeli wyjrzy z ciemności, zza drzew, ujrzy światła i będzie wiedziała, że o niej myślę.

Nad kominkiem ustawiłem kartkę od Waltera i Lee i małe, odświętne zapakowane pudełko od Ellen. Obok widokówkę z Republiki Dominikany, bez podpisu, z tekstem w dwóch charakterach pisma: „Podzieliwszy się z przyjaciółmi własną duszą, człowiek osiąga dwojaki rezultat: radość — tę podwaja, a smutek dzieli na pół”. Cytat niewiadomego pochodzenia. Zadzwońię do nich, gdy wrócą, gdy zmaleje zainteresowanie wydarzeniami, które miały miejsce w Dark Hollow.

Na końcu krótki list. Rozpoznałem pismo na kopercie, a otwierając ją, czułem się, jakbym rozdierał sobie serce. W środku tylko kilka słów: „Zadzwoń, jak będziesz mógł”, i numer telefonu jej rodziców. Pod spodem: „Ucałowania, Rachel”.

Siedziałem przy oknie i rozmyślałem o zmarłych tej zimy, i o Willefordzie. Znalezione go dwa dni temu. Na wiadomość o jego śmierci poczułem ostry, szarpiący ból. Po zniknięciu starego detektywa przez jakiś czas niemal podejrzewałem go. Niesłusznie. Obawiam się, że w pewnym sensie przyczyniłem się do tej tragedii. Znalezione go w płytkim grobie, na tyłach jego posesji. Według Ellisa Howarda, przed śmiercią był torturowany; sprawcy nie wykryto. Może Stritch czy ktoś od Tony'ego Celli? Myślę jednak, że umarł z powodu Caleba Kyle'a, a zabił go syn starego, Caspar.

Nazwisko Willeforda łączyło się z poszukiwaniami rodziców Billy'ego Purdue. To pod jego numer dzwoniła stara pani Schneider, i jeżeli ona potrafiła go odnaleźć, mógł zrobić to także Caleb, a ten chciałby wyciągnąć od detektywa wszystko, co tamten wiedział. Oby alkohol choć trochę stepił ból, pozwolił mu się mniej bać, gdy nadchodził koniec! Miałem nadzieję, że wyznał wszystko tak szybko, jak tylko się dało, ale pewnie się łudziłem. Willeford miał w sobie coś z poczucia honoru z dawnych czasów, z odwagi naszych przodków; tak łatwo nie wydałby chłopca. Wyobraziłem go sobie w Sail Loft, z whisky i szklanką piwa — stary człowiek dryfujący w teraźniejszości. Jak mógł przypuszczać, że to nie postępek go zniszczy, lecz demon z przeszłości, którego obudził, wyświadczając przysługę zagubionemu, zaniepokojonemu chłopcu?

I pomyślałem o Rickym, o zgrzytającym dźwięku, gdy otwierano bagażnik, o ciele skulonym przy zapasowym kole i o tym, jak w ostatnich chwilach życia chłopak próbował ratować Ellen. Oby spoczywał w pokoju.

Lorna Jennings opuściła Dark Hollow, Rand także. Zadzwoiła do mnie, powiadamiając, że wyjeżdża do Illinois spędzić święta z rodzicami, zanim rozejrzy się za nowym miejscem zamieszkania. Nagrała się na sekretarce, a chociaż byłem w domu i słyszałem jej głos na tle cichego pomruku obracającej się taśmy, nie podniosłem słuchawki. Uznałem, że tak będzie lepiej.

A człowieka znanego jako Caleb Kyle pochowano w grobie dla biedaków, w północnej części cmentarza za granicami Augusty, razem z chłopcem zwanym Casparem, i zmówiono modlitwy za ich dusze. Kilka dni później przy grobie widziano potężnego mężczyznę, z cierpieniem malującym się w oczach. Stał na śniegu i spoglądał na świeżo usypany kopiec ziemi. Po lewej stronie słońce zniknęło z niebios, pozostawiając wśród chmur pasy czerwieni. Mężczyzna miał na ramieniu niewielki plecak, a w nim kartkę z zapisaną — przez osobę, która wpłaciła kaucję — datą rozprawy sądowej. Nigdy się tam nie pojawił i poręczyciel wiedział o tym. Część banknotów Al Z kupił jego współudział. Ala Z stać na tę stratę, pomyślałem.

To był już drugi cmentarz, który Billy Purdue odwiedził tamtego dnia, zanim zniknął na zawsze. Nikt go więcej nie zobaczy, zaginie po nim ślad.

Chyba wiedziałem, dokąd zmierza.

Szedł na północ.

Dwa dni po rocznicy na mszy w kościele Św. Maksymiliana Kolbego słuchałem, jak imiona Susan i Jennifer Parker padają wyczytywane z ołtarza. Następnego dnia, piętnastego, odwiedziłem cmentarz. Na grobach leżały świeże kwiaty, pewnie od rodziców Susan. Nie rozmawialiśmy od czasu jej śmierci, w ich oczach wciąż ponosiłem odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Ja też nie pozbyłem się poczucia winy, jednak, na ile było to możliwe, podjąłem próbę zadośćuczynienia; nic więcej nie mogłem zrobić ani ja, ani nikt inny.

Piętnastego wieczorem przyszły do mnie. Obudził mnie szmer dochodzący z lasu, dźwięki — nie dźwięki, jakby wolne łączenie się światów od wewnątrz. Stanałem na werandzie, ale nie zszedłem do nich.

Za drzewami, pomiędzy cieniami, poruszały się postacie. Z początku wydawały się światłem przesuwającym się, gdy wiatr hulał wśród gałęzi, fantomami rąk i twarzy. Bo milczały, podchodząc, by dać mi świadectwo. Młode dziewczęta, których sukienki, kiedyś podarte, splamione ziemią i krwią, teraz połyskiwały od wewnątrz i przylegały do miękkich, lekko zaokrąglonych brzuszków, które mogłyby, i to już niedługo, sprawić, by młodzi mężczyźni wychylali się ze swych jaskrawoczerwonych samochodów i gwizdaniem wyrażali podziw; by szeptali do nich i żartobliwie zajeżdżali im przejście, pławiąc się w słonecznych promieniach dziewczęcych oczu. Blask księżyca łagodnie oświetlał ramiona, delikatne falowanie włosów, lekki połysk warg; dziewczęta w letnich sukienkach zebrały się na świeżo opadłym śniegu.

A za nimi nadeszli inni: stare kobiety i starzy mężczyźni, koszule nocne fruwały niczym mole. Poplamione spodnie ze smugami lakieru, zdeformowane dłonie, pokryte żyłami grubymi jak korzenie starych drzew, przylegające do ziemi pod stopami. Z boku młodzi mężczyźni, ich kobiety, trzymali się za ręce; mężowie i żony, młodzi kochankowie, niegdyś gwałtownie rozdzieleni, teraz znów razem. Dzieci biegające obok ich nóg, patrzące z powagą; dzieci z połamanymi paluszkami, teraz cudownie uzdrowionymi; maluchom, rozrywanych na kawałki w ciemnych, wypełnionych cierpieniem piwnicach, wreszcie oddano ich piękno; ich oczy świeciły, jasne i wszechwiedzące w zimowych ciemnościach.

I cały regiment zmarłych pojawił się przede mną, dalsze szeregi chowały się w cieniu, w przeszłości. Nic nie mówili, tylko obserwowali mnie, i ogarnął mnie spokój, jakby dłoń młodej kobiety dotknęła mnie nocą, jakby ktoś szepnął, że powinienem spać. Już...

I stałem przy poręczy werandy, tam gdzie stary człowiek siadywał ze swym psem, gdzie zwykle opierała się moja matka, wciąż piękna pomimo swych lat, i czułem na sobie ich wzrok. Mała rączka ujęła moją; popatrzyłem w dół i niemal ją widziałem, promieniującą i świeżą, maleńką piękność na tle delikatnej poświaty śniegu.

I ręka dotknęła mego policzka, miękkie wargi zetknęły się z moimi i usłyszałem: ...śpij. I zasnąłem.

Kr

John Connolly WSZYSTKO MARTWE

Były detektyw nowojorskiej policji Charlie „Bird” Parker już do końca życia nie zapomni tej nocy, gdy wróciwszy do domu, ujrzał zamordowane w bestialski sposób żonę i córkę. Szybko staje się jasne, że to kolejne ofiary sadystycznego mordercy znanego policji jako „Podróżnik”.

„Bird” Parker oddałby wszystko, aby odkryć, kto jest zdolny do tak potwornych okaleczeń. Niestety, śledztwo — nie pierwszy raz w podobnej sprawie — utyka w martwym punkcie.

Targany żądzą zemsty, w poczuciu żalu za tym, co bezpowrotnie mu odebrano, „Bird” uparcie draży każdy nowy wątek, nawet najdrobniejszy.

Dlatego też na prośbę przyjaciela i byłego partnera w policji angażuje się w dziwną sprawę zaginionej dziewczyny. Gdzieś między snem a jawą widzi tu kolejną szansę wytropienia „Podróżnika”.

Sr

Bill Pronzini PUSTKOWIE OBCYCH

Berflpelacyjriie kryminał roku'

PUSTKOWIE

OBCYCH

„Dlaczego nikt nie widzi w nim tego co ja — dobrego człowieka, a nie złego?” — zastanawia się jedna z mieszkanek Porno — zapadłej dziury w Północnej Karolinie — gdzie taki przybysz jak John Faith to znak samych tylko kłopotów.

Kim jest? Po co się tu zjawił, po sezonie? Jedyne samotna miejscowa piękność nie widzi w tym problemu — a nawet swoją szansę... Co z tego, skoro wkrótce zostaje zamordowana, a głównego podejrzanego nie trzeba zbyt daleko szukać.

Pozornie, bo John Faith jest szybki — jak zawsze, gdy musi uciekać przed niedobrymi ludźmi...

C&T

Sr

Peter Abrahams FAN

Bobby Rayburn ma za żonę byłą cheerleaderkę i dziewczynę w każdym mieście, gdzie odbywają się ligowe rozgrywki. Swoim kijem potrafi nadać piłce kosmiczne wprost przyspieszenie. Bobby jest kimś więcej niż gwiazdą baseballu — jest bogiem.

Gila Renarda opuściła żona. Jego konto bankowe świeci pustkami, a to, co zdoła zarobić, pożerają niebotyczne raty za samochód. Ale Gil jest kimś więcej niż sfrustrowanym akwizytorem noży — jest fanem.

Nakładem

ih

Ī teraz, kiedy Bobby'ego dopada kryzys, Gil gotów jest na wszystko, by wyciągnąć z dołka swego idola. Tylko że jego uwielbienie przeradza się w szaleństwo, nad którym trudno zapanować. Dlatego w tej fanatycznej grze musi pojawić się krew. I ofiary...

C&T

Bi

Cornell Woolrich PANNA MŁODA W ŻAŁOBIE

- Julie, co ja ci mogę powiedzieć?

- Po prostu: żegnaj. Cóż innego można powiedzieć komukolwiek i kiedykolwiek... w tym życiu?

Tak wyglądało pożegnanie z przyjaciółką, po którym Julie wsiadła do pociągu. I wysiadła. Na kolejnej stacji.

Po to, by zacząć odwiedzać kolejnych mężczyzn.

I... mordować ich!

„Nie mamy żadnej wskazówki co do tego, kim była, skąd się zjawiała, dokąd poszła. Ani dlaczego to zrobiła...” - zanotował w raporcie dla przełożonego Lew Wanger. Z dopiskiem: „Sprawa nierozwiązana”.

Nakładem

I tak było za każdym razem. Aż...

1 Jim Thorpe (1888-1953) — słynny amerykański sportowiec, uprawiał wiele dyscyplin, między innymi baseball; w 1919 roku grał w drużynie nowojorskich Giantów.

2 Pearl (ang.) — perła. W liczbie mnogiej: pearls.

3 Papiery wartościowe powiązane z wahaniami w kursie walut.